WZORY PROZY

NA

WSZYSTKIE JÉJ RODZAJE, STOPNIE I KSZTAŁTY.

Stopień II.

na klassy wyższe Gimnazyów.

Gimnazyum św. Marji Mag
w Poznaniu

N.° 655 — 1856.

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU
306885
Wypożycza się tylko do czytelni

Dubl. 123 224 II
2.25 egz.
Inw.



WZORY PROZY

NA

WSZYSTKIE JÉJ RODZAJE, STOPNIE I KSZTAŁTY.

Stopień II.

na klassy wyższe Gimnazyów.

Gimnazyum św. Marcin i Mag
w Poznaniu

N.º 655 — 1856.

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

306 885 II/2

BIBLIOT. UNIWERSYT. POZNAŃSKIEGO

1954043781

I.

Proza opisowa i powieściarska.

Stopień II. Prawdopodobieństwo i Wytworność.

A. Opisy, Wizerunki i Obrazy.

Strona

Góry Tatry, przez autora „Sobótki“ 5
Morskie oko w Karpatach, przez tegoż 9
Dolina zakopane i Magóra, przez tegoż 13
Kościelisko. — Smerczyn staw. — Góra Ormak, przez tegoż 15
Źródlisko Czarnego Dunajca przez tegoż 20
Mgła poranna w górach karpackich, przez tegoż 23
Dzieci góralskie, przez tegoż 25
Podhalanie 26
Górale 29
Pasterstwo w Tatrach. — Pieśni pasterskie 30
Muzyka i taniec Góralów 33
Żupy solne w Wieliczce 36
Widok z Wawelu, przez J. Kremera 40
Obraz puszczy, przez K. Wł. Wojcickiego 45
Zawieja śnieżna na Podolu, przez Kaczkowskiego 49
Sahara, przez Dra. T. Tripplina 53
Karawana, przez tegoż 56
Strusie i Cygany, przez tegoż 59
Tygrys i Pantera, przez tegoż 65
Jaskinia tygrysów, z Tygodnika Petersburskiego na rok 1830 69
Nawałnica na puszczy Sahara, przez Dra. Tripplina 73
Huragan na puszczy, przez tegoż 76
Pragnienie na puszczy przez tegoż 78

Puszcze zwrotnikowe, przez J. Kremera 85
Zorza północna, przez Ewę Felińską 87
Jaką była Warszawa w roku 1596, przez Wojcickiego 89
Ratusz w Poznaniu, przez Józefa Łukaszewicza 90
Zamek Ostrogski 93
Kościół katedralny w Gnieźnie, przez N. 97
Puławy, przez Tańską 100
Ruiny Trębowli. (Przyjaciel Ludu) 105
Zamek w Brzeżanach (w Galicyi) 107
Rozwaliny zamku odrzykońskiego 109
Kalwarya zebrzydowska. (Przyjaciel Ludu) 111
Skowronek 113
Róża 115
Słowik ..... —
Len 117
Groby Świętych Polskich w Krakowie, przez Ks. Antoniewicza 120
Grób św. Bronisławy 125
Poranek w Krakowie 129
Biesiada Wyścigowców (z Alkhadara 1854) 132
Podróż do Berlina (z Pierścionków Babuni) 137
Kraków, przez Tańską 146
Statek parowy i okolica nad Renem (z Listów z Zagranicy) 152
Paryż (z Listów z Zagranicy) 154
Gołębie w Wenecyi, przez Michała Wiszniewskiego 163
Rzym (z Listów o Włoszech) 165
Okopalisko Pompei (z Listów o Włoszech) 167
Katakumby rzymskie (z Listów o Włoszech) 171
Żegluga po Czarném morzu, przez Hołowińskiego 173
Święta Grota Narodzenia, przez tegoż 176
Sadzawki Salomona, przez tegoż 178
Jeruzalem, przez tegoż 180

B. Charaktery czyli Wizerunki obyczajowe.

Pyszno-Skąpski, z „Teofrasta Polskiego“ 187
Gbur, z „Teofrasta Polskiego“ 194
Guwerner udręczony, przez J. I. Kraszewskiego 198

C. Pogadanki i Gawędy.

Imieniny Niemcewicza 201
Dolina Mickiewicza 205
Obiad czwartkowy, przez Hoffmanową 211
Przygoda podróżnika, przez Siemieńskiego 219
Potęga muzyki, przez Karóla Libelta 221

n. c.
N. 6653

I.

PROZA
opisowa i powieściarska.

Stopień II.

Prawdopodobieństwo i Wytworność.

A.

Opisy, Wizerunki i Obrazy.

Opisy. Wiatrmłyki i Obrazy.

Góry Tatry.

Przez autora „Sobótki". Petersburg 1853.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiém powietrzem; kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannéj; ten nigdy nie pojmie téj tajemniczéj, błogosławionéj władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, uczucia, na całą istotę człowieka; zdaje się, że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziéj, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłém zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszéj drodze. Niekiedy uchylał się a w ówczas powitała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra naga w swojéj wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka, rzeczułka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Tak minęliśmy Niebieską dolinę, polany: Głudową i Klinkowkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz ujrzeliśmy się na polanie, zwanéj Łysa, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Do koła jeżyły się Tatry, w niższéj połowie świerkami ocienione, wyżéj ciemne plączącém się kozodrzewem, a jeszcze wyżéj nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwie nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przypruszoną śniegiem, stał tu jak odźwierny.

Pojrzałem do koła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitéj postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany! i poświęciłbym lata, przebłąkałbym lata śród ciebie, gdyby to od mojéj woli zależało!

Od Łyséj polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż po pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilku laty było gniazdo zbójców. Prześliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód, zwanych Cieplicami, że w czasie najtęższéj zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątéj zatrzymaliśmy się dla posiłku. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda górska trawią dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białką na uboczu góry leżała polana Białowoda; na południe szła droga ku Morskiemu oku; od zachodu mieliśmy dolinę Rostok z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciu-stawów i wpada do Białki, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnéj drogi w to miejsce; dolina wąska i głęboka na kilkaset sążni, jéj boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem, ścieżka z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy spostrzegli, że się znajdujemy na wysokości na jakiéj dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszéj burzy letniéj i zimowéj. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę, wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków, przy ogromie mas dokoła siedzących; cała jéj powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy weszli, poka-

zano nam w niezmiernéj wysokości dwie dzikie kozy; gołemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwonawe plamki, dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy, że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę; w tém n. p. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jéj uboczu, jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie; kamień niezatrzymany niczém dla nadzwyczajnéj gór spadzistości stacza się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła, strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnéj odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy, pojedyńczo. Strzelec zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakiemś miejscu niedostępném, przyczaja się w skałach i czeka zwierzyny. Wiadomy miejsc i obyczajów zwierza, najczęściéj prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści pod jego nogami, wtedy kładzie się na kamienie połową ciała wychylony nad przepaść, i w téj postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrzejsze a nawet niebespieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobném miejscu mgła zaskoczy; a mgły zwłaszcza na Krywaniu są tak gęste, że człowiek śród niéj nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje tylko siedzieć w miejscu i czekać aż się mgła usunie.

Odpocząwszy spuściliśmy się z góry ku wodom Rostoka, i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżéj. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głazy i drzewa postrącane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernemi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały

nam częste przeszkody. Za to kilkaset sążniowe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kozodrzewia, ujrzeliśmy nakoniec Siklawą wodę; jest to wodospad utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego więcéj jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał, i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcéj zbliżaliśmy się, tém szybciéj chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tém trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczącego i zapienionego Rostoku, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdych kilkudziesięciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądzimy być u kresu, złudzenie! do spodu Siklawéj wody niepodobna dostąpić, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczerych prostopadłych opok; musimy piąć się wyżéj. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącéj nie mieliśmy dotąd, bo po uboczach to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, doścignęliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały jednolitéj z opokami, po których przewala się Siklawa woda; i zgrzani, wpółomdleni padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Przekrojony od sterczącéj na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkunasto-łokciowéj szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jéj wyżłobienie i wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci daléj: a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniéj 50 sążni. Lecąca woda połamana, pokłę-

biona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niéj wieczny deszczyk i zlewa w pobliższe miejsca. W niektórych położeniach słońca, zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam, będącym około godziny drugiéj z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Niepodobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu téj budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu rozsianych pod tysiącznemi kształtami; i pewno, że takie dzieło mgły niedojrzanéj prawie, musi być nadzwyczajne.

Morskie oko w Karpatach.

Przez autora „Sobótki“. Petersburg 1853.

Czas naglił; dziś jeszcze mieliśmy być przy Morskiém oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym czuciom, i pożegnać wodospad. Pięcio-stawy były teraz celem naszéj podróży. Ta sama woda przewodniczyła mi i daléj, drogą równie trudzącą po głazach i siatce kozodrzewia. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyléj, a raczéj ubocza i to przykrego, po którém śród zwaliska głazów szumi i huczy potok, także wodospad ale nieco wolniejszy i węższy jak Siklawa woda, postawiły mię w okolicy, jakiéj nic podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraźnia nigdy mi nie przedstawiła. Znalazłem się wśród pustyni skał, w całém znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć mógłbym przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior, — nad jedném z nich stałem; gdzie niegdzie nad wodą zarośle kozodrzewin, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskru, pliszka niby zabłąkana, zresztą pan téj całéj dziedziny, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to miejsce na moję pieczarę, tyle znalazłem w niém uroku przy najdzikszéj samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocieł; dno jego we trzy piętra: najniższe zalane okrągłém jeziorem, z którego wypływa potok, tworzący Siklawą

wodę; brzegi jeziora uzielenione gdzie niegdzie kozodrzewiem i trawą; po lewéj ręce, patrząc w południe, dwa mniejsze jeziórka, jedno za drugiém, po prawéj, trzecie także nie wielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszém, a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wąskiemi strumykami ze środkowém najobszerniejszém; kamienny samotny szałas nad jeziorem najwyższém, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia; echo Siklawéj wody, krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mię do kąpieli w jeziorze, nad którém znalazłem się, chciałem téż niby ochrzcić się jako przypuszczony do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla nadzwyczajnie zimnéj wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu-stawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu oku. Była czwarta z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę Mnich zwaną, u jéj to podnoża na stronie przeciwnéj leży Morskie oko; ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich: samo wejrzenie na owe skały nagie, prostopadłe, już nie jednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojéj głowy i zręczności nóg, postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt i to wyboczenie nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku doliną Pięciu-stawów, szło nam jako tako: nie było tam innych zawad jak ogromne kotliny, zawalone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami, jak dziś Pięcio-stawy, ale w téj chwili zupełnie są bezwodne, dopiero stanąwszy na uboczu gór wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy, co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić jakokolwiek, przedstawiwszy górę tak wysoką, że dolina Rostok długa przynajmniéj półtory mili, zdawała się niemieć jak kilka set sążni, a przytém gładką, prostopadłą, niemal i ścieżkę równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, zaledwie poznaczoną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie roskoszy niebezpieczeństw. Jest to

jedno z tych miejsc, które mniéj śmieli przebywają tym sposobem, że im zawięzują oczy i postępują prowadzeni przez dwóch górali, z których jeden idzie przodem, a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności, jakie okazywałem w téj przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznem oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy chcąc wypocząć, nie mógłem inaczéj, tylko oparłszy się o górę, któréj bokiem szedłem; takiéj prostopadłości są te ściany, a wtedy pod nogami miałem przepaść, nad którą podemną tylko orły krążyły. Po takiéj przeprawie dościgliśmy wreszcie grzbietu Świstowéj góry. Z téj wysokości, w ogromnéj pod nami głębi, dojrzeliśmy Morskie oko; wtedy poznaliśmy, jak znacznie wyżéj leżą Pięcio-stawy.

Około szóstéj stanęliśmy nad Morskiém okiem. To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnéj drogi (nie téj, którą myśmy wzięli), jest jedném z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a nie jeden opisuje. Morskie oko nie zrobiło na mnie wrażenia, jakiego się spodziewałem, niezawodnie dla tego, żem już widział Pięcio-stawy. Mimo to zasługuje na to, co o niém mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody, zamknięta w jeziorze okrągłém, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów; brzegów tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć nie można, a czemu na pierwszy rzut oka uwierzyć trudno, tak mniejszém wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają. I my byliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o niém. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie pędziliśmy; w pół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; późniéj strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach, nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego oka jest niezmierzona. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z mo-

rzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnéj odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego oka jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kociéj podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu, jakaś ryba nieznana im porywała pijące owce a szczególniej czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niéj ognia skoro się pokazała i odtąd już jéj nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego oka jest rzeczywiście więcéj niż szklanna, przypomina to co wiemy o przezroczystości wody północnych stron Oceanu: na dnie kilkunasto-sążniowéj głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnemi widzenia, odznacza się okolica Morskiego oka. — Pierwszym jest jezioro zwane Czarny staw. Leży ono we wschodniéj stronie Morskiego oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższém, mniéj więcéj o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego oka, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego oka.

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnich zwana. Ma on w saméj rzeczy podobieństwo siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem, a dłuższe wpatrzenie się, daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiéj postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila Morskie oko. Oprócz wodospadu z Czarnego stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistéj skale ze strony zachodniéj, innych wód nie dostrzegłem: zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody tworzącéj Białkę, każe się domyślać obfitego jéj przypływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca, jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznéj broni. Trwa ono minut kilka jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro,

i w chwili kiedy głuchnie w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tém większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać roskoszną tę okolicę. Słoneczna łuna błąkała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjezdnem i pożegnawszy się przez echo z okolicznemi górami, wsiedliśmy na konie, czekające nas przy Morskiém oku i wróciliśmy do Leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przeprowadziła.

Taka podróż nie może zaspokoić, rozdrażni tylko, przez pół odsłoni tylko wdzięki gór; pragnąłem ją powtórzyć, lecz inaczéj się stało! —

Dolina Zakopane i Magóra.

Przez autora „Sobótki". Petersburg 1853.

Jasny był poranek, w którym wyszliśmy na zwiedzenie Zakopańskiéj doliny. Mróz nocny kilkunasto-stopniowy gwałtownie wolniał z podnoszącém się słońcem; ziemia przypruszona była płytkiem śniegiem. — Biały Dunajec obficiéj tu płynie i okazaléj niż Czarny przy swojém źródle, z kamienia o kamień się rozbija. Cała dolina, mianowicie przy brzegach Dunajca, zawalona głazami, które woda ogładza i wyrzuca, nim je zabierze w następnéj powodzi i daléj poniesie. Głazy te słyną szczególniéj ze mchu czerwonego, amarantowego; jest on prawie niedojrzany okiem gołém; głaz pod nim wydaje się jak powleczony czerwoną barwą, potarty bielizną żółty ślad na niéj zostawia; pachnie jak fijołek, a zwłaszcza podczas pięknych letnich poranków. Mówiono mi, że kamień tak umszony trzymany w izbie, wydaje z siebie ten zapach bardzo długo.

Szliśmy ku źródłu Dunajca jego brzegiem, przy drodze mieliśmy piękną polanę Kołatówkę, otoczoną wysokiemi górami; daléj bijący w oczy ogrom różnokształtnych opok, który jak wieniec, otacza wzniosłą górę i zowie się: Zakopański zamek. Z podnoża jego posady wypływa Biały Dunajec wodospadem czterdziesto-sążniowéj wysokości; w lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda, bijąca się

po umszonych kamieniach i biała od wiecznéj piany, w zimie wybucha cokolwiek niżéj, i mniéj gwałtownie.

Pierwsze i główne stanowisko w dolinie jest hamernia czyli kuźnia żelaza, przy któréj leżą domy mieszkalne, a między niemi dom samegoż właściciela téj okolicy: z tego punktu rozpoczęliśmy naszą wycieczkę, któréj ostatecznym kresem miała być ruda żelazna, zkąd biorą materyał surowy do hamerni. Ta ruda czyli kopalnia, albo jeszcze inaczéj w tutejszym języku, *bania*, leży o dwie godzin drogi od hamerni, w grzbiecie góry zwanéj Magóra.

Droga do bań przestronna, dobrze utrzymana, ale tak przykro zwijana w koło góry, bo rudy leżą pod samemi szczytami — że wozom, prowadzącym rudę żelazną do hamerni, zdejmują zadnie koła: a i to jeszcze nie może przeszkodzić, aby konie nie zlatywały w całym pędzie aż na miejsce mniéj spadziste. Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką, wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach, to z żelaznemi w rękach kagańcami, to z taczkami skrzypiącemi, albo z ciężkiemi młotami, pastwiący się, jak złośliwe istoty nad łonem ziemi-matki; te mdłe gwiazdki kagańców, płonące tu wprost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam w dole takiejże głębokości, albo biegące z taczkami jak błędne ognie cmętarza; zresztą ta ciemność, ta cisza, ta sfera całkiem grobowa, przenoszą myśl w jakąś dziedzinę fantazyi dzikiéj, czarnéj, nie ludzkiéj a nie anielskiéj.

Szesnastu ludzi pracuje w téj bani od niedzieli do piątku. Sobota jest dniem odpoczynku. — Jest nawet wiara między górnikami, że ktoby odważył się pracować tego dnia w bani, duch opiekujący się niemi, skarałby takiego jakiemś wielkiém nieszczęściem, a nawet zwaleniem całéj bani.

Zresztą banie te obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy wychodzą na noc z bani i mają szałas gdzie odpoczywają. Stoi on pod nawisłą górą i wytrzymuje często szturmy to lawin, to kamieni pękających od mrozu i toczących się na dół. Mają swojego naczelnika z pomiędzy siebie, który surowo karze wszelkie przestępstwa, łopatką

umyślnie na to sporządzoną. Uderzeniem téj łopatki poświęcają także pierwszy raz zwiedzających te banie.

Nie mieliśmy dosyć czasu wejść na okazały skalisty szczyt Magóry, musieliśmy przestać na niższym jéj grzbiecie. Śnieg, spadły tam już przed kilku tygodniami, grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas widok niezmiernie rozległy i piękny na północ, wschód i południe.

O Magórze, na któréj byliśmy, to mi jeszcze powiadano, że w lecie przylatują tu ptaszki do kanarków podobne i ze śpiewem podobnym; my widzieliśmy dzisiaj tylko mech, kozodrzew, śnieg i kamyki, które pękały pod mrozem na wyższych szczytach i staczały się pod nogi nasze.

Zwiedzanie bań Zakopańskich naprowadziło mię na myśl, któréj sobie wyjaśnić nie umiem, dla tego zapisuję ją tutaj. Zdaje mi się godném uwagi, że we Francyi zowią się podobnie (bagnes) miejsca surowéj kary, po naszemu galery, i że niektóre obyczaje naszych bań są te same, co między francuzkiemi galernikami. I tam jak tutaj Sobota jest dniem świątecznym. Wiadomo także, że przybywający do galer musi uznać władzę, którą galernicy mianują śród siebie, a czemu odpowiada w tutejszych baniach zwyczaj uderzania łopatką zwiedzających je po raz pierwszy. Skąd te podobieństwa? wartoby się nad tém zastanowić.

Kościelisko. — Smerczyn staw. — Góra Ormak.

Przez autora „Sobótki". Petersburg 1853.

Droga z Nowegotargu do Kościeliska idzie przez wsie: Szaflary, Biały Dunajec, Poronin, Zakopane, zawsze ponad wodą Białego Dunajca; późniéj rzuca się pod same góry w bujne świerkowe lasy i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościelskiéj doliny. Droga ta trzymilowa z górą, ubarwiona jest miłą rozmaitością, szczególniéj od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdołu, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielonością, jakby śród wiosny; po lasach

gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika, jedném słowem przebyliśmy tę górę bez najmniejszéj nudy. Nieraz gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i skręcił się ku południowi, — pojrzałem przez siebie, na tę i na tę stronę pasma wysokich gór świerkami okrytych, tylko w jedném miejscu przerwa aż do dna doliny na kilka sążni szeroka, po jednéj i po drugiéj stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie, a z pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał — to wjazd na Kościeliską dolinę! Minąwszy wspomnioną bramę, ujrzeliśmy się na roskosznéj płaskiéj dolinie, owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższéj darni, ocieniały dokoła góry i lasy ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszém nad inne dziełem przyrody: po prawéj ręce szumiał pod górami Dunajec; gdzie niegdzie z pomiędzy gór lesistych wytykały nagie szczyty, jak wieże nad okazałym grodem; droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i niknęła w wąwozie, który się zamykał dalekiemi górami — ta mała dolina, to przysionek Kościeliska! Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwa dolina Kościeliska. Hamernia i budowy należące do niéj, zapełniają początek doliny. Jest tu także oprócz wygodnéj murowanéj oberzy, kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed kilku laty, Homolacz, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Wieczorem 21. Sierpnia, przyjechaliśmy do Kościeliska, dla tego zwiedzanie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz.

Ciekawy jest początek nazwiska téj doliny. Podczas jakicheś wojen w Polsce, wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą, i tym ruchem wprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, potém przeciąwszy im w ciasnych miejscach odwrót, głazami i drzewami spuszczanemi ze szczytów, do jednego ich znieśli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości, ta dolina przezwana została Kościelisko. Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie, leżącéj pod Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanéj dziś Biały potok; zdają się potwierdzać tę wieść

rozrzucone po niéj kości ludzkie do niezliczenia. Tę klęskę według jednéj powieści mieli ponieść Szwedzi, według innéj Tatarzy.

Nazajutrz, przy pięknéj i pewnéj pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie.

W południowéj ścianie Upłazu znajduje się pieczara zbójców. Aby dostać się do niéj, potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jéj grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół; cała ta droga idzie gęstym lasem, i tylko drzewa poznaczone siekierą są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza, w ścianach ma otwory zastępujące okna, wewnątrz kamienne tamy, a w samym końcu źródło. Przed laty kilku, znaleziono przy tém źródle kości ludzkie, do podziwienia wielkie: według powieści góralskich, miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier, Junoszyka. Przystęp do pieczary bardzo przykry i zasłoniony gęstwiną drzew: ale widok z niéj ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszną, napotyka się ogromna skała, którą lud zowie Sową, dla jéj podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze daléj masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał zamek, opatrzony wszystkiemi prawie częściami murowanéj warowni.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożyściéj, parowy łagodniéj są wyżłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tém już położeniu, na wysokim przedstopniu, leży Smerczyn Staw. Obszerne to dosyć jezioro, ustronnego wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca, ale je szpeci przystęp najeżony pniami zrąbanego lasu; sama téż woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niéj.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie czyli miejsca, skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu, kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty, czy więc-

céj, woda zalała. Piękne bardzo machiny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Weszliśmy na Ormak w tém właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swojemi dwa jego szczyty: zachodni i wschodni, a na które mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci, ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka: zaniechaliśmy tego tém chętniéj, że spomniony grzbiet góry albo siodło, jak go tu zowią, pokazywałby nam ze swojéj wysokości wszystko prawie, co z większéj moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przedewszystkiém musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem, korzystaliśmy z téj konieczności i przez ten czas obejrzeliśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tém właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyzna tego grzbietu, rozdzielają dwa narody, dwa klimata. Od północy dolina Kościeliska, urocza rozmaitością i całym wdziękiem wiosennéj prawie świeżości; od południa takoż dolina do Węgier już należąca, téj saméj prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych rozmaitości, któremi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczéj jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem za rosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, na Węgierskiéj ślady dogorywającego lata; po pierwszéj błękitnieją, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonniejsze kwiaty, na drugiéj zaledwie gdzie niegdzie żółty jaskier; tam porywa, odświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieje. Cały widok na Galicyą rozmaitszy i ma więcéj życia, na Węgry może rozleglejszy, ale bardziéj pusty; tyle lasów, tyle płaszczyzny bezludnéj, przedgórza tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez in-

teresu, ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zeszliśmy na powrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządną bacówką. Owce właśnie zeszły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzeliśmy kilku pasterzy krzątających się około bacówki, weszliśmy do niéj, aby napić się rzętycy i kupić serów. Rzętyca tu daleko lepsza i zdrowsza, niż w przedgórzach, leżących z tamtéj strony Nowotargskiéj doliny, a przyczyna tego w balsamiczniejszéj paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! co za życie i zręczność w każdym ruchu, jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmarzona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez który trzody w górach się pasą, spodnie sukienne białe, ocisłe, z czerwonym szwem w nagawicach i wyszywaniem na brzuchu, z węgierska; ciżmy krótkie, przysznurowane rzemieniami do wysokości połowy łytek; szeroki pas skórzany, za pasem z lewego boku nóż duży w pochwie skórzanéj, przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnemi u wierzchniéj części frenzlami; koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka z licznemi łańcuszkami dosyć długiemi; rękawy koszuli sfałdowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika, jakaś robótka z różnobarwnych paciórek; na głowie kapelusik z wąskiemi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa; w ręku siekierka na długiéj lasce zwana wataszką lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Wszystkie mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajeczki, wyrabiają się we wsi Ząb-suchy, niedaleko Kościeliska.

Między innemi rzeczami gadali nam Juhasy o zbójcach. Zwykle gnieżdżą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilku dniami Juhasy, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie

w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp do głów. Każdy z nich oprócz siekierki, noża i pistoletów, ma jeszcze ze trzy rusznice. Juhasom nie robią wiele złego; wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają ze sobą, i w końcu przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. — A górale spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z góralami wojnę prowadzą.

Źródlisko Czarnego Dunajca.

Przez autora „Sobótki".

Około piątéj z południa stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca. W téj chwili głównie nim się zająłem. Wybucha on wielkiemi bałwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary, znajdującéj się u podnoża Upłazu. Naga skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających dolinę Kościeliską. Miękki jéj kamień okryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitéj mowy, rozmaitéj treści; imionami i nazwiskami osób wszelkiéj płci, wieku, stanu i narodu. Jakiejkolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie i źródło i pieczara, z któréj biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiéj, trudnéj i chłodnéj podziemnéj wędrówce, dotarto nareszcie do ogromnéj sali, ozdobnéj kolumnami i sztukateryami z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby dyamentowa; że w pośrodku sali leży małe jeziórko, właściwe źródło Dunajca: odtrąciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją sztukatery. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tém miejscu srebro; w tém podaniu nie mógłem dostrzedz poetycznéj strony. Niektórzy twierdzili, że tém podziemiem trzy dni i trzy nocy iść potrzeba, aby dójść źródła, że nawet w końcu można się było obaczyć na szczycie jakiéjś góry; na to bym się nie odważył. Inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pie-

czarze oburzało ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tém się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemném siedlisku ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzyłem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy jako to: świeczki woskowe, zapałki chemiczne, pulares i t. p., wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przysady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżéj nad kolana, parła mnie wciąż na powrót ku żyjącemu światu; przytém dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się: w takiéj walce z pędem wody nieraz pochyliłem się i zamoczyłem pod szyję prawie. Trzymałem się jednak jak mógłem, chodziło mi najwięcéj o światło, bez którego czułem, że byłoby mi źle w miejscu ciemném, nieświadomém i zalaném wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód; szum wody coraz głuszéj rozlegał się w podziemiu; ale dotąd szedłem w prostéj linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zazierającego w otwór; naraz pośliznąłem się, upadłem i świeca zgasła. Chciałem korzystać z zapałek, na nic się nie przydały: powietrze w podziemiu nasiękłe wilgocią, a przytém wietrzyk mały, wskutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody, zgasiły mi każdy siarniczek, że w końcu nie pozostawało mi, jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się weń powtóre, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosiągłem kresu poprzedniéj wyprawy; świecę zasłaniałem jak mógłem, wszakże jéj światło coraz bardziéj mdlało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mię dokoła; bałwany wody za każdym krokiem silniéj uderzały i huczały głośniéj; stanąłem na chwilę: huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącéj mię po nogach fali, mieszanina tysiąca najsprzeczniejszych to-

nów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiéj nic podobnego w życiu mojém nie słyszałem: niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię na prawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdało mi się w téj chwili, że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe, zaczną przesuwać się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach: spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór nieznajomy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojéj świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych; szedłem jednak — wkrótce pęd wody wolnieje — trafiam nogą na tram kilkołokciowy, przyglądam się mu, obrobiony widocznie ręką ludzką, co on tu robił? tego nie potrafię wytłomaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiłem na wyżłobienie i znalazłem w niém kawałki szkła potłuczonego — musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnéj przestrzeni, mającéj obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskiém, że ledwie wyprostować się mógłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś pokrywająca jego dno była spokojna i płytsza: zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień, aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniéj groziła zgaśnieniem. Niezważając na to, powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do kurytarza, skąd bije nurt najmocniejszy, w tém dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie, ta którą przyszedłem; łatwo więc, chociaż omackiem, trafiłem na nią, trzymając się przytém fali najgwałtowniejszéj i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy.

Tą razą puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnéj grozy słabiéj już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szkłem osłoniona, pomogła mi jaśniéj widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużéj jaskinię, w któréj wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałéj wilgoci. Posunąłem się daléj. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek; obejrzałem każdą, niektóre nie miały dłu-

gości jak kilka łokci, inne obiegały tylko jaki głaz i łączyły się z głównym przechodem; po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością, któréj doznam, stanąwszy w owéj sali, która w podobném miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego, ale sklepienie wycięte pod kątem, coraz się bardziéj zniżało i zwężało; chyliłem się dopóki tylko mógłem, przysiadałem, mimo to poznałem wkrótce, że daléj niktby posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny i to tak ciasnéj, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować. Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoiłem ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niéj na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć, że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy odemnie potrafi głębiéj się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia. Co do mnie, z tego com dokonał i z chwili przepędzonéj w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak miłe wspomnienia, że jeszcze chętniebym powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję, żebym nie wrócił bez zdobyczy, jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwyczajnych tylko położeniach budzi się wnętrzne życie człowieka.

Mgła poranna w górach karpackich.

Przez autora „Sobótki“. Petersburg 1835.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniéj się nudzi, z każdym dniem wcześniéj na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie. Budzę się w ciemnościach, gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa: korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiéj góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurném niebem do zachodu.

Pogoda była mi tém uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tem miléj, tem tęskniéj świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście jak żeby milczącą modlitwę dumały.

I oto ze szczytu Babiéj-góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jéj podnóża. Wschód mocniéj płonić się począł. Jutrzenka ucieka w głębi nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku; od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją w postaci kilku chmurek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerzéj osłaniają dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła, rozlewają się daléj, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórza i błonia, wszystko co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w téj chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przelewają się przez siebie nawzajem; cała massa jednym ruchem zdaje się kołysać — cichnie — a jednostajna siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia-góra, zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzie niegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza lasami porosłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniéj część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niéj pajęczynę z barw płomiennych rających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak słup jego pałający, niezmierzony w swéj długości, rzucił się wzdłuż mgły aż ku mojemu oku, jakiemi barwami po ruchomém tle jéj igrał, jakiego uroku był ten most tęczowy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę jak słońce podnosiło się, odblask jego na powierzchni tumanów zmniéjszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska....

Widowisko skończone! — zszedłem na dół; ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owe Morze Kar-

packie, które podług podań, zalewało niegdyś Nowotargską dolinę!

Dzieci góralskie.

Przez autora „Sobótki“. Petersburg 1853.

Całe Tatry białe od śniegu, który téj nocy spadł w górach. Nawet wyższe przedgórza po téj stronie doliny od północy pokryte są śniegiem w górnéj swojéj połowie.

Z rana obiegłem płaszczyznę ku Węgrom, byłem aż na lisowéj skale. Dochodząc do niéj miałem widok, który mię mocno zajął. — Dokoła pasły się trzody, a na śpiczastym szczycie lisowéj skały, kilkunastu pastuszków, dzieci jeszcze, śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było w tym widoku. Ich strój góralski obcisły, krótki, ich guńki spuszczone z rękawków, zapięte tylko pod szyją, ulatujące śród tańca; ich ruchy szybkie, zwinne, polotne, a wszystko to w blasku podnoszącego się słońca, przedstawiło mi jakąś fantastyczną grupę nadpowietrznych tancerzy.

W istocie dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne chłopskie dzieci. Natura ziemi rodzinnéj, rodzaj życia i zatrudnień rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fizyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre, ale czyste i lekkie, zresztą pewna swoboda nieznana wieśniakom innych okolic, sprawują to, że dzieci góralskie szybciéj się rozwijają jak inne. W tém drobném ciałku widzisz już dotykalnie pełny zaród przyszłego górala, jego dobre i złe własności. Widzisz już w tém chłopięciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip, a razem taki upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym stopniu u dzieci innych okolic. Słyszałem wiele o tém. Ażeby dać próbkę ich na przykład zręczności, opowiem tylko jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty, ale wymaga zręczności i odwagi.

Skoro ujrzy węża, rzuca się na niego skokiem rysia i w temże mgnieniu oka chwyta go dwoma palcami jednéj ręki za szyjkę przy saméj głowie, a drugą ręką za ogon, i już go ma w swojéj mocy. Następnie, żeby go zrobić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu w pyszczek brzeg swo-

jego kapelusza, jak tylko wąż schwycił go i ścisnął zębami, chłopak jedném szarpnięciem kapelusza, wyrywa wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny. Oto inna powiastka, malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego.

Dwóch kilkoletnich chłopaków zajrzało w jednéj skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Skała wysoka i tak przykra, że z dołu niepodobna dostać się do gniazda, ale można się wdrapać na szczyt, a gniazdo leżało blisko szczytu. — Biorą się więc na taki sposób. Wyłażą na wierzch, jeden kładzie się na głazie, który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza go ku gniazdu, głową w dół. Pomysł udał się; gniazdo zdobyte z pisklętami, które się w niém znajdowały. Ale rozpoczyna się spór w tém samém położeniu obu, jeden leży na skale, a drugi wisi w powietrzu na łasce leżącego. Leżący wymawia sobie najprzód taki udział w zdobyczy, że wiszący nie chce na to przystać, pierwszy zagraża, że go puści, drugi nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie dał się pokonać groźbą, pierwszy uskutecznia ją i puszcza drugiego. Wysokość była znaczna, — zacięty chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet złamał sobie rękę czy nogę. Ale postawił na swojém. Oto są górale; jak jedno tak drugie z tych dwojga dzieci, w zawiązku swojego charakteru, który z latami tylko się rozwija i wzmacnia.

Podhalanie.

Tatry straciłyby niezawodnie połowę swojego uroku bez swoich mieszkańców; ogrom ich zostałby wprawdzie tym samym ogromem, przyciągałby na chwilę, porywał, zdumiewał, przerażał zmysły, a nawet potrącałby głębiéj ducha ludzkiego, ale jak rzadki byłby ten człowiek, któryby począł życie wewnętrzne Tatrów bez życia człowieczego na ich powierzchni, życia wyższego nad życie kamieni, wód, roślin — któryby zajął się nim tyle, ile dzisiaj każdy się zajmuje, krzepiony życiem mieszkańców. Tatry bez człowieka, byłyby tylko ciałem bezludném, tru-

pem olbrzymim i zajmowałyby o tyle wędrowca, o ile może zająć człowieka widok niezwyczajnego trupa. Uczucie także może być bardzo gwałtowne, ale prędko nasyca człowieka aż do przesycenia, a wtedy przeradza się w niesmak.

Są w tym stanie pewne krainy; jedne bezludne, inne zaludnione takiemi mieszkańcami, że życie ich ziemi im się przez to nie podnosi.

Przystępując wprost do mego przedmiotu, patrzę na górali Tatrańskich ze stanowiska czysto obecnego: nie znajdują go w przeszłości. Światło przeszłości pada bardzo słabo na lud téj okolicy; nie ma on na scenie publicznego życia takiéj głośności, jak mieszkańcy innych naszych okolic. Szczególném przeznaczeniem jakieś odosobnienie, milczenie, brak ruchu odpowiedniego ruchowi dokoła, otaczały zawsze ten zakąt.

Nie potępiajmy jednak za to naszych górali. Ich byt nie przeminął jeszcze. Jest jeszcze przed nimi przyszłość i kto wie jak długa, jak wielka. Zresztą i ta okoliczność przytwierdza, że górale są plemieniem czysto słowiańskiém; a człowiek tego rodu nie wyłazi łatwo ze swojéj nory. Wszakże z drugiéj strony widzisz już w góralach coś różnego, jakby niesłowiańskiego, poczęści może z istoty ich posady ziemskiéj, ich położenia tak fizycznego jak cywilnego, poczęści może przez obce im wpływy — zgoła, że górale są Słowianami pod pewnym względem wyżsi, pod innym znowu niżsi od swoich pobratymców. Ale o tém we właściwém miejscu — zaczniemy od tego, co w człowieku na pierwszy rzut oka uderza — od powierzchowności.

Jest to w ogólności lud dorodny. Wzrost więcéj niż mierny, a w wielkiéj części wysoki. Budowa zgrabna, lekka, ale mocna. Ruch pełen życia i zręczności. Głowy nie rzadko piękne, bardzo często szlachetne w rysach twarzy, które powszechnie odznaczają się śmiałością, rozumem, wyrobioném życiem, pewną dojrzałością i siłą wewnętrzną, albo przebiegłością, zuchwalstwem, chytrością, przed któremi trzeba się mieć na baczności.

Ubiór ich za nadto obcisły, za nadto kusy, nie jest jednak bez wdzięku męzkiego. Był on, jak się zdaje, pier-

wszym wzorem stroju dzisiejszych huzarów, tylko mniéj ozdobny, a raczéj mniéj upstrzony. Oto szczegóły ubioru górala.

Koszula krótka, mało co przesięgająca piersi; spodnie opięte z grubego białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem; za obuwie ciżmy skórzane, to jest kawałki skóry, przykrępowane tylko do nogi, bez oddzielnych podeszew, rzemiennem sznurowaniem, które dochodzi mniéj więcéj do połowy łytek; pas skórzany, szeroki, z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprzążek; guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją, najczęściéj z rękawów spuszczona; kapelusz ze dnem niskiém, wypukło-okrągłém, o wąskich skrzydłach, włosy długie, rozpuszczone po plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy, broda i wąsy golone; oto strój górali najpowszechniejszy. Podlega on pewnym zmianom w niektórych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Są w nim dodatki i ozdoby, ale tu uchodzą tylko młodzieży lub Juhasom. Wtedy konieczna jest gałązka za kapeluszem lub pióra z jakiego ptaka dzikiego; śpinki błyszczące przy guńce i u rękawów koszuli; wyszywanie na spodniach i t. d. Wszakże bez tych nawet ozdób, strój Podhalan wydaje mi się ładniejszy, jak górali innych okolic. Kapelusz z ogromnemi skrzydłami są dopiero u górali węgierskich w używaniu.

Czas i tu także zaprowadził niektóre zmiany, szczególniéj co do stroju głowy. Widziałem dawniejszy na jednym rysunku; podług rysunku i opowiadania, które go dopełniało, był to wysoki kołpak okrągły, ozdobiony mnóstwem kamyków i blaszek w rozmaite wzory, z piórem jakiego ptaka lub gałązką na boku. Niechce mi się jednak wierzyć, aby ten strój był kiedy powszechnym. Strojąca się młodzież góralska, przeplata i dziś jeszcze długie swoje włosy, amarantowemi wstążkami, jak nasze dziewczęta ukraińskie, albo parobcy, tylko że ci ograniczają się na jednym kosmyku włosów pobocznych, który zowią seledcem.

Ubiór góralów może razić oczy nie przywykłe do niego, może nie być w dobrym nowoczesnym smaku, ma

nawet ważne niedogodności dla ludzi nie zahartowanych na wszystkie nieprzyjemności powietrza, ale trzeba przyznać, że nie przekształca ani zakrywa składu ciała, tak przylega do niego, tak wydaje wszystkie jego kształty. Ludzie, co go pierwsi wymyślili i odważyli się nosić, musieli być doskonałéj budowy.

Górale.

Góral jest w tém wyższy od wieśniaków innych stron, że każdy prawie umie czytać i pisać, a nawet kobiety. Ile razy jestem w ich kościółku, widzę książeczkę nabożną w ręku każdéj prawie dziewczynki. Niemała liczba góralów dochodzi do ukształcenia wyższego, nad zwyczajne tutaj. Najupodobańsze im szkoły są księży Pijarów w Podoleńcu na Spiżu. Tam powszechnie oddają swoje dzieci i z tamtąd wielu wychodzi po zupełném ukończeniu szkół. Spotkasz nieraz górala za pługiem albo bacą śród gór, który słuchał filozofii, umie po łacinie, a dziś uprawia rolę albo dowodzi trzodami. W charakterze góralów jest jeszcze przymiot rządności. Chaty ich mają pozór przyjemny; budowane z drzewa, ale obrobione gładko, starannie i są obszerne. Przyczynia się zapewne do tego obfitość drzewa, ale jeszcze więcéj miłość porządku, czystości i wygody. Izby przestronne — w każdéj chacie jedna izba osobna, niby gościnna, gdzie zazwyczaj stoi warstat tkacki; taki warsztat ma każda prawie rodzina.

W chacie utrzymane wszystko czysto, ułożone porządnie. Bydło nie mieszka razem z ludźmi, jak naprzykład w krakowskiem, ale pod osobnym dachem. Zagrody wszakże są przestronne, wygodne i dobrze utrzymywane; bo też mieszczą w sobie główny majątek górala.

Objechawszy nędzne galicyjskie osady, pod Tatrami dopiero pocieszyć się można. Wsie ogromne, ładne; chaty wielkie, piękne, nie rzadko domki murowane. Cała zagroda zapełniona budowlami porządnemi. A temczasem mieszkańcy tych wsi, tych chat, nie zbierają ze swojego pola jak kilkanaście korcy zarazem owsa i ziemniaków, a i to jeszcze

zły rok nieraz wyniszczy. Ale za to jest pracowitość, rządność, oszczędność, wstrzemięźliwość, przemysł.

Człowiek wiele niepożąda, obchodzi się jak najmniejszém, a pracuje jak najwięcéj. Karczmy w powszedni dzień stoją puste, jeżeli napełniają się w dni świąteczne to i w w ówczas przewodzi umiarkowanie. Niema zbytku w piciu, nie ma chałasu. Zabawa nacechowana pewną godnością; koszt jéj opędza się zwykle składką, którą w tym celu składają przytomni i chcący należeć do spólnéj biesiadki.

Znalazłem ten obyczaj bardzo ładnym i godnym powszechnego naśladowania przez wieśniaków innych okolic.

Nie dziw przeto, że górale mogą się uważać za jeden z ludów używających dobrego bytu. Oni przynajmniéj mają się za szczęśliwych na swojéj ziemi i dla tego bardzo ją kochają. Mówił mi jeden z nich: gdzieindziéj ziemia żyzniejsza, ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie tak zdrowe jak w górach. A gdy tak jest, co im szkodzi, że śniegi padają czasem w Czerwcu lub Sierpniu, że mrozy do 27 stopni po kilka tygodni trzymają, że zima ciągnie się przez całe sześć miesięcy.

Pasterstwo w Tatrach. — Pieśni pasterskie.

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć górala, jego życie i jego góry w porze pasterskiéj. W rzeczy saméj jest co widzieć. Ale w tedy pomijaj wioski i chaty, drzyj się po górach, szukaj miejsc najustronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy, bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz górala w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia. Tak ja robię od mojego tu powrotu z pod Tarnowa. Wynagradzam sobie czas stracony i mogę powiedzieć, że w części wynagrodziłem. Co przez ten czas uzbierałem, tego w zupełności słowa nie wydadzą. Podzielę się tém czém się podzielić mogę.

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizacyą; dłuższa zima w Tatrach niż w górach niższych; jałowość Tatrów a nawet w porze płodniejszéj rzadkość pastwisk czyli polan, zmuszają największą część Podhalan, szukać swojemu dobytkowi pożywienia letniego w oddaleńszych miejscach, w

przedgórzach; jest to konieczne dla handlu nabiałem a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla górali. Na ten cel każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, przedsiębierców niejako, trudniących się przez lato wyłącznie tym przemysłem; jednemu więc z nich, na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, robić sery i t. d.

Taki naczelny pasterz zowie się *Baca*. Ma on do pomocy w tem gospodartwie kilku lub kilkunastu pasterzy od niego zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią *Juhasami*. Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem paść powierzoną im trzodę, pilnować jéj, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, warzyć rzętycę, urządzać masło, robić sery i t. p.: — pod kierunkiem Bacy, który jest naczelnym wodzem Juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed właścicielami powierzonego mu dobytku.

Baca też zawiera umowy o polany, bądź z właścicielem jakiéj wsi, bądź z gromadą. Osnowa umowy jest zwykle ta, że mu wolno, jeżeli ma do czynienia z gromadą, wypasać swoję trzodę po wszystkich polach, łąkach i lasach, obrębie téj wsi; a po całéj własności prywatnéj, jeżeli ma do czynienia z pojedyńczym właścicielem.

Z resztą różne są rodzaje tych umów, stósowne do zabopólnego przyzwolenia obu stron.— Właściciel ma prawo oznaczać miejsca na koszary, czyli nocne stanowiska trzody; według tego jak chce sobie użyznić pewne miejsce nawozem trzody. Stosunek jest często kilkunasto- a nawet kilkadziesiąt-letni, dla tego, pośrodku podobnych wypasów stoi porządna, drewniana budowa; służy ona Bacy za dom. Juhasom za przytułek; tam nadto składają się wszelkie naczynia pasterskie, urządza się i przechowuje nabiał; jestto zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn, a nawet sklep handlowy.

Budynek ten zowie się bacówka — czasem szałas albo koliba. Jest on zwykle porządny, z dobrego i gładko obrobionego drzewa, jak wszystkie budowy góralów, o jednéj

lub dwu izbach, o jednych drzwiach, okien nie ma prawie żadnych.

Pośrodku bacówki leży wielki kamień, na którym rozniecą się ognisko, pod ścianami łóżka ze mchu i paproci; naczynia do nabiału lub z nabiałem są rozmieszczone po półkach lub rozwieszone po ścianach.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne; całym ich pokarmem chleb i nabiał, a głównie rzętyca, czyli przewarzona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszy, gęstszy i posilniejszy. Własność jéj lecząca z osłabienia ciała przez wycięczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Z początku sprawia rozwolnienie żołądka, ale po dniach kilku zaczyna wzmacniać i tuczyć. Psy pasterskie nie znają także innego pokarmu tylko rzętycę i mają się jak najlepiéj.

Niekiedy, wyjątkowo, wyprawiają sobie Juhasy pasterskie uczty. Dzień to zwykle świąteczny a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży w kieliszkach; wówczas przy śpiewach i muzyce ma téż miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć, przeniosłszy się myślą w kraj równie piękny, pod niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne. Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach Czerwca, a zamyka się w pierwszych dniach Września. Przez cały ten czas Podhale przedstawia widoki nieznane krajom równym, o których nie można mieć prawdziwego wyobrażenia, nie dotknąwszy ich własnemi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo, wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę. Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu Maja; za to téż objawia się od razu pełniéj, niż gdziekolwiek indziéj.

Roślinność przytłumiona długiém zimném, rozwija się w dwójnasób szybciéj i bujniéj; zaledwie można się postredz na jéj przejściu z martwoty do pełnego życia. Cała

okolica wychodzi od razu w swoim stroju świątecznym, jak kobieta ze swojéj gotowalni; uderza cię tém mocniéj, że nie musiałeś być świadkiem jéj ubierania się. W owych to dniach ostatnich Maja rozpoczyna się pasterska wędrówka górali, rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten prześliczny, podnosi jeszcze bardziéj młode życie przyrody. Miałem radość być świadkiem, a z miéjsca nieraz takiego, żem go ogarniał spojrzeniem w części jego najważniejszéj.

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu, z ciemnéj głębi Tatrów wysuwają się ciemne karawany, nierozpoznane jeszcze, powoli zbliżają się ku tobie, coraz wyraźniejsze, coraz ogromniejsze, w krótce kupią się wszystkie w dolinie, zalewają jéj przestrzeń, przesuwają się po niéj; zaczynasz rozróżniać w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naładowane różnemi sprzętami; po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi, w różnych kierunkach; każdy oddział zmierza ku przedgórzom aż póki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach; ale za to jutro widzisz już wszystkie góry, lasy, polany zaludnione trzodami; słyszysz ze wszystkich stron dzwonki zawieszone u szyi bydląt; zewsząd uderza cię granie fletów, skrzypcy; ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy i pasterek, a dzikie skały odpowiadają ich hukaniu.

W téj to porze trzeba poznać góry, a kto je tak pozna temu trudno niepokochać ich i późniéj nie tęsknić za niemi; tak ja przynajmniéj sądzę z tego, co sam doznaję.

Muzyka i taniec Góralów.

Obraz Podhalan w ogólności a wszczególności ich pasterstwa niebyłby zupełny, gdybym nie powiedział coś o ich muzyce i tańcu; muzyka i taniec są w ich życiu, są w chwilach pełniejszych czuciem, ruchem i wdziękiem, są więc ważną częścią jego życia, nieobojętnym rysem jego oblicza dwustronnego: wewnętrznego i zewnętrznego.

Narzędzia muzyczne najpowszechniejsze między góralami są: skrzypce, gęśl, bas, lira czyli kobza i dudy to

jest dwie piszczałki wprawione w miech z koziéj skóry: ale powszechniejsze są flety, piszczałki, fujarki i dudki rozmaitego rodzaju, nakoniec trąby pasterskie czyli ligawki. Skrzypce, basetla, gęśl stanowią muzykę więcéj domową, konieczną, gdzie są tańce: można jednak czasem usłyszeć skrzypce i gęśl w głębi gór najustronniejszych. Kobza i dudy są najczęściéj instrumentami śpiewaków żebrzących, muzyków błędnych. Najulubieńsze Juhasom i górom są ligawki i cała rodzina piszczałek. Ligawka służy Juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą: jéj to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia, ile się razy za nadto rozproszy i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcéj; głos jéj donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się jak żeby z ich piersi był wydobyty i dziwne robi wrażenie, a nawet bardzo miłe, kiedy się rozlegnie po głuszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach. Milsze są od niéj łagodniejszym dźwiękiem piszczałki.

Są one rozmaitego kształtu; zajął mię szczególniéj jeden rodzaj, jest to flet otwarty z obozu końców i ma tylko dwie dziurki dla dwóch palców, mimo to ma głos dziwnie miły i rozmaity. Wygrywano na nim jak najdokładniéj wszelki śpiew góralski.

Co się tyczy ich muzyki, skala jéj nie jest rozległa. Śpiewy ich są posępne, wysilone, przeciągłe, wyobrażają niejako bukanie z jego rozgłosem po górach. Jest w nich pewna jednotonność, dla tego uczenie się ich trudne; udało mi się jeden zrozumieć i zdaje mi się, iż wszystkie umiem. Mimo to słyszane między górami nie tylko że nie rażą, że nie męczą, przeciwnie ożywiają, porywają, zachwycają.

Równie trudno dać wyobrażenie o tańcu góralskim. W niektórych częściach przypomina on taniec Rusinów; ale ma jednę figurę, właściwą tylko góralom, kiedy góral zamknięty krążącém kołem taneczników, wyrabia na środku rozmaite skoki, a razem ciska raz po raz siekierkę w górę i chwyta ją w powietrzu zręcznością zadziwiającą.

Nadaje to jakiś męzki charakter tańcowi, przypomina wojenne tańce starożytnych. Muzyka tańca jest całkiem

oryginalna, niepodobna do żadnéj muzyki tego rodzaju; jest niby jednotonna, ale tak rozmaita, tak jakaś nieskończona, tak dzika w swojém tonowaniu, że mieszkańcy nawet od dawna między góralami wygrać jéj nie mogą. I rzadki jest ktoby tego w zupełności dokazał.

Nieraz, słuchając muzyki prostego ludu, żałowałem mocno, że nie będąc sam muzykiem, nie jestem zdolny zająć się zebraniem tych melodyi, a razem pragnąłem, aby się znaleźli tacy, którzyby temu zatrudnieniu poświęcili część swoich trudów i zdolności. Oddaliby przezto wielką przysługę mianowicie poetom i muzykom.

Nieocenione skarby czucia i prawdziwéj sztuki leżą w muzyce naszego ludu. Nigdzie téż może wielostronny jego charakter ogólny, nie maluje się wybitniéj w odcieniach swoich: każda nasza okolica ma w swoich melodyach właściwe sobie piętno.

Inny jest śpiew Litwina, inny Ukraińca, inny Mazura, inny Górala; inna skoczność Kołomyjki, a inna Kozaka lub Krakowiaka; smutek głębszy, melancholija niewysłowiona, lubo znajduje się na dnie śpiewu wszyskich prawie okolic, ale jak rozmaita, jak malująca oblicze swojéj ziemi i serce swoich mieszkańców; widzisz w muzyce dumki ukraińskiéj pola Ukrainy nieobejrzane, tęschne a coś w nich głęboko rozrzewniającego, widzisz w śpiewie Litwina jednotonnym, dzikim, puszcze szumiące wiecznym wiatrem, rozlegające się rykiem dzikich zwierząt; widzisz równie w muzyce Górala jego góry ludne echami, życiem trzód, tchnące całą swobodą nieugłaskaną przyrody i mieszkańca.

Muzyka ludu jest jednym z najzdrowszych zasiłków naszéj muzy sztucznéj, a muzyka ludów słowiańskich jest może pod tym względem najwyższa.

Wiadomo, że geniusz Mozarta niemało się zasilił melodyami słowiańskiemi, przesiąkł nawet niemi, ztąd ten urok dzieł jego, który mu daje wyższość nad największymi nowóczesnymi mistrzami.

Żupy solne w Wieliczce.

Świat zastósowany do pojęcia Młodzieży. A. Ż. Warszawa 1852.

Chociaż Europie nie zbywa na obfitych kopalniach soli kuchennéj, jak tego dowód mamy na Hiszpanii, Francyi, Szwajcaryi, Węgrzech i Sycylii, wszelako do najbogatszych należą żupy solne w Wieliczce, które są dla ludzkości, czemś użyteczniejszém nad złotodajne krainy Potozu i Kalifornii. O nich to jeden, już przed dwoma przeszło wiekami, badacz przyrodzenia powiedział: „Żupy solne Wieliczki, nie mniéj są sławne, jak piramidy egipskie; lecz od nich użyteczniejsze. Ostatnie, pomimo zdumiewającéj lecz jałowéj wysokości swojéj, daleko są niższe, od głębokiéj, a pokornéj żup użyteczności.“ Nie pierwszy to już przykład daje nam przyrodzenie, tego skromnego światełka pokory dobroczynnéj, co piękniéj jaśnieje od blasków czczéj pychy. Jakkolwiek te kopalnie od dawna i powszechnie są znane ze swojéj użyteczności; jednak początek ich wynalezienia, jak zwykle prawie wszystkich najpożyteczniejszych odkryć, ginie w mgle ciemnéj, co osiadła na dalekim widnokręgu przeszłości. Już za panowania Bolesława Krzywoustego, żupy wielickie nazwanie wielkich nosiły; chociaż dopiero pod panowaniem Kazimierza Wielkiego, odpowiednio do swéj obfitości urządzone zostały. Saliny te, głębokie na 180 sążni, dzielą się na trzy piętra, jedno nad drugiém wzniesione, z których każde składa się z długich i przestronych ulic, czyli kurytarzów, w twardéj kamiennéj soli wykutych, i w rozmaitym kierunku idących, jakich rozległość w przybliżony sposób obliczona, długości 1200, a szerokości około 600 sążni wynosić może. Wchodzi się do nich na pierwsze pod ziemią piętro, albo po wschodach około pięciuset stopni mających; lub téż spuszczając się na linie, która będąc znacznéj grubości, ma na sobie węzły, do jakich przywiązane są szleje, w których trzymając się liny, siedzą podróżnicy, mający na końcu dwóch lub trzech przewodników z kagańcami, a nad nimi górnika z laską w ręku, utrzymującego pionowy jéj kierunek, w oknie cembrzyną drewnianą

zabezpieczoném. Odgadujesz czytelniku, iż ta lina okręcona jest na walcu ogromnego kołowrotu, który się obraca za pomocą koni. Takim sposobem, w kilka minut dostaje się na pierwsze od poziomu piętro, o 30 blisko sążni pod niém leżące, z którego dopiero na dno najniższego, czyli trzeciego piętra, zstępuje się po wschodach, przeszło tysiąc stopni mających. Powietrze w tém podziemiu jest łagodne, świeże i zdrowe; dla tego też robotnicy, przy świetle kagańców codziennie po ośm godzin pracujący, zwykle późnego dochodzą wieku. Liczba ich stósowną bywa, do potrzeby wydobyć się mającéj soli; średnio oznaczyć ją można na 1300 ludzi, między którymi trzecią część stanowią górnicy żelazem robiący, resztę zaś składają robotnicy i rozmaici rzemieślnicy, których po dwóch się każdemu górnikowi dodaje; nadto, utrzymuje się tam około 50 koni roboczych, które powinność swą dobrze pełnią przez lat sześć lub siedm, nie doznając innéj szkody, oprócz utraty wzroku. Sól tu wydobywana, rozmaitych bywa przymiotów: mniéj czysta, koloru zielonego, leży bliżéj powierzchni ziemnéj, na pierwszym piętrze; pod jéj pokładami idzie czystsza, zwykle *szybikową* zwana, tém lepsza, im z większéj pochodzi głębokości. Nadto jest jeszcze trzeci gatunek soli, zupełnie przezroczystéj, noszącéj nazwanie *oczkowatéj*, zwykle mającéj kształt pięknych sześćściennych kryształów, z których się wyrabiają rozmaite drobiazgi, na pamiątkę odwiedzającym kopalnią służące. Ilość corocznie wydobywanéj soli, także jest rozmaita, i w niektórych latach półtora miliona centnarów przechodzi. Z miejscowych archiwów obliczono, iż tutejsze żupy solne, od czasu swego odkrycia, do roku 1812., wydały jéj w ogóle 550 milionów centnarów. Sól, albo odrywa się od masy sztukami, *ławy* lub *kłapcie* zwanemi, za pomocą drągów, klinów lub innych narzędzi żelaznych, albo też wysadza się minami prochowemi, które się w głębi pokładów wykuwają. Oderwane ławy, dzielą się na sztuki, i obrabiają w bałwany, kształt beczkowy mające; drobne zaś okruchy, pakują do beczek oddzielnych, solówkami i półsolówkami zwanych, które się po kolei na wyższe piętra, a następnie i na powierzchnię ziemi, za pomocą koło-

wrotów, przez konie obracanych wydobywają. Największą z przyrodzonych osobliwości téj kopalni, stanowi jezioro *Przykos* zwane, mające około siedmiu sążni głębokości, a pod poziomem na 90 blisko leżące. Powstaje ono ze zbioru strumyków, z powierzchni ziemskiéj tu przenikających, a dla ochrony robót górniczych, kanałami w jedno miejsce sprowadzonych. Ta żegluga podziemna, przy świetle pochodni, pod sklepieniem takoż kagańcami oświeconemi, ma szczególniejsze na wędrowcu wrażenie robić, chociaż w ogólności i lądowa pielgrzymka wśród ścian i słupów, z soli krystalicznéj wykutych, i od światła sztucznego migocących, nie mało w sobie powabu zawierać musi. Do téj krainy cienia przemysł z nieodstępnymi towarzyszami swoimi, próżnością i zbytkiem, wprowadziły zwyczaj wyprawiania zabaw dawanych w czasie pobytu znakomitych gości, w jaskiniach solnych, umyślnie na ten cel przeznaczonych, i jaśniejących tysiącami odbitego światła w kryształach, jakiemi ściany tych sal są osypane. Sądzimy jednak, iż muzyka i taniec nie wesoło, dziko odbijać muszą, na tém tle śmierci. O! w téj podziemnéj krainie, co jest polem ciężkiéj pracy, co uderza wspaniałością posępnego obrazu potęgi, i co jest razem pocieszającym dowodem nieskończonéj dobroci Stwórcy, inne przystoją uczucia! Tu, gdzie za zdmuchnieniem słabego światełka, niezawodna wędrowca oczekuje zguba, tu żyjący otoczony jest okropnością głodu, mimowolnie myślą się wznosi w dziedzinę wiecznéj światłości, w któréj przebywa Ten, w którym początek wszelkie światło bierze, Ten, którego dłoń hojna i potężna wszelkie dobrodziejstwo sypie, na wszelkie stworzenie. Tu się więc budzą w duszy widza uczucia religijne; tu się rodzić musi rzewna, serdeczna modlitwa, tu cześć należna Bogu, jako myśl najpierwsza nasuwać się musi. To też we wszystkich kopalniach, ślady materyalne takich uczuć religijnych, napotkać się dają; wszędy znajdziesz ółtarz, ku czci bóstwa poświęcony; chociażby to było w kraju, gdzie pracowity górnik, prawdziwego Boga jeszcze nie poznał. Dla tego też w salinach Wieliczki, szczególniejszą na siebie zwraca uwagę, na pierwszém piętrze kaplica ś. Antoniego w soli wykuta; ółtarz i wszelkie jego jak i całéj kaplicy

części i ozdoby z soli są wyrobione. A krzyż, godło zbawienia, co z jasnéj dnia dziedziny, w tę krainę nocy zstąpił, osobliwym blaskiem pociechy, jaśnieć tu musi. Światła, jaśniące w przybytku Pańskim, hymny ku czci Jego wznoszone, cichy poszept modłów, z wdzięcznego serca idących: oto są przedmioty godne jestestwa, czuć i myśleć umiejącego, a na ciężką pracę, co jest narzędziem jego zbawienia, skazanego. Badacze przyrodzenia, pokłady tutejszéj soli, uważają jako osad, złożony przez wody morskie, których obszerne zatoki, miały niegdyś zachodzić, aż między wysokie grzbiety Tatrów; jakie zdanie wspierają, znajdowane w glinie warstwy soli przedzielającéj, małże i konchy do tych podobne, jakie w piaskach morskich, napotykać się dają. Jest to dziw wielki, o cudownéj potędze wszechwładnego Pana świadczący, i również niepojęty jak ów, co się zawiera w podaniu o odkryciu tych salin, wśród ludu dotąd krążącém. Według niego, Ś. Kunegunda, żona Bolesława Wstydliwego, zostawszy jemu zaślubiona w r. 1239, cudownym sposobem te żupy solne odkryła. Zaślubiając tego monarchę, prosiła ojca swego Belę IV. króla węgierkiego, aby nie dawał jéj posagu w złocie i srebrze, ale w tém, coby równie bogatym jak ubogim użyteczne być mogło. Gdy ojciec uznał słuszność téj prośby, ś. Kunegunda pojechała do żup węgierskich, i do nich ślubną wrzuciła obrączkę. Przybywszy potém do Krakowa, udała się do Wieliczki; a gdy tamże z jéj rozkazu, ziemię kopać zaczęto, znaleziono w niéj sól, tak dla wszystkich dziś przydatną, a w pierwszéj jéj bryle, obrączkę królowéj. W taki to sposób, lud bogobojny tłómaczy początek, wielu pomyślnych dla ludzkości wydarzeń, w których mędrzec materyalista, widzi dzieło jakiegoś nie mądrego przypadku, którego sam nie pojmuje, lub jakieś urojone wymyśla baśnie, nadając im barwę, pyłem wieków przysypanéj przeszłości. Nie trudne do wyboru jest tu pierwszeństwo, jakie przyznaćby należało, jednemu z dwóch tak odmiennych sposobów pojmowania rzeczy; bo skromną a prawdziwą szlachetność, każde poczciwe serce postawi wyżéj, a niżeli dumną próżność, co niewdzięczna, czuć nie umie dobrodziejstw, z jakich jednak korzysta. Wszyscy téż wiemy, do jak wielkich dobrodziejstw dla człowieka sól na-

leży. Najwykwintniejszy w zbytku bogacz, bez niéj się nie obędzie, i najuboższy nędzarz, w niéj znajduje również dlań pożądaną, a nieraz i jedyną przyprawę, lichéj swéj strawy, na którą w pocie czoła pracować musi; sól więc dla jednego jak i dla drugiego, jednakową robi przysługę: jednemu i drugiemu przyczynia równejże przyjemności, pochodzącéj z zaspokojenia potrzeby. Sam Mistrz nasz boski, pokazuje nam już wartość tego daru, posłannictwo swych najpierwszych uczniów roznoszących największe dla ludzkości dobro, świętą naukę miłości, przyrównywając do przeznaczenia soli, i nazywając ich solą ziemi. W rozdziale téż tego daru wśród ziemi, Opatrzną widzimy rękę. Pasmo Karpatów, stanowiących trudną do przebycia zaporę pomiędzy ludami, po obu swych stronach, hojnym pokładem soli opatrzone zostało; albowiem hrabstwo Marmarosz w Węgrzech, posiada takoż bogate saliny. Nadto, ten rozdział, tak potrzebnego do życia przedmiotu, zdaje się dowodzić téj prawdy, iż obfitość daru, zastósowana jest do charakteru obdarzonego: im lud jest gościnniejszy, im chętniéj przyjmuje przychodnia, tym obfitsze ma kopalnie soli. W Europie nie ma bogatszych nad Wieliczkę; bo téż nad pokolenia słowiańskie, nie było innych więcéj z gościnności słynących. Oni to przyjmując gościa, na chleb i sól go zapraszają, stawiając je zaraz na stole; jakby chcieli pokazać, że najpierwszemi potrzebami życia, podzielić się z nim gotowi.

Widok z Wawelu.

Przez J. Kremera.

Czy znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czy wpatrywałeś się kiedy w ten obraz pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste w swych szatach niedzielnych przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jéj téż dobrze i ładnie w tych sukniach świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w serce zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie

się splatają powaby rozmaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry czarnym borem poważne, i wzgórza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wytężone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porozrzucane — kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łanów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów. — Osiadły też tu ciżbą i wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełném sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię darami swojemi, żebyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jednę jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry i ludzie i dzwony śpiewają weselem; ale już primadonną téj wielkiéj opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swojemi nuci nam tę samą, jéj niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoję. Ona też jest królową obrazu; długim, posuwistym tanem zwija się poważnie, uroczysto, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Baltyku pospiesza w jego objęcia. W dali, kędy już niebo schyla się ku ziemi, srebrzą się niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i wedle łaski swéj wypuszczają na nas to pogody i słoty, to burze i powódź, susze i grady; atoli zdradza je własne ich dziecko, bo gdy nam jakie biedy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki góral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy, a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głuche, samotne. —

Bo też dzień cały był pochmurny, posępny, i od rana już płakał deszczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo jakieś nie rade, rozwlekło po sobie jedno-

stajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna, płynęła z niechcenia, a ziemia w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszydła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów, niekiedy przebiegały Wisłę, i mieszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk, palących się na galarach. Cała natura, ziemia i niebo zakopane. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe, jakby chore dziecię; co dalsze, zachuchane, a odległość ostatnia zalewała się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepł. Widok zwyczajnie tak szeroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda z osobna siebie tylko widząc, w sobie się kurczyła, na sobie przestawała samolubnie, i wolała być ułomkiem biednym, niż częścią wielkiéj całości. Dwie osiłki podemną potrząsając obwisłém liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą, niby dwie kwaśne kumy o kłopotach domowych — a tam ku biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane, stoi jednostajnie sprzykrzone i ckliwe. Niekiedy, gdy zkądsiś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszéj, ta szumiąc, obruszyła się i pochyliła ku drugiéj i szepła, a ta następnéj, a tak daléj i daléj w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zahuczał, kropnął, pochylił się, szepnął, zamruczał i znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Niedaleko odemnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dąsając się, milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowéj srebrnym głosem zadrżał w sobie tęsknie, przeciągło wywołał konającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony, niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrém powietrzu na wsze strony, lecz ociężałém i zamoczoném piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wisły, inne zapewne musiały dolecieć nad miasto i przebudzić drzemiące tam zegary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziewła i odstękała godziny swoje, a głos jéj tak pła-

czliwy, przewlokły i chrapiący, iż znać, że jéj w dwójnasób ckliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swojego, wiernego małżonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle też ona do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości jego złożone są u stóp jéj. W tém dzwonnica maryacka, kompana jéj z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym dzwonem, pocieszając wdowę, raz jeszcze odpowiedziała szlochami Ratuszowa, raz jeszcze Maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchałem się dniem i nocą tych wież rozmowom, nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak jękliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w téj chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dąsające się, osowiałe i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; podobno myślałem, coby w tym liście napisać i jakby wedle przyrzeczenia mojego, najwyraźniéj wyłożyć stosunek sztuk do rzeczywistości, gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spojrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś osobliwego się święciło, spojrzałem na niebo, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś to był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopczyna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziecię smutne i ciche; lecz gdy wieczorem chłopczyna do pacierza i snu się zabiera, matka żegnając ulubieńca, przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, dziecię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśliwione usypia, marząc o aniołkach, o kwiatkach i raju; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spojrzało na ziemię i odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując, niby jaki świat w płomieniach. Opłynęły je wielkiém półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiéj stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta napowie-

trzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkiemi tęczy barwami; a z dala ciekawie przypływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiéj strony zalane głębokiém cieniem miedzianém, ciągnąc za sobą długie, wązkie chmur smugi. Tu i owdzie, po przez rozstąpione obłoki, na najwyższym nieba stropie zatliły się już bladém światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia wtorując jéj chórem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech: przebudzone jéj barwy roztuliły oczy, patrząc się jasném, czystém spojrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonéj opony, rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jednę wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiém stopniowaniem rozprysła się po przestrzeni bezmiernéj; światło odgrywało tu całą gammę swych tonów, bo zaczynając w najbliższych miejscach, uderzało z razu w silne światła i niskie a potężne cienie, a oddalając się, przechodziło w tony wyższe, gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu oblewało drżącém, łagodném promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona szeroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, i żeś ją wskróś przejrzał i w zawrotnéj głębi przeciwnożne niebo w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem, i odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stanąłem zadumany, porównywając czarodziejstwo téj natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami. Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak doczesność do wieczności, jak biedny nasz żywot do rajskich roskoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiewów anielskich, -- jak chłodna proza do poezyi cudów, jak *rzeczywistość do sztuki.*

Obraz puszczy.

Przez K. Wł. Wojcickiego. Warszawa 1856.

Nie znacie tych puszcz wielkich, jakie ja w latach młodych zapamiętam! Jechałeś dwa i trzy dni ciągle, zanim się wydobyłeś z tych kniei pełnych grubego zwierza, cienia i chłodu, wśród spiekoty letniéj. Jakiżto był czerwony widok, gdy po zachodzie słonka, księżyc nie zakryty chmurą przyświecał: jakieżto fantastyczne obrazy widziałeś, patrząc na olbrzymi cień ogromnych lip, dębów, sosen, jodeł rozłożystych, jaworów i klonów! A gdy zaszedł chmurą, ponury cień nocy otaczał się w około. Wtedy mimowoli nadlatywały ci i roiły się w głowie, owe straszne powieści o okrutnych rozbójnikach niesytych złota, ale krwi pragnących. I wyglądałeś z trwogą tajemną, czy rychło z poza pnia olbrzymiego dębu albo sosny, nieukaże się przerażającéj postaci zbójca, co wywijając maczugą ciężką, obdarłszy ze wszystkiego coś posiadał, nie zagraża twemu życiu. Ale wśród dnia jasnego inna tych puszczy była postać. Ze skwaru letniego, wchodziłeś pod zielone sklepienie olbrzymich konarów, to liściastych kilkowiecznych dębów, rozsochatych klonów, jaworów, gęstych lip, płaczących brzóz, to drżącéj osiczyny, lub smukłych modrzewi, jedliny i owéj domowéj sosny. Pierś twa oddychała inném powietrzem: balzamiczna woń, rozkoszna, nie paląca żarem, ale chłodząca miłym chłodem, orzeźwiała za każdym oddechem, i biegłeś daléj i daléj w tę cudną ustroń, co dawała ci równe życie, co chroniła przed skwarem słonecznym, pod którym pola i niwy były jak step puste, bo żaden ptak nie rozweselił twojego słuchu: nawet przyrosły do miedzy skowronek pod ziemną grudką skulony z otwartym dzióbkiem, szukał ochrony przed upałem nieznośnym. A tu w puszczy cień rozkoszny, pełno gwaru i śpiewu. Kos poświstuje, żołna z dzięciołem skacząc po pniach i konarach olbrzymów leśnych, kując w korę, łączą swe głosy; pokrzyk żórawi na wyżarach, świegotanie drobnego ptastwa, łączyły się z lekkim szmerem liści, z łomotem łamanych gałęzi w przebiegu sarn, jeleni, niedźwiedzi, dzików i zgłodniałych wilków.

Biegłeś daléj pod coraz cienistsze sklepienia; puszcza jeżeli rzedniała, uraczyła cię widowiskiem obszernego jeziora, to łąk bujnych, lub błot napoły wyschłych, stolicy czapli, żórawi, kaczek, bekasów i reszty błotnego ptastwa.

Z jeziora i z tych błot wyrywały się tysiącami stada spłoszone i chmurą zaciemniały słońce, co tu więcéj przyświecało; a pokrzykiem zwiastowały swój ciąg gęsty jak chmury.

A daléj wchodziłeś w tajniki puszczy, owe ustronia prawdziwie odwiecznych lasów, gdzie promień słońca od wieków nie mógł się przedrzeć nawet jednym promykiem. Dziwny a cudny to widok! Niebotyczne dęby, potężne sosny z modrzewiem, wybujałe lipy, jawory, klony i olchy, podawały sobie wzajem liściaste i iglaste a zielone wiecznie konary, i tam wysoko, zaledwie dojrzane okiem opasywały wieńcem swoim ulubioną ustroń leśną, strzegąc zimą i latem, aby téj ustroni światło słoneczne nie ogorzało, nie błysnęło nigdy, bo tylko dniowa przymroczona jasność słabo rozwidnia przedmioty; to też gdy tu stąpisz, musisz długo wzrok natężać, zanim przyzwyczaisz go do téj dziwnéj ciemni, a szczególny rozwijącéj urok dokoła.

Inna tu zieloność, inna tu trawa i mech inny: a chłód tak zimny, przejmujący, jakbyś wchodził w pieczary Ojcowskie albo Olsztyńską jaskinię.

Są to prawdziwie dziewicze ostępy puszczy: tu jeszcze cios siekiery od wieków nie naznaczył żadnego drzewa, tu przemyślny węglarz, ani smolarz, nie okopcił je dymem, tu strzał chciwego myśliwca słabym zaledwie odbije echem i skona u podnóża téj ustroni, a granie gończych i trąbki łowieckiéj zaledwie czasem z oddali rosa na swoich kryształowych kroplach przyniesie, jakby gwar cichy, zmięszany.

Cóż to za spokój majestatyczny, jakiż chłód lodowy, jakaż swoboda oddechu, jakaż roskosz samotności! Napawasz się tym cudownym widokiem, a oczarowany, zdumiony, uroczo czujesz całą pełność, całą poezyą życia, jego roskosz, choć sam jesteś, choć myśli zebrać nie możesz. O! tu każdy musi być poetą; w obec téj ciszy, tego milczenia, które czasem przerywa w górze nad twoją głową szum

wierzchołków pochylanych wiatrem i drżących liści; sam w obec Boga korzysz się przed jego wielkością, potęgą, w obec obrazu wspaniałego, co go ani okiem nie tak rychło obejmiesz, ani stanie ci dosyć podziwu ku wielbieniu ogromu. Tam nie wiesz, czy stąpić daléj, czy stać w miejscu i przeglądać szczegóły ostępu, coraz więcéj budzące zachwytu.

Burza zdala nadpływa, daleki grzmot zapowiada ją, a prześwistująca dniowa jasność w ostępie ciemnieje coraz, i nagle w około noc czarna zapada. Ponad twą głową szum straszny objawia ci siłę wichury, co uderza całą piersią o wierzchołki olbrzymów leśnych, strzegących ustroń w około.

Lunęła ulewa, poznajesz ją tylko po szczególnym rozgłosie, bo tu żadna kropla nie pada. Grzmot jakby stu dział wtoruje ciągle poświstowi burzy i pluskowi ulewy. Nagle w téj ciemnicy zaczęły migać gdzie niegdzie ogniki drobne jak robaszki świecące, błyskawice, co przebić nie mogły zielonego a gęstego namiotu, rozbitego ręką Boga.

A czegoś zadrżał? W górze nie łoskot to grzmotu; to huk piorunu, co przygłuszył i wycie wichru i wszystkie rozgłosy dziwne. Łomot straszliwy, trzask jakby pękających; i silną dłonią łamanych, druzgotanych gałęzi: huk okropny — aż zadrżała ziemia pod twemi nogami, aż zatrzęsły się w posadach swoich wszystkie w około drzewa, i zaraz płomienisty potok oświeca widnie całą ciemnicę. Spływa on po pniu ogromnego dębu, pruje na nim odwieczną, mszystą korę, i jak ognisty wodospad od wierzchołka do korzeni światłem rażącém, silniéjszém jak promień słońca ogarnia, rozświeca, a po chwili gaśnie. To grom, co uderzył w najwyższego olbrzyma leśnego: on ugiął na chwilę kark dumny, ale zaraz potrząsnął głową, odrzucił zgruchotane konary, i jęknął zachwiany nieco, patrząc na głęboką bruzdę w ciele swojém, co mu piorun na długie lata, ognistym lemieszem wyorał.

Na barkach wichrowych niesiona płynie daléj burza, okolona wieńcem błyskawic, poprzedzona grzmotem, a co chwila jaśniejąca płomienistym piorunem. Stoisz zdumiały,

przerażony; nic nie widzisz, bo ten jaskrawy płomień gromu, co rozkrawał korę dębu, olśnił się potokiem światła, do którego oczy ludzkie nie nawykły. Ślepota chwilowa, czarnemi kołami wzrok zaciemnia. Straszna noc w około otacza. Huczny grzmot, co nad głową głosi burzę, bicie piorunów w oddali, błyski silne, to zdaje się lekki szmer tylko, w porównaniu tego, coś widział i słyszał. Widziałeś o trzydzieści kroków w całéj wspaniałości potok ognisty piorunu, co jak wąż kłębami światła uścisnął dąb olbrzymi; słyszałeś łoskot, którego na żadném polu bitwy powtórzenia ucho twoje nie zachwyci; widziałeś siłę tego gromu, i zapas z potężnym dziedzicem puszczy.

Przewiała burza, a rozbujane wierzchołki szumią jeszcze po dawnemu, i drży liście jakby z przestrachu.

Zwolna twój wzrok zaczyna rozpoznawać przedmioty; znowu widzi ostęp zaciemniony, prześwistujący gdzieniegdzie dzienną jasnością, i żadnéj zmiany nie widzisz, prócz rozrzuconych gałęzi przy pniu rażonego dębu piorunem, i lecących jeszcze z góry zielonych liści.

Wychodzisz z ciemnéj ustroni: — jakież spustoszenie przyniosła burza téj lesistéj kniei! Jeziora wezbrały wodę, błota wysuszone znikły, bo je potoki zalewają ciągłe: wichura dużo nakładła pokosem starodrzewu, suche ścieżki zmienione w bystre strumienie. Z ciszy grobowéj przechodzisz w gwar leśny, szum potoków, śpiew ptaków, co się suszą pod promieniem słońca. I zaczarowany, jakby we śnie przypominasz sobie ten cudowny ostęp, gdzie taka cichość, taka uchrona przed burzą, gdzie drzewa szydzą z potęgi gromów.

Takie ostępy dziewicze znalazłeś nierzadko w puszczach za méj pamięci, gdziem gonił konno resztki kłusujących łosi, gdzie polowaliśmy na dziki, wilki i przerzedzone już niedźwiedzie!

Cóż to były za czasy szczęśliwe, co za życie roskoszne! Jakież uczty smakowite i wyborne w kniei, po całodziennym trudzie, usiadłszy w okół ogniska, patrząc na zatknięte na drewnianym rożnie pieczenie sarnie, dzicze, lub dzikie ptastwo do hojnéj wieczerzy. Zielony, liściasty dach był doskonałym namiotem, mech i liście wykwintném

łożem, woda ze strugi smakowitym węgrzynem; a płomień ogniska, nieraz dymnego, zastąpił marmurowe kominki lub kaflane piece: kłoda sosny i dębu, wybornie obsłużyła wygodny fotel. A co za gwar wesoły, jaka ochocza pogawędka, jaka sercowa radość: o! bo wtedy aniół młodości klaskał w białe dłonie z uśmiechem szczęścia, a zasypywał oczy garściami woniejących kwiatów, aby nie patrzyły w przyszłość, nie zawsze radosną, lecz czasami smutną, bolesną i łzawą!

Zawieja śnieżna na Podolu.

Przez Kaczkowskiego.

Kto nie był nigdy na Podolu śród tęgiéj zimy i nie widział choć z daleka nadciągających zwykle przed zmrokiem tych stepowych orkanów, które jak gdyby ptaki zrywają się ze ziemi i potém pędzą z całą wściekłością dzikiego elementu przez step, nie stawiający im nigdzie zapory, ten sobie nie będzie umiał nawet wyobrazić, jaka burza zdybała Racibora w połowie drogi. Było to bowiem coś takiego, przeciwko czemu wszystkie najwścieklejsze niepogody innych okolic, zaledwie się mogą nazwać zabawką rozdrażnionéj przyrody. Tam ze stron wszystkich od razu zerwały się najwścieklejsze orkany i od razu zaczęły swoję grę piekielną na stepie. Patrząc na to, nie można było widzieć, co to się dzieje; w okamgnieniu bowiem zrobiło się ciemno do koła, ziemia zdawała się drżeć i trząść od przestrachu, szum i świst przeraźliwy dawał się słyszeć nad głową a z dala dochodziły uszy jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy niesłyszanych harmonii, jak gdyby tam gdzieś zapadało się niebo, pękała ziemia i otwierały się paszcze piekieł podziemnych. Tymczasem tutaj wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą; gdzieindziéj stawały słupy śnieżne, kręcące się w koło jakby trąby morskie i sięgające do nieba, a tam znowu wicher wyrywał śnieg aż ze skorupą ziemi, i z zamarzniętemi grudkami piasku niósł go światami. W téj też chwili było tak, że woźnica koni nie widział przed sobą, a Racibor nie widział woźnicy, czasem cała zaspa śniegu

upadła pomiędzy nich obudwóch do sani, czasem cała góra biała gdyby upiór powstający z ziemi, stanęła nagle przed końmi. Ale pomimo to, konie parły naprzód ze wszystkiéj siły, rysak pruł śnieg przed sobą łbem i piersiami i zdawał się płynąć po wierzchu śniegu, siwy w ciągłych szczupakach, to wskakiwał w głąb téj drogi puchowéj, to wyskakiwał znowu na wierzch, a sanie rączo pomykały się naprzód.

Pomimo to wszakże, iż jazda zdawała się im iść dosyć rączo, zaledwie może ćwierć mili ujechali wśród tych wściekających się wichrów i zamieci, obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie! nie dobrze; kto wie, co tu będzie?

Przerażony tą uwagą Racibor, podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzeć na konie, ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwym świstem, padła prosto na nich i na konie, nie widząc tedy nic prawie Racibor spytał tylko:

— Ale wiesz przynajmniéj, gdzie jesteś?

— Powinniśmy być teraz na Grafowskiéj granicy, bo oto dopiero co błysnęła mi po prawéj stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami — odpowiedział kłapiący zębami Ostafi.

— To przeżegnaj się mój Ostafi i ruszaj!

Ostafi też ruszył lejcami, zagadał po swojemu do koni i znowu parł naprzód, a burza wyła coraz wściekléj i groźniéj i zaczął zmrok już zapadać powoli. Chwilami też robiło się tak ciemno, jak śród nocy i nie było widać nawet ręki trzymanéj przed nosem. Ujechawszy tak znowu jakąś przestrzeń niewielką, jeszcze raz się obejrzał i rzekł:

— Panie! źle!

— Cóż znowu? — zapytał Racibor głosem słabym i zachrypniętym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śnieg coraz suchszy i słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co jeno nie ustanie — odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i wio! — krzyknął z przerażeniem Racibor, — nie da Bóg zginąć dobrym ludziom tak marnie.

— W imię Ojca i Syna! zaszeptał Ostafi i kuląc się coraz niżéj na koźle ruszał ile jeszcze miał siły. A orkany wściekały się jeszcze groźniéj, bałwany śniegu, marznącego w powietrzu, z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wierzchu i podczas kiedy w górze było słychać piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących z skrzypiącym szumem, jakby jakieś okręty powietrzne, dołem mróz chwytał ognisty, oddech zamarzał w gardle, przeciskał się aż do kości, zasklepiał oczy. Racibor widział, że źle jest i czuł, że sanie ciągną się coraz powoléj i zdawało mu się, że nawet ustają chwilami. I chciał pomyśleć o tém, coby tu zrobić, ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do siebie, oczy się nie mogły otwierać a coraz mocniejsza senność opadała całe ciało jego; od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed saniami po prawéj stronie wzniesiony łeb siwego konia i zdawało mu się słyszeć jego parskanie.

Aż téż w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan marznących śniegów z szatańską mocą uderzył w statek i zdawało się, że konie stanęły. Racibor się podniósł i patrzał przed siebie, lecz nie mógł nic widzieć, bo śnieg gęsty miótł na poprzek sani i coraz bardziéj ciemniało na dworze. Nareszcie nagle przedarły się z przerażającym rykiem chmury nad jego głową, promień jaśniejszego cokolwiek światła padł prosto na sanie i tyle tylko oczy Racibora oświecił, iż mógł dojrzeć wyraźnie, że rysak leżał wyciągnięty przed saniami i śnieg go już przez połowę zasypał, koń siwy rwał się z całą wściekłością i stawał dęba naprzeciw wichrom a Ostafi stał po pas w śniegu nad tonącym coraz głębiéj rysiakiem, i skostniałą rękę ze skórzaną nahajką trzymając w powietrzu, szklannemi oczyma patrzał na straconą ostateczną nadzieję. Ale przytém wszystkiém zdawało się Raciborowi, że w tym chwilowym błysku światła, widział tuż o sto kroków przed sobą grupę drzew i pałac Kamilli, któren wszakże w mgnieniu oka zasłoniła przed nim czarna przeciągająca chmura.

Na ten widok reszta krwi niezastygłéj zbiegła mu się do serca, wściekła rozpacz zaglądnęła mu w oczy, lecz

przecie jeszcze tyle miał przytomności, że zlazł ze sani i zawołał:

— Ostafi! co to jest?

— To śmierć, panie, — wyszeptał Ostafi zamarzniętym głosem a w tém wichr mroźny wionął mu w same oczy, przejął całe ciało jego do kości; Ostafi zakrzepł tak stojąc po pas w śniegu, z oczyma patrzącemi na leżącego rysaka i z prawą ręką, wyciągniętą nad jego trupem.

Widząc to, rzucił się Racibor ku niemu i brnąc przez śniegi, dobił się na koniec do niego, wołał i trącał go ręką, ale Ostafi nie odpowiedział już nic, bo w jego piersiach już nie było oddechu, i był to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz i zimny jak bryła lodu, wyobrażająca całego człowieka.

Rozpacz jeszcze głębsza chwyciła Racibora, stanął on, patrzał przed siebie i chciał myśleć, lecz nie mógł, bo coraz wścieklejsze orkany biły prosto w twarz jego, oddech zamarzł mu na ustach i członki kostniały coraz mocniéj, i Racibor sam sobie powtórzył w duszy: To śmierć!

A tymczasem koń siwy, szamocąc się coraz słabiéj przy saniach, rzucił się raz jeszcze z rozpaczliwą wściekłością i z przerażającym jękiem runął na swego towarzysza, przysypanego prawie już całkiem śniegami.

Racibor chciał się obrócić raz jeszcze ku saniom, chciał wziąść worek ze złotem i puścić się pieszo w dalszą drogę, ale już członki jego, zmęczone dziewięciodniową bezsennością i pracą, a teraz zakrzepłe w śniegu i w mroźnych zamieciach, odmówiły mu swojéj usługi. W téj ostatniéj rozpaczy złożył on ręce, oczy podniósł w górę i chciał się modlić do Boga o pomoc, chciał resztę życia ofiarować swojemu Stwórcy za jedną godzinę przytomności i siły, — ale modlitwa mu zamarła na ustach i mózg zlodowaciał pod czaszką. A w tém znowu rozdarły się czarne chmury nad jego głową i znowu błysk światła oświecił wzrok jego, i znowu zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą pałac Kamilli, ludzi dojrzał na ganku, światełka migały w oknach.... Ale to był ostatni już widok za życia. W momencie bowiem ryk okropny dał się słyszeć nad nim, fala lodowatego śniegu uderzyła go w twarz, oczy obciągnęły

się lodowatą skorupą i ostatnia krwi kropla przy sercu zastygła. Bez oporu też i bez jęku skostniał on pod tą falą okropną, — a w tém uderzyła druga fala i trzecia i dziesiąta i w kilku minutach potém stanęła nad temi trupami tylko wielka śnieżna mogiła, na której poczęły hulać wichry stepowe, śpiewając i świszcząc najdzikszemi tonami jakąś piekielną harmoniję.

Sahara.

Przez Dra. T. Tripplina.

Saharo! straszliwa puszczo, przedmiocie ciekawości wieków, grobie tylu ludzi, którzy dla dogodzenia jéj poświęcili życie, już usługami światu pożytecznemi wsławione, uzacnione! Saharo! ty i mojéj ciekawości celem jesteś od dawna; ale nie było mi dotąd daném stąpać po twoich gorejących piaskach: powietrze tylko niemi rozognione; owiewało skronie moje, i rozpalało wyobraźnię, podnieconą obrazami przyrody Afrykańskiéj, gdym błąkał się po stepach bliskiego Atlasu.

Saharo, odwieczny sfinksie! ani twe piekielne żary, ani chłonące odmęty piasku, ani czaszki ludzkie po twoim przestworze gęsto rozsiane, ani głody i pragnienia nie odstraszyły cierpliwości, chciwych zysku wrażeń i wiedzy śmiertelnych; co dzień przyciągasz bazyliszkowém wzrokiem twoim umysły uczonych podróżników, pragnących zapisać imię swoje w księgę zawsze łudzącéj, a częstokroć zwodniczéj sławy. Im częściéj jesteś grobem szlachetnych poszukiwań, tém częściéj stajesz się kolebką nowych jeszcze szlachetniejszych.

Saharo! owe białe spiekłe szkielety, które, twoje huragany co chwila odkopują, w proch zamieniają lub w otchłani pogrążają; owe białe straszne szkielety, w których niegdyś przebywało czucie, ruch i myśl nawet, a myśl szlachetna tak często, dowodem są najświetniejszym cierpliwości, wielkości przyrody ludzkiéj. Sahara, po arabsku *Es-Sahara*, pustynia, — *Bahar-Bila-Ma*, morze bez wody, rozległą jest okolicą Afryki środkowéj, wielką jak trzecia część całéj Europy, zajmującą całe terrytoryjum, położone między

Oceanem Atlantyckim na zachód, Egiptem i Nubiją na wschód, państwem Barbaresków na północ, Senegambiją i Nigrycyją na południe, rozciąga się od wschodu na zachód na 5,000 werszt przynajmniéj, a na 2,000 werszt od północy na południe; w niektórych miejscach na 1,500 tylko, w innych znowu na 2,500; a ze wszystkiem zajmuje przeszło milijon werszt kwadratowych przestrzeni, pomiędzy 15 a 30 stopniem szerokości północnéj. Z najświeższych badań, powziętych o téj rozległéj przestrzeni ziemi wykazuje się jak najjaśniéj, że nie tworzy w zupełności pustyni piasczystéj, jak wprzódy mniemano, i jak można wnioskować z kart jeograficznych, dotychczas upowszechnionych; lecz składa się z równin piasczystych, przerzniętych grzbietami skał, nie wysoko bardzo wyniesionemi, pagórkami i ziemiami urodzajnemi. Prąd wiatrów peryjodycznie wiejących, unosi piaski z wschodu na zachód, — z wschodnich okolic puszczy ustępują piaski, pozostaje na nich pokład kamienia wapiennego, z którego kopaniem lub wierceniem nadzwyczaj łatwo wydobyć najwyborniejszą wodę. Już téj łatwości ani śladu w częściach średnich; w zachodniéj okolicy zaś rozkiełznane wiatry bezprzestannie prawie zarywają głębie, wznoszą tumany drobnego a gęstego piasku, pagórki, wały i góry piasczyste piętrzą się i w oka mgnieniu znikają, nie ma tam źródeł w tych skwarnych, zgubnych krainach, a we wielkiéj głębokości wykopane studnie, wydają tylko wodę brudną i słoną.

Ale i téj krainy głodu i śmierci Bóg nie opuścił zupełnie, i nie chciał jéj pozostawić bez swéj opieki.

W niektórych okolicach téj smutnéj puszczy, wykwitają z pośród ziemi, piasków i śmierci zielone wałem kamiennym od uraganu osłonięte oazy. Według najnowszych spostrzeżeń wynaleziono ich i oznaczono na obszar milijon werstowy czterdzieści i trzy, z których tylko dwadzieścia i jeden przez ludzi zamieszkałych. Są to małe wysepki na ogromnym oceanie, na którym ani parą, ani żaglem, ani wiosłami nigdy człowiek pływać nie będzie, na którym i aronauta, żeby i najlepszym unoszony gazem, wytrwać nie zdoła nigdy, z przyczyny sprężystości wysokiego cieplika.

Prawie wszystkie zamieszkałe oazy położone są w stronie wschodniéj i średniéj Sahary. Oazy zachodnie są po największéj części bagnistemi ziemiami, obfitującemi tylko w zgniłą wodę i w rośliny nie wydające owoców.

Z któréjkolwiek wstępujesz strony do Sahary, w chodzić w nią musisz z góry na dół, by dojść do jéj obszerności jądra. Dzienną porą dokuczy ci mocny skwar ciepła, nocną zaś marzniesz prawie! Pobyt w puszczy najokropniejszym przejmuje postrachem, zwłaszcza gdy niestały uragan lub perjodyczny *simuhu* mordercze swe skrzydła roztoczy; wówczas biada wam ludzie! biada ci karawano całkowita! będziecie pochłonieni przez stumanione piaski lub też zaduszeni przez skwary. Innym powodem męczarni dla podróżnika są owe uludy, *serab* zwane przez Arabów, a przez Francuzów *mirage*. Widzisz przed sobą w piekielnym skwarze, gdy ci przysechł język do podniebienia, i gdy się palą piaski pod stopami twemi, widzisz jeziora rzeki i ogrody kwieciste, a wszystko pierzcha gdy się do niego zbliżasz, a nic nie istnieje wcale, tylko w uludzie twego spragnionego oka. Bóg wie, jakie okolice, o tysiąc mil stąd leżące, powietrze rozgrzane odbija tu jak w zwierciedle: może to twoich rodzinnych zagród obrazy; żegnaj się z niemi, zapewne nigdy do nich nie wrócisz.

Rzadko tu doznasz dobrodziejstwa, a w stronie zachodniéj nigdy, bo tu wroga twego, słońca, spadają promienie jak ogniste miecze, i w samym zarodzie każdą rozszarpują chmurkę. A cichość nieznośniejsza, niż wszystkie ryki rozhukanych oceanów, panuje tu prawie ciągle w téj straszliwéj puszczy, i chyba ją przerwą wycia zajadłych do wściekłości hyjen.

Pomimo niebezpieczeństw Sahary morze piaszczyste regularnie jest przebiegane we wszystkich kierunkach przez kupieckie karawany, dostarczające nam, tu do naszego kraju wielu artykułów, o których może nam się ani śni, że z tak wielkim znojem i ważeniem życia są sprowadzone, naprzykład: piasek złoty malarski, koszenilla karminowa, kość słoniowa, i różne lekarstwa, zwłaszcza gummy.

Karawana.

Przez Dra. T. Tripplina.

Trzy dni pogody, odpoczynku i wygodnych przechadzek znudziły mnie, już zacząłem tęsknić do moich dawniejszych wędrówek, pełnych niebezpieczeństw, a więc i wrażeń; gdy gęste obłoczki wznoszące się nad ziemią na południowym krańcu horyzontu, zapowiedziały jakiś szczególny przypadek, jakieś może nowe niebezpieczeństwo, nową rozrywkę, nową rozkosz. Spojrzałem na wielbłądy, były nieruchome, wniosłem z ich obojętności, że to nie było nic groźnego: ani burza, ani zwierz dziki. Cóżby więc to być mogło?

Była to karawana zabłąkana w pustyni, którą przebiegała z południa na północ; zboczyła na wschód, spodziewając się znaleść przewodnika, a nadewszystko źródło wody słodkiéj, ponieważ głód i pragnienie zdziesiątkowały jéj ludność, składającą się z Arabów i Murzynów z Angoli. Nigdym nie widział tak obojętnego i smutnego spotkania. Zaledwo wzrokiem powitali jedni drugich; dawniéj przybyli nowo przybyłym ustąpili źródła, w którém gasiliśmy pragnienie, potém nastąpiły z obu stron rozmaite zamiary i nareszcie obie gromady rozlokowały się blisko siebie do odpoczynku, ale to tak obojętnie, jakby ci ludzie błądzący po pustyniach afrykańskich, nie byli dziećmi jednéj i tejże saméj ziemi, jakby ich nie ogrzewało jedno i tóż samo słońce, jakby nie podlegali wściekłości tychże samych żywiołów. Gdzie jest ojczyzna tych czarnych i śniadych ludzi? Stepy, wzgórza, pustynie, lasy, czy to ich ojczyzna? Nie, ojczyzna ich jest świat cały: raczéj oni nie mają ojczyzny.

Odpocząwszy nieco wstawali, późniéj się kładli; wstawali i kładli się znowu; pili u wspólnego źródła, jedli jedne i téż same pokarmy; potém Arabowie i Murzynie odmówili razem modlitwę: pierwsi do Machometa, drudzy do palmy, krokodyla, lamparta, słońca, pnia, węża, i tym podobnych fetyszów.

Po modlitwie, namioty przybyłéj karawany zostały

w mgnieniu oka zwinięte. Już mieliśmy rozejść się nie pożegnawszy jedni drugich, gdy zbliżywszy się do araba mówiącego trochę po portugalsku, zapytałem go dokąd się udaje?

— Mekka odpowiedział.

— Lecz wprzód?

— Wprzód pustynia.

— A później?

— Później Marokko.

O małom nie poskoczył z radości. Karawana dążyła do Marokko, lecz nim dojdzie do tego miasta, ileż wprzódy będzie musiała przebyć niebezpieczeństw? Będzie musiała opuścić pas zarośli i lasów, oddalić się od brzegów morskich, zabłąkać się, że tak powiem, w sam środek pustyni, przerznąć się w prostéj linii przez całą jéj szerokność zachodnią, a tego właśnie było mi potrzeba, to urzeczywistniało wszystkie moje marzenia.

Po mokrych falach oceanu, suche fale Sahary: jedna rozkosz następująca w ślad za drugą: widzicie, że dla człowieka pragnącego wiedzy, nie wszystko jest cierpieniem na tym świecie. Za pomocą kilku sztuk kuglarskich, pozyskałem przychylność dwóch lub trzech naczelników karawany; objawiłem im swój zamiar podróżowania z niemi aż do Marokko, naco się zgodzili, jeżeli nie z wielką przyjemnością to przynajmniéj bez wstrętu.

W godzinę późniéj byliśmy już w drodze.

Cztery wielbłądy, obladowane worami skórzanemi z wodą, poprzedzone przez dwóch Arabów, z których jeden uzbrojony był trójzębem żelaznym, drugi zaś rogiem, na głos którego inni trębacze postępujący w pewnych odległościach odpowiadać byli powinni, poprzedzało pochód karawany. Za wielbłądami postępowało dwudziestu wojowników, uzbrojonych w szable i karabiny, każdy z nich oprócz tego prowadził za cugle po jednym koniu, na którym siedziały kobiety lub dzieci. Odległość blizko dwóch set kroków dzieliła ten pierwszy zastęp od drugiego, który takimże sposobem był oddzielony od trzeciego i następnie. Czwarta kolumna była niby skarbcem ogólnym karawany, gdyż w niéj mieściły się wszystkie bogactwa pielgrzymów:

to jest pewna ilość piasku złotego, skóry lampartów, lwów, tygrysów i znaczny zapas zębów słoniowych.

Cała karawana długością swoją zajmowała blisko pół mili. Piasek podniesiony jéj pochodem przemieniał się w obłok pyłu i zajmując przestrzeń między oddziałami, łączył takowe. Kiedy stanąwszy na szczudłach przypatrywałem się o świcie lub o zmroku temu dziwnemu pochodowi, który stósownie do miejscowości, raz wznosił się, drugi raz zniżał; myślałem nie raz, że to pełznie boa potwórnéj wielkości, przecięty na kilka części, z których każda stara się doścignąć i spoić z drugą, aby tym sposobem złożyć całość.

Nazajutrz po naszym odjeździe, dosięgliśmy granicy odwiecznych lasów, wznoszących się na téj ziemi dziwacznéj i przeklętéj. Po trzygodzinnym zaledwo odpoczynku na równinie otoczonéj ze wszech stron prawie nagiemi skałami, wznoszącemi nad ziemią zczerniałe wierzchołki, niby widma żądne powietrza i światła, na pierwszy odgłos konchy morskiéj, w którą zadął jeden z drugorzędnych przywódców wyprawy, ruszyliśmy w dalszy pochód.

Nie widzieliśmy już więcéj ani drzew, ani bujnych roślin, ani cienia, ani zieloności; rosły tylko ciernie i kupki trawy żółto-popielatéj, po któréj, bez doznania bólu, mogły jedynie stąpać rogowe kopyta koni i dromaderów. Tą razą bardzo mi się przydała moja umiejętność chodzenia na szczudłach, lecz biedni towarzysze moi, którzy musieli iść piechotą i boso, mieli wieczorem nogi pokaleczone i zranione.

Dążąc ciągle ku wschodowi, w krótce przebyła karawana pas ciernisty i weszła w pas kamienny, również trudny do przebycia. Kiedy niekiedy węże szare i upstrzone, podobne do tych, którem widział nad brzegiem morskim, przestraszone naszym pochodem, wydawały świst i zmykały szybko z drogi w spokojniejszą uchronę. Zwierzątka zaś jakieś podobne do szczurów, maleńkie, z ostrym pyszczkiem, stawały na nasz widok na tylnych łapkach, jakby chcąc powitać pielgrzymów i upadały martwe od uderzenia kija, bicza lub strzały murzynów. Mięso tych zwierzątek służyło nam za pokarm, oszczędzając tym sposobem zapas żywności, którym wielbłądy były obładowane; z miękkich zaś

ich skórek robiliśmy sobie rodzaj obuwia, ochraniającego nasze nogi od ostrych kamyków, któremi usłana ziemia tamtejsza.

Nareszcie piasek zajął miejsce kamieni i tu to właśnie zaczęła się prawdziwa pustynia.

Stanęliśmy na odpoczynek. Klepsydry każdego oddziału karawany, oznaczające godziny porównano, naczynia z wodą opatrzono, wielbłądy słabsze i które, jak się zdawało, nie mogły wytrzymać dalekiéj przez pustynię podróży pozabijano. Mięso ich także posłużyło do oszczędzenia żywności zapasowéj, zachowywanéj przezornie na chwilę ostateczności.

Po raz trzeci namioty były ustawione; a po raz pierwszy, wszyscy razem zmówiliśmy ogólną modlitwę do Przedwiecznego. Trzeba było podziwiać silną i gorącą wiarę tych ludzi, którzy upadłszy twarzą ku ziemi, zwróceni na wschód błagali Boga i proroka, ażeby pustynia nie stała się dla nich grobem.

Strusie i Cygany.

Przez Dra. T. Tripplina.

Jeszcze słońce było pod widnokręgiem, a już się rumieniły szczyty starego Atlasu; a gdy wschodzić zaczęło z pod piasków Sahary, całe obłoki i stopy ogromnego Tytana zajaśniały purpurą.

Modliła się cała karawana; każdy gdzieś z osobna rozpostarłszy haik lub burnus na ziemi, usiadł z założonemi na krzyż nogami i kiwał się, pokłony bił, odmawiając na paciorkach rzewne pacierze.

I ja też westchnąłem do Boga, i błagałem go, aby mi przebaczył chwilę zwątpienia, i błagałem go, aby ich już nigdy nie dopuszczał.

Stary Arab z wyciągniętemi ku niebu rękoma, z oczami rozwartemi na oścież a w słup stojącemi, jak dyamenty błyszczącemi, spoglądał na wschodzące słońce i milczał, choć usta jego otwarte były i dwa szeregi zajadłych okazywały zębów.

W zachwyceniu był pogrążony kataleptycznem ów fanatyk! zatopiony w zubóstwieniu swego Allaha.

Boże! Boże! temu potworowi udzielasz dar modlitwy, co mi przepowiedział nieszczęście; czy się ziści ta przepowiednia? on może błaga, by się ziściła,

Zabrzmiały trąby do pochodu, wzywające z dawna niesłyszaną jędrnością i siłą. Wszystko już w marszu.

Wstępujemy w kraj wrzosem pokryty; ah i pokrzywy już tu rosną; miłe, poczciwe, od tak dawna nie widziane pokrzywy. Za godzin kilka znajdziemy i drzewa, już z daleka widać czuby, rosnące jak parasole na wysokich tyczkach, nie! nie ziści się przepowiednia dzikiego Araba.

Ale czemuż on wlepia oczy w wschodni widnokrąg? czemu z taką niecierpliwością nań patrzy, jak gdyby oczekiwał gromu spadającego na głowę moję? Czuję, jak mi serce ściskają smutne przeczucia, boję się czegoś, czego ani pojąć, ani nazwać nie umiem; czyby to były groźby tego ogorzałego zagorzalca?

Nie! niebo tak spokojne, że każdy cię dochodzi zimny powiew zmarłego Atlasu i chłodzi twe skronie. Słońce już swego biegu część przebyło, nieba lazuru najmniejsza chmurka nie kazi.

Nie ze strony nieba przyjść może niebezpieczeństwo, wszystko tu na niém tchnie szczęściem i pokojem.

Arab ciągle spogląda się w stronę północno-wschodnią, i razu jednego znajduję na jego twarzy przestraszający dla mnie wyraz radosnéj niespodzianki, wyraz zadowolenia i szczęścia.

Szczudła, korzystając z drągów, które pozostawiły padłe wielbłądy, byłem już sobie sporządził, wprawdzie nie tak lekkie jak owe, którém na wyspie Burbon z najpyszniejszego bambusu kazał zrobić, ale zawsze nie tak ciężkie, żebym na nich z parę tysięcy kroków ujść nie mógł.

Włażę więc na moje szczudła i spoglądam na daleki horyzont, na który i Arab z swego dromadera patrzy.

Araq odgadł myśl moję i spytał, wskazując palcem na bardzo odległe miejsce:

— Widzisz ten obłoczek pełzający po piasku, i wi-

dzisz te gwiazdy co tak migają w obłoczku, jak iskry pośród dymu?

— Widzę, widzę, coby to być mogło? oh Ben-Ismaił.

— Wkrótce zobaczysz Nazareńczyku co to jest; polot tego obłoczku, téj chmury, téj nawałnicy ku nam zwróconéj, a ona bieży z szybkością najsilniejszego wiatru.

— Czy znowu jakie zjawisko meteorologiczne, umyślnie tylko dla nas wymyślone w nas uderzy? Czy jakaś ciężka kara boska znów nas spotka? spytałem daléj, a on cicho odpowie:

— To nie jest ani grom, ani nawałnica, ani deszcz kamienny, ani *simuhn*, ani *miraż;* to nie jest kara boska na nas, tylko na ciebie.

Zawsze tylko lakonicznie odpowiadał mi Arab, i pasł się widokiem méj ciekawości, niepewności i trwogi. Ja wydobyłem z torby podróżnéj perspektywę, wczołgałem się na garb najwyższego dromadera i spoglądam na szybko się zbliżający obłok.

Cóż ja widzę, oh dziwy, widzę nie chmurę z błyszczącemi gwiazdami, lecz chmurę jakichś ogromnych ptaków, powiewających wielkiemi piórami i biegących na długich nogach.

Ale co daje ten połysk metalowy, co robi, że tak świecą te ptaki? Na tych ptakach siedzą ludzie uzbrojeni w dziryty i zbroją pokryci na głowie i piersiach.

— Arabie, cóż to są za ludzie? w jakich tu przybywają zamiarach.

— Oh Nazareńczyku, o psie niewierny, czy teraz uwierzysz, że są ludzie przyszłość przewidujący? uwierzysz że ja święty? Ci ludzie na strusiach jeżdżący, to są *Sidi-Caloro*, plemię przeklęte Chama; Cyganie nieuznający Mahometa, rabusie najzuchwalsi w całéj Saharze, a żadnemu nie przepuszczający giaurowi, gdy go złowią; boją się bowiem, żeby giaur nie wydał Frankom, gdzie położona ich oaza, w któréj dotychczas tak bezpieczne schronienie znajdują. Wiesz co robią z giaurami? Oto dają ich owym psom do pożarcia, co im strzegą oazę, i które taki węch mają delikatny, że jak im giaur po puszczy o dziesięć mil przechodzi, to go już zwietrzą i wyja przeraźliwie. To też za-

raz się puszczają na swych szybkich strusiach w stronę, z któréj pachnie psom Nazareńczyk, rabują karawany, lub haracz sobie każą płacić, a giaura z wdzięczności psom przywożą, i bardzo lubią patrzeć, jak psy giaura rozszarpują. Oh Nazareńczyku, dziś wieczorem już będziesz w żołądkach psich, a my szczęśliwi będziemy w gościnnych *Duarach*, rozsianych po owych wzgórzach. Tak się spełnią wyroki nieba przezemnie zwiastowane.

Te słowa wyrzekł Arab już nie słabym głosem, lecz donośnie, aby zwrócił na się uwagę całéj karawany; i od téj chwili kalendarz arabski liczył o jednego świętego więcéj, i wszyscy prawowierni garnęli się około *santurona* i haik jego całowali i pokłony mu bili.

Mnie zgruchotała wieść ta okrutna, mnie pozbawiła ostatniéj resztki odwagi; słyszałem ja nieraz o dzikości cyganów puszczy, o ich nieubłaganéj srogości względem chrześcian, czytałem książkę napisaną przez angielskiego missyonarza Barrow *o Cyganach Hiszpanii i Afryki;* wiedziałem że się chronią do jakiéjś niepodległéj oazy afrykańskiéj, gdy ich zbrodnie zmuszają do uciekania przed sprawiedliwością prawa.

Już na mnie pluto jako na stworzenie nieczyste, przeklęte, do haniebnego zgonu przeznaczone; kilku tylko mniéj zagorzałych z litością na mnie spoglądało, a pomiędzy niemi był dowódzca karawany.

— My tobie zaprzysięgli wiarę i wierność, i ten z mojéj zginie ręki, który ją złamie, który cię wyda. Nazareńczyku, co od tak dawna dzielisz smutne losy z nami zasłoń głowę kapturem burnusa, nie rozpaczaj jeszcze, Allach jest wielki i łaskawy.

Już tylko o staje są oddaleni lotni jeźdzcy na swych szybkich ptakach, było ich około trzydziestu, już się roztaczają z gęstéj kupki w liniją coraz rzadszą, okrążają nas z przodu, z tyłu i z boków, już tylko o kroków sto pięćdziesiąt stają i wołają na nas.

— Strzelajmy do nich, strzelajmy do tych skrzydlatych rabusiów, — ja nie chybię i dwóch zwalę z méj dubeltówki, — krzyknę do dowódzcy karawany.

— I oni mają broń palną i wyćwiczeńsi od nas w jéj

użyciu. Żaden opór nie pomoże, wyginęlibyśmy do nogi, odrzecze Arab, i rozkaże broń składać w kupkę i haik biały wywieść na żerdzi jako znak poddania.

Wykonano rozkaz, odstąpiono od stosu, na którym broń złożono.

W oka mgnieniu byliśmy otoczeni przez tę czeredę i z bliska jéj się przypatrzeć mógłem. Byli to na wysokich ogromnych strusiach ludzie nie wysocy, ale zręczni, silni, z śniademi, dzikiemi ale po największéj części pięknemi twarzami; faworyty i brody starannie mieli wygolone, a raczéj wygryzione jakąś białą massą, któréj ślady dziwnie kontrastujące z śniadém tłem twarzy jeszcze na niéj pozostały, wąsy zapuszczali długie, spadziste na kształt chińskich, głowy ich pokryte rodzajem metalowéj krymki, z któréj spadała na kark gęsta siatka druciana, a na piersiach nosili rodzaj ryngrafu ze stali, starannie polerowanego, ozdobami pokrytego. Ramiona ich były całkiem nagie, tóż samo i nogi do połowy uda, reszta pokryta rodzajem szkockiego kilfu, to jest spódnicy tak przeszytéj, że zamiast spodni służyć mogła. Lekki haik powiewał na ich barkach, a na krymce metalowéj zatknięte były u wszystkich strusie pióra wielkiéj wartości i rozmaitych kolorów. Oszczep dzierzyli długi, cienki, z bambusu w ręku, a ostrze tego oszczepu tak było starannie polerowane, że się jak dyjament w promieniach słońca świeciło. Kilkunastu z nich przytém miało strzelby, najrozmaitszego wyrobu, ale najczęściéj pięknego hiszpańskiego.

Strusie, na których jeździli, miały głowę kapturem oczy i uszy zasłaniającym pokrytą, na osadzie zaś dzioba, w miejscu z którego wyrasta u tego ptaka wypukłość jakaś rogowa, ptaki te powstrzymywane były wędzidłem, to jest rodzajem pierścienia w dwóch miejscach łamiącego się, tak, że za pociągiem cugli do tego pierścienia przytwierdzonych, można było ścisnąć to wędzidło, gnieść osadę dzioba i tym sposobem kierować lub téż zatrzymywać *dwunożnego* dromadera, jak go tu nazywają.

— Roztasujcie towary wasze, — krzyknął po arabsku naczelnik téj czeredy, piękny cygan, lat mogący mieć z pię-

dziesiąt i wszystkie daktyle dajcie zjeść naszym strusiom, bo zmęczone.

Zrobiono jak rozkazał; strusie pożerały z prawdziwie strusim apetytem, nie widząc co żrą,

Naczelnik sam nie z siadając z strusia, ubrany w haik żółty z czarnym i czerwonym szlakiem, przyglądał się towarom i nie zdawał się zadowolnym z tego, cośmy z sobą wieźli.

— Przedewszystkiem wydajcie nam wszelką broń, wszystek proch jaki macie, ołów i skałki, oleje do gojenia ran i inne lekarstwa; wydajcie wszystko co macie, bo inaczéj biada wam.

Co tylko było z tych artykułów w karawanie, wszystko wydaném zostało, u mnie najwięcéj i najlepszego znalazło się prochu; spostrzegł to naczelnik i chciwie sięgnął po niego.

— Ah! wyborny proch, dawno takiego nie widziałem, skąd masz ten proch, musiałeś go ukraść jakiemu *Buzni* (to jest europejczykowi), ale może sam nim jesteś? Wiem, że tu między wami są Nazareńczyki. Którzy oni, dowódzco karawany, odpowiadaj, gdzie tu między wami Nazareńczyki?

Tak zagadniony Arab, skłonił się i ręce na piersi złożył, i rzekł z wielkiém uszanowaniem, ale głosem nieugiętym.

— Cabo Sidi-Caloro, ty wiesz, że synowie Mahometa dochowują zaprzysiężonéj wiary, nawet niewiernym giaurom; my wydać nie możemy tego, którego pod przysięgą przyjęliśmy do naszego towarzystwa.

Sprawiedliwość trzeba oddać Arabom, ani jeden, pomimowolnie nawet, oczu nie zwrócił na mnie, i stary Arab nawet, najgoręciéj pragnący, aby się proroctwo jego ziściło, oczu na mnie nie zwrócił, nie chciał obciążać sobie sumienia zdradą.

— Moje psy wywietrzą Nazareńczyka, — krzyknie naczelnik skrzydlatéj czeredy, — daléj za mną wszyscy.

— Cabo Sidi-Caloro, ocal ich, rzekłem, ja jestem w zgromadzeniu jedynym Nazareńczykiem, a ten proch, który tak podziwiałeś, ja go sam zrobiłem, i wiele innych

rzeczy pożytecznych i wesołych robić umiem, bo jestem czarnoksiężnikiem.

I na dowód mego twierdzenia zaraz wziąłem się do sztuk moich kuglarskich, do rzucania czterech kul w powietrze i łapania ich, do kozłów i wyłamywań.

Całéj czeredzie cygańskiéj oczy wystąpiły z jam, tak byli zdziwieni i zadowoleni razem. Cabo, to jest ich naczelnik, powiedział do mnie łaskawym głosem:

— Ty pójdziesz ze mną.

— Na to, żeby mnie psy pożarły?

— Jeźliś czarnoksiężnik, to nie dasz się psom pożreć. Wybieraj sobie najlepszego wielbłąda z karawany, bo z nami szybka jazda, najlepszy *Méhari* nie zdąży z dromaderem dwunożnym, a jeźli zostaniesz zanadto w tyle, to cię oszczepami rozćwiartujemy i w kawałkach psom przywieziemy.

Czasu nie pozostawiono mi wiele na pożegnanie się. Poddałem się losowi.

Dwa inne wielbłądy, objuczone zdobyczą, uprowadzili z sobą z Sidi-Caloro, reszcie karawany pozwolili odciągnąć ku granicy państwa marokańskiego.

Tak się rozstałem z towarzyszami, z którymi dwa miesiące i dni siedm pozostawałem razem, i tyle doświadczyłem przygód.

Tygrys i Pantera.

Przez Dra. T. Tripplina.

Ledwośmy skończyli modlitwę, dał się słyszeć ryk straszliwy: wielbłądy tejże chwili zaczęły drżeć konwulsyjnie, konie przerażone, z powstałą grzywą, tuliły się jedne do drugich, zwracając się tyłem ku nieprzyjacielowi, jak gdyby pogardzały jego widokiem, albo raczéj, jak gdyby nie chciały widzieć przybycia grożącéj im śmierci. Arabowie, przyzwyczajeni do scen podobnych, stanęli na przodzie karawany; czarni zaś, nie wiedząc co z sobą począć, zdawali się oczekiwać rozkazu, do zajęcia jakiegobądź stanowiska.

Skoro tylko lew albo tygrys odważą się rzucić na

karawanę, rzadki wypadek, ażeby ofiarą ich nie stała się jaka żyjąca istota; a ponieważ instynktem zwierzęcym przeczuwają, że ludzie są najgroźniejszemi dla nich nieprzyjaciołmi, na nich więc najchętniéj zwracają swoją wściekłość i w ich krwi, krwi żądzę ugasić pragną. Bardzo więc rzadko bez straty w ludziach podobne spotkanie przechodzi.

Stanąłem na szczudłach i będąc tym sposobem wyżéj wzniesionym od jeźdźców, mógłem daléj sięgnąć okiem. Postrzegłem więc i wskazałem swoim towarzyszom punkt, z którego ów ryk pochodził, w tę więc stronę zwrócone zostały nasze siły i baczność. Z téj strony przybywał w susach przepyszny tygrys. Myśmy postępowali naprzeciw niego. Zlazłszy z mego sztucznego podwyższenia, stanąłem obok Zingae, najwaleczniejszego z pomiędzy wojowników karawany, który rozkazał kilku murzynom drżącym i do reszty zgłupiałym z przestrachu, aby nam towarzyszyli. Zapytałem go za pomocą pantomin, na co brał ze sobą tych tchórzów; odpowiedział mi tymże sposobem, że potrzeba było poświęcić którego z tych nieszczęśliwych, dla ochronienia waleczniejszych, i ażeby łacniéj zakończyć rozprawę z drapieżnym zwierzęciem.

Wkrótce tygrys zbliżył się ku nam na strzał. Spojrzeliśmy uważnie na panewki naszych karabinów; gdy niespodziany wypadek przemienił nas z aktorów na widzów spektaklu, mogącego przytrafić się tylko najszczęśliwszemu podróżnikowi.

Niedaleko od miejsca, na którém staliśmy, wznosił się pagórek z piasku połyskującego z różowém odcieniem; z za pagórka dostrzegliśmy wznoszącą się parę, którą natychmiast lekki powiew wiatru rozpędzał.

W tejże saméj chwili wydano rozkaz obejść pagórek. Postąpiwszy cokolwiek na lewo, postrzegliśmy zaraz przepyszną panterę, leżącą przy kupie kości ogryzionych i karmiącą dwoje małych.

Zingae zrobił znak, abyśmy zachowali się spokojnie, dając mi do zrozumienia, że to nie nam wypada przygotować się do walki.

Mniejsza o to, pomyślałem, bylebyśmy byli widzami

dramatu. Tygrys przeciwko panterze, dobre i to, chociażbym wolał walkę człowieka przeciwko tygrysowi i panterze razem.

Zrozumiał widać wicekról pustyni, że karawana za liczna, eskorta waleczna; wolał więc zwrócić się przeciwko nieprzyjacielowi, nad którym więcéj miał widoków odnieść zwycięztwo.

Mogliśmy się spodziewać walki krwawéj i zażartéj, gdyż z jednéj strony stawał tygrys, uosobienie okrucieństwa, z drugiéj pantera, broniąca swojego życia i swojego potomstwa.

Spojrzenia dwóch szermierzy, to błyskawice; ich ryk, to grom; ich oddech', to groźba; ich zęby, to kleszcze do ściskania i kruszenia; ich pazury, to haki do wyciągania wnętrzności. Głowy ich przybierają wyraz straszliwy, skóra się marszczy, sierć najeża, całe ciało drży ze wściekłości. Jako zapowiedź gniewu i nienawiści, ich paszcze wyziewają smrodliwy oddech: jest to obietnica bankietu, a tym bankietem będzie trup jednego z nich dla pozostałego przy życiu.

Język u obudwóch wrogów podobny do szerokiego żądła, albo raczéj płomienia; z otwartych paszcz zdaje się słyszeć chrapliwe i podziemne warczenie.

Pantera pozostaje nieruchoma, tygrys zbliża się ku niéj. Nie jest to już czworonożne zwierzę, idące z podniesioną głową; jest to raczéj gad, który zwija się, czołga, i nietylko chce zwyciężyć, ale i napastwić. Czuje on, że zwycięztwo nie jest zbyt łatwe; zależy ono od pierwszego starcia, które, jeśli się nie uda, to nie on pantery, lecz pantera jego krew wypije. Wszakże żadza niepochamowana krwi przemaga rozumowanie. Krew, to jego życie, jego namiętność, jego roskosz; ona zaspakaja jego pragnienie, lecz nigdy do sytości, on jéj zawsze żądny, a ponieważ spodziewa się wyssać krew pantery, jest więc szczęśliwy tą nadzieją.

Pantera, to takoż z rasy tygrysiéj, pozostaje na pozór spokojna, obojętna, nieruchoma, zakrywa sobą swoje dzieci, które nieprzeczuwając niebezpieczeństwa, igrają

z sobą, kąsając się wzajemnie. Zabawa tygrysów lub panter zostawuje na ciele krwawe bruzdy i rany głębokie.

Dwaj przeciwnicy udają, że nas niewidzą a może mało dbają o naszę obecność. Co do mnie, za skarby świata nie ustąpiłem swojego miejsca. Zdawało mi się, żem się cofnął o jakie półtora tysiąca lat i byłem obecny jednéj z owych walk dzikich zwierząt, które następcy Cezara w jego mieście wyprawiali ludowi; byłem niby na stopniach cyrku Nerona.

Tutaj cyrkiem była pustynia Sahary, szermierzami tygrys i pantera, dwoje młodych, silnych, drapieżnych zwierząt, które nie znały niewoli.

Jakby za danym znakiem, zwierzęta rzuciły się ku sobie, już ich paszcze się kąsają, pazury zagłębiają się w cielsko. Pierś przeciw piersi, dwa serca przepełnione wściekłością biją jedne przy drugiém. Rzekłbyś dwaj przyjaciele, którzy nie chcą się rozłączyć, albo raczéj dwaj nieprzyjaciele, co rozpoczęli walkę śmiertelną, któréj przynajmniéj jeden z nich nie przeżyje.

Już piasek zakrwawiony; lecz życie nie łatwo opuszcza takich szermierzy. Potrzeba ogromu, ażeby przerwać nić życia lwa lub tygrysa.

Zdumiony, rozzłoszczony oporem, do którego nie przywykł, tygrys odskakuje i udaje zamiar oddalenia się. Pantera oddycha, skrwawionym językiem liże zranione boki. W téj chwili tygrys rzuca się nagle na jéj dzieci: jedno rozrywa pazurami, drugie dusi paszczą i odwraca się przodem do matki, jak gdyby chciał nacieszyć się swoim tryumfem a jéj boleścią.

Tryumf ten miał być krótko trwałym: pantera powstaje: straszna, zażarta wściekła... widzi potomstwo swoje zamordowane i... staje się lwicą!... Rzuca się na mordercę swoich dzieci... i tygrys uległ i nie powstał więcéj.

Chciałem darować życie walecznéj panterze, lecz kula Zingae inaczéj rozporządziła. Nazajutrz cztery trupy służyły za pastwę mieszkańcom téj obumarłéj pustyni.

Jaskinia tygrysów.

Z Tygodnika Petersburskiego na rok 1830.

Jednego dnia spędziwszy noc poprzednią w indyjskiéj wiosce, krążyliśmy daléj około ogromnéj podstawy góry Chimborasso, tego olbrzyma Andow. W tém podniosłszy głowę spostrzegłem, że blask wiecznych śniegów, otaczających jego wierzchołek, niknął powoli pod grubą mgłą. Przewodnicy nasi, Indyanie, dali nam poznać, że gwałtowna burza groziła: obawy ich w krótce się ziściły. Mgła oblekła prędko boki góry, zostaliśmy pogrążeni w głębokiéj ciemności. Powietrze było duszące, a jednak tak wilgotne, że stal w naszych zegarkach rdzą się pokryła, i zegarki stanęły. Rzeka, przy któréj szliśmy, płynęła podwójnym pędem. Nagle, jakby czarodziejską siłą, ze skał po lewicy nam będących, runęły potoki, porywające z sobą pnie drzew i krzewów wyłamanych z korzeniami: postrzegłem także między niemi ogromnego węża, który się przetaczał, nie mogąc się oprzeć gwałtowności wody. Wnet grzmot uderzył: wszystkie echa gór ozwały się razem. Co chwila błyskawice rozdzierały nad nami, pod nami i przy nas obłoki: zdawało się, że nas objął ocean ognia. Schroniliśmy się pod cień wielkiego drzewa, a tymczasem jeden z Indyan szukał nam bezpieczniejszego ukrycia. Niedługo wrócił z doniesieniem, że wypatrzył przestronną jaskinię: udaliśmy się do niéj.

Burza trwała z tak mocnym hałasem, żeśmy jeden drugiego słyszeć nie mogli. Stanąłem u wejścia jaskini i przez długi i ciasny otwór uważałem, co się działo zewnątrz. Najwznioślejsze cedry padały, albo zginały się jak trzciny. Małpy i papugi, zabite opadłemi gałęziami, pokrywały ziemię: potoki wypełniły się, jak wielkie rzeki, i w różnych kierunkach płynąc około góry, odrywały ogromne bryły ziemi. Lecz darmobym się silił na opis wspaniałego widoku: kto nie był w Ameryce południowéj, nie zdoła sobie o nim utworzyć pojęcia.

Kiedy burza nieco się ukoiła, przewodnicy nasi wyszli, chcąc zobaczyć, czy będziemy mogli iść daléj. Grota,

w któréj szukaliśmy schronienia, była tak ciemna, że kiedyśmy się od wyjścia oddalili, nie mogliśmy na cal widzieć przed sobą. Kiedyśmy rozmawiali o trudności naszego położenia, krzyki i jęki żałosne z głębi groty wychodzące, nagle zastanowiły naszę uwagę. Warton i ja słuchaliśmy z uczuciem przestrachu. Lecz Lincoln, nasz młody przyjaciel, rozciągnął się na ziemi, i z Frankiem, moim strzelcem, popełzli w głąb jaskini, chcąc się dowiedzieć przyczyny. Zaledwie się na kilka kroków oddalili, posłyszeliśmy ich krzyk zdziwienia, i zaraz wrócili, niosąc każdy zwierzę osobliwie centkowane, wielkości małego kota, ze strasznemi zębami w szczękach. Oczy ich były zielonawe, miały długie u nóg pazury, język jak krew czerwony wisiał im z pyska. Warton na ich widok zawołał: dla Boga! jesteśmy w jaskini.... Lecz nagle przerwały mu krzyki naszych przewodników, którzy biegąc do nas wołali: tygrys! tygrys! i natychmiast z niesłychaną szybkością wleźli na wierzch stojącego w jaskini cedru, i skryli się w gałęziach.

Pierwsze wrażenie strachu ścięło krew we mnie: lecz kiedy to uczucie nieco minęło, pochwyciłem strzelbę. Warton przyszedł także do siebie, i wzywał nas, abyśmy zawalili otwór jaskini kamieniem ogromnym, który szczęściem tuż leżał. Uczucie grożącego niebezpieczeństwa sił dodawało: bo zaczynaliśmy słyszeć wyraźnie ryczenie bestyi, a byliśmy zgubieni, gdyby stanął u otworu wprzód, nimbyśmy go zwalić zdołali. Nie skończyliśmy jeszcze, kiedyśmy już widzieli, jak skokiem zbliżał się do jaskini. W téj strasznéj chwili podwoiliśmy nasze usiłowania, i wielki głaz między nami a nim zastawiony, ukrył nas od jego napadu. Była jednak mała szpara, mogliśmy widzieć głowę tygrysa, w któréj iskrzyły się oczy, rażące nas wzrokiem wściekłości; od jego ryków trzęsła się głąb' jaskini: kocięta odpowiadały ostremi jękami. Nasz straszny nieprzyjaciel usiłował z razu uchwycić kamień szponami, potém odepchnąć go głową; bezskuteczność wysileń powiększyła jego wściekłość. Ryknął przeraźliwiéj niż kiedy, a rozognione oczy, zdawały się ciskać światło w gęstą ciemność naszego schronienia.

Czas wystrzelić, powiedział Warton z zimną krwią, któréj na chwilę nie stracił: celuj do oczu; kula przejdzie przez mózg, możemy się uwolnić. Frank pochwycił dwururną strzelbę, Lincoln pistolety. Na komendę Wartona, obaj razem spuścili cyngle, lecz wystrzału nie było. Tygrys posłyszawszy uderzenie kurka, uskoczył w bok, lecz widząc, że nie był dotknięty, powrócił na pierwsze miejsce z podwójną wściekłością. Proch w panewkach był zmoczony. Warton i ja zaczęliśmy szukać prochownic: było tak ciemno, że szukaliśmy omackiem. Kiedym się dotknął kociąt, posłyszałem coś nakształt wdzięku metalu, i wkrótce postrzegłem, że te zwierzęta igrały z naszemi prochownicami. Na nieszczęście wyjęły korek pazurami, i proch rozsypany na wilgotną ziemię, nie mógł nam na nic się przydać. To okropne odkrycie odjęło nam ostatnią nadzieję.

Zginęliśmy, zawołał Warton, pozostaje tylko wybierać, czy lepiéj jest umrzeć z głodu ze zwierzętami, które są z nami zamknięte, czy od razu przeciąć cierpienie, wpuszczając potwór do jaskini.

To mówiąc, stanął przy kamieniu i wytężył wzrok niezlękniony na iskrzące się oczy tygrysa. Młody Lincoln w rozpaczy tysiące miotał przekleństw. Frank więcéj mający krwi zimnéj, wziął kawał powroza, który nosił z sobą w kieszeni, i odszedł w drugi koniec jaskini, nie mówiąc nam po co. Wkrótce posłyszeliśmy stłumiony świst. — Tygrys, który to także posłyszał, zdawał się być gwałtowniéj jeszcze dotknięty. Chodził i wracał przed wejściem jaskini obłąkany i wściekły: potém stanął nagle i stojąc przed lasem ryczał najprzeraźliwiéj. Nasi dwaj przewodnicy indyjscy korzystali z tego, puścili kilka strzał z wierzchołka drzewa, na którém byli ukryci. Trafili kilka razy, lecz strzały odpadały od grubéj skóry, aż jedna nakoniec uwięzła blisko oka. Wściekłość tygrysa w ówczas wezbrała: rzucił się ku drzewu, wspiął się i pochwyciwszy szponami, zdawał się chcieć je wywrócić. Lecz kiedy się pozbył strzały, stał się znowu spokojniejszym i znowu stanął przy wejściu groty.

Frank wtenczas powrócił: w ręku niósł tygrysięta na powrozach, któremi je podusił, i oba wyrzucił przez otwór

jaskini. Tygrys zaczął je oglądać i przewracać spokojnie: kiedy się przekonał, że były nieżywe, wydał tak przeraźliwy krzyk rozpaczy, żeśmy musieli uszy pozatykać. Wyrzucałem mojemu strzelcowi niepotrzebne barbarzyństwo; lecz z jego przykrych odpowiedzi poznałem, że stracił wszelką nadzieję ratunku, i że wszelkie posłuszeństwo uważał za rozwiązane. Co do mnie, sam nie wiem zkąd, miałem nadzieję jakiegoś niespodzianego wybawienia.

Grzmot tymczasem ustał, wiatr cichy nastąpił po gwałtownym uraganie. Tygrys leżał przy dzieciach. Był to zwierz wielki i okazały: widać było na jego wyciągnioném cielsku dziwną siłę muszkułów: ze szczęki uzbrojonéj wielkiemi zębami spadała piana. Nagle długi ryk dał się słyszeć z daleka; tygrys odpowiedział nań jękiem: a Indyanie krzyknęli, ostrzegając nas o nowém niebezpieczeństwie. Jakoż ujrzeliśmy wnet dążącego ku nam tygrysa, mniejszego niż pierwszy. „To straszniejszy nieprzyjaciel, bo samica“ powiedział Warton. Ryki tygrzycy, gdy ujrzała martwe kocięta, przeszły wszystko, cośmy już słyszeli: i tygrys przydawał jeszcze swoje żałosne jęki. Nagle jéj wycia ustały: ujrzeliśmy jak kurzące się nozdrza wsunęła przez otwór, jakby dla odkrycia, kto ją dzieci pozbawił. Dostrzegła nas, i natychmiast cisnęła się na kamień tak gwałtownie, że możeby go odwaliła, gdybyśmy wszyscy nie pospieszyli na podparcie. Widząc, że nic nie dokaże, zbliżyła się do tygrysa, jakby na naradę: poczém oboje odbiegli szybko. Ryki coraz cichły, i wkrótce zupełnie ustały.

Nasi przewodnicy zeszli z drzew i naglili nas do prędkiéj ucieczki, wnosząc, że tygrysy poszły szukać wyżéj gdzieś innego otworu, aby się dostać do groty. Odwaliliśmy więc kamień, i już byliśmy w drodze, przedzierając się przez gałęzie i korzenie powodzią naniesione, kiedy krzyk ostry Indyan ostrzegł nas, że tygrysy goniły w ślad za nami. Byliśmy wtenczas u mostku z trzciny, rzuconego przez potok. Indyanie tylko mogą lekko się przesunąć po takich mostkach, trzęsących się za każdym krokiem. Głęboko wparty między dwa brzegi ostremi skałami nastroszone, potok w dole gwałtownie płynął. Sincoln, Frank i ja przebiegliśmy most bez przypadku, lecz Warton był jeszcze na środku,

usiłując zachować równowagę, kiedy tygrysy wybiegłszy z pobliskiego lasu, poskoczyły ku nam ze straszném wyciem. Warton, jak tylko dostał się na drugą stronę mostu, dobył swój nóż myśliwski, i odciął węzły, któremi był przywiązany do brzegu: spodziewał się przez to położyć nieprzebytą tamę naszym nieprzyjaciołom: lecz zaledwie odciął most, tygrzyca rzuciła się ku potokowi, chcąc go jednym skokiem przesadzić. Był to ciekawy widok patrzeć na to straszne zwierzę, zawieszone chwilę nad przepaścią: lecz ta sama przeminęła jak błyskawica. Siła jéj nie dorównała odległości: nie dosiągłszy brzegu potoku, rozszarpała się na kolcach skał. Nie zmieszało to jéj towarzysza, silnym rzutem rów przesadził: przedniemi tylko pazurami zdołał brzegu zachwycić. Zawieszony tak nad przepaścią, usiłował wedrzeć się łapami. Indyanie znowu dziko krzyknęli, jak gdyby już nie było nadziei. Lecz Warton, który był blisko tygrysa, podszedł go odważnie, i nóż swój wraził mu w pierś. Z wściekłością niepodobną do opisania zwierz zebrawszy całą siłę, wparł tylne łapy w skałę i potrafił pochwycić za udo Wartona: lecz mój nieustraszony przyjaciel zachował odwagę, uchwycił lewą ręką dla podpory za pień drzewa, i znowu silnie nożem ugodził w pierś tygrysa.

Wszystko to w chwili się odbyło. My wszyscy pobiegliśmy na pomoc. Lincoln porwawszy strzelbę Wartona, tak mocno uderzył tygrysa kolbą w głowę, że ogłuszony zwierz upadł w przepaść. Lecz Lincoln nie wymierzył siły swego uderzenia, pochylił się naprzód i pogrążył w potok.

Nawałnica na puszczy Sahara.

Przez Dra. T. Tripplina.

Nazajutrz już z rana przeczuwaliśmy, że dzień będzie okropny. Nie dostrzegliśmy najmniejszego ruchu w powietrzu, najmniejszego obłoczka na firmamencie. Czuliśmy na naszém ciele jakieś nieustanne szczypanie, a pot kroplami występował na czoło, nawet w cieniu.

Nareszcie w dali, na horyzoncie postrzegamy mały, nieprzejrzysty, czarny punkcik, który wkrótce podnosi

się, powiększa, rozszerza, powiększa jeszcze bardziéj, zajmuje znaczną jéj przestrzeń, a dzień przyćmiony i zbladły grobową bladością oświeca całą tę scenę. Nie, to już nie są złociste promienia słońca; jest to raczéj opalowe światło księżyca, przyświecające ruinom. Puch najlżejszy puszczony z wysokości upadłby na ziemię prostopadle, tak atmosfera była rozrzedzona i spokojna. Niekiedy jednak błyskawice przerzynają tę masę powietrza, która nas otacza i dusi. Ogień ten wylata z zenitu, we wszystkich kierunkach przebiega atmosferę i ginie daleko gdzieś za horyzontem. Jest to niechybna przepowiednia jednéj z owych burz zwrotnikowych, zarówno groźnych na lądzie jak i na morzu.

I oto ją macie: rozpoczyna się dużemi kroplami wody gorącéj, spadającemi z gwałtownością kamienia ciśnionego z procy; ziemia jęczy od tych bezustannych uderzeń... Wkrótce objętość kropel się zmniejsza, lecz za to powiększa ilość, ulewa staje się gęstszą, spada na nasze głowy z niesłychaną gwałtownością, ryje w piasku głębokie rowy, rozwala namioty, a wielbłądy od tych ciągłych ćwiczeń kroplistych miotają się, jakby od uderzeń węzłowatego bicza przewodnika.

Ale jest to tylko wstęp do burzy, niby zapowiedzenie straszliwego starcia żywiołów. Jakoż razem firmament się roztwiera, tysiące piorunów uderza, powietrze grzmi i płonie, ogień i woda zdają się staczać walkę o władztwo świata; i gdy zygzaki piorunów i błyskawic oślepiają chwilowo, ażeby potém pogrążyć w większą jeszcze ciemność, całe góry wody spadają z wierzchu dla ugaszenia pożaru, który zdaje się jeszcze rozszerzać i powiększać od tego oporu. Rzekłbyś, że ocean opuściwszy chwilowo łożysko swoje, rzuca się z całą gwałtownością na ląd, ażeby zająć w posiadłość te miejsca, z których mu Stwórca w dniach stworzenia ustąpić kazał.

Jednakże nawałnica nie wsiąknęła w głąb ziemi, powierzchnia jéj tylko została nią dotknięta; wkrótce więc morze piasku zostało przemienione w morze płynne, które leci, porywa, unosi, obala, niszczy wszystko co tylko napotka.

Karawana rozpierzchła się z początku, lecz wkrótce,

powodowana instynktem zachowawczym, zebrała się na wzgórzach piasczystych, gdzie znalazła schronienie, zabezpieczające ją od tego chwilowego potoku. Prawie wszyscy znaleźliśmy się razem, i z tego przypadkowego belwederu poglądaliśmy i podziwialiśmy straszliwe widowisko.

O! nigdy okazalsza panorama nie przedstawiła się oczom podróżnika! Nigdy groźniejsze widowisko nie otaczało go wszechstronnie. Nigdy śmierć i zniszczenie nie groziły mu tak z bliska! Wyobraźcie sobie niezmierzone okiem morze z przypływem i odpływem, którego fale doganiają jedna drugą, ścierają się ze sobą, pienią, spadają niby kaskady w otchłanie, które same sobie wyryły i giną w nich ze straszliwym łoskotem, unosząc trupy wężów i zwierzęta, starające się całą siłą muszkułów oprzeć gwałtowności pędu. A za arkę wśród tego jednodniowego, albo i kilkagodzinnego oceanu, służyły nam wierzchołki piaszczystych wzgórz, które takoż lada chwila ustępując gwałtowności pędu mogły być rozmyte i zniszczone.

Kiedy nareszcie burza wywarłszy całą gwałtowność swoję, przeniosła się daléj, trzeba było widzieć tę mglistą przestrzeń bez granic, przybierającą nową formę, nową powierzchowność, przechodzącą wszystko, co nauka wyrachować, a pojęcie ludzkie przewidzieć mogły. Wody ustępują, upływają, spadają w pieczary, znikają, uciekają jak nieprzyjaciel zwyciężony; a na opuszczoném przez nie miejscu, powstaje silna i bujna roślinność, o któréj możnaby powiedzieć, że przez odwet stara się przywłaszczyć sobie ziemię.

Trzy godziny burzy, to były trzy godziny cierpienia, konania, lecz i podziwienia razem.... Nasze namioty zostały poszarpane, zapasy podróżne uszkodzone; nie straciliśmy jednak nikogo ani z ludzi, ani ze zwierząt; co do mnie, byłem bardzo rad z tego fenomenu meteorologicznego, gdyż mógłem porównać nawałnicę w pustyni z nawałnicą morza. Jedna i druga mają swoję imponującą wielkość; wszakże niebezpieczeństwo jest większe w pośród tych niezmierzonych, milczących pustyń, aniżeli na pełném morzu.

Trąba się odzywa; druga, trzecia, czwarta odpowiadają na ten znany sygnał, i w chwilę potém, namioty na-

sze rozpięte, przytwierdzone do ziemi żelaznemi drągami i cała karawana odpoczywa, w oczekiwaniu nowych trudów.

Huragan na puszczy.

Przez Dra. T. Tripplina.

Opatrzność czuwa nad nami i my brniemy daléj i daléj w tym piaszczystym oceanie. Do koła nas cichość grobowa, żadnego szmeru w przestrzeni, żadnego obłoczku w górze, żadnego ptaka na powietrzu, żadnéj roślinki na ziemi: pod nami piasek, nad nami słońce. Karawana posuwa się smutna i milcząca. Tu ryk żywiołów albo dzikich zwierząt zwykle bywa przepowiednią jakiéj katastrofy, każdy więc nadstawia ucha i ogląda się na wszystkie strony, ażali nie dosłyszy lub nie dojrzy czegoś takiego, coby zapowiadało niebezpieczeństwo.

Noc następowała i ostatnie promienie ognistego słońca opuszczały coraz bardziéj zgęszczoną i ciężką atmosferę.

Postępowaliśmy ciągle ku północy: zastanowiliśmy się nareszcie do odpoczynku wieczornego, gdy świst przeraźliwy, podobny do oddechu olbrzymiego miecha kowalskiego zwrócił nagle naszę uwagę. Wszyscyśmy spojrzeli z niespokojnością ku wschodowi, zkąd głos przybywał... Niczegośmy nie dojrzeli... Sądzilibyśmy, że to boa potwornéj wielkości przesyła nam wyzwanie, gdyby jakakolwiek żywa istota mogła żyć pośród tych piasków, bez wody, owadów, rosy i drzew.

Cóżby to było? Skąd ów świst pochodził?

Daleko, bardzo daleko od nas wznosi się jakaś kolumna: podstawa jéj dotyka ziemi, wierzchołek kryje się w niedojrzanéj okiem wysokości. Kolumna ta przybliża się do nas, rozszerza, kręci około swéj osi, nabiera sprężystości, pochyla naprzod, niby kłaniając się nam z gracyą; raz jest falista i powiewna nakształt wstęgi, to znowu prosta i twarda niby pal żelazny.

A ciągle postępuje ku nam.

Nie jest to już kolumna, lecz masa olbrzymia, która w miarę zbliżania się wywołuje inne podobneż masy.

Radzibyśmy byli uniknąć tego spotkania, ale już za-

późno, zbyt wielką przestrzeń huragan zajął i zbyt hyżo zbliża się ku nam, musimy więc oczekiwać i przygotować się do starcia. Straszliwy widok rozwija się przed naszemi oczami. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, sto kolumn złożonych z powietrza i piasku, formują dziwaczne i fantastyczne galerye, ruiny, jaskinie, a to wszystko co chwila zmienia postać, kształt, formę, raz się to wszystko rozchodzi, tuż zaraz ściska,— nadchodzą inne kolumny tegoż samego składu, dopędzają jedne drugich, łączą się z sobą, pochłaniają się wzajemnie.

— Bracie, to *simun*!— rzekł do mnie Arab przerażony tym widokiem.

— Czy już go widziałeś kiedy?— zapytałem niemniéj strwożony.

— Nigdy.

— Skądże wiesz, że ten wicher i simun jest jedno i tóż samo?

— Ponieważ każdy z nich zabija i pochłania.

— A więc to już ostatnia godzina naszego życia?

— Ja tak myślę.

— Dla czegóż tak myślisz?

— Ojciec mi o tém rozpowiadał.

— A twój ojciec czy widział podobne huragany?

— Trzy razy w ciągu całego życia.

— A jednak je przeżył; miejmy nadzieję że i my będziem niemniéj szczęśliwi.

Tymczasem huragan zbliżył się już do nas, od jego postępowania drżała i jęczała ziemia, a w jego wnętrzu, przejrzystém jak gaza, widzieliśmy kręcące się i wznoszące do niesłychanéj wysokości, z piaskiem razem mnóstwo zwierząt, owadów, ryb płazów, które huragan porwał w przechodzie.

Ten napad wściekłego nieprzyjaciela na przeciwników nieruchomych i spokojnych przedstawiał pyszny widok, obraz, którego wielkości i wspaniałości straszliwéj nigdy żaden pędzel oddać i wyrazić nie potrafi, ponieważ zawsze brakować będzie ruchu, grzmotu, borykania się wichrów.

Te myśli zebrałem dopiero wówczas, kiedy huragan już był daleko za nami; w czasie zaś napadu wstrzymałem

BIBLIOTEKA W POZNANIU

oddech i zakryłem twarz, tak jak inni to uczynili, ażeby uniknąć zetknięcia się wszelkiego z temi szczególnemi pociskami tyleż prawie gwałtownemi co lawiny śniegowe spadające z gór i unoszące ze sobą drzewa, domy i ludzi.

Jednakże żaden z nas nie został uniesiony wichrem, oddziały tak były zbliżone do siebie, żeśmy mogli jedni drugich dotykać stojąc na miejscu.

Jak tylko niebezpieczeństwo minęło, powstaliśmy wszyscy uradowani, ścigaliśmy dumnym wzrokiem owe wichry szalone, pogardzaliśmy ich groźbami, a jeden tylko Arab powtarzał głosem cichym wiersze z koranu, którym to zapewnie przypisywał nasze cudowne ocalenie.

Jednakże nie był to jeszcze koniec fenomenu. Podobnyż wicher nadchodził z strony przeciwnéj; oba więc zaryczały gniewne oporem, jaki wzajemnie sobie stawiały, zwiększyły nowém wysileniem swoje siły i pochwyciły się ze sobą; lecz ulegając własnemu ciężarowi, cały ten gmach powietrzny runął gwałtownie na ziemię. W owczas rozległ się huk jak gdyby od tysiąca bateryi, ziejących ogniem i kartaczami; zdawało się, że niebo ze straszliwym łoskotem chce runąć na ziemię, albo że ziemia chce je przyciągnąć do siebie; a piasek, który huragan pochwycił i unosił, opadł na ziemię i uformował całe wzgórza. Wszystko było przewrócone i poruszone; gdyby grabarze chcieli tu zakopać miasto skamieniałe, mogliby to uczynić bez najmniejszéj trudności. Tam gdzie upadł meteor, wznosiły się teraz dziwacznych kształtów pagórki podłużne, ostrokończaste, zaokrąglone, a twarde i stałe, aż dopóki simun nie rozrzuci ich i nie zrówna.

Pragnienie na puszczy.

Przez Dra. T. Tripplina.

Kiedy podano jedzenie, rzuciliśmy się na nie z tym większą żarłocznością, im niebezpieczniejsze były chwile ubiegłe. Wzruszenia umysłu i serca bardziéj zaostrzają apetyt, aniżeli praca fizyczna i solone mięsiwa, podane na matach, znikały raptownie w obec zgłodniałych biesiadników. Potém następowało rozdzielanie wody; w téj chwili

doznaliśmy jakiegoś niepojętego przestrachu. Zaledwo pierwsze krople wpłynęły do podstawionego naczynia, smród nadzwyczajny rozległ się po całym namiocie, i Arab, który mając pić pierwszy zbliżył do ust naczynie, dostał w tymże momencie okropnéj czkawki i upadł na wznak na pół uduszony. Za drugą próbą woda uczyniła tenże sam skutek i musieliśmy naczynie to wyrzucić daleko od namiotu, aby nas nie zarażało smrodem. Myśleliśmy z początku, że trup jakiego małego zwierzątka wpadł do naszego skórzanego rezerwoaru i ginąc w nim, zatruł wodę; chcieliśmy przekonać się o tém, nie narażając siebie na zapowietrzenie, wystrzałem strzaskano naczynie, płyn się wylał, a piasek pustyni, tyleż co i my spragniony, wypił ją natychmiast.

Nie znaleźliśmy w naczyniu żadnego obcego ciała. Kiedyśmy wyszukiwali przyczyny naszego nieszczęścia, postrzegliśmy, że i w innych namiotach panowały przestrach i przerażenie. Domyśliliśmy się powodu: cały nasz zapas wody zepsuty! Zgubiony bez nadziei. Nie zwoływano rady, nie mówiono nawet o tém: patrzaliśmy tylko na siebie wzrokiem obłąkanym, wyrażającym rozpacz, jedni drugim konwulsyjnie ściskali ręce, wszyscy zwracali co chwila wzrok na ogromną tarczę słońca, które gdzieindziéj będąc przyczyną życia, tu miało się stać narzędziem naszéj katuszy i śmierci. Spoglądaliśmy ku niebu, jakby ztamtąd spodziewając się cudownéj pomocy, lecz próżne nadzieje! ręce opadły, a ciała niszczone pragnieniem, na rozpalonym piasku szukały ochłody. Ci nawet, którzy nie doznawali jeszcze okropnych skutków pragnienia, złorzeczyli niebiosom za to okrucieństwo bez miary.

Nigdy zaraza, w pierwszym dniu pojawienia się wśród obszernego miasta, nie wywołała takiego przerażenia i rozpaczy; nigdy głód wśród licznego grodu, nie wywołał tylu jęków, tylu narzekań. Śmierć unosiła się nad nami jako najwyższa władczyni, któréj nic zmiękczyć, nic ubłagać nie mogło. Pustynia nie odmienia nigdy fatalnych wyroków swoich, jeżeli takowe raz wydała; drwi ona z próśb, modłów, łez, konania!

Tak bez wątpienia, pragnienie zawsze jest męczarnią,

straszliwą karą niebios, nawet wówczas, gdy widzimy w dali źródło, do którego po wielu trudach mamy nadzieję dojść nareszcie i ugasić w niém pożerający ogień; lecz pragnienie w pustyni, wśród Sahary, pod palącemi promieniami ogniska świata; umierać z pragnienia obok istoty, która także jak i ty z pragnienia umiera, upada na piasek, kąsa go, gryzie, woła wiatru, wody, a znajduje tylko ogień, wszędzie ogień! Doznawać pragnienia wówczas, kiedy się wie, że następujące po sobie godziny nie tylko go nie zmniejszą, lecz owszem powiększą i do cierpień dotychczasowych dodadzą nowych jeszcze okropniejszych! Takie pragnienie jest to stos zażegniony, który pali i dusi, jest to piekło, które wrze, płonie, dotyka ze wszech stron ognistemi językami, jest klatka z rozpalonego żelaza, w którą wsadzono żywą istotę. O, wy nie znacie co to jest pragnienie; wy, którzyście nie zwiedzali nigdy téj dzikiéj, téj śmiertelnéj Afryki, któréj wnętrze na zawsze może zostanie tajemnicą.... O! nie zwiedzajcie jéj bobyście przeklęli swoję matkę, złorzeczyli swojemu nigdy, Stwórcy.

Pragnienie, jest to najstraszliwsza z plag, jaką Przedwieczny zsyła na ziemię.

Dzień cały przeszedł w uroczystéj ciszy. Wieczorem mężczyzni i kobiety błąkali się jak cienie; zwierzęta pospuszczały głowy i starały się odetchnąć świeżem powietrzem, nie mogąc otrzymać kropelki wody... cały ten cyrk bez granic, wśród którego walczyliśmy ze śmiercią, stał się ogromnym szpitalem, a żaden pacyent, nie miał z niego wyjść uzdrowiony, jeźli Wszystkomogący nie ulituje się nad tylą nędzy i cierpień. Ani huragan, ani piorun nie mógł wypaść ze straszliwie czystego, błękitnego nieba, żaden obłoczek na nieboskłonie lub w zenicie nie obiecywał nam dżdżu.... Przejrzystość nieba i powietrza zwiększały jeszcze naszę niedolę, błagaliśmy Stwórcę o burzę, chaos śmiertelny simun, zwodniczy miraż, o ryk lwa, o paszczę tygrysa, dla skrócenia naszych cierpień....

Nic, zawsze nic.

Jak walczyć przeciwko temu, czego nie widzim? Jak zwyciężyć to, co nie przedstawia oporu! Najokropniejsza

śmierć jest ta, która nas zabiera bez walki, a my byliśmy zwyciężeni samą nieobecnością wszelkiego nieprzyjaciela.

Nie będę wam opisywał okropnych scen, które splamiły noc następną.... kilka trupów, których żyły były otwarte, pogrzebano nazajutrz: widziano (a nikt im tego nie zganił, ani przeszkodził) Arabów i czarnych, równych tą razą, zabijających wielbłądy i szukających w rezerwoarze, który Bóg dał tym okrętom pustyń, trochę wody, którą co chwila późniéj osłabiony ich żołądek napowrót odrzucał.

Jedna kropla zdrowéj wody uzbroiłaby całą karawanę, a strumienie krwi popłynęłyby dla jéj zdobycia. Cześć boską oddanoby temu, ktoby nam sprowadził najstraszliwszą z nawałnic, jakąśmy ledwie przebyli, a za powrót któréj wszystkobyśmy oddali.

Jednakże, jeżeli nie rozum, bo ten postradał był wszelką nad nami władzę, to instynkt doradził nam udać się w dalszą podróż; powstaliśmy, jakbyśmy mieli iść na śmierć i udaliśmy się na północ; poszlibyśmy w przeciwną stronę, gdyby wielbłąd, poprzedzający orszak, skierował się ku południu.

Nie śmieliśmy zaspokajać trapiącego nas głodu, aby nie powiększyć przez to pragnienia. Kilku biedaków, nie mogących zdążyć za nami, zostawiliśmy na pewną zgubę, nie udzielając im żadnéj pomocy.

Nocy następnéj firmament pokrył się siatką lekkich i przejrzystych obłoczków białawego koloru; leciuchna rosa dozwoliła nam odetchnąć swobodniéj, odświeżając nieco ziemię.

Trzeba było nas widzieć, jakeśmy upadłszy twarzą ku ziemi, spalonym językiem lizali piasek zaledwo zwilgocony... Obłoki zdawały się zgęszczać. Z nadzieją i strachem spoglądaliśmy na te massy przesuwające się nad naszemi głowami, a które zapowiadały nam burzę. Lecz rychło słońce weszło, mgła się rozproszyła, z nią razem znikła wszelka nadzieja i odwaga, a spokojność i pogoda zapowiadały nam wybicie ostatniéj godziny naszego żywota. Znużeni nieużyteczną walką zebraliśmy się w jedno miejsce i zwróceni ku wrogowi naszemu, ku słońcu, oczekiwaliśmy

wśród rozpaczliwéj ciszy chwili skonania, gdy wielbłąd będący na przodzie karawany wydał rodzaj beczenia, które zwróciło uwagę wszystkich Arabów. Zerwali się z miejsc, jak gdyby od wstrząśnienia elektrycznego i nie porozumiawszy się nawet, jak to u nich jest w zwyczaju, poszli prosto do zwierzęcia.

Jeden z nich ujął go za munsztuk i zwrócił w inną stronę... wielbłąd miotał się póty, aż stanął w poprzedniéj pozycyi. Powtórzono kilkakrotnie ten manewr; opór zwierzęcia rozjaśnił oblicze Arabom: dano znak do pochodu i udaliśmy się w stronę wskazaną instynktem dromadera.

W ciągu dwóch następnych dni nic nowego nie zaszło, lecz dnia trzeciego o zachodzie słońca dał się słyszeć okrzyk radości, powtórzony przez wszystkie oddziały karawany; wytłomaczyłem go sobie wówczas dopiero, gdym ujrzał wszystkie wielbłądy udające się w stronę wschodnią, prawie mimo woli przewodników. Przeczuli oazę. Zdaliśmy się zupełnie na ich cudowny instynkt, a w dwie godziny późniéj dostrzegliśmy wierzchołki drzew, pod cieniem których, wśród bujnéj wegetacyi odetchnęliśmy rychło swobodniéj i ożywili opuszczające już nas siły.

Chcecież wiedzieć co to jest oaza wśród pustyni Sahary? Jest to ziemia świeża i zielona, skrapiana i zasilana kryształowém źródłem, usiana drzewami palmowemi pokrytemi mnóstwem owoców: ich rozpuszczone gałęzie nakształt warkoczy, ich liście poruszone lekkim powiewem wietrzyka tworzą pokrycie, przez które nawet ogniste promienie afrykańskiego słońca przedrzeć się nie zdołają. Oaza wśród pustyni jest to pociecha, radość, szczęście, błogosławieństwo, uśmiech Pana Boga po wybuchu jego gniewu.

Odpoczęliśmy tam dni ze trzy; pokrzepiliśmy wprawdzie nasze siły, lecz trzeba było nareszcie udać się w dalszą podróż: droga miała być jeszcze długą, a oazis ma także swoje chwile żałoby i rozpaczy. Nie mogliśmy nabrać z sobą wielkich zapasów, gdyż utraciliśmy już byli wiele koni i wielbłądów.

Weszliśmy w cichą i głęboką dolinę, prawdziwy komin rozpalony; była to pierwsza okropna próba, na którąśmy zostali wystawieni po wyjściu z oazy. Odbicie pro-

mieni słonecznych było zabójcze; pot obfity wystąpił na całém spieczoném ciele, a wysokie moje szczudła były tu dla mnie więcéj przeszkodą niż pomocą.

Zginęło tu trzech ludzi i kilka koni; niezadawaliśmy sobie nawet pracy, aby ich pogrzebać. Gdyby ta otchłań, wśród któréj miotaliśmy się jak potępieńcy, cokolwiek była dłuższą, niechybnie cała karawana znalazłaby w niéj grób swój.

Wiem, że tym, którzy przywykli stąpać po twardéj ziemi, albo po drogach bitych, podróż ta wyda się zbyt powolną, lecz niech wspomną na to, że po piasku iść prędko niepodobna, powierzchnia jego ugina się i rozstępuje pod nogą. Opór tylko powiększa siłę, a ręce i nogi słabieją prędko, poruszając się wśród próżni.

Tu byłem świadkiem jeszcze jednego okropnego widowiska, jednéj z tych scen straszliwych, lecz niestety zbawiennych i koniecznie potrzebnych do zabezpieczenia bytu podobnie awanturniczych karawan. Byłem świadkiem okropnéj ofiary, poświęconéj ogólnemu dobru i bezpieczeństwu. Podobne wspomnienia pospieszamy zwykle rzucić na papier, wyrwać z niepamięci.

Noc objęła już była chwilowe panowanie nad nami, noc jasna, gdyż księżyc w pełni obsypywał nas opałowemi promieniami swemi. Nagle rozszedł się okrzyk zgrozy, wydany przez jednego z pilnujących naszych zapasów. Ozwały się trąby, cała karawana została wstrzymaną, wszyscy pragniemy dowiedzieć się powodu zamięszania... Jedno z naczyń z wodą zostało przedziurawione umyślnie: Arab zwyciężony pragnieniem, popełnił tę zbrodnię; chciał on ugasić płomień, który go wewnątrz palił; przebił więc za pomocą świdra jedno z naczyń powierzonych jego dozorowi i widziano go połykającego chciwie ciepłą wodę. Nieszczęśliwy miał być rychło sądzony i ukarany... Cóż to za okropna kara go czekała!

Zna on ją dobrze, poddaje się jéj, klęka, lecz nie błaga o przebaczenie, ponieważ wie, że żadna łaska udzieloną mu być nie może. Wiedział on o tém i przed popełnieniem występku, a jednak go popełnił. Oh, bo pragnienie złym jest doradzcą, a człowiek dręczony pragnieniem, wypije

krew swojego najlepszego przyjaciela, otworzy żyły jedynemu dziecku swojemu, byle się napić.

Arab w milczeniu oczekiwał kary.

Nie radzono, nie rozprawiono o tém, jaką ma być ta kara. Czterech Arabów wystąpiło i zaczęło kopać ziemię. Kiedy robota była skończona, dół wykopany, jeden z nich spuścił się w głąb, zmierzył go i znów wylazł na wierzch.

Potem na skinienie naczelnika, kopacze pochwycili nieszczęśliwego przestępcę, skrępowali mu ręce i nogi, wstawili do dołu, i gdy dwaj z nich przytrzymywali go aby stał, dwaj drudzy zasypywali tę okropną mogiłę. W przeciągu pół godziny wszystko było skończone; ziemia otoczyła winowajcę, tylko głowa i ramiona jego wystawały nad jéj powierzchnią.

Po skończeniu tego straszliwego pogrzebu, karawana uszykowała się i przeszła mimo winowajcy krokiem powolnym, miotając nań przekleństwa. Każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecię potrząsało piasek, wśród którego nieszczęśliwy Arab milczący, ponury, nieruchomy był uwięziony; najzapalczywsi zaś, chcę mówić najpobożniejsi plwali mu w twarz, dodając jeszcze do téj zniewagi najokropniejsze złorzeczenia.

Kiedy smutny ten orszak zwrócił się nazad, naczelnik karawany kazał sobie podać łupinę kokosowego orzecha, nalaną wodą zmięszaną z pewną ilością rumu, i postawiwszy ten napój przed oczami przestępcy, położył rękę na jego odkrytéj głowie i wyrzekł doń te straszliwe słowa:

„Skradłeś nikczemny człowieku wodę twoich braci, umrzesz więc z pragnienia.

„Pogwałciłeś święte prawa pustyni, umrzesz na pustyni, któréj majestatu szanować nie umiałeś.

„Niech tygrys, któregoś żarłoczność i chytrość naśladował, odwiedzi cię po naszém odejściu. Niech on odwilży swój krwawy język w napoju, który stawiam przed tobą i niech nacieszy się twojém długiém konaniem, pożre powoli głowę twoję.

„Niech, w braku tygrysa i lwa, zwierząt których nie jesteś godzien, przyjdzie do ciebie podła hyjena; niech żą-

dzę krwi, która ją ciągle pali, zaspokoi w krwi twojéj i zada ostatni cios twojemu życiu.

„Nie uszanowałeś świętych praw naszego boskiego proroka, prorok opuścił cię więc i przeklął.

„Opuszczamy cię takoż, wyrzekamy się i zapieramy ciebie bezbożny złoczyńco; cierp, pokutuj za straszliwą zbrodnię, którąś się zmazał, żaluj jéj w obec kary, którą ponosisz, i niech Mahomet zmiłuje się nad twoją podłą duszą.“

Po wyrzuceniu tego przekleństwa, spojrzeliśmy wszyscy na męczennika po raz ostatni i poszliśmy w drogę.

Puszcze zwrotnikowe.

Przez J. Kremera.

Spojrzyjmy na one zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszéj chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicestwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura niewidzianéj u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię do koła. Paprocie, znane naszéj ciemnéj i biednéj północy jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią, rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłéj i poetycznéj formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu niema próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedne drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody w całéj mocy i uroku cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące, ciżbą wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a do-

stawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi liniami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoję. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdém drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnéj barwy; bo odmienne z natury swojéj pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach, i wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu zaludniona gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotém świetle słońca, a roje płoche różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub chuśtając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, lub witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia, wylany na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj była wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznem natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszczą i ogniem błyskawicy zajmuje się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; w tedy chmury ciężkie, czarne, pękną z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby kataraktów huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo, i otworzy nawałnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do norów — powszechna trwoga, bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury, są zawsze wrogiem organicznéj przyrody.

Tu, do téj czystéj krynicy stworzenia, niechaj chodzą

malarze i wieszcze, by odświeżyć ducha swego w téj naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszém zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona nie wycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wieki w spokojnéj swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je, jakby w grobie, gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko sterczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w téj dzikiéj i wolnéj przyrodzie śmierć włada. Ale tu śmierć odradza się żywotem tysiącznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiewaków skrzydlatych.

Zorza północna.

Przez Ewę Felińską.

Dzisiejszego wieczora, o godzinie dziesiątej w wieczór, dał się słyszeć szum wielki w powietrzu. Jakiś huk oddalony, jakiś łoskot dziwny zdawał się być prologiem do następującéj sceny, i zapowiadać dziwne widowisko, mające oczom naszym się objawić.

Mieszkańcy Berezowa zrozumieli co ten huk znaczy; jakoż światło cudowne zalało cały widnokrąg.

Mój gospodarz Kozłów wszedł do pokoju, wzywając mię na dziedziniec. Kiedym wyszła, stanęłam w zachwyceniu. Szkoda, że żadne pióro oddać nie potrafi wzniosłéj sceny, która się rozwinęła przed memi oczyma.

Powietrze było mroźne, czyste. Śnieg pobielił ziemię, budynki i wszystkie przedmioty. Rzuciwszy okiem w koło siebie, byłam w zachwyceniu.

Przy dziwnéj natury blasku, odbitym od białości śniegowéj, okrywającéj cerkwie, drzewa, budynki, które się rysowały jak czarodziejskie gmachy w czarodziejskim świecie, Berezów już mi się nie wydał małą mieściną jak zwykle: była to ogromna świątynia. Wszystkie części tego cudownego obrazu stanowić zdawały się jeden gmach, jedną

całość, a ten gmach był otoczony ścianami w płomieniu, i takaż kopuła strzelająca wysoko, ostro zakończona, jaśniała nad głową.

Najbardziéj zachwycającą była natura światła. Nie było ono ani czerwone, ani jaskrawe, ale oświecało przedmioty jasnością nad wyraz miłą, sobie tylko właściwą, któréj nie można porównać z żadném światłem znaném w przyrodzeniu. Było to, jakby zlanie się ogniów bengalskich ze srebrzystą jasnością, odbitą od księżyca w pełni.

Widnokrąg przybrał dla oka, nie już jak zwykle kształt kopułowy, ale jakby głowy cukru. Horyzont został zamknięty w ciaśniejszych ścianach; ale wierzchołek tego ostrosłupa ginął w tak niezwykłéj wysokości, że zmysły się łudziły. Zdawało się, że ten wierzchołek, przebiwszy zwykłe sklepienie, zrobił otwór do nieba, i pozwolił w tę godzinę nadzwyczajnéj uroczystości, zapuścić choć raz wzrok mieszkańcom tego padołu w krainę tajemniczą, dostępną dotąd tylko wyobraźni; lub że duchy wyższéj natury usunęły przez ciekawość przegrodę dzielącą ich od śmiertelnych, dla przypatrywania się zjawisku, niezwykłemu na ziemi.

Ściany owego ostrosłupa utworzyły się z bardzo lekkich obłoczków ruchomych jasności srebrzystéj, które wijąc się w kłęby jakby dym lekki, rzucały światło, o którém mówiłam.

Obłoczki te niby delikatna para, rodziły się u podstawy ostrosłupa jakby wychodząc z pod ziemi, i zaledwie powstałe, pędziły z szybkością niewysłowioną, wrąc zawsze kłębami światła do góry i znikały u wspólnego wierzchołka tak szybko, że oko nie mogło nadążyć wślad za niemi. To znikanie, nie rodziło jednak żadnéj przerwy w ogólnych ruchach, bo coraz nowe kłęby światła podnosząc się od postawy w najfantastyczniejszych kształtach, pędziły za pierwszemi, i znikały jak tamte, zostawując miejsce innym, które goniły za niemi.

Po za temi ruchomemi ścianami, nie było nic widać błękitnego sklepienia usianego gwiazdami. Może też gwiazdy zbladły w obec tak dziwnego światła. Jedném słowem, stanął świat inny wśród świata codziennego.

Ten dziwny taniec mas światła, pchniętych w ruch

siłą niewidomą, odbywał się przy majestatycznym huku muzyki brzmiącéj w powietrzu.

Ten huk, łoskot w powietrzu, miłe światło niemające sobie równego, kształt niezwykły widnokręgu, gra dziwnie ożywiona różnokształtnych obłoczków, które pędząc, ścierając się i unikając, dążyły do jednego punktu i ginęły u wspólnego wierzchołka, wszystko to dziwnie nastrajało wyobraźnią i podnosiło zachwyconą duszę do Twórcy tych dziwów.

Człowiek chce zbadać prawa przyrodzenia, wykraść tajnie sił pędzących w ruch światy, wiedzą przynajmniéj, jeśli nie potęgą czynu, zmierzyć się ze swym Twórcą! Na każdym kroku spotyka nowe dziwy, nowe siły nieznane, nowe tajnie przyrodzenia, nowe dowody nieobjętéj wszechmocności, a jednak nie leczy się z pychy, z zarozumienia. Szczęśliwszy, stokroć szczęśliwszy ten, co w zachwycie duszy upadłszy na kolana, umie czuć sercem dziwy przyrodzenia, i w niemém uwielbieniu, w całéj pokorze ducha umie oddawać hołd niedościgłéj Wszechmocności.

To nadzwyczajne zjawisko, trwało godzin kilka, poczém ruch zaczął się zmniejszać, światło gasnąć częściowo, a o godzinie drugiéj z północy wszystko znikło. Gwiazdy, dotąd zasłonione, czy téż zaćmione, zaświeciły na nowo; księżyc zaczął na nowo odbywać chód wolny po czystym nieba błękicie, i wszystko weszło w porządek codzienny, jak gdyby nic nie było, zostawując tylko pamięć niezwykłego wrażenia, piętnującego się żywo na duszy.

Jaką była Warszawa w roku 1596.

Przez Wojcickiego.

Stoi Warszawa w pięknem położeniu, na ciągnącym się wzgórku: rzeka Wisła płynie u spodu, myje mury miasta, mętną gliniastą wodą oblane: za Wisłą wesołe odkrywają się pola i smugi. Miasto Warszawa jest szczupłe, i w koło otoczone murami; z téj przyczyny małośmy w niem wygody znaleźli, tak dalece; że my dworscy i słudzy kardynalscy, po trzech, czterech i pięciu w jednéj izbie, musieliśmy się mieścić, wszyscy po domach mieszczan; gospód bowiem

gościnnych napróżno byś szukał, a raczéj wszystkie domy są gospodami: mieszczanie bowiem za rozkazem królewskim, dawać muszą przedniejszym Senatorom tyle izb, ile potrzeba, nie raz i domy całe, nie zostawując sobie, jak jednę lub dwie stancyjki.

Pałac królewski wznosi się od bramy krakowskiéj, z drugiéj strony góruje Wisłę, widok z niego jest piękny; wewnątrz wspaniały i wygodny.

Jest w mieście pięć bram, nie zbyt odległych od siebie, w niewielkiéj od miasta odległości, widać mnóstwo pięknych ogrodów, z wybornemi owocami, jako to: jabłek, gruszek, śliwek i nie wielu innych.

W mieście jest kościół parafijalny, zwany Śta. Maryja, drugi Śgo. Jerzego, przy którym są kanonicy regularni Augustyna, nadto kościół Śgo. Ducha, za bramą zaś piękny konwent Ojców Bernardynów. Na końcu miasta, spuszczając się ku Wiśle, odkrywa się piękny długi most, z potężnych balów.

Za starą Warszawą, stoją w około obszerne przedmieścia dość piękne, lecz niezmiernie błotniste: między temi *Nowe-miasto*, większe jak obwód staréj Warszawy: lecz w téj ostatniéj wszystkie domy są murowane, otaczają ją dwa mury na około, mniejszy i większy, z niewielkiemi basztami. *Nowe-miasto*, jest prawie całe drewniane. Przedniejsze kościoły w *Starém-mieście*, kościół Śgo. Jana, drugi pod imieniem Śgo. Marcina, z konwentem księży Augustyjanów. Jest tam i plac dość wielki, lecz pominąwszy kuchnie na dworze, zawalony sklepami rzemieślników. W około placu (rynku) tego są piękne domy, jednakowéj prawie wysokości, wszystkie z cegły. Temiż cegłami podobnie jak w Krakowie, brukowane ulice, między niemi cokolwiek kamieni czerwonego granitu, wszystko to źle z sobą spojone, jakoż niegodziwie chodzić po nich, a błoto większe tu jeszcze niźli w Krakowie.

Ratusz w Poznaniu.

Przez Józefa Łukaszewicza.

Do najpiękniejszych w prowincyi pomników dawnego budownictwa, należy niezaprzeczenie ratusz po-

znański. Swoją wielkością, swoim stylem gotyckim, zajmuje przyjemnie oko cudzoziemca; swoją starożytnością przenosi myśli krajowca w odległe, upłynione czasy. Świadek tylu zmian losów téj krainy, przetrwał wieki i burze, i przetrwa jeszcze wiele pokoleń ludzkich i gmachów dziś stawianych.

Przemysław I., książę Wielkopolski, nadał miastu Poznaniowi w środku 13. wieku prawo magdeburgskie, korzystniejsze dla mieszkańców miast od dawnego polskiego. Skutkiem tego dobrodziejstwa było powstanie w przeciągu kilku lat nowéj części miasta na lewym brzegu Warty. W części téj wzniesiono zaraz (co z sobą prawo magdeburgskie niosło) ratusz, w tém samém miejscu, na którém dziś stoi, na posiedzenia sądów i rady miejskiéj, na skład archiwum i więzienia złoczyńców. Z jakiego materyału gmach ten pierwiastkowo był wystawiony, nie można dziś dojść z szczupłych o nim notatek, w miejskiém archiwum poznańskiém zachowanych. Zdaje się atoli, że był murowanym, albowiem już w roku 1447., w którym według podań Długosza Poznań pogorzał, znajdowało się w tém mieście wiele świątyń i domów murowanych, które się niszczącemu wszystko żywiołowi oparły; a zatém i ratusz musiał być murowany. Ratusz ten stał do panowania Zygmunta I., to jest do początku 16. wieku, w którym dzisiejszy gmach, w kształcie okazalszym niż dawniejszy, z gruntu wzniesiony został. Rok postawienia tego gmachu nie jest wiadomy, zdaje się przecież, że stanął między latami 1512 do 1520; przynajmniéj nad jednemi z wewnętrznych drzwi w dolném piętrze ratusza, znajduje się wyryty w kamieniu rok 1514., którą to datę, jeżeli nie za rok ukończenia, to przynajmniéj za rok stawiania ratusza uważać można. Przez półtora przeszło wieku stał gmach ten bez żadnéj skazy, urągając się czasowi i zaburzeniom krajowym za panowania nieszczęśliwego Jana Kazimierza, w których Poznań wiele ucierpiał. W roku 1675. dnia 9. Sierpnia ogień piorunowy spalił wieżę ratuszną, którą dopiero w r. 1690. odbudowano; nowa, prócz drzewa i roboty ręcznéj, kosztowała 32,630 ówczasowych złotych polskich; na pobicie jéj wyszło przeszło 100 centnarów miedzi. Naoczny

świadek opisuje ją w ten sposób. „Wystawiona była w r. 1690. miedzią wszystka pobita, sztukami pozłocistemi przyozdobiona; ta się tak ważnie i misternie przez rzemieślnika budującego zdarzyła, że monarchowie, ile podczas wojny szwedzkiéj i moskiewskiéj, dziwowali się jéj udatności i ozdobie i abrysować dawali.“

„Nawet z państw i królestw architektowie przyjeżdżali i abrysy sobie brali. W tejże był w pierwszéj perspektywie wiszący dzwon wielki, alias cymbał do bicia godzin, ważący 157 centnarów, w drugiéj perspektywie dzwon na kwaternik (kwadranse) ważący 109 centnarów. Pod tą zaś wieżą, na murze, na cztery części okazujące kompasy, ażeby i na tę i na tę stronę mógł każdy widzieć, nawet za miastem mógł rozeznać na zegarze, co skazował indeks, który był przedtém na 24 godzin sformowany, tandem po dwudziestu i kilku latach (1712.) na 12 godzin przeformowany.“

Żałować należy, że przodkowie nasi, ani nam nie zachowali nazwiska architekta, który tę piękną wieżę postawił, ani też nie zostawili jéj abrysu. Zdobiła ona miasto 35 tylko lat. W r. 1725. dnia 18. Czerwca o godzinie 7. w wieczór, nadzwyczajna burza zrządziwszy w Poznaniu i okolicy nieobliczone szkody, nie szczędziła i téj wieży: zwaliła się ku stronie Wronieckiéj ulicy. Uwagi godną rzeczą jest: że w chwili, gdy wieża runęła, i kamienicę Efraima Klinberga, kupca, ciężarem swoim zgniotła, znajdowało się wiele ludzi na téj saméj stronie rynku, w którą wieża padała, a przecież nikt życia nie utracił; tylko kupiec Jan Kunowski, mający kram żelazny pod ratuszem, odniósł lekką ranę w ramię. — Dopiero w roku 1730. postawiono nową wieżę na ratuszu; ale ta nie wyrównywała w żadnym względzie poprzedniéj; miasto wycieńczone kontrybucyami podczas wojny szwedzkiéj za Karola XII., nie mogło się zdobyć na wystawienie okazalszéj, i na tę musiało pożyczyć 13,000 złtp. Jak długo wieża ta stała, nie wiadomo. Teraźniejsza postawioną została, jak sama jéj powierzchowność okazuje, za czasów Stanisława Augusta, staraniem Kazimierza Raczyńskiego, marszałka wielkiego koronnego. Przy stawianiu jéj, zmieniono znacznie dawniejszą postać ratusza, od drugiego piętra począwszy;

dół, i drugie piętro nie uległy wielkim zmianom, ani wewnątrz, ani zewnątrz.

Ratusz poznański zawiera nieoceniony skarb do dziejów miasta Poznania i całéj prowincyi, to jest dawne archiwum dobrze zachowane, w którém przywileje zaczynają się od r. 1250., akta rozmaitéj treści od r. 1450. Nie wiele jest miast w dawnéj Polsce, któreby się równie starożytném i równie zamożném archiwum poszczycić mogły. W archiwum tém znajduje się także mały księgozbiór, a w tym kilka książek z daru Józefa Strusia, Poznańczyka, sławnego lekarza 16. wieku. Między rękopismami tego księgozbioru, zasługuje na uwagę prawo magdeburgskie, pisane po niemiecku na początku 14. wieku i dzieło lekarskie z 15. wieku, w którém nazwiska roślin w polskim języku są przytaczane.

Obok ratusza stoi pręgierz kamienny, prawie równocześnie z ratuszem postawiony (r. 1535.) a zatém mający 321 lat. Pod tym pręgierzem stawiano na widok publiczny złoczyńców na śmierć haniebną skazanych, a potém ryto na nim rok egzekucyi. Jak rzadkiemi u nas były wielkie zbrodnie, zaświadcza ten pręgierz. Od początku 16. wieku do końca 18., sześć tylko wyryto na nim dat powieszonych, katowanych lub ściętych złoczyńców.

Zamek Ostrogski.

Czém dla pamięci wszystkie narodów zdarzenia, wszystkie zeszłe wieki, i cienie nawet wielkich ludzi; tém dzieła ich ręki w smutnych pozostałe szczątkach, są dla nas, – tylko ruiną, pamiątką. Wszyscy lubimy słuchać dawnych dziejów, patrzyć na starożytne zwaliska; ale wszelkie wspomnienia, bardziéj nas jeszcze zajmują, gdy z niemi uczucia połączyć możemy, i w nich znaleść to właśnie, co bliżéj serc naszych dotyka. Otóż wspaniałe zamku ostrogskiego zwaliska, niegdyś przepychem, chwałą i przemożną rodziną, dzisiaj tylko szczątkami, wspomnieniem sławne. Tu ztąd z rozlicznych przygód pamiętna Helszka, gwałtem z rąk matki porwana.

Ostróg nad rzeką Horynią, warowne miasto z zamkiem we Wołyńskiéj ziemi (dzisiaj miasteczko około 4 do

5000 mieszkańców liczące, położone na trakcie między Kijowem i Brodami) było dzielnicą niegdyś książąt ruskich, dzierżących berło halickie. Dom ten od dawna z wojowników sławny, na początku 16. wieku wydał Polsce Hetmana, który zwycięztwami swemi przyczynił blasku i chwały nie mało panowaniu Zygmunta I. — Konstanty, książę na Ostrogu, syn Iwana, w którym już za młodu niepoślednie dostrzegł zdolności stary Hetman Litt. Piotr Biały. On to w trzydziestu trzech bitwach zwycięzca a w dwóch tylko zwyciężony, pod Wiedrożą i Sokalem, wyrwawszy się z niewoli, umiał się pomścić odniesionych obelg, i wnet w stoczonéj bitwie pod Orszą, wypłacić krzywdy sowitym odwetem. Późniejsze jego wreszcie na Tatarach zwycięztwa pod Wiśniowem, Słuckiem, Kamieńcem, Pińskiem i tyle innych świetnie zakończonych wypraw, szczęśliwie stoczonych bitew, stawiają go w rzędzie najwaleczniejszych Hetmanów. Jego to wnuczką była wyżéj wspomniona Helszka. Konstanty bowiem książę na Ostrogu, gorliwy wyznawca wiary greckiéj, nieunijackiéj, miał za żonę Alexandrę córkę Siemiona Olelkowicza, książęcia Słuckiego, z któréj zostawił dwóch synów: Eliasza (Ilia u Górnickiego) i Konstantyna.— Ilia ożeniony z Boetą Kościelecką, miał z niéj jedyną córkę Elżbietę (Helszką przez Górnickiego zwaną), która po śmierci ojca swojego, została w opiece króla, Zygmunta Augusta. Pomiędzy wielu zalotnikami, starał się o jéj rękę i Dymitr książę Sanguszko; ale nie mogąc uzyskać zezwolenia matki, przybywa zbrojno na Zamek Ostrogski, z Wasilem księciem Ostrogskim, i mimo matki oporu, bezwzględny na jéj złorzeczenia, przemocą córkę jéj wydziera, ślub bierze i do Czech ujeżdża, unikając królewskiego gniewu. Ale w Knyszynie wytacza się skarga przed króla, na obżałowania matki księżnéj Ostrogskiéj. Za nią mówił Czarnkowski; nieprzytomnego Dymitra, Odachowski, szlachcic litewski bronił. Stanął nareszcie wyrok na Sanguszkę, wyjmujący go z pod opieki prawa, i ogłaszający go wywołanym z kraju na zawsze; Marcin Zborowski, kasztelan kaliski udał się w pogoń za Dymitrem, i doścignął z nowo zaślubioną Helszką w Jaromirzu, miasteczku czeskiem. Tam kiedy pierwszy odebrać księżnę, drugi bronić

żony usiłuje, w zaciętym sporze pada ostatni, a Zborowski z Helszką do matki powraca, która lękając się podobnych na przyszłość wypadków; bawi przy królowéj Bonie. Ale głośna już przygoda młodéj Helszki, przydała jéj jeszcze powabów w oczach zalotników, znowu bowiem pan wielkopolski, Łukasz Górka, u króla o nią starać się zaczął; chociaż Zygmunt skłonił się do żądania Górki i matce przedstawienie zrobił, przeciwną była jednak wyborowi króla, i rozlicznych używając wymówek, przytoczyła i tę przyczynę, że podług statutu litewskiego, którym się Wołyń rządził, Polacy żeniący się w Litwie, wzięte po żonie imiona (dobra) za pewną, najmniejszą na włokę postanowioną cenę, odstąpić sąsiadom byli powinni. Król słuchał tych wymówek księżnéj długo i cierpliwie; ale mając wyjeżdżać już z Warszawy na sejm piotrkowski, znudzony wreszcie jéj wybiegami, pierścień jéj z palca zdejmuje, i na znak zezwolenia Górce posła, w skutek czego i ślub nastąpił. Jednakże matka szukając obrony przy królowéj Bonie, sprzeciwiała się ciągle związkowi temu, i lat kilka na rozlicznych zabiegach i odporze matki upłynęło, nim Górce córkę oddała; gdy bowiem Bona do Włoch odjechała, księżna Beata do Lwowa się udaje, i zamknąwszy się w klasztorze z córką, zbrojnymi ludźmi mury obsadza. Król jednak ciągle trzymając stronę Górki, w r. 1559. wysyła Piotra Barzego, starostę lwowskiego, który późniéj na poselstwie w Hiszpanii umarł, aby nakłonił księżnę Ostrogską do oddania córki jéj małżonkowi. Udał się Barzy do Lwowa, i Górka tamże pojechał w gronie przyjaciół i braci. Lecz próżne były przełożenia starosty; księżna trwającym ciągle uporem zniewala nakoniec króla, że przez dworzanina Górnickiego, staroście rozkaz na piśmie posła, aby przemocą spełnił wolę jego. Posłuszny Barzy stawia straże u bramy, aby nikogo do miasta nie wpuścić. Jednakże jakiś Podlasianin Sawicki, pisarz (sekretarz) książęcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, wkraść się potrafił do miasta: schwytano go i znaleziono przy nim we wojłoku listy, ruskim charakterem do księżnéj Ostrogskiéj pisane, aby swéj córki nie dawała Górce, jeźli chce w posiadaniu swych majątków zostać; panowie bowiem litewscy, ciągle

przy wyłączeniu statutowém obstawali, i to istotną było przyczyną całéj o to małżeństwo sprzeczki. Wnet potém Słucki książę, Szymon, przeszedłszy przez miasto w żebraczym odzieniu, wcisnął się do klasztoru, a gdy się tam w broń i żywność opatrzono, przemoc nawet bezskuteczną stawała się dla odebrania Helszki. Przemyślny jednak starosta, innych środków chwytać się począł: odebrał wodę, kanałem bieżącą do klasztoru, i spragnioną dopiero księżnę przymusił wysłać w poselstwie dworzanina Zieleńskiego, który oświadczył, że księżna Szymonowi Słuckiemu swoją córkę za żonę oddała, i w przypadku gwałtu, raczéj puginałem, który zawsze przy sobie nosi, zada śmierć córce i sobie, aniżeli ma ją oddać Górce. Nazajutrz jednak niedostatek zmiękczył stałość księżny, która przyzwawszy starostę do siebie, córkę mu wreszcie oddała. Zaszła przed klasztor kolebka (kareta) a Barzy wsadziwszy z radością młodą księżnę do niéj, na stopniu pojazdowym stojąc (jak było podówczas zwyczajem) odprowadził ją do zamku; jednakże doniesiono królowi o zaślubieniu Helszki z książęciem Słuckim, a księżna matka na królewski sąd się zdała. Nadeszły wkrótce rozkazy, aby Helszka pierwszemu małżonkowi oddaną została, czego znowu przymusem na zamku lwóweckim dochodzić musiano. Wreszcie dopiął Górka tylu trudami dosięganego celu, i odebrał swoję Helszkę. Matka zaś, doznawszy już tyle goryczy, w cięższém jeszcze nieszczęściu zakończyła życie; zaślubiona bowiem, po owdowieniu swojém, z Albrychtem Łaskim, wojewodą sieradzkim, podobno dla niezwalczonego uporu, w zamku Kesmerk we Węgrzech zamknięta przez niego, smutnego dokonała życia. Nie lepiéj i córka skończyła: nie chciała żyć albowiem z Górką zmuszona małżonka, a po śmierci męża z pomieszanemi zmysłami na dwór stryja, księcia Konstantego Ostrogskiego przybyła, i tamże tylu przygodami skołatane życie zakończyła. W roku 1609., ustanowił ordynacyą Janusz, książę na Ostrogu, która stawiała niegdyś 600 ludzi na usługi Rzeczypospolitéj; ale schodząc bez potomka płci męzkiéj, mianował następcą ordynacyi po sobie, siostrzeńca Alexandra, księcia Zasławskiego. W roku 1673. wygasł dom ten równie na Januszu Alexan-

drze, po którym Hieronim Lubomirski i syn jego Józef, ordynatami byli, od których taż ordynacya w dom książąt Sanguszków się przeniosła. Ostatnie zaś potomki płci żeńskiéj domu Ostrogskich Zofia, poszła za Stanisława Lubomirskiego, Katarzyna za Tomasza Zamojskiego i Anna Alojza za sławnego Jana Karola Chodkiewicza, hetmana W. Lit. Dobra téj ordynacyi za ziemskie uznane zostały mocą konstytucyi z roku 1766. a właściciele zamiast utrzymania 600 ludzi, do płacenia corocznie 200,000 złotych polskich obowiązani, z czego utrzymywano pułk aż do ostatniego podziału Polski.

Takie są dzieje Ostrogskich, i tyle wspomnień widok tych ruin wzbudza w naszéj pamięci.

Kościół katedralny w Gnieźnie.

Przez N.

Ktokolwiek zwiedzał miasto Gniezno, podług podania kronikarzy przez Lecha roku 550. po Chr. zbudowane, tak nazwane od orlego gniazda (po czesku gnizdo), które tutaj znaleziono, albo raczéj dla tego, że było pierwszém gniazdem, czyli osadą Polaków, w tych stronach osiadłych, dawną królów i arcybiskupów stolicę, teraz siedlisko po większéj części ubóstwa i nędzy, — już z daleka na 2—3 mil spostrzegł dwie znacznéj wysokości wieże. Są to wieże kościoła katedralnego, jednego z pierwszych w kraju naszym, który, jakkolwiek mało już ma zabytków odległéj starożytności, stoi jednakże w tém samém miejscu, gdzie go ręce pierwszych założycieli na chwałę Boga wzniosły.

Świątynię tę miał wystawić sam Mieczysław I., z Dąbrówką na jednym z 7 pagórków, górą Lecha nazwanym. Bolesław Chrobry, wstępując w ślady ojca, szczególniéj okazał się szczodrym w obdarzaniu domów bożych: katedrze gnieźnieńskiéj wiele naczyń kosztownych do obrzędów religijnych darował, i dla niéj przeznaczył, po powrocie swym z Kijowa, podwoje śpiżowe, dziś jeszcze słusznie podziwiane. W r. 1018. spłonęła pożarem pierwotna bazylika, wystawiona na nowo została od Czechów w r. 1038. spaloną i pozbawioną swych ozdób. Kronikarze czescy

świadczą, iż uwieziono z Gniezna krucyfix złoty lany, dar króla Bolesława, z wielu innemi bogactwami; tak dalece nawet posunięto świętokradztwo, iż zabrano dzwony świątyni. Przez długi czas leżała katedra gnieźnieńska po tém spustoszeniu i złupieniu w gruzach: wydźwignął ją z nich arcybiskup Marcin I. w porządku 10. arcypasterz, i w przytomności Władysława Hermana i małżonki jego Zofii, uroczystym obrzędem poświęcił w roku 1097., a jeden z następców jego, Zdzisław Kozłoróg, znacznie zbogacił i upiększył. Nie zapominali o oblubienicy swojéj i inni gorliwi dyecezyi gnieźnieńskiéj rządzcy, nie szczędząc ani wydatków, ani trudów na utrzymanie w świetnym stanie świątyni Pańskiéj. Lecz wszystkie ich prace i przywrócone ozdoby, obrócił w perzynę pożar wielki dnia 27. Kwietnia 1613. r., zagrzebawszy w gruzach kościół katedralny, całe miasto i wszystkie przybytki boże, wyjąwszy jeden św. Jana. Trzech arcybiskupow, Wojciecha Baranowskiego, Wawrzyńca Gembickiego i Jana Wężyka skrzętne zabiegi, nie zdołały szkód poniesionych naprawić, i katedry zniszczonéj do dawnéj przyprowadzić pory; Maciejowi Łubieńskiemu zostawioném było dokonanie tak ważnego dzieła. Męża tego i kapituły staraniem powstała z gruzów na nowo świątynia, kaplice miedzią pokryte, i wieże wzniesione zostały: ale je zniszczył powtórnie ogień gwałtowny w r. 1760. Siedział wtedy na stolicy arcybiskupiéj Władysław Łubieński, który naśladując przodków, hojną ręką udzielał z swoich dochodów i własnego majątku znacznych sum na odbudowanie zniszczonéj katedry. Teraźniejszy więc kościół katedralny gnieźnieński, w wielkiéj części przeszłego wieku jest dziełem i mało zachował dawnych starożytności śladów. Zewnątrz uderza wspaniałość jego. Wielki spadzisty dach miedziany, wznosi się na białych murach; drugi nieco niższy, lecz zanadto spłaszczony, pokrywa 14 bocznych kaplic. Z strony zachodniéj są dwie 145 łokci wysokie wieże, w znacznéj części murowane w stylu 18. wieku, nie odpowiadające reszcie budowy. Na jednéj z nich, wiszą nie małéj wielkości dzwony, z których najznaczniejszy waży przeszło 43 centnary. Na samym szczycie facyaty kościoła, błyszczy herb Łubieńskich, Pomian nazwany, grubo zło-

cony, z literami M. Ł. D. G. G. A. (Mathias Łubieński, Dei Gratia, Gnesnensis Archiepiscopus) 1652; w środku dachu tenże sam herb, przypominający literami V. Ł. Władysława Łubieńskiego; na wielkim zaś dachu jest herb kapituły.

Wewnętrzny kościół, lubo mu na ozdobach nie zbywa, okazuje jednakże w częściach swoich architektury mieszaninę. Jako pamiątki pierwotnéj budowy, zostały tylko po bokach krużganki gotyckie, w kształcie gwiazd sklepione, z cienkiemi i wysokiemi słupami; nie odpowiadają im wcale wspaniałe marmurami, w włoskim najwięcéj guście, przyozdobione kaplice, wzniesione ręką biskupów i innych dobrodziejów, jak nazwiska ich świadczą. Znikło gotyckie sklepienie nawy, wspierające się na 14 filarach, zamienione na okrągłe rzymskie: znikły wązkie, w ostre kąty zakończone okna, malowaném szkłem ozdobione, a miejsce ich zastąpiły okrągławe, nie stósowne wcale do wysokiego dachu.

Ołtarz wielki, do którego po ośmiu marmurowych stopniach wstępuje się, murowany, wzniesiony przez Władysława Łubieńskiego, zdobi 6 filarów, pomiędzy któremi posągi Świętych wyzłacane. Nie mniéj zajmują w chórze stale dla duchowieństwa, piękną swą snycerską robotą. Wiele ozdób z marmuru i kruszczu zdobią kaplice i ganki świątyni: opisał je troskliwie ś. p. X. Biskup Siemieński i podał pamięci. W nowszych czasach sprowadzono tutaj za staraniem ś. p. Arcybiskupa Wolickiego, zwłoki Ignacego Krasickiego z Berlina, i złożono je obok popiołów znamienitych poprzedników jego.

W środku świątyni, podziwiamy św. Wojciecha.

Chór piękny zdobią wielkie organy, wystawione w r. 1662. przez Jerzego Gdańszczanina: pod chórem jest dawny kapitularz, zawierający wizerunki Macieja Łubieńskiego, Wawrzeńca Gembickiego i Stanisława Karnkowskiego, z wielu innymi pomnikami starożytności. Nie mniéj zasługuje na uwagę archiwum kapituły, zawierające wielką liczbę ważnych dokumentów, a pomiędzy niemi: Spis plebanii archidyecezyi gnieźnieńskiéj (Liber beneficiorum) z r. 1521. i biblioteka w części północnéj kościoła, posiadająca prócz wielu rękopismów i ksiąg, Pismo św. na

pargaminie pięknie pisane, darowane katedrze testamentem przez Kazimierza Wielkiego.

Ważną jest katedra gnieźnieńska, pod względem historyi narodu polskiego. Tu bowiem oddawali hołd prawdziwemu Bogu pierwsi z Polaków Chrześcianie: tu spoczywa Dąbrówka, za któréj staraniem wiara święta wprowadzoną została do Polski. Bolesław przyjął tutaj koronę królewską od Ottóna III., a następcy jego uroczyście byli w tejże co i on kaplicy namaszczani i koronowani, aż do Ludwika, który lubo w Krakowie oznaki królestwa przyjął, do Gniezna jednakże przybył, aby na tronie przodków zasiadł.

Puławy.

Tańska.

Czyż potrafię opisać, jakby przystało, bogaty przedmiot nasuwający się pióru mojemu? Ach! lękam się bardzo, ażeby niedostatek wymowy, pamięci, nauki, sposobności, nie ujął zalet, nie skrzywdził miejsca, którego obrazu ręka tylko Woroniczów i Delilów śmiało dotykać się może. Ale stało się, wyrzekłam, cofnąć słowa niepodobna. Wreszcie, w takowym razie wszelką chełpliwą próżność na bok odłożyć wypada; któż ma za złe ptaszynie, że orła nie doścignie w locie? — Już więc z mniejszą trwogą zabieram się do opisu *Puław;* czasem serce zastąpić choć w części nieudolność rozumu potrafi a polscy czytelnicy wiele wybaczają pisarzowi, który im mówi o zabytkach ich kraju, o narodu chwale. —

Nie wiem, czy jest w Polsce całéj prócz Krakowa, miejsce stósowniejsze nad Puławy do podobnéj mowy; tam prawdziwy skarb wspomnień i pamiątek narodowych, tam i oczy i serce nakarmić się mogą... a prócz tych nieocenionych dla duszy polskiéj zalet, tak wiele do myślenia i opisu podających, ileż Puławy mają sobie właściwych, miejscowych powabów?

Gdzie tylu cnót razem gniazdo i schronienie,
Możesz się tam nie wdzięczyć całe przyrodzenie?

Wdzięczy się téż i uśmiecha jak najnadobniéj, i cała

okolica urokiem jaśnieje; przekonałam się o tém jadąc do Puław, bo przez całą drogę mile oczy moje były zajęte. Przejechawszy Wisłę pod Janowcem, minąwszy starożytny *Kazimierz*, dziś tylko wspomnieniem, drzewami i potomkami Izraela bogaty ale zawsze piękny, trafiliśmy na wioskę *Bochotnica* zwaną. Rozrzucona wśród drzew rozmaitych, na pochyłości góry, po nad Wisłą, zupełnie *romantyczną* ma postać; jéj chatki zbutwiałe, bez porządku stojące, drożyna wązka i kręta, mieszkańcy chowający się za drzewa w nędznéj odzieży a na szczycie góry rozwaliny starożytnego po Aryanach gmachu, wszystko do tego przydomku prawa jéj nadaje. Przechodząc ją całą (bo nie można było bezpiecznie przejechać), i ja i towarzysze moi, byliśmy w niejakiém zadumaniu; to ustąpiło wnet miejsca radośnemu zaspokojeniu, skorośmy na granicy Puławskiéj stanęli; mówię *zaspokojeniu*, gdyż człowiek tak do wszelkiego dobrego, szczególniéj do porządku jest stworzony, że widok rzeczy w stanie, w jakim być powinny, nie tylko go cieszy, ale zaspokaja. Mamy, że tak powiem, w duszy jakiś *prawdomierz*, który nas ostrzega o wszystkiém co prawdziwie dobre i piękne; szczęśliwi! jeźli wszędzie i zawsze za tą skazówką idziemy.— Ale porzuciwszy te myśli moralne, rzecz pewna, że miło na Puławskiéj granicy stanąć; droga szeroka, prosta, wygodna, pysznemi drzewami sadzona; patrząc na wszystkie strony, widzieć można na około owoce pracy i gustu; minąwszy *Parchatkę*, wyjeżdża się do *Włostowic*. Wieś ta parafialna bardzo ludna i rozległa, łącząca się prawie z Puławami, porządnie na równinie rozciągniona, jest taką, jakich niestety, bardzo jeszcze w kraju naszym mało; jéj domostwa chędogie i wygodne dobrze utrzymywane, sady, ogródki, żywe płoty, rowy bite, mosty całe, kładki, szeroka i sucha droga, nadzwyczajna obyczajność mieszkańców, schludny ich ubiór, piękny kościół, plebania, domy nauki i roboty, same nazwiska gospodarzy nad bramą ich podwórza wypisane, przedstawiają dziwnie miły i zaspokający widok, który jeszcze wymowniejszym i milszym się staje przez tak bliskie z Bochotnicą sąsiedztwo; gdybym się nie bała obrazić kogo takowém przystósowaniem, odważyłabym się powiedzieć: że Bochotnica romantyczność,

Włostowice klasyczność mi przypominały. Napatrzyć ich się nie mogłam. Możeż być milszy widok, nad widok pomyślności, dobrego mienia spółbraci? o! jak przyjemnie być musi, przyglądać się wesołym Włostowicom, téj, która je w tym stanie postawiła; serce ludzkie tyle ma w sobie ponęty ku szczęściu, że nie zna milszego uczucia jak patrzyć na nie; cóż dopiero jeźli to szczęście tkliwości jego jest dziełem? Ach, kiedyż nadejdzie ta pomyślna chwila, kiedy wszystkie wioski nasze podobną postać przybiorą, kiedy w kmiotku, i pan jego, a co więcéj on sam człowieka widzieć zacznie. Każdy ziemianin powinien jechać do Włostowic, tam się uczyć jak zdobić wioskę swoję, jak włościan uszczęśliwiać. Słyszeć można nieraz wielu młodych narzekających na czczość życia, i jakby mających żal do nieba, że ich na taką nieczynność stworzyło; jeźli tylko posiadają własny kawał ziemi, niech się wioską swoją i ludem w niéj mieszkającym zajmą, a zaręczyć można, że te starania dostarczą im sowicie zatrudnienia i szczęścia. Te myśli i życzenia zajmowały mnie i towarzyszów moich jadąc przez Włostowice; ale wnet zapomnieliśmy o wszystkiém wjechawszy do Puław; lubo z téj strony nie tak jeszcze piękne się wydają, jak są w istocie; chcąc je widzieć w całéj okazałości, trzeba na *Górę* jechać, późniéj przez Wisłę się przewozić; wtedy objąć można jednym rzutem oka:

To nadbrzeże, zatoków nadwiślańskich czoło,
Pasmem gór i pagórków uwieńczone w koło,
Gdzie natura zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbiorem,
Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem.

Ztamtąd widać zabudowania Puławskie porządne i gustowne, wielkie zajezdne domy, na górze piękny kościół, na pamiątkę Maryi z Sieniawskich księżnéj Czartoryskiéj, przez wdzięcznego syna opiece *Boga Rodzicy* oddany; ztamtąd wspaniały pałac książęcy, tarasy, a w pośród nich na wierzchołku góry, ukazującą się niekiedy *Świątynią Sybilli*. Spostrzegając za jednym rzutem oka tyle piękności, domyślając się ile ich jest ukrytych, chęć jak najwyższa porywa przypatrzyć im się szczegółowo i porządkiem. Takeśmy téż uczynili, a zabawiwszy chwil kilka nad Wisłą dla

ogólnego widoku, ruszyliśmy do pałacu i ogrodu. — Już to w Puławach wszystko piękne, wszystko inaczéj jak w innych miejscach Polski; niedoszedłszy jeszcze do mieszkania książęcego, już wiele ślicznych domostw i ogródków widzieć można; ja sądzę, że Puławy przypominać muszą owe wsie angielskie, w których nie sami wieśniacy mieszkają, ale rodzin kilkanaście rozmaitego majątku i stanu, ma swoje własne lub najęte mieszkania; tym sposobem tworzy się miejsce wesołe, ludne, które przyjemności życia miejskiego i wiejskiego łączy. Jakby przedziwnie było, gdyby i u nas we wszystkich piękniejszych włościach podobnie się działo; gdyby można nie mając dóbr, i kłopotów ziemiańskiego gospodarstwa, mieszkać jednak na wsi i mieszkać u siebie. Zaprowadzenie podobnego zwyczaju upiękniłoby wnet włości polskie, a nawet zwiększyłoby liczbę swobodnie żyjących osób. Przekonać się o tém można w Puławach; jak tam wiele mieszka rodzin, jak widać że im dobrze, i jak niemi to miejsce zdobi się i ożywa. — Na dziedzińcu pałacowym osadzonym nieregularnie drzewami jest krąg wody, z pośrodku któréj wytryska fontanna; wprost pałacu ulica przez las przecięta, a po prawéj stronie wabi każdego prysionek kilkunastu kolumnami wsparty, który wnijściem jest do ogrodu. Napisu łacińskiego treść taka: Tu niech prowadzi trosków życia słodkie zapomnienie. Spełnia się dosłownie, bo na samym wstępie tyle piękności uderza, że zapomnieć o wszystkiem można; przedstawiają się po bokach szklarnie:

Gdzie całe królestwo flory z czterech końców świata,
Oddycha w pośród lodów słodkiem tchnieniem lata.

staje przed oczyma ogród najwspanialszy. Po prawéj ręce drzew obfitość, zdaje się, że końca ten ogród nie ma; w pośród nich wycięte gdzie niegdzie widoki na łachę od Wisły, Kempę, Włostowice, Parchatkę, Góry; po lewéj, trawniki dziwnéj gładkości, na których to rozliczne kląby z drzew, najpiękniéj dobranych, opasane wstęgami z kwiatków, wznoszą się w różnéj wielkości i kształcie, w rozmaitéj odległości; to znowu samotne drzewa lub para ich najtrafniéj ożeniona; to nareszcie ścieszki i drogi, stopą natury zdające się być wydeptane; wprost zaś wspaniałe

ulice z drzew starożytnych a na ich końcu wspanialsza i piękniejsza nad wszystko świątynia *Sybilli*. Lubo w samym ogrodzie dobór drzew i to nawet rzadkich z obcych krajów przeojczyznionych, tysiące spostrzeżonych, ukazujących się, z daleka zgadywanych piękności zatrzymaćby chciały miłośnika natury, któreż serce polskie nie zaspokoi najpierwéj szlachetnéj swéj żądzy, a mijając przyrodzenia powaby, nie zakołace do drzwi téj świątyni, która chlubną *przeszłość przyszłości* podaje, pamiątkami swemi teraźniejszość słodzi.... Sama téj świątyni powierzchowność już dzielnie przemawia; kształt jéj, rozmiar i ozdoby, zupełnie podobne do starożytnego we Włoszech kościoła. Tam nad brzegami rzeki Anio wznoszą się szczątki Tyburtyńskiéj Sybilli; te w całéj okazałości i świeżości Izabela Czartoryska nad brzegi Wisły przeniosła; tam niegdyś pogańska kapłanka mniemane cuda, fałszywe wróżby głosiła; tu prawdziwa Polka rzetelne cuda tkliwości swojéj, wróżby niemylnéj i pociechy zebrała..... Cieszmy się jako Polki i niewiasty, że pomysł tak tkliwy i szczytny zebrania na grobie ojczyzny pomników jéj chwały, osoba płci naszéj poczęła i wykonała. Kiedy nieszczęsna Polska po tak długiém konaniu ostatnie tchnienie wydała, księżna Czartoryska, chcąc przynajmniéj jéj popioły od zguby uchronić, wzniosła jéj ten grobowiec, napełniła go drogiemi sławy naszéj zabytkami; podobna owym dzieciom, dla których, gdy matkę ukochaną stracą, jedyną roskoszą strzedz zwłok jéj, zbierać pozostałe po niéj pamiątki.... Ileż trudów, nakładu, pracy, zachodów, ponieść musiała, nim ten tkliwy zamiar przyprowadziła do skutku? Ileż jéj winien wdzięczności każdy, w kim tylko krew Polaka płynie? Był czas, kiedy najchlubniejsze, najkosztowniejsze narodowe pamiątki do obcych stolic przewożono; tak porozrzucane, byłyby zaginęły wszystkie; ileż ich wydarła zagubie? ile nieznanych odkryła skarbów? Każdy bowiem składał z radością w jéj ręce, jakie tylko posiadał ojczyste zabytki, i ten zbiór tak obfity i bogaty wzrósł z nadzwyczajną szybkością; ileż wdzięczności następne wieki mieć jéj będą? Sybilla wiele światła na dzieje Polskie rzuca; ona jest, że tak powiem, owém czarodziejskiém zwiercia-

dłem, w którém dalekie nawet przedmioty wyraźnemi i bliskiemi się zdają; w niéj objąć można jednym rzutem oka cały ciąg jestestwa Polski. Smutne zmiany, skutek błędów naszych, zakryły wprawdzie to zwierciadło czarną zasłoną, jednak blask wspomnień przebija... Życzyłabym rodzicom dla saméj nauki wozić do Puław swe dziatki; dokładne obejrzenie pamiątek w Sybilli zebranych, możeby im lepsze dało wyobrażenie upłynionych wieków od niejednéj książki. Wymienić tu każdéj z tych pamiątek nie mogę, ile że mąż znany zaszczytnie w literaturze naszéj wygotował uczony i pracowity spis ich; nieznany jeszcze publi czności, jest on w téj chwili przed memi oczyma.

Ruiny Trębowli.

Przyjaciel Ludu.

W dziejach wojen narodu naszego pamiętną jest obrona bohaterska Trębowli w roku 1675, któréj opis zostawili nam Andrzéj Załuski w listach swoich, Coyer w historyi Jana III. i inni. Szczegóły jéj są następujące: Wódz turecki, Ibrahim basza (Coyer nazywa go Kara Mustafa), po kilku klęskach, które Tatarzy ponieśli, postanowił kampanią roku 1675. świetnym czynem zakończyć. Nieśmiejąc (choć miał liczne zastępy) uderzyć na garstkę walecznego wojska polskiego pod dowództwem Jana III., poszedł raczéj pod Trębowlę. Był to zamek położony na dość wysokiéj skale, otoczony głębokiemi fosami i grubym murem, oblany naokół rzeką Janów, głęboką, błotnistą, dzielącą się na wiele ramion. Przystęp do niego był z jednéj tylko strony wąską i zakrytą drogą.

Ibrahim basza pochlebiał sobie, że Trębowlę weźmie, nim Jan III. na odsiecz przybyć zdoła. Pragnąc atoli oszczędzić krwi Jańczarów, a przytem dopiąć swego celu, uciekł się do chytrości. Nabawiało go obawy męztwo dowódzcy zamku. Był nim Samuel Chrzanowski, żyd chrzcony, rodem z miasteczka Chrzanowa pod Krakowem. Ibrahim miał pomiędzy jeńcami polskimi szlachcica niejakiego Makowskiego, któremu, rozkazawszy go do siebie przyprowadzić, zalecił surowo, aby napisał do Chrzanowskiego list w téj

myśli: „Nie upierając się bronić nadaremnie twierdzy, która niezawodnie upaść musi, myśl raczéj o zjednaniu sobie łaski zwycięzcy, niż o ściągnieniu gniewu jego na twoję głowę. Poddając się niezmiennemu przeznaczeniu, możesz się spodziewać wraz z załogą i mieszkańcami łaskawego obejścia. Wiedz przytem, że Ibrahim basza, pomimo surowych zakazów Machometa, może udzielać swoje względy, komu się spodoba, a nadewszystko umie on rozróżniać, do gminu mężów dzielnego serca.“

Chrzanowski odebrawszy ten list, odpowiedział nań osobno Makowskiemu, osobno Ibrahimowi. Odpowiedź dana ostatniemu była dumną i szlachetną: Mylisz się, mówi w niéj Chrzanowski, „jeśli sądzisz, że u nas złoto znajdziesz: w zamku trębowelskim niema nic więcéj, tylko żelazo i garstka wojska. Ale odwaga nasza jest bez granic. Nie rój więc sobie, że ci się poddamy; gdy ostatni z nas zginie, w tenczas dopiero zamek weźmiesz. Dobitniejszą odpowiedź gotują ci paszcze moich dział.“

Po takiéj odpowiedzi, seraskier pieniąc się od wściekłości, wydał natychmiast rozkaz strzelania do zamku. Nie zbywało mu bynajmniéj na męztwie: nieraz widziano go w przykopach naglącego Jańczarów, pomimo gradu kul wydanych z dział twierdzy. Polacy bronili zamku na podziw dzielnie: wszyscy pełnili swoje powinności, a żona dowódzcy, także chrzcona żydówka, piękna jak Judyth, nie mogąc, jak owa, uciąć głowy śpiącemu wodzowi nieprzyjaciół, wypadała na czele małych oddziałów wojska, brodziła w krwi pochańców, niszczyła ich roboty, walczyła na wałach.

Wszakże pomimo tak mężnéj obrony twierdzy, szlachta podolska, która się do niéj chroniła, widząc wyłom w murach, co godzina się powiększający, i obawiając się, aby Ibrahim wziąwszy szturmem Trębowlę, w pień wszystkich nie wyciął, utraciła odwagę. Zebrawszy się więc w jednem mieszkaniu, uradziła poddać zamek nieprzyjacielowi. Chrzanowska dowiedziawszy się o tém, pobiegła natychmiast do męża, zajętego na wałach wydawaniem rozkazów obrony, i odkryła mu niecny zamach tchórzów i samolubów.

Dzielny Chrzanowski udaje się natychmiast do koła

nikczemników i rzecze do nich: „Wątpliwą jest jeszcze rzeczą, czy nieprzjaciel twierdzę weźmie, ale pewną, że was wszystkich w tém miejscu spalę, jeźli w podłym zamiarze waszym trwać będziecie. Żołnierze stoją za drzwiami z zapalonemi lontami i na jedno skinienie wykonają moje rozkazy.“ Widok śmierci nieuchronnéj wrócił im odwagę. Zawstydzeni, pobiegli na wały, pragnąc hańbę tę zatrzeć męztwem.

Tymczasem seraskier dowiedziawszy się, że Jan III. na czele 33000 wojska, Trębowli na odsiecz idzie, przyspieszał attaki. Twierdza wytrzymała ich już cztery, ale szeregi walecznych jéj obrońców przerzedziły się znacznie i sam Chrzanowski zaczął się lękać piątego i zamyślał już o poddaniu. Chrzanowska, poznawszy zamysł męża, porywa dwa sztylety i biegnie do niego. „Tym cię,“ rzeczę „jeźli się poddasz, przebiję; ten w własnem łonie utopię!“ Taką nadludzką odwagą małżonki swéj zadziwiony Chrzanowski, postanowił raczéj się w gruzach zamku zagrzebać, niż go poddać Turkom. Odparł jeszcze kilka szturmów i oczekiwał bohaterskiéj śmierci, gdy wtém Jan III. nadszedł z wojskiem polskiem i litewskiem pod Trębowlę, pogromił seraskiera i zamek został ocalony.

Chrzanowski zyskał za dzielną obronę wyższy stopień w wojsku; załoga prócz zaległego żołdu, otrzymała nagrodę w pieniędzach; a Chrzanowska, prawdziwa zbawczyni zamku, która na wdzięczność narodu i na posągi zasłużyła, musiała przestać na samych pochwałach.

Zamek w Brzeżanach (w Galicyi).

Z obrazów Galicyi.

W odległości 10 mil od Lwowa, w cyrkule brzeżańskim, leży miasto Brzeżany, otoczone na około wałami. Miasto to w czasach dawniejszych do najobronniejszych miejsc należało, już to przez wzgląd na naturalne jego położenie, już téż dla tego, że sztuka ludzka uczyniła je prawie niedostępném. Po kilkakroć kusili się o nie nieprzyjaciele, lecz wstydem okryci, zmuszeni zawsze byli do odwrotu. — Obok starożytnéj fary, fundacyi Sieniawskich,

wznosi się na rozległéj równinie obronny zamek, oblany w koło rzeką, miano *złotéj Lepy* noszącą, dzielącą się na dwa koryta. Zamek ten, otoczony wałami, jedno tylko miał wejście przez żelazny most, na łańcuchach zwodzony; opatrzony był strzelnicami do dział i ręcznéj broni. Nad bramą znajdował się napis, herby polskie i litewskie, u spodu zaś herb Sieniawskich. Po lewéj stronie stała ogromna ośmioboczna baszta, w któréj był skład starożytnéj broni. W zbrojowni téż odmalowany był pogrzeb Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego, a któremu w całéj okazałości towarzyszy *Zygmunt August* w gronie znaczniejszych panów polskich, wyprowadzając ciało jego z Lublina. Lewa strona zamku od baszty, jest znacznie zrujnowaną. Nad bramą były mieszkania dworu Sieniawskich, gdzie później zaprowadzono klasztór O. O. Bartoszków.

Po prawéj ręce bramy, znajdują się ganki, podobnie jak w zamku krakowskim, wsparte na filarach. Nad filarami, równo z dachem, wznoszą się trofea i herby założycieli grodu tego. Na pierwszém piętrze były pokoje, *wiedeńskiemi* zwane, założone przez Mikołaja Hieronima Sieniawskiego, hetmana w., na pamiątkę sławnego zwycięztwa nad Turkami pod Wiedniem, gdzie lewém dowodził skrzydłem. Obraz tam był pendzla mistrza szkoły włoskiéj; osoby wszystkie wystawione w kolosalnéj wielkości, a w perspektywie cała bitwa pod Wiedniem. Dziś sala ta zupełnie jest spustoszoną. — Na drugiém piętrze były pokoje, *złotemi* zwane, w podobieństwie znacznie do tych zbliżone, które się w zamku krakowskim znajdują; głowy sławnych ludzi snycerskiéj roboty, malowania, drogie makaty i obicia zdobiły ściany; sufit, na płótnie malowany, wystawiał tryumf Bachusa. W roku zeszłym zrzucono resztę tych ozdób.

Na dziedzińcu stoi kościół, poświęcony N. Pannie, pokryty blachą. W nim mieściły się groby familijne Sieniawskich, z czasów, kiedy ci jeszcze Aryanami byli. Posągi ich marmurowe stały w około przy ubocznych ołtarzach, z napisami u góry bronzowemi, wyszczególniającemi stopień ich godności i czas śmierci. Po prawéj ręce

była kaplica, a w niéj złożone zwłoki Sieniawskich, wyznania katolickiego. Nagrobki ich były rznięte z marmuru, podobne królewskim, bo przez tych samych mistrzów, co i w Krakowie w kaplicy Zygmuntów robione; wyobrażały rycerzy w zbrojach, wspartych na ręku. Dziś nie masz ani śladu tych pomników; cała kaplica obrócona na składy rzeczy wojskowych.

Za zamkiem widzisz szczątki niegdyś obronnego ogrodu, na gospodarskie budynki częścią przez dawniejszych właścicieli, częścią przez dzisiejszego dziedzica, hrab. Alex. Potockiego zamienione.

Rozwaliny zamku odrzykońskiego.

Z obrazów Galicyi.

W oddaleniu jednéj mili za król. miasteczkiem Krosnem, leży na równinie, ciągnącéj się ku obwodowemu miastu Jasłu, mała wioska Odrzykoń. W tyle wznosi się wysoka góra, na któréj skalistym szczycie powalone gruzy niegdyś wielkiego zamku Kamieńca spoczywają. Ztąd to przedstawia nam się daleki i pyszny widok, jak rzadko znaleźć można. Przed sobą mamy urodzajną równinę, przerzniętą wieloma zagięciami rzek Wisłoki i Lubatówki. Na przodzie ku południowi wychylają się z niebieskiego morza powietrznego, mgliste szczyty Bieszczadów — ciągnącego się pasma Karpat — z pomiędzy nich wystaje najbardziéj góra *Cergowa*, u któréj stóp wierzchołki wież miasta Dukli dostrzedz można; daléj ku południowo-wschodniéj stronie, widać błyszczące w promieniu słonecznem dachy miasteczka Rymanowa, co niezwykłe sprawia wrażenie. Pod górą zamkową spoczywają w wiejskiém zaciszu: przemysłowe miasteczko Korczynna, znane z swych wyrobów obrusowych, i park angielski we wsi Kąbornia z kształtnym pałacykiem. Ku północy bystre, lasem porosłe, skałami i złomami pokryte wzgórza, ograniczają widok. Ku zachodowi buja roskoszą upojone oko po nad równiną, wieloma miejscami obsianą, na któréj się szczególniéj ładnie Jasło, Ulaszowice, Moderówka, Gorajowice, Tarnowiec i Krosno wydają.

Zamek sam należał niegdyś do największych w kraju; północno-zachodnia część jego najmniéj jeszcze ucierpiała. Obszerny cztero-graniasty dziedziniec otaczają wysokie mury, na skałach spoczywające. W południowo-zachodnim końcu wznosi się cztero-graniasta baszta, w środku zaś widać ślady stajen i piwnic. Do tego przytyka wysoki, na stromych skałach sztucznie wystawiony, gmach, niegdyś o kilku piętrach. W skałach widać wykute wschody i framugi, kamienne osady drzwi i okien, nad któremi się zewnątrz herb Firlejów znajduje. Opierają się dotąd niszczącemu czasowi i udzielają dalekiego widoku na romantyczne okolice. Na wierzchu w murze są strzelnice i małe chodniki, a daléj była trzykątna zbrojownia z gotycką kamienną bramą. Za nią prowadził sklepiony kurytarz do kaplicy zamkowéj, gdzie dotąd jeszcze szczątki kamiennéj kazalnicy widać. Obraz ołtarzowy, przedstawiający św. Antoniego, przeniesiono do farnego kościoła w Odrzykoniu. Po kaplicy zamkowéj następuje reszta już mniéj obronnych pokojów mieszkalnych, opatrzonych dokoła murem otaczającym, bramą zajezdną i obszernym dziedzińcem, w którym się głęboka, w kamieniu kuta, teraz już zasypana studnia znajduje. Mocna baszta i wysoka kamienna wedeta, kończą całe długie zabudowanie zamkowe. Całe to wzgórze, otoczone było głębokiemi okopami i wałami, także krętą drogą zamkową, która do kilka-milowego podziemnego ganku prowadziła.

Zbudowanie zamku tego, dla skalistego swego położenia *Kamieniec* zwanego, przypada w czasy najdawniejsze. Z początku zdaje się, że to było do nabożeństwa od starych pogan używane miejsce, albowiem dotąd jeszcze widać ślady widoczne pogańskiego ółtarza kamiennego w wedecie zamkowéj, który co do kształtu zgadza się zupełnie z wszystkiemi innemi dotąd odkrytemi. Późniéj przeszedł zamek Kamieniec, tworzący oddzielne, Krosno obejmujące starostwo, w posiadłość rodziny Bonarów, Firlejów i Moskorzewskich, którzy tutaj, podług podania, byli zwolennikami aryanizmu. W 17. wieku był własnością Kamienieckich. Ragotzi podczas napadu swego w Polsce oblegał zamek ten przez długi czas bezskutecznie. Załoga

omamiła — jak podanie głosi — oblegających przez rzucanie ryb suszonych, aby ukryć niedostatek żywności. Lecz gdy już największa nastąpiła potrzeba, umknęła przez ganek podziemny z zamku, a rozjuszony tém podejściem Ragotzi, nasycił wściekłość swoją zburzeniem zamku.

Kaplica zamkowa przez długi czas w całości stała, a jeszcze przed kilkoma laty żył tamże we wsi stoletni starzec, który w młodości swojéj do mszy św. w kaplicy téj sługiwał. Kościół Kapucynów w Krosnie wystawiono prawie całkiem z kamieni ciosowych, z zamku branych. Dotąd jeszcze wyciąga chciwość z szanownych gruzów kamień po kamieniu i z dziką obojętnością niszczy zabytek, któryby długi czas mógł być jeszcze ozdobą kraju.

Kalwarya zebrzydowska.

Przyjaciel Ludu.

Do najciekawszych miejsc na drodze z Biały do Lwowa, należy sławne miejsce pielgrzymek pobożnych w obwodzie wadowickim, Kalwarya Zebrzydowska, tak po swym założycielu nazwana. Miejsce to rozróżniać należy od Kalwaryi Pacławskiéj, dwie mile od Przemyśla odległéj, zwłaszcza, iż to ostatnie co do bogactwa, piękności i wspaniałości kościołów i kaplic, jako też co do swego położenia i widoków, daleko niżéj od pierwszego stoi. U stóp góry Kalwaryi leży miasteczko Kalwarya, liczące 1800 mieszkańców, trudniących się tkactwem i rólnictwem. Otwiera się ztąd daleki widok na nadwślańskie okolice, a żaden obcy i krajowiec nie wstępuje bez zachwycenia na górę Kalwaryi, ten najwyższy wierzchołek pasma przedgórzy, składającego się z dawniejszego i późniejszzgo piaskówca i wapienia, między któremi jednakowoż pierwszy w znaczniejszéj znajduje się ilości. Pomiędzy ciemnemi jodłami i sosnami, jakiemi góra Kalwaryi jest porośniętą, wystaje mnóstwo bielejących się kaplic, z których każda osobnéj scenie z męki naszego Zbawiciela jest poświęcona; widok onychże wzbudza pobożne religijne uczucia. Do tego to świętego miejsca pielgrzymuje corocznie mnóstwo pobo-

żnych pielgrzymów z Galicyi, Polski, Węgier, Szląska i Morawii, aby odprawiając swe nabożeństwo w tych świętych miejscach, wiarę swą wzmocnić, lub święte śluby wypełniać.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje tutaj klasztór Bernardynów z dużym kościołem, przy którym obecnie 16 braci zakonnych wraz z przełożonym żyje. Teologiczny naukowy zakład dla zakonników galicyjskich, miał tu od czasu swego powstania siedlisko, dopóki w r. 1830. nie został do Lwowa przeniesionym. W krużgankach klasztornych wiszą popiersia familijne Zebrzydowskich i piękny obraz sw. Franciszka w grobie, u którego stóp papież w nabożeństwie zatopiony klęczy: naprzeciw wielkiego ołtarza wisi obraz króla polskiego Władysława IV., który w roku 1621. po zycięztwie chocimskiem uroczyste dzięki najwyższemu składał, oraz i drugi obraz, przedstawiający odwiedziny śp. zmarłego cesarza Franciszka.

Założycielem tego sławnego miejsca pielgrzymek pobożnych, jest Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski i starosta lanckoroński, który żałując za rokosz podniesiony, i chcąc przebłagać poległych w téj walce wraz z żoną swą Dorotą Herburtową, tutaj kościół zbudować postanowił. W tym to celu przykazał dworzaninowi swemu, Hieronimowi Strzale, przedsiębiorącemu właśnie pielgrzymkę do Jerozolimy, dla odwiedzenia grobu Zbawiciela, aby mu przywiózł rozkład budowniczy tamtejszego kościoła św. krzyża i Bożego grobu. Strzała powrócił 1600. r. i przywiózł żądane rozkłady budownicze, poczém Zebrzydowski 4. Października 1600. r. kamień węgielny do teraźniejszego kościoła położyć kazał. Koło budowy tak pilnie pracowano, iż już rok późniéj, to jest 4. Października 1601, stanął z ciosowego kamienia zmurowany kościół, który papiezki poseł na polskim dworze, Klaudyusz Rangoni, w przytomności krakowskiego biskupa Bernarda Maciejowskiego, uroczyście poświęcił. Roku 1602. powziął Zebrzydowski myśl zbudowania klasztoru wraz z kościołem. Bernardyni, mieszkający wtedy w Radomiu, chętnie przyjęli wezwanie, a w roku 1603. poświęcił wspomniony wyżéj biskup krakowski, kamień węgielny nowéj bu-

dowy. Aż do ukończenia onejże, kazał założyciel wystawić drewniany budynek z pomieszkaniami dla pięciu braci zakonnych. W owym czasie znajdował się w téj okolicy komisarz ziemi św. O. Chryzostom z Kopranicy, któren wiele podobieństwa między tém miejscem a Jerozolimą upatrywał. To było powodem pobożnemu założycielowi, iż podług rozporządzenia sławnego miernika i nauczyciela matematyki, Szczęsnego Zebrowskiego, podobne gmachy, jak ratusz Piłata i grób Chrystusa, w Jerozolimie wystawione, już dobudować kazał. Wewnętrzne niespokoje krajowe, oddaliły na 3 lata założyciela od swego miejsca ojczystego i były przyczyną, iż dopiero po swym powrocie w roku 1609 klasztór i resztę budynków OO. Bernardynom uroczyście mógł oddać. Całe założenie potwierdził król Zygmunt III. Aż do roku 1616 sam założyciel budową był zajęty, po śmierci zaś dokończył syn jego Jan wszystkie kaplice i budowy. Michał Zebrzydowski, również wojewoda krakowski kazał kościół wraz z klasztorem rozszerzyć i powiększyć. Tyle nam dzieje o założeniu Kalwaryi powiadają. Poniżéj miasteczka leży wieś Zebrzydowice z klasztorem Miłosiernych braci, którzy się trudnią pielęgnowaniem chorych z okolicy.

Skowronek.

Gdy żyjące przyrodzenie budzi się ze snów zimowych, śpiew skowronka jest jakby hasłem do życia wzywającem. Dźwięczna i tkliwa piosnka jego, jest niby kwileniem dziecięcia, jest jakby głosem natury, która na podobieństwo pierworodnéj córy przedwiecznego Ojca, pierwszém słowem po imieniu Go wzywa, jest pierwszą prożbą, jaką o ciągłą opiekę nad sobą doń zanosi. Lecz dla nas, co kipiącą czarę żywota już dopijamy, cośmy z niéj znikliwą pianę nadziei już spili, chociaż może nie zasmakowali, dla nas, którym do spełnienia gorzki tylko męt pozostał, godzi się przynajmniéj w tym śpiewie dosłuchiwać się śpiewu pocieszycielki *wiary*. Bo i powiedz tylko, jeżeliby nawet tobie się zdarzyło, zdala od społecznéj wrzawy, stanąwszy wśród niwy,

posłyszeć tego śpiewaka, co w górną wzbijając się krainę, zawsze miłem, zawsze rzewnem, ale coraz to słabszem do ciebie ozywa się pieniem, jakieżto w tenczas w twéj duszy obudziłoby się uczucie? Za tym głosem, czyliżby i duch twój, nie ulatywał po nad ziemię, coraz wyżéj, coraz wyżéj, gdzieś w przestwory nieziemskie, gdzieś w krainę pożądaną, przeczuwaną, chociaż nieodgadniętą, w któréj spodziewasz się znaleźć to, co w mowie ludzkiéj szczęściem zowiemy, która jest prawdziwą naszą dziedziną, w jakiéj ujrzymy niebieskiego Ojca naszego? Na głos ten baczne natężaj ucho: bo to nie dźwięk sztuczny, co przebrzmi jałowo; jakeś za nim oderwał się od ziemi, tak z nim znowu powrócisz, i przypomnisz sobie, że to jest pole twojéj zasługi, szranki doczesnego bojowania, z którego wyszedłszy zwycięzcą, zamieszkasz na zawsze ową niebieską ojczyznę, do któréjś tęskną duszą gonił, i którą ci przypominał, wprawdzie w zmysłowy sposób, zawsze jednak o niéj głos do ciebie mówiący. Może ten język wieku, w którym się już dobiega naznaczonego kresu, nie jest zrozumiałym w epoce, kiedy się jeszcze zawód rozpoczyna; rzecz to będzie dosyć naturalna, ale jednak dla nas nie zniechęcająca. A więc chódź jeszcze posłuchać śpiewu skowronka na innéj niwie, na niwie wspomnień; chódź z nami na smętarz, chociażby i na Powązkoski, jak się to nam przytrafiło: może tam, po ludzku rzeczy biorąc, chociaż przedwczesne, masz już swoje wspomnienia. Jeśliby ci klęczącemu z pochyloném od smutku czołem nad mogiłą, jeźli nie drogiéj przynajmniéj nieobojętnéj osoby, zdarzyło się zasłyszeć śpiew naszéj ptaszyny, i cóżbyś uczuł w téj chwili? Są wrażenia, do których oddania nie ma głosu w językach żyjących; to nieprzystępne ducha tajemnice; to jest nie dająca się podzielić, wyłączna własność, duszy; zmysłowym nie wystawisz jéj sposobem. My przynajmniéj nic więcéj nie umiemy, jak podobne pytanie rzucić ci, miły czytelniku, i obudzając wspomnienie chwili dla ciebie przypuszczonéj, a dla kogoś drugiego rzeczywistéj, nie możemy nic innego powiedzieć, jak tylko: Błogosławionaś, jedyna pocieszycielko wiaro święta!...

Róża.

Któż z nas nie podziwiał téj, jak ją zowią, *królowéj kwiatów?* Chociaż ją każdéj wiosny, z nowém witamy weselem, jednakżeśmy nieco zobojętnieli na jéj piękność; gdybyśmy jéj nie znali, a jaki przychodzień z Persyi lud Indyi, nam ją po raz pierwszy okazał, naówczas ten dziw natury, w jakieżby nas wprawił zdumienie! Dziś miejsce jego zajmuje tylko przyjemność; miałożby to być skutkiem oswojenia się, nawyknienia? Przytem zrywając ją do twego bukietu, miéj się na baczności, bo jéj łodygę porastają kolce. Zerwij jednak tę pyszną kwiatów panią, co się lekko chwieje na kolczatéj szypułce, rozkołysanéj od zefiru; którą zorza odziała w swą szatę; którą niebo łzami rosy zwilżyło; którą słońce rozkoszną napełniło wonią. Zerwij ją, i zajrzyj do środka — tam czasem bywa szmaragdowy chrząszczyk, co żywość jéj karminów podnosi. A później się przysłuchaj, co ona mówi do ciebie; podobno rzeknie: Jam godłem rozkoszy, tak dla moich powabów, jako też dla znikliwości; jak ją, tak i mnie, otaczają liczne niebezpieczeństwa; strzeż się, bo ona w swém łonie, ukrywa często zgryzotę, na podobieństwo owadku, który listki moje toczy! A my do téj mowy różanéj przydajemy, to jedno botaniczne spostrzeżenie, że zwykle im kwiat jest ponętniejszy, świetniejszy, tém bywa znikliwszy; prędko uwiędną jego listki, zżółknie barwa, i z całéj krasy pozostanie nagi szkielet. Młody czytelniku, pomyśl jednak kiedy niekiedy o życiu róży, i przypomnij co powiedziano: „że wszelkie ciało jest trawą; a wszystka zacność jego, jako kwiat polny. Trawa usycha, kwiat opada, skoro wiatr Pański nań powionie. Zaprawdę ludzie są tą trawą!“ Taka jest ziemska pomyślność. Wszystko marnością. Lilie i róże pięknego oblicza więdną, i śmierć okropna ani śladu ich nie pozostawia.

Słowik.

Pod względem śpiewu posiada słowik poważne przywileje, i dawne podania za nim mówią. W istocie nie ma

w przyrodzeniu piosnki, któraby tyle przejść i zmian ruchomych, tyle uczucia i wyrazu, tyle mocy i czystości dźwięku w sobie zawierała. Śpiew jego, to pełen życia dramat, który uczucie w dziedzinę zmysłową wytchnęło, przyodziawszy nieujętą, prawie niecielesną szatą głosu. Jeżelibyśmy to pienie, jak skowronka, określić chcieli, tobyśmy je nazwali *śpiewem namiętności*, tak jest zmienne, tak burzliwe i mocne. Przysłuchajmy się arcydziełu tego kunsztmistrza. Zpoczątku jak biegły, lecz skromny, bo z prawdziwym talentem muzyk, lękliwemi niepewnemi tony, nuci jakąś cichą przegrywkę, zda się, że probuje swojego instrumentu, że uwagę słuchacza zwrócić pragnie; lecz w krótce, nabierając coraz więcéj pewności, stopniami się ożywia, rozgrzewa, zapala i unosi aż w końcu, z całą mocą zapału rozwija wszystkie zasoby niezrównaneego swego narzędzia, walczącego o lepsze z samą sztuką, któréj jednak ze ślepem podlega posłuszeństwem: to się rozlewa w tkliwych jękach smutku, to sypie żarem radości, to mdleje w skargach wspomnienia, to goni mary nadziei, to pląsa w szale tryumfu. Lecz nie kasajmy się na to, czego najbieglejsze pióra skreślić nie zdołały; śpiew słowika wszyscy pojmujemy sercem, nikt go jednak nie wyjaśni słowem. Poprostu więc uwielbiajmy mądre rządy Opatrzności, co każdego człowieka do zaznania rozkoszy usposobiła, chociaż wszystkich nie uposażyła w równe zdolności umysłowe. Też same jéj rządy na każdym znajdziesz miejscu, bylebyś ich tylko szukać zechciał. Alboż to nawet sama siedziba naszéj ptaszyny, nie jest ich dowodem? Gdyż słowik, na przekorę wyrojonym marzeniom niektórych poetów, upewniających, że nad wszystko przekłada samotność, nie szuka jéj jednak w głębi ciemnych lasów, lub w głuszy dzikiéj puszczy; lecz przeciwnie, zwykle przebywa po wesołych gajach, okolonych przez uprawne niwy lub łąki, po gęstych zaroślach, nadwodnych okolicach i ogrodach, jak gdyby szukał sąsiedztwa człowieka i czuł, że do umilenia jego bytu na ziemi jest przeznaczony; śpiewak ten odgaduje, że piosnka jego jest nie na to, aby bez celu przebrzmiała, lecz by czującą otrzeźwiła duszę. Przytém, ileż sprawiedliwości w całém uposażeniu każdego stworzenia. Niezrównani śpie-

wacy, słowik i skowronek, jakże ubożuchną otrzymali powierzchowność; nie odziewa ich jaskrawa pstrocizna papuzia, ani dumna świetność metalicznych pawich połysków. Kto wie, czy to nie na naukę dla nas i przestrogę, byśmy pod szarlatanizmém rozgłosu, prawdziwéj nie szukali wartości; byśmy udzielone nam zdolności, talenta lub nawet geniusz, w powabną skromności odziewali szatę; byśmy sądów na pierwszém wrażeniu nie zasadzali; byśmy pragnienia nasze powścignąć umieli, i nie pożądając świetności zmysłowych darów przyrodzenia, brak ich przymiotami duszy zastąpić usiłowali.

Len.

Na wilgotnych piaskach Persyi od początków świata żyła mała roślinka, z głęboko sięgającym korzeniem, z cienką i wysmukłą łodyżką, z liściem lancetowatym, z gwiazdkowatym kwiatkiem niebieskiego koloru, co poprzedzał torebkowaty owoc, w którym się ukrywały płaskie połyskujące nasiona. Istotka licha i słabiuchna, stworzonko szczupłe i delikatne, poziome ziółko, uginające się za najlżejszym wiatru powiewem, jednakże przed tysiącami lat zwróciło na siebie ludzką uwagę. Persowie odkryli w niéj włókno jedwabiste, na podobieństwo tego, co je przędzie gąsiennica żyjąca na morwie; Egipcyanie poszukiwali tę niteczkę, którą przerabiali na jędrne i miękkie tkaniny; w przody nim się nauki do dzikich dostały narodów, już zawitała do nich i wśród nich się pielęgnowała dobroczynna perska roślinka. Z niéj i przez nią, narodził się rodzaj oddzielnego potężnego przemysłu. Wełna bezpośrednio pokrywała ciało ludzkie, i trąd spustoszenia swoje rozciągał wszędy, gdzie najstaranniejsze ochędóstwó nie przybyło na pomoc człoiekowi. Tymczasem pomiędzy obcisłe suknie i tuniki a ciało, wcisnęła się tkanina z włokien drobnéj roślinki o błękitnym kwiatku, i zatrzymała się na tém stanowisku, pod imieniem koszuli.

Z tego cośmy powiedzieli, do razu poznajesz len; lecz ze wzmianką téj wdzięcznéj dziś już naszéj roślinki, łączą

się inne niemniéj zajmujące wspomnienia. Wiesz jak upadły owe zwoje papyrusu, na którym starożytni rysowali raczéj niż kreślili swoje myśli; przenosisz się natychmiast pamięcią na północ, gdzie znajdujesz sagi spisane na szmatach kory, przywodzisz sobie na myśl owe liście katalpy, na których postrzegasz dziwnéj prostoty malowidła pierworodne chińczyka; późniéj staje w twéj wyobraźni długi szereg wieków, w którym pargamin służył za przewodnika dla myśli ludzkiéj. Lecz przy tych środkach powolnych, niedołężnych, kosztownych i znikliwych widziałeś, jak się ludzkość zatrzymywała w swéj drodze; jak brodziła w ciemnocie i grzęzła w bezwładności, błędach i niewiadomości. Mała roślinka perska o niebieskiém kwieciu znowu się na myśl nasuwa; i gdy się len zużył, gdy uchroniwszy człowieka od jadowitych i zgubnych chorób, tkanina z jego włókien rozpadła się na szmaty, na gałgany, na coś bez żadnéj wartości, postrzegasz jeszcze, jak ta nicość, bez najmniéjszéj ceny, przekształca się na nowo w papier, papier piękny, trwały i mocny, co pod ręką geniuszu lub namiętności zamienia się w potężną dźwignię, jaka wstrząsa światami, i porusza ludzkie społeczeństwa. Oświata bez arkusza papieru zachwiałaby się, zatrzymała w swéj drodze; a ten papier jest włóknem lichéj roślinki, którą piaski wychowały.

I nie dość, że myśl ludzka, przywołując ku pomocy to odrobinę sadzy i odrobinę oleju, to trochę żelaza i trochę owadziego gniazda, wypiętnowała się na zawsze na pilśni, powstałéj z przerobionéj szmaty, z przetrawionego gałgana; lecz trzeba jeszcze było, aby własność, aby złoto, aby mienie, krążyły w postaci tego papieru, i były przedstawione przezeń, który będąc w swéj treści lichém tylko roślinném włóknem, zamienił się w godło wartości. Lecz wysłużywszy się jako płótno i papier, w końcu na pieniądz się zmienił.

Jeżeli dzielność pomysłów rozumu może się masom udzielać i do potomności przechodzić, to pewno najskuteczniéj, za pośrednictwem owych wielkich wypadków w ludzkości, które im przekazuje umiejętne czarodziejstwo sztuki malarskiéj. Wiadomo jak ogromnéj, prawie bajecznéj ceny, doszły arcydzieła Rafaela, Michała Anioła i Rubensa.

I tu znowu, ze lnem się spotykamy, co się stał prawdziwém źródłem postępu sztuki, i środkiem zachowania jéj utworów, oraz, powiększenia ich wartości wzrastającéj z latami. Pewien Belgijczyk zajął się zbadaniem własności oleju, zawartego w błyszczącém nasieniu lnianém, on go przesmażył, pomięszał z swojemi farbami i przewrót w sztuce malarskiéj porodził; nadał barwom świetność i nieznaną dotąd przejrzystość, a nadewszystko własność opierania się niszczącéj potędze czasu.

Nic tu niepowiemy o pomocy, jaką z tego nasienia ciągnie nauka lekarska, szukając łagodzącego środka w klejowatości drobnego ziarnka. Nic tu niepowiemy, o rozmaitych lekach, które się robią z tych ziaren całych, pośrótowanych, lub zmełtych, a dla swéj nizkiéj ceny przystępnych dla chorego biedaka, lub domowéj apteczki; zarówno też pomijam w milczeniu, wzięty z innéj widowni, ów zbytek i delikatność, wytworność i piękność owych koronek, które w oczyszczoném lnianém włóknie, jako w materyi pierwotnéj, czerpią owe przymioty odpowiadające wszelkim wymaganiom sztuki, służącéj najwykwintniejszym ubiorom.

Lecz czasy dzisiejsze, odkryły jeszcze niewyczerpane dla swych potrzeb źródła w téj jednéj roślince, która dokładnie zbadana, mogłaby się stać dowodem, iż nieskończenie dobra Opatrzność troskliwie czuwa nad losami ludzkości.

Jeżeli jest więc jaki z płodów natury, przywiązany jak najściśléj, albo używając właściwszego wyrażenia, opatrznie połączony z bytnością i rozwinieniem ludzkiéj społeczności, to zapewne tego wysokiego posłannictwa odmówić nie możemy jednéj z najdelikatniejszych i najmilszych roślinek na ziemi. Wszystko więc, co się tyczy jéj dziejów, powinno zajmować umysł myśleć umiejącego człowieka; zwłaszcza, iż żyjemy w wieku, w którym, dzięki ważnym wynalazkom, o prawdziwéj lnu użyteczności z ostateczną pewnością nic jeszcze wyrzec nie można.

Groby Świętych Polskich w Krakowie.

Przez X. Antoniewicza.

Zbliżając się do Krakowa, jakieś dziwne, niepojęte uczucie rozrzewnia serce, które za każdym krokiem, coraz swobodniéj i boleśniéj się rozwija. Są to w początku pojedyńcze głosy, które na dnie duszy się odzywają, głos nadziei, żalu, tęsknoty, miłości przechodzą w akordy i rozpływają się harmonią przedziwną! Niewiem, czyś doznał w życiu chwil takich, lecz jakież szlachetne serce onych nie doznało? chwil, w których myśl uczuciu ustępuje, gdzie usta się uśmiechają, oko płacze, a serce nie może zdać sobie sprawy z przyczyn tego wnętrznego usposobienia i rozrzewnienia. Takie uczucie owładło duszę moją, gdym w zmroku wieczornym dostrzegł w oddali wieże kościołów krakowskich i ten zamek na Wawelu, gdym w oddali szum wezbranéj posłyszał Wisły! Była to właśnie ta godzina, tak urocza i tajemnicza, gdzie światłość dniowa poczyna się gubić w cieniach wieczornych, gdzie gwar życia przechodzi w błogą ciszę uśpienia całéj przyrody, godzina, w któréj dusza rzewniéj czuje, serce goręcéj bije, oko boleśniéj płacze, godzina, która mimowolnie myśl do nieba zwraca! To przejście dnia w noc, jakże żywo przypomina nam te przejścia bolesne w życiu naszém, ze światłości wiary, w noc powątpiewania, z uroków nadziei, w odrętwienie odłudzeń, życia jasnego w Bogu, w życie świata rozwichrzone. O szczęśliwy, komu po takiéj nocy jutrzenka wiary na nowo zabłysła — komu po takiéj ciszy, głos nadziei na nowo z nieba zadzwonił!

Ach taka godzina, tych przejść bolesnych, jest jakby godzina stała na zegarze życia, a w koło niéj, brzęczy jak rój muszek ten czas rozdrobniony na minuty, sekundy, ciągłego ruchu! Duszy naszéj uczucia są to struny lutni, już naciągnięte, czekają tylko na rękę, któraby je potrąciła, aby się rozbrzmiały śmiechem lub płaczem! O, te godziny wieczorne, były dla mnie najpożądańszemi życia godzinami; ile mi one szczęścia i boleści przyniosły!

Tętniły kopyta końskie, na gościńcu z Wieliczki do

Krakowa wiodącym, pocztylion wśród wieczornéj ciszy, wesołe wytrąbywał tony, którym gromadki dziatek, igrające pod cieniem na pół wypruchniałych krzewą pokrytych wierzb z taką się radością i ciekawością przysłuchi wały! Wiesz, jak miłém i ulubioném była zawsze dla mnie drzewem ta wierzba, tak polska, tak narodowa, która niestety musiała ustąpić w tak wielu miejscach, wysmukléj, ale czczéj topoli; ta wierzba, która przez tyle już wieków, tak wiernie strzeże, ocienia, zasłania, ogradza polskie chaty. Ona zdaje się podzielać i niedolę naszą, wyraz jéj tak smutny i bolesny, w wypruchniałym pniu dzikie roją się pszczółki, a po pożółkłych listkach białe snują się motylki; odarte z kory, mchem porosłe konary, gałęzie pocięte, a jednak ukrywa w sobie soki żywotne, i zielone latorośle ku niebu, jakby o pomoc błagając, wyciąga! I zbliżałem się do Krakowa, i przez mglistą powłokę krzyże wież krakowskich w duszę zabłysły, i coraz głośniéj szumiały fale Wisły, jakby jękom wtorując nieszczęśliwego narodu, i odezwały się srebrném brzmieniem dzwony wieczornę, jakby wtorując modlitwom serc poranionych.

Żądałeś, abym ci pisał z Krakowa, i czynię zadość woli twojéj, zaledwie z powozu wysiadłszy. Jak długo tu pobyt mój przeciągnę niewiem, lecz pisać będę. Jeżli sądzisz, że ci będę pisał o Krakowie, bardzo się mylisz — ja ci z Krakowa pisać będę nie to, co oczy ujrzą, co uszy posłyszą, ale to co serce poczuje, to co Bóg do serca przemówi!

Jest świat, wśród świata, jest Kraków wśród Krakowa, jest świat duchowy wśród świata materyalnego, świat katolicki wśród świata bezbożnego, świat praktyczny wśrod świata teoryi, świat prawdy, wśród świata kłamstwa, świat od Boga ukochany, wśród świata od Boga odrzuconego; świat błogosławiony, wśród świata przeklętego. Jest Kraków chwalący, wśród Krakowa bluźniącego Boga; Kraków Jacków, Stanisławów, Kantych, wśród Krakowa Raspailów, Rollinów, Prudhonów. Jest Kraków, który przed Bogiem i Bogarodzicą, wśród Krakowa, który przed Baalem, ideą nieraz najprzewrotniejszą, ugina kolana. Jeżli więc chcesz, abym ci pisał, pozwól więc, abym ci pisał

z tego małego ukrytego Krakowa, który, jako nieustający Westalek ogień, zachowuje, żywi, podnieca w łonie swojém ten święty ogień miłości i Boga i narodu! Jak na czarném tle, złota się nić przesuwa, tak ta złota nić polskich, świętych, narodowych wspomnień przesuwa się po tém tle, krwawém i łzawém przeszłości naszéj! To jest ta złota nić żywota, która myśl z błędnika próżnych urojeń i marzeń w dziedzinę prawdy i światła wprowadzić może. Tę nić, z głębi duszy wysnutą, snują daléj i daléj, z pokolenia w pokolenie piękne i szlachetne, miłe Bogu i ludziom, serca mieszkańców Krakowa!

Urok, jaki Kraków wywiera, nie jest urokiem dla oka, ale dla duszy. Kto z ciekawością obiegnie to miasto i zakłady i pamiątki jego, ten w krótkim czasie zaspokoiwszy zimną ciekawość swoję, niechaj nie żąda od starego Krakowa, aby go bawił, i nudne rozpraszał chwile; bo stary Kraków płacze, bo kocha, bo ufa, a kto od łez ucieka, kto wiarę utracił, kto z miłością wyziębił nadzieję, czego ma się jeszcze błąkać po tym cmętarzu grobowych przeszłości pamiątek; bo Kraków stał się tą Jerozolimą, nad którą Jeremiasz prorok, temi duszę wskroś przenikającemi zapłakał słowy: „Jako siedzi samo miasto pełne ludu; stało się jako wdowa, pani narodów; księżna powiatów stała się hołdowną. Płacząc płakało w nocy, a łzy jego na czeluściach jego; niemasz ktoby je cieszył....“

Z Jeremiaszem w ręku trzeba się przechodzić po ulicach Krakowa, aby zrozumieć tę boleść, w któréj tonęła dusza tego proroka Izraela, te głosy, co jak z porwanych lutni stron się wydobywały, przenikłyby zgrozą, żalem, boleścią, dusze nasze, a na otwarte rany serca, jako balsam rosy niebieskiéj, padłyby i te słowa nadziei i pociechy, któremi Jeremiasz upadły i znękany naród swój krzepił i do Boga nawracał! — Tu każdy dom, z tym ciemnym wchodem, z temi krętemi tajemniczemi schodami, z temi potężnemi, żelazem okutemi bramami, to jak pomniki grobowe, na tym rozległym miasta cmętarzu długiemi rozłożone i krzyżujące się rzędami. Lecz jeźli chcesz szukać w Krakowie odblasku chwały polskiéj, jeźli chcesz posłyszeć oddźwięk boleści polskiéj — o wtedy ten urok dla

ciebie nie będzie przemijającym objawem; za każdym krokiem nowe czarodziejskie obrazy rozwijać się będą na dnie duszy twojéj! Lecz gdzież szukać tych pamiątek chwały i boleści polskiéj? O czy nie słyszysz? Z tego powietrznego wież miasta dzwony rozkołysane na takie dają ci odpowiedź pytanie! To nie ludzkie głosy — to nie dzisiejsze głosy, to nie są głosy tych fałszywych proroków, o których mówi Ezechiel: „Biada prorokom głupim, którzy idą za duchem swoim a nic nie wiedzą.... Widzą próżności, a prorokują kłamstwo, mówiąc: mówi Pan! gdyż ich Pan nie posłał.... przeto że zwiedli lud mój mówiąc: pokój a niemasz pokoju — a ten budował ścianę, a ci polepiali ją gliną bez plew. Mów do tych, którzy polepiają, bez przesady, że upadnie, bo będzie deszcz zalewający, i dam kamienie wielkie z wierzchu padające, i deszcz, wiatr wichru rozwalający.... prorocy Izraelscy, którzy prorokują do Jeruzalem i widzą mu widzenie pokoju, a ono niemasz pokoju mówi Pan Bóg!.... Za to, żeście zasmucali serce sprawiedliwego kłamliwie, któregom ja nie zasmucił, a zmacnialiście ręce niezbożnego, aby się nie nawrócił od drogi swojéj złéj, a żył; przeto próżności nie ujrzycie i proroctwa prorokować nie będziecie i wyrwę lud mój z ręki waszéj, a będziecie wiedzieli żem ja Pan!“

Głosy tych dzwonów, to są głosy tylu wieków! One wtórowały jękom boleści i okrzykom radości, one odprowadzały do grobu mieszkania zwłoki królów i hetmanów, one wprowadzały w bramy miasta wojsko zwycięzkie — one, gdy Polska w grobie legła nie zamilkły — ale dzwonią i ciągle dzwonią, pokąd nie wydzwonią godziny nawrócenia. Idź za głosem tych dzwonów, one cię wprowadzą w świątynię Pańską — w świątynię pamiątek narodowych! Czas i złość ludzka poniszczyły, wytępiły, poburzyły pamiątki; kościół, pod którego opieką Polska tak wielką i potężną została, dziś został stróżem téj wielkości pomników. Bojaźń i drżenie, nadzieja i pociecha porusza serce na samym wstępie do tych tak wspaniałych, bogatych, starożytnych kościołów krakowskich. — Jak niebo granitowe, potężne sklepią się nad głową mury, jak szum skrzydeł Cherubina, grzmią organy, nie u zimnych ścian,

ale w gorącéj duszy jęk wywołując; na ółtarzach Bóg — a w około ółtarzów, jakoby pod strzegącém Boga samego okiem, marmurowe i spiżowe posągi; oko je wszędzie spostrzeże, serce wszędzie odgadnie, ręka się ich dotyka, noga po nich depce. — O jeźli Boga się nie boisz, zadrżyj na widok tych grobowych posągów! Oko w zimnym wykute marmurze płomieniem gniewu się roziskrzy, podniesie się grożąca granitowa ręka, a z wydrążonych spiżowych piersi, wydobędzie się głos sądu — sądu umarłych nad żywymi! „Chwała nasza to chwała boska, usta które Bogu bluźnią, niech nie wzywają zuchwale imienia naszego; serce rozpustą i bezbożnością roztoczone, niechaj się nie zasłania tarczą imienia naszego! Nie znacie Boga i nas nie znajcie — Bóg was nie zna, i my was znać nie chcemy! My dla ojczyzny wszystko uczyniwszy, chwałę naszą złożyliśmy w pokorze u stóp krzyża Chrystusowego! Wy coście uczynili, że gardzicie Bogiem, że nad Boga się wynosicie?“ O im lepiéj się wpatrzymy, wżyjemy w ten świat marmurowy, tém głośniéj odezwie się ta prawda w duszy naszéj: że Polska jakby macierzyńskiém mlekiem wiarą wykarmiona, jakby dla braku sił żywotnych, wpadła w śmiertelną niemoc, z któréj tylko wiara wydźwignie.

O, jeźli duch w wierze, nadziei, miłości słabnieć poczyna, idź do Krakowa, a poznasz, że jest jeszcze życie w narodzie! Idź z kościoła do kościoła, przypatrz się już nie tym marmurowym, ale tym żyjącym posągom, klęczącym u stóp ółtarzy, a posłyszysz tę ciągłą, nieustającą, rzewną modlitwę, którą Aniół narodu bez przestanku zanosi do stóp tronu boskiego! Usta twoje zawołają w radości: Kraków kocha, Kraków się modli, Kraków cierpi, a serce odpowie: w pokorze, w modlitwie, miłości, cierpieniu zbawienie nasze! Byłem dziś na Majowém nabożeństwie, które bardzo przykładnie, przy licznem ludzi odbywa się zejsciu! O jakże nie kochać Krakowa, kiedy Kraków Matkę Boską tak kocha! Ale już późno w noc, gwiazdeczki migają na niebie, a lampki u stóp Matki Boskiéj już pogasły, aniół pierwsze zapalił a drugie pogasił; cześć Maryi z niemi wznosiła się ku niebu — błogosławieństwo Maryi z nieba na ziemię.

Grób św. Bronisławy.

Nie spodziewaj się, abym ci przesyłał opisania — abym ci jakichkolwiek udzielał politycznych spostrzeżeń — abym ci wyszczególniał, jakiego pędzla ten lub ów obraz — abym ci opisywał bogactwa i piękności klasztorów i kościołów tutejszych; inni to lepiéj uczynią — ja nie umiem i nie mogę — w zupełnie innym odwiedzałem te groby duchu. Chciałem się modlić i do zimnego, grobowego przytulić serce kamienia i na grobowym kamieniu wypocząć myśli, po długiéj i ciężkiéj życia wędrówce! Chciałem się pomodlić tą modlitwą, która wzmacnia duszę miłością, wiarą i nadzieją! Serce i oko rzewną łzą zapłakało, która na zimnym pozostała grobu marmurze! O żebym mógł przesłać ci choć jednę taką łzę — jedno słowo modlitwy, ale ta łza skamieniała, tego słowa nie odbiły nawet sklepienia kościoła; — w sercu ożyło, w sercu obumarło, ale Bóg je posłyszał! I z téj całéj pielgrzymki, cóż mi pozostało? błoga, święta pamięć, pamięć, żem był na tych kilka chwil szczęśliwym, a takich pamiątek, o jakże mało w życiu naliczyć można! Każde uczucie nim przejdzie z serca w myśl, ileż traci z świeżości swojéj — ale jak się ta myśl słowem rozwinie, to tylko kwiat zwiędniały, na który patrząc ciężko odgadnąć, że miał kiedyś barwę i woń, ale dla tego który kocha i suchy kwiatek miłą jest pamiątką, ten i suchém nie wzgardzi słowem! — Wyjechałem z Krakowa, piękna, uroczna, zachwycająca nadwiślańska okolica w całéj piękności krajobrazu rozwinęła się duszy. Cisza niedzielna, to cisza tak wymowna, która każdemu wierzącemu sercu daje odgadnąć dzień świąteczny, dziwny temu obrazowi nadawała powab i oko swobodnie błądziło po tych pagórkach, łanach, łąkach i gajach, a w sercu było tak cicho! Szmer i gwar miasta uciszał się z oddaleniem, ale tém głośniéj i żałośniéj szumiały fale Wisły, jakby stare polskie opowiadając legendy. Przy zielonych jéj brzegach, już nie było widać rozpiętych sieci rybackich: bo to niedziela; łódki przy brzegach się kołysały, opłukiwane srebrną Wisły pianą, a rybki swawolne igrały w promieniu słońca!

O kiedyż porwą się te sieci namiętności, które świat wyprządł z dna duszy naszéj? — Kiedyż, jako rybka, srebrna, myśl nasza igrać będzie w promieniu łaski boskiéj! Kiedyż przyjdzie dla serca naszego, po długich pracach i boleściach, ta niedziela odpocznienia w Bogu. Dziś błądzimy i płaczemy nad brzegami rodzinnéj Wisły, jako niegdyś ukochany lud od Boga, Izrael błądził i płakał nad brzegami obcych rzek. „Nad rzekami babilońskiéj ziemi, tameśmy siedzieli i płakali, gdyśmy wspominali na Syon. Na wierzbach w pośród powieszaliśmy muzyczne naczynia nasze.“ Ps. 136.

Oderwawszy Polskę od Boga i kościoła, obcymi zostaliśmy w własnym domu naszym. Serca nasze, które po polsku kochać nie umieją, martwe zostały, a zagasiwszy ogień miłości, ogniem namiętności wygorzały; — rozumy nasze, które po polsku już myśleć nie umieją — szukają w ciemnościach zawikłanych teoryi zbawienia! Bo miłość polska była zawsze szlachetna, pełna poświęcenia, nie majątku i życia tylko, ale poświęcenia siebie samego. Bo myśl polska była zawsze jasna, praktyczna. Dziś najdziwaczniejsze tworzy zdania i zasady, które jako niedonoszone dzieci w świat ciska, przedwczesne gotując dla nich groby! Mamy dziś cmętarz ciał i cmętarz duchowy, ale na grobach tego cmętarza niemasz krzyża! — I jadąc daléj tą tak piękną drogą — przez ponurą kamienną bramę wjechałem na podwórze klasztoru zwierzynieckiego panien Norbertanek. Klasztor ten według kroniki polskiéj Miechowity, założył Jaksa, książe serbski. Jako twierdza warowna, z potężnemi murami i basztami, zdaje się strzedz brzegu Wisły. Załoga zamku tego — kilkanaście zakonnic; bronią ich — ciągła we dnie i w nocy modlitwa. Zburzone dziś mury i baszty zamku wawelskiego; ucichły w nim już grzmiące muzyki i trąb rycerskich odgłosy, ale o mury zamku zwierzyńskiego, obiły się wszystkie tylu wiekowe burze. Króle i hetmany umierają, dziewica Bogu poświęcona w klasztorze nigdy nie umiera; to ten kwiat wonny, który ciągle opada i kwitnie! Ludzie patrzą z pogardą na tych, którzy z przestronnego świata w ten ciasny świat klasztorny wstępują — ale Bóg inném patrzy okiem, i jakże

odmienny będzie sąd jego! — I fale Wisły od tylu wieków wtorują tym hymnom, które od tylu wieków na chwałę Bogu brzmią w zwierzynieckim klasztorze. Wysiadłem z powozu, — ukląkłem przed obrazem św. Bronisławy, u stóp ółtarza, na którym święte jéj spoczywają szczątki! Chcesz, abym ci co pisał o życiu św. Bronisławy? Życie biednéj zakonnicy — to modlitwa, pokora, miłość i cierpienie. Przyjedź raczéj do Krakowa, klęknij, pomódl się i spojrzyj na ten obraz! On ci całe jéj objawi życie! Te oczy łzawe, tęsknotą wydatne, w niebo wzniesione, te ręce skrzyżowane, te usta na pół otwarte! oto cały bł. Bronisławy żywot. — Módl się, a odgadniesz to pełne wewnętrznych objawień życie, jakie tylko w klasztornych murach, w takiéj może rozwinąć się doskonałości! Wiesz zapewne, w jak dziwny sposób ciało téj świętój odkryte zostało. Jest w tém wynalezieniu coś tak rzewnego, słodkiego — jak miód pszczółki — bo téż pszczółce to wynalezienie winni jesteśmy. W kościele bożym tak tajemnicze ma ta pszczółka powołanie, wyrabiając tak misterną sztuką ten wosk przejrzysty, co na chwałę Bogu płomieniem topnieje na ółtarzach naszych! Ale Polska polską pszczółkę szczególniejszym kochać winna sposobem, bo ona słodsze nad miód, jaśniejsze nad wosk wykryła nam święte Bronisławy ciało. W r. 1612. słychać było wielki łoskot młotów, kielni i innych narzędzi mularskich, w kościele zwierzynieckim. Naprawiano mury kościelne; ale gdy jednę wązką rozpadlinę muru koło wielkiego ółtarza chciano zamurować, przy pierwszém uderzeniu młota, szum i brzęk słyszeć się dał. Mularze wstrzymują zdziwieni robotę, a rój wesołych brzęczących pszczółek wyleciał tym rozpadliny otworem, latając swobodnie po kwiatkach woniących na ółtarzach kościoła, ale gdy chciano daléj pracować, pszczółki jakby w oburzeniu rojnie się skupiały, i najeżonemi żądłami broniły téj rozpadliny. Zdziwieni robotnicy przywołali księży; biedne pszczółki, pomimo brzęku i żądełek ustąpić musiały — runął kawał muru i padli na kolana — przed [illegible]umną bł. Bronisławy, a pszczółki nie mogąc daléj w ukry- [illegible] pielęgnować i strzedz tego kwiatu, wyleciały oknami [illegible]tyni, wyrabiając wosk na ółtarz Bronisławy! Uczmy

się od téj pszczółki naszéj, jak wszystko w słodycz miodu w sercu naszém przerabiać mamy a żądła tylko przeciw tym używać, co nam chcą wydrzeć Boga z serc naszych, to jest żądła obrony — ale nie zemsty, zazdrości, nienawiści. Dla pszczółki niemasz trucizny — bo ona truciznę w miód i wosk przerabia. Ach! a my częstokroć wszystko w żółć i gorycz przemieniamy dla siebie i tych co nas otaczają!.... Kazałem się zawieść na kopiec Kościuszki. — Ale tu jak wszędzie polska chwała łączy się z wiarą. U stóp kopca mała uboga kapliczka, okolona sztachetami, a obok niéj domek pustelnika i kilka smutnych grobowych pamiątek. I spojrzałem na ten kopiec, i spojrzałem na tę kapliczkę. I ujrzałem na wierzchołku téj usypanéj góry jakby cień wielkiego człowieka, i ujrzałem u stóp téj wysypanéj góry postać anielską, klęczącą i modlącą się w pokorze i miłości: — Tadeusz i Bronisława! O jakże się wszystko tu zmieniło. Tu, gdzie się dziś ta kapliczka tuli do zielonéj kopca ściany, niegdyś gęste, nieprzystępne szumiały lasy; tu rzadko noga postała ludzka; zwierz drapieżny był jedynym panem — żadna droga temi nie prowadziła lasami, a mchem kilkowiekowym porosłe olbrzymie drzewa, przeżywszy wymierzoną liczbę lat, walając się z trzaskiem, przerywały tę grobową ciszę — i zwierz strworzony zaryczał w legowisku swojém, i ptak drapieżny, z gniazda spłoszoném leciał skrzydłem — i znowu wszystko do grobowéj powracało ciszy; tylko świst węża się odzywał, który po wybujałych czołgał się zielskach. Ale tę leśną ciszę co wieczór odwiedzał Aniół ziemski. Otwierała się fórtka pobliskiego zwierzynieckiego klasztoru: biały płaszcz wśród ciemnych i gęstych przesuwa się zarośli — Bronisława w tę puszczą udaje się na modlitwę! Aniołowie strzegą dróg jéj, dzikie zwierzęta z uszanowaniem jéj ustępują, milczą ptastwa leśne i chwiejąc się na wiotkich gałązkach, przysłuchują się jéj modlitwie, jakby chcąc od niéj nauczyć się Boga chwalić. Bronisława przyklęka, i korne ku ziemi nachyla czoło, a ziemia milczy wkoło niéj — a drzewa szumią poważnie, jakby chciały zastąpić organów brzmienie. Bronisława podnosi głowę — oko jéj szuka Boga na niebie, a gwiazdy jéj opowiadają chwałę jego — Bronisław

modli — a Aniołowie unoszą przed tron Boga jéj modlitwę. — Serce jéj miłością rozpłomienione a płomień miłości łzami się rozpływa, i te łzy biedne skrapiają kwiateczki, na które przez gęste konary rosa paść nie może; bo łzy jéj to rosa; bo w sercu jéj niebo! Na temże miejscu gdzie Bronisława tę świętą odprawiała modlitwę — dziś nie jedna do Bronisławy wznosi się modlitwa — w téj ubogiéj ale tak serdecznéj kapliczce! Bo na tém miejscu zakończyła Bronisława modlitwę — życie swoje — bo modlitwą było całe życie jéj.

Poranek w Krakowie.

Jasny i pogodny zawitał poranek i strumieniem światła oblał Kraków i okolice jego. Promień słońca dotknął się serca dzwonu na wieży kościoła Panny Maryi i przemówił do niego: już czas, pocznij dzwonić, — pocznij kochać, — rozbudź w miłość serca uśpione! I zaczął dzwon dzwonić i wtórowały mu srebrném brzmieniem wszystkie dzwony krakowskie — i nurty Wisły, szybkim pędząc biegiem, słuchały co im dzwony mówiły i pobrzeżnym okolicom rozpowiadały, jak Kraków kocha, — jak Kraków cierpi, — a echa skał roznosiły daleko te żale. Ach takie echa obudza w każdém wierzącém sercu głos Boga, a ten głos Boga tak silnie przemawia w śród tego Krakowa, — tego miasta boleści i miłości — przeszłości i przyszłości, — na téj kolebce i tym grobie nadziei naszéj. — Wyszedłem z domu przy pierwszym mroku dniowym przechadzając się po pustych ulicach miasta. Są chwile w życiu naszém wielkie i pamiętne wśród chwil czczych i próżnych, które niestety wypełniają większą część życia naszego. Są takie chwile i w każdym dniu, bo każdy dzień jest jakby życie skrócone. Urodzenie i śmierć — przypomina nam pierwsza i ostatnia godzina dnia każdego; — w pierwszéj porannéj godzinie życie się rozwija, — w ostatniéj wieczornéj życie ustaje, — obraz śmierci i zmartwychwstania. Cisza nocna przechodzi w gwar dniowy — niepokój dnia ciszą snu grobową się kończy. Noc miasto w cmętarz przemienia a każdy dom przestronnym staje się grobem. Ale zaledwie słońce zabłyś-

nię, to i w te groby życie się w krada, — tysiące ócz w patrują się jakby w świat nowy, — budzą się serca, a z niemi i boleść się budzi, — cierpienia i marzenia dniowe, — odpoczynek w pracę, — uśmiech złudzenia w łzę prawdy. Przechodząc przez te ulice, patrzałem jako z trzaskiem otwierały się bramy kamienic, — dzwoniły okna i życie w rozmaitych kształtach widzieć się dawało, — i witało człowieka, a dzwony całemu miastu dzień dobry życzyły. — Dzień dobry! — ale komu? — czy tobie biedna matko, coś noc całą przepłakała przy łóżeczku choréj dzieciny, — czy tobie, która przy pierwszém przebudzeniu szukałaś jéj przy sercu twojém, aby pobłogosławić i przytulić do siebie, — ach naprożno — nie szukaj jéj tu, ona z nieba ciebie błogosławić będzie! — Czy dla ciebie biedna sieroto, którą miłość matki sennie ukołysała, któraś odepchnięta od ludzi ze łzami usypiała jako ten powój, który usypia pod kroplami rosy; — ale powój przy pierwszym brzasku dnia rozwija swój kielich i otrząsa te łzy nocne — i ty serce twoje rozwiniesz ale łez nie osuszysz: — bo serce twoje na nową rozwinie się boleść! Czy tobie, biedny wyrobniku, coś na twardym kamieniu pod klasztornym murem złożył głowę twoją, — rozciągnąwszy na zimnym bruku pracą złamane kości, — tyś usnął, ale sen twój był tak ciężki i boleśny, a jeszcze cięższe i boleśniejsze stało się przebudzenie twoje! Czy tobie, biedny ojcze rodziny, coś przez noc całą przy bladym kaganku czuwał i przy ciężkiéj pracy walczył ze snu przemocą? I chciałeś nieraz jeden zdmuchnąć to słabe światełko, bo już omdlałe opadały ci ręce, ale w tém bolesne westchnienia obiły się o uszy twoje — i zerwałeś się jakby piorunem rażony — i snem zmroczone przetarłeś oczy — bo te westchnienia, to był jęk bolesny dzieci twoich, któreś na pół zgłodniałe zaledwie w sen ukołysał; — i rzuciłeś okiem rozpaczy na te wilgotne omszałe ściany i wspomniałeś na nędzę twoją i westchnąłeś: pół bochenka chleba, pięcioro dziatek, — trzeba pracować! Dzień dobry! — ale komu? czy wam wszystkim, którzy płaczecie i cierpicie w boleściach duszy i ciała, — którym noc ulgę i pociechę przynosi, — bo przynosi chwilowe zapomnienie. Biedny Krakowie, — każde przebudzenie twoje nową jest bolością,

bo za każdym porankiem odgadniesz więcéj serc cierpiących, — uzbierasz więcéj łez bolesnych, — bo za każdym porankiem więcéj grobów policzysz. I w każdym poranku coraz smutniéj biją dzwony twoje — coraz tęskniéj szumią Wisły fale! I cóż dzwonią te dzwony? — bądź katolikiem! i cóż szumią te fale? — bądź polakiem! — I czemu płaczesz łzami rozpaczy, kiedy możesz płakać łzami żalu: — w rozpaczy jest śmierć, a w żalu nadzieja.

Po Mszy ś. w kościele Panny Maryi udałem się do kościoła świętéj Katarzyny należącego do klasztoru reguły świętego Augustyna. Jest to, lub raczéj był to, jeden z najpiękniejszych kościołów krakowskich, założony od Kazimierza Wielkiego, który, jako pisze Bielski w r. 1342, sam piewszy kamień założył i pierścień, który miał na palcu, na pamiątkę fundacyi swéj rzucił. Obok tego kościoła jest klasztor zakonnic świętego Augustyna, założony za pozwoleniem króla Stefana Batorego, przez Szymona Mniszcha, kaznodzieję królewskiego, który to klasztor pierwsza przełożona Katarzyna Kłobucka murować poczęła, a Wiktorya Trojanowska w r. 1633. dokończyła. Dziś widok tego kościoła niepojętą w sercu obudza żałość: bo widok zburzonego kościoła jakiś lęk i obawę w duszy rodzi. Bóg patrzy na te rozburzone mury świątyni swojéj, a gniew Jego zdaje się grzmieć nad głowami naszemi. Świątynie Pańskie, to są te mocne warownie, które każdego i wszystkich, — rodzinę i kraj cały strzegą i bronią od napaści nieprzyjacielskiéj. Tu w tych świątyniach serce się oczyszcza, — myśl się rozjaśnia, — duch się wyrabia a wola siły i tęgości nabiera. Tu się uczymy kochać Boga i braci naszych. Świątynie Pańskie to są szkoły mądrości naszéj — to są zbrojownie siły naszéj; — potęga miecza skruszona być może, ale potęgi miłości nic nie zwycięży. — I patrząc na ten dom Boży tak opuszczony — na te ściany odarte z ozdób, kurzem i pajęczyną pokryte — na te potłuczone szyby okien gotyckich — stanęły mi na myśli one słowa Mathatiasza: „Biada mnie, przeczem się narodził, abym widział skruszenie ludu mego, i skruszenie miasta świętego. I któryż naród nie odziedziczył królestwa jego, i nie odzierzał łupów jego? — Wszystko jego ochędóztwo jest odjęte: a ktore było

wolne, stało się niewolnicą. — A oto nasze miejsca święte, i piękność nasza, i chwała nasza jest spustoszona. Na cóż nam tedy jeszcze żyć? — I rozdarł Mathathiasz odzienie swoje, i synowie jego: a oblekli się w włosiennicę, i bardzo płakali.“ (Ks. I. Mach. rozdz. II., — wiersz 7. — 15.)

Na korytarzach zburzonego kościoła, gdzie się Msza św. odprawia, jest także grób błog. Izajasza Bonnera, którego opis później Ci prześlę.

Biesiada Wyścigowców.

Z Alkhadara 1854.

Na pierwszém piętrze okazałego domu, w obszernéj sali, którą możnaby nazwać raczéj galeryą, stało kilkanaście różnego rozmiaru nakrytych stołów. W głębi, na roścież otwarte drzwi, wiodły po czterech wschódkach do przybocznéj komnaty, zajętéj przez dwa bilary, ulubioną rozrywkę gości wykwintnéj gospody.

Przychodnia na wschodach jeszcze przyjmował gwar pszczelnego rojowiska, powitania wchodzących, wykrzykniki zasiadłych, dzwonkowy dźwięk szkła, głuchy brzęk talerzy, hałaśne odpowiedzi i obwieszczenia usługujących, wystrzały szampańskich korków, śmiechy, zaklęcia, przysięgi, zgiełkliwe uniesienia i szmer półgłośnych wynurzeń.

Ku środkowi sali, wokół obszernego stołu, biesiadowało kilkunastu młodych ludzi pod przewodnictwem Kapitana Skałki.

Ci, łatwo można było poznać, przeciągnęli byli śniadanie aż do obiadowéj pory. Na stole owdowiałym z talerzy, tułały się suche ostatki uczty, po większéj części wezwane na podnietę pragnienia. Nieustraszonym szeregiem ciągnęły butelki na miejsce tych, które bez duszy już znikały próżne pod stołem, czyli jak Skałka nazywał: we spólnéj mogile różnorodnych trupów.

Za każdym kielichem przybywało wesołości i gwar się wzmagał.

Odbyto już przegląd miejskich plotek, kontraktowych wydarzeń, szczególniejszych wypadków gry, wyścigowych koni, zakładów, dowcipów, anegdot, polowań, pojedynków;

Skałka zabierał się do posetnego opowiadania o bójce Wilczka z Pruszakiem, gdy w tém jeden z młodzieży rozbujany w krześle, przerwał mu gromkiemi słowy:

— Na honor Kapitanie, znamy na pamięć waleczną wyprawę, chociaż każdy jéj szczegół codzień pod nowém światłem nam się objawia. Lepiejbyś uczynił, tłumacząc nam: dla czego pomimo obietnicy Władyś niestawił się na śniadaniu?

— Prawda!.... zapewne!.... powiedz nam, gdzie podział się Wilczek?... co porabia?... dla czego nieprzyszedł.

Skałka skrzywił usta, wytrzeszczył oczy, głowę między ramiona zacisnął, dając poznać gestem, że niema odpowiedzi.

— Co w téj chwili porabia? — odrzekł Juljusz dobrze już podchmielony, — jasnowidzący mógłby wam tylko powiedzieć. Że przyjdzie, — niewątpię. Musiała go zajść ważna przeszkoda.

— Przyjdzie, wieczorem.... jutro!... jak się wszyscy rozejdziemy. Przecież niezapomniał, że na jego cześć wyprawiamy śniadanie?

— Pamięta, doskonale pamięta, — ciągnął Juljusz, wszakże mówiłem, że zapowidział przybycie nowego członka do naszego towarzystwa.

— Prawda! krzyknął Kapitan uderzając się w czoło; przeklęta pałka!... pamięć w niéj wietrzeje, jak wino w odetkanéj butelce. Dziś z rana, na własne uszy słyszałem; sam mówił mi że przyprowadzi gościa.

— Kogóż takiego?

— Niewymienił; dodał tylko, że nowy koleżka należy do jednego z najznakomitszych rodów.

— Bah!... drwił sobie, żartował.

— Bynajmniéj! słowem honoru ręczył za prawdę; przysięgał, że gość z głęboko szlachetnéj krwi; że sam Cesarz nieodmówiłby mu pochlebnego przyjęcia.

— Widziałeś go na własne oczy Kapitanie!

— Nie; nikt go jeszcze niewidział ani we Lwowie ani nawet w Wiedniu.

— Nikt?

— Żadna żywa dusza; nikt co się nazywa. Powtarzam słowa Władysia.

— Cha, cha, cha!... wyśmienity żart!... jakąż drogą personat przedarł się do Galicyi; przecież niespadł z obłoków?.... gdzie mięszka — we Lwowie... w powietrzu, — na chmurze?... pod którym numerem?... Ach Kapitanie, umrzesz na łatwowierność.

Skałka chciał odeprzeć zarzut, gdy wtém na dole domu a w krótce potém na wschodach, wszczął się niewypowiedziany łoskot. Trzęsły się okna, dzwoniły szyby, drżała posadzka, chwiała się budowa, słychać było przeraźliwy łom desek i huk ciężkich uderzeń, niby na okręcie śród nawałnicy daleki głos gromu.

Lud kupił się na ulicy i rzecz dziwna, wesołe podnosił okrzyki. Obecni umilkli, osłupieli na chwilę, za nim atoli kilku bliżéj siedzących dośpiało poskoczyć ku progom, drzwi z strzaskiem się otwarły:

Wszyscy rzucili się ku wejściu.

Z parskającemi nozdrzami, z zadziwioném okiem gazelli, pokazała się naprzód piękna głowa konia, a tuż za nią jezdziec i reszta ciała zwierzęcia niepospolicie wytwornych kształtów.

Grzmot okrzyków, jakby z jednéj piersi wyrwanych, rozbił się o ściany i pędził na miasto.

Hurra!... wiwat!... niech żyje!... wrzeszczano na całe gardło; miotano w górę butelki, talerze, serwety, czapki, kapelusze, włażono na stołki, ściskano się na wzajem, odchodzono prawie od zmysłów.

Szlachetne zwierzę, z wyciągniętą szyją, z rozdętemi nozdrzami, słuchało odurzającego łoskotu przypominając sobie może pierwsze wrażenia przeprawy z rodzinnéj Brytanii.

Wilczek postąpił ku środkowi, niby posąg Marka Aureljusza; wyciągnął dłoń nad głowami tłumu do stóp mu przypadłego, dał znak że chce mówić.

Umilkli.

— Wdzięczen jestem, — rzekł, — za łaskawe przyjęcie, jakiego doznaje *Lord Godolfin*, którego mam zaszczyt przedstawić szanownemu towarzystwu. Panicz ten jedzie prosto z Anglii; wczora wieczorem przybył dopiero do

Lwowa. Cieszę się, że zaraz przy pierwszém spotkaniu nabędzie o Galicyi korzystnych wyobrażeń.

— Niech żyje Godolfin!... Zdrowie Godolfina!... Godolfin *for ever!*... — krzyczano na zabój.

— Hej, wina, kieliszków!... Niech djabli go porwą, jaką piękną ma głowę!

— Co za oprawa oka!

— Szkoda że trocha więcéj nieosadzony na zadzie!

— Pleciesz; angielska krew nie arabska! Widziałeś kiedy konia wyścigowego osadzonego inaczéj?

— Ho ho hooo!... wiiiiiiwat Godolfin!

— Co mówisz; gdybyś miał takie nogi?

— Skoczyłbym z kościoła ś. Szczepana.

— Niech go nieznam, jak uszkiem strzyże!... Co za pierś!... jak u Trytona.

— Niech żyje Godolfin!

— Zdrowie Godolfina w ogólności i każdego z jego członków po szczególe!

— Cha, cha, cha!... wyśmienita myśl!... zdrowie kopyt!

— Niech żyje ogon!

— I diamenty oczu!

— I jedwab grzywy!

Takie wykrzykniki krzyżowały się, podczas gdy jezdziec rozdawał dokoła uściski dłoni i starał się odpowiadać na tłum zapytań względem ceny, miejsca urodzenia, podróży, rodowodu konia, wieku i t. d.

Szampan tryskał strumieniem; za każdą butelką rozlegał się okrzyk na cześć konia i jego właściciela.

Trzeba było podziękować.

— Hej, służba, podać mi Wilczka! — krzyknął bohater zgromadzenia.

Pod tym nazwiskiem znany był w gospodzie ogromny kielich, który z łatwością chłonął w siebie butelkę a nawet i więcéj.

Wilczek napełnił imiennika po brzegi, wspiął się na strzemionach, podniósł kielich w górę:

— Godolfin, — rzekł, — serdecznie dziękuje za życzenia i nawzajem pije za zdrowie przyszłych wyścigowych spółzawodników i szanownych ich właścicieli.

To mówiąc zbliżył naczynie do ust, chylił w tył głowę i niebawem suche dno obecnym pokazał.

Zagrzmiały oklaski, krzyki, wiwaty.

— To niedość, Władziu; — wołał Skałka, — jak cię kocham!... słowo honoru!... każdy za siebie! Od ciebie i za ciebie tylko przyjmujemy odpowiedź. Z Godolfinem jeszcze nie kwita.

Kilku z młodzieży uchwyciło konia za nozdrze, otworzyło mu pysk, podczas gdy Kapitan wlewał mu w gardziel bełkocącą butelkę szampana.

— Brawo, Kapitanie!... Niech żyje Godolfin i jego podczaszy!

— To mi polska gościnność!.. Niech zna Angielczyk, jak u nas piją!

— Winem, owsem i solą, ludzie koni niewolą!

— Niech *milord* pozwoli serwetą buzię sobie obetrzeć; znamy się na wyspiarskich zwyczajach.

— Może piórka do zębów?

Skąd wiesz że Jego Wielmożność już po obiedzie? bierzesz go za głodnego eleganta?

— Cha, cha, cha!... komedya, na honor....skonać od śmiechu!...

Milord tymczasem przeżuwał w myśli rozmaite uwagi. Obfite użycie napoju dość mu przypadało do smaku, chociaż poprawdzie byłby może wolał Porto lub Maderę. Zgiełk atoli, zamaszystość galicyjskiej *gentry*, niemile raziły angielski takt w postępowaniu i przyrodzoną oziębłość. Zaczynał się niecierpliwić, bił w posadzkę kopytem.

Jeździec zrozumiał życzenie, cofnął trochę milorda, dotknął ostrogą, ściągnął cuglami do góry.

Godolfin wyprostował się jak świeca, chwiał przedniemi nogami w powietrzu, wypędzał na skórę sieć marmurowych żyłek.

Wilczek pochylony na grzywę obrócił go na tylnych nogach, jako na panwach, spuścił na ziemię, pogłaskał mu szyję i ruszył ku wyjściu.

— Do widzenia!... — wołano; — obaczymy się na przyszłych wyścigach!

— Goddam!.. może też i nasze szkapy zdążą za tobą.

Milord perjodycznemi stępy rozbijał schody; czuć było zakłopotane kroki i niepewne dudnienie tylnych kopyt.

— Rule Britannia! krzyczano z francuzkim akcentem; cieśle i stolarze niezginą przy tobie z głodu!

— Słowo honoru, zabije się!... Słyszycie?... poręcz pękła!

— Wszelki Duch pana Boga chwali!... potknął się, padł!... hola!... chodźcie tu!... na pomoc!

Wilczek już był na ulicy i wesołéj czeredzie od ust przesyłał pozdrowienia.

Podróż do Berlina.

Z „Pierścionków Babuni.“ Lipsk 1845.

Zrazu księżyc nam świecił, kiedy niekiedy przesłoniony lekką chmur powłoką, a gdy ucichły dnia gwary, gdy stopniowo zupełna spokojność osiadła całą okolicę, było coś uroczystego w tém głuchém milczeniu przerywaném tylko rzadkim odgłosem trąbki pocztyliona, lub nieznacznym szelestem wiosennych owadów. Turkot powozu rozlegał się daleko po téj gładkiéj drodze, a myśmy sunęli jak cienie śród cieni drzew ciągnących przed nami, jak powietrzne duchy.

Co różnych marzeń snuło mi się po głowie, tego bym już dziś nawet nie umiała skreślić, bo istotnie, jeżeli zewnętrzne wpływy mogą wywołać marzenia, to nie masz nic tak mu sprzyjającego, jak ta samotność w obszernéj przestrzeni, jak to zupełne odcięcie od ludzi, pośród których się przelatuje pod zasłoną nocy.

Przebiegliśmy w tén sposób kilka miasteczek i włości; tu czasem nagle zbudzony czujny pies zaszczekał, tam gwiżdżąc po ulicach przechodził stróż nocny, w dalekich odstępach tu i owdzie lśniły się latarnie, a domy ciche i ciemne milczały, jakby zaklętéj gromady siedliska. Powoli zniknął nam księżyc, i obraz naszéj jazdy inną przybrał postać: zapalono światła powozowe, które, migającym blaskiem rzucając do koła, wywołały dla mnie cały szereg odmiennych widoków. Zamki, wieże, kościoły, gmachy różnego rodzaju, zjawiły

się moim oczom utworzone z cieni, uplecione z powiewnych gałęzi drzew jakiego lasu; to żywe panorama w coraz inne łamiące się kształty trwało aż do chwili, kiedy bielejące już gwiazdy zwiastowały nadejście poranku. Wtedy ze wschodem słońca a różową jutrzenką ujrzałem najpiękniejszą stron tych okolicę, gdzie natura hojnością, a człowiek pracą inne prześcignęli. Śród winnic porozrzucane kształtne domki białe, dodają wdzięku i życia wdzięcznym krajobrazom, — wszystko tchnie obfitością, porządkiem, dostatkiem, wszystko mile zajmuje serce i oko. Minąwszy miasto *Grünberg* kończą się winnice, ale trwa ciągle powab ładnych widoków i dobrego bytu. Przestrzeń między Frankfurtem a Berlinem jest podobna do jednego wielkiego ogrodu, przeciętego tu i owdzie bujnym polem, wesołą osadą; ogromne łany oddane uprawie tytoniu, inne połyskujące gładkiém liściem cukrowych buraków, świadczą o przemysłowości tutejszych mieszkańców a razem zdradzają ich upodobanie w fajce i łakociach.— *Frankfurtu* mało widziałam, przyjechaliśmy pod wieczór, stryj czuł się słabym i musieliśmy nocować, ale pojmiesz, że mi podróżnicza ciekawość ani do myśli nie przyszła; wiem po co mię wzięto, i choćby nawet najciekawsze rzeczy do widzenia były, nieszukałabym ich, gdyby to miało najmniejszą stryjostwu przynieść niewygodę.

Brama, przez którą odprawiliśmy wjazd nasz do stolicy pruskiéj, nie ma w sobie nic osobliwego; przedmieście wybiegło już opodal za nią, gdyż Berlin, jak wszystkie kwitnące miasta, znacznie się powiększa co roku; na wszystkie strony widać nowo powstające domy, na wszystkie strony przypływ coraz nowych bogactw. U wjazdu musieliśmy stanąć dla okazania paszportu i odpowiedzenia straży dochodów miejskich, która bardzo grzecznie zapytała nas, czy nie wieziemy czego, coby podpadało opłacie; przez ten czas uwagę stryjenki zajął smukły młodzieniec z ciemnym włosem, z szlachetną postawą, który oparty o kratę, zdawał się czekać na kogoś!... mnie zaraz na ten widok serce mocniéj bić zaczęło, i nim jeszcze twarzą ku nam się zwrócił, poznałam Karola. Wsiadł do naszego powozu, powiedział woźnicy, gdzie ma jechać, i zaraz nam wskazywał

co ciekawsze gmachy — a właśnie z téj strony przybywając, przejeżdża się wielką część miasta, by zdążyć do słynnéj ulicy *Unter den Linden*, gdzie w Hotelu rzymskim, jednym z najpiękniejszych na całą stolicę, upatrzył dla nas mieszkanie.

Obecność Karola rozerwała moją uwagę i skierowała w inną stronę obrót moich myśli; gdyby nie to, w nieskończoność zapewne poszłoby zadziwienie moje na widok tak wielkiego miasta, szczególnie zaś na widok tego wszechstronnego ruchu, tego niezmordowanego życia, które tu panuje. 350,000, z których 13,000 wojska, Berlin ma teraz podobno mieszkańców; 8350 domów, 290 ulic, 32 rozmaitych placów, 32 kościoły, 18 bram, 42 mosty na rzece, 280 szkół różnych, mnóstwo zakładów handlowych, rękodzielń, warsztatów i sklepów. Tu gnieżdżą się prawie wszystkie rodzaje ludzkiego przemysłu i rzecby można, że te rozliczne domy ściśle w okręgu przeszło dwumilowym skupione, nie są jeszcze w stanie całéj jego skrzętności pomieścić. Na wszystkie strony widać kupieckie zabiegi, na wszystkie strony tłumy ludzi z wyrazem pilnego zajęcia spieszące, a ulica Królewska, najludniejsza z całego Berlina, przedstawia obraz wielkiego mrowiska, krążącego w nieustajnéj pracy.

Przypomniałam sobie nasz pusty, smutny Kraków, który świetniał niegdyś — przypomniałam sobie ponurą ciszę na tę stolicę ojczystych pamiątek rozlaną, i łzy stanęły mi w oczach, — nie łzy zazdrości, bo kto ma serce, ten cieszyć się musi widokiem pomyślności, choć cudzéj, — ale łzy żalu nad naszą niedolą i nędzą, nad nędzą, będącą może nie tyle skutkiem gnębiących wypadków, jak raczéj dobrowolnego zapomnienia i opuszczenia własnego. Karol zrozumiał mię zapewne, bo milcząc, ścisnął mi rękę, a potem zaczął w żywych kolorach malować obraz pomyślności, którą kraj nasz jeszcze jaśnieć zdoła; stryjaszek, jak wiesz, wiecznie o wszystkiém wątpiący, uśmiechał się tylko dwuznacznie do tego zapału, stryjenka zaś położyła koniec rozprawie, zapytując o nazwę i przeznaczenie ogromnéj a poważnéj już starością budowy, któréj wypadało nam dwa boki objechać. Był to królewski zamek, wystawiony

w kształcie podłużnego czworogranu, wysoki na cztery piętra, zawierający kilka set pokoi, dwa obszerne dziedzińce i ośmnaście wchodów. Główny front zwrócony do ulicy, zwanéj *Schlossfreiheit*, jest wyrobiony na wzór bramy tryumfalnéj Septymiusza Severa w Rzymie; jedna zaś strona zamku z bliska przylega do rzeki, i smutno te czarne mury odbijają się w czarnéj wodzie Sprei. Most przez nią tu rzucony, zwany długim, ozdobiony posągiem konnym wielkiego elektora Fryderyka Wilhelma, tworzy widok całkiem niezwykły, bo posąg ten ulany z brązu w olbrzymich rozmiarach, przez czas i wilgoć zapewne, wziął barwę niebieską. Drugi most, zwany zamkowym, najpiękniejszy ze wszystkich, kamieniem wyłożony, ma szerokości około 50 łokci, siedem powozów może po nim równocześnie jechać, i gdyby nie widok jego wydatnych poręczy z lanego żelaza, trudnoby się domyślić, że tam rzeka płynie.

Ztąd na lewo jest tak nazwany *Lustgarten* — niegdyś warzywny ogród elektora Jana, — prześliczny plac z dwóch stron wodą oblany, zamknięty przez królewskie muzeum, dokończone dopiero w roku 1828., i tworzące jego największą ozdobę; obszerne wschody, zajmujące prawie trzecią część szerokości całéj przedniéj ściany, prowadzą do przysionka tego gmachu, którego świeżość cudnie odbija od starości zamku. Jego szczyt ubrany konnemi grupami z brązow i lanego żelaza, które od słońca połyskują tysiącém promieni; przed nim olbrzymia czara z krajowego granitu, — będąca, wraz z ulicą *Unter den Linden*, dumą Berlinczyków, — gładka i błyszcząca jak marmur; liczą jéj około jedenaście łokci w przecięciu. Daléj, fontanna bijąca do wysokości więcéj jak dwudziestu łokci, pędzona machiną parową, umieszczoną w osobnym budynku; jéj kroplista rosa zieje chłodem na łączkę ślicznie ubraną w drzewa i kwiaty, kilku chodnikami przeciętą; obok niéj oko z upodobaniem spostrzega giełdę i katedrę, wyglądające z poza cienistych lip i smukłych topoli. Za mostem otwiera się najprzód plac arsenału, daléj plac opery, noszące nazwiska głównych swoich gmachów; tu zaraz pałace króla i księżnéj Lignickiéj śmiałym łukiem połączone z sobą; królewski odwach, przy którym posągi jenerałów

Bülow-Dennewitz i Scharnhorst z białego marmuru, wykonane przez sławnego Raucha, także dwa moździerze i olbrzymia armata w ostatniéj wojnie na Francuzach zdobyte, — akademia śpiewu, — uniwesytet, za którym ogród botaniczny, tudzież miły kasztanowy lasek; — królewska biblioteka — i kościół katolicki z potrójném wejściem, zupełnie okrągły, zbudowany na wzór kościoła *della Rotonda* w Rzymie. Obok opery jest jeszcze godnym widzenia olbrzymi posąg księcia *Blücher*, przez Francuza *Leguine* według modelu Raucha z brązu ulany. — Pałac księcia Wilhelma z jednéj, a gmachy akademii sztuk pięknych i umiejętności z drugiéj strony, należą już do téj słynnéj Lipowéj ulicy, któréj każdy dom jest niemal pałacem, a każdy pałac niezawodnie arcydziełem sztuki. Tu przepych i bogactwo założyły sobie kwitnącą stolicę, a podróżny, przybywający z ubogiego kraju, tém więcéj zdumionym być musi na widok tych wszystkich piękności. Tu prawdziwie zapomniećby można o nędzy, a widząc wesołe postacie, krążące tłumnie w pięciu szerokich przejściach, utworzonych przez cztery rzędy pięknych wielkich drzew — patrząc na liczne roje ozdobnych powozów, zbiegające się tutaj ze wszystkich stron miasta, można wyobrazić sobie w chwilowém lubém uniesieniu, że świat cały temu podobny, szczęściem tylko tchnie.

Za Lipami jest jeszcze plac Paryzki, otoczony pięknemi dziełami nowszego budownictwa, i zamknięty sławioną powszechnie Brandenburgską bramą, któréj dość napatrzeć się nie mogłam. Jest to podwójny łuk, złożony z dwunastu olbrzymich filarów, tworzących pięć bram, z których średnia jest najwyższą; przez tę wolno tylko królewskim powozom przejeżdżać, dwie następne otwarte wszelkim zaprzęgom, a dwie ostatnie z obu stron dla pieszych. Na wierzchu téj bramy znajduje się historycznie już znany wóz bogini zwycięztwa, z miedzi podług starożytnych wzorów zrobiony, który w r. 1807. przez Napoleona do Paryża wzięty, po wojnie sprzymierzonych na dawne miejsce swe powrócił. Każdy koń ma być sześć łokci wysoki, ale patrząc z dołu, zdają się one mało przechodzić wielkość naturalną; rozstawione są szeroko głowami na

boki, kopyta wzniesione, jak gdyby kto właśnie w rączym wstrzymywał je biegu. Bogini zwycięztwa, w śmiałéj postawie, zdaje się rozkazywać światu, a nad nią ulatuje orzeł pruski, jakby duch opiekuńczy całego królestwa. Wspaniałości tego widoku nie jestem w stanie ci opisać i mocno żałuję, że brak czasu nie dozwala mi choć cząstki tych piękności oddać wam rysunkiem. Chcąc jednak być sprawiedliwą względem ozdób téj wielkiéj stolicy, wypadałoby ogromny szereg obrazów wykonać; bo zacząwszy od zamkowego placu, a ciągnąc aż do Brandenburgskiéj bramy, nie masz jak mówią, w żadném inném mieście, na podobnéj przestrzeni tak licznych dzieł sztuki, ani takiego mnóstwa ozdób z nowszych czasów. Tu wszystko tchnie świeżością bujnie kwitnącego życia, tu mało wspomnień zamierzchłéj przeszłości, ale dzielna teraźniejszość wykonująca prace, które ją w daleką przyszłość przeniosą. Nie mam zamiaru spisywać wszystkich celujących gmachów, posągów i innych osobliwości Berlina, to wszystko Karol umieścił w zajmującym swoim dzienniku, przy którym nie jeden wieczór przepędzicie mile; — z resztą, w tak krótkim czasie, przeglądając wszystko, powstaje w naszéj wyobraźni wielkie zamieszanie, — jedno wrażenie tłumi lub usuwa drugie, — arkady, posągi, słupy, rzeźby, plączą się w bezładnych obrazach, i po kilku takich szybko za sobą idących wędrówkach, pozostaje tylko w myśli głębokie odbicie ogółu, a pojedyńczych części nie można spamiętać. Kiedy jaki zajmujący widok nęci me spojrzenia, zdaje mi się, że go już dobrze uwagą schwyciłam; i że z mego umysłu nie zaraz uleci; tak by téż było zapewne, gdybym miała sposobność każdemu przedmiotowi więcéj chwil poświęcić, ale w pospiechu nakazanym przez chęć widzenia wszystkiego, każdy rzut oka sięga po inne obrazy, a z nich powstaje tylko jakiś dziwny zamęt, gdzie mnóstwo rozmaitych lecz niedokładnych ugania się wzorów. Tyle na tłomaczenie moje, kochana Maryniu. Jeżelibyś niedostatek bliższych szczegółów zarzucić mi chciała, — wystaw sobie tylko: niespełna trzy dni, a Berlin tak wielki, a wszędzie się choć jedno rzuciło spojrzenie.

Za Brandenburgską bramą jest wzmiankowany Thier-

garten, mający kilka set morgów rozległości, przez który piękna w wieczór latarniami oświecona droga, do miasteczka i królewskiego zamku Charlottenburg, $\frac{3}{4}$ mili od Berlina odległego, wiedzie. Ten ogród był niegdyś zwierzyńcem i ztąd wziął swoje nazwisko; stare, mchem porosłe drzewa nadają mu pewien rodzaj powagi, którą bardzo lubię; mnogie ulice i chodniki przecinają go na wszystkie strony, a w niedzielę kilkanaście tysięcy osób na raz oglądać tu można. Że u Niemców do używania każdéj przyjemności jedzenie i picie konieczną jest rzeczą — przeto i tutaj pełno różnych zakładów, gdzie publiczność w miarę ochoty może wybierać przysmaki. Co kilkanaście kroków są ławeczki, a przy ławeczkach stoliki, — a na stolikach według towarzystwa, które je otacza, lub skromne kufle piwa i krajanki chleba, lub też kawa, herbata, lody, ciasta i różnego nazwiska chłodniki.

Szereg ładnych domków zwanych *die Zelte*, położonych nad rzeką, najwięcéj gości zgromadza: tu często słyszeć można wesołą muzykę, tu kwiatem otoczone altany, i białe jaskrawemi barwy ozdobne namioty zwabiają przechodnia, tu też podobno w każdéj godzinie dniowéj i w każdéj porze roku, liczne grona goszczących się schodzą.

Letnie mieszkania, pałace, domy poświęcone zgromadzeniom osobnych towarzystw, sale koncertowe, kawiarnie, restauratornie, łazienki, karciarnie, powstają w téj przestrzeni jedne koło drugich. Tłumnie wychylają się z poza drzew kształtne przyczołki rozmaitych budynków najnowszego smaku, — i cały ten ogród, raz pełny gwaru i ruchu, raz pełny ciszy samotnéj, mógłby bardzo stósowne zająć miejsce w jakiéj powieści przedstawiającéj nam rozległe miasteczko najbujniejszą roślinnością strojne, uwieńczone starożytnym lasem, opasane wodą, którego wszyscy mieszkańcy bez wyjątku opływają w szczęście i dostatki. Porządek tu tak wielki, że mimo codziennego przejścia tylu tysięcy i osób i koni, wszystkie ulice parku zdają się jakby świeżo umiecione, a nazwiska niektórych jego podziałów, najmocniéj lubionych, jak naprzykład wyspa Russa, wyspa królowéj Ludwiki, świadczą, że Berlinczycy nie

w saméj zmysłowości toną i że umieją cenić pamięć szanownych zmarłych.

W Charlottenburgu nie byliśmy wcale: tam szczególnie zajmuje piękny pomnik wzmiankowanéj dopiero królowéj, któréj śmiertelne szczątki złożone są pod sarkofagiem, na którym sławny Rauch przedstawił ją w postaci leżącéj, jakby dopiero zasnęła; podobieństwo ma być uderzające, — ale właśnie dla publiczności teraz niemasz tam przystępu, z przyczyny świeżo przedsiewziętych robót czy odnowień, a pałac, lubo sam godny widzenia, nie tyle zajmuje, gdyż i w Berlinie byłoby ze dwa tygodnie co robić, chcąc wszystkie oglądać. Minęliśmy więc także pałac *Bellevue;* własność księcia Augusta Pruskiego, w ślicznem położeniu, tuż przy Thiergarten, nad wodą leżący; ma piękny ogród, każdego popołudnia dla publiczności otwarty. Za tym jest, dość tutaj uczęszczana, pływalnia dla kobiet; stryj zapytał mię żartem: czybym z niéj nie chciała korzystać,— a ja szczerze żałuję, że tu nie dłużéj będziemy, — radabym pływać umiała.

Objechawszy sporym kłusem główne zwierzyńca oddziały, rzuciwszy jeszcze raz wzrokiem podziwienia na tę wspaniałą Brandenburgską bramę, pod którą może już nigdy nie będę, ruszyliśmy ulicą Wilhelma, z samych prawie pałaców złożoną, do Tivoli, który to ogród w upodobaniu Berlinczyków nie małe miejsce zajmuje. Zdążając do niego, przejeżdża się plac *Belle-Alliance*, prawie całkiem okrągły, za którym droga topolami obsadzona prowadzi na wzgórze, zwane Kreutzberg, zkąd się przecudny widok na cały Berlin odkrywa. Tu jest pomnik, zwany pomnikiem narodowym *(National-Denkmal)*, z lanego żelaza w formie gotyckiéj wieżyczki, misternie koronkowemi ozdobami ubranéj; w niéj figury alegoryczne, przedstawiające zwycięztwa odniesione nad Napoleonem w wojnie sprzymierzeńców; mnie podobało się szczególniéj zajęcie Paryża, wyobrażone przez osobę, unoszącą z wyrazem poważnéj radości ów czterokonny wóz tryumfalny, dawniéj przez Francuzów zabrany ze stolicy pruskiéj, a przez Prusaków odzyskany tym samym sposobem.

Na podstawie pomnika, otoczonego żelazną galeryą, złotem wyryty jest napis, który ci tu jak mogę przekładam:

„Król ludowi, który na jego wezwanie krew wielkomyślnie i mienie swoje ojczyznie przyniósł w ofierze,— poległym ku pamięci, żyjącym ku przyznaniu zasługi, przyszłym pokoleniom ku naśladowaniu.“

Znasz wojennego ducha mojego, Maryniu, i łatwo wyobrazisz sobie, jakie uczucia w mém sercu zagrały.... I naszych tak wiele poległo; na każdém pobojowisku znajomego świata bieleją między innemi kości naszych braci,— na każdy głos wzywający do największych poświęceń, niemylna szlachetnego zapału odpowiedź, a za to nic nigdy dotąd, prócz pobieżnéj wzmianki wodza, lub kilku kartek w historyi... Tłumy nadchodzących przerwały moje dumanie, i po chwili znajdowaliśmy się już w owem słynném Tivoli, gdzie obok przyjemności pięknego miejsca, częstych koncertów i niezbędnych tu wszędzie łakoci, przywabia jeszcze wiele osób tak zwana *Rutschbahn*, kolej drewniana, umocowana w znacznéj spadzistości na wysokiém wzgórzu, po któréj to w małych powozach uganiają się z upodobaniem nietylko dzieci ale i dorośli. Przyrządzenie jest takie, że za ręcznem popchnięciem wózka na wyjeździe, ten sam już bieży drożyną wyłamującą się kilkakrotnie w różne ugięcia, i to prawdziwie lotem błyskawicy, a obiegłszy dość znaczne koło, staje przy galeryi, gdzie oczekujący sługa wysadziwszy podróżnych, przyczepia opróżniony wózek do haka, wysterczającego z podłogi, kryjącéj zręczną maszyneryę umieszczoną w dole, i w parę minut niewidzialną pociągnięte siłą, wózki przeszedłszy ciemną bramę, ponad którą zawieszone wygodne wschody dla spacerujących, są znowu gotowe do przyjmowania coraz nowych gości. Ładna drewniana wieżyczka, któréj ściany po większéj części są szklanne, służy razem za wstęp do kolei, za miejsce do przypatrywania się gonitwom, za stanowisko do oglądania nowéj panoramy Berlina, w szczególności zaś za kawiarnię, w któréj przyrządzają się i spożywają rozmaite przysmaki. Koło niéj mnóstwo wygodnych ławek ustawionych w cieniu, przyjmuje tych, co się nie chcieli, albo nie mogli do wnętrza docisnąć, a ruch jaki tam ciągle panuje świadczy, że

pracowity Niemiec równie łatwy jak skory do każdéj rozrywki.

Mrok już zapadał kiedyśmy do miasta wrócili; mogłam się więc zaraz przypatrzyć oświetleniu gazem, którego jasne promienie nowym oblewały wdziękiem widok tylu poważnych albo pięknych gmachów. Tłumy przechodzących snuły się jeszcze po ulicach, jedni zdążając do teatru, drudzy do *Lustgarten*, lub ulicy Lipowéj, które to miejsca wieczór prawie jeszcze piękniejsze jak we dnie. I ja miałam niezmyśloną ochotę korzystać z pogody, aby pobujać jeszcze na wolném powietrzu, — ale nie wspomniałam nawet nikomu, — stryjostwo byli już porządnie znużeni, — a cóżbym ja sama, w towarzystwie nawet Karola, tak późno na mieście robiła? Wynagrodziłam sobie jednak chybioną przyjemność długiem patrzaniem przez okno, gdy wszyscy już spali; zatapiałam koleją wzrok swój to w gwiaździste niebo, po którém z lekka ciemne przepływały chmury, — to w miasto sztuką promienne, ozdobne przepychem, po którém w nieustannym ruchu krążyły tysiące; nieumiałabym ci nawet skreślić doznanych z tąd wrażeń, ale zdaje mi się, że podróż w każdym względzie wielką jest nauką.

Kraków.

Z pism Klementyny z Tańskich Hoffmanowéj. Tom VI.

Dnia 23. Maja 1827., w Krakowie.

Już więc jestem w Krakowie; ledwie sama dowierzam temu. Jestem więc w tém mieście starożytném, w téj stolicy i w tym grobie królów; w tém gnieździe tylu wielkich i uczonych ludzi; w tych murach, które świadkami były tak wielu zwycięztw, tryumfów i nieszczęść! A powinnabym uwierzyć, że jestem w Krakowie po uczuciu jakiego doznaję.... Te ulice tak nieludne, ten rynek taki ogromny a cichy, owa wieża samotna, pomnik dawnego ratusza, te sukiennice wielkie ale posępne, te budy niepozorne, sam ten dom naprzeciwko moich okien, niegdyś wspaniałe Jana Zamojskiego mieszkanie, dziś tak świeży i elegancki, wszystko to inne, wszystko to mi przykre! Z daleka nierównie wspanialszym i weselszym się wydawał: bo przyrodzenie za-

wsze jednakowe; zachował też Kraków, jeźli nie świetność i wielkość stolicy, to przynajmniéj szczęśliwe i nadobne położenie swoje.... Nie myślę wchodzić nigdy w spory badania, kto i kiedy go zakładał? czy imię ma od Krakusa, czy od kruków nad ciałem nieżyjącém krakania? czy powstał w wieku siódmym czy dawniéj? Ale jakibądź był założyciel jego, i kiedybądź żył, przyznam jemu chętnie, wraz z wszystkimi, że przyzwoitą dla wielkiego miasta obrał posadę. Kraków jest rozłożony na obszernéj dolinie, którą upiększają: Wisła, urodzajne niwy, gęste wioski i drzewa; od południa opasany łańcuchem wzgórków ułożonych w obłąk, Lasotki czyli Krzemionki zwanych, a za niemi, jakby starsze przyrodzenia córy, nierównie wyżéj niebotyczne Karpaty. Nasza Warszawa piękną jest od Pragi tylko, a Kraków z każdéj strony dobrze się wydaje; ale wjechawszy do niego nierównie mniejszy i uboższy, a zwłaszcza smutny i jakby umarły....

Dnia 24. Maja, we Czwartek.

Dziwne jest i zmienne działanie imaginacyi ludzkiéj; wczoraj umysł mój zachmurzył się widokiem Krakowa, potem rozweselił nagle, gdy zajęta przyjemnością towarzystwa, zapomniałam gdzie jestem. Dziś czuję zupełnie, w jakiem miejscu goszczę, a przecież miło mi i błogo. Podobno pierwszéj téj zmiany początek winnam *dzwonowi Zygmunta*. Dziś obchód święta Wniebowstąpienia Zbawiciela; ten dzwon największy w całéj Polsce, dar dla katedry od Zygmunta I., uderzanym tylko bywa w dni wielkich uroczystości; dźwięk jego nadzwyczajnie donośny i miły, który jak poważna harmonia po całym Krakowie się rozlega, obudził mnie. Słuchałam z uszanowaniem tego uroczystego dawnych wieków odgłosu; myślałam sobie, że i późne pokolenia tak go słuchać będą... i spoiło się miłe w moim umyśle wspomnienie z nadzieją... Sposób spędzenia dnia całego, osoby i przedmioty widziane, dopełniły słodkiego wrażenia. Naprzód byłam w najpiękniejszym i największym kościele, jaki mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, w kościele Panny Maryi, w rynku. Gotycka jego budowa, u nas wcale nie pospolita, uderza i przyjemnie wpada w oko; jest kształt

nadobny i pewna śmiałość w tych dwóch wysokich wieżach, które mi przypomniały poniekąd widziane meczetów i minaretów rysunki. Gruntowność i trwałość gmachu całego mile zaspakaja. Jak jest przyjemnie człowieka znakomitego w kwitnącém oglądać zdrowiu, tak i gmach pożyteczny i piękny miło w pomyślném widzieć stanie; lubimy na jutro mieć zabezpieczoném to, co dziś nas raduje; słodko nam pomyśleć sobie: że jak my teraz, tak po nas drudzy używać téj przyjemności będą. Tę pożądaną pewność wzbudza widok kościoła Panny Maryi; tak jest trwale i starannie zbudowany, i w tak dobrym stanie, że ręczyćby można, iż późne prawnuki tych, którzy dziś są dziećmi jeszcze, dziwić się nad nim będą. Udawszy się dziś do tego kościoła, dla nabożeństwa, nie dla zaspokojenia ciekawości, weszłam ubocznemi drzwiami; widziałam tylko, że obszerny, wspaniały, starożytny i piękny; ale zajęta modlitwą, szczegółom jego nie przypatrywałam się, odkładając to na dzień inny. Trudno jednak było nie spojrzeć czasem na osoby zgromadzone. Strój wyższéj klassy przedstawił mi Warszawę: bo wyższa klassa wszędzie prawie ta sama; ale w ubiorze niższéj znaczną widziałam odmianę. Zajęły mnie owe mieszczek tutejszych ogromne czepce złote, i te staroświeckie jubki z tęgiéj materyi, może już nie nowe za tryumfalnego wjazdu króla Jana; obok tych ciężkich ubiorów, dźwiganych z powagą przez sędziwe matrony, wydawały się dobrze młode w haftowanéj koszuli, z wieńcem na głowie, koralami na szyi i świetnym stanikiem dziewczęta; przedziwnie wyglądał dziarski parobek krakowski, z kółkami u pasa, z podkówkami u bótów, i z tą postawą ochoczą, zawsze do hołubca gotową. — Niewiem czy mi się tak zdało, czy téż tak było w istocie, gdyż często od wewnętrznego usposobienia zależy barwa otaczających nas przedmiotów, ale nabożeństwo z niezwyczajną odprawiane było uroczystością i powagą. Piękne są obrzędy wiary naszéj, lecz wymagają w sprawiającym je wielkiéj baczności i zupełnego przejęcia się ich ważnością! Szanowny pasterz dyecezyi Krakowskiéj, godny Kadłubków, Odrowążów, Oleśnickich, Maciejowskich, Tomickich następca, wezwał nas do siebie na obiad; prócz słodyczy, jakiéj doznaję zawsze

widząc z bliska sławnego z uczuć i pism Polaka, męża, który tak uświetnił imię swoje, że już bez tytułów i godności powtarzać je wolno, miałam jeszcze tę przyjemność, żem oglądała z uwagą *pałac biskupów krakowskich*, zajmujący znakomite miejsce między ważnymi tego miasta pomnikami. Jest on bardzo obszerny; czoło jego stoi przy Franciszkańskiéj ulicy, a tyły na Wiślną wychodzą; niewiadomy założyciel, może Prochor, Włoch, pierwszy biskup Krakowski za Mieczysława; to jednak pewna, że uległ wielu odmianom, przetrwał niemało smutnych kolei, i nie raz już był z gruzów dobyty i stawiany jakby na nowo. W roku 1647. Piotr Gębicki, Biskup Krakowski, po którym wiele podobnych pamiątek zostało, nadał mu okazalszą postać; w téj trwał blisko półtora wieku, ale w czasie zaburzeń krajowych, prawie opuszczony, potrzebował w roku 1798. zupełnego podniesienia, którém ówczasowy biskup Turski się zajął; lecz jego praca wnet znikła. Obrócony na szpital wojskowy, zniszczał prawie zupełnie, kiedy Woronicz, zasiadłszy w roku 1816. na téj katedrze, tak dla niego stósownéj, wydobył go z tego smutnego stanu, podniósł i ozdobił, jak go dziś widzimy. Naczelna część pałacu jest prawdziwie narodowém ustroniem, gdzie w licznych malowidłach i dowcipnych wynalazkach zbiór chronologiczny dziejów polskich, stan obecny miasta Krakowa i wiele ojczystych pamiątek widzieć można. Tam nie dosyć godzinę, dłuższy czas poświęcićby należało, na przypatrzenie się dokładne temu mnóstwu pomników, na ocenienie tylu pomysłów. A jeszcze każdy z łatwością dostrzedz może, iż więcéj nierównie było myśli w bogatéj wyobraźni, która treść tych obrazów pędzlowi podawała, niżli w tych murach zmieścić sie mogło; bo w tém wszystkiém, co tu widać, przebija obok serca Polaka nie znający granic jeniusz poety, jeniusz twórcy *Sybilli* Tu miejsca próżnego niema, najmniejsze użyte zostało. Zaraz w dwóch wstępnych pokojach są widoki okolic Krakowa; z upodobaniem na *Ojców, Pieskową skałę* patrzyłam, z większém niżli na *Tyniec, Czernę i Bielany,* których nie znam jeszcze. Niezawodną jest, lubo dosyć szczególną prawdą, że milsze nam są obrazy, wspomnienia miejsc dobrze znanych, niżli obcych zupełnie; cho-

ciażby tu ciekawość górę brać powinna nad pamięcią. Czyby to uczucie skutkiem było miłości własnéj, która woli raczéj napotkać to, co już wie, niźli dowiedzieć się czego nowego,— czy też owocem jakiejś tkliwości — jednak każdemu, im więcéj znany przedmiot, tém milszy obraz jego. — Wchodzi się z tych pokojów do sali *krakowską* zwanéj. Na suficie jest postać Minerwy, trzymającéj w jednéj ręce herb Krakowa, trzy wieże, a w otwartéj bramie środkowéj orzeł biały z rozszerzonemi skrzydłami; w drugiéj księgę ustawy nadanéj mu przymierzem wiedeńskiem w r. 1815. Gzyms pod sufitem w koło idący, przedstawia wizerunki osób, które skład polityczny nowego rządu zaczęły; nadto szereg członków kapituły i akademii krakowskiéj, artystów tego miasta, naczelników handlu i kupiectwa, nareszcie założycieli towarzystwa dobroczynności. Na ścianach jest dwanaście obrazów różnéj, ale zawsze narodowéj treści: *targ zbożowy* na Kleparzu, przedmieściu najhandlowniejszém Krakowa; *wiślany spław* na Kazimierzu, drugiéj połowie miasta, żydowską zwanéj; *kopalnie węgla* w Jaworznie, tak ważne dla Krakowa, który, mało lasów posiadając w około, węglem ziemnym opala się i ogrzewa; *ruda żelaza* na Siewierzu; *kopalnie marmuru* w Dębniku; *Olkuskie* kopalnie dziś wodą zalane; *Wieliczka*, owo miasto podziemne z soli; *kopalnie siarki* w Sworszowicach, i *miedzianéj góry;* nareszcie trzy pomniki dawnych zwyczajów, z których jeden, *obchód strzelców krakowskich*, już ustał od r. 1787., dwa inne, z roku na rok się odnawiając, jak liście na drzewach, nabyły jakiegoś rodzaju wiecznéj trwałości; temi są całéj słowiańszczyznie wspólne *Sobótki* i *Konik zwierzyniecki.* — Z téj sali przeszedłszy pokój błękitny, posiedzeniom towarzystwa przeznaczony, okazuje się druga sala pod imieniem *trzech monarchów*, opiekunów dzisiejszéj Rzeczypospolitéj krakowskiéj; obrazy, godła i napisy stósowne ją zdobią; z jéj okien, równie jak z poprzednich widok jest piękny na zamek królewski i dawną katedrę; a ten widok jest sam wymownym obrazem.... Przyległy pokój, który niemal *całe dzieje Polski* obejmuje, jest przecięty kolumnadą na dwie części; na głównéj belce wiążącéj kolumny, jest wyobrażenie Assarmota, urojonego może, ale przecież zajmują-

cego narodów sarmackich patryarchy, który wznosząc się na obłokach, rozmnożonym pokoleniom swoim szerokie na północy kraje w podziale przeznacza. Widok jego przywiódł mi na pamięć owo sławne w duchu wieszczym *błogosławieństwo*, którego wiersz każdy od lat już wielu utkwił głęboko w moim umyśle. Towarzyszyły mi ciągle te piękne wiersze przy oglądaniu tego pokoju; kiedy obejrzawszy na kolumnach nakreśloną epokę dziejów naszych, *bajeczną* zwaną, od czasów Assarmota do Mieczysława, spojrzałam na poczet królów Polski; kiedym zatrzymała wzrok na Chrobrym, a w ścianach widziałam Kazimierza, stanowiącego zbiór uchwał w Wiślicy, albo połączenie Litwy z koroną, ukończenie pod Chocimem srogiego z Turkami zapasu, niezliczone inne pamiątki wielkości naszéj i sławy, z końca zeszłego wieku, z początków teraźniejszego obrazy, powtarzałam sobie strofy z Assarmota, znane powszechnie.

Jest jeszcze sala, *warszawską* zwana, gdzie wystawione widoki piękniejszych jéj okolic; bardzo pilnie im się przyglądałam, wzór tak dobrze znając; z niéj przechodzi się do pokoju szanownego gospodarza.

Całe to przerobienie naczelnéj części pałacu biskupów krakowskich, te liczne malowania, których i połowy nie wymieniłam, w zakresie czternastu nie spełna miesięcy zostały wykonane; trzeba było na to, aby obfita wyobraźnia poety zeszła się z pracowitym pędzlem malarza, ażeby i jeden i drugi serce i umysł rzeczami ojczystemi mieli przepełnione. Malarzem był *Stachowicz Michał*, rodem z Krakowa; tu wychowany i wyuczony, niezmiernie rzadką w Polaku odznaczył się cechą, jak gdyby angielska krew w jego żyłach płynęła, tak pogardzał wszystkiém co obce; nie chciał nigdy jechać za granicę, żeby tam nabyć doskonałości w swéj sztuce; wyłącznie przywiązany do rodzinnego miasta, ledwie w ostatnich latach życia dał się namówić do odwiedzenia Warszawy. Nie mając serca potępiać w nim tego przywiązania do ojczystéj ziemi; pragnę z duszy, aby to, co w nim za daleko było posunięte, inni choć w części przyjęli. Stachowicz miał znaczny talent

i pracowitość niepojętą; Kraków pełen jest płodów jego pędzla, niektóre prawdziwą mu czynią zaletę; przy dobrych mistrzach i doskonałych wzorach, byłby mógł stanąć w równi z pierwszymi malarzami Europy.

Statek parowy i okolica nad Renem.

Z „Listów z Zagranicy“ przez Stef. W. Lipsk 1842.

Piszę ze statku parowego.— Tak jest, ze statku, który lata po Renie. Kto w Baden czas swój wysiedział, i jeźli nie całkiem, to przynajmniéj trochę wyzdrowiał, pocóż miał siedzieć dłużéj? Kto na rogach wszystkich ulic widział codzień ogromne afisze, że tylko o milkę od miasta wsiada się do statku, i za bezcen i w mgnieniu oka zwiedza się brzegi Renu, sławne brzegi Renu! — Jak tu się téj pokusie oprzeć? Jestem na statku; zapłaciłem miejsce aż do Kolonii; będę w Mannheimie, będę w Moguncyi, będę w Koblencyi, będę w Frankfurcie, będę wszędzie, będę na Renie, daleko na Renie, tam, gdzie były kiedyś średnie wieki, i ich barony, i ich baronówny, i ich minstrele i ich turnieje; w kraju katedry kolońskiéj; w kraju poezyi, malarstwa, wiary: w raju nie w kraju! Już tam jadę, płynę, już tam jestem jedną nogą, połową serca, całą głową! Dobry, prawdziwie, ze mnie człowiek, że tak jeszcze poufale, tak po przyjacielsku chcę mówić, jakby równy do równego, do ciebie, co gdzieś tam na piaskach jakiegoś tam Mazowsza żyjesz sobie życiem grzyba, życiem parafianina, życiem nieżywém i co o cudownych, sławnych przepysznych tych krajach tyle ledwo wiesz, ile coś czasem na jakiejś gazeciarskiéj bibule waszéj wyczytasz, — o! mójże ty kochany biedaczku! —

Widzisz tedy, że jestem wesół i plotę koszałki; jestem wesół już przeszło od pół godziny, czekając w Iffetzheim na statek strasburgski, bo wtenczas dopiero nasz, zabrawszy tamtych pasażerów, ruszy w swoją drogę. Ten Iffetzheim, do którego się z Baden przyjeżdża, nie jest to żadne miasto, ani żadne miasteczko, ani nawet najmniejsza wieś; jest to nic więcéj, tylko domek nad rzeką, tylko jakiś pan

pisarz, pan urzędnik, który zapisuje wojażerów, i pieniądze od nich odbiera.

Byłem już u szanownego dygnitarza, wyekspedyował mię, i chodzę sobie po statku jak admirał, jak Kolumb, jak Robinson; widzę nad sobą niebo, pod sobą fale, — widzę, prawda, i różne inne rzeczy, naprzykład dzieci kąpiące się po brzegach z téj i z téj strony, ale nie moja wina, że brzegi tak blisko jeden od drugiego, że zamiast na oceanie, jestem tylko na rzece, i że ta rzeka chociaż niezmiernie sławna, niewarta jednak, w tém przynajmniéj miejscu, i połowy naszéj Wisły.

Ale cóż! Wisła w Polsce, Ren we Francyi, przy Francyi! Bodaj to we Francyi! Bodaj to we Francyi być czemkolwiek. Wisłę nazywanoby tam monarchinią wód, Napoleonem rzek, lub coś podobnego; i wyczytawszy to w paryzkich żurnalach, żadenby wtedy Polak, dobrze wychowany, nieśmiał już nazwać jéj inaczéj. Nim ruszymy, muszę ci teraźniejszy mój dom opisać, bo ty, błogosławiony człowieku, co pewnie rodziłeś się w czepku i możesz o sobie powiedzieć jak niegdyś Rej:

Z granicy polskiéj milę nigdziem nie wyjechał
Lecz co widzieć przystoi, przecież nie zaniechał;

ty nie znasz podobno większego okrętu jak ten, którym się z Warszawy żegluje na Saską Kępę. Przeszedłem dopiero wdłuż pokładu; ma do siedemdziesięciu kroków; w pośrodku sterczy blaszany komin od pieca, i dzieli statek na dwie połowy: na kraj surdutów, fraków, i kraj bluz to jest płóciennych kurtek, na arystokracyę i demokracyę; — słowem na dwa miejsca, o cenie większéj i mniejszéj, jak na przykład: loże i parter. Na około idą ławeczki. Przy kominie kupa waliz, tłomoczków, paczek, różnych rzeczy panów pasażerów.

Na rogach zaś, po stronie arystokracyi, siedzi na małém podniesieniu sternik u steru, a na przeciwnym stoi kilka pojazdów. W linii środkowéj są trzy dziury, jak do piwnicy, kilkanaście kroków jedna od drugiéj, któremi schodzi się po schodach we wnętrze statku; dwie z nich prowadzą do pokoju gości, tu lożowych, tam parterowych; przez trzecią wyłażą osmolone brudasy, piecowi usługacze.

Otóż masz pokład. Jest to tylko jakby dach, jakby strych domu, sam dom jest dopiero pod spodem. Zapuszczać się w opisy nie myślę; wprowadzę cię tylko do pokoju, gdzie teraz to piszę. W waszych lądowych bywają prawda sufity wyższe, ale i w tym można stanąć nie uderzywszy się głową, byle tylko być małego wzrostu. Wreszcie nie chwaląc z wysokości, zkądinąd pokoik śliczny. Wkoło kanapki, przed niemi stoliki, wszystkie jednéj miary; te można albo oddzielać, albo się składają razem i stanowią jeden duży stół w podkowę, przy którym statkowa publiczność zasiada do obiadu. Jasny, bo okienek gęsto; widok z nich spodziewam się że ciekawy, i taki, jakiego żaden pałac nie ma, i mieć nie może: co chwila bowiem zmienia się. Mimo tego wszystkiego, mało kto w pokoju siedzi, wszyscy wolą pokład, chyba, że komu co napisać, albo chce się co zjeść lub wypić, albo wypocząć wygodniéj na kanapie, albo czytać dzienniki, które leżą na stołach, albo wreszcie, racya wielka: kiedy mu się tak podoba!

Na noc zatrzymuje się statek zwykle w jakiemś mieście; jeżeli zaś nie, i chcesz spać, to możesz albo patrzyć sobie na gwiazdy, albo bawić się rozmową, albo nawet jakkolwiek i gdziekolwiek zadrzymać; słowem, jesteś wtenczas zostawiony własnemu przemysłowi. Ale niema już czasu; odpływamy, spieszę na górę.

Paryż.

Z „Listów z Zagranicy."

Paryż, za którym tylu ludzi a zwłaszcza u nas wzdycha, przepada i wszystkoby dali, żeby w nim być choć tydzień, choć dzień, choć balonem przez niego przelecieć, ten sam, wystaw sobie, jest moim domem codziennym, moim towarzyszem nieustannym, moim chlebem powszednim, mam go rano i wieczór, w zimie i w lecie, o słońcu i o księżycu, w niedzielę i w każdy dzień tygodnia: tak to, kiedy się już kto urodzi pod łaskawą i fortunną gwiazdą! Otóż, żeby w tém wielkiém szczęściu nie być przecie

samolubem, chcę się niém z tobą także odrobinę, choć tylko w malowidle podzielić.

Ale pisząc o Paryżu, przedewszystkiém trzeba być Paryżaninem. Muszę więc coś napisać prędko, śmiało, żywo, po trzpiotowsku, jedno z drugiém mięszając, o wszystkiém i o niczém: niech żyje Paryż! Daléj do dzieła!

Jużto jak wygląda, ile ma ulic, placów, mostów, kawiarni, sklepów, rogatek, ile na dzień zjada szczęśliwie baranów, wołów, kur, ostrzyg, dzików, słoniów, pelikanów, feniksów, ilu w nim szewców, krawców, szwaczek, praczek, ministrów, prezesów i t. d. w ten się cały uczony rachunek wdawać nie myślę: z takich opisów tak tylko można poznać jaką stolicę, jak człowieka, o którym by mówiono, że tyle a tyle ma długości, szerokości, w rękach, nogach, palcach, albo że ma tyle par rękawiczek, butów, chustek, kamizelek. Żeby ci jednak dać jakiekolwiek wyobrażenie powierzchowności miasteczka, złówmy jedną jaką bądź jego chwilkę.

W tym na przykład momencie, gdy to piszę, jest lato, jest niedziela, jest wieczór, jest pogoda, a ja wracam z *Tivoli*. Wystaw sobie (tylko czytaj ten kawałek szybko), obszerny ogród, altany, altanki, karusele, hałas, ścisk, muzykę, strzelanie, tańce, gwar, klomby, samotne pary, lampy, teatra, loterye, sztuki, śliczne stroiki, śliczne nóżki, kurzawę, żandarmów, municypałów i innych policyantów, także słomiannych krzeseł tysiące, wachlerze, parasolki, lornetki, śmiechy, gadania, śpiewania, krzyki, przekleństwa, fejerwerki, wołania, bieganie młodych, prowadzenie chorych, ciągnienie w wózkach kaleków, wstawanie, siadanie, przesuwanie się ludzi, jakby płynienie szerokiéj rozlanéj rzeki!...; teraz tłumne wychodzenie, fiakry, kabryolety, kocze, karety, liberya, dzieci na ręku, pieski na sznurkach, zgiełk, kapelusze, turkot pojazdów, gorąco, błoto, kwiaty, perfumy, zaduch z rynsztoków, blask gazu, wojsko, bębnienie, dzwonienie, bruk, ruch, konie, koła: prawdziwa zarwańska ulica!...; zmieszaj prędko, poplącz; teraz porusz, pociągnij, żeby jedno po drugiém biegło, następowało, cisnęło się, rwało, prędko, prędzéj, jak najprędzéj, jeszcze prędzéj!... Otóż masz przepis na zrobienie sobie portretu

Paryża, jakim był dla mnie przed godziną. Prawda, że to tylko jeden punkcik i jedna chwilka: ale cały i we wszystkiém swoim ogromie Paryż, tak jest naraz niedostępny, niewidomy dla mnie, co tu mieszkam, jak dla ciebie, co siedzisz ztąd, szczęśliwy człowieku! o mil trzysta.

Zaszalawszy się, zabawiwszy, zarobiwszy, codzień do późna w nocy, zmęczony i znużony, śpi Paryż rano, jak zabity. Przed godziną dziesiątą nikt tu nic nie zaczyna, przed ósmą nikt się nie budzi, chyba student, ciągnący do szkoły, albo hulaka wracający do domu, albo ksiądz idący do kościoła, albo szpieg niosący raport z ostatniéj nocy. Ulice puste, martwe, jakby w mieście zapowietrzonym, pełne dymów, wyziewów, zaduchów. Publiczność wtenczas składa się głównie z błociarzy, zgarniających w ogromne kary ogromnemi łopatami, a pomimo tego wszędzie za sobą zostawujących, błoto, które tak się rodzi i bierze na bruku paryzkim, jak n. p. trawa na polu, albo woda w stawie, i ze śmieciarzy, co snując się w około i babrząc w śmieciach, uwijają się, aby im ich w kary niezabierano, pakują w kosze i gdzieś do swoich magazynów zanoszą: tysiączne resztki i ułamki strojów, obuwia, sukni, sprzętów, mebli, i wszystkiego; kłócą się o nie z błociarzami, pod bokiem śpiącego miasta, jak na pobojowisku kłócą się kruki z wronami.

Błociarze i śmieciarze są to ważni Paryża urzędnicy. Aby mu zrobić miejsce na życie dzisiejsze, sprzątają przed nim życie jego wczorajsze, i tak są tutaj potrzebni, tak konieczni, jak na przykład pompiarze na zepsutym i gnijącym statku, gdzie ciągle i zewsząd przybywa woda.

Kiedym już raz dla ciebie zaszedł w błoto, — a nie znałby Paryża, ktoby chciał o nim przemilczeć, — nie wyłaźmyż jeszcze z niego, żeby zrobić obraz zupełny. Rozumiesz może, że błoto w Paryżu jestto to samo, co błoto w Warszawie, Wilnie, Dreznie, Berlinie, i gdziekolwiek, nic więcéj?... ani myśl tego. Nasamprzód masz wiedzieć, iż, chociaż za nic na tym ludzkim świecie założyć się nie można, bo cóż na nim niepodobnego! wszelako to jedno jest zupełnie niepodobne, to jedno nigdy się nie zdarzyło i zdarzyć nie może: aby w Paryżu kiedykolwiek, nie tu, to tam,

nie po téj stronie *Sekwany*, to po drugiéj, błota nie było. Zima czy lato, wiatr czy upał, mróż czy grzmoty, posusza czy ślizgawica; tłem, towarzyszem, zaprawą, wypadkiem, celem, początkiem i końcem tego wszystkiego jest błoto. Jak się to dzieje? ja, który wielu innych rzeczy tłumaczyć nie umiem, nie wiem i tego; ale pójdź gdzie chcesz, zrób co chcesz, bądź gdzie chcesz: całe życie nie wyjdziesz z błota; umrzesz nareszcie, już wiozą cię na cmętarz, wprzód jednak całun co trumnę okrywa, wszystek od dołu do góry musi być w błocie: przechodzący i przejeżdżający, obryzgując go przez cały czas drogi, oddają ci przez to ostatnie paryzkie honory, ostatnią paryzką posługę, ostatnie paryzkie namaszczenie!

W błocie tedy wszystkie ściany, wszystkie drzwi, wszystkie okna, wszystkie sklepy, wszystkie ich wystawy; w błocie wywieszone mięso, z którego za parę godzin zrobią ci rosół i pieczyste; w błocie ty sam, twoi znajomi i nieznajomi, twoi przyjaciele i nieprzyjaciele; słowem: błoto w Paryżu, jest to jeneralny pierwiastek wszelkiéj rzeczy, która jego jest: kto wie nawet, (ale to już jest tylko wątpliwość), czyby się go jakaś odrobina odkryć także nie dała we wszystkich czysto-paryzkich systemach, pomysłach, wynalazkach, sztukach, filozofiach?... Błoto,— gdyż jeszcześmy nie skończyli,— tém jeszcze jest dla Paryża, czém n. p. dla jakiéj staréj babki faworyt kotek, albo faworyt kanarek; ciągle go zajmuje i zatrudnia. Z błota co ranek myją tu ściany, bramy, drzwi, okna; od błota na wszystkich rogach ulic stoją chłopcy ze szczotkami; błoto ustawicznie zdzierają po sklepach ze wszystkiego co tylko na ulicę było wystawione; błoto było, więc dają ci *sokki* (kalosze); błoto będzie, więc dają ci parasol; wchodzisz gdziekolwiek, do kościoła czy do muzeum, do jakiego warsztatu, czy zamku królewskiego, pierwsza rzecz co widzisz, jest napis: proszę wytrzeć się z błota — *essuyez vos pieds, s'il vous plait* —, pierwsza rzecz co słyszysz, jest głos portiera o toż cię samo proszący: wycierasz się zatém jak możesz, wchodzisz..., na nic ostrożność, już weszło z tobą błoto! Czy było wewnątrz twéj nowéj, białéj rękawiczki, czy w łańcuszku od zegarka, czy w perfumach na fraku

albo szalu? dosyć, że jest już i w tym błyszczącym salonie, i w tym roskosznym budoarze! To też po całém mieście ze wszystkich a wszystkich okien, zimą i latem, wytrząsają, wytrzepują, wykruszają na głowy przechodzącym błoto z dywanów, dywaników, firanek, pokrowców, serwet.

Wierzę i wiem, że świat ma zginąć przez ogień; ale myślę, że dla Paryża będzie wyjątek, i że on zginie przez błoto.

Ty, polski parafianin, zechciałbyś może zacząć dzień boży od wysłuchania mszy? nie czekajże, ostrzegam, na głos dzwonu.

W Paryżu kościołów niezmiernie mało, a i z tych niektóre całkiem zamknięte, inne z domu modlitwy, z domu czci boskiéj, przemienione na coś potrzebniejszego; jeden n. p. z najwspanialszych, kościół *św. Genowefy*, obrócony na dom czci *Woltera* i jemu podobnych bożków. Został on wewnątrz, stósownie do nowego przeznaczenia, niedawno wymalowany przez sławnego paryzkiego malarza, który ukończywszy robotę, obwiesił się, czy utopił. W tych kościołach co kościołami pozostały, na mszę wcale nie dzwonią, lubo przez zbytek dawnych zabobonów, słychać jeszcze przy ółtarzach małe dzwonki; msze tedy i wszelkie nabożeństwo odprawuje się jakby cichaczem i ukradkiem.

Nikogo też przez kilka lat widać w kościele nie było, oprócz księży, sług kościelnych i trochy kobiet; w tych dopiero czasach pokazują się i mężczyzni, ale to są wszystko jezuici, ludzie dziwni, którzy przypuszczają, że człowiek ma duszę, że po tém życiu krótkiém, następuje drugie wieczne, że będzie sąd straszny: źli pójdą do piekieł, dobrzy do nieba przez zasługi Jezusa Chrystusa, i tym podobne dziwactwa, rzeczy stare jak świat!

Zresztą, kiedyż tu iść do kościoła?... w dzień powszedni nie, bo oczywiście niemasz czasu; w święto nie, bo Paryż niedziele i wszystkie święta pokasował, nietylko przez zdrowe wyobrażenia filozofii, lecz także dla saméj ekonomii politycznéj: wiadomo, że praca jest największy kapitał bogactwa narodowego. To też tutaj na Boże Narodzenie, na Wielkanoc lub Boże Ciało w najlepsze idą fabryki, stawiają się budynki rządowe i prywatne, wszystkie

warsztaty w ruchu, bursa w pracy, sklepy otworem. Takie wszystkie rzeczy dziwiłyby cię zapewne w jakim kraju pobożnym chrześciańskim, katolickim; słusznie! ale gdybyś się temu dziwił w Paryżu, byłbyś sam, mój kochany, największym w świecie dziwakiem, kto wie nawet, czy troszeczkę jeszcze nie jezuitą. Alboż niesłyszałeś, nie pamiętasz, jak przed kilku laty czyniono tu wyprawy na krzyże i wizerunki Chrystusa Pana, i że te w bardzo wielu miejscach po całym kraju publicznie wywracano!?

Najciekawszém miejscem jest *Palais Royal.* Palais Royal jest to w miniaturze cały Paryż. Osobliwie w wieczór, gdy w całym ogromie, ze swojemi tysiącznemi sklepami, oknami, przejściami, teatrami, szklannemi oknami, zbytkami, strojami, przepychami, rozpali się jaskrawém gazu światłem, i wszystkie swe blaski, połyski, świecidła, zmięszane, złączone, odbije, razem już to na lisciach drzew ogrodu, już to w fontannie wysoko pośród nich skaczącéj; gdy się od końca do końca poruszy i zaszumi rojem swych ulubionych synów i córek; gdy mówię, co tylko zbytek wynaleźć, rozpusta zapragnąć, sztuka i przemysł utworzyć zdoła, to wszystko tłocząc się tu naraz ku tobie, wszystkie twe zmysły porywa, miota, rozprzęga; i wszystkie wejścia i wyjścia pałacu, wszystkie jego ściany i okolice opasze, jakby stada ptaków, o! wtenczas jeźliś młody a pierwszy raz w Paryżu, zda ci się, że wszystkie piękności dla ciebie zbiegły się z czterech końców świata, że Palais Royal jest zaczarowanym wschodnich bajek pałacem, a ty jego królującym sułtanem! Co tylko Paryżanin zechcieć, zamyśleć może, do czegokolwiek jest przyzwyczajony, wszystko ma pod tym jednym dachem: kawiarnie, restauracye, dzienniki, łazienki, teatra, koncerta, bale, domy na zastawiane rzeczy, biblioteki, poczty, szulernie, towarzystwa naukowe, polityczne, biura, policye, akademie, licytacye, wekslarzy, lekarzy, aptekarzy, akuszerki, wszelkie towary i wyroby świata, wszystkie rzemiosła, słowem wszystko bez wyjątku! bo tylko nie staje kościoła, bez którego doskonale umie się obchodzić, i cmętarza, o którym myśleć nie widzi potrzeby. — Ktoby za jeden

dzień chciał poznać Paryż, niech ten dzień spędzi w Palais Royal.

Od Palais Royal tak blisko do Sekwany, że warto się przejść ponad brzegiem. Możem nawet zacząć od tego wielkiego placu. Patrz jak dziwny; pełno na nim wody, ognia, złota, (niedawno pełno i krwi! bo to był plac strasznéj rewolucyi), chcę mówić ogromne fontanny, niesłychane mnóstwo latarni, a wszystko pozłocone, wyzłocone, ozłocone, pośrodku stary jak świat, obelisk, pustelnik egipski, gada coś do nowego Babilonu tajemniczą mową hiroglifów, nikt kazania dziada nie słucha, ubrali go w sztachytki, budki, schódki, rozmaite cacka i błyskotki, ledwo że nie w białe rękawiczki i lornetkę.

Jest to niezawodnie najpiękniejszy punkt w całém mieście, z jednéj strony *Tuilleries* ogród i pałac, z drugiéj, jak wystrzelił, wdłuż *Champs Elysées* do *Arc de Triomphe;* ztąd przez szeroką ulicę królewską i między dwa podług mnie, gmachy *Gardes Meubles* i *Marynarki;* masz przed sobą kościół św. Magdaleny; naprzeciw zaś i tuż za mostem, izba deputowanych, co w Paryżu nie mniejszą rzecz znaczy i nie mniéj uroczystą, jak n. p. w Brodach albo Radziwiłłowie: szkoła żydowska! Ale mamy iść na wodę. Jaki szereg pięknych mostów! *Pont d'Austerlitz, Pont de la Concorde, Pont Royal, Pont du Carousel, Pont des Arts, Pont Neuf, Pont St. Michel,* i jeszcze, i jeszcze! Jakie pałace i gmachy, tu *Tuilleries*, tam zaraz *Louvre*, naprzeciw Instytut, daléj Mennica, tuż posąg Henryka; jaki ruch, jaka wspaniałość, jakie życie! Daléj, daléj chodźmy: tyle przed nami ciekawości, piękności.... Zatrzymujesz się przy tym małym domku; dziwno ci, że tyle koło niego osób, i w takiém poruszeniu, w niespokojności..., kto w nim mieszka?... Niema on stałych lokatorów, pustką jednak nigdy nie stoi: jest to magazyn świeżych paryzkich trupów *(La Morgue).* Nie rozumiesz? Muszę ci wytłumaczyć. Nie wszystkie zabójstwa, morderstwa i samobójstwa odbywają się tu po domach; często znajdzie się jaki nieboszczyk i w ogrodzie, i na bulwarze, i na moście, i pod mostem, cóż z niemi począć? mogłyby przechodzącym zawadzać: masz n. p. pilny interes, biegniesz, a tu trup przed

nogami, tu jeden, tu drugi, trotoary i tak są wązkie, oczywiście miałbyś przeszkodę, nieprzyjemność, mógłbyś się gdzie spóźnić: należało tedy raz na zawsze środek obmyślić; w kraju ucywilizowanym na wszystko musi być porządek: wystawiono ów domek i tu codzień wszystkich takich pobitych, poduszonych, potopionych, potrutych, pokrajanych, jak któremu wypadło, gdzie którego znajdą, ściągają na jednę kupę do jednego salonu i masz! Uważ tedy tylko i przyznaj co za wygoda. Pojechała, dajmy twoja żona lub siostra gdzieś na wieczór, syn lub brat wyszedł na teatr, czekasz późno w noc, nie wracają, czekasz całą noc, przeszła wreszcie, już świta, już dzień, ich niemasz!... W inném mieście w głowębyś zaszedł, anibyś wiedział jak sobie poradzić, gdzie szukać, co robić; w Paryżu nic łatwiejszego: bierzesz kapelusz, rękawiczki i idziez prosto do Morgi; składasz tylko dowody kto jesteś, że masz istotnie prawo zabrać to, za czém przyszedłeś, i zaraz ci ciało żony lub syna, siostry, brata, lub kogoskolwiek zgubił, bez najmniejszéj trudności wydają. Trafia się, że ten albo ten nieboszczyk, długo czasem w tym paryzkim domku wala się, czekając aż się kto po niego zgłosi, żeby policya mogła się przynajmniéj dowiedzieć kto on był, co nieraz do procesów, i odkrycia złoczyńców bardzo bywa potrzebne: w takim razie taki a taki trup — anonim, mężczyzna, kobieta, czy dziecko, balsamuje się ślicznie, pięknie, i już może czekać Bóg wie póki, nikomu się nieprzykrząc, a tymczasem proces się rozpoczyna, wyszukując zabójców, przyprowadzają świadków, zbierają zeznania, malarze przychodzą malować, chirurgowie mierzyć głębokość i szerokość ran, romansiści opisywać. Publiczność schodzi się dzień w dzień oglądać, bawić! Zdarza się także, iż sprawa o zabójstwie przenosi się w ciągu swoim z jednego trybunału do drugiego, więc i ów nieboszczyk nabalsomowany, ów mieszkaniec Morgi, zmienia miejsce rezydencyi; masz n. p. jaki interes z Paryża pojechać do Orleanu, do Lyonu, do Bordeaux, gdziekolwiek; zapłaciłeś za miejsce, wsiadasz w dyliżans i po dwóch lub trzech dniach podróży, dopiero się na miejscu dowiadujesz, że w tymże samym pojeździe była także para trupów, których

do śledztwa w sprawie sędziowie zkądsiś żądali. La Morgue jest to dla Paryża tak coś koniecznego, że nawet w bliższych okolicach o kilka mil na około są dla użytku jeżdżących tam Paryżanów i Paryżanek małe Morgi, ładne domeczki umyślnie na skład znachodzonych ciał; masz bowiem wiedzieć, że szanowni Paryżanie wyjeżdżając tu i owdzie na spacer, na świeże powietrze, mają często zwyczaj tamże w łeb sobie palić, wieszać się, zarzynać, drugich mordować, topić i t. p.; ze strony więc mieszkańców gmin przyległych jest prawdziwie w tém stawianiu domków trupowych uprzejma bardzo względem stolicy grzeczność.

Z odrazą to czytasz, oburzasz się, że ci o takich okropnościach i jeszcze takim szkaradnym, zimnym tonem piszę? Piszę takim a nie innym tonem umyślnie, bo piszę z całą cywilizacyą, z całą filozofią prawdziwego doskonałego Paryżanina.

Możesz też brać ztąd ogólne wyobrażenie, jakie tu jest uczucie sztuki. Paryż daje koncerta, skupuje galerye obrazów, buduje gmachy, ale w tém wszystkiém nie jest to artysta, tylko bogacz, który wydaje bez zapału, nabywa bez roskoszy, sprawia bez potrzeby, dla tego szczególniéj, aby o nim po świecie gadano, i który w gruncie najwięcéj z muzyki lubi kotły, dżele, lub drumle, z malarstwa kosztowne ramy, z architektury duże i gęste kolumny, przedewszystkiém to, co nadzwyczajne, co pstre, co drogie.

Ten Paryż,— jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony i jaśnie najoświeceńszy pan i potentat — wielki, sławny, dumny, królujący, o którym ja z takiém nieuszanowaniem pozwalam sobie tu przed tobą mówić, — ani się domyśla, że może gdzie być jaki taki człowiek, jakiś cudzoziemiec, barbarzyniec, co mimo jego całéj pompy i światłości, śmiał spojrzeć mu prosto w oczy, i pod majestatem, jaki go okrywa, dojrzał trąd, wrzody, zgniliznę! Być może, iż toby go zdziwiło, ale co jest w sobie bez porównania dziwniejsze, to, że on sam wszystko co może być najgorszego, najfatalniejszego, najstraszniejszego, zna do siebie doskonale, i pierwszy o tém na głos gada, ale zdaje się razem, iż nic

go to w sercu nie obchodzi, iż wszystko mu zupełnie jedno, albo, iż nie widzi już żadnego na to lekarstwa!

Ten taki osobliwy cynizm, czy ta doskonała rozpacz, która ginącego do zupełnego nakoniec przywodzi opuszczenia się, do zupełnéj niejako obojętności, (jak n. p. bywa na okręcie zapalonym, gdy już uzna niepodobieństwo ugaszenia pożaru i jest sam jeden na morzu), ma w sobie coś przerażającego!

W Paryżu nic pospolitszego, jak słyszeć i czytać od rozmaitych Paryżaków (a mówię szczególnie o ludziach wyższego światła, głębszéj uwagi), rozmaitéj formy postrzeżenia i dowodzenia, że cała ta paryzka Francya leci gdzieś w przepaść na złamanie karku, że widocznie znika w niéj coraz wszelka piękność i życie, że wszystko, cokolwiek stanowi moc i chwałę państwa, już się w niéj zepsuło i skruszyło, że się wytrawiła, nie wiedzieć co ją czeka, i t. p.; masz o tém broszury, dzieła, mowy, gadania, jakieś nawet proroctwa....

Więc tedy pomyślisz, ponieważ postrzegli się na jakich są drogach, skoczą z nich co najprędzéj, zejdą na insze.... bynajmniéj; idą, brną daléj.... Pan Bógże z niemi! —

Co do mnie, nie lękam ja się dla Francyi tak czarnéj przyszłości, lubo być może, iż czeka ją chwilowa kara: bo pamiętam, że koniec końców Paryż nie jest Francya, bo pamiętam, jakie ta Francya miała dzieje, jakich miała ludzi, jakie dla chrześcijaństwa i cywilizacyi położyła zasługi.

Gołębie w Wenecyi.

Przez Michała Wiszniewskiego z „Podróży do Włoch, Sycylii i Malty.“ Warszawa 1848.

Plac św. Marka, który w każdym przechodzącym pierwszy raz podziwienie wznieca, wygląda jak ogromny i najpiękniejszy na świecie salon, o którym Napoleon powiedział, iż tylko niebo godne być jego sklepieniem. W rzeczy saméj jest to coś niespodzianie pięknego, coś do sennego marzenia podobnego; takiego drugiego rynku niema na świecie. Z trzech stron otaczają go *prokuracye* nowe

i stare, w łuki trzypiętrowe zbudowane, gdzie mieszkali *prokuratorowie* św. Marka, którzy po *Radzie dziesięciu* największą w Rzeczypospolitéj piastowali władzę. Koło prokuracyi starych wznosi się wieża zegarowa, która swą oryginalnością, jak tu wszystko, bardzo zastanawia. *Piotr Lombard* po spaleniu drewnianéj, zbudował teraźniejszą r. 1496. Front zdobi ogromne koło z zodiakiem, ze zmianami księżyca, tudzież koło podzielone na 24 godzin włoskim obyczajem. Nad tym stoi N. Panna pozłacana, a koło niéj drzwiczki, z których co godzina wychodzą trzéj królowie Maurowie, i przechodząc po półkolistym ganeczku, kłaniając się z uszanowaniem N. Pannie, podnosząc z głowy korony i drugiemi drzwiczkami znikają. Nad tym znowu stoi złoty lew św. Marka na tle błękitném. Nad lwem jest dzwon w powietrzu zawieszony, o który dwóch murzynów z miedzi ulanych, młotkiem godziny wybija.

Skoro druga z południa na tym zegarze uderzy, zlatują się z różnych stron tłumami gołębie i siadają na środku rynku, czekając na strawę, którą im pewna pani posyła.

Tych gołębi nie chowają tu dla jedzenia, owszem nie wolno ich nikomu zabijać, ani chwytać; są one w takiém poszanowaniu, jak w wielu krajach jaskółki i bociany; jednego majtka, który zapłacony przez Anglika, schwytał był parę tych szarych gołębi, lud rozjuszony o mało nie zabił.

Gdy admirał *Trevisano*, na początku trzynastego wieku oblegał Kandyę, postrzeżono wiele gołębi w jednym kierunku lecących, na miejsce, gdzie genueńska flota na kotwicy leżała. Zastrzeliwszy kilka, znaleziono pod skrzydłami każdego liścik, w którym Kandyoci donosili Genuezom, o wielkiém swém niebezpieczeństwie, i prosili o odsiecz. Korzystając z téj wiadomości Trevisano, natychmiast wylądował i zdobył wyspę. W zamku gubernatora znaleziono wiele innych gołębi, na posyłki chowanych, które Trevisano, wraz z wiadomością o zdobyciu Kandyi, posłał do Wenecyi, a które lud jako największą odniesionego zwycięztwa pomoc szanował i za nietykalne poczytał. Karmiono je kosztem skarbowym aż do upadku Rzpltéj; i te więc gołębie są tu pamiątką historyczną, którą Wenecyanie szanować umieją!

Rzym.

Z „Listów o Włoszech“ przez Konst. Gaszyńskiego.

Rzym przedewszystkiém jest miastem papiezkiém, stolicą katolicyzmu. Tutaj więc cudzoziemiec przyjrzeć się może obrzędom kościelnym, odprawianym z okazałością, na jaką żadna inna religia, a nawet żadny inny gród chrześcijański, zdobyć się nie potrafi. Najwspanialsze ceremonie przypadają na pierwsze święto Wielkiejnocy.

Nie mógłem być obecnym mszy św. śpiewanéj przez samego Piusa IX., w dzień Bożego Narodzenia; — i dziś rano dopiero miałem szczęście znajdować się na wielkiém nabożeństwie w bazylice św. Piotra i widzieć z bliska Ojca św. w całym majestacie ziemskiego przepychu.

W pół do jedenastéj, rozpoczął się wchód solenny papiezkiego orszaku. Przodem duchowieństwo niższe — daléj kanonicy — za nimi trzydziestu kardynałów, każdy z kameryerem, niosącym ogon czerwonéj sukni pryncypała.

Za kardynałami idą szambelani świeccy w stroju hiszpańskim z XVI. wieku, zupełnie czarnym z atłasu i aksamitu, z białą kryzą i koronkowemi mankietami, szpadą u boku i złotym łańcuchem u szyi. Za niemi dopiero, ukazuje się u drzwi bazyliki Ojciec św. cały w bieli, z srebrną tyjarą na głowie, niesiony na wyniosłym tronie przez dwunastu pacholków w karmazynowych szatach, z wylotami jak polskie kontusze. Dwóch jeszcze ludzi tak samo przybranych idzie po bokach, trzymając dwa ogromne wachlarze z białych piór strusich, osadzone na wysokich prętach złoconych. Oddział gwardyi szlacheckiéj zamyka orszak. Procesya ta postępuje zwolna, bardzo zwolna wzdłuż nawy, długiéj do 600 stóp; — a więc w takiéj odległości, zdaje ci się, że tron ów nie jest niesionym, ale że jak korab' jaśniejący, płynie po morzu z głów ludzkich, zniżających się na przodzie, a podnoszących z tyłu, niby spokojne fale oceanu. Patrząc z dala na papieża, myślisz, że niosą jakiś posąg świętego, ulany ze srebra; — ale posąg ten żywy, bo co parę kroków podnosi rękę, by błogosławić na prawo i na lewo klękające tłumy wiernych.

Ten pochód kilkuset osób w bogatych szatach, postępujących w uroczystém milczeniu, przedstawia widok malowniczy i wzruszający, z którym nic się porównać nie może. Wieśniaczka polska, obecna ceremonii, tak mi opowiadała swoje wrażenia po powrocie z kościoła: „Kiedy nieśli papieża na tém złocistém krześle, to mi się widziało, że samego Boga Ojca niosą — i bałam się patrzeć, myśląc, że to grzech może. Ale sobie powiedziałam: na, to już i zgrzeszę, ale będę patrzeć, bo takie święte cudowności to chyba w niebie można obaczyć.“ Te naiwne słowa podziwu duszy prostéj, ale żywo czującéj, lepiéj malują, niżbym ja zdołał, wrażenie, jakie ta procesya wywiera na tych, którzy po raz pierwszy ją widzą.

Orszak zatrzymał się przed wielkim ółtarzem. — Ojciec święty zstąpił z wysokiego siedzenia, ukląkł, — i po krótkiéj modlitwie poszedł zasiąść na przygotowanym w głębi tronie. Zdjęto mu tyjarę a włożono infułę złotą — i kardynałowie przystępowali jeden po drugim całować rękę papieża, okrytą w białą rękawiczkę z relikwiami na wierzchu. Teraz, rozpoczęła się msza św., celebrowana przez kardynała biskupa, w asystencyi trzech prałatów w litych kapach.

Niema organów u św. Piotra, orkiestra kościelna składa się tylko z licznego chóru najdoskonalszych śpiewaków, których talent rozgłośny po całéj Europie. Msza św. (przerwana kazaniem) trwała przeszło półtory godziny.

W czasie podniesienia i po *ite missa est*, Ojciec św. zstępował z tronu i szedł z gołą głową przed ółtarz, gdzie modlił się na przygotowanym klęczniku.

Stałem niedaleko, mógłem więc przyjrzeć mu się najdokładniéj. Pius IX. jest jeszcze w całéj sile wieku (59 lat), postawy słusznéj i kształtnéj; twarz jego piękna, pogodna, ma wyraz powagi i spokoju — słodyczy i dobroci. Po odmówieniu ostatniéj modlitwy, papież usiadł na krześle i odniesiono go aż do drzwi, łączących bazylikę z watykanem, w takim samym porządku, jak się rzekło wyżéj.

Okopalisko Pompei.

Z „Listów o Włoszech“ przez Konst. Gaszyńskiego.

W tych dniach, oglądałem w okolicach Neapolu, rzecz jednę z najciekawszych dla badacza przeszłości — miasto rzymskie przez ośmnaście blisko wieków zagrzebane, które że tak powiem, powstało zmartwych i wychodząc na powierzchnią ziemi, odkryło nam wiele tajników publicznego i domowego życia u starożytnych.

Pompeja, zasypana popiołem i żużlami w czasie strasznego wybuchu Wezuwiusza w 79. roku naszéj ery, była prowincyonalném miasteczkiem — napróżno więc chciałbyś w niej szukać takich olbrzymich monumentów, jakich szczątki mniéj więcéj uszkodzone zostały w Romulusowym grodzie, metropoli pogańskiego świata. Ale za to, masz tutaj przed oczyma wyraźny, dotykalny i całkowity obraz rzymskiego municipium z pierwszego wieku po Chrystusie.

Wszystko pozostało na miejscu — i wszystko (prócz dachów), zachowało się pod całunem z popiołów, lepiéj niż mumija egipska w balsamicznym powijaku. Patrzaj! oto stoją świątynie, łuki tryumfalne, trybunały, koszary, cyrk i teatra; — oto ciągną się wzdłuż prostych ulic, domy zamożnych i liczniejsze domki ubogich, — łazienki, fabryki, karczmy i sklepy! Oto place ozdobne i fontanny, mur obwodowy z basztami do obrony, — a zaraz za północną bramą, dwa długie rzędy rzeźbionych grobowców; dawny cmętarz miasta, które samo stało się cmętarzem! Na bruku z płaskich kamieni, widać jeszcze w kilku miejscach wyżłobiony ślad kół wozowych; — po rogach ulic czytasz afisze przed dwudziestu wiekami czerwoną farbą kreślone i donoszące o mieszkaniach do najęcia, albo o widowisku teatralném. Gdzieindziéj cieśla i oberzysta polecają się publiczności; tam znów ściana pokryta niezgrabnemi rysunkami swawolnych uliczników.

Pośród tych wszystkich pamiątek, brak tylko dawnéj ludności. A jednak choć w okół pusto i cicho, jesteś pod wpływem tak żywych wrażeń, iż zdaje ci się, że na skręcie pierwszego zaułku, spotkasz ludzi ubranych w fałdowane

togi, spieszących na *forum* — lub że zajdzie ci drogę wysmukła postać Rzymianki, w towarzystwie niewolnic wracającéj z *Thermów!*

W chwili katastrofy 79. roku, mieszkańcy Pompei, z małymi wyjątkami, mieli czas unieść życie. Najwięcéj szkieletów znaleziono z w koszarach! — Karność wojskowa wstrzymywała zapewne żołnierzy od ucieczki. Po niektórych domach prywatnych odkryte kościotrupy obładowane były precyozami i pieniędzmi. Widać, że to były szczątki tych, którzy po pierwszéj chwili przestrachu, wróciwszy z drogi dla zabrania rzeczy najkosztowniejszych, padli ofiarą niewczesnéj chciwości, a może i poświęcenia dla dobra rodziny, idącéj w świat bez przytułku i chleba!

Dopiero w środku zeszłego stólecia, okoliczni wieśniacy kopiąc doły do sadzenia drzew nad rzeczką Sarno, natrafili przypadkiem na mury Pompei tak już zapomnianéj (mimo listu Pliniusza młodszego), że nawet nie wiedziano dokładnie o miejscu, na którém niegdyś stała. Rząd zakupił grunta i rozpoczął poszukiwania, które uwieńczone zostały najpomyślniejszym skutkiem, — albowiem oprócz archeologicznych i pięknych zabytków sztuki greckiéj i rzymskiéj w malowidłach, mozajkach i rzeźbach — wydobyto koleją z tego nietkniętego składu starożytności, mnóstwo skarbów w złocie, śrebrze i brązie. Robota trwa dotychczas — ale niestety! tak żółwim postępuje krokiem, że od stu lat, zaledwie odkopano piątą część miasta, składającą się z dwudziestu kilku ulic. Jeżli rząd neapolitański tym samym trybem ciągnąć będzie daléj poszukiwania, to chyba ósme pokolenie po nas żyjące, obaczy całą Pompeję. Kto działa powoli, tego głowa nie zaboli *(chi va piano va sano)*, mówi włoskie przysłowie — i służy za wymówkę lenistwu i opieszałości narodowéj.

Po pierwszém wrażeniu jakie obudza w tobie ten nowy i niezwykły widok zmartwychwstałéj przeszłości — najwięcéj cię zadziwia wszędy, niezaprzeczony ślad dobrego bytu mieszkańców i powszechnego zamiłowania w sztukach pięknych, których dzieła liczą się u nas do rzędu rzeczy zbytkowych, a które u pogańskiéj społeczności, były (jak

się tu przekonywamy), niezbędnym przedmiotem, i że tak powiem, chlebem powszednim.

Było to wprawdzie handlowe (*Pompeion*, znaczy po grecku: skład towarów), ale małe miasteczko; a przecież w najmniejszym domku, podłogi są wykładane mozajką lub różnokolorowym marmurem; mury zewnętrzne malowane czerwoną lub żółtą farbą — a wszystkie ściany wewnątrz, pokryte w mniéj więcéj piękne obrazy *al fresco*, z których nawet pośledniejsze figurowaćby mogły w naszych salonach.

Znalezione w Pompei sprzęty domowe, nawet najpospolitsze jak n. p. narzędzia kuchenne, mają kształt gustowny, naznaczony piętnem sztuki. Widno, że u starożytnych ludów, nawet mosiężnicy i kowale byli artystami,— bo na siekierach spotykasz wytworne płaskorzeźby— dziurki durszlaków tworzą prześliczne girlandy, a rączki u patelni, nożów i łyżek kończą się wyrzeźbioną głową ludzką, zwierzęcą lub ptasią. Cóż dopiero powiedzieć o wielkich urnach i dzbankach z bronzu, o trójnogach i kandelabrach odkrytych w domach bogatych — a które dziś są głównemi ozdobami muzeum burbońskiego w Neapolu?

Po tylu wiekach ciągléj pracy na drodze postępu, cywilizacya nasza nic wyższego pod względem formy i pomysłu nie wydała. Co dzień więcéj przekonywam się, iż rzeźba, już dwadzieścia wieków temu, wypowiedziała ostatnie swoje słowo!

U dawnych Rzymian, życie publiczne górowało nad życiem prywatném. *Civis romanus* bawił pod rodzinnym dachem tylko nocą, lub w godzinach obiadowych — resztę czasu przepędził na forum, w świątyniach, w teatrach lub w łaźni. To téż w Pompei domy mieszkalne są szczupłe, a budynki publiczne, za wielkiego, zdaje się, rozmiaru, na obszerność osady i ilość mieszkańcy.

W najspanialszéj części miasta stoi *forum*. Jest to wielki podłużny czworobok otoczony podwójnemi rzędami kolumn między któremi (jak wskazują piedestale), stały posągi i popiersia zasłużonych obywateli miejscowych. Ta kolumnada pokryta dachem, tworzyła długi portyk do przechadzania się.

Tutaj radzono w sprawach publicznych, tu była giełda — i znaczniejsze ulice wychodziły na plac ten. Słowem, był to główny punkt zbiegowiska, centrum, obok którego grupowały się wszystkie gmachy niezbędne do publicznego i religijnego życia.

W okół pompejańskiego forum, wznoszą się świątynie: Jowisza, Merkurego, Wenery, Izydy, Fortuny, i najokazalsza z nich, świątynia Augusta czyli Panteon; nieco daléj, trybunał, więzienie i łaźnia publiczna.

Na kończynach przeciwnéj części miasta (téj, która jeszcze nie tknięta rydlem i nad którą ciągną się winne ogrody), odszukując wałowych murów, natrafiono i odkopano Cyrk do igrzysk (téj saméj formy, co Kolizeum rzymskie), dwa teatra i koszary — wszystko najdoskonaléj zachowane. Jak już mówiłem, domy prywatne Pompei (na których progach widzisz wyryte gościnne napisy: *salve* i *vale*), są szczuple i na jeden model stawiane. Każden składa się z dwóch części: od przodu, w okół kwadratowego podwórka *(atrium)*, mieszkanie dla mężczyzn; — od tyłu, wzdłuż czterech boków innego podwórza ozdobnego w kolumny *(peristilium)*, schronienie kobiet; — po za domem ogród *(viridarium)*, z fontanną i statuami. Pokoje sypialne *(cubiculae)*, salon *(exeda)*, gabinet do pracy *(tablinum)*, jadalnia *(triclinium)*, a nawet kaplica gdzie stały posągi Bogów *(sacrarium)*, są bardzo małe i rzadko opatrzone oknami; światło dzienne wchodziło do nich przez drzwi.

Znaczniejszym domom Pompei ponadawano nazwy od znalezionych tamże pamiątek. I tak, jeden zwie się domem Fauna, dla tego że w nim odkryto piękny brązowy posąg tego opiekuna gajów. Od mozajki, która przedstawia aktorów w maskach i koturnach, zdających się robić próbę dramatu przed poważnym starcem, nazwano cały budynek domem poety tragicznego; dom chirurga od znalezionych tam lancetów i innych narzędzi; dom tancerek od ślicznych fresk, przedstawiających wizerunki kobiet w najpowabniejszych pląsach; — dom labiryntu od mozajki, na któréj Tezeusz zabija Minotaura; — dom strzelca od malowanych na ścianach scen polowania i t. d.

Posągi, płaskorzeźby, znakomitsze mozajki i malowidła, ozdoby kobiece i inne przedmioty ze złota, śrebra, bronzu i żelaza; amfory, lampy, garnki i tym podobne narzędzia gliniane i ciekawości starożytne wszelkiego rodzaju, odkryte przy odgrzebywaniu — przewieziono ztąd do Neapolu i umieszczono w muzeum królewskiem. W Pompei pozostały tylko puste mury, pośledniejsze mozajki i ogromna ilość fresk po ścianach.

Katakumby rzymskie.

Z „Listów o Włoszech“ przez Konst. Gaszyńskiego.

Zroszone krwią męczenników, uświęcone wspomnieniami wiary, obleczone poetycznym urokiem przez pieśni wieszczów, lgnących do wszystkiego, co jest tajemnicze, katakumby mają początek bardzo prozaiczny. Jak prawie cały półwysep włoski, tak i okolice Rzymu składają się z gruntu wulkanicznego, pokrytego pokładem ziemi wegetalnéj. Ten piasek brunatny, resztki przepalone po zagasłych jeszcze może przed potopem wulkanach, jest doskonałym do robienia cymentu. Od czasów niepamiętnych, zapewne od epoki pierwszych królów, mieszkańcy Romulusowéj osady, kopali głębokie jamy, szukając tego wybornego materyału do murowania.

W miarę jak Rzym rósł w potęgę, mnożyły się domy i pomniki — do ich budowy potrzeba było coraz więcéj *puzzolany*. Oględny rząd zaprowadził porządek w kopalniach; — by uniknąć zawalenia się ziemi, rozkazano przebijać galerye w naznaczonych odstępach i w coraz nowych kierunkach. Po kilku wiekach pracy i wywozu, utworzyła się, jakby ogromna sieć wązkich kurytarzy, podziemnych, krzyżujących się w niepoliczonych gałęziach i ogniwach — i powstał szeroki labirynt, straszniejszy od owego, z którego wywiodła *Tezeusza* nić *Arjadny* — straszniejszy mówię, bo pozbawion promieni słonecznych, bo złożony z kilku piętr coraz głębszych podziemi, połączonych z sobą schodami. Robotnicy pogańscy mimowiednie, opatrznie, przygotowywali zawczasu uchronę dla wyznawców nowéj, prześladowanéj wiary!

Na powierzchni ziemi wzbroniono chrześcianom słuchać wykładu ewangelii, odprawiać obrzędy religijne — zeszli więc do pustych katakumb, rozkopali szerzéj kończyny niektórych zaułków, i tak stanęły pierwsze kościoły boże, gdzie zdala od gnębicieli, przy blasku pochodni, odzywał się głos kapłanów, wznosiły się ku niebu modły wiernych. By uniknąć nakazu palenia ciał zmarłych na stósie (*rogus*), wyżłobili w ścianach kurytarzy podłużne otwory — i tam grzebano ciała braci, którzy skończyli spokojnie żywot doczesny, lub padli śmiercią męczeńską. W tych także niedostępnych manowcach, nie jeden świeżo nawrócony Rzymianin, oskarzony od krewnych, ścigany przez władzę, znajdował bezpieczne ukrycie.

Z upływem czasu, w chwilach ulgi i krótkiego spokoju, przedarł się do katakumb pewien rodzaj okazałości; freski pokryły sklepienia kaplic, rzeźba ozdobiła ółtarze — a każdy grób zamknięto płytem białego marmuru z napisem. Tradycya głosi, że czternastu papieży i sto kilkadziesiąt tysięcy chrześcian spoczywa w tych cmętarzach.

Nikt może w żadnéj epoce, nie zwiedził wszystkich kryjówek téj szerokiéj *Nekropoli*, ciągnącéj się (podług zdania wielu autorów), aż do brzegów morza i do granic państwa neapolitańskiego.

Wyobraźnia nie wymyśliła nic bardziéj fantastycznego i przerażającego, jak rzeczywistość tego podziemnego miasta bez końca, które miało za ulice sklepione rowy, za domy grobowiska, za świątynie groty w twardym piasku wykute, za słońce, blask pochodni — za ludność codzień gotujących się na śmierć męczeńską czcicieli prawdziwego Boga. Pozwolenie na piśmie, wydane z kancelaryi papiezkiéj, jest niezbędném do téj podziemnéj wyprawy. †

W naznaczony zawczasu dzień i na umówioną godzinę, przybyłém w towarzystwie polskiem z ośmiu osób złożoném, do winnicy obok kościoła św. Agniszki, gdzie już czekało na nas dwóch przewodników z pochodniami. Każdy z nas również uzbroił się zapalonym stoczkiem — i zstąpiliśmy do państwa umarłych po długich, wilgotnych schodach, po których Dante musiał stąpać przed napisaniem swéj Epopei!

Wszystkie galerye są wązkie, trzeba postępować jeden

za drugim, jak duchy nocne sunące pogrzebową procesyą, przy bladem świetle migotających ogników. Czy na prawo czy na lewo zwrócisz oczy w téj ciasności, ten sam uderza cię widok: kilkorzędowe, podłużne, otwarte framugi pełne kości i czaszek. Niekiedy, jakby dla przerwania téj jednostajności, wprowadzają cię przewodnicy do przestronnéj groty. Tutaj była kaplica; stoi jeszcze ółtarz murowany z prostych kamieni, na ścianach ślady fresk zaczernionych dymem pochodni, ceglane półki, na których składano ubogie przybory do odprawiania ofiary mszy świętéj; obok ółtarzy, głaz wyciosany w kształcie szerokiego krzesła, który służył zarazem za kazalnię i za konfesyonał.

Daléj znów długie, krzyżujące się kurytarze, a w nich groby i kości. Za niemi jeszcze daléj, schody a raczéj ścieszka pochyła, stroma, prowadzi w dolne piętro zupełnie podobne do wierzchniego.

Takież same tu rozporządzenie, ten sam obraz żałobny innego zdaje się świata, kaplice i cmentarze, ciemny i samotny labirynt, z którego (mimo uroku religijnego budzącego w duszy litość i uwielbienie), radbyś wyjść jak najprędzéj na świeże powietrze, odobaczyć rodzinę żywych, błękit nieba i promienie słońca. Spodziewam się żeś zrozumiał z tego opisu, iż dziś w katakumbach pozostały tylko wspomnienia, goła ziemia, nagie ółtarze i otwarte groby.

Wszystko co było pamiątką historyczną lub dziełem sztuki, przeniesione oddawna do Watykanu, gdzie te zabytki są przystępniejsze dla oka, zabezpieczone od wilgoci ziemnéj i łupieztwa pojedyńczych amatorów. Płaskorzeźby i napisowe marmury wlepiono w ścianę szerokiéj galeryi służącéj za wejście do muzeów watykańskich.

Żegluga po Czarném morzu.

Z „Pielgrzymki“ X. Hołowińskiego. 1842.

Wsiadłem dnia 9. Lipca na statek parowy »Alexandra«, i o godzinie dziesiątéj z zrana puściliśmy się do Carogrodu. Piękny był widok, gdy w szybkim pędzie statku przedstawiały się kolejno wszystkie domy Odessy; i wkrótce, bo w 10 minut, zniknęło miasto. Parochód pruł piorunem ciche morze; obracałem wzrok ku rodzinnéj stronie, którą porzuciłem, nie będąc pewny, czy ją

kiedy obaczę: jużem się zaczął smucić, gdy przyszły na pamięć słowa Bajrona: *czego mam płakać? za kim i po kim? kiedy nikt po mnie nie płacze.* Śmierć moja, myślałem, nie zrobi nikogo nieszczęśliwym: matka już u Pana Boga, a przyjaciele skończą na westchnieniu. Wesołe rozmowy i śmiechy majtków, wybiły mię z tego zamyślenia i starałem się poznać moich towarzyszów podróży. Kapitan okrętu, Anglik, pod grubą powłoką miał czułe i szlachetne serce: podróżujących ze mną było czterech: młody kupiec z Taganroga, Grek dobrze ukształcony, kupiec z Odessy, co grał zabawnie rolę wielkiego pana, feldjeger z depeszami, Niemiec, i dwudziestoletni *Periota*, co zwiedził wiele krajów, i mówił wielą językami. Przez cały dzień brzeg ziemi był widzialny, a po nim gdzie niegdzie usiane z początku kolonie i cerkwie uprzyjemniały widok. Najpiękniejsza pogoda ciągle trwała, i pierwszy raz w życiu oglądałem prześliczny zachód słońca na morzu. Około godziny dwunastéj w nocy, ujrzeliśmy przy świetle księżyca wysepkę *Serpentyna*, jedyną na morzu Czarném, gdzie nic więcéj niema, tylko budki rybaków, przybywających tam czasami dla połowu ryb morskich: wysepka ta leży o 75 mil od Odessy. O, jakże ci opiszę ten nowy dla mnie widok? Całą noc przesiedziałem na pokładzie, tylko niebo i morze, oświecone tajemniczym blaskiem księżyca, przedstawiały się oczom. Nasz parochód, jak ptak przelatywał puste i ogromne stepy wodne, które kołami, jakby skrzydły bijąc, zostawiał długi, prosty i biały szlak za sobą: z jego oddechu para stanowiła czarną wstęgę, ciągnącą się jakby olbrzymiéj długości bandera: po odmętach płynęły złote rzeki, złożone z żywych iskierek księżycowego światła: koło statku często igrały stada *delfinów*, wznosząc nad wodę czarne i potworne grzbiety, i odkrywały świat drugi, świat morski. Wielka to przyjemność płynąć w piękną pogodę po morzu statkiem parowym! Ranek był śliczny, i słońce pomalutku podnosiło się z wody: ten widok wschodu na morzu daje pojąć w całéj piękności tę baśnię Greków o noclegu *Feba* w kryształowym pałacu. Cały dzień dziesiąty Lipca upłynął, i nie widzieliśmy ziemi: biedna ptaszyna zmęczona usiadła na naszym statku dla spocznienia: napotkaliśmy czasami okręty, i witaliśmy się wywieszeniem flagi. Parochody odeskie, które odbywają kolejno podróż do Carogrodu, chociaż bez porównania ustępują innym podobnym statkom, jakie potém widziałem, są jednak dość nie złe. Pierwsze miejsce stanowi nie wielka salka, otoczona w koło szafami, gdzie za firanką są łóżka na górze i na dole dla podróżnych: na stół dają rano i wieczór kawę lub herbatę; przytém śniadanie, obiad i wieczerzę: bo masz wiedzieć, że na morzu wzrasta apetyt: chyba kto cierpi słabość morską, ale ja ciągle zdrów byłem. Jedynastego Lipca, około ósméj godziny ujrzeliśmy wzgórkowate brzegi *Rumelii*; tak więc w dwóch dobach przelecieliśmy 380 mil morskich, które liczą z Odessy do Carogrodu. Silniéj uderzyło serce, kiedy powiedziano,

Bosfor! Zdala już się rysował ten kanał jak ogromna rzeka; około przylądku *Fanaraki*, czyli *Fenerkei*, ciągle walczą z falą skały *cyaneńskie*, które starożytni mieli za pływające. Młody mój towarzysz Periota, co w téj chwili chciał być moim *Cziczerone*, mówił mi, że na tych skałach jest ółtarz pogański z białego marmuru, na którym dawniéj błagali Boga wiatrów przed zamierzoną żeglugą po niegościnném morzu; ten ółtarz dziś zowią *Kolumną Pompejusza*. Brzegi Bosforu są dziwnie malownicze: naprzód się przedstawiają na stronie Azyi zczerniałe wiekiem i porosłe drzewami mury genueńskiéj twierdzy, a na europejskim brzegu tylko szczątki widać podobnéj budowy. Potém rzędem nad samym Bosforem suną się tureckie baterye, z ładniutką czworograniastą wieżyczką i strzałką sięgającą wysoko. Często w prześlicznych jarach, pokrytych cyprysami, i ogromnymi klonami, co tu imię *Platanów* noszą, można widzieć ładne wiejskie mieszkania, z kamiennemi wschodami, aż do wody Bosforu. Wjeżdżając daléj w ten kanał przy szybkim pędzie statku, taki jest natłok uderzających przedmiotów, że opowiadacz nie zdoła wszystkich wymienić. Jest to chaos piękności, jest to prawdziwa panorama, gdzie opowiadacz ciągle pokazuje: to pałac letni sułtana, to *Skutari*, to *Bujukdere*, to *Terapia*, to przylądek seraju, to *św. Zofia*, to *Pera* itd. Wielki ten kanał, po obu stronach mający pasmo gór, spotyka w końcu przylądek seraju, oblany z jednéj strony morzem *Marmora*, a z drugiéj portem, co się nazywa *Rogiem złotym*. U podnóża tych gór, otaczających Bosfor, wznoszą się pyszne gmachy i roskoszne kioski, tak przy samym brzegu kanału, że fale płóczą marmurowe schody; ztąd na górach kwitnące kwiaty i smutne cyprysy z innemi drzewami, co w całéj swéj wielkości pokazują się wyżéj tych gmachów, zdają się odrazu babilońskiemi ogrodami, wiszącymi w powietrzu. Wystaw sobie to mnóstwo wielkich budów, pomieszanych często z gajem cyprysów, czyli cmętarzami; ten tłum meczetów, których lekkie i śliczne minarety zdały się lasem strzał lecących w obłoki; te nadzwyczaj ścieśnione domy, które się piętrzą po górach, i swoim nieładem piękniéj je ubierają; wystaw sobie rozścielającą się ogromną płaszczyznę morza Marmora, i wspaniały Bosfor, ożywiony brygami i fregatami różnych narodów, w około których tysiąc lekkich, pięknych i szybkich uwija się kaików t. j. łódek w kształcie księżyca na nowiu: a pojmiesz ten urok, w jaki mię wprawiło tak cudne widowisko. Bardzo wierzę temu, co mówiono o jednym Angliku, który przypłynąwszy do Carogrodu, obejrzał go tylko z Bosforu i nasycony tym widokiem, nie wystąpił na brzeg, ale natychmiast odpłynął: bo w rzeczy saméj, wiele się traci uroku za wyjściem na ziemię, gdzie lichość domków, i nieporządek, odczarowuje. A nareszcie, taka jest dziwna nasza natura, że to, co poznamy, już nie tyle uderza.

Święta Grota Narodzenia.

Przez X. Hołowińskiego.

Wstąpiliśmy nareście do Betlejem i trzeba było prawie całą wieś przejeżdżać do klasztoru położonego w małém od wsi oddaleniu na brzegu góry. Domy betlejemskie, co zdala tak świetnie wyglądały, przedstawiły się z bliska, jako niezgrabne, grube i często rujnowane mury. Przez bardzo niskie drzwi weszliśmy do klasztoru, gdzie nas ze zwykłą uprzejmością powitano. Najmilsze upragnienie pełnym radości głosem wołało ustawnie: *ach, do żłobku! do kochanego żłobku!*

Idąc, ujrzeliśmy na korytarzu przy saméj ścianie kościoła, karmiącego się osiołka ze żłobu. Nie wysłowię téj roskosznéj przyjemności, jaką mi sprawił widok osiołka przy saméj świątyni betlejemskiéj. Jego ryk tak zawsze przykry, zdawał się najmilszém powitaniem. Po przejściu nawy kościelnéj, zestąpiliśmy przy wielkim ółtarzu do podziemnéj groty Narodzenia i blask lamp uderzył zroszone łzami radości oczy, nim padliśmy na twarz dla ucałowania najświętszego miejsca Narodzenia. Prawdziwie, nie umiałem powitać Boga, co dla naszego zbawienia poniżył się do małego dzieciątka, co się obnażył ze swojéj chwały i przyjął postać stworzenia! — Jak ci powtórzyć to wszystko, co się wylewało tak mimowolnie, że uchodziło nawet uwagi i pamięci. Przypominam tylko, żem tu nie doświadczał nic gwałtownego i przerażającego, ale jakaś nieopisana słodycz, jakieś dziwnie łagodne rozczulenie, jakaś cicha a pełna błogość radości, zalały mi serce. O jakże Bóg cudowny w swojéj dobroci! O milutkie, kochane, najświętsze dzieciątko! Zdaje się, że wyciąga drobne swoje rączęta, że nęci ku sobie niewymownéj słodyczy uśmiechem, i że promień utajonego bóstwa rozprasza zmysłowe ciemności. Ach, bo nie gardzi grzesznikiem, lecz go otacza swoją dziwną miłością, i na to się urodził, aby przyciągnął błądzących w objęcia swoje.

Z lubém rozrzewnieniem wodziłem wzrok po świętéj grocie. A więc, do téj szczeliny w skale, schroniła się nasza najczystsza i najmilsza gołąbka? Córko Dawida, królowo anielska, czyż w takiém ubóstwie i ukryciu spełniłaś ten niesłychany cud, który w tysiącznych obrazach przedstawiali prorocy? Tu wyszła gwiazda z Jakóba na podbicie całego świata pod prawo szczęścia. Tu z kosztownego kamienia świętéj czystości, urodził się baranek władnący okręgiem ziemskim. Tu ze szczytu najdoskonalszych cnót niepokalanéj dziewicy, z téj wysokiéj opoki Daniela, spadł bez pomocy ręki ludzkiéj drobny na pozór kamyczek, co zdruzgotał potęgę ciemności, potęgę zmysłów i bałwochwalstwa. Tu cudowna różczka Jessego rozwinęła się dziwnym kwiatem, co

stał się chorągwią zbawienia wszystkim narodom, co przywrócił wiek złoty, bo otworzył bramę rajskich przybytków. Tak, tu błogosławiona dziewica porodziła Emmanuela, t. j. Boga, co chciał zamieszkać z ludźmi! Przebacz, Panie, biednym nie wierzącym, bo nieskończona Twoja miłość nie może się pomieścić w słabém pojęciu, a tylko promień Twéj świętéj łaski wlewa tak cudowne i słodkie przekonanie. Oświeć wszystkich na świat przychodzących, skarbie mój, droga dziecinko! W Tobie jest życie nasze, a to życie jest światłością naszą, i pośród ciemności świecisz jeszcze w pieluszkach, jak miła gwiazdeczka, jak prześliczna jutrzenka, zwiastująca nam ukryte słońce Twojego bóstwa. — Uboga para, ale z rodu królewskiego spieszy do Betlejem, a tam Józef i Marya, najświętsi z ludzi, nie znajdują u nikogo przytułku; idzie przeto dwoje biednych do jaskini, służącéj za stajenkę bydlętom. O Boże! co się działo w ich sercu, że Pana i Zbawiciela musieli przy samém narodzeniu otoczyć ostatnią nędzą i ubóstwem! Najczystsza dziewica, uwinąwszy w pieluszki, położyła w żłobie, bo miejsca nie mieli w gospodzie. On świat stworzył, a świat go nie poznał! Do swéj własności przyszedł, ale go właśni słudzy nie przyjęli! — Spoglądając na tę prostą, nie wielką pieczarę, na tę bydląt stajenkę, na ten żłób, co był Zbawcy kolebką, i wspominając, że tylko dwoje biednych ludzi i nieme bydlęta otaczały boskie przyjście, wpadasz mimowolnie w zdumienie, które woła: — I toż są pałace króla nieba? I toż są tron i kolebka najsłodszego, anielskiego, bożego panięcia? — Ale wśród podziwu i ubóstwa otwierają się oczy. Rozlewa się niesłychana jasność. Zjawia się nowa i cudowna gwiazda, zbiegają się pasterze i mędrcy, zlatują aniołowie, napełnia się powietrze rajskim śpiewem, a cała natura, niebo, ziemia, zwierzęta, pasterze, mędrcy, królowie i duchy błogosławione, oddają pokłon wcielonemu Bogu. O! wtedy ubóstwo niebieskiego dzieciątka, jakże wielką odkrywa mi tajemnicę przyczyny wcielenia, a razem jakąż wdzięcznością i rozczuleniem napełnia! Tak, w samém narodzeniu zaczyna spłacać grzechy nasze. W kamiennym żłobie pokutuje za naszą pychę i miękkość zmysłową. Poznajemy łaskę Twoję, o najpiękniejszy między synami ludzkiemi: z miłości dla nas, o rajski, anielski kochaneczku! stałeś się ubogim, będąc bogatym, abyśmy ubóstwem twojém ubogaceni byli. — U żłobu, gdzie spoczywa błogosławieństwo wszystkich narodów, klęczą Józef i Marya, jak dwa czyste Cheruby ocieniające arkę Pańską. Któż w stanie pojąć dziwność i błogość tych nadzwyczajnych uczuć, które przepełniały ich serca? Najczystsza, najsłodsza dziewica, jakże sprzecznych doznaje wrażeń, bo na przemian, to hołd uwielbienia i pokłon czci składa swojemu Bogu, to znowu przytula rajskie dzieciątko do swego łona i w tysiącznych całunkach wylewa roskoszne wezbranie najświętszéj macierzyńskiéj miłości. Nie znam w żadnym języku tak doskonale ujętego w proste słowa

tego uczucia, jak w naszéj staréj pieśni »Kantyczek«, która pod tym względem prawdziwie jest utworem geniuszu chrześcijańskiego, godnym zdumienia, gdzie najczulsza pieszczotliwość splata się z najżywszą wiarą. Wielki i uczony poeta na nic podobnego nigdyby się nie odważył i nigdyby tak głęboko nie przeniknął w dziwną poufałość, jak ta pieśń, którą duch kościoła wydał samorodnie w prostocie serca i miłości.

Grota narodzenia Zbawiciela od samego początku chrześcijaństwa była w największém uszanowaniu i w każdym czasie mnóstwo tu przychodziło dla oddania pokłonu niebieskiemu dzieciątku. W pierwszych czasach kościoła zbierano się tu na nabożeństwo: Adryan chcąc odstraszyć chrześcijan od tych nawiedzin, postawił na miejscu narodzenia posąg Adonisa, który tu był aż do czasu przybycia cesarzowéj Heleny. Ta wielka miłośnica Zbawiciela i śladów jego doczesnéj pielgrzymki, oczyściła najświętsze miejsce od bałwochwalstwa i kosztownemi marmurami ozdobiła grotę, jak świadczy Euzebiusz, a na jéj wierzchu wzniosła kościół, który znacznie odnowił Justynian.

Sadzawki Salomona.

Przez X. Hołowińskiego.

Upał nie był wielki, zwłaszcza że pragnienie można było ugasić przy wodociągu. Widok rozrzuconych dzikich skał, a czasem jakiejś wioski zdala wyglądającéj, uprzyjemniał podróż, już i tak ożywioną wspomnieniem Salomona na każdym kroku. Z góry odkrywał się wąwóz skalisty, ubrany w głębi wiośnianą zielenią: był to sławny ogród zamknięty, a wreście w półtory godziny po wyjeździe z Betlejemu, stanęliśmy przed najogromniejszém dziełem dawnéj potęgi Izraela, tj. przed sadzawkami Salomona.

Zaraz przy wąwozie ogrodu zamkniętego, jest jakby wązka rozpadlina pomiędzy dwiema ogromnemi opokami, która stósownie do pochyłości skał, spada ku dolinie wąwozu. W téj rozpadlinie kamiennéj, widzisz trzy ogromne sadzawki, wykute po większéj części w skale, w pewnéj od siebie nie wielkiéj odległości i zajmujące całą spadzistość jaru, bo w prostéj linii jedna po drugiéj następuje. Chociaż, jak nadmieniłem, oswaja się oko w Palestynie z krajaniem skał, jednak widok téj olbrzymiéj pracy musi obudzić zdumienie. Wszystkie trzy sadzawki w równoległobok sporządzone, mają szerokość jednakową t. j. dziewięćdziesiąt kroków. Najwyższa sadzawka jest najmniejszą, ledwie nie kwadratową, bo ma długości sto pięćdziesiąt kroków: zastałem ją pełną wody i widziałem z wielką przyjemnością pływającą cyraneczkę, bo mi przypomniała rodzinne strony, a potém kto wie, może tu przybyła z mojego kraju. Sadzawka ta jest najpłytsza i w znacznéj części murowana z ogromnych kamieni. We wszystkich sadzawkach,

gdzie jest mur, tam go powleka niezmiernie gruba skorupa najpodobniéj z wapna i gipsu, ale tak twarda i nie krusząca się, jakby mur był powleczony massą kamienną. Druga, niższa sadzawka, więcéj w skale kuta, ma sto siedmdziesiąt pięć kroków długości i głębsza od pierwszéj, ale wody mniéj było. Trzecia, najniższa i najwęższa sadzawka, ma dwieście trzydzieści kroków długości i jest najpiękniejsza, bo cała prawie w żywéj skale wykuta, lecz woda ledwo same dno pokrywała. Wszystkie sadzawki są w tén sposób kute, że w koło idą gładziutko ciosane gradusy, szerokie na dwa, a wysokie na półtrzecia łokcia. Do tych wielkich gradusów prowadzą po każdéj stronie zwyczajne schody. Wszystko to zrobiono dla kąpieli, aby każdy na tych wielkich gradusach stósownie do spadku wody, mógł się kąpać i zejść głębiéj lub płyciéj. Najniższa sadzawka jest najgłębsza, bo ma pięćdziesiąt zwyczajnych schodów w prostéj linii do samego dna, co czyni dwadzieścia pięć łokci głębokości. Przez te kute w skale gradusy, każda sadzawka zwęża się na dnie, a rozszerza się u wierzchu. Częścią nasyp, częścią żywa skała, stanowią groble między sadzawkami, lecz wszystkie łączy podziemny kanał, i kiedy woda napełni najwyższą, wtedy ją puszczają do niższéj, a potém do najniższéj, która się kończy stromą ścianą, z ogromnych ciosów złożoną w całą głąb doliny zamknionego ogrodu. Przez mały umyślny otwór w téj ścianie, spada woda i formuje strumyk na dolinie. Od *źródła zapieczętowanego* woda płynie kanałem w najwyższą sadzawkę, ale sama jedna nie mogłaby napełnić tak ogromnych cystern, przeto podziemne wodociągi prowadzą tu wodę ze wszystkich źródeł pobliższych, których jest kilka: a nadto, opoki ogromne ścieśniające ten wąwóz, mają wyżłobione małe rowki, lub rynny, z taką sztuką, że wszystka woda deszczowa ścieka z tych gór do sadzawek przez małe okienka, umyślnie na to zrobione po wierzchnych brzegach każdéj sadzawki.

Trudno ci przedstawić całe wrażenie, jakie sprawia widok olbrzymiego dzieła i téj wody sklnącéj się w pośród skał popękanych od upałów. Wzmianki o tych sadzawkach w biblii, świadectwo Józefa i Talmudystów przytaczanych przez *Relanda*, stwierdzają nieprzerwane podanie, że to jest dzieło mądrego Salomona. Lecz gdyby nawet żadnych śladów historycznych nie było, samby widok téj pracy aż nadto przekonywał o jéj starożytności. Nie znajdziesz tu bowiem piękności greckiéj, ani ozdób płaskorzeźby: nie ma tu równie dumy rzymskiéj, co ogromne podejmując dzieła, piętnowała na nich nie tylko swoję śmiałość, ale i dostatek przez bogate ukraszenia. Przeciwnie tu się przebija duch hebrajski, duch biblijny, t. j. zdumiewająca wielkość i siła przy zdumiewającéj prostocie. Szkoda, że to piękne dzieło w największém zaniedbaniu zostaje.

Ztamtąd, o jakich siedmdziesiąt kroków, na równinie pod górą, jest sławne *źródło zapieczętowane*, któregobyś jednak bytności ani

się domyślił: nic bowiem na polu nie widzisz, tylko jakiś nie wielki otwór w ziemi, założony kamieniem. Zapaliwszy świecę, spuściłem się nie bez trudności w tę wązką jamę: były tam wprawdzie jakieś schody, ale tak zawalone gruzem i popsute, że najmniéj półtora sążnia trzeba się było sunąć w to podziemie. Naprzód wszedłém do wielkiego pokoju, który był z ciosu łukowato sklepiony, a potém następuje takiéjże saméj starożytnéj roboty drugi pokój, długi a wązki, gdzie z boku wytryska z ziemi trzy źródeł czystéj jak łza wody i wybornéj do picia, a nieco opodal znajduje się i czwarte źródło. Na środku lochu postrzegasz w nie wielki równoległobok łoże kamienne, w które zbiera się woda osobnemi kamiennemi rynnami ze wszystkich źródeł: a potém płynie z tego łoża w trzy wodociągi, t. j. jeden do najwyższéj sadzawki, drugi do Jeruzalem, trzeci do wspomnianego Kampo, czyli Karawanseraju. W samym końcu długiego lochu znajduje się jakby ławka do siedzenia usypana z ziemi, a przy niéj studnia pełna wody, lecz nie wychodzi z brzegów i nie łączy się ze źródłami. Patrząc na tę budowę, kędy ciosy zgrabnie się gną w prześliczne arkady, jakby odlane były z jednéj lawy kamiennéj, i zważając razem wielką prostotę, która gardzi wszelkiém wyszukaniem, wszelką dodatkową ozdobą, nie bardzo spierać się będziesz z podaniem, co murowanie lochu przypisuje Salomonowi, zwłaszcza że w tém nie widzisz wielkiego niepodobieństwa. Na wschodzie wszelkie budowy ozdabiające lub ochraniające źródła, mogą trwać niesłychanie długo, bo je wszystkie narody wschodnie mają w poszanowaniu i nie tylko nie przyłożą ręki niszczącéj, ale nawet, mimo wrodzonego lenistwa, gotowe czasem poprawić i utrzymać tego rodzaju pomniki. Źródła w długim lochu były zapieczętowane królewską Salomona pieczęcią właśnie przy tym nie wielkim nad ziemią otworze, który teraz kamieniem zakładają, aby wewnątrz nikt nie psuł wodociągów i nie wybierał wody, co była potrzebna do źródeł królewskich i wodnych zapasów w Jeruzalem. Dla téj przyczyny wszystkie te podziemne źródła nazywały się źródłém zapieczętowaném.

Jeruzalem.

Przez X. Hołowińskiego.

Przykra, śliska i kamienna ścieszka wiodła nas po obnażonych i dzikich skałach i po godzinie drogi od źródła Maryi przyszliśmy na dość obszerną dolinę, gdzieśmy znaleźli liczne ruiny jakiéjś dawnéj wsi, albo miasteczka. Pusta i odarta ze wszelkiéj zieleni dolina, zowie się *Wadi Atar*, t. j., *miejsce głębokie;* podanie utrzymuje, że na téj dolinie Jozue gromiąc nieprzyjaciół, rozkazał stanąć słońcu: a więc to biblijna dolina *Ajalon*. Idąc tą długą doliną, ujrzeliśmy po prawéj stronie na kamienném wzgórzu

wioskę *Bet-Chanina*, to jest *Dom miłosierdzia*. Tamże nieco opodal odkryła się nam ogromnie wysoka góra, którąśmy ciągle widzieli aż do saméj Jerozolimy; zowie się *górą Samuela*, jest to dawne *Ramataim Sofim*, albo *Rama*, co znaczy *wysokość*: tu się urodził i tu był pochowany Samuel. Całe dzieje żydów pod tym sławnym prorokiem nasuwały się pamięci na ten olbrzymiéj góry widok dziwnie czarujący: bo kiedy do koła postrzegasz w dzikiéj pustyni pokrajane skwarem opoki, których ani jeden listek nie uzielenia, wtedy wyskakuje góra Samuela ustrojona bujnemi sadami. Sam jéj szczyt zajmuje w zielonym wianku nie wielka osada, ze dwudziestu kilku chat złożona, w któréj środku wznosi się bardzo stary meczet, zbudowany, wedle podania, na samym grobie Samuela, do którego tak moślemini, jak i żydzi z wielkiem uszanowaniem przychodzą.

Jakże ta droga usposobiała moję duszę do oglądania miejsca cierpień i tryumfu Zbawiciela! Ta ziemia pełna cudów i wielkości z każdą chwilą nastręczała wspomnienia biblijne. Były to jakby przyśpiewki do wielkiego hymnu miłości bożéj, który dotąd wprawia w zdumienie ziemie i niebo; były to poprzednicze gońce, co zwiastowały miejsce tego widowiska, którego przedstawiały symbol, albo przygotowanie. Gdyby okolica Jerozolimy uśmiechała się wdziękiem zieleni, rokosznych łąk i gaików, gdyby ludnością roiła się ta strona i wesołemi wiejskiemi obrazami nęciła przechodniów, wtedyby trudno byłoby zebrać ducha do smutnych, ale szczytnych rozważań. Przeciwnie teraz, w całym obszarze od *Biri* aż do najświętszego w świecie miejsca, głucha i straszna pustynia, nakształt *Tebaidy Eremu*, wtrącała mimowolnie w poważne dumania. Drogi syońskie były puste, a cała ta przestrzeń dziwnie jest nastrojona do uczuć duszy chrześcijańskiéj. W pośród wzburzonego morza tych skał, które ustawnie nakształt ogromnéj fali piętrzyły się pod nieba, lub spadały głębokiemi jarami, w pośród téj jednostajnie posępnéj barwy, niosącéj trwogę i smutek, wznosiła się najwyżéj zielona góra Samuela, jakby wyspa przytułku, lub nadpowietrzna oaza, na któréj z przyjemnością spoczywa wędrowca oko zmęczone pustynią, jak ptak przelotém morskim. Podobnie i w duszy pielgrzyma, który się zbliża do upragnionego celu, do Jerozolimy, wśród tysiąca uczuć wzburzonych, wśród jakiegoś niepokoju i trwogi, wśród licznych myśli, którym wsponienie tylu zniewag, cierpień, katuszy i śmierci Zbawiciela, nadaje barwę jednostajnie ciemną i posępną, słowem, wśród tego morza boleści, przebija się nad wszystko nieskończona miłość, *Bóg-Człowiek*, jako jedyny port słodyczy i pociechy, jako niebieska palma ocieniająca od skwarów tego świata.

W krainie górzystéj, nagle odkrywa się widok miast i pospolicie wtedy, kiedy już się zupełnie zbliżysz, co nadzwyczaj przyczynia się do powiększenia pierwszych wrażeń. Nie potrafię opisać niespokojności, z jaką wdzierałem się na każdą po drodze

skałę, w nadziei ujrzenia grodu świętego: lecz długom się zawodził, a przynajmniéj tak się wydawało mojemu gwałtownemu oczekiwaniu. — Ciało nadzwyczaj było znużone i drogą i skwarem, a dusza gubiła się w posępnych myślach.

Nareście przybyliśmy około jedynastéj godziny przed obiadem na białą wapienną górę i nagle ujrzeliśmy przed sobą dość wielkie miasto, czepiające się po szczytach gór i opasane zębatemi w koło murami. *Jerozolima!* wszyscyśmy krzyknęli i upadli na kolana, aby natłok uczuć wylać w świętéj modlitwie. Trzéj księża Bernardyni, moi towarzysze, co także po raz pierwszy mieli szczęście oglądać to najświętsze miejsce, nadzwyczaj mię rozczulili. W gwałtownem uczuciu boleści, upadli na twarz i w pośród łez, łkania i jęków powtarzali ustawnie; *O Jezu, o mój Boże, o mój Zbawicielu!* ale tak bolesnym głosem, tak z głębi duszy skruszonéj pochodzącym, że to uczucie świętego żalu musiało się i we mnie przelać. Po tém pierwszém wrażeniu zebrawszy nieco myśli, odmówiliśmy głośno i razem modlitwy dla otrzymania zupełnego odpustu, który kościół przywiązał do pierwszego ujrzenia Jerozolimy: i stąd tę górę zowią chrześcijanie *górą pokłonu*, a na ten znak układają pobożni pielgrzymi w mały krzyż kamienie. Potém najserdeczniéj uściskaliśmy się, winszując wzajem, że Bóg miłościwy mimo naszę niegodność, osłaniał nas dotąd skrzydłém swéj opieki od wszelkich wypadków i pozwolił oglądać najświętsze miejsce na całéj ziemi. Zdaje się, że nadal nie wieleśmy dbali o wszelkie niebezpieczeństwa. Długośmy stali, aby nieco oswoić się z tém widzeniem i z téj białéj góry, jak późniéj się przekonałém, najwspanialéj i najpiękniéj przedstawia się Jeruzalem. Przyległa miastu opoka, po któréj czepiały się oliwy, panowała nad świętym grodem: to góra oliwna! Kościół Salomona, lub raczéj meczet Omara, wznosił zgrabną kopułę nad wszystkie budowy; na Kalwaryi świątynia grobu nieco wystawała nad inne pomieszkania: z resztą tłum ogromnych klasztorów i domów, rzadko przerywany wieżami i minaretami, nadaje odrębną postać świętemu miastu: zwłaszcza, że tu nie było drzew zieleni, pomieszanéj z domami zwyczajem wschodnim, bo tylko gdzie niegdzie smutny cyprys wystrzelał samotnie; a jeszcze widząc tę massę kamienną domów, rzuconą na spiekłéj opoce i otoczoną do koła pustynią, trudno nie uczuć wielkiego wrażenia na ten widok stolicy skał, co wyłącznym pozorem i położeniem przybiera fizyonomiję jakiegoś smutku i wielkości. Spodziewałém się znaleść Jeruzalem albo w ruinach, albo nie wielką i lichą osadą; z przyjemném zadziwieniem postrzegłém miasto z wielkiemi wieżami i ścianami, co tak tchną średnim wiekiem, że się może zdawać, jakby dotąd panowali tam Godfredy i Balduiny. »Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz proroki i kamienujesz posłańców bożych, jakże mnogie i różne budzisz wspomnienia!« — Lecz cały ten tłum pamiątek, wszystkie dzieje Judy, wszystkie

mordy i szturmy, a nawet wszystkie szanowne postaci prorocze i ten Dawid z arfą, wszystko to bladło, gasło i znikało przed słońcem krzyża. Krzyż tylko i krzyż, unosił się w myśli mojéj nad tym grodem: krzyż porywał do siebie całą duszę i serce: a tak otoczeni bolesnemi wspomnieniami męki i śmierci Zbawiciela, szliśmy piechotą do Jerozolimy i wstąpiliśmy do tego grodu przez damasceńską bramę, przez którą zwykli byli wchodzić dawniejsi i pobożniejsi od nas pielgrzymi.

Zaledwie trochę wytchnąłem po drodze, kiedy wszedł zakonnik z najpożądańszą wiadomością, że kościół już otwarty i pospieszyłem za tym kapłanem. Klasztór Zbawiciela XX. Bernardynów, przy którym znajduje się *hospicium*, leży o parę set kroków od kościoła Zmartwychwstania i ciągle się zestępuje, ale tak pomału, że ledwie postrzegasz tę pochyłość ziemi. Niespokojny, wzruszony i przejęty jakąś trwogą, postępowałem w milczeniu po ulicy otoczonéj zczerniałemi i wysokiemi murami, najczęściéj bez żadnych okien. Wszedłém do świątyni i nie pamiętam, jak się zbliżyłem do małéj groty najświętszego grobu: bo prawie machinalnie postępowałem za moim przewodnikiem. *Oto grób Pański*, rzekł zakonnik, a na te słowa upadłem na kolana. Mój dobry przewodnik kazał mi iść do saméj najświętszéj groty: trzeba było wpół się schylić, aby wejść przez malutkie drzwiczki do téj groty oświeconéj tylko lampami. Tam upadłem na twarz i dla szczupłości miejsca, musiałem głową moją dotykać samego najświętszego grobu. Nadzwyczajna świętość miejsca, tłum pomięszanych uczuć i niewymowna radość z oglądania życiodawczego grobu, były zbyt wielkiem brzmieniem, pod którém upadała dusza i ledwie w pośród łez mogłem cicho powtarzać te słowa celnika: *Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!* Uspokoiłem się powoli i już byłem w stanie przy większém zebraniu myśli objąć i ucałować to łoże śmierci, albo raczéj kolebkę najsłodszego w Bogu życia. Smutnież to było powitanie kochanego Ojca, Pana i Zbawiciela! żywo przedstawiały się wszystkie krwawe obrazy téj męki, po któréj Twórca i Naprawca człowieka spoczął na tym świętym głazie. Lecz jak wyrazić ten pełen boleści smutek, w którym się jednak mieściła jakaś niebieska roskosz? Jak wyrazić uczucia z dalekich stron pielgrzyma i kapłana, co zatrwożony własnemi grzechami i świętością miejsca, uderzał czołem o luby i błogosławiony kamień miłosierdzia i odkupienia bożego? Nie myślałem o tém, że z tego grobu wykwitło życie milionów ludzi aż do nieskończonéj wieczności, że z téj ciemnéj jaskini zabłysnął wielki i nieprzerwany dzień zbawienia, że na uderzenie Ojca wszechmocnéj sprawiedliwości, wytrysnęły z téj twardéj opoki nieprzeczerpane zdroje krwi przenajświętszéj, która całą ziemię z grzechów omyła: że to jest najdroższa i prawdziwa arka nowego przymierza, z któréj dziwnie rozrodził się świat drugi, świat chrześcijański; mnie tylko całkiem smutek zajął

i bardzo a bardzo żal było widzieć naszą niewdzięczność przy ustawiczném nasuwaniu się rozrzewniających wspomnień nieskończonéj dobroci i miłości, któremi dla nas tchnął jedynie Najsłodszy Zbawiciel od betlejemskiego żłobu, aż do strasznéj Golgoty. W tym smutku zdejmowała mię trwoga, żem się niegodny znajdował na miejscu najświętszém, które było świadkiem zmartwychwstania. Drzy ziemia, anioł Pański z wejrzeniem błyskawicy, odwala grobowy kamień i oto wstaje Nieśmiertelny zwycięzca śmierci, piekła i niewoli grzechowéj w tryumfie i blasku Króla wieczności, a to wszystko dla zbawienia nędznego prochu! Ach któż wtedy nie upadnie na twarz przed Tobą, Ofiaro błagalna? W zdumieniu i skrusze u podnóża grobu, albo raczéj tronu zwycięztwa, chwały i miłości, powtórzyłem z pełném uczuciem te święte głosy aniołów objawienia; *Godzien jest Baranek, który jest zabity, wziąść moc, bóstwo, mądrość, siłę, cześć, chwałę i błogosławieństwo!*

Takem prawie godzinę przepędził w przenajświętszéj grocie i możesz łatwo sądzić, że tych wielkich chwil życia, nigdy nie zapomnę, choć nigdy opisać ich nie potrafię. Grobowa cichość wtedy panowała w świątyni, bo to była przed *Kompletorium* prawie jedna godzina przerwy w nabożeństwie: a stąd czułem nowy powód do wdzięczności, że mi Bóg pozwolił tak długo i swobodnie kosztować słodkich uczuć przy najświętszym grobie. Ach, bo w stanie prawdziwego rozrzewnienia w Bogu, stajemy się nadzwyczaj czułymi na wszystko i umiemy oceniać choćby najmniejszą łaskę! Czemuż ten stan trwa krótko, a z nim przechodzi i to święte usposobienie!

B.

Charaktery

czyli

Wizerunki obyczajowe.

E.

Characters,

with

Miscellaneous Observations.

Pyszno-Skąpski.

Z „Teofrasta Polskiego.“ Petersburg 1851.

Pan Achacy Ścibor, zresztą najlepszy człowiek, jest razem i wielce pysznym i wielce skąpym. Ztąd jego żywot przypomina skakanie na linie, którém przyjezdne Niemcy bawią publiczność na jarmarkach berdyczowskich i jarmolinieckich. W saméj rzeczy on sam na linie, a obie namiętności, którym się oddał, na niéj go utrzymują w zupełnéj równowadze: bo każda zarówno ciągnie ku sobie. Mytologia uczy, że kiedy Cerera poszła do Jowisza ze skargą na Plutona, iż jéj porwał córkę, on osądził, że piękna Prozerpina ma mieszkać połowę roku z małżonkiem, a drugą z matką. Coś podobnego w układzie, co zrobił Pan Ścibor między pychą a skąpstwem, tylko że przestrzeń czasu ich panowania nie jest tak obszerna, nie następuje jedno po drugiém kolejno, ale w porządku, jak to mówią kartownicy, *intermitantnym*, tak, że ani jedno, ani drugie krzywdy nie ma. Gdyż w paroksyzmie pychy, skąpstwo nigdy nie jest zupełnie zatarte, a znowu, kiedy zostaje pod wpływem skąpstwa, pycha go bynajmniéj nie opuszcza. Zresztą w stosunkach z gośćmi i obcymi, pokazuje siebie pysznym, a dla żony, dzieci, sług i domowników o tyle jest skąpszym, o ile w chwilach reprezentacyi pokazywał siebie pyszniejszym.

Jest on istnym męczennikiem: bo co tylko być może dla niego błogiem, przyjmuje wyłącznie w życiu zewnętrznem, wewnątrz zaś przez same ciernie i głogi przechodzi. I tak, będąc łakotnisiem z swojego przyrodzenia, opycha się pokarmem smacznym, ale wtedy tylko, kiedy za cudzym siedzi stołem, albo znamienitych u siebie podejmuje gości; ale za to ciągle pości, kiedy zostaje w łonie swojéj rodziny. Nawet w dniach reprezentacyi, lubo się cieszy aż do nadęcia, słysząc około siebie powtarzane wykrzykniki: »Trzeba wyznać, że nasz Ścibor po królewsku wystąpił! Nikt się podobnym kucharzem nie pochwali! U niego tylko

spotkać można sekularne wino! A wszystkiego w bród!« Zawsze widać, że go wydatek boli, że to uczucie miesza mu szyki, i że jest udręczony, jako każdy opanowany od dwóch namiętności sobie przeciwnoległych, żadnéj z nich nie mogąc dogodzić, bez zadania szwanku drugiéj. Umie on zgrabnie odgrywać rolę człowieka hojnego, ale zawsze wyłazi skąpiec z pod téj złocistéj barwy, a świat złośliwy tak doskonale wyśledza słabości ludzkie, że jakkolwiek pan Ścibor siebie samego ofiaruje dla zadowolenia tych, co ich u siebie ugaszcza, nie wydał ani jednéj uczty, żeby między biesiadującymi nie znalazł się jakiś sprawca jego nieprzewidzianego udręczenia.

I tak, jeżeli daje wielki obiad dla jakiegoś wielkiego urzędnika, do czego jest wielce pochopnym, a co późniéj przechoruje, zawsze się na nim znajdzie uczynna dusza, która mu odpłaci apicyuszowską gościnność niepospolitym figlem. Albo zaproponuje składkę dla jakiejś podupadłéj rodziny, wstydzącéj się żebrać, albo jakąś ofiarę dla dobroczynnego zakładu, a sam podejmie się zbierać składkę. Podchodzi do niego, właśnie wtenczas, kiedy jest zajęty ścisłą rozmową z tą samą *matadorą*, *in gratiam*, któréj wszystkich karmi i poi. Jest to dla niego kęs nie łatwy do strawienia, ale który rad nie rad zgryść musi. Radby natrętnego ziemią zasypać, ale cóż? dostojny gość stoi obok niego, i sam się bierze do sakiewki. Proszę tedy spojrzeć w oczy panu Ściborowi, by psychologicznie wystudyować, co się w jego duszy dzieje. Pot występuje na jego czole, krew wydobywa się z pod serca, i zalega lica, co nie przeszkadza, że wyjmuje pugilares z kieszeni, a z pugilaresem papier-kruszec wyskakuje, a każda *bomażka* z osobna pokazuje się na stoliku. Pewnieby tyle nie dał dla wyratowania żony, lub dziecka, a uczynny złośnik ma podwójny zysk, raz że na dobry uczynek porządną kwotę zachwycił, powtóre że ma z czego w duchu naśmiać się do woli. Albo, będąc *promotorem* oświaty narodowéj, ile mu puginałowych pchnięć zadały bilety prenumeraty na mające się ogłaszać pisma, a co je dla *prozopopei* opłaca. Sam byłem świadkiem na *assamblach* u jednego z znaczniejszych obywateli, jak jeden niby przyjaciel pana Ścibora podmówił małżonkę gospodarza, ażeby naszemu pyszno-skąpskiemu podsunęła razem piędziesiąt biletów na koncert artysty, od niéj protegowanego, każdy bilet po dukacie. Było go widzieć! Prawdziwie żaden bohater tyle nie pokazał władzy nad sobą. Z niepospolitym wdziękiem w poruszeniu, z uśmiechem w uściech, odliczył pół *sotni* obrączkowych, ani się zaciął ale co téż w jego duszy dziać się musiało! Tyle tylko miał pociechy, że otrzymał najczulsze podziękowanie damy. Nazajutrz część tych biletów sprzedawał przez sług swoich po pół rubla, żeby ,przynajmniéj choć jakąś cząstkę szkody wycofać.

Żeby pan Ścibor przy swoim skąpstwie nie był pysznym, ogromny majątek by uzbierał, bo mało kto ma od niego mniéj

rzeczywistych potrzeb. Żeby przy swojéj pysze nie był skąpym, wkrótceby poszedł z torbą, gdyż skoro mu się tylko uroi potrzeba wystąpienia, już na żadne wydatki się nie ogląda. Ztąd, lubo czuje nieograniczoną chęć zbiorów, w majątkowych interesach krokiem postąpić nie może, tyle tylko, że dorocznie mu przybywa kosztownych sprzętów. Ale przynajmniéj się nie cofa, co wielce mnie pociesza, bo pomimo wszystkich jego śmieszności, on jest mężem prawym i nigdy rzeczywistą krzywdą bliźnich się nie splamił. Ale że te śmieszności są wielkie i liczne, że się niemi staje igrzyskiem wszystkich trefnisiów parafiańskich, jest to rzecz, o któréj on jeden zdaje się nie wiedzieć.

Prawdziwie nie można podziwiać ofiar, na jakie człowiek próżny siebie wskazuje. Całkowity jego żywot jest ciągłą ułudą. On nie żyje ani dla siebie, ani dla swoich, ani dla tych nawet, których szacuje, ale jedynie dla tego czarodziejskiego wyrazu »opinia«. Nie chodzi mu o to, czém jest, ale o to, co tu ludzie będą o nim mówili. Byle o nim powiedziano: »Ścibór jest prawdziwym panem« z jakim taktem on umie postępować z władnącemi figurami! Jak one wszystkie go odwiedzają!« Wszystko inne jest dla niego obojętne. Występując dla drugich bez najmniejszego pożytku dla siebie, zadaje swemu majątkowi dziury, które późniéj zatyka przez największe ofiary z wszelkich wygód. Ciągle usiłuje oszukiwać siebie i drugich pozłotą, którą pokrywa rzeczywistą nędzę, bo ta jest jego stanem normalnym.

Razu jednego daleką podróż odbywając, przejeżdżałem o pół mili od jego rezydencyi. A że go szacuję, że mam u niego zachowanie, wyboczyłem z wielkiego traktu, żeby go pierwszy raz nawiedzić w jego wiejskim pałacu. Wrota od bramy były zawarte, wszakże kazałem do nich szturmować, bo dowiedziałem się w karczmie, że gospodarstwo w domu. Po niejakimś czasie pokazało się dwóch stajennych, którzy się wzięli do otwierania bramy, ale tak zmudnie, że zacząłem się niecierpliwić: bo trzeba wiedzieć, że to była pora zimowa. Przekonałem się późniéj, że ich opieszałość była wyrozumowaną, bo trzeba było dać czas lokajom do przebrania się przyzwoicie. Nakoniec podwoje się rozwarły, a wkrótce sanie stanęły pod korynckim gzemsem, wcale gustownego pałacu. Wychodzę, zastaję w przysieniu dwóch lokai, w sutéj liberyi herbowéj, rodu Sciborów, t. j. żółtego koloru z obszlagami i kamizelkami pąsowemi. Przeprowadzili mię sążniste *famulusy* przez różne pokoje, a wszystkie z przepychem ubrane. Zatrzymałem się w sali, portretami familijnemi ozdobionéj. Poznałem gospodarza i jego żonę, malowanych jakby kwaczem przez jednego bazgracza z Lubaru, który dość wiernie trafia podobieństwa, ale nie ma ani wyobrażenia, ani rysunku, ani nawet mięszania farb. Odwróciłem się ze wstrętem od tych straszydeł, ale robiłem przegląd *antenatów* pana Scibora. Jakem się potém dowiedział, była to robota ucznia arzamaskiéj szkoły, który

te portrety przekopiował ze starych stalorytów, amatorom powszechnie znanych, po trzy ruble od sztuki, dawszy każdemu intytulacyą, jakiéj żądał gospodarz, a wszystkim nadał pokostem oznaki starości. I tak, król hiszpański, Filip II. nosił nazwisko Piotra, Ścibora, kasztelana Rozpierskiego; kardynał Richelieu, Jana Ścibora, opata Hebdowskiego. Poznałem Melanchtona w barwie jakiegoś Michała, pisarza grodzkiego Pińskiego, i skłoniłem się przed Kornelem, kursującym pod imieniem Stanisława Ścibora, cześnika Mozyrskiego. Żadziwił mnie nie mało Szekspir w kontuszu, z napisem nad głową: Waleryan Ścibor, strażnik koronny za króla Jana. Ale co mi się szczególnie podobało, to że pani Sewinje figurowała jako pani Magdalena Ściborowa, chorążyna Owrucka, prababka pana Achacego. Innych wielu jeszcze dawnych znajomych poznałem, pomimo dosyć przedłużonych nosów, wykrzywionych ust i anachronizmu między brodą i czupryną, a ubiorem. Zajęty byłem wpatrywaniem się w oblicza pożyczane antenatów świetnego domu, kiedy podwoje bawialnego pokoju się rozwarły, i gospodarz wyszedł do mnie.

Uścisnęliśmy siebie z czułością, bo te wszystkie próżności pana Achacego nie zniszczyły w nim serca i umie być przyjacielem. Oświadczył mi ukontentowanie z moich nawiedzin, i o prawdziwości jego wyrazów nie wątpię. Po przywitaniu i zamianie zwykłych przedwstępów do żwawéj rozmowy, zaprowadził mnie do salonu, oznajmując rychłe przybycie swojéj małżonki, kobiety jeszcze powabnéj, do tego światłéj, cnotliwéj, dowcipnéj, akomodującéj się do wszystkich narowów męża, a dla któréj zawsze czułem wysoki szacunek. Siedliśmy przy rozżarzonym kominie, wszakże przez wzgląd na naszą dawną zażyłość, mówił do mnie, jak do równego sobie. Temat wieczny jego rozmów i wtedy był na placu. Rozciągał się nad ścisłemi stosunkami swojemi z matadorami prowincyi; nie zaniedbał mnie kilkakrotnie powtórzyć, że sam marszałek gubernialny przyrzekł mu, że, jak będzie objeżdżał prowincyę, nie omieszka go nawiedzić. Dowiedziałem się przytém, co mi pod wielkim sekretem powiedział, że ów marszałek go namawiał, żeby na następnych sejmikach na marszałka powiatowego się podał, do czego i szlachta go ciągnie, ale że na to nieda się namówić, przez wzgląd na przyjaźń, jaką ma z teraźniejszym marszałkiem, który mu się z tém wynurzył, że nadal chce piastować ten urząd. Z kolei mówił o literaturze, o wieczorach uczonych, co je daje u siebie, ile razy przyjeżdża do gubernialnego miasta, o nowych talentach, co ich umiał wygrzebać, podając im hojne wsparcie. Na to odezwałém się do niego z Horacyuszem:

Habes divitias, artemque fruendi.

Co przyjął z taką uprzejmością, że uczuł obowiązek odpłacenia się za moją grzeczność, łaskawém wspomnieniem moich fraszek literackich. W ciągu tego *sam na sam* więcéj godziny trwającego, zauwa-

żałem, że pomimo jego samochwalstwa, przywary zresztą powszechnéj w naszéj społeczności, rozmowa jego nie była bez jakichś powabów, co przypisuję temu, że sława bliźniego na jego wielomówstwie szkody nie ponosi. Ta sprawiedliwość winna być oddana panu Ściborowi, że względem nieobecnych nie pozwala sobie oszczerstwa, ani nawet obmowy: przymiot między nami rzadki.

Wyszła nareszcie ku nam gospodyni domu, wykwintnie ustrojona. Powstałem z uszanowaniem, ucałowałem jéj śliczną rączkę i wielce się uradowałem jéj przybyciem. Wyższość intelektualna kobiet nad mężczyznami w naszéj społeczności od wszystkich cudzoziemców zauważaną została. Zaprzeczeniu nie podpada, że nasze możniejsze obywatelki, lubo na prowincyi wychowane, wrodzoną zmyślnością przybierają cechy wielkiego świata. Prowincyonalizm, parafiaństwo tak powszechne u mężczyzn, nadające ich obcowaniu coś szorstkiego, coś gburowatego, albo jeżeli nie są zupełnie obrani z grzeczności, coś ckliwego w jéj wyrażaniu, rzadko kiedy spostrzedz się daje w kobiecie. Jeżeli jaki nasz współobywatel, zmuszony okolicznościami, przenosi się z ciasnego koła, w którym żywot prowincyonalny płużył, na to obszerne pole, co je wielkim światem zowiemy, najczęściéj się na nim pokaże nieobyłym, nudnym, i byle tam przedłużył swój pobyt, niezawodnie drwiarze salonowi wezmą go na fundusz; i ani się domyśli, że jego kosztem wszyscy się bawią. Nasza kobieta owszem, jeżeli przypadkiem przeniesie się z prowincyi do stolicy, jeżeli się pokaże w najwykwintniejszém jéj towarzystwie, na wstępie w niém znajduje się na swojém miejscu, i częstokroć zarówno pobudzi dla siebie uwielbienie jednéj płci, a zazdrość drugiéj. I pani Ściborowa, prawdziwa Polka, lubo nigdy nie przestąpiła granic swojéj prowincyi, w każdéj stolicy stałaby się ozdobą towarzystwa.

Skoro ona przyszła, rozmowa odwróciła się od wyborów i spraw obywatelskich, a skierowała się samorzutnie ku ostatnim romansom francuzkim, ku koryfeuszom naszéj jeszcze tak ubogiéj literatury; rozmawialiśmy o wychowaniu dzieci, o niedostatku środków, któremiby się wykształcić mogły zdolności przyrodzone naszéj młodzieży, o braku życia towarzyskiego, o trudnościach napotykających domy, któreby rade osiąść na stałe mieszkanie w stolicach prowincyonalnych. Jéj rozmowa była malownicza, wrażliwa, dowcipna, nawet ile razy obmowa wzleciała na jéj usta, bez czego zbyt trudno, żeby długo salon się obchodził, umiała jéj nadać barwę tak przyjemną, że to było prawdziwém czarodziejstwem. Można powiedzieć, że całkowity wydatek rozumu był z jéj strony. Co do mnie, odzywałem się tyle tylko, żeby rozmowa nie zastygała. A pan Scibor milczał i słuchał, bo lubo umiał być panem u siebie, jak zwykle ci, co niewiele mają dowcipu i wyobraźni, wszakże umiał należycie oceniać rozum swo-

jéj żony, i czuł, że ona i jego domowi i jemu samemu nie mało przydawała blasku.

Lokaje wnieśli przybór srebrny do herbaty. Pojawił się za nimi gościnny samowar z tegoż kruszcu, stół okrył się kosztownemi sprzętami wzrok pieszczącemi, a masło, ciasteczka i sucharki błysnęły między filiżankami saskiego *farforu*. Pani Ściborowa jęła przemieniać w orzeźwiający napój, ziele, którym Opatrzność wyłącznie obdarzyła jedyny naród, skrystalizowany w swojém ukształceniu, a które już weszło do składu najpierwszych potrzeb życia, nie tylko wyższego, ale nawet średniego towarzystwa. To pewna, że ani obiad, ani wieczerza podobnych wrażeń nie wywołają, jakie herbata wznieca. Odkąd krążenie kielichów i ich symboliczny przechód z ust do ust, odpartém zostało z naszych obyczajów, obiad stracił całkowitą swoją ważność. Kiedyś był częścią życia publicznego, dziś jest zaspokojeniem potrzeby materyalnéj. Zaprzestawszy być pośrednikiem przyjaźni, obiad niczém inném odznaczyć się nie może, tylko biegłością kucharza, który go sporządził. Dziś herbata wyłącznie została godłem gościnności. Nadobna gospodyni tu się nie spuszcza na sług, sama wprawną ręką sypie ilość niezbędną aromatu, sama przedłużając rozmowę pełną wdzięku, nie spuszcza z oka samowaru, żeby w porę kipiątek odstawić od ognia. Ta chwila jest stanowcza, od niéj zależy sława gospodyni. Jest jakiś tajemniczy stosunek między kobietą a herbatą. Nigdy ona nie będzie smaczną, jeżeli ją robił mężczyzna, chociażby najwięcéj doświadczony.

Wonia z naczyń kosztownych rozlała się po całym salonie. I tu poznałem wykwintne wychowanie gospodyni, że nie było na stole szklanek, jak to się daje widzieć w domach tych, co ostateczny polor edukacyi zachwycili w towarzystwie wątpliwem. Ile razy zdarza mi się widzieć w jakim domu herbatę w szklankach, a jeszcze przy nich butelkę rumu, zawsze wyglądam, azaliż nie rozpocznie się jakaś rozmowa umysł oburzająca. Po stoliku, przy którym pije się herbata, zaraz poznać można stopień ukształcenia domu. Byłem pod urokiem upajającéj woni, i jeszcze więcéj upajającéj rozmowy téj, która mnie nią częstowała, kiedy gospodarz wynagradzając sobie długie milczenie, *de noviter reperta* zaczął rozprawiać. I znowu trzeba było nasłuchać się relacyów o jego znaczeniu w gubernii, o radach, które jest zmuszony udzielać współobywatelom, o sporach, co je zagodził, o guwernantce, którą zamyśla sprowadzić z Londynu dla swoich córek, o nadzwyczajnych zdolnościach umysłowych swojego siedmioletniego jedynaka, który już słowa szarady zgaduje i tym podobne zajmujące szczegóły. Podczas gdy się tak puszczał, żona milczała, a ja każde jéj poruszenie śledziłem. Tu poznałem wrodzony takt Polki. Niczem nie zdawała się okazywać, żeby ta soporyficzna gadatliwość jéj męża miała na niéj nie miłe sprawiać wrażenie, a jednak po jakimś poruszeniu niższéj części jéj ust różannych,

zdało mi się, że jeżeli nie przerywa mowy mężowskiéj, ani zniecierpliwiona nie odchodzi od stolika, to umiarkowanie nie było dla niéj bez kosztu. W tém marszałek dworu stanął na progu, zwiastując gotowość wieczerzy.

Pani Sciborowa podała mi rękę, i prześliśmy przez dwa pokoje do obszernéj sali. Oprócz jarzących świec na stole, z pułapu wisząca żerandola oświecała salę, a przy ścianach *kinkiety* uzupełniały światło. Prócz nas trojga, dwóch córeczek spadkobierczyń wdzięków matki i podżyłéj *madam* Francuzki, nikt nie siedział za stołem, srebrem zastawionym, około którego dwa tuziny gości mogłoby się pomieścić wybornie. Gospodarz od tego zaczął, że mnie przepraszał, iż głodny wstanę od stołu, bo jego kuchmistrz obłożnie zachorował, a z dwóch kucharzy jeden przed kilku dniami umarł, a drugi dnia wczorajszego wyprosił się na odpust do Poczajowa, a więc na kuchciku poprzestać musi. Ile było prawdy w téj jego relacyi, tego niewiem, ale to pewna, że chociaż na czasie w kuchni nie zbywało, bo wieczerza była około północy, ona była dla oka, a nie dla żołądka. Na półmiskach świeżo z Petersburga sprowadzonych, pokazały się jakieś zraziki wychudzone, rzepa posiekana, kura tak twarda, że lisby się jéj odrzekł, a na *desert* jabłka zawijane w osmażanym ciaście. Były tam wina z rozmaitemi sygnaturkami, ale smak zdradzał wspólne ich pochodzenie; podejrzywam, że one wszystkie były płodem piwnicy żyda, winiarza jego miasteczka, i że rozebrawszy chemicznie te wina, możeby się pokazało, że z pomiędzy rozlicznych ingredyencyi, wchodzących do ich składu, sok winogradowy jak najoszczędniéj był użyty. Ale to pewna, że dowcip gospodyni, aż nadto sowicie zastępował wszystkie materyalne niedostatki domu.

Po skończeniu wieczerzy, bawiliśmy jeszcze więcéj godziny w salonie. Nakoniec przyszła pora rozstania się. Uprzejmy gospodarz odprowadził mnie do gościnnego pokoju. Tu się skończyły dla mnie przyjemności domu, a pozostały same ciernie i głogi. W pokoju dla mnie przeznaczonym, wszystko dla oka było piękne, ściany były oklejone adamaszkowym szpalerem, duże zwierciadło w bogatych ramach wisiało na środkowéj ścianie, i odbijało światło lamp bronzowego pająka, wszystkie meble były z mahoni; ale pokój zimny, bo od początku zimy pierwszy raz opalony, ztąd czad, który nie mógł być stłumionym, od kilku trociczek, co je łaskawy gospodarz kazał zapalić. Jak mnie samego zostawił, nowe trybulacye. — Moi ludzie piłowali mi uszy, że ich nie karmiono w pałacu, że są głodni, bo na wsi niczego dostać nie mogli; co było naturalnie kłamstwem, gdyż żyd trzymał karczmę wiejską, i tak mnie przesolił cenę owsa i siana, że bez wątpienia *pro commodo* nie musiał żałować strawy i napoju dla nich. Koniec końców rozpłaciłem się, i tém sług uspokoiłem. Ale miałem najokropniejszy nocleg, gdyż bojąc się *oczadzenia*,

oka nie zmrużyłem. Chciałem szczerze zasnąć, bo byłem znużony, próbowałem przywołać sen czytaniem różnych książek, świeżo w polskim języku wydanych, a któremi w Berdyczewie się zaopatrzyłem na podróż. Ale niestety! ani Lewiatan, ani Bigos hultajski, ani nawet Pisma Aleksandra Przezdzieckiego, nie były w możności mnie uśpić. Moje źrenice były zemdlone, ale obawa czadu była silniéj działająca, niżeli *morfina* rozlana w tych narkotycznych pismach. Przed wschodem słońca, wszedłem do sani z niepospolitym bólem głowy. Wyruszyłem w dalszą podróż, ledwo nie złorzecząc w duchu wszystkim pyszno-skąpskim, i ich pozłacanéj gościnności.

Gbur.

Z „Teofrasta Polskiego.“ Petersburg. 1854.

Że ludzie ograniczeni w zdolnościach moralnych, radziby się pozbyć wszelkich wędzideł, temu się dziwować nie trzeba; ale co jest bolesnego, to, że znajdują się ludzie z innych względów znakomici, którzy przykładem swoim dają popęd téj anarchii, która zwłaszcza na prowincyi prawie zniszczyła salon, przyprowadzając go do stanu barbarzyństwa. Podobni ludzie, niestety, nie są rzadcy. Znałem jednego z takich, a często z nim obcując, starałem się go wystudyować.

Pan Tupajło jest mąż uczony, światły, nawet dowcipny, do tego gruntownie poczciwy. A jednak obcowanie z nim jest nieznośne: bo uroiwszy sobie, że kodeks salonowy jest dokuczliwym wymysłem mierności, która jest wyłącznie w jego świadomości, nie chce mu ulegać. Kto go pierwszy raz widzi w towarzystwie złożoném z obojga płci, mógłby pomyśleć, że to jest Zaporożec, który zamienił koszulę łojem zaprawioną na odzież nieco przyzwoitszą, i jakimś przypadkiem wsunął się w grono zupełnie dla niego obce.

Nigdy z nikim nie chce pierwszych kroków zrobić dla zabrania znajomości: bo to jest grzeczność, a grzeczność przez siebie okazaną uważa być ubliżeniem swojéj godności moralnéj, a jeżeli jemu nie znany stara się do niego przybliżyć, napręża się z sztywnością burmistrza małéj gminy niemieckiéj. Ze znajomymi jego grubijaństwo jest mniéj sztywne, ale jeszcze więcéj szorstkie. Nikogo nie słucha, zaczęte opowiadania któregoś z biesiadników przerywa, poprawuje po bakalarsku wszystkie omyłki gramatyczne mówiących, zadaje każdemu kłamstwo, moralizuje kobiety, ogłaszając siebie zwolennikiem prawdy; dla wszystkich staje się cierpkim, nie domyślając się nawet, że prawdy są zawsze względne, i że trzeba mieć prawo, żeby nieprzyjemne prawdy dla drugich objawiać, i że każde przywłaszczenie jest wykroczeniem moralném.

Pan Tupajło tego nie rozumie, że to, co ma za szczerość, nie jest czém inném, tylko wygórowaną aż do obłąkania pychą. Bo ten pochop do wyrywania się ze swojém zdaniem o każdym człowieku, i o każdéj rzeczy, czémże jest inném? Przepisy salonu przykazują każdemu jak najmniéj o sobie mówić, właśnie dla zapobieżenia wyskokom téj pychy, do któréj człowiek aż nadto jest skłonnym. Bo wyjąwszy mężów prawdziwie wielkich, czy może indywidualność czyjakolwiek wiele zajmować, udzielając innym swoje przekonania? Pan Tupajło lekkie rozmowy salonowe ma za czcze paplania, niegodne umysłów rozważnych, a nie widzi, że sam jest nieznośnym gadułą, po prostu plotką, obmówcą nieokrzesanym, pokrywającym czczość istotną myśli, jakąś powłoką, niby szczerości, a rzeczywiście grubiaństwa.

Nigdy dusze ukształcone nie odbiegają od szacunku należnego, ludziom stojącym na wyższym szczeblu w hierarchii społeczeńskiéj, jakkolwiek te oznaki zewnętrzne mogą nie mieć nic wspólnego z tym szacunkiem rzeczywistym, który jedynie cnotom i światłu należy. I właśnie jest cechą ludzi prawdziwie ukształconych, że umieją to wymaganie towarzyskie pogodzić z własną swoją godnością. Tego anarchiści pojąć nie umieją, i myślą, że ta godność zachować się nie może, tylko przez grubijaństwo względem tych, których położenie samo, bez względu na osobistość, zasługuje na uszanowanie.

Jakkolwiek pan Tupajło jest mężem światłym, to przecież tego rozumieć nie może i myśli, że uchylanie siebie od ciężaru względów towarzyskich jest głęboką filozofią. W jedném mieście na prowincyi, znajdował się przypadkiem urzędnik wyższy, nie należący do jéj zarządu, ale którego położenie miało prawo do otrzymania jakichś dowodów szczególnéj grzeczności, tém więcéj, że grzeczność nikomu szkody nie przynosi, a zawsze oznacza jakiś stopień ukształcenia. Obywatelstwo wówczas zebrane w tém mieście, postanowiło dać dla niego obiad, i na to zbierało składkę. Każdy najchętniéj przyczynił się do tego wedle swojéj możności. Ale gdy z kolei przyszło do pana Tupajły, ten nietylko że do téj składki należeć nie chciał, ale mając siebie za rozumniejszego od wszystkich, nie omieszkał im dać obroku duchownego w tych wyrazach: »Moi panowie, te wszystkie zabiegi wasze dla tych *matador* przypominają bajkę o tym ośle obładowanym relikwijami świętych. Wszyscy uginali kolana na widok tych świętości, a osłowi zdawało się, że te oznaki kornego uszanowania, były dla jego osoby.«

Rokosz, który podniósł naprzeciwko tych przepisów towarzyskich, które mu ciężą, ochrzcił być energiczną protestacyą przeciwko przemocy, uczuciem wygórowanego liberalizmu. »Mam duszę republikańską,« prawi, »nikomu się nie kłaniam, wszelką arystokracyą pogardzam. Ci ludzie dobrego tonu, jak siebie nazywają, są plagą społeczeństwa, dla tego jedynie, że słabe dusze

nie dość im się opierają. Naprzykład pani M., że ma otwarty dom w mieście, próżniacy w nim znajdujący się, poczytują być zaszczytem dla siebie, że do niego mają przystęp, i ze wszelkiéj wyzuwają się swobody, aby tylko mieć łaskę u téj podżyłéj elegantki. Czemuż tak nie robią, jak ja? Byłem u niéj raz na wieczorze, otóż że byłem w surducie, odważyła się baba dać mi uczuć swoje nieukontentowanie. I cóż to? nie serce, nie rozum mają zalecać uczciwego człowieka, ale łokieć sukna mniéj lub więcéj w jego odzieży? Odszedłem, i zapowiadam, że odtąd moja noga u niéj nie postanie. — Albo onegdaj u państwa prezesostwa było nas kilku nie Tatarów; ale że się pojawił młody hrabia Fryderyk z pod Warszawy, który miał skończyć wychowanie za granicą, że miał na sobie frak w Paryżu uszyty, i że się do bab przymila, więc i gospodyni domu i jéj córki tylko nim były zajęte, nas jakby nie było. Że kobiety potrzebują słów ich miłość własną pieszczących, a nie gruntownych rzeczy, jakieby człowiek, choć nie był w Paryżu, mógł by im udzielić, to mnie nie dziwi. Ale że nasi nikczemną uległością, żeby być zaproszonym na balik lub wieczór, dają potuchę téj przebrzydłéj arystokracyi — a! moje Państwo, to mnie oburza!«

I tak pan Tupajło, pomimo że wiele czytał, zdaje się być przekonany, że jak tylko rozpowszechni się obyczaj pokazywać się damom w surducie oplamionym, w spodniach podartych i obuwiu zabłoconem, jak każda młoda dama przesiąknie dymem od fajek i cygar, użyczonym przez młodych kawalerów; jak karczemne wyrazy staną się niezbędną przyprawą obcowania we wszelkim towarzystwie, jak gminne plotki nabędą wszędzie zaszczytów dowcipowi dotąd właściwych, a ostatni konserwatorowie dobrego tonu, zastraszeni pogróżkami bohaterów jarmarkowych i niebezpieczeństwem potyczki na kondescensyach honorowych, że święta rzeczpospolita będzie panować, i że z tego kału nie żaki i glisty, ale Katony, Regulusy, Arystydesy się wylęgną.

Że w gruncie pan Tupajło jest poczciwym człowiekiem, z nim stosunki przyjacielskie są bezpieczne, pod tym względem, że można mu zaufać. Nikogo nie zdradzi, nie oszuka, a nawet gotów jest poświęcić się dla przyjaciela. Z tém wszystkiém to odrzeczenie się jego od wszelkiéj przeciwwagi na samowolność myśli i mowy, sprawuje, iż ściślejsze z nim stosunki są nieznośne. Bo ta szczerość, któréj głosi się być zapaśnikiem, chyba dla anioła cierpliwości mogłaby być nieobraźliwą. Zawsze siebie na wzór podaje, to nieszczęśliwe *ja* tak potępione w dobrém towarzystwie, u niego ciągle na placu. »Ja to zrobiłem — ja tak uradziłem — ja inaczéj nie postępuję.« Ciągle mówić o sobie jest to cecha źle wychowanego nudziarza, a na nieszczęście tą cechą pan Tupajło jest napiętnowany.

Mało tego; ta szczerość robi z niego najuciążliwszą plotkę, jaka mogła się kiedykolwiek między babami pojawić. I tak, myśli,

że daje dowód przyjaźni, kiedy przyjacielowi opowiada bez ogródki to, co słyszał przeciwko jemu powiedzianego, nie domyślając się, w jak smutném położeniu ta szczerość stawi przyjaciela. Nie ma społeczeństwa, którego połowa drugiéj połowy nie obmawia, nie potwarza. Na wyższym świecie potwarze i obmowy są zaprawiane dowcipem, na niższym wyrzekają się po grubijańsku; ale ich jestestwo jest to samo. Na to każdy człowiek winien być wyrozumiałym, i mało dbać na obelgi nie w jego przytomności wyrzeczone. Jeżeli gorliwy przyjaciel słyszy szarpanie sławy swojego przyjaciela, wielce jest godnym pochwały, gdy się za nim ujmuje; jeżeli milczy, a potém donosi jemu to, co usłyszał, uszczerbek przynoszącego jego osobie, nie wywięzuje się z obowiązków przyjaźni, ale w istocie dopuszcza się czynu nikczemnego, który tylko tém wymówionym być może, że pochodzi z wielkiego głupstwa. Bo rzeczywiście nie ten obraża, co nieprzytomnego szarpie, ale ten co mu nie dopuszcza o tém niewiedzieć.

Jednak nie można przeczyć panu Tupajle ani światła, ani uczciwości: skądże pochodzą te ciągłe jego wyboczenia i ta cierpkość w obcowaniu, która poniekąd unicestwia w życiu towarzyskiem wszystkie jego przymioty? Oto z tąd, że powziął błędne przekonanie: że indiwidualny rozum może mieć słuszność przeciwko zbiorowemu rozumowi, który wyrobił wszystkie ustawy towarzyskie przykazane podaniem, a na których się opiera ukształcenie, a nawet oświecenie narodów. W tych ustawach nie ma nic dowolnego; każda z nich wypłynęła z niezbędnych potrzeb towarzyskich; chociaż to pochodzenie nie zawsze jest widoczne. Ten antagonizm między rzeczywistą cnotą, a prawidłami przyzwoitości, przyjętymi w ukształconem towarzystwie, istnieje jedynie w płytkich mózgownicach. Szorstkość w obcowaniu ani jest cnotą, ani barwą cnoty. Między duchem a formami, któremi on się wyraża, jest tak ścisłe powinowactwo, że lubo bez wątpienia można obejściem się swojém zostać ozdobą najwykwintniejszych salonów, a przecie być w gruncie podłym i niepoczciwym, wszakże i to jest rzeczą nie mniéj pewną, że gdzie tylko rozpowszechni się wzgarda form salonowych, tam w ścisłym stosunku z tą wzgardą społeczność traci uczucie honoru, a demoralizacya publiczna się szerzy.

Zapewne, że przepisy salonowe, dobry ton, domaganie się przyzwoitości w odzieży, w poruszeniach, w mowie, nie stworzą cnót, które wyłącznie z uczuć religijnych rozwinąć się mogą. Ale przynajmniéj przygotowują do cnoty, naginając ludzi towarzyskich do wprawdzie nie wielkich, ale ciągłych ofiar, przez które jeden dla drugiego nie jest ciężarem. Natura ludzka jest skażona, że czy w towarzystwie wykwintném, czy w grubiańskiém, zawsze cnota pozostaje w mniejszości; ale w pierwszém, złe nie jest bezczelne, czego o drugiém powiedzieć nie można. Nakoniec, cywilizacya nie jest czczym wymysłem, jest ona celem

doczesnym ludzkości. A widzimy, że im nadobniéj cywilizacya narodowa objawia się w obyczajach, sztuce, literaturze, polityce, tém nadobniejsze są formy dające przystęp do wyższych towarzystw narodu, tém więcéj wymaga się ścisłości w ich przestrzeganiu.

Ten rokosz przeciwko temu wszystkiemu, co jakąś tamę jeszcze stawi samowolności, doprowadzi nas do zupełnego barbarzyństwa, zwłaszcza jeżeli salon zamiast zrobienia reakcyi, niezaprzestanie czynić ustępstw, jakkolwiek mało znaczących, jednak wątlących jego pierwiastkową czystość. A przyczyny tego rokoszu przynajmniéj pierwszowzględne, są: ograniczoność rozumu, pycha, która jest nieodstępną towarzyszką tego ograniczenia, a nadewszystko lenistwo.

Guwerner udręczony.

Przez J. I. Kraszewskiego.

.... Z początku to nic: dzieci go się boją i niby szanują, rodzice przynajmniéj są grzeczni; wszyscy tylko patrzą, co on robi, i jak robi. Czy rano wstaje, czy rozśmiał się z kogo, czy spojrzał na kogo, czy przemówił do kogo w przedpokoju? — Ale powoli, gdy się z nim oswoją dzieci i rodzice, jak wróble ze straszydłem, zaczyna się męka.... Zaczyna się od liniowania papieru na rejestra, od nudnych deseników dla panienek, które na zimno rysować trzeba, za które mu płacą lodowym dygiem. Potém wyprawiają go do powiatowego miasta z podatkowemi pieniędzmi, krzywią się, że kupił drogo asygnaty; proszą go, aby postał przy obieraniu jabłek, nad przelewaniem wódki; żeby przepisał modlitewkę, mowę czasem i całą książkę; posyłają go, szafują nim, posługują się nim jak starą miotłą, i mają go za człowieka do wszystkiego, rozumiejąc, że tą pracą nudną i suchą, którą go obarczają, honor mu oddają. Nie sadzą go do stołu w dni uroczyste, poją herbatą bez cukru, karmią ostatkami pozawczorajszych półmisków, śmieją się z niego w oczy jemu; sama pani prosi go o podejmowanie kłębka!

Nie liczyłbym tych biednych komarzych ukąszeń, gdyby w nich nie było umyślnego jadu i moralnego upokorzenia, posuniętego do tego stopnia, że pan guwerner nigdy swojego zdania mieć nie może, a jeżeli się o nie kiedy upomnieć waży! przyjmują to ruszaniem ramionami, zadziwieniem, oburzeniem i śmiechem!!

Więcéj wam o tém męczeńskiém życiu nie powiem. Jeźliście go z tych kilku rysów nie pojęli, już go nigdy nie pojmiecie....

Przeczyta Guwernera
uderzonego to się
z
uczy[illegible]

C.

Pogadanki i Gawędy.

Pogadanki i Gawędy.

Imieniny Niemcewicza.

„Święcone“ przez Bonawenturę z Kochanowa. Poznań 1854.

Było to w roku 1828. Zbliżały się imieniny Niemcewicza, a pani wojewodzina Potocka, pragnąc je obchodzić, umyśliła sprawić staremu przyjacielowi niespodziankę, zgodną z jéj sercem, godną tego, którego wszyscy kochali i szanowali.

Nastał dzień 13. Lutego. Niemcewicz zaproszony na obiad do pani wojewodziny, akuratnie przed samą ucztą nieomieszkał przybyć. Przekonany, że znajdzie zwykle tam goszczące osoby, mocno się zdziwił, gdy wszedł do pustego salonu. Już od pół godziny wzdłuż i wszerz się przechadzał, a właściwa mu niecierpliwość, na humor wesoły, złe skutki wywierać zaczynała, gdy się otworzyły od bocznéj komnaty podwoje. Wysunęli się dworzanie a marszałek dworu na głos zawołał: »Król Jegomość!« Wszedł Zygmunt August, a za nim Janicki, Jan Kochanowski, Rej z Nagłowic, Jan Tenczyński, Don Alonzo di Medina Czeli i reszta królewskiego dworu.

Zygmunt August był w hiszpańskim stroju, miał suknią spodnią z lamy srebrnéj w passamany karmazynowe, pięknie perłami szytą, płaszczyk krótki, czarny, aksamitny z szerokim złotym haftem, na głowie kapelusz kastorowy czarny, z trzema strusiemi piórami, spięty pętlicą z dużych dyamentów; również drogiemi kamieniami ozdobiona, zawieszona na szyi ozdoba złotego runa. Młody ten pan, liczący dopiero lat 29, hożéj był postaci ciała, i twarzy nadobnéj. Włos jego jasny, oczy błękitne, nie wielka broda od połowy dzieliła się na dwie części kończate. W każdém słowie powaga i słodycz.

Skoro Zygmunt August stanął w pośrodku komnaty, przystąpił do niego marszałek dworu, w karmazynowym żupanie, w biało perłowym kontuszu, okolony złocistym perskim pasem, z karabelą u boku; a skłoniwszy się królowi: »Najjaśniejszy Panie, rzekł głosem pełnym uszanowania, »stósownie do woli

Waszéj Królewskiéj Mości, mam zaszczyt przedstawić wam Jegomość pana Juliana Niemcewicza. Kto tak, jak on cierpiał, kto tak cierpienia swoje na żałosnéj odśpiewał strunie, ten wart być policzonym w poczet wieszczów, będących ozdobą panowania Waszego, wart do zygmuntowskich należeć czasów.« »Miło nam jest, odezwał się Zygmunt August z uprzejmością, powitać Waszmości; spodziewamy się, że pozostaniesz na naszym dworze, a będziemy się starali wszelkiemi siłami, cierpienia wasze osłodzić.«

Niemcewicz odurzony taką niespodzianką, gdy przyszedł do siebie, nie chcąc przerywać tak słodkiego marzenia: »Najjaśniejszy Panie, zawołał, jeżelim cierpiał, jeden tylko król z Jagiellonów rodu, jedna tylko nadzieja powrotu zygmuntowskich czasów potrafią przywrócić życie sercu, obolałemu nieszczęściami kraju.« Bądź Wasze dobréj myśli, odparł monarcha, a ponieważ w dniu dzisiejszym miłą dla nas obchodzimy uroczystość, zapraszamy Waszą miłość do naszego królewskiego stołu.« Poczem zbliżył się Zygmunt do Alonza di Medina Czeli, świeżo z panem Tenczyńskim z dalekich zagranicznych krajów przybyłego. Obaj młodzieńcy zachwycali krasą lica, urodziwym wzrostem, rycerską postawą. Don Alonzo miał na sobie szatę hiszpańską białą jedwabną, płaszcz aksamitny z srebrnym haftem w palmy szerokie, z szeroką frezą z najpiękniejszych koronek brabanckich. Na czarnym zagiętym kapeluszu, wznosiły się pióra strusie, dyamentową pętlicą spięte. Obok niego stojący Jan Tenczyński, najpiękniejszéj postaci, był również w hiszpańskim bogatym i okazałym stroju; na piersiach jego spostrzegałeś medal z wizerunkiem cesarza Karola V., zawieszony na łańcuchu złotym, darowany przez tego monarchę, z wysoko zalecającemi go listami królowi polskiemu.

W tém po drugiéj stronie komnaty, podniosła się z ciężkiego adamaszku zasłona, a marszałek królowéj: »Najjaśniejsze Panie!« oznajmił.

Ujrzano wchodzące panie dworskie, księżnę Radziwiłłową, wojewodzinę trocką, bratową królowéj, panią Szydłowiecką, wojewodzinę krakowską, panią Sieniawską, księżnę Maryannę Czartoryską, Górkową, Leszczyńską i inne. Za niemi postępowała poważnie królowa Bona, matka królewska, mająca po prawéj ręce paującą królowę Barbarę, po lewéj królowę Izabellę, siostrę królewską, wdowę po Janie z Zapola, królu węgierskim. Ta trzymała za rękę kilkoletniego syna. Królowa Bona, miała na sobie suknię aksamitną czarną, z welonem od głowy do stóp, zwykły ubiór wdowi. Na głowie czepek z najkosztowniejszych koronek, na szyi kanak z dużych na przemiany rubinów i pereł. Młody Andrzéj Firlej, syn Piotra wojewody ruskiego, niósł długi od szaty ogon. Królowa Bona, acz zapędzona w lata, zachowała ślady dawnéj piękności. Rysy twarzy, świadczyły pomieszany ród hiszpański z włoskim. W słowach, w spoj-

rzeniu dumna i rozkazująca, umiała, gdy potrzeba, przybrać ton przymilenia i słodyczy. Królowa Izabella, przywdziała na siebie strój węgierski i opiętą ciemno-fioletową suknię, w srebrne palmy, dolman jasno-cytrynowy z potrzebami z pereł, sobolami podbity. Sznurek dużych pereł z wiszącymi kutasami, na związanie służył. Na głowie nie wielki sobolowy kołpak, z piórami i dyamentowym węzłem. Mały jéj syn, królewicz Zygmunt, ubrany był po węgiersku, z dyamentową kitą u kołpaka. Był to dar Solimana sułtana, dany w dniu, kiedy małe to książę oddane mu było w opiekę.

Wszystkich oczy wlepione były w panującą królowę Barbarę. Zapomniano bogactwa strojów, by patrzeć na zachwycającą piękność osoby. Królowa Barbara miała na sobie suknię białą jedwabną, całą nasianą srebrnemi półksiężycami. Podnosił się od ramion kołnierz z koronek. Trzy rzędy niezmiernych pereł na szyi; włosy splecione w warkocze, orzeł biały z potężnych dyamentów służył im za spięcie. Patrząc na ulubioną małżonkę Zygmunta Augusta, która w rok późniéj miała wstąpić do grobu, mimowolny smutek cisnął się do serca.

Król Zygmunt pospieszył na spotkanie królowéj Bony; dawszy potém znak panu Niemcewiczowi, gdy się ten zbliżył, przedstawił go matce, żonie i siostrze, jako znakomitego poetę. »W jakim Wasz Mość języku rymy swoje składasz?« zapytała królowa Bona. »W ojczystym«, odpowiedział Niemcewicz. »To wielka szkoda«, odparła ta wielka pani, »podług mnie, w jednym tylko dawnych Rzymian języku można być wielkim poetą. Nie prawdaż panie Janicki?« dodała. »Tak jest Najjaśniejsza pani,« odezwał się Janicki, nisko kłaniając. »Polak po polsku pisać powinien,« zawołał Niemcewicz, »śmiało z mojém występuję zdaniem, bo z niém się odzywam przed polską królową.« »Miło nam słyszeć z ust Wasz Mości«, odezwała się królowa Barbara, słowa pochodzące z serca.« »A mnie«, odpowiedział Niemcewicz, »miło widzieć w tobie królowę; bo któraż od ciebie godniejszą nad sercami panować?«

Przez ten czas król obchodził w koło i rozmawiał z przedniejszymi pany. Uprzejmy, wesoły, łaskawy, od wszystkich kochany.

Marszałek dworu oznajmił królowi, że dano do stołu. Przystąpiło dwóch dworskich. Jeden trzymał szczerozłotą miednicę i podobnąż nalewkę, rzadkiemi ozdobioną medalami; drugi, złotem haftowany ręcznik. Król zdjąwszy pierścienie, dał je dworzaninowi, a umywszy ręce, włożył napowrót na palce: poczém przystąpił do królowéj matki. Prowadząc ją do stołu: »Basiu«, rzekł do żony, »podaj rękę naszemu gościowi.« Królowa Barbara z miłym uśmiechem, wyciągnęła rękę, którą stary Niemcewicz, nie bacząc na etykietę dworską, szczerze wycałował. Za nimi dwór cały ruszył do jadalnéj sali.

Zygmunt August, długo się wesołéj rozmowie przysłuchiwał. »Każden z was«, odezwał się łagodnie, »pracuje podług udzielonego od Boga talentu. I tak WMość panie z Nagłowic, ogromnym dzbanem czerpiesz w zdrojach Hypokreny, pan Kochanowski hymny Dawida i dzieje rycerzy naszych, nieznanym dotąd pięknością swą rymem wznosi do Boga, i kiedy Orzechowski gromi herezyą, Paprocki rodów szlacheckich splątane rozwija kłęby, ksiądz biskup Kromer, stylem Liviusza dzieje ojczyste roztacza, kiedy już niemasz Rzymian, aby nam zazdrościli, że się Janicki Polakiem urodził, jest wieszcz, dodał, na Niemcewicza wskazując: ten panowanie nasze niezatartym rylcem skreśli, uwieczni cnoty i wdzięki mojéj Barbary i imiona wasze potomności poda.«

»Najjaśniejszy panie!« zawołał Niemcewicz, podnosząc się z miejsca, »szczęśliwy, komu Bóg dał żyć pod polskim Augustem, w czasach, kiedy po długim szczęku oręża słodkie pienia muz słyszeć się dały; szczęśliwy, kto po długiéj niewoli, tułactwie, i po tak srodze zawiedzionych nadziejach, znajduje się pomiędzy tymi, w których piersiach polskie biją serca! Nie wiem, dodał, jakby proroczym głosem, kędy mnie jeszcze losy zaniosą, gdzie stare położę kości, ale do ostatniéj godziny życia mojego, pamiętać będę z wdzięcznością, żeście mnie na chwilę, choć złudzeniem, przenieśli w owe czasy, kiedy Polska była wielką i potężną, żeście starca już bez nadziei, bez przyszłości, przynajmniéj obrazem przeszłości uradowali. Niech wam Bóg to nagrodzi!« Chciał daléj mówić, ale mu łzy głos stłumiły, usiadł, a siwą głowę oparłszy na rękach, twarz niemi zasłaniał, jakby się wstydził, szlachetnego rozrzewnienia. Muzyka ukryta w oddaleniu, dumę o Żółkiewskim zagrała. Milczenie minut kilka panowało, ale ta chwila była błogą, podobną do snu wygnańca, kiedy go na rodzinną przenosi ziemię, do piosnki, przypominającéj młodociane lata, do tchu powietrza, przynoszącego nam woń ulubioną. Muzyka ustała, król Zygmunt wziąwszy w rękę puhar napełniony winem: »Zdrowie Juliana Niemcewicza«, zawołał. »Bajek jego uczyliśmy się dziećmi będąc, śpiewy nuciliśmy w młodocianych latach, polskie jego dzieje dały nam poznać, czém byliśmy, on piórem, sercem i przykładem nauczał nas być Polakami! Niech żyje w najpóźniejsze lata!« zawołali wszyscy.

Niemcewicz drżącą ręką podniósł także puhar, a odwracając się do wojewodziny Radziwiłłowéj, a raczéj Stanisławowéj Potockiéj: »Zdrowie, rzekł, żony i bratowéj ś. p. Stanisława i Ignacego Potockich!«

»Mości panie z Nagłowic! odezwał się król Zygmunt, kiedy się Rej na chwilę nie może oderwać od misy i kubka, niechże go Ludwik Osinski zastąpi, i dzień imienia Juliana Niemcewicza talentem swoim uświęci, niech dowiedzie, że nietylko ojcowie

umieli szanować tych, co się dobrze zasłużyli krajowi, ale i praprawnuki umieją im sprawiedliwość i winny hołd oddawać.

Rej z Nagłowic, czyli raczéj Ludwik Osinski, powstał z miejsca, pogładził wąsa, i ze znaną wymową do solenizanta przemówił. Szkoda, iż słów jego nikt z nas nie pamięta, że ich nikt nie przelał na papier, że podobno dla potomności zatraconemi zostały! Ulubiony nasz poeta przestał mówić, a muzyka odezwała się znowu i dumę o Stefanie Potockim zagrała.

Wstał August od stołu, podał rękę królowéj Bonie, i tym samym porządkiem jak przyśli, powrócili do bawialnych komnat, rzęsisto oświeconych. Niemcewicz ciągle był rozczulony!

Dolina Mickiewicza.

Przez Bonawenturę z Kochanowa. 1853.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca błysnęły, kiedy z mocném biciem serca zbliżałem się do téj doliny, którą nasz wieszcz ze swojém nazwiskiem potomności przekazał. Ranek był pogodny, oddech wiosny czuć się dawał w powietrzu; brzęk muszek, śpiew ptasząt, lekki wiatru powiew witały wschód słońca tak, jak wstęp do wiosny życia witamy z myślą wesołą, z sercem przepełnioném nadzieją, a czasami z mimowolném westchnieniem. Długie pasmo zieloności, ścieśnione po obu stronach wzgórzami okrytemi wzniosłemi drzewami, podszytemi gęstą krzewiną, w oddaleniu ginęło. Kroplista rosa okrywała powierzchnią murawy, jakby brylantową szatą! — Upojony czarującym widokiem, zatrzymałem się przez chwilę, i kiedym myślą w daleką odlatywał przeszłość, usta moje powtarzały razem z tym, którego duch nad doliną kowieńską się unosi:

Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierżga kwiatem,
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie!

Już słońce coraz wyżéj wznosić się zaczynało, gdy ujrzałem z daleka idącego ku mnie poważnego starca. W dryliszkowéj kapocie, w słomianym kapeluszu z szerokiemi brzegami, długie białe włosy na ramiona spływały, miał gruby kij w ręku, na nim się podpierał. Zbliżywszy się nawzajem, oddaliśmy sobie ukłon za ukłon.

»Pan pewnie nie tutejszy?« zapytał mnie starzec.

»Jestem z Polski, z za Warszawy, odpowiedziałem; wczoraj wieczór po raz pierwszy przybyłem do Kowna, a dzisiaj równo ze świtem pospieszyłem odwiedzić dolinę naszego wielkiego poety.«

»A znałżeś go pan?«

»Znałem na wygnaniu; rzekłem, on na niem pozostał, ja

powróciłem do kraju: ale pan, dodałem, czyś od dawna już w Kownie?«

»Od lat czterdziestu kilku tutaj mieszkam, odezwał się nieznajomy, i tutaj stare położę kości.«

»Więc znać także musiałeś Adama?«

»Jakto czy znałem? Byliśmy tu razem kolegami, z tą jednak różnicą, że on był nauczycielem, ja zas prefektem tutejszéj szkoły.« Te ostatnie słowa wymówił pan prefekt z pewnym rodzajem zadowolonéj dumy.

Szczęśliwym trafem zawarta znajomość dała mi sposobność zaspokojenia ciekawości. Długośmy się ze starcem po całéj przechadzali dolinie; miejscami ścieśniona, rozszerza się potém i dzieli jakby na trzy części. Jakże tu cicho, spokojnie i błogo! Tu światowa wesołość przybiera smętniejszą barwę, czyli raczéj mniej płochą; tu cierpiący znajduje ulżenie, nieszczęśliwy pociechę, tu piękna dusza wielkiego naszego poety pierwsze czerpała natchnienia.

Gdy przyszła chwila pożegnania acz z żalem poczciwego starca, — puścić mnie nie chciał. »Panie kawalerze,« rzekł, tak bowiem nazywał każdego młodszego od siebie, »po podróży, jak miarkuję nie najlepiéj téj nocy spać musiałeś, bo rozdrażniona wyobraźnia snu nie dodaje, więc musisz być zmęczony; wyszedłeś równo ze dniem pewnie bez śniadania; jeżeli zatém łaska to proszę do siebie, to prawie po drodze wracającym do miasta; posilisz się nieco, a mamy jeszcze o czem mówić, to się nie znudzisz. Mieszkam zawsze w moim dworku, niegdyś za miastem, a dziś w końcu miasta, tak to się od lat dziesięciu Kowno rozciągnęło.«

Chętnie zaproszenie przyjąłem, a pan prefekt wziąwszy mnie pod rękę zaprowadził do siebie.

Zaledwośmy weszli, przyniesiono nam kawę, bułki, rzodkiewkę i świeżuteńkie żółte masło. Zasiedliśmy do śniadania; i zajmujące i nader ciekawe rozpoczęło się opowiadanie.

»Było to w 1820 roku, rzekł starzec, kiedy z nauczyciela literatury łacińskiéj i polskiéj oraz historyi, postąpiłem na prefekta tutejszéj szkoły. Miano przysłać mojego następcę; już się kończyły wakacye, uroczysty obchód otwarcia szkólnego roku się odbył, odbywały się od dni kilku zapisy wracających uczniów od rodziców, a następcy mojego widać nie było.

Razu pewnego pod wieczór z całą rodziną, ot w tamtym obok dworku, siedziałem przy wieczerzy, gdy drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek, bardzo skromnie ubrany, ukłonił się grzecznie i o prefekta szkół kowieńskich zapytał. »Ja nim jestem, odpowiedziałem wstając od stołu, a z kim mam zaszczyt mówić?« dodałem. »Z Adamem Mickiewiczem,« odezwał się cichym głosem młodzieniec; naznaczony jestem na nauczyciela do tutejszéj szkoły; poczem oddał mi list i plikę papierów od rektora uniwersytetu wileńskiego. Zaprosiłem go na wieczerzę, obok siebie

posadziłem, darem bożym z nim się podzieliłem; i odtąd dzień ten, w którym pod tym dachem zasiadł po raz pierwszy do mojego stołu, zapisałem na zawsze w pamięci serca mojego.

Po wieczerzy, nowego kolegę poczęstowawszy fajeczką, przerzuciłem nadesłane papiery, poczem do późna rozmawialiśmy z sobą i rozpoczęła się znajomość z czasem zamieniona w przyjaźń, niczém nienaruszoną, trwałą aż do grobowéj deski.

Nazajutrz pana Adama wprowadziłem do naszéj szkoły i zainstalowałem w nowym obowiązku. Przez czas niejaki, nie widywałem go tylko podczas godzin szkólnych, gdyż zaraz po lekcyi czémprędzéj wracał do siebie, zamykał się w swoim pokoju, lub stroniąc od ludzi, szukał samotności w najodludniejszych miejscach, zapuszczał się w najgęstsze bory, krył po urwiskach górzystych brzegów Niemna. Od tego czasu ulubioną jego przechadzką, czy na wiosnę wśród majowych kwiatów, czy w lecie wśród burzy, błyskawic i grzmotu, czy wśród zimowéj zamieci, stała się owa dolina, sławą jego imienia uwieczniona!

Z początku koledzy brali go za dziwaka, ja zaś powiedziałem: albo zakochany, albo poeta! Niepokoił mnie jednak ubiór na nim zawsze ten sam, coraz bardziéj wytarty; niepokoiło, żem nie wiedział, gdzie się stołuje, co je: a myśl, że może niedostatek znosi, boleśnie mnie trapić zaczynała, tém bardziéj, że nowy nasz kolega akuratnością w pełnieniu obowiązków, obejściem słodkiem i cierpliwém z uczniami, poszanowaniem i poważaniem starszych, wszystkich przyciągał do siebie.

Wnet się dowiedziałem, że *omnia mecum porto* znajdowało się na nim, a para koszul w szufladzie, płaszcz, którym się okrywał i przykrywał, oraz skórzanna poduszka, całą jego garderobę i pościel stanowiły. Dowiedziałem się, że pieczone w piecu kartofle służyły mu za codzienne pożywienie, a całym jego zbytkiem była herbata i kawa, całą pociechą fajka tytuniu. Do wygód życia nie przyzwyczajony, nie dbał o pokarm ciała, duszę karmił natchnieniem!

»Mój kawalerze! mówił daléj zagrzany opowiadaniem swojém pan prefekt, łatwiéj przyswoić dzikiego niedźwiadka, unosić jastrzębia, nauczyć kanarka po serynetce śpiewać, jak przyciągnąć do siebie, ugłaskać odludka, jak otworzyć zasznurowane usta, odemknąć zaryglowane serce.

Ponieważ mnie jednak coś mimowolnego do naszego ciągnęło młodzieńca, udobruchać go, do poufałości zbliżyć, do zaufania nakłonić przedsięwziąłem. Nie łatwa to była pensa; ale kto chce ten wiele może. Po dwumiesięcznych staraniach zbliżyliśmy się do siebie, niby niechcący, i do tego doszedłem, że często bywał u mnie na obiedzie, a w końcu stołować się zaczął. Żona moja kazała mu uszyć tuzin koszul. opatrzyła jego garderobę, a niechcąc skromności obrazić, wydatek na kupione przedmioty wytrącała sobie miesięcznie z jego pensyi.

Razu pewnego przyszedłszy do pana Adama pod wieczór, zastałem rozebranego, z rozczochranemi włosami, z fajką w gębie; w szerz i wzdłuż po pokoju chodził. Usta stłumione i niewyraźne słowa zdawały się wymawiać, oczy pałały niezwykłym gorączkowym ogniem, lica zazwyczaj blade, siną przybierały barwę. Albo chory, albo rozkochany, pomyślałem w duchu. Skoro mnie ujrzał wchodzącego do pokoju, uspokoił się nieco, skłonił uprzejmie, na stołku posadził. Zaczęła się rozmowa, ale szła jakoś niezgłaźnie; on był smutny, mało mówiący, zdawało się, jakby co tylko się zbudził, co tylko powracał do rzeczywistości życia z krainy urojeń, snów i marzeń! Ja zaś więcéj z przywiązania niż z ciekawości chciałem go wybadać, wyrozumieć; wywiedzieć się o cierpieniu fizycznem lub moralném, abym mógł przyjść z pomocą alboli téż z pociechą!

»Panie Adamie, zapytałem, czy jesteś chory?« »Być może, odpowiedział, głowa mnie boli.« — »Może serce?« dodałem. »Serce?« powtórzył!

Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,[1])
Iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę;
Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,
Albo o mym rozumie, coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę; gdy na łoże padnę
W nadziei że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie!

»To waćpan podobno poetą, zawołałem; mój młody kawalerze, słuchaj zdrowéj rady na doświadczeniu opartéj: porzuć poezyą, ta ciebie do niczego nie doprowadzi, wróć lepiéj do poczciwéj prozy. Proza umysł naucza, a poezya go przewraca. Poezya rozkołysze twoją wyobraźnią, rozdraźni uczucie, nauczysz się latać po powietrzu, a po ziemi, kiedy będzie potrzeba, nie potrafisz chodzić. Zmarnujesz młode lata, żal mi twojéj młodości.«

Młodości! ty nad poziomy[2])
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

odrzekł, jakby w obłąkaniu. »Biada mi z tobą! zawołałem; zgubiony człowiek! niema co z tobą robić.« Po kilku chwilach milczenia, »panie Adamie, dodałem, masz dużo zdolności, ale jesteś jeszcze bardzo młody, nie masz doświadczenia. Zająłeś miejsce piastowane przezemnie przez lat kilkanaście; chcąc drugich nauczyć trzeba dużo umieć, a starszy wiekiem, naturalnie więcéj od młodszego posiada, bo miał więcéj czasu do nabycia. Z tego powodu chcąc ci dać dowód mojego przywiązania, ofiaruję spisane moje prelekcye, uwagi, spostrzeżenia; przydadzą ci się niezawodnie i pewny jestem, że z nich korzystać nie omieszkasz.« To

[1]) Sonet III. A. Mickiewicza.
[2]) Oda do młodości Mickiewicza.

rzekłszy, oddałem mu seksterna własną ręką zapisane. Przyjął je z wdzięcznością, pocałował w ramię, i kiedym wychodził, podziękował i aż na schody odprowadził.

Szkoda mi go, pomyślałem wracając do domu, dobry chłopiec, zdatny, potulny, usłuchany, ale ta nieszczęsna poezya głowę mu całkiém zawróci.

W kilka dni później, po wieczerzy, rozmawiając z nim w tym samym przedmiocie, zbijając o ile mógłem wzrastający poetyczny nałóg, jak go wtedy zwałem: »Panie prefekcie, zawołał, powstajesz przeciw poezyi, a ręczę, że sam wiersze piszesz.« Zarumieniłem się nieco: bo mnie jakby na uczynku złapał; przyznałem się do winy i dowieść chciałem, że poezya dla młodego jest niebezpiecznym szałem, dla starego przyjemną rozrywką. Czym go przekonał? wątpię; ale gdy mię naglić zaczął, abym mu co z utworów moich przeczytał, dopełniłem żądania. Słuchając mojéj ramoty, uśmiechał się czasami, a gdym o zdanie pytał, (bo któryż z piszących nie ma miłości własnéj?) chwalił, niektóre czynił uwagi; on młodszy mnie starego zachęcał, poprawiał, a ja go wtedy już jak mistrza słuchałem! Byłoż to przeczucie?

Minęła zima, nastąpiła wiosna, a nic się w trybie życia Adama nie zmieniło: dopełniał obowiązków swoich z najsumienniejszą akuratnością, ale zawsze smutny, zamyślony, odludek; u mnie jednego bywał, zresztą nie uczęszczał do nikogo. Już niektóre ulotne jego wiersze przebiegały z rąk do rąk, już Warcaby do brata, odę do Lelewela napisał; powiadano, że pracuje nad ważniejszym poematem; jednak, jak jego długie wycieczki za miasto były dla wielu zagadką, co pisał było dla wszystkich tajemnicą.

Nastąpił roczny egzamin, a po nim wakacye; młodzież się rozjechała do rodzicielskich domów, prawie wszyscy nauczyciele opuścili miasto; ja z rodziną odpoczywałem po całorocznéj pracy pod tą wiejską strzechą, a Mickiewicz pozostał w mieście.

Dowiedziawszy się, że trzech uniwersyteckich kolegów przyszło z Wilna do Kowna piechotą, z odwiedzinami do naszego Adama, chęć mnie wzięła poznania się z nimi. W tym więc celu razu pewnego pod wieczór udałem się do miasta. Zapukawszy do drzwi: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« rzekłem do pokoju wchodząc. »Na wieki wieków Amen,« odpowiedziano ze środka. Adam zerwał się z miejsca, przywitał zemną, poczém obróciwszy się do towarzyszy swoich: »Przedstawiam panu prefektowi,« rzekł do mnie, »moich przyjaciół i towarzyszy.« Piękna to była młodzież, śliczni kawalerowie, przyzwoici, grzeczni, uprzejmi i skromni. Wnet się znajomość zawarła; zasiedliśmy w koło prostego stołu, pdano herbatę i fajki.

Spoglądając na to nowe pokolenie, słuchając ich, podziwiając trafne spostrzeżenia, głęboką a tak przedwczesną naukę, i ten pogląd na rzeczy, tak postępowy, tak zgodny z ewangielicznem

słowem, z czystą moralnością, z prawdziwym duchem narodowym, serce w piersiach moich rosło, błoga przyszłość dla kraju roztaczała się przed oczami; pomyślałem w duchu: szczęśliwa matko, będziesz miała z takich dzieci pociechę!

Rozmowa coraz się ożywiała, blade lica krasiły się rumieńcem, ogień błyszczał w oczach, rozpromieniały się czoła myśleniem! W tém Mickiewicz powstał i z pamięci opowiadać nam zaczął pierwszą pieśń Grażyny. Słuchaliśmy z zachwyceniem. Kiedy pierwszy każde słowo pożerał, drugi czerwienił się i bladnął na przemiany, trzeci na skrzydłach zachwytu, razem z poetą przenosił się w daleką przeszłość: widział Grażynę, jaśniejącą młodością, wdziękiem, urodą, mnie po licach spływały łzy rozrzewnienia. Poeta skończył, nastąpiło milczenie i trwało przez chwil kilka; bo każden lękał się przerwać urok, pod którym tak mu dobrze było! »Adamie, odezwałem się nakoniec, rok temu, powitałem ciebie kolegą moim, potem radziłem porzucić poezyą, radziłem powrót do poziomej prozy, a teraz witam ciebie pierwszym polskim wieszczem! Krańce ziemi dla ciebie za ciasne, tyś jest orłem, tobie potrzeba przestrzeni z burzą, z błyskawicą, z piorunem; twa sława dla twego kraju puścizną, a dla ciebie nieśmiertelnością!«

Północ wybiła, pożegnałem towarzystwo, a wziąwszy Mickiewicza na stronę: »Mistrzu!« rzekłem do niego »oddaj mi moje seksterna, moją ramotę, na nic ci się nie przydadzą. Nie mnie dawać tobie nauki, ale uczyć się od ciebie, podziwiać, uwielbiać twój gieniusz wypada.« A uścisnąwszy go serdecznie, święty znak krzyża złożyłem na jego czole. »Seksterna twoje,« odpowiedział, »zachowam na pamiątkę przyjaźni; rad i nauk starszego zawsze słuchać będę, a znak krzyża świętego z wdzięcznością przyjmuję, jako błogosławieństwo ojcowskie!«

Całe wakacye koledzy Mickiewicza przepędzili z nim w Kownie. Razem zwiedzali piękne okolice miasta.

Po rozstaniu się z nimi, czy ożywiony przyjacielskiéj dłoni ściśnieniem, czyli w skutek lepszego umysłowego usposobienia, mniéj unikał ludzi, w niektórych towarzystwach uczęszczać zaczął. Wszędzie zapraszany, przyjmowany, chwytany; płeć piękna czytała jego wiersze, uczyła się ich na pamięć; Mickiewicz był w ustach wszystkich.

Drugi rok szkólny się ukończył; Adama Mickiewicza powoływano do nowego obowiązku, do Wilna. W wilią swego wyjazdu z Kowna, zaproszony przez nas został na podwieczorek do doliny. Liczne zebrało się towarzystwo płci obojéj, odgłos muzyki rozlegał się echem po poblisklch wzgórzach i gajach; wesołość ogarnęła serca, rozmawiano, bawiono się ochoczo; miła i błoga panowała swoboda. Podano wieczerzę; zasiedliśmy do porozstawianych po łące stołów. Rozjaśniło się zwykle chmurne czoło poety, kiedy na prośby nasze niektóre ulotne wiersze, ustęp

z Grażyny opowiadać nam zaczął. Przy końcu wieczerzy, jedna z obywatelek tutejszych, na ten obchód przez nas na gospodynię wybrana, wziąwszy w rękę kieliszek: »Piję,« rzekła, »za zdrowie naszego wieszcza, a zarazem wnoszę, aby dolina, którą tak polubił, kędy szukał i znajdywał natchnienia, kędy każden oddech wiatru ochładzał czoło rozognione myślami, a śpiew ptaków był jego pieśni wtórem, przezwaną odtąd została:

„Doliną Adama Mickiewicza!“

Powstaliśmy z miejsc z zapałem, spełniliśmy drogie nam zdrowie, a jednogłośnie podzielając szczęśliwy pomysł, potwierdziliśmy nazwanie, które w późne wieki zostanie relikwią przeszłości dla Kowna!

Mickiewicz ze łzą wdzięczności w oku dziękował wszystkim, ściskał podane sobie dłonie; poczem w téj tak bliskiéj chwili rozstania się z nami, w chwili oddalenia się od miejsc tak ukochanych, kędy tyle przemyślił, tyle przedumał, tyle przetęsknił, gotując się do przyszłéj walki, która się chyba po za grobem kończy, raz jeszcze spojrzał na swoją dolinę, a w jego spojrzeniu ostatnie było pożegnanie; już jéj więcéj oglądać nie miał!

Obiad czwartkowy.

Przez F. K. z pism Klem. z Tańskich Hoffmanowéj.

»... Byłem nareszcie i ja na jedném z owych posiedzeń czyli obiadów czwartkowych, u króla Stanisława Poniatowskiego, o których marzyłem w snach moich śpiąc i na jawie, do których należeć, sądziłem być najwyższym zaszczytem. To szczęście tak oddawna żądane, a którego użyć na chlubę moję wcale nie umiałem, wczora mnie spotkało.

Blisko od tygodnia w Warszawie, zaraz po przyjeździe starałem się być przedstawionym królowi i złożyć mu dzięki za wyświadczone mi dobrodziejstwo; pierwsze udało się; byłem na pokojach w niedzielę; król przyjął mnie uprzejmnie i łaskawie; ale co o wdzięczności, ani słowa wspomnieć nie dał, owszem przepraszał, że dary jego tak późno mnie doszły. — Historya wyda kiedyś bezstronny wyrok o Stanisławie Auguście; bardzo wiele mu zarzucić będzie musiała; i dziś ma on już sobie przeciwnych; ale ktokolwiek do jego towarzystwa jest przypuszczony, kto doznał jego dobroczynności, ten koniecznie powiedzieć musi, że trudno wystawić sobie uprzejmiejszego monarchę, któryby lepiéj znał się na ludziach, delikatniéj dobrze czynić im umiał, zgoła wyborniejszego ich mecenasa. Gdy wychodząc z pokojów, koło mnie przechodził, rzekł łaskawie: »Proszę zawitać na posiedzenie czwartkowe.« Te słowa niespodzianie w obec tylu wyrzeczone świadków, przejęły mnie radością; skłoniłem się nizko, a dostawszy nazajutrz formalną na czwartek inwitacyą, starałem

się dowiedzieć, kto na ten obiad wezwany? do kogoby się przyczepić? Ponieważ nie w jedném miejscu od dzieci i od starych, od panów i ubogich, ten dobrze widziany i przyjęty, kto z pełnemi rękami przychodzi, umyśliłem na ów mądry obiad przyczepić się do Zabłockiego. Jakoż i on chętnie na to przystał. Z Zabłockim znam się niedawno; młodszy jest odemnie lat kilkanaście, wabi mnie jednak ku niemu skłonność taka, jak gdybyśmy chowali się razem; on jest dowcipny, wesoły, nawet krotofilny, zwłaszcza między swymi; ja przecież dostrzegłem pod tą ucieszną barwą smutek ukryty i rzewność myśli; i może to ze mną podobieństwo skłonności całéj przyczyną. Człowiek rad widzi podobnych sobie. Zabłocki, który ledwie ma lat dwadzieścia i kilka, piękną już pozyskał sławę. Jest dotąd a może będzie najcelniejszym pisarzem Polski komicznym. Łączy znajomość sztuki dramatycznéj i serca ludzkiego; panem jest języka, którym włada według woli a zawsze szczęśliwie. Król zowie go swoim Molierem; bardzo jego prace lubi, i nawet, co nie zawsze drugim pisarzom uchodzi, gminnym i swawolnym być mu pozwala. Jest to może przywiléj po mistrzu; a Stanisław August, któryby dosyć pragnął wyjść na Ludwika XIV., może nie śmie delikatniejszych od niego mieć uszów. Niedawno Zabłocki dostał medal z napisem *merentibus*; zaszczyt dotąd znakomitszy od wielu orderów, bo nie tak pospolity. Bardzo więc byłem rad temu, że taki nawinął mi się przewodnik; i z większą jeszcze niecierpliwością, bo pewniejszy powodzenia oczekiwałem owego czwartku. Nadszedł: — o trzy kwadranse na drugą ruszyliśmy remizą w mundurach województw naszych, wyfryzowani i wypudrowani, przy szpadach; zdawało mi się żem podrosł, bo na wszystkich, których spotykaliśmy, patrzyłem z góry. Wjechawszy na dziedziniec, stanęliśmy przed korpusem zamkowym i weszli na marmurowe schody, które lubo bardzo piękne i eleganckie, nie są przecież wspaniałe. Rozstawiona służba pokazywała nam z kolei dokąd udać się mamy? przeszliśmy pokojów kilka; każdy z nich tchnie tym gustem, który wielkie i drobne dzieła, pod okiem Stanisława Augusta wykonane, odznacza. Posiada on bowiem ten przymiot w najwyższym stopniu; dostał go od natury, rozwinął sztuką, zapatrywaniem się na piękne wzory, i stolica długo jaśnieć będzie tém, co on w niéj zostawi. Doszliśmy nareszcie do wspaniałéj sali pędzlem *Bacciarellego* ozdobnéj, drogiéj każdemu Polakowi, gdzie się uczestnicy czwartkowych obiadów zwykle zbierają. Nie było jeszcze żadnego i rad temu byłem, bom się mógł przypatrzyć pięknym, szacownym malowaniom i popiersiom, myśleć z dumą o czasach i ludziach których wystawiają. Tu Kazimierz wielki prawa swe nadaje; tu Zygmunt August hołd księcia pruskiego przyjmuje; tu pokój z Turkami przy zwłokach Chodkiewicza zawarty; tam Jan III. wjeżdża do Wiednia, a w koło na kształtnych podstawach stoją

sławnych mężów popiersia. Tu ojciec poetów a przeto i mój, Jan Kochanowski; tam chluba nasza przed obcymi, Kopernik i Sarbiewski; tu mój wzór i rozpacz moja sielski Szymonowicz; tam nasz Salomon, mądry Lubomirski. Kiedym w zachwyceniu chodził od obrazów do popiersiów, więcéj tym jeszcze się przyglądając, stał się jakby cud; jeden z nich ożywiony, stanął przedemną. Był to *Naruszewicz*, którego Król dosyć uczcić nie może, nad wszystkich żyjących i zmarłych Polaków chciałby go przenieść. Nie przeczę wielkim talentom Biskupa Smoleńskiego, ale pomimo dworskich pochwał, popiersia i medalu, nie mogę kłaść go wyżéj od Sarbiewskiego, a w równi z Krasickim; złe języki mówią, że pochlebstwo tak wysoko go podniosło i trzyma; jeźli tak jest, to kiedykolwiek spadnie! pochlebstwa są sztuczne skrzydła. . . Ale jeźli spadnie jako poeta, proza utrzyma go zawsze w świątyni sławy i prace jego historyczne wiecznie trwać będą. O nich téż mówiłem mu cokolwiek a przynajmniéj mówić chciałem, gdy zbliżył się do mnie; bo choć już parę razy byłem u dworu, i oddawna z wielkimi panami przestaję, jeszczem nie dworak i podobno nie będę nim nigdy; mniéj będzie na starość chleba, ale cnoty więcéj. — Wnet po Naruszewiczu, przybył Ignacy *Potocki*, ów obywatel prawy, człowiek światły, uczony, dobrze myślący, przyjemny, który cnoty domowe i publiczne połączyć umie, a którego los tak srodze w najdroższych prześladuje związkach. Smutek był na jego twarzy; i smutek, który, jak nudy, rodzajem jest zarazy, wszystkich nas przejmować zaczynał, kiedy wpadł wesoło młody, dorodny mężczyzna i wszystkich ożywił. »Co za pomyślne zdarzenie! — zawołał kłaniając nam się i modnie i grzecznie — wszakci to Pan *Bielawski* nie długo przybędzie? Nie mógł mi Król JMC. większéj sprawić przyjemności jak wzywając mnie z nim razem.« — »Nie dla twoich to pięknych oczu, Starościcu — powiedział Naruszewicz — ale Króla bawią czasem wasze spory.« — »Ciekawybym był jednak — ponowił przybysz — jak Bielawskiego głupi żołądek, strawić może mądry obiad czwartkowy; on kiedy umrze z indygestyi w piątek, a ja na grobie jego ten epitaph wyryję:

Tu leży Bielawski — szanujcie te cisze,
Bo jak się obudzi komedyą napisze.“

Mimowolnie rozśmieliśmy się wszyscy, nawet smutny Potocki; a ja choćbym go nie był widział dawniéj, po tych słowach i wierszach poznałbym *Kajetana Węgierskiego*. — »Szkoda tego młodzieńca — szepnął mi Zabłocki — on złą drogą idzie, a dowcip ma wielki: Wolter zawrócił mu głowę, chce być polskim Wolterem; nie mogąc w dobrem mu sprostać, w złém go naśladuje; Bielawski, prawda że to człowiek zarozumiały; nie może tego zapomnieć, że był autorem pierwszéj komedyj granéj przed Królem przy odrodzeniu się teatru polskiego; prawda, że mówią, iż nieco ma być chciwy, służy panom za przedmiot za-

bawy a dukaty od nich łowi; prawda, że nie tęgi poeta, ale przecież nie godzi się tak z nikogo szydzić; zwłaszcza kiedy ten przeciwnik cichy i nieśmiały, odcinać mu się nie umie . . . Ale otóż wchodzi.« — Jakoż drzwi się otworzyły i wszedł chudy, wysoki, pokorny mężczyzna; a nie mówiąc i słowa, kłaniał się wszystkim uniżenie, a Węgierskiemu najniżéj. »Cieszę się ze zdrowia dobrego, Mości Panie Bielawski — wyrzekł zadzierając nosa śpiewak Organów — widać że rumatyzmu w krzyżach niema, żeś odpoczął po *rzezi Humańskiej*. Śliczneż to poema! a kiedy wyjdzie? bośmy już pieniądze na prenumeratę złożyli?« — »Wkrótce — odpowiedział Bielawski, rąk zacierając. A teatrum kiedy będziemy mieli, wszak WCPan otwierasz nowe?« — »Chciałbym — odpowiedział Bielawski, — podnosić coraz bardziéj sztukę dramatyczną w Polsce, ale jeszcze mi się nie bardzo powodzi; myślę Najjaśniejszego Pana błagać o pomoc . . .« — »Gdybym miał jakie znaczenie u Króla JMCI, użyłbym go chętnie w tak pięknéj sprawie — przerwał Węgierski; — smutne też czasy, już dawno w stolicy śmiać się z czego nie było. Ale mam obiecaną szambelanią, wtedy bliżéj monarchy, nie przepomnę teatrum WCPana.« — Kiedy tak mówił prędko, a Bielawski myślał pomału czy i jak się odciąć, weszło razem dwóch exzwolenników Loyoli; oba poważni; a jeden już sędziwy; pierwszym był znany mi dobrze *Karól Wyrwicz* ów autor pierwszéj w języku ojczystym jeografii politycznéj, krytyk trafny i biegły; drugim, *Franciszek Bohomolec*, który to prócz innych dzieł historycznych bardzo gruntownych, pierwszy w języku polskim komedye pisać zaczął; naprzód jedynie dla młodzieży szkolnéj, któréj był nauczycielem, a potém dla wszystkich, i to obficie. Ich przytomność nie ukróciła języka Węgierskiego. »Ale, ale Mci Panie Bielawski — powiedział na głos — mam też do WCPana Dobr. wielką prośbę.« — »Rozkazać proszę!« rzekł tamten, — Oto chociaż ja nie Król, chciéj na moję instancyą wydać jeszcze jednę komedyą, ale w ten sposób: Weź treść z Moliera, niech ci Potocki z Wyrwiczem rozkład zrobią, Karpiński da rymy, Zabłocki wiersz napełni, i napisz u spodu tytuł (którego inwencyą ja na siebie biorę: *Na prośbę JMCPana Kajetana Węgierskiego Starościca, nie pisałem wcale téj mojéj komedyi*. Obiecuję ci sutą suskrypcyą, sam ją zbierać się podejmę.« Jeszcze to mówił, kiedy hałas dał się słyszeć; podwoje otworzono i Król wszedł. Nie jest on wzrostu bardzo wysokiego, ale tak szlachetnéj i znaczącéj postawy, oczy jego czarne są tak piękne i ujmujące, rysy twarzy tak regularne, i cały układ tyle miły i poważny, że chociaż ubiór przepychem oczu nie zwraca, natychmiast między dworzanami rozeznać go trzeba. Miał na sobie mundur kadecki, order orła białego, a na szyj orzeł pruski; nosi go zawsze z téj przyczyny, że dostał go nie będąc królem i dlatego jest mu miłym. Dosyć liczny otaczał go orszak; doktor nadworny Bekler, ad-

jutant na służbie będący, dwóch szambelanów, uczony Wybicki i wyszarmantowany Kownacki; dwóch paziów, piękny Narbut, śmiały i figlarny Turkuł. Stanęliśmy wszyscy rzędem, Król do każdego przystępował, każdemu coś uprzejmego powiedział. Kiedy na mnie kolej przyszła, wyrzekł łaskawie: »Witaj między nami i bądź posiedzeń czwartkowych ozdobą!« Przeszedłszy tak koło nas, udał się do pokoju, gdzie stół był nakryty i my za nim poszli. Przechodziliśmy przez inny bardzo zajmujący, w którego ścianach wykładanych marmurem krajowym, oprawiane są w złoto portrety wszystkich królów polskich pędzla Bacciarellego; jedliśmy zaś w pokoju obok będącym, żółtym adamaszkiem wybitym, gdzie są znowu portrety tych, których Król od początku przypuszcza do uczonych obiadów. Stół był okrągły, na dziesięć osób nakryty; koło Króla, po obu stronach, bardzo szerokie zostawione miejsce, daléj stołek obok stołka. Król usiadł, stanęła koło niego i za nim dworska służba, szambelanowie, pazie; stanął opodal Lociński, podczaszy, w polskim stroju, poważnywłaśnie jak na podczaszego przystało; Król wezwał koło siebie Naruszewicza i Potockiego, my umieściliśmy się jak któremu wypadło; jam usiadł między Zabłockim i Wyrwiczem, wprost portretu Konarskiego, który mi jest wielce drogi. Ledwośmy posiadali, i wraz nam było, kiedy Król powiedział: »Coś dziś szeroko u stołu mego, trzeba tu kogo jeszcze wezwać. Mości Panowie zsuńcie się! Gdy Król zobaczył, że zrobiło się miejsce jakie takie: »Proście Pana Szambelana *Woyny*, — powiedział, — on tu nie zawadzi. Pan Węgierski i Bielawski wpuszczą Woynę między siebie.« — »I tak, już jest oddawna między nami!« powiedział śmiało Węgierski. Rozśmieli się wszyscy, nawet Bielawski, który zwykłym sobie cichym głosem tak się odezwał: »Kiedyć ma już być koniecznie Woyna między nami, niechże takiego będzie rodzaju!« — »O prawda; — dodał Król — bodaj innych nie bywało!« — Tymczasem zupę rozdali; był to barszcz wyborny z uszkami, tryumf pierwszego kucharza królewskiego Tremona, który chociaż Szwajcar, doskonale wszystkie potrawy polskie przyprawia. »Założyłbym się że w tym barszczu więcéj niż dwa grzyby! — powiedział Węgierski zbierając brząkającą łyżką ostatnie krople z talerza. — »Nie zupełnie taki musiał być barszcz u ojców naszych, jeźli tylko jeden kładli!« dodał Woyna. »Nie zazdroszczę im téż wcale, ponowił tamten a i dla barszczu i dla wielu innych rzeczy:

Bardzo mi jest miło,
Że dziś mi się żyć zdarzyło.“

»Szczęśliwy humor! — rzekł poważnie Wyrwicz — bodajbyś, mój Starościcu, po najdłuższem życiu to samo powtorzył.« — »Smutne myśli dobywać przy stole, jest to samo co w przedpokoju dobywać szampana — odpowiedział żywo Węgierski. — »Zły użytek Wyrwicza!« dodał śmiejąc się Naruszewicz; a w ciągu

téj ucinkowéj rozmowy wysypały się jakby z rogu obfitości różne przysmaki; wędliny, marynaty, kiszki, kiełbasy, paszteciki różnego rodzaju; wszystko wykwintne i wyborne i dla smaku i dla oka. Król brał ledwie nie z każdego półmiska, jadł jakby nie smakując, ale dużo i nadzwyczajnie prędko. Podczaszy Lociński nalał Królowi drugi kieliszek wina i nasze powtórnie napełnione zostały; rozszedł się zapach rozmaicie przyprawianych sztuk mięsa; służba pokrajawszy je subtelnie, zaczęła roznosić. Jeden z nich, ogromny dźwigając półmisek, podając go Królowi, wyrzekł uroczyście: *Baran!* Król odpowiedział wykrzyknikiem, *A!* i tak działo się z kolei naokoło całego stołu; a przez minut kilka wyraz *Baran!* i wykrzyknik *A!* jedynie były słyszane; każdy zaś nakładał kopiaste talerze, jadł i chwalił. Spytałem się Zabłockiego, coby to znaczyć miało; czy to ceremonia jaka? »Nie — odpowiedział — ale Król nad wszystkie mięsiwa baraninę przekłada, codzień musi być na stole jego, a że Tremon tak ją przyprawą odmienia, iż czasem trudno poznać, co to jest: mają rozkaz roznoszący oznajmiania w takim razie godność półmiska podawanego każdemu; a każdy jak widzisz, raduje się, bierze, je i chwali.« Król właśnie coś do mnie przemówił, jam nie zupełnie usłyszał a pytać się nie śmiałem; skłoniłem się więc tylko i przebąknąłem kilka słów niewyraźnych, bez związku; za co dotąd na siebie się gniewam; bo czyż nie miałem tyle ułożonych w domu konceptów na każdą okoliczność? Król chcąc zapewne ściągnąć ze mnie pomięszanego uwagę kompanii, odwrócił się do otaczającego orszaku, a spojrzawszy na Szambelana *Kownackiego*, który stał świeży jak z igły zdięty, a pachniał jak kwiatek włoski, zapytał się czy rybacy nie wyratowali mu czego z Wisły? — »Ta kamizelka i te inne ubiory, w które się dziś wystroił — odezwał się tu Węgierski — to jedne ze stu par, co mu zatonęły; wydobyto je z brzucha szczupaka, połknął je, myśląc na te bławaty, że to już cały Szambelan.« — »Gdybyć choć takim sposobem jakaś partya mojéj garderoby wyratowaną była! — wyrzekł z westchnieniem Kownacki, — ale nie! wszystko stracone!« — »I Szambelan zgubiony!« — jęknął paź Turkuł. — »A, pierwszy raz téż głos Turkuła słyszę — wymówił Król — dla czegoż dziś takiś posępny i milczący?« »WKMość wie, choć zapewne nie zna, jaki to skutek głód na Polaku czyni« — rzekł śmiały paź! — »Domyślam się co to ma znaczyć. Podać mi wody.« Podali paziowie wody, a Turkuł zawołał: »Teraz będę miał rozwiązane usta, ale teraz téż odejść muszę.« A skłoniwszy się nam pocieszne, wyszedł wesoło wraz z drugimi; bo wiedzieć trzeba, że póty nie odchodzą dworzanie na służbie będący do marszałkowskiego stołu, póki Król tego znaku nie da. »Dobry jest bardzo zakład paziów przy dworach — powiedział Król skoro odeszli: — dwudziestu czterech dziarskiéj młodzieży dziką pustynię rozweseliéby mogło.« — »I Waszéj Królewskiéj Mości

wybór paziów szczęśliwie się udaje — rzekł Naruszewicz. »Mam ich zwłaszcza kilku których bardzo lubię — odpowiedział Król; — za dniami służby Turkuła niemal tęsknię, bo mnie jego śmiałość i pustoty niezmiernie bawią; ale są między nimi i młodzieńcy z gruntowniejszemi talentami. Nieuwierzycie MCPanowie, jak *Lesseur* pięknie rysuje. Mój Bacciarelli mówi, a jemu wierzyć można, że to wielki miniaturzysta będzie. Widziałem dziś jego roboty i bardzo byłem kontent.« — »WKMość dziś długo bawiłeś w malarni? — odezwał się Woyna. »Wiele mi rzeczy pokazywał mój Bacciarelli; *Smuglewicz*, ktory ciągle bawi we Włoszech, przysłał znowu dowód swego talentu i pracowitości; coraz więcéj włoskiém niebem przechodzi. W pracach tutejszych uczniów dostrzegłem także z radością dwa znakomite talenta: młodego *Kubickiego* do architektury, *Volga* do rysunku; obudwóch muszę w krótce także do Włoch wyprawić.« — »Jak téż wiele Polska w tym względzie będzie winna WKMości — powiedział tu Potocki; — prawdziwie to panowanie będzie odrodzeniem kunsztów i nauk.« — »Widzieć piękne sztuki i literaturę na wysokim stopniu, przyczynić się do tego, jest mojem najgorętszém życzeniem — odpowiedział na to Król. — Robię ku temu co mogę, a gdyby mi kto pokazał, co jeszcze uczynić należy, robiłbym i więcéj.« — »WKMość, jeśli sobie pozwolisz powiedzieć, za nadto już czynisz — odezwał się tu Węgierski — nie w sztukach pięknych: bo widać po owocach, że przyzwoite są koło nich zachody, ale w literaturze. Tłum pisarków od lat kilkunastu stopnie tronu WKMości codzień zarzuca szpargałami, coraz mniéj godnych przybyszów do mądrych półmisków przypuszczonych widzimy; (tu Zabłocki i ja zmieszaliśmy się nieco), a ty Najjaśniejszy Panie, nie odrzucasz nikogo, na wszystkich jesteś łaskawy, wszystko chwalisz. Pochwałami przecież szafować nie dobrze, zwłaszcza panom, bo wielu chwali dzieło nie dla tego że dobre, ale że się komu znakomitemu podobało, albo że autor jego zjadł obiad mądry obok Majestatu.« — Słuchali wszyscy z niejakiem zdziwieniem téj śmiałéj i dość długiéj mowy; jam się ledwo nie zadławił kością wybornego kwiczoła, bom myślał że to i do mnie przytyki, a Król powiedział: »Czemuż tedy WCPan Mości Panie Starościcu, nie piszesz więcéj, i nie pokażesz drugim jak pisać?“ „Od świtu do późnéj nocy próżnować, moja robota cała — odpowiedział wesoło. — »I jeść i zapijać — dodał Woyna; bo w rzeczy saméj, w znacznéj liczbie półmisków potraw, jarzyn, ryb, legumin, pieczystego, ciasta, które ciągle roznoszono, on mało który opuścił, każdy dzielnie popijał, a właśnie trzymając biszkopt umaczany w winie w czasie przymówki Woyny powiedział nie tracąc fantazyi: »Ja nie jestem wcale za pasterskiém, bez kuchni, życiem:

Wolę biszkopt, niż żołądzie;
Ktoś żołądź smaczną rozumiał,
Bo chleba upiec nie umiał.“

»I dajesz tego gustu swego oczywiste dowody — rzekł ze śmiechem Naruszewicz — ale niewiem czy tak długo udawać ci się będzie. Oto Pan Zabłocki, to wzór młodzieży, skromny, mało je, mało mówi. . .« »A wiele pracuje — przerwał Wyrwicz — wiem że i dziś nie z próżnemi rękoma tu przyszedł. — »Czy tak? — zawołał Król — cieszę się bardzo. I cóż takiego? czy nowa komedya?« — »Tak jest Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Zabłocki podnosząc się — czekam tylko z złożeniem jéj u stóp WKMości końca obiadu.« — Kiedy nas taki *dessert* czeka, kończcież żywo roznoszenie tego co na stole — zawołał Król na służbę a WMCPanie Lociński, daj nam *Popiela* (tym przydomkiem Król ochrzcił oddawna stare wino węgierskie). W niedługim czasie postawił Lociński na stole przed Królem spleśniałą butelkę; odetkał ją; podano małe kieliszki a Król sam je nalewał. Podał naprzód kieliszek Potockiemu mówiąc: »Spodziewam się, że do smaku będzie.« Naruszewiczowi dać się wzbraniał. »Wasza wielebna uczoność pić tego nie zechce — mówił z uśmiechem — nie wierzysz w żadnego *Popiela*.« »Najjaśniejszy Panie, — powiedział dziejopis biorąc niemal gwałtem kieliszek — *tego* uznaję — a wypiwszy łyk, dodał: Zaiste! prawdziwy! jeszcze myszką trąci!« Śmiech powstał ogólny, Król przez chwil kilka nalewać nie mógł wina; potém rozesłał każdemu, i sam nawet co bardzo rzadko mu się trafia, wypił pół kieliszka za zdrowie nas wszystkich. Gdy się to skończyło i już szczęściem przestano jedzenie roznosić, Król zdjąć kazał nakrycie, obrus sam odsunął, i wezwał Zabłockiego do wręczenia mu obiecanego *deseru*. Zabłocki powstał i przeczytał Odę pochwalną na Monarchę. —

Gdy odczytał, Monarcha podziękował mu uprzejmie; dano kawę, a skoro każdy wziął filiżankę i Król swoję jednym tchem wypróżnił, żądał ażeby Zabłocki przeczytał głośno przyniesioną komedyą. Wyszła służba z pokoju, zostali obiadujący; ucieszyliśmy się, a autor czytał swoje dzieło, tak dobrze jak je napisał, czego mu wróciwszy do domu z serca winszowałem. Komedya, *Fircyk w zalotach*, w lepszym nieco tonie od innych komedyi Zabłockiego, gładkim wierszem, prawdziwie po polsku, jak wszystkie, napisana, żywa w rozmowach, prosta w intrydze, dwa dobrze odznaczone mająca charaktery: Fircyka i Podstoliny, tém mocniéj słuchaczy zajęła, że jednozgodnie wszyscy od pierwszéj sceny, w *Fircyku* obraz Węgierskiego upatrzyli; jakoż lubo Zabłocki bynajmniéj téj myśli nie miał, ułożyło się wiele rzeczy ku temu; oba starościce dowcipni, trzpioty, niby filozofy, a jak to mówią po prostu, hultaje. Miał Węgierski za swoje, za wszystkie przypinane Bielawskiemu i nam łatki. Częstowano go różnemi przydomkami; Naruszewicz dosypywał soli, czasem i bez miary, nie szczędził i tłustych żartów, a za każdym wiérszem do tych n. p. podobnym:

Ma tytuł starościca jeszcze od pradziada.
. . . . . .
Znam go, któżby o tym nie słyszał wietrzniku!
. . . . . .

wszyscy wykrzywiali ze śmiechem: To on — to on.

Po skończonéj z zupełnym aplauzem komedyi, król odczytać sobie kazał niektóre kawałki, a między innemi, rozmowę z Pustakiem w scenie Iszéj aktu III., z któréj śmiał się serdecznie.

Po tém odczytaniu i wielu dla autora pochwałach, wszczęła się rozmowa o sztuce dramatycznéj w Polsce i trwała z pół godziny, dopóki król nie wstał i nie pożegnał nas wszystkich. W téj rozmowie Wyrwicz, Potocki, Wojna, Bohomolec, a przed wszyskimi król, okazali wiele erudycyi i smaku; ale tego powtórzyć z pamięci trudno, nie będąc tak uczonym jak oni; wiém tylko, iżem się tak do tego rodzaju literatury zachęcił i ubóstwo jego u nas uczuł, że muszę napisać komedyą, operę, a kto wié, może trajedyą. Węgierski serdecznie upokorzony w ciągu téj całéj rozprawy milczał, i najpierwszy po odejściu króla się wymknął; ale dochodzą mnie wieści, że zaraz wczora pomścił się na czwartkowych obiadach, tak je opisujac w wierszach do brata:

A uczone obiady? znasz to może imie
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie;
W których Król wszystkie musi zastąpić expensa:
Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa!

Przygoda podróżnika.

„Muzameri t“ Lucyana Siemieńskiego.

— Cóż ci to Moszku? — zapyta przerażona marszałkowa; więc ci wszystko zrabowano?

— Chwała Bogu, mnie nic, ale jasnéj pani.

— Jako? mnie? — mów kiedy, co, jakim sposobem?

— Zaraz ja opowiem — a to tak: — tu wciągnął dostateczną ilość powietrza na całe opowiadanie, — dziś rano do świtu ktoś puka w okno i każe wynieść sobie gorzałki, — wstaję, wynoszę; był to Ostafi, ten stary wojak, a z nim jakiś drugi, niby dworski, miał bowiem pstrokatą chustkę i kusy kożuszek... ja sobie myślę, co ich za czort zbudził tak rano przy święcie, aż widzę, że mają ze sobą motyki i rydle. — A wy dokąd Ostafi? — zapytam. — Idziemy szukać, cośmy nie zgubili! — odpowiedział, i poszli. Mnie zaraz coś zakłuło — budzę belfera i każę mu schyłkiem koło płotów skradać się za nimi. Mija godzina — mija druga, zaczynam być niespokojny, czy mego żydka gdzie nie sprawili, aż to on przybiega zdyszony i powiada: jak poszli na horodyszcze, tam, gdzie to pieniądze się palą — jak ten obcy to wszerz, to wzdłuż chodził, a rachował kroki, a zapisywał, a potém za-

częli coś szukać od kopca do kopca, nareszcie kopać, kopać głęboko, aż natrfili na kocieł pieniędzy.... Ostafi nie tyle, ale ten drugi, to słyszę, aż skakał a klaskał w ręce, a krzyczał, by opętany: oto mi skarb! — Jak mi to żydek rozpowiedział, za głowę się łapię, drę pejsy i sam nie wiem co począć: czy dać znać do przysudztwa, czy do dworu, czy samemu się chwycić do nich — gdy znowu zastukało do okna — patrzę, to był Ostafi, ale już sam i mówi: Arendarzu, zmieńcie mi te dwa śrebrniki!

— A zkąd wy je wzięli?

— Znaleźli my.

— A dużo takich?

— Tylko dwa.

— Breszesz, pomyślałem i rzuciłem mu złotówkę, a sam co tchu do dworu, żem omal patynków nie zgubił.

Skończywszy swoją relacyą, wyjął na świadectwo dwie sztuk monety i podał Labemu. — Labe wziął okulary i przeczytał: »Johannes Casimirus.«

— Johannes Casimirus? — powtórzyła marszałkowa, ach! to nasze pieniądze — dziad nieboszczyk mojego męża, miał na chrzcie Kazimierz.

— Po ekonoma! po sprawnika! — wołali wszyscy.

Niebawém stawił się wąsaty i groźny charapem podstarości.

— Każ aspan natychmiast stanąć dworskim kozakom, — rzecze marszałkowa, — pojmać, tłuc kijem, póki się nie przyzna!

— Kogoż jasna pani? — i już ręką wyciągnął po kołnierz żydowski.

— Arendarz obeznany z żelazną ekonomską prawicą, odskoczył, jak oparzony. — Wszyscy zaśmiali się serdecznie, i ledwie wytłumaczyli, kogo pojmać i jaki skarb odebrać.

W ciągu odbywającéj się wyprawy, marszałkowa ze swoją świtą, tworzy obszerne plany: jeżeli to będzie z dwakroć, tedy jedzie z całym dworem do Paryża; jeżeli sto tysięcy, do Petersburga; mniéj, do Warszawy, lub do wód zagranicznych, — a jakie powozy posprawia, jakie szale, jakie brylanty! — Syn w początku chciał ostrzedz owego winowajcę, ale na tak świetną przyszłość, jaka z nabyciem skarbu rozwija się przed nim, ostygł w dobréj chęci, równie z drugimi niepokojąc się o pomyślny skutek wyprawy. W tém prędzéj, jak się spodziewano — wjeżdża ekonom przez bramę, wiodąc za sobą powiązanych brańców pośród kozaczéj hałastry.

— A gdzie pieniądze? czy są pieniądze? — wołała marszałkowa, wylatując bez czepka na ganek; jaka suma? czy jest i złoto? — Ekonom nic nie odpowiadając, zdejmował z bryczki ogromny garnek.

— Ostrożnie! wołał podróżny, — tylko ostrożnie: bo skarb nieoceniony.

— Pełny? — pytała pani skwapliwie, aż jej się oczy świeciły.

— O pełny! — odrzekł ekonom, stawiając przed nią, — ale popiołu.

— Marszałkowa, jakby w nią piorun trzasł, zbladła, posiniała, i trzęsąc się ledwo mogła wymówić:

— Złodzieje! już skradli! — pod knuty! w Sybir! a aspana na gałąź, widać, że wzmowie ze złodziejami. O ja nieszczęsna wdowa! Tu w uniesieniu kopnęła garnek, który się rozsypał.

— Na to podróżny, wyrywając się z pośród swych stróżów, wznosząc ręce do góry:

— Cóż ci ten garnek zawinił kobieto? — mówił prawie ze łzami, — czy wiesz jaka wartość całego żalnika z popiołem? czy wiesz, żem tyle mogił od Wołgi do Bugu przekopał, a nigdzie nie mogłem całego natrafić? Ach! stokroć wolałbym, żeby na mnie twoja złość się wywarła, niż na tym pomniku słowiańskiéj Tryzny!

Kiedy ta osobliwa przemowa pana Dołęgi zastanowiła wszystkich, a nawet samą panią, która powoli przychodząc do opamiętania się, postrzegała popełnioną mniéj więcéj grubą niedorzeczność — dał się słyszeć gościncem brzęk koł okolczyka.

— Kapitan sprawnik jedzie! — gruchnęło po dziedzińcu.

— Czy ten nie będzie miał uncyi zdrowego rozumu! — powie podróżny, tak głośno, aby mógł usłyszeć nowo przybyły.

— Co to za sprawa, o co rzecz chodzi? — zapyta urzędnik uprzedzony już o wszystkiém od czynnego arendarza. — Lecz gdy z pomięszanych opowiadań nie mógł wątku domacać, postanowił na gruncie odbyć śledztwo. Podróżnego najpierwéj wezwano. Stanął, i nic nie mówiąc, wyjął papiery, które wręczył sprawnikowi.

— Co widzę! — mówił tenże, powstając z uszanowaniem,— pismo polecające od kanclerza Rumiańcowa! paszport wolnego podróżowania po całém imperium w celu poszukiwań starożytności słowiańskich! Niech pan przebaczy, że może uchybiłem, ale niewiadomość grzechu nie czyni, zwłaszcza w urzędzie. — Co zaś do postępku pani marszałkowéj, — tu przymrużył oko i palce zakrzywił, — możnaby ją pociągnąć za gwałt publiczny. — Z wszystkiego kwituję, — odrzekł z dobrocią pan *Zorian Dołęga Chodakowski*, — niech tylko Ostafiemu ani włos z głowy niespadnie, a mnie niech wolno będzie jeszcze między mogiłami takiego garnka poszukać.

I na tém koniec przygody, z któréj podróżny nasz tyle zyskał, że z zebranych podań, dobudował ów nieporównany poemat: — *Rozprawę o słowiańszczyźnie przedchrześciańskiéj.* —

Potęga muzyki.

Przez Karóla Libelta.

Stromne sterczą Apeninu skały, na skręcie gościńca, gromada łotrów młodego jakiegoś otacza podróżnego; wymierzone już nań

sztylety, z ogorzałych twarzy krwawa chęć mordu wyziera, a on z lutnią w ręku, z wyrazem gorącéj prośby w oczach, na kolanach ich o coś błaga. I snadź usłuchali prośby jego, bo ręka z narzędziem śmierci ściąga się zwolna do boku, postawy i twarze nabierają wyrazu spokojności i oczekiwania. Młodzieniec się podnosi, palcami po strunach przebiega, i wnet pieśń zawiedzie. Płyną tony z duszy śpiewaka, jak głos łabędzi przed śmiercią; wszystkie uczucia, co w téj uroczystéj chwili pierś jego przepełniają, unoszą się po brzmieniach lutni. To zrazu brzmi, jakby radość z uratowanéj chwili życia, którą mu było wolno pieśni poświęcić; to znów rozciągłe wygrywa żale, że tak młodo schodzić ma z tego świata: wszystkie wspomnienia przeszłości stawają mu na myśli, i biją to w silne, to w słabe akorda; już żegna świat ten miły i uroczy, żegna przyjaciół, rodzinę, ale kiedy żegna się z lutnią swoją, taki z niéj leje się głos bolejący i czuły, tak rzewliwe toczą się z piersi pienia, że łzą zaszło rozpromienione oko śpiewaka, i oczy zbójców, może po raz pierwszy od lat straconéj niewinności, łzą pięknego uczucia zabłysły. Skończył, upada na kolana, i ciosu śmiertelnege wygląda. Ale osłabły ręce zbrodniarzy, nie zdolni wytężyć ramion, i stoją jak dzieci z rozmiękłém sercem. Rozżaleni oddają podróżnemu, co mu odebrali, puszczają żywo, i ze spuszczonym wzrokiem, w milczeniu rozchodzą się w gęstwinę, czy to wstydząc się rzemiosła swojego, czy też pewniéj słabości swojéj. Podróżny ów, był to sławny śpiewak i poeta *Pietro del Castelnuowo*, który żył w drugiéj połowie 13go wieku.

Z późniéjszych czasów podobny mamy przykład na *Alexandrze Stradella*. Urodził się w Neapolu w XVII. wieku, był najbieglejszym skrzypkiem swego czasu, powszechnie we Włoszech zwany *Apollo della Musica*. Nabywszy już głośnéj sławy w ojczyźnie, odbył pierwszą podróż swoją artystowską do Wenecyi, i grał tam koncert na skrzypcach. Był to człowiek głębokich uczuć, porywającéj imaginacy, ale szpetny z twarzy, i niezgrabny w ruchach i postawie. Na pierwszy rzut oka odrazę sprawiał; tylko płomienne czarne oko, bardziéj jeszcze kruczemi włosami zaciemnione, niezwykłym migało połyskiem i niezwykłego wróżyło człowieka. Atoli gdy skrzypce ujął w ręce, przyparł szczękę do piersi, i długim, jasnym pociągiem smyczka, ze czworostrunu pierwsze w duszy zabrzmiały mu tony, od razu zrosł w jedno z instrumentem swoim, i jakby żyłą pulsową od serca idącą, o którą skrzypce opierał, tchnął życiem w drzewce i struny: tak przelewały się z piersi jego uczucia w instrument, i odwrotnie tonęły do piersi, i unosiły duszę całą. Oblicze rozpromienione w regularne i miłe ułożyło się rysy, i niebiańska jakaś z nich biła rozkosz, postawa urosła, ruchy ciała spyszniały, widać w nim naraz było królującą powagę mistrza, wszechwładzcę tonów, potężnego naczelnika muz nadobnych. W tych to uroczych chwilach

zachwycał, porywał w niebiosa słuchaczów. Tysiące osób jakby jedném uchem go słuchało; wszystkie inne zmysły w osłupieniu milczały, a myśli po słuchu w dziewiąte unosiły się nieba. W takich to chwilach, w których się dusze słuchaczów z duszą artysty zlewały, pokochała Stradellę piękna Wenecyanka, córka wysokiego urzędnika, zaręczona już z Fernandem, młodzieńcem znakomitego rodu. Nie było piękniejszéj na wytwornym dworze doży, ale i nie było kobiety tak czułego serca. Po za powierzchowną udatnością oko jéj szukało w mężu serca, lgła nie do marnych ziemskich roskoszy, ale do roskoszy niebiańskich, czystych, niepokalanych, owego rozrzewnienia z nadmiaru przyjemnych duchowych wrażeń, owego upojenia duszy zachwytem dla szlachetności i uczuć silnych, podziwem dla talentu. Ona uczuła całą wielkość Stradelli; tony, które z instrumentu wydobywał, były dla niéj, jak spowiedź, jak pieszczoty pierwszéj młodości, i tonęły w głąb duszy rozmarzonéj, i rozpłomieniły gwałtowny żar serca. Stradella udał się do Rzymu, ona umkła z domu rodziców i poszła za nim. Okrzyczano Stradellę za uwodziciela, a narzeczony przysiągł rozżalonemu ojcu, że się pomści jego i swojéj hańby, i żelazo w piersi zdrajcy utopi. Właśnie Stradella w stolicy katolickiego świata wielkie swoje oratorium „*San Giovanni Battista*“ w kościele ś. Jana wykonywał. Wczas jeszcze przybywa tam młody Wenecyanin, uzbrojony puginałem i wolą niezłomną zbroczenia go we krwi rywala. Już brzmią mury świątyni rozgłosem licznych instrumentów i śpiewów. Fernando stoi oparty o filar kościoła, a o jego serce zemstą zwarte, rozbijają się te przeciągłe tony i głosy, jak burzliwe fale morskie o opoczyste brzegi. Co silniejsze tylko i wrzaskliwsze wciskają się do piersi jego, i żenią z krwiołaknącém uczuciem. Ale niebawem oprzeć się natłokowi tysiącznych melodyi nie może, co niby harmonijne pienia aniołów pokoju brzmią, jakoby nie ziemskim wyrazem. Coraz ciszéj a ciszéj nucą pieśń posępną ale czułą, ostatnie już tylko pobrzmiewiają kończyny rozgłosu, pauza, i wytężone oczekiwanie. Naraz z jednego tylko instrumentu odzywa się i na przestwor kościoła rozlega ton tak czysty, tak luby, że zda się, iż aniół niewinności z niepokalanéj duszy go wylewa, drzy potém pieniem uroczém, bolejącém, i drzy serce i boleje. Wyjrzał z po za filara Fernando: to Stradella takie solo na boskich skrzypcach wygrywa, a twarz jego blaskiem promiennym rozświecona pała! Zamarła w sercu zemsta, a uczucie naprzód podziwu, potém szacunku, nareszcie zachwytu i poświęcenia się dla niego wzrasta. Gdy skończył, brzmi oklaskami nawa kościoła, wieńce z galeryi na mistrza padają, a Fernando przez tłumy się przeciska i już zawisł na szyi jego. »Zwyciężyłeś Alexandrze! Twój smyczek skruszył to żelazo zabójcze i twardsze nad nie serce moje. Żyj z nią szczęśliwy!«

I odszedł.

Potęga malarstwa.

Przez J. Kremera „Listy z Krakowa.“

Gdy Dante przy grzmiącym głosie swéj lutni pieśnią potężną zaśpiewał o piekle, czyscu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem, a roztwierając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swéj sztuki w malowanych Giotta obrazach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świeżéj jutrzenki padł na skromny domek w Arezzo, kędy się chował młody *Spinello*. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością: — był to Włoch w całem znaczeniu; co w sercu zatliło, rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadle, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pędzla jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholęta, kobiety i mężczyzni rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namiętne kształty jego; a dziwna téż w tych postaciach żyła potęga i dziwne téż o nich chodziły wieści. Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom Lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur? — Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parła i do pośpiechu napędzała, bo choć pędzel lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki Spinelli i mnichy i światowe damy, święci, cesarze i papieże, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czém zaledwie pomyślał, — przecież z głębokiéj otchłani gorącéj wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokończone rzucał, chwytając następne, bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu Spinello, pragnąc, by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiéj roboty w kościele S. Maria degli Angioli: upadek i strącenie aniołów pysznych było treścią téj pracy. — Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pędzla jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan robiący niby honory piekła; a zawziął się téż na tego wroga naszego rodu Spinello, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biedę aż nadto: posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność podziwiać, a strach brał patrząc na nią; i nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził; — kto spojrzał, to i truchlał. Rzecz cała byłaby się może na tém

skończyła, i z samym djabłem byliby się może oswoili: bo najtrudniéj zacząć, a już resztę jakby znalazł. Ale cóż się stało? — Tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle Spinelli doszła do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Niewiedzieć, czy djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensyach, czy się obawiał wyraźnéj straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszyscy wiedzą że szpetny, i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj; ja o tém wiedzieć nie mogę, ani chcę wiedzieć, bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mieszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biednym Spinellu. Słuchaj.

Jednéj nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków towarzysz Ziemi naszéj, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak służąc pani swojéj, dowodził, że miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetyczném świetle jego Italia kąpała się w srebrnych toniach obu mórz swoich, co niby dwaj cavaliere servente z obu stron grą swych fali śpiewały jéj serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cudna, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, tchnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła: Spinello — gdy się to wszystko działo — spał sobie snem prawego, o niczém złém nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście djabeł: od stóp do głów w téj saméj postaci, w któréj go był odmalował Spinello w kościele; miał kubek w kubek ten sam wyraz fizyonomii, te same maniery, ułożenie; słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owéj swéj kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale, nuż wyrzuty: a ty taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie na despekt malował, co ja ci kiedy złego zrobił? ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. do widzenia się! Przebudził się Spinello kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiało; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach — ot, dostał pomieszania zmysłów, nie długo umarł, i na tém się skończyło!

Otóż widzisz, czem dla tego nieboraka był djabeł, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściéj własnego serca *uczucia;* kto się na baczności nie ma, kto ich potędze rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć je wnet będzie miał własnymi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniéj zaszwankuje na rozumie.

Memorabilia szkólne.

Pogadanki kontuszowe, przez Konstantego Gaszyńskiego.

Długo czwarzył się pan ojciec z panem wujem, do których szkół miałem chodzić? Pan wuj radził, żeby do pijarskich, a pan

ojciec do jezuickich. Wystawiali argumenta i przesadzali się racyami jeden nad drugiego: finabiliter pan ojciec zkonkludował temi słowy: »Ja i ś. p. rodzic mój, edukacyą braliśmy u przewielebnych ojców societatis Jesu, a oto my nie wyszli nie na żadne pętelki, ale na ludzi bez poszlaki i na obywateli estymowanych w powiecie. Pijarowie, za którymi Waść intercedujesz, są to mędrki i nowatory, — sub praetexto jakichciś tam reform przygotowują więzy na złotą wolność szlachecką; boć i jeden z nich, jak wiadomo, śmiał napisać książkę przeciw *liberum veto!* — Nie chcę ja, żeby mój Antoś w złych pryncipiach się chował, lub miał być mędrszy od rodzica swego; *tandem* tedy będzie pił *pietatem et sapientiam* z tegoż samego dzbanka, co ja, to jest: z jezuickiego; „*dixi.*« Tak ukończyła się utarczka, i stanęła rezolucya. Chociaż miałem ogarnięcie jakie takie, posłano po krawca żyda do miasteczka, który mi *citissime* ze starego ojcowskiego kontusza zrobił nowy, — a z gredytorowéj sukni pani matki, uszył żupanik od święta. Szaty one z koszulami i inną bielizną, ułożono w dużą skrzynkę, — w któréj skrzynce była na boku kryjówka na kształt kojca, gdzie pani matka dla konsolacyi smutku mego, włożyła mędel jabłek, słoik suszonych śliwek i dwa pierniki. Tak ukończywszy przybory do drogi, po płaczach i lamentach przy opuszczaniu domu, powiózł mnie pan ojciec na kilka dni przed ś. Idzim do Warszawy.

Było tam już dwóch synów sąsiada naszego ulokowanych wraz z dyrektorem u pani Aniołkowskiéj; — z nimi tedy razem pan ojciec mnie zostawił, ugodziwszy się z gospodynią o zapłatę za wyżywienie, a z dyrektorem za dozór i repetycye. Mnie zaś dał długie *consilia*, — *benedictionem paternam* i talara szóstakami. Pierwszy raz w życiu posiadałem pieniądze; to też uradowałem się niepomału, albowiem sądziłem, że za tyle monety będę mógł całą Warszawę kupić. Ale kiedy przed gospodę zajechała bryka do wyjazdu, *gaudium* moje zmieniło się w *lacrimas*. — Nie chciałem wypuścić pana ojca, włócząc mu się u nóg. — a kiedy wsiadł już na brykę, kół się czepiałem; — tak, że rozpłakanego dyrektor musiał mnie wziąść na barana i odnieść na stancyą. Miałem wówczas dwanaście lat, a że odebrałem w domu pierwsze *rudimenta* łaciny, umiejąc zgadzać *adjectivum cum substantivo* i *casus nominum cum temporibus et modis verborum*, — *tandem* tedy nie do infimy, ale do gramatyki mnie przyjęto.

Jedna strona szkoły, nazywała się *pars romana*, gdzie siedzieli lepiéj uczący się, — a druga *pars graeca*, dla pośledniejszych. Mnie, jako nowo przybyłego, posadzono między ostatnimi: gdyż trzeba się było własnym dowcipem i nauką dosługiwać *locum honorificum*. Pod piecem stała ławeczka dla nieuków, zwana *scamnum asinorum*, a nad nią wisiała na kołku ośla korona, niby *caput Medusae* dla postrachu młodzieniaszków!

Chcący niechcący, trzeba było się aplikować. —

Najmilsze jednak dni były Wtorki i Czwartki jako *dies recreationis*. — Wychodzimy z dyrektorami i z patrami nad Wisłę wedle Ujazdowa, gdzie na polu rozpoczynały się zabawki i harce. Młodsi grali w palanta a starsi bili się w palcaty (*alias* w kije), na manier militarny. Tak syn szlachecki jeszcze w szkołach wprawiał się wcześnie w krzyżową sztukę. Nie dziwota, że naród nasz taki był sławny do szabli i zawsze gotów do bójki, kiedy *a juventute* do exercycyi rycerskich zaprawiał się. — Na rekreacyach pozwolono było każdemu pośmiać się i pofiglować — byle nie popełnił akcyi nieskromnéj, dopuściwszy się czegoś *contra bonos mores*. — Mnie z początku jako przybysza przedrzeźniano, molestując żarcikami, szczególniej za to, żem miał wykrzywione bóty. *Tandem* tedy, jaki taki przymawiał: »że niesłużę Panu Bogu ale ś. Ewie, bo nie chodzę na podeszwie ale na cholewie.« Szczęściem przyszło mi na myśl *praeceptum* pana ojca: że nie trzeba zagabać nikogo, ale też nie pozwolić nigdy grać sobie po nosie. Więc przydybawszy jednego z trefnisiów na stronie, wytuzowałem porządnie i po bokach i po czuprynie; — co obaczywszy inni, żem nie mazgaj i że umiem się bronić, jak na szlacheckie dziecko przystało, dali mi pokój. — Od owego momentu żyłem ze wszystkimi w najlepszéj komitywie. W onym czasie Pijarowie zaczęli porastać w pierze, — z maluczkich niedawno, piąć się na wyższą grzędę i *aspirare* nietylko do zrównania, ale i do prześcignięcia *ordinem societatis Jesu*. — Między innemi sposobami kaptowania publiczności był i ten, iż wydawali w swojéj typografii nowo wymyślone przez siebie kalendarze — gdzie oprócz dni roku, świąt stałych i ruchomych, kwadr księżyca, — deszczu i pogody, dodawali w suplemencie traktaty w materyach naukowych, politycznych i światowych. Podobał się ten koncept nowatorski wielu ludziom, pryncypalnie zaś tym z panów dignitarzy, który za modą zagraniczną idąc, przebrali się po francusku, szydzili z łaciny i projektowali reformować *Rempublicam*. Jezuici patrząc na one praktyki, które odbierały im kredyt, cierpieli długo, aż dopiero, gdy Pijarowie wydrukowali w swoim kalendarzu opis systematu Kopernika, (*id est*, naukę dowodzącą, że nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca obraca się), — Jezuici podnieśli głos, oskarżając publicznie adwersarzy swoich, iż śmieją rozsiewać zdania dawnéj nauce przeciwne i wznawiać hypothezę, którą już jeden z ojców świętych, jako herezyą, potępił. — Nie mała to była sprawa. Powstały szemrania i wrzaski, Szkoły i zakony, cała Warszawa i kraj nawet cały wmięszał się do dysputy. — W naszych szkołach, *professores et discipuli* rozjątrzeni byli i zacięci, jak gdyby wiara święta znajdowała się w niebezpieczeństwie. — Ja sam (choć dzisiaj wstydzę się tego), tak byłem rozsierdzony, że pomimo nabożeństwa i moderacyi przyrodzonéj, gdybym był dostał jakiego Pijara, byłbym mu pewnie nie pofolgował. Dysputa trwała długo i zacięcie, ję-

zykowa i piśmienna; koniec końców przezwyciężyli Pijarowie, nie tyle uczonemi traktatami, ile owym prostym argumentem, który łatwiéj każdemu prostaczkowi wlazł do głowy, to jest: *że pieczeń obraca się koło ognia, a nie ogień koło pieczeni!*

Ognia!

Ni fallor, gadano o fortecach w Tyńcu i Krakowie; — to mi przywodzi na myśl jedno zdarzenie, które ś. p. ojciec mój (Panie! świeć nad jego duszą!) często opowiadał.

Za czasów Augusta III. Sasa, w jednéj z fortec należących do rzeczypospolitéj, był komendantem jakiś pan wysokiego rodu, dumny i nieaprehendujący na nic, nawet na równość szlachecką. Tak więc urządził u siebie, iż zawsze w sieniach musiał dzień i noc wartować na ordynansie jeden z towarzyszów garnizonowych, ludzi dobrego urodzenia, którymi czasem posługiwał się, jakby ostatnimi pachołkami. Raz przecież niejaki Rzętkowski, szlachcic z łęczyckiego, dał mu następną nauczkę:

Ów Rzętkowski (który służył przy armatach), siedział pewnego dnia jako ordynans na ławie w sieni; aż dobrodziéj, pokazując na przygaszoną fajkę, woła: Ognia! Rzętkowski, chłopak sprytny a przytem nie mający wielkiéj chęci hajdukować choćby orderowemu panu, biegnie na wały i mówi oficerowi straż trzymającemu, że komendantowi przyszła fantazya, aby natychmiast dać ognia ze wszystkich armat. Tymczasem, zniecierpliwiony fajczarz, iż tak leniwo spełniają jego rozkazy, wychodzi znowu do sieni, — w tém pum, bum, pum, — słyszy ogromną kanonadę, jakby salwę dla króla Jegomości. *Obstupuit, sed non tenebat intenta ora:* pytając co się to znaczy?

Gdy się rzecz wyklarowała i gdy pan komendant pieniący się od gniewu wołał, że on ognia do fajki żądał, Rzętkowski mu odpowiedział:

— Ja służę rzeczypospolitéj, a rzeczpospolita fajki nie pali; do jakiego ognia służę, takiego podałem.

Armata pod Nieświeżem.

Pewnego dnia u króla w Łazienkach opowiadał Radziwiłł, że pod Nieświeżem leży na polu tak wielka armata, pozostała po Szwedach, że raz wracając z wizyty w ogromny deszcz, i widząc zamek jeszcze odległy — kazał wjechać w ową armatę, dla ochrony przed burzą. Słuchający panowie dziwili się z niedowierzaniem ogromowi szwedzkiéj szmigownicy; wtenczas Radziwiłł odwołując się na świadectwo jednego ze swoich dworzan:

»Borowski! powiedzże panie kochanku, czy to nie prawda?« »Tak, wielka prawda, odrzekł dowcipny dworak, — gdyż jawłaśnie w tę samą porę schroniłem się był bryczką parokonną w armatę, ale postrzegłszy, że JOKsiąże wali poczwórną karetą, wyjechałem czemprędzéj zapałem, ażeby niezawadzać księciu.

Rezolutny kawaler.

Jednego ranka pachołek wartujący na wieży zamkowéj, dał sygnał, że na drodze od Brześcia widać z daleka, het pod borem, zbliżającego się konno gościa. Wyszedł więc Radziwiłł w tę stronę i doszedłszy pola, usiadł na kamieniu przy drodze i czeka.

Po niedługiéj chwili nadjechał podróżny na małéj szkapce; — był to dwudziestokilkoletni wyrostek z miną determinowaną, w szarym kontuszu, czapka na bakier, szabla przy boku, — słowem ubrany ubogo, ale chędogo.

— Szczęść wam Boże! panie kochanku, rzekł Radziwiłł, a zkądże to Pan Bóg prowadzi?

— Dziękuję za życzliwość Waszeci, odrzekł podróżny; — jadę z daleka, bo aż z Korony, z województwa Rawskiego, zkąd mnie po skończeniu szkół w Łowiczu, wyprawił pan ojciec w drogę, do starego księdza Trzaski, który tu na Litwie jest proboszczem i ma dostatnią prebendę; — bo jak to u nas mówią: kto ma księdza w rodzie, temu bieda niedobodzie!

— Więc Waszeć panie kochanku jedziesz do naszego kraju po sukcesyą? rzekł uśmiechając się książe.

— A tak zwyczajnie, powiedział podróżny, boć to przecież mówią z dawna: do Korony po rozum, do Litwy po pieniądze!

— Sprytny z Waści chłopak, rzekł z przekąsem Radziwiłł i nie widać z waszéj odpowiedzi, że Mazury ślepo się rodzą.

— Ślepo się rodzą, to prawda, ale gdy raz przejrzą, to im już nie potrzeba okularów, aby poznać człowieka, z którym mają do czynienia! — Otoż ja widzę, że Waszeć jest niepoczesnym trefnisiem. — Daj mi więc Waszeć święty pokój, bo ja z ludźmi kłócić się nie lubię i gdybym był zawadjaką, tobym się był już dawno zapytał Waszeci: czy u naszego Radziwiłła boćwina się obrodziła?

— Kwita, byka za jędyka, krzyknął zanosząc się od śmiechu książe — odwetowaliśmy sobie nawzajem. Żart panie kochanku czasem nie zawadzi, kiedy dobry humor po temu. Śmiech nie żaden grzech, a słów igraszka, to fraszka; lepiéj się śmiać niż gniewać; więc pogodźmy się i przebaczmy sobie nasze winy, jak na katolików i ludzi dobrze urodzonych przystało. *Responsa* wa-

ścine pokazują, żeś młody, masz rozum i umiarkowanie statecznego człowieka. Takich ja szanuję i kocham, — i jeśli panie kochanku nie odrzucisz dobrych chęci, to Wasana przedstawię w zamku Księciu Panu, — który rad będzie poznać tak rezolutnego jak Waszeć kawalera.

Podróżny młodzieniec, któremu przymówka o mazurach nie w smak poszła — widząc w nieznajomym tyle szczerości i wesołego humoru, po krótkim namyśle podał mu rękę i w najlepszéj komitywie postępowali zwolna drogą ku zamkowi, — młody na koniu a książe pieszo, wypytując się kompana o jego familią i przygody podróży.

Gdy stanęli w dziedzińcu, Radziwiłł zarekomendował marszałkowi przybysza i przyrzekłszy mu, że w czasie obiadu sam przedstawi go księciu, — poszedł do swoich komnat ubrać się, jak przystało na tak wielkiego pana.

O godzinie dwunastej zastawiono stół na kilkadziesiąt osób i gdy młody Trzaska szuka między zapijającymi anyżówkę gośćmi, owego protektora napotkanego na drodze, książę pan wchodzi do sali i z uśmiechem dobroci zaprasza młodzieńca, aby usiadł koło niego.

Poznał go Trzaska i przypomniawszy sobie niedawną żywą rozmowę, zmieszał się nieco; — ale książe dodał mu ducha mówiąc: aby to wszystko było zapomnianem; uśmiechał się jednak, odwracając głowę, snadź gotował przybyszowi jakiegoś figla.

Nalano na talerze zupę i gdy Trzaska nadaremnie szuka łyżki obok siebie, książe Radziwiłł poglądając ukosem mówi: »kiep ten, kto nie zje zupy!«

Młodzieniec zrozumiał, że to łapka na niego — poszedł więc po rozum do głowy i widząc leżący przed sobą bochenek chleba, szybko odkroił przylepkę, wydłubał z niéj ośródek i nuż za pomocą owéj kromki wypróżniać nalany talerz. Udało się wybornie, nie zostawił ani kropli. Radziwiłł myśli: to widzę frant jakich mało, — trudna z nim sprawa! Ale nie na tem było koniec: bo Trzaska skończywszy zupę, zawołał patrząc ukosem: »kiep ten kto nie zje łyżki« i dalejże chrupać skórkę od przylepki.

Łepski z ciebie chłopak, panie Trzaska, rzekł uradowany Radziwiłł; — z tobą panie kochanku to nie przelewki; wywołałem wilka z lasu! Otoż wiesz co, zróbmy kompromis: spuść mnie ze słowa, a ja tobie na odkupne daruję Zalesie, wioskę intratną w Nieświeżskich dobrach; a przyrzeczenia dotrzymam, jakem Radziwiłł.

Trzaska, jak gdyby go kto wsadził na sto koni, uradowany tak niespodziewanym darem, który go z chudeusza na possesionata kierował, ścisnął księcia za oba kolana, dziękując serdecznie za dobrodziejstwo.

Niedźwiednik.

Stara gawęda przez K. Wojcickiego.

Żył przed pięćdziesiąt laty szlachcic zwany Niedźwiednik: był to jego przydomek dla nadzwyczajnéj siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał. Właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie ukazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu, poruszenia żywe, ręka niewielka ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę, i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele rożniącém się od chałupy wieśniaka: i jeden zagon 12 łokci szeroki, a 100 sążni długi, były całem dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje, na *grubego* zwierza, co nie były tak puste jako dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecie kaftan miał łosi i skórek kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powalił przed 40stą laty. Gdzież to dziś zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca, ani lisa, — każdego ptaka omijał, — lecz za to w obszernéj puszczy, nie darował niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom; ale i w tém zachowywał szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba, że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego jak nazywał *kija*. Kij ten, była to pałka jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona, nakształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnemi gwoździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt.

Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do Dąbrowy, pchnął go najprzód dzirytem, a potém za jednem uderzeniem pałką rozciągał go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwego noża, i nie tylko, że odcinał po zdjęciu skóry łapy niedźwiedziowi, (ulubiony przysmak na wielkich stołach); ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi *delicyjami* nazywał.

Na cały nasz powiat, Niedźwiednik był osobą osobliwą: a trzeba Waszeci wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach, i dobrych myśliwych; wszakże wszyscy przy nim gaśli, jak klecha przed organistą. Nie dosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie, ile razy dziedzicowi tego sioła, kędy mieszkał, chciał podarek zrobić, a zawsze to czynił na kolędę, i przed wielkanocą przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tém dziwił,

i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca.

Był przytem pobożny i uczciwy człowiek, chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związki z djabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie.

Mój rodzic świętéj pamięci, mieszkał sześć mil od téj wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym *kuligu* z dziatwą, zajechał i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka, i dwie dorosłe panny siostry, rodzic przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek, podochocony wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem, pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć, iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił i księżyc w pełni: — tak widno, że szeląg znaleźć można było. Nagle, konie poczęły parskać, a nieboszczyk mój rodzic, wiedząc co się święci, świsnął: i jak wiatr posunęły na ślizgim śniegu sanie. Wilków stado zabiegało nam z boku; skręcił końmi w inną stronę, i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał, podniósłszy sanie: »Prędzéj do sani! bo jeżeli nie uciekniem, zginiem bez ratunku.«

Matka i panny siostry usiadły prędko, ruszył co koń wyskoczy, a ja zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, widziałem jak za rodzicem pędzą wilcy, z przestrachu przysiadłem, sen mię zmorzył, i zmarzłem.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz, w życiu Niedźwiednika: nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundle, stały obok niego, a daléj jednokonne sanki pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniosł do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mnie w ciepłéj izbie: rozebrał do naga, i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem, wtedy obwinął w skórę wilczą i położył na swojém łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu.

Drzało mi serce z radości, kiedy ujrzałem suche gałęzie lipowéj drogi, i dwór swego ojca. Zostawił mnie w saniach a sam wszedł do komnaty.

Pan ojciec, dopiero za powrotem do domu, zobaczył że syna stracił. Matka w saniach i panny siostry bez pamięci, ze strachu nawet wysieść nie mogły; w całym dworze powstał płacz i lament wielki, porozsyłano czeladź, ale szukano na próżno.

Skłonił się rodzicowi, i żeby zbyt wielka radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby: tam mu powiedział, jak mnie uratował, i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział jak dziękować, płakał z radości, ściskał i całował mojego wybawcę.

Powrócili do komnaty, gdzie matka i panny siostry zapłakane siedziały. Rodzic kazał jednéj pobiedz do piwnicy po wę-

grzyna, a sam rzekł do matki mojéj: »No! dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku.«

— Żyje! zawołała.

— Nie tylko żyje, ale przyjechał.

I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy płakali.

Starosta kaniowski.

Starosta Kaniowski czasem i za żydem się ujął, gdy miał wesołą *fantazyą:* jako raz, gdy spotkał żyda smolarza z swego miasteczka, co nad beczką rozbitéj smoły siedział i płakał. A czegóż ty płaczesz? zapytuje go Starosta. Żyd opowiada, że tylko co zgóry zjechał, gdy jakiś szlachic, rozpędziwszy konie, dyszlem uderzy w dno beczki i wybił, a smoła prawie się wszystka rozlała. Starosta daje znak kozakom; ci lecą, dopędzają szlachcica i nie długo stawiają przed nim.

— To Wać wybiłeś dno u beczki smoły?

— Tak jasny panie, ale to niechcący.

— No, to Wać wybij i drugie dno, co pozostało!

Szlachcic z pokorą dopełnił rozkazu, bo widział, że to nie przelewki.

— Teraz Wać przejdź przez beczkę!

Szlachcic i teraz był posłuszny, a gdy umaczany smołą stał się pośmiewiskiem kozaków nadwornych, i samego żyda, Starosta za beczkę smoły, kazał mu zapłacić. Szlachcic dobył kalety, dziękując Bogu, że tak gracko bez niewielkiéj szkody wykręcił się sianem.

Książe Radziwiłł Panie Kochanku.

Pamiątki J. Pana Seweryna Soplicy.

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny: kilka tysięcy szlachty zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danéjki, książe wojewoda Wileński prowadził pana Rejtena, brata owego wielkiego Tadeusza, powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczéj. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi Nowogrodzkiemu, że najmniejszych wpływów w sejmikach województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejsiś powagi, radzi nie radzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejteny z licznymi swoimi kolligatami réj wodzili

w partyj Radziwiłłowskiéj, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdwoić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonéj siostry Rejtenów, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie: co nie mało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrów zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się z obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby téj krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego pokilkakrotnie pito zdrowie, jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkich gorszy; a nakoniec że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszelka usilność była daremną; gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do klasztoru Bernardyńskiego na Porcyunkuły, a między nimi znajdowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi: to że go ukrzywdził w wypłacie posagu, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć a nie mozolić się nad dokumentami, to że choć pan Michał zausznikiem Nieświezkim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciołach, pan Michał porwał się do szabli: i gdyby Bernadyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdy, podczas gdy pana Michała reflektowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z któréj JW. wojewoda Nowogrodzki wielką robił sobie nadzieję, i która nieomal przyczyniła się do uczynienia twardym pana Haraburdę. A to był postępek księcia wojewody Wileńskiego, z wielmożnym Józafatem Tryzną, Strukczaszym Nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjacioł Radziwiłłowskich oburzył, z czego zręcznie umiała korzystać partya księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z Radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki Tryznianka w dom Radziwiłłowski wniosła, a większa część funduszów klasztoru Żurowieckiego była darem Tryzny, antenata Strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka: Któż nie przyzna, że pan Tryzna, był mąż świętobliwy etc. Otóż pan Strukczaszy, prócz summy zastawnéj na Radziwiłłowskim Kołdyczowie, nic nie miał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mogłby z niéj na szerokie wyleść dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał: Maciek zrobił, Maciek zjadł, a często więcéj zjadł jak zrobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo z nim i beczkę soli zjadłem, i więcéj jak beczkę wina wypiłem. Że on niemiał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się kończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda, nie potrzebowała posagu aby się w dobrem małżenstwie usadowić; jakóż późniéj za bardzo możnego Witebszczanina Syrucia, starostę

Czuchłowskiego wyszła: więc poniekąd był wymowiónym nasz Strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, książe wojewoda Wileński nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myślistwem, aby spolować lasy Kołdyczewskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymagając, aby natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniecierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich, i miał niby powiedzieć wedle ich relacyi: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątéj klapki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdzacze, a ich relacya zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnąć, (ile że Pan Mikuć sekretarz księcia miał żal do pana Tryzny, z powodu iż konkurując o jego córkę w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem) książe tak mocno to uczuł, że, jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka Zdrowaś Marya mowa mu była odjęta, a potém jak zaczął ryczeć, to się lasy Kołdyczowskie zatrzesły; a w niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo panu Tryznie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło; nawet z nieludzkością: bo, aż lękając się o skórę, pan Tryzna uciekł z tém tylko co miał na sobie; to jeszcze szczęście że wielmożna Strukczaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska, uczcić błogosławionego Bobolę: zgoła że piechotą gospodarz umknął, i aż w okolicy Raców się oparł, a stamtąd dostawszy podwodę udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew na księcia o irrytacyą kontraktu i expulsyą.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem attentować od księcia, i przed Strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać; bo znałem dobrze, że nasza sprawa była niepotem; ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan Strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić: bo przytomny będąc konferencyi poprzedzającéj kroki prawne, odezwałem się przed wielemożnym Radziszewskim, chorążym Starodubowskim a jeneralnym księcia plenipotentem, że nie wiele mam ufności w prawności naszéj; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: WCPana rzecz attentować i bronić sprawy księcia, a nie jéj przyganiać, i za to jesteś płatny. A tém mnie zamknął gębę. — Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją do ziemstwa wprowadzić — bo gród Nowogrodzki był jurysdykcyą

wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził; a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z Grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; a nakoniec sprawa expulsyjna, uczynkowa, w saméj rzeczy do juryzdykcyi grodzkiéj należy; i lubom stawał na tém, że już została z naszéj strony podana illacya do Trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd Grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan Strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż? cieszył się kondemnatą nieborak na bruku osadzony, a książe jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnéj kadencyi, widząc że niema sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu forum, innego skoku probowałem.

Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowéj. Pokrewieństwo było dalekie: bo pan Kajetan Uzłowski, sędzia Grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryznina, macocha Strukczaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ książe wojewoda w nim ufności niema, a obok tego on nie wypiera się zaszczytu kolligacyi sobie zarzuconéj, więc sądzić nie będzie, i ustąpił z swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w *non sunt* i kadencya spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i Strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dla tego uchylił się, że sędzina chce być na ś. Karól w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią w imieniu księcia; ale pokazało się później, że to była potwarz. Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książe wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał; tém więcéj, że chciał utrzymać pana Rejtena, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem.

Zjechał książe w kilkanaście pojazdów do klasztoru Bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy. Sam książe stał w celi gwardyana, jako najobszerniejszéj; ale w nocy kotowi w niéj ledwo przecisnąć się można było: bo oprócz księcia, pokotem leżeli pan Michał Rejten, Bukowski szatny, ojciec Idzi, co był wielkim exorcystą, (a że książę złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blisko niego spał), i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia. Opowiadał nam pan Rejten, że przez cały czas sejmiku, oka nie zmrużył, takie okropne było chrapanie księcia, ojca Idziego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codzień dla księcia dwa woły rznięto. Książe dwa razy na dzień obiadował, raz ze szlachtą okoliczną

zajadał krupnik i flaki; a potém w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta tak na to krzyczała), a sam nie śmiał przed księciem z tém się odezwać, namówił ojca Idziego, aby przy pomyślnéj okoliczności jakoś bąknął księciu, aby się dał przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernadyn, i to co napiszę, jest to do słowa, co mnie pan Bukowski szatny opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książe odezwał się: — ojcze Idzi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków; co książe rozkaże? — Czy nie słyszysz Waszeć, jak moja Nepta warczy; zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza. — Na to pan Michał Rejten przeżegnawszy się: co się to marzy WKMości? ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma bydź pan Wołodkowicz? — Milczałbyś panie kochanku; że umiesz grać w francuzkie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do Waści mówię, ale do ojca Idziego. Ojcze Idzi, wszak prawda, że dusze z czysca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić; żeby temu przeczyć, trzeba być księciem biskupem Massalskim. — Tak jest JOKsiąże, bywa to bywa. — Słyszysz panie Michale? aż miło spać z teologiem: bo i oświeci i uspokoi. Ojcze Idzi, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! żebym go mógł wskrzesić, oddałbym co mam, a sam do was na braciszka bym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia, najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. Pan Kotwicz na mnie namalował stotysięcy pretensyi, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, nieboszczyk książe był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem Litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił pod batogami. Co tu było robić?..... A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza (tu słychać było jak książe zaszlochał). I czy to raz za mnie się poświęcił?... Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że nie długo będziem z sobą, powiedział: książe Karolu, ty dłużéj odemnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojéj duszy. Otoż kiedy partya, którą ten łotr w infule, ten szuler Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a potém rozstrzelała go tu w Nowogrodku, gdzie tego samego wieczora przybyłem ale zapóźno, przysiągłem pomścić się jego krwi na głowie niegodziwego biskupa, i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu sakrę zdiąć na pierwszéj sośnie za miastem; a potém pojechałbym do Rzymu, przeprosić Ojca świę-

tego. Już szedłem ku Wilnu, ale na pierwszym noclegu we śnie, pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem, i wyraźnie mi powiedział: że jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzej na tamtym świecie. Ojcze Idzi, wszak prawda, że on dotąd w czyscu? — A któżto przeniknie sądy Boże, książe Panie? I sprawiedliwość, i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyszcza, albo do piekła — uchowaj nas od tego. — Jego miłosierdzie! — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku? daj Boże wam wszystkim zakonnikom, być tak gorliwymi, jak on w wierze. On jeszcze za życia nieboszczyka księcia, trzech popów w Słuczczyznie do mnie nawrócił, a czwarty uparty pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacya Słucka i Toruńska przywileje wytargowała dla dyssydentów; za które ja, jako pierwszy senator prowincyi litewskiéj, Panu Bogu nieodpowiem, bo z bronią w ręku siedem lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało, nie dał nam szczęścia.

To co ja ojcze Idzi. za spoczynek duszy Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dżumy poległe, własnemi rękami, na jego intencyę, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem dominikanom wołkowyskim, u których groby Wołodkowicza; a co mszy, exekwiów, jałmużn, lamp, to tego i pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz nie policzy; a jednak dusza jego nieprzestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta, tak jego zna, że jak się zbliży, odzywa się na niego, jak na grubą zwierzynę. Ojcze Idzi, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztór gdańską dachowką pokryję. — Niech Bóg odpłaci Waszéj Książęcéj Mości jego wspaniałości dla nas; każdy dar jest Panu Bogu miły, ale im większa ofiara, tém skuteczniejsza. Niech książe pan zrobi na intencyę nieboszczyka, jaką ofiarę z gniewu naprzykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tém najlepiéj uwolnisz duszę przyjaciela. — Otoż już, już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantembrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia, najlepsza moja charcica Wiatrówka zdechła z niepilności Grzesia pisarza: kazałem go był zabić w łańcuchy, — po sprawiedliwemu warto było ze skóry go obedrzeć, a ksiądz Kantembryng jak zaczął mi prawić antyfony, a prosić, a straszyć, a kruszyć; (a djadli mi nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog;) to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniéj dobrze złajałem księdza Kantembrynga; on by rad, żeby mnie we własnym domu rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? to już i bernardyni filutują, jak jezuity?.... tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj: ale szczęście, że u mnie furdyga pusta, i na nikogo się nie gnie-

wam. — Jabym się odezwał z czemś, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało ojcze Idzi, wszak na swoim dziedzińcu i wiory biją, a ja u was w gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać; a potém, swemu sendykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książe pan pozwala tyle śmiałości, to niech Wasza książęca Mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził. Mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ta małpa poznańska, ten kaszuba Sułkowski nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim, ale podrapię ja jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do Waszeci ojcze Idzi nie należy, bo Waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku; ksiądz Kantembryng ciągle mnie z ambony przymawia, a ja się na niego niekrzywię; a pan Leon Borowski, mało mi figlów napłatał? a pan Jerzy Biełopiotrowicz, mało mi się worał w moje grunta? a pan filozof co tu śpi, Michał Rejtan, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach, i bobrów wyłowił w Łachowie? a ja się nie odzywam: tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę! Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzi, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj Bernachu, tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystyi katedralnéj nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (rozumie się w Litwie), to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencyą Wołodkowicza. — Zgoda, książe Panie, pas będzie nasz, a ja i tak dyscyplinować się będę na intencyą nieboszczyka: tylko boję się odezwać: bo nuż książe Pan się obrazi? — Mów śmiało; nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książe Pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało, i fury z jego spichrza idą do klasztoru; a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo by z głodu umarł; a to dla tego, że książe Pan wypędzić go kazał z zastawy, i prawie w jednéj koszuli do Nowogrodka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan Strukczaszy Tryzna. — Tu mu przerwał książe: Co ty się wtrącasz klecho w nieswoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swojém postawię. On okryty mojemi dobrodziejstwy; on, co prawie darmo Kołdyczów trzymał, odmówił mi ludzi na obławę; sług moich z błotem zmieszał, i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, książe Panie; ale niech WKMość przypomni sobie, że przynajmniéj dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. — Otoż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a tak i nie odpuszczę! — Ale Książe... — Cicho mnie zaraz! precz ztąd Bernachu! nie suszyć mi głowy....! (tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały

się słyszeć kroki). — Wszelki duch Pana Boga chwali!.... — odezwał się książe. — I ja go chwalę; to ja książę Panie, wychodzę na rozkaz Waszéj Książęcéj Mości; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszów, troszkę hałasu narobiły. — Proszę Waszeci, panie kochanku, nie odchódź z celi; śpij ze mną: bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie mój księże, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Rejtanem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy; a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się ojcze Idzi, i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniéj Tryzna upokorzył? ale tak i z tego nic nie będzie. — Potém, wedle relacyi pana Bukowskiego, nastąpiła cichość, a zaraz potém zwykły koncert księcia, ojca Idziego, i Nepty. Ale pan Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył panu Strukczaszemu i pan Michał Rejtan, już mieli dla niego dobrą nadzieję, tylko szło oto, aby pana Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił; co nie łatwo było: bo choć podupadły, znał siebie być magnatów kolligatem, i do naginania się nie był skłonnym. —

Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po téj rozmowie, o któréj pana Tryzynę pan Michał Rejtan i podobno sam ojciec Idzi uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdułtowski chorąży Nowogrodzki (bo JW. Niezabitowski podkomorzy, będąc zapozwanym *de male gesto officio*, przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełnić), po zagajeniu, zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa Nowogrodzkiego do obierania marszałka sejmiku, po całym kościele huknęły głosy: JOKsięcia wojewodę Wileńskiego, prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda! zaczęła krzyczeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda, przybliżywszy się do koła: Nie ma zgody! Lubo nadto byłbym szczęśliwy, przyczynić się moim głosem do zaszczycenia województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JOKsiąże wojewoda, ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnatą będący, żadnego urzędu sprawować nie może. Na to, my wszyscy słudzy i przyjaciele księcia, dobyliśmy szabel, i bylibyśmy w puch rozbili partyę pana wojewody Nowogrodzkiego; ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnatę, jaką uzyskał na księciu wojewodzie! — Na to on: Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił: ale W. Tryzna, nasz Strukczaszy, co w tém kole zasiada, otrzymał ją w Grodzie. — Pan Michał Rejten rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy: jeżeli kondemnata do Wielmożnego Pana należy, złóż na nią ustępstwo od W. Tryzny, a jeżeli tego nie masz, z cudzą kon-

demnatą się nie popisuj i milcz! — W. P. sam milcz, kiedy cię język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co go mają tyle, ile W. P.! Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby W. chorąży raczył od pana Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy krzyczeć wszyscy: że wniesienie pana Heraburdy nieprawne: bo pan Tryzna sam wie, co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. — Książe pomiędzy nami stał mocno poruszony, i wąsa do góry nakręcał, aż tu W. Tryzna, który jako Strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał, i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: mam ci wprawdzie kondemnatę na JO. księciu Wdzie. Wil. i tu onę składam; krwawo czuję się być uciśnionym: ale, jako obywatel, obowiązany jestem, moje prywatne uczucia poświęcić dobru publicznemu: a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszém dla naszego województwa, jak poruczyć przewództwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi: na boku zostawując moją krzywdę, i mimo siebie puszczając ile uciążliwych przewłok dla mnie wyniknąć może, oświadczam się: że JO. księcia Wdę. z otrzymanéj nad nim kondemnaty kwituję. — Książe Wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcéj powiedzieć tylko: chociaż żal czuję, do W. Strukczaszego, ale za ten krok jego życzliwości i zaufania, będę się starał wywdzięczyć. — Po całym kościele, dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: Niech żyje książe, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna Strukczaszy! JOKsiąże rozpoczął swoje urzędowanie; ale że już koło pierwszéj z południa, więc solował sesyą do osméj z rana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rudułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta się zebrała. Był i pan Strukczaszy, i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książe powiedział: Ja pana Józefata kocham; to krew nie woda! Panie kochanku, mego pradziada Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczów, a pretensye, jakie mieć może, za pomyłkę kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. — Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ, i kazał mi powiedzieć: że mnie piątéj klapki nie dostaje. My oba szlachta, zatém, niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Na próżno się tłómaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali; musiał pan Tryzna dobyć szabli i bić się zaczęli w naszéj przytomności. Panu Tryznie pękła klinga; tak silnie uderzył po niéj książe wojewoda; a pan sędzia pana Tryznę rozbrojonego złożył swoją. Książe odezwał się: mam zupełną satysfakcyą — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: to szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem; przyznaj panie Józefie, że umiem się składać. — Potém dawaj pić na zgodę. Książe był w przecudnym humorze. — Panie Michale, mówił, bądź spokojny o pisaryą ziemską; ja sam jeden z moją bato-

rowką, całą partyę Wojewody nowogrodzkiego rozpędzę. Książe i pan Tryzna, zapisali się na kompromis, na pana Białopiotrowicza i już tylko sejmikiem byliśmy zajęci. Szlachta ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było, jak między sobą rozprawiali: a co nasz książe, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina; ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książe bardzo go polubił, i bywało zawsze potém powtarzał prześladując: że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął. — Po obiedzie, poszliśmy wszyscy na dziedziniec bernardynów; gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter reperta* piliśmy. Już tam była mieszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książe napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartéj czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę włożył, a oddał mu aksamitną. Na to hasło, zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić; ale tak, że w momencie, każdy z nas inną miał czapkę na głowie. Potém książe dobrze pijany, zaczął sie rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał swój pas, mówiąc: daruję ci...; drugiemu kontusz: masz..., temu szpinkę brylantową: trzymaj...; a innemu żupan: weź...; tak że został w hajdaweraeh amarantowych i w koszuli, na któréj wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa, napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książe czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtena na pisaryi utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół: „panie kochanku, mówił, widzicie mój ten szkaplerz, ja go w sukcesyi noszę po moich antenatach. Lizdejko mój protoplasta, nosił go wprzody jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleem chodził. Szkaplerz jest wielki, bo w nim zaszyta jest unia Litwy z koroną. Ja kocham braci naszych koroniarzów, panie kochanku, ale niema jak nasza Litwa. Ja i w koronie mam kawałek ziemi, ale djabełby w niéj siedział. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U koroniarzów, susły, to gruba zwierzyna. — To to panie, jak zaczął mnie prześladować książe biskup Wileński, szwagier Wojewody Nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejten. ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał: to już z rozpaczy chciałem dla korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano za to, że wiersze piękne piszę. Już byłem osiadł na Rusi; ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić Panu Jezusowi w Boremlu, on się do mnie odezwał: Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic

nie wskórasz; tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patris*, to wielka filozofia u szlachty tutejszéj, nie tak, jak w naszéj Litwie, (bo moja prababka była Litewka), co od dziadów i pradziadów, każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę i kłaniaj się odemnie. A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: Panie! A jak ja powrócę na Litwę? kiedy mnie twój biskup prześladuje?— a on mnie: to nie mój biskup; to hultaj; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj Radziwille na Litwę, a niech mnie... jeżeli ty nie będziesz Radziwiłłem po dawnemu, a on jak był... tak i będzie... — Otóż panie kochanku, ośmielony obietnicą pana mojego, do was wróciłem i Pan mój nagrodził moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem o jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi: bo on krew i czeladka Radziwiłłowska, a za moje wiersze dostał biskupstwo Smoleńskie! A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, a nadstawiać uszy, a rozdziawiać gębę, bo nie tylko nasza, ale i partyi przeciwnéj; nawet zaścianki co saméj Worończy dotykają, można było widzieć, że wygrana nasza i że darmo poszły expensa senatorów nowogrodzkich. Do dziewiątéj w nocy tłumy asystowały księciu, pijąc, hulając po ulicach i śpiewając tak, że przyjaciele Wojewody Nowogrodzkiego bali się, by ich niepodpalono. Ale wszystko odbyło się porządnie, i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy księcia zawsze na kufie, ale już próżnéj, do klasztoru: gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał; a stanąwszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, i kazał się zlać wodą. Czem wytrzeźwiwszy się, poszedł do celi, gdzie podkórka zjadłszy, i z ojcem Idzim pacierze odmówiwszy, spać się położył: pamiętny, że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele. —

O saméj ósméj nazajutrz, zebraliśmy się do sejmikowania; a książe zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik temi słowy: JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mości panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić: dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejten, Szamblan J. K. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale litewskim. Drugi pan Kazimierz Haraburda, Starosta Willadymowski. Zatém, panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z nich życzycie sobie na pisarza Ziemskiego. — »Pana Michała Rejtena prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicze, Siemiradzcy Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków, — pana Rejtena prosimy! — Nie ma zgody! — krzyknęli, Jeśmany, Słuszkowie, Kobylińscy: — pana Harburdę prosimy! — ale głosy były słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książe nas wszystkich zaklął, aby żaden do gwałtu nie dawał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatém powstawszy książe, powiedział: »Bywał zwyczaj w naszém Woje-

wództwie *unanimitate* wszystko się robiło; ale: *nemini vox deneganda;* zatém zapraszam panów braci do wotowania« Szlachta zaczęła głosować, ale w krótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc niechcąc objawić słabości swojéj partyi, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż niechcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła, na wieś; nie bez żalu na JW. Wojewodę Nowogródzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potém tenże Wojewoda instrumentował go sędzią Grodzkim. Lepszy rydz jak nic, i tém go ukoił, — a pan Michał Rejten został pisarzem ziemskim. Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik; ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku; więcéj albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie księcia Wojewody, poszło pod sądy kompromisarskie; a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większéj części superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istototny pacyfikator Województwa.

Sen Pana Nieczui.

Przez Z. Kaczkowskiego.

W żniwa tedy, zgryziony stratą turczynka i kupnem Rabli; zmartwiony jeszcze bardziéj: bo mi się prawie nic nie urodziło, ze smutném sercem wyszedłem do kosarzy iopatrzywszy robotę, że to już niedaleko było do wieczora, usiadłem pod jakąś lasówką na miedzy. Różne myśli mi poczęły przeciągać przez głowę a taka ciężkość mi usiadła na piersiach, żem zaledwie mógł cokolwiek oddychać: grzech téj próżności mojéj, która mnie nie tylko do straty grosza i spokoju przywiodła, ale jeszcze w owéj chwili, kiedy mi tylko w świat wychodzić było, zamknęła mnie w takich górach i lasach, — stanął mi jakby wiedźma jaka przed zapłakanemi oczyma — nie wiedziałem, jak się od niéj ochronić; żegnałem się, modliłem się i nakoniec ciężko usnąłem.

Otóż zaledwie oczy zamknąłem, zaraz zdawało mi się, że jestem w jakiejś pięknéj krainie, że leżę sobie pod rosochatém drzewem, podemną zieleń taka miękа, jak najprzedniejszy wenecki aksamit, a w około mnie tak cudownie woniejące kwiecie i takie jakieś liściaste krzewy, jakich niemasz w mojéj ojczyźnie. Niebo było aż granatowe i tak przezroczyste, jak kryształ, a co mnie najmocniéj dziwiło, to że w dzień biały około słońca najwyraźniéj widziałem księżyc i wszystkie gwiazdy świecące a może nawet i więcéj: bo straszna gąszcz mi się zdawała. Zdaleka tylko przed sobą ujrzałem jakąś niewielką chmurkę, która się w moich oczach zwiększała, zgoła tak, jakby kto jechał po niebie i kurzyło się za nim, a musiał jechać prędko, bo aż gwiazdy podskakiwały i wywracały się w owym tumanie niebieskiego kurzu.

Patrzę się na to, przecieram niby oczy i myślę: coby to być mogło? Ale tu ani pół *Ave* nie minęło, kiedy tuż przedemną na ziemi stanął rycerz w okrutnie lśniącéj zbroi i hełmie z piórami, z gołym mieczem w ręku, ale na moim własnym, niedawno co utraconym turczynku! Strach mnie wziął zrazu i pomyślałem: pewnie pan Puławski nieboszczyk! — Więc zerwałem się na równe nogi; ale popatrzywszy owemu rycerzowi w oczy, tak mnie jakieś promienie olśniły, żem wraz padł na kolana. Dopiero rycerz ów, miecz spuściwszy ku ziemi, dziwnie pięknym głosem odezwie się do mnie:

— Nie bój się Marcinie! widzę mnie nie poznajesz; przeciem ja patron twój.

Chciałem coś przemówić i już otworzyłem był usta ku temu, ale mi, jak język zakołkowało, że ani rusz. A Ś. Marcin daléj:

— Dziękuję ci za konia; dobra szkapa, a w sam czas mi się dostała: bo u nas już tak stadnina podupadła, że ledwie do pługa z niéj co mamy.

To mnie tak strzęsło, żem o mało nie upadł: bo jak pierwéj coś świętego czułem w tym rycerzu, tak teraz, kiedym już był pewny, że on na moim turczynku, wzdrygnąłem się okrutnie: azaż bowiem nie z tego miejsca ten rycerz jest, dokąd końskie dusze idą po śmierci? — Alem się trochę opamiętał. Dopiero rycerz znowu:

— Czegożeś tak smutny Marcinie, żeś cale oniemiał?

— Jakże nie mam być smutny — odpowiedziałem już trochę ośmielony, ale jeszcze zawsze klęczący i z pokorą — kiedy mnie to Rable kością w gardle już stoi.

— Bo ci tak potrzeba było dziedzictwa, jak turczynka puszczać na paszę. Dobrze to jest nie wypuszczać z rąk ojcowizny, ale zaprawdę powiadam tobie, że nie ten jest pierwszy u Pana Boga, który ziemskie dziedzictwo po swoich ojcach wszelkiemi siłami dzierży, ale ten, który łaskę Bożą nie wypuszcza ze swego dosiadania i przechowuje ją dla swoich dzieci i wnuków. Kto o posiadaniu ziem wielu myśli i na to je nabywa, aby ziemskiego blasku dodał imieniowi swojemu, ten choćby posiadał tyle wsi, ile ich oko zajrzy z najwyższéj góry, za nic ważony będzie, jeżeli innéj nie położy zasługi: albowiem nie po imionach waszych was wołać będą na sądzie, ale po uczynkach, które was odznaczą od innych. Na jednym zagonie i w dreliszku nieboże a z łaską Bożą i wiarą, a z pokorą i cierpliwością na losy doczesne, kto tak wytrwa i z takiem świadectwem stanie w owym dniu strasznym przed Panem Bogiem, tego jedno westchnienie więcéj waży wtedy, niżeli skarbce bogaczów i ich najęte modlitwy. I zaprawdę powiadam tobie: Kiedy tam twoje oko popatrzy, to ujrzy, że z tych, którzy deptać będą po złotogłowiu i złocie, większa część będzie w drelichach, a wiele lam i jedwabiów pokaże się pokalanych w błocie. I skazani będą do ogniów i błota, iżby

ogień wyżarł plamy z ich szat, a błoto pozostało się w błocie. — Tobie na cóż było dziedzictwa? czy ci źle było w Bóbrce? czy twój ojciec nie przesiedział tam lat dwadzieścia? czy nie przyrobił tam sporo fortuny? czy nie miał estymy i dobrego zachowania u szlachty? he? A z ciebie to taki syn kochający? Ledwieś ojca przywalił kamieniem, ledwie trawą porósł grób jego, jużeś i nie miał nic pilniejszego, jak ruszyć jego krwawo zapracowanego grosza i dalejże puszyć się przed światem jego zasługą i pracą! Trzeba ci było porzucać Bóbrkę i dać ochłodnąć temu szczęściu, które Pan Bóg na was zesłał? trzeba ci było domu tego odjeżdżać, w którymby ci cnoty i rozum twojego ojca, trzymające się każdego kąta, dawały lepszą radę, niż twoje najmądrzejsze sąsiady? trzeba ci było pamiątek tyle bez uczczenia porzucać, aby iść między niedźwiedzie i wilki? sługi stare a wierne samym sobie zostawić i podać im okazyę nauczenia się kradzieży, a tutaj iść pilnować poprzyjmowanych złodziejów? Kości twojego ojca, stary kościołek porzucać a żyć tutaj bez księdza, bez spowiedzi, bez mszy świętéj, i bez uczciwéj w domu Bożym modlitwy?.... Maszże teraz za twoję głupotę, masz za żądzę dziedzictwa!

Milczałem, bom czuł że mi prawdę mówił ten rycerz; a on znowu:

— Milczysz? ciężko ci? czemuż sobie na to nie radzisz?

— Jakżeż ja mam sobie radzić — szepnąłem z cicha — kiedy nie umiem?

— To broić umiesz, a radzić sobie nie umiesz? Sprzedaj Rable!

— Sprzedać? a któż to kupi?

— Prawda że nie wiele takich głupich jak ty; ale ja ci dam radę. Jeszcześ się nie stał niegodnym téj łaski, którą Bóg miał zawsze dla twego rodu. Wierz, jak oni wierzyli, a kupiec będzie na Święty Marcin.

Poczém zwrócił konia i jeszcze dodał:

— Z Mazurami bądź ostrożny, bo to nieszczęśliwa ziemia dla Sanoczanów. Bądź zdrów i kłaniaj się panu Urbańskiemu odemnie a powiedz mu, niech już sobie raz da pokój z tém polowaniem: bo i niedźwiedzi nie wygubi, i do kufla się przyzwyczai, i w Komborni go tak rozkradną, że jeno puste ściany zostaną. A szkodaby ich, dobry ród.

Klęczałem tak jeszcze przez jedno *Ave Maria* i czekałem, czy jeszcze mi czego nie powie; ale naraz straszny chłód mnie obwiał do koła, rzuciłem się mocno i przebudziłem się. Słońce już się było schowało; wieczór był chłodny jak zwykle w górach a zwłaszcza w jesieni; robotnicy szli już dołem do domu a nademną stał podstarości, prosząc abym szedł już bo noc. Wstałem, obejrzałem się i rzuciłem się w tył całym krokiem — pod ową lasówką bowiem stał z brewiarzem ów mnich franci-

szkan, który mnie opanował w Krośnie, a któremu imie było Murdelio. Pokłoniłem mu się, on nie; — podstarości się dziwnie wpatrzył na mnie, a tymczasem mnich ruszył naprzód, ja za nim, podstarości za mną i tak szliśmy aż do samego dworu.

Co się daléj stało, tego już niewiem; — to tylko pamiętam, że o owym mnichu we dworze nie było ani śladu i nikt go z żyjących nie widział; — śnieg upadł téj nocy — mnie zaś widzącego ustawicznie jakieś marzydła, sroga gorączka powaliła na łoże.

Była to straszna choroba — ból głowy, jakby mnie kto żaru nasypał pod czaszkę, nudność aż do skonania, i takie pragnienie, że zrywając się nocą na równe nogi, nieraz po garncu krynicznéj wody wypijałem od razu. Temu wszystkiemu towarzyszyła nieprzytomność bez przerwy, a straszne jakieś wiedźmy i upiory, które się dniem kręciły koło mnie, tak mnie męczyły bez przestanku, żem przez kilka tygodni po sto razy poczynał modlitwę i ani razu jéj nie mógł dokończyć. Chwile, w których cokolwiek miałem przytomności, były jeszcze straszniejsze od wszystkich boleści; wtedy bowiem sumienie wyrzucające mi moje grzechy i ową próżność moją, rozpoczynało grę swoją. Więc raz biłem się w piersi, jakby jaki pokutnik za grzechy śmiertelne i urywanemi słowy błagałem Boga o miłosierdzie. Drugi raz myślałem nad sobą i wtedy drżałem od strachu: widziałem bowiem, jako sam leżę śród samych wertep i lasów, sierota, bez ojca i krewnych; siostra o mil kilkadziesiąt, sąsiedzi tylko o jednę, ale głusi i nic niewiedzący; — widziałem, jako sługi odbiegały mnie samowolnie, drugie się na to zostały, aby mnie okraść do reszty. Posyłałem raz po lekarza Włocha do Leśka, ale ten puściwszy się do mnie, kiedy mu koń nogę złamał na drodze, piechotą wrócił i ani słyszeć nie chciał o Rablach. Posyłałem po księdza *ritus graeci* do Bałogroda: odpowiedział, że nigdy nie bywam w cerkwi i że luter być muszę, a on do lutra nie pojedzie. Łaciński proboszcz mojéj parafii mieszkał o mil trzy i był starzec stuletni.

— Boże! — pomyślałem — otóż mnie pokarałeś, że nawet sam nie wiem, za co mnie Twoja ręka dotyka. Święty Marcinie! czegoż mnie takiéj nabawiłeś choroby!

— To za żądzę dziedzictwa, za próżność, za lekkość umysłu twego, za to, żeś odstąpił błogosławionych kości i wiary twojego ojca! odpowiadała mi z kąta wiedźma jakaś, która raz była babą starą z wężowemi włosami, raz psem ogromnym; raz niedźwiedziem, to znowu gadem, ziejącym ogień z paszczy zębatéj.

Inny raz znowu widziało mi się, że cała izba moja się pali szczerym płomieniem, że się dymi i iskrzy, a głownie i węgle rozżarzone, kłębiąc się między sobą, odskakują od pożaru i padają mi na twarz, na ręce, na piersi. Czasem Murdelio z psałterzem w ręku stał mi w kącie izby i czytał modlitwy.

Kilka razy matka moja nieboszczka, któréj nawét niepamiętałem postaci, stawała we drzwiach z podniesioną do góry ręką i powtarzała uroczystym głosem: Trwaj i wierz a zdrów będziesz!

Raz tylko jeden pokazał mi się ojciec mój kochany; leżał w jakiéjś trumnie kamiennéj, cały wyschnięty i zżółkły; ale szaty na nim tak były podarte i błotem powalane, pas rozszarpany i szabla tak aż do węgla spalona, żem się zatrząsł cały i okropnym głosem zawołał o pomstę do Boga, o pomstę nad tymi, którzy rozrywają groby umarłych! Wtedy on w trumnie swojéj prawą rękę podniósł, położył na pierś, pierś rozdarł aż do samego wnętrza i pokazał tam serce takie czyste jak brylant.

I tak dziwne dręczyły mnie sny i widzenia — aż nakoniec, kiedy jakiś potwór morski napełnił swém cielskiem sprośném całą izbę moją, i wywracając się w strasznych kłębach, to puchł w mych oczach aż do pułapu, to znów się zsychał tak, że mu aż żebra było widać i nareszcie tak zmalał jak człek zwyczajny — a temu człowiekowi poczęło zwolna ciało odpadać od kości, i wnętrzności snuć się z niego, i znikać w jakichś dymach ze siarki i smoły, że za chwilkę żywa śmierć z kosą i klepsydrą stanęła w głowach mojego łoża — wtedy zebrałem wszystkie reszty sił moich i uklęknąwszy na łożu, rzekłem: — Panie! jam jest Twój wierny; z dziada z pradziada służę tylko Tobie i chwale Twojéj! Dasz żemnie zginąć, jak jakiemu opryszkowi, pośród tych wertep i lasów, bez księdza, bez spowiedzi i bez świętych Twoich Sakramentów? Dopuścisz Panie, abym jako poganin zszedł z tego świata? aby moje ciało zgniło nie pokropione, aby ani jedno oko nie zapłakało, ani pies nawet nie zawył na moim pogrzebie?.. I z słowami: Ale niech się dzieje wola Twoja.... upadłem na łóżko i ciężki sen mi zamknął powieki.

Ta noc była punktem przesilenia się mojéj choroby. Przecie korpus Nieczujów przemógł kiepskie *malum terrestre*, chociaż aż zamorskiemi gadami szturm do mnie przypuściło. Na drugi dzień, Panu Bogu, niech będzie chwała! już mi dużo lepiéj było, Głowa lekka, oddech wolny, wzrok czysty; tylkom słaby był jeszcze i czupryna mi tak do szczętu wylazła, że kiedym spojrzał w zwierciadło, to mi się zdawało, że mój ojciec nieboszczyk do mnie zaziera!

Opowiadanie dziadka.

Przez Z. Kaczkowskiego.

Otóż kiedym miał lat może dziesięć, ojciec mój nieboszczyk powróciwszy z wojny Ruskiéj, zaraz mnie odumarł. Macocha zaś moja nie miała nic pilniejszego, jak zasiadłszy ojcowską wieś, mnie odesłać do Krakowa na akademię. Słyszysz? od Oszmiany aż do Krakowa. Powiadali ludzie, że to się stało dla tego, abym

nie patrzał na marnotrawstwo ojcowskiéj szkatuły i na owe husztyki, które się wyprawiać będą w moim domu i za mój grosz. Ja tymczasem na akademii nauczyłem się, *primo:* że kiedy się nic nie jadło, to człowiek głodny; *secundo:* że kiedy biją, to boli, a *tertio:* że i szlacheckie dziecko *pauprem* może być i kolendować po domach z mieszczańskiemi synkami, i nie więcéj znaczyć od lada szewczyka, a nawet i mniéj kiedy rękę ma słabszą; — że może także o tém wyżyć na świecie, co mu gdzie z łaski rzucą do garnka, i wyspać się w sieni księżego pomieszkania na gołéj podłodze, a rano wstawszy, tak dobrze księdzu bóty oczyścić, jak każdy inny. Tego wszystkiego się tam nauczyłem i dobry mógłem był nawet z téj nauki zdać egzamin, bom ją praktykował przez siedm lat.

— Co téż dziadunio gada? — odezwała się na to panna Zuzanna — gdzież może być, żeby dziadunio usługiwał księżom?

— He! — krzyknął pan Cześnik i pociągnął teraz z mojéj szklanki nektaru, nie tak dla odmiany, ile przez roztargnienie; pani Stolnikowa zaś, która przez ten czas z wielką troskliwością i upodobaniem patrzała na swego ojca, odezwała się do córki:

— Nie przerywaj dziadkowi. — A dziadek ciągnął daléj:

— Otóż mosanie, przyszedłszy do rozumu, wymądrowałem sobie powoli, że głupstwo jest chędożyć bóty księżom, mając wieś dobrą i dwór porządny, i uciekłszy ze szkół, prosto puściłem się ku Oszmianie. Jam wtedy prawdziwym był szlachcicem Oszmiańskim, ba! nawet jeszcze lepszym: bo jak powiada przysłowie: nie jedna, ale obydwie nogi były u mnie bez bótów — wżdy mi nie poodpadały dla tego. I owszem, zaledwie trzy mile uszedłem od Krakowa i wstąpiwszy do jakiegoś dworku, opowiedziałem się,: ktom jest i za czem idę, zaraz mnie obuto i przetrzymano dni kilka. W drugim dworku darowano mnie bajdawery i trzymano przez tydzień: bom już był frant miejski, wyszlifowany, pokorny a umiejący śpiewać kantyczki i pieśni nabożne, a kiedy kto chciał tego, to i światowe: bo i to umieją kala — faktory i służkowie księży. W trzecim obleczono na mnie bieliznę i znowu trzymano: bo organista był umarł a pani była nabożna i codziennie mszy świętéj pragnąca, a jam umiał grać na organach; daléj darowano mi żupan i kazano dzieciom łątki strugać, bo i to potrafiłem; gdzieindziéj przyodziano mnie w kontusz i nie puszczono już daléj, bo zima nadeszła. Dosyć, że tak dwa lata blisko szedłem z Krakowa do Oszmiany — przecie nakoniec przyszedłem.

Otóż jednego dnia nad wieczorem pokazała mi się wieś ojcowska pod lasem. Poznałem ją, bo tam był dworek drewniany, jakśnieg białuteńki; przed nim równie biały ganeczek o czterech słupach, na którego czele była przybita Matka Boska Ostrobramska, która miała łzy w oczach a uśmiech na licu, i z tym uśmiechem parzała na zielony przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na któ-

rym we środku trzy lipy stały z darniowemi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dzieci dworskie z ziarnem, którego dosyć tam było, a gołębie siedzące trzema rzędami na lipach, zlatywały do dzieci i pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad podlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał. Bzy kwitły natenczasz i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciem swojem przez płoty, któremi ogrodzony był dziedziniec; trzódki wracały z pola i dzwoniły z daleka, fletnia się odzywała z za lasu, powietrze pełne woni cudownéj rozścielało się do koła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posełało na lipy, na dwór i dziedziniec. O! poznałem tę wioskę, bo tak właśnie było, kiedy mnie wysełano na akademię dla wyuczenia się żebraniny i chędożenia bótów z wysoką cholewą.. Spisz Nieczujo?

— Boże uchowaj! Mości dobrodzieju — odpowiedziałem — i owszem, słucham z wielką attencyą.

— No! nalejże mi miodu: bo inaczéj nie skończę i nie będziesz wiedział, jaką jest szlachta Oszmiańska; a nie śpij, bo przecie od tego herb wasz idzie, że jeden przodek twój pierwszy posłyszał zbliżanie się nieprzyjaciół w nocy i pobudziwszy wszystkich, wziął nad nimi komendę: wtedy sprawiwszy chorągwie, tak mężnie czynił, że nieprzyjaciela pogromił na łeb, a co przy życiu zostało, to wziął w niewolę. Działo się to za króla Bolesława Krzywoustego, który im za to ziemi dał moc, na któréj oni założyli wieś Nieczułki i pisali się *Comites*, i wielkie urzędy dzierzyli i wojskom hetmanili ze sławą, ale teraz na psy zeszli, jak wszyscy Czuje i Nieczuje. O! wiem, wszystko wiem... a kiedy jeszcze jednę szklankę wypiję, to ci będę takie rzeczy gadał, o jakich ani ty, ani twój ojciec, ani żaden dziad twój nie słyszał; a czy mnie będziesz słuchał, czy nie, to mi jedno, bo i o tém wiedz, że ja nie dla ciebie gadam, jeno dla siebie. Czemuż mi nie nalewasz? he!

— Trudnoż lać Mości dobrodzieju — odpowiedziałem — kiedy...

Ale w tém sługa przyniósł parę nowych butelek, a podczas kiedy ja nalewając, starałem się obawę moją o dziadka dać do poznania, pani Stolnikowa rzekła do mnie półgłosem:

— Niech się pan Skarbnikowicz nie obawia o mego ojca; stary już bardzo i tylko mocny trunek go rozgrzewa i rozwesela.

Poczém znowu się cisza zrobiła; — pani Stolnikowa po staremu z wielkiem upodobaniem i z miłym uśmiechem na twarzy, wpatrzyła się w dziadka — Zuzia kręciła się na krześle i przygryzając wargi, ciągle coś poprawiała około stroju — Zosia z kwiatkami przy ustach, oczy swoje błękitne puściła gdzieś za myślą swoją, w jakiś kraj nieznajomy i pewnie tak piękny jak

ona — ja zaś przysunąłem się do dziadka, który rzecz swoją tak daléj prowadził:

— Otóż przyszedłszy do bramy, najpierw psy mnie macoszyne opadły — jeden szarpnął za hajdawery i wydarł z nich szmat sukna; drugi połę rozpłatał u kontusza; trzeci za pas mnie chwycił u przodu, ale ten przecie psich zębów nie przyjął, bo był gęsty i srebro miał w sobie; jednak na tém nie przestała ta nadworna pani chorążyny milicya; rzucali się na mnie coraz z większym impetem i byliby pewnie powalili o ziemię, bo nikt nie wyszedł z poddasza — gdyby nie brytan stary ojcowski, który wylazłszy z budy i powolnym krokiem wlokąc się ku bramie, przyszedł nareszcie do mnie i zaczął się łasić około nóg moich... milicya ucichła, a podczas gdy ludzie może się z okien patrzali na owe hece, pies się zlitował nademną i obronił! — W ganku zdybałem jakiegoś jegomości, który mnie spytał: ktom za jeden i czego chcę? — »Piotrowicz jestem! — krzyknę — téj wsi sukcessor!« Zbladł jegomość i poszedł do izby, mnie prosząc o cierpliwość: bo pani chora. Za niedługą chwilę jednak wyszedł i rzekł wielkim głosem: — »Cha cha cha! Piotrowicz! a wzdy umarł Piotrowicz; pani chorążynéj pasierb, na akademii w Krakowie.« — »Nie umarł — rzekłem — ano jest żyw i stoi przed Waszmością; proszę mnie wpuścić do pani.« — »Nie może być« — odpowie on, który był gach oczywisty, intruz i diabeł sam — »a pani chora jest i miałaby z tego zgryzotę.« — »A któżeś jest ty!« zawołałem na niego — »i jakaż jest twoja sprawa w tym domu?« — »A tobie co do tego? — krzyknie on do mnie — »włóczykiju, samozwańcze, gałganie!« — Wtedy ja mosanie plunąwszy w garść, w łeb go raz, i drugi, i trzeci, a kiedy padł, nuż go kolanami macać tędy, owędy i pięścią biję, gdzie trafię. Ale śród téj roboty coś mnie chwyciło za kark, coś drugiego sypnęło mi parę razów w głowę, a nareszcie powali wszy mnie i dosadzając po drodze, wynieśli i wyrzucili za bramę... Zebrawszy się z ziemi, spojrzałem na dwór: cisza znów była jak gdyby nic; gołębie poleciały do swego gołębnika, dzieci poszły do piekarni, psy się pochowały do budy — tylko ja, pan téj wsi, ja nie miałem tam żadnego kąta na spoczynek i sen. Stałem tak jeszcze chwilę, patrzałem żali się co nie ruszy, żali kto nie wyjdzie, żali choć jedno serce się nie zlituje nademną... nie! Tylko pies ów stary znów wyszedł do mnie, zaczął się łasić, chodzić koło nóg moich, parę razy głowę chciał podnieść i popatrzyć mi w oczy, ale już nie mógł, bo mu zżeleźniał kark — więc tylko się otarł pyskiem o nogi moje, położył się na ziemi, westchnął kilka razy, jeszcze raz się wyciągnął i zdechł!...

Spisz Nieczujo?

— Uchowaj Boże! Mości Dobrodzieju — odpowiedziałem — owszem słucham z wielką atencyą.

— No, nalejże mi miodu, bo inaczéj nie skończę i nie będziesz wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska.

Nalawszy obydwie lampki i wypróżniwszy każdy swoją, dziadek tak daléj prowadził swoją rzecz:

— Naczém że ja stanąłem?

— Na psie, mości dobrodzieju.

— Aha, na psie. Otóż kiedy ten pies przy moich nogach zdechł i znim zniknęła ostatnia dla mnie przeszłość po ojcu, ostatnie stworzenie, które dla mnie miało kęs serca, rzekłem sobie: nie masz tu już co robić, panie Wicie, chodźmy precz. I wśród zapadającego zmroku szedłem wprost drożyną na zachód. Niebo się czerwieniło jeszcze, i coraz ciemniało na jego kresie; zrazu snadno rozróżniałem wierzchołki drzew, potém coraz mniéj i mniéj, coraz ciemniéj na niebie, coraz straszniéj na ziemi, aż zrobiło się tak ciemno, jak w garnku. Firmament się obciągnął gęstemi chmurami, ostrość jakaś rozlała się po powietrzu, nareszcie błysnęło raz, drugi, i dziesiąty, poczém straszne grzmoty zaczęły chuczeć, jak gdyby jakie olbrzymie byki biegały pędem po kamienistém sklepieniu. Straszno było — ale mnie nie; ja odmawiałem sobie wieczorne pacierze, przy świetle błyskawic postępowałem drogą do góry, rączo, żeby tylko jak najdaléj nocować od domu tego, w którym nie było ani jednéj łzy dla sieroty. Nakoniec przyszedłem pod las; zmęczony byłem, guzy poczęły mnie dokuczać, wiatr jął przewiewać przez dziury kontusza, więc wypatrzywszy przy błyskawicy trochę gęstwiny, wlazłem pod nią i ległem. Skończywszy modlitwy i ucałowawszy szkaplerz święty, pozostały mnie po ojcu moim i przezemnie ciągle na piersiach noszony, chciałem usnąć, ale błyskawice i myśli moje, nie dały mi zawrzeć powieki. Więc myślałem. Myślałem: co począć teraz? Mógłbym cię sprocesować i wygrałbym pewnie. Niemam ja grosza przy duszy, niemam przyjaciół, ani znajomych — ostatni, który mnie znał, był pies staruszek, a i ten zdechł przed godziną — ale ja mam metrykę w zanadrzu! ja mam twarz moją, a tam we dworze gdzieś wisi na ścianie konterfekt mojego ojca! ja mam czysty głos w sercu i Bóg się objawi w tym głosie, kiedy stanę przed sądem. I wygrałbym pewnie. Ale niech mnie Bóg broni od tego, abym miał nazwisko moje poniewierać po sądach — niechaj Bóg broni, aby dwoje ludzi, którzy to nazwisko odziedziczyli po moim ojcu, miało przeciwko sobie stawać do sprawy! I oto Panie! ażebym kiedy nędzą lub głodem niebył pokuszony do tego czynu: oto klękam przed Tobą i przysięgam Ci: — niechaj się dzieje co chce, niechaj najlichsze służby odprawiam dla zarobienia codziennéj strawy, niechaj żebraczemi łachmany zaświecę przed światem, niechaj jako Łazarz w Twém piśmie, niemocą zdjęty i pod cudzym płotem się walający, lichéj bogaczów załaknę jałmużny — przysięgam Ci, że kopca téj wsi nie przestąpię, póki się pierwszy włos siwy nie pokaże na mojéj głowie!... To wymówiwszy klę-

cząc i z podniesioną prawą ręką do góry, nagle mnie coś oświeciło tak jasno, żem olśnął. Zrywam się, patrzę: pożar. Piorun uderzył w dom mojéj wioski... i widziałem jakby na dłoni owe trzy lipy rosochate, czarno-umalowane na dnie z samego płomienia i dymu... widziałem ludzi, którzy się gromadzili pod temi lipami i wyglądali, jakby sami czarni, chodzący wśród gorejącego piekła... widziałem kłęby czarnego dymu, które z czerwonemi iskrami falując nad domem, wzbijały się aż pod sam namiot Boży... Panie! cóż mnie się działo natenczas!...

Tu dziadek przestał na chwilę i zamyśliwszy się milczał. Zbudził się jednak niebawem pytając:

— Spisz Nieczujo?

— Uchowaj Boże! Mości Dobrodzieju — odpowiedziałem — i owszém; słucham z wielką atencyą.

— He! — spytał dziadek jeszcze w zamyśleniu.

— Słucham Mości Dobrodzieju.

— Kata ty tam mnie słuchasz; dobrze gdzieś zerkasz za pannami.

Na to panny się trochę porumieniły, a pani Stolnikowa, lubo widocznie nie rada była temu dowcipowi staruszka, jednak z wyrozumiałością a zawsze z wielkiém upodobaniem patrzała na niego — i od razu to poznać było, że dziwnie piękna miłość i cześć jest u téj matrony dla ojca. Ja téż poderwałem natychmiast:

— Ale to już mniejsza o to, byle Jegomość był łaskaw dokończyć swojéj historyi, bo inaczéj nie będę wiedział, jaką jest szlachta Oszmiańska.

— A to mnie bardzo coś na tém zależy, żebyś ty wiedział, jaką jest szlachta Oszmiańska! — odpowiedział dziadek i począł coraz głębiéj zapadać w krzesło i drzemać. — Słaba już głowa była u tego starca, wszakże nie zasnął jeszcze z kretesem, i owszém, podczas kiedy żadne z nas ani słowa się nie ważyło wymówić, on na pół śpiąco a napół pijano, następnie ciągnął opowiadanie: — Jaka jest szlachta Oszmiańska! hm! drugiéj takiéj pewno niemasz na świecie. Bo czy kto słyszał o tém prócz w bajkach, czy praktykował kto tego, aby się cały powiat hurmem, zajął losem sieroty? żeby przez lat siedemnaście administrował fortunę kogoś takiego, o którym cały świat mówił, że już kości jego pogniły w grobie? żeby sierota odtrącony od swojéj wioski, z dworcu swego wyrzucony za bramę i psami wyszczuty, w lat dwadzieścia wróciwszy, zastał wieś całą i nieruszoną, dwór w niéj tak odbudowany, że ani jedną belką nieróżnił się od spalonego? Matkę Boską nawet tę samą, która w ogniu ocalała, nad gankiem, i dwa worki gotowizny we skrzyni? Słyszał to kto kiedy w tych czasach?... Moja macocha żyła jeszcze trzy lata, a po trzech latach nie umarła, ale w dzień zaduszny ze swoim gachem, który był diabeł sam, z łyséj góry, pojechała precz... het! gdzieś do

Niemiec. Tak powiadali ludzie. Kolega mój nawet, który służył ze mną królowi Chrześciańskiemu, a który jeździł do Francyi do swoich, powiadał mnie, że powracając, sam na żywe oczy gdzieś ją widział na Niemcach. Karetą i czterema końmi karemi, z harbejtlowym obok siebie amantem, jechała na bal do miasteczka. Wszystka służba koło niéj była czarno ubrana, w harbejtlach i kusych sukienkach — istne diabły zamorskie; polskich miała już dosyć. Na tę wiadomość, ja jeszcze nie powracałem — nie mógłem — nie miałem jeszcze włosów siwych na głowie — alem ich już zapragnął. Czy widziałeś Nieczujo takiego kawalera, któryby włosów siwych na własnéj głowie wyczekiwał, jakby zbawienia? he?... Ja dwadzieścia lat o nie Pana Boga w codziennych modlitwach prosiłem. I wysłuchał mnie. Wróciłem i stałem się od razu bogatym. Wieś po ojcowsku zagospodarowana i dwa worki dukatów, to wielka fortuna! Błogosławił mnie też Pan Bóg za moją nędzę w młodości...za przekleństwa macochy...za siedmioletnie pauprostwo...za guzy odebrane od gacha...za dwudziesto-letnią poniewierkę po świecie.... Wszystko mi się wróciło. Ożeniłem się. Byłem bardzo szczęśliwy. Miałem żonę kochającą — córkę pieszczotliwą — spokój był w kraju — dobra dola w około — ani jednego nieurodzaju — ani jednego pomoru — żebraka nawet trudno było gdzie dojrzeć pod one czasy. Byłem bardzo szczęśliwy!

Jur z Borowiczek,

czyli

Zajazd w Oszmiańskiem.

Przez Zygmunta Kaczkowskiego.

Dał się nagle słyszeć tentent kopyt końskich z daleka i w tymże momencie krzyk na dziedzińcu: Jadą już, jadą!

Zerwałem się z ławy, łzy chustką otarłem, a nim kilka kroków dałem naprzód, aby z za lip popatrzyć w pole, już też wjechało w bramę kilkunastu jezdnych i stanęli w dziedzińcu.

Widok ludzi zbrojnych i koni, niewiem jak na kim, ale na mnie zawsze czynił dobre, mogę nawet powiedzieć, że wesołe wrażenie! Zaraz więc stałem się inszym i nie było ani śladu łez na méj twarzy, ani pamiątki smutku na sercu, a kiedy Gintowt, który pierwszy zsiadłszy z konia, przystąpił do mnie z powitaniem i z nieznaczną pochwałą swojego dzieła, ja witałem się już z nim ochoczo, jak gdyby mi przez cały ten czas serce drżało od niecierpliwości widzenia jego i przybyłych z nim towarzyszy.

Drugi szlachcic, który równocześnie z Gintowtem zeskoczył z konia, był to chłop rosły i prawie głową mnie przenoszący. Pomimo wzrostu swego, który także do niepospolitości należał, wpadł on mnie i z innéj przyczyny natychmiast w oko, a to po

prostu z swojéj doskonałéj żołnierskiéj postawy i ubioru. Mąż ten miał krótką, ze zielonego sukna, na węgierską modę uszytą kurtkę na sobie, na głowie czapkę rogatą ciemnego koloru, na nogach bóty jałowicze, cholewami powyżéj kolan sięgające; do téj pojedyńczości ubioru łączył on odpowiednią pojedyńczość w uzbrojeniu: miał bowiem tylko potężną szablicę na skórzannym pasie przy boku, i parę pistoletów lekkich za pasem. Kto znał szlachtę tamtego czasu i widywał ją w różnych okazyach, ten wie bardzo dobrze, jak złe wyobrażenie ona miała o moderunku wojennym. Dawnemi laty, kiedy szlachcic wyjeżdżał na wojnę, to nie wspominam już o tém, że brał na siebie co najlepszy żupan i kontusz z wylotami, które nieraz w ucieczce zaczepiwszy się o drzewo, zsadzały go z konia; ale to główna, że uzbrajał się od stóp do głów, a pałasz, strzelba, nóż wielki lub kordelas przy torbie i trzy pary pistoletów na jednym szlachcicu z pospolitego ruszenia obaczyć, była to rzecz zwyczajna. Starzy żołnierze, którzy, czy to w swojem, czy w cudzoziemskiem wojsku czas dłuższy sługiwali i nauczyli się z doświadczenia, że nie ilość, tylko gatunek broni, a głównie serce stanowi żołnierza, naśmiewali się z tak objuczonych wojaków, a mój nieboszczyk nawet mawiał: że im więcéj kto broni zawiesza na sobie, temci pewno tchórz większy; — jednakże nic to nie pomagało, a moda ta, która niby we krwi szlacheckiéj już być się zdawała, uchowała się aż do ostatnich czasów. Późniéj dopiero dowódzcy sami zawsze ubierając się w kurty węgierskie i uzbrajając się tylko pałaszem i jedną parą pistoletów, zaprowadzili także ten obyczaj i między szlachtę, i na ten pojedyńczy ubiór i uzbrajanie się tak nastawali, że u nas weszło to było w przekonanie, że po ubiorze i uzbrojeniu się poznasz zaraz gatunek i serce żołnierza. Owoż gdy obaczyłem tego szlachcica, że także był po naszemu ubrany; zaraz mi się przypomniały dawne czasy i nie gadawszy z nim ani słowa, czułem już instynktowo, żem się zdybał ze swoim. Jakoż nie omyliłem się: był to bowiem ów z opowiadania innych już mnie znajomy Jur z Borowiczek. Kiedy mi to Gintowt powiedział, nastroiłem się zaraz i podając rękę Jurowi, rzekłem do niego;

— Tyle mi tu już pięknych i dobrych rzeczy nagadano o Waszmość Panu i bracie, że za jeden z najpiękniejszych dni mego życia uważam sobie ten, w którym los fortunny podaje mi sposobność poznania Waszmości; to mnie tylko jedno zadziwia i zaraz zasmuca, że chodząc prawie jednemi drogami, nie zdybaliśmy się nigdy dotychczas.

— Nic w tém dziwnego — odpowiedział mi Jur na to, ściskając mnie rękę — jeżeli się nienadybali, kraj to wielki i ludzi w nim siła; ja sobie przecie przypominam nazwisko Waszmości, ano niewiem, byłli to brat Waszmości, albo Waszmość

sam, który przed bitwą Widawską przywiózł depesze naszemu Niemcowi?

Niemcem nazywali Zarembę, że się nosił z niemiecka: a ja rzeczywiście te depesze woziłem, więc odpowiedziałem:

— Ja to sam panie bracie woziłem te depesze, ale i to mnie jeszcze nie naprowadza na przypomnienie sobie Waszmości, lubo przecież potém i w bitwie Widawskiéj partycypowałem i po bitwie jeszcze dni kilka tam bawiłem.

— A wiem, wiem — rzekł Jur z Borowiczek. Owóż nie dziwno, że Waszmość za swoich kilka dni nie poznałeś wszystkich, którzy tam byli i nie dziwno, że ja Waszmości nazwisko pamiętam, bo przed bitwą, kiedy oficer z depeszami przyjedzie, toć o nim wiedzą w całym obozie.

— Tak, tak, panie bracie, — odpowieziałem — no ale jakto! góra z górą się nie zejdzie, a tu gdzie Widawa, a gdzie Oszmiana, i tam bywszy razem i nie znając się, tu dopiero się poznajemy.

Wtém tamci pozsiadali z koni i po jednemu poczęli się zbliżać do nas, a pod czas gdy Gintowet powiadał mi niektórych co przedniejszych nazwiska i zapoznawał mnie z nimi, w bramę waliła się druga takaż jezdnych komenda, niebawem téż i trzecia i czwarta, a wszystko z wielkim brzękiem i hałasem; daléj, to po jednemu, to po trzech, to po pięciu wjeżdżali a wjeżdzali, a nie minęło i pół godziny od przyjazdu Gintowta i Jura z Borowiczek, kiedy już cały dziedziniec od ganku aż do bramy tak był napełniony ludźmi i końmi, jakby plac obozowy.

Śród tego zbierania się ja porzuciłem mojego Jura a poszedłem bliżéj trochę oglądać ową tak zachwaloną mi szlachtę Oszmiańską. Ale nie obaczyłem tam nic nadzwyczajnego. Wiele było ludzi pięknych i koni jak trzeba, ale téż i chołoty nabiegło nie mało; osobliwie téż owych zagonowych, których lada kubkiem i do piekła by zwabił, a na których patrząc, przypominało mi się owo przysłowie, które powiada: że szlachcic od Oszmiany jedną nogę tylko ma w bócie, a drugą w łapciu chodzi. Uzbrojenie téż tego całego tłumu było, jako i ludzie, różne, rozmaite: jedni z nich po staremu byli zbrojni od stóp do głowy; na jednym człowieku i pałasz, i nóż, i strzelba lub garłacz i pistoletów dwie pary a trzecia przy kulbace; drugi ledwie miał co broni, a nie jeden był taki, który miał szablę bez pochwy lub goły rapier u boku, albo pistolet jeden wielki na temlaku, ale i ten taki, że zjadłby diabła, ktoby z niego wystrzelił.

Kiedy się to wszystko zjechało w dziedziniec i rozłożyło po wszystkich kątach, a jak zwyczajnie ten poprawiał kulbakę na koniu, ów ostrzył szablicę, ci stare wystrzeliwali naboje, inni broń czyścili, ci skałki krzesali, ci nabijali na nowo, i w całym dziedzińcu rumor był wielki i rozgardyasz — przez Gintowta z jednéj, a przez Zosię z drugiéj strony prowadzony pod ramię, wyszedł Dziadek w dziedziniec.

Dziwny to i rozrzewniający był widok, kiedy starzec ten blisko stuletni, stanął przed zgromadzjącą się koło niego szlachtą, i zdjąwszy czapkę z pokorą z białéj jak mleko głowy, przez łzy cisnące mu się do gardła, nie mógł zrazu ani słowa przemówić i tylko ręką witał przybyłych.

Obaczywszy dziadka, niektóra szlachta, już na sejmiku podpojona po trosze, zaczęła krzyczeć:

— Wiwat! pan Cześnik Dobrodziéj! Wiwat patryarcha nasz— i różne inne rzeczy; ale wnet sykaniem drugich uspokojeni, umilkli i nastąpiła cisza tak poważna, jakby w obozie, kiedy ksiądz czyta mszę pod namiotem.

Śród téj ciszy, dziadek zawsze stojąc na miejscu a na miejscu wyższém cokolwiek: bo dziedziniec był pochyły od ganku do bramy, odchrząknął raz i drugi i starym, chropowatym głosem, odpoczywając za każdym punktem, przemówił w te słowa:

— Mnie wielce Mości Panowie i bracia! Nie spodziewałem się nigdy, abym, będąc okolicznościami zmuszony wyjechać z mojéj ukochanéj Litwy, kiedykolwiek jeszcze do niéj powrócił. Grób dla mnie wykopany już był na Mazurach. Dzisiaj atoli inaczéj Bóg wszechmogący rozrządził, a ja zostawiwszy grób mój na kałużę dla wody cmentarnéj, stoję oto przed Waszmość Panami i bracią, i pokłon im szczery z pod ubogiéj strzechy mojéj wynoszę. Jako ojciec nieszczęśliwéj i czy to od szatana niewinnie prześladowanéj, czy od Pana Boga sprawiedliwie karanéj córki, powiadam to otwarcie, iż wolałbym, aby kości moje już dawno były pogniły w grobie, niżbym miał dożyć tak fatalnego terminu, jakim jest dzień dzisiejszy; — jako obywatel i sąsiad zaś, nie mógłem się doczekać dnia szczęśliwszego przed grobem, jako ten, w którym dostojne obywatelstwo na raz zgromadzone przed sobą widzę. A lubo, w którąkolwiek stronę tego przezacnego zgromadzenia oczyma rzucę, ani jednego z moich, dawnych przyjaciół i towarzyszy dopatrzyć nie mogę, bo ci dawno już śpią po cmentarzach: toż jednak i to nad wszelkie wyrażenie wielkiem ukontentowaniem jest dla mnie, że mi Pan Bóg pozwala widzieć ich synów i wnuków. Jakoż w tym razie, kiedy ja sobie czynię tę słodką illuzyę, że z dawno już pomarłymi, dla których dotąd niespożyty afekt gore w mém sercu, w tym momencie rozmawiam: toż i wam, Mości Panowie i bracia, niechaj się tak wydaje, że nie z dalekich stron, żywy z żywego kraju przybyłem, ale żem wyszedł z grobów i wam synom i wnukom przynoszę pozdrowienia od moich ukochanych kolegów a waszych ojców i dziadów! . . .

Tu się dziadek zatrzymał, a podczas gdy w kilku miejscach dało się słyszeć głośne szlochanie, on kilka razy odetchnął i tak rzecz swą dokończył:

— Mości Panowie i bracia! Żeście tutaj w tak znakomitéj liczbie i tak pięknéj postaci przybyli, ani wam za to dziękuję,

ani was czczemi słowy o wykonanie przedsięwziętego zamiaru proszę: bo jako sąsiad wasz i przyjaciel, który trzy pokolenia przeżył w tym Oszmiańskim powiecie, wiem to dowodnie, że jako uczynkami waszemi nie kieruje żadna stronność ani prywata, tak znowu wiem z drugiéj strony, że za cnoty wasze nagrody nie wyglądacie z kąd inąd, jeno tu od własnego sumienia waszego, a tam od Tego, który was wszystkich stworzył i który tylko sam jeden jest wstanie obywatelskie cnoty i zasługi wynagradzać wedle wartości. Ale oto jest biedna, opuszczona po córce mojéj sierota (to mówiąc dziadek, wziął obok siebie stojącą Zosię za rękę i podprowadził ją o krok naprzód), która, jak wiotki powój o saméj wiośnie została się sama, opuszczona i nieszczęściami przygnieciona do ziemi, a podczas gdy główkę uchyliwszy do słońca, szuka drzewa mocnego, o któreby się mogła oprzeć, znalazła tylko starego dębu pień spruchniały, który lubo musi służyć jéj za podporę, jednakże raczéj sam się powali i ją swym ciężarem przygniecie, niżby miał jéj dać ulgę i opiekę. Ta sierota Mości Panowie!... rzuca się przed wami na dziecięce kolana...

Tu się Zosia rzuciła na kolana i ręce złożyła, ale dziadkowi tak gwałtownie łzy się puściły z oczu, że już nie mógł nic daléj mówić.

Szlachta téż jedna szlochając w głos jak pacholęta, inni łzy ocierając, okrążyli go ciaśniejszém kołem i całując w ramiona, w ręce, a niektórzy w róg granatowego żupana, wołali: — Daj pokój, bo rozpłyniemy we łzach i żałości! — Inni zaś:

— Daj pokój, wszystko zrobimy!
— To ojciec nasz, to patryarcha!
— Z ojcami naszymi sługiwał!
— Naszych dziadów pogrzebał!
— Niech siada, niech siada, bo osłabnie!
— Żeby i diabli pilnowali tego zamku, to go dobędziem!
— Mury na kawałki rozszarpiem!
— I miejsce zaorzem!
— Żeby ani ślad nie pozostał!
— A córkę mu tu na rękach przyniesiem!
— A tego łotra, co nam taki wstyd i hańbę....
— Na suchéj wierzbie powiesim!

I poczęli brwi marszczyć, wąsami ruszać, że aż strach był patrzeć po téj garstce wojaków. Tymczasem dziadka posadzono na ławie pomiędzy lipami, co przedniejsi go obsiedli i obstąpili, zaręczając, że mu córkę przed północą przyniosą; inni przystępowali do Zosi, kojąc jéj łzy i szlochania, prawiąc grzeczności i przysięgając, że życie swoje położą za matkę dla sieroty.

W dziedzińcu zaś zrobił się wielki gwar i zamieszanie: jedni beczki z trunkami wytaczają z stodoły, nalewają i piją: Na powrócenie szczęśliwe Stolnikowej! Na śmierć diabłu weneckiemu!

Na powalenie w gruzy przeklętego zamczyska! — Inni wynoszą jadła i pieczywa i rozkrawując je w powietrzu, podają drugim — inni jeszcze broń gładzą, ostrzą pałasze, kulbaczą konie — inni, jako Demostenes z Zalosówki, człek mały, pękaty i łysy, a prawie obdarty w ubiorze, jako Seneka Giembutowicz, chudy, wysoki i zezowaty, powyłazili jeden na beczkę dnem wywróconą do góry, drugi na stós belek leżący pod szopą, i ogromadziwszy około siebie po garstce słuchaczy, perorują z wielkim ferworem i dobitną gestykulacyą. A muszą ci prawić coś nieźle, bo zyskują aplauzy i w dziedzińcu krzyk się wzmaga coraz groźniejszy i donośniejszy.

Ja byłem tu i tam; temu podawałem wino, tamtemu miód, trzeciemu jadło, tamtego perory słuchałem przez chwilę, temu kompliment powiedziałem od dziadka, a onemu pochwaliłem broń albo konia, wszędzie starając się o to, ażeby nadto wielki ferwor umitygować, ale ducha dobrego ustalić i utrzymać. Przy téj robocie nietylko to miałem na celu, aby dziadka w obowiązku gospodarskim wyręczyć, ale zarazem i to, żeby się z tymi ludźmi choć cokolwiek obeznać, i wśród aktu samego wiedzieć, gdzie się po co rzucić i kogo do czego użyć; bo prawdę powiedzieć, ja sobie zdobycia tego zamku nie uważałem za rzecz tak małą. Murdelio, pan zamku, był człek nie głupi, i do tego takiéj determinacyi, jak mało kto; a z takimi ludźmi zwłaszcza w chwilach stanowczych nie łatwa jest sprawa. Przypomniawszy zaś sobie, że na wiadomość o oburzeniu się całego powiatu na niego i rozpacz go mogła owładnąć, można było i o zwycięztwie powątpiewać. Ja przynajmniéj tak tę rzecz rozumiałem i w tym celu kręciłem się między szlachtą i wyrozumiewałem co mógłem, a lubo w niedługiéj chwili już mi się wiele rzeczy wyjaśniło, to jednak jakoś nie kontent byłem i sam nie wiedząc czego, jednak czegoś szukałem. Aż dopiero, gdy już wszystkich co celniejszych poprzechodziłem z osobna, pokazało mi się jawnie, że to, czego szukałem i znaleźć nie mógłem, był Jur z Borowiczek. Oglądałem się jeszcze raz i rzeczywiście nigdzie go ujrzeć nie mógłem; dziwno mi było, że on, pierwszy junak oszmiańskiego powiatu, na którego, jakby na cztery tuzy; liczono i w którego ręce już naprzód składano komendę, nie mówię, zniknął z placu, ale odsunął się w kąt w takiéj chwili, w któréj przytomność zaufanego wodza wiele działa na podkomendnych. Ja już w mojem życiu, widziałem i bardzo wielkich junaków w stanowczéj chwili znikających z placu. Więc tém większa chęć mnie wzięła koniecznie odszukać Jura z Borowiczek i obaczyć, co on téż robi. Jakoż po niedługiéj chwili znalazłem go wewnątrz stodoły, siedzącego w kącie na ławie opartego plecyma o wiązkę słomy i zadumanego głęboko. Przystąpiłem tedy do niego i rzekłem:

— Cóż Waszmość tak samotnie? i od kolegów zdala i od

posiłków zdala, a przecież to noc przed nami i podróż dwumilowa i robota może nie lekka.

— Głodny nie jestem — odpowiedział mi na to Jur z Borowiczek — a choćbym nawet i głodny był, to wolę głód przenieść, niż słuchać tego nieznośnego gwaru, który mnie dzisiaj tak razi, jakby mnie kto nożami krajał.

Nie wiele to jest junaków na świecie, którzy gwaru nie lubią, i owszem, jest to ich żywioł właściwy, jako woda dla ryby, lub powietrze dla ptastwa; więc ta odpowiedź jego zajęła moją uwagę — a że to dopiero co słońce zaszło było i jeszcze najmniéj z godzinę należało się z wyruszeniem zatrzymać, więc usiadłem koło niego mówiąc:

— Dziwi mnie to nie pomału, że Waszmość, ktory, jak mi tu powiadają, wzrosłeś śród gwarów wojennych, myśliwskich i zajazdowych, dzisiaj go znieść nie możesz.

— Otóż to może najgorzéj — rzekł on na to, że to przypomina! Nie będziesz bowiem Waszmość rozumiał, że ja mam nerwy słabe i dla nich znieść nie mogę, że kilkunastu szlachty krzyka sobie przy kubkach i szablami pobrzękuję; ano to mnie jest nieznośne, że dla prywaty się tu zlecieli, jako muchy do miodu, i krzyczą a junakują tak srodze, jakby już z parę światów zburzyli w swém życiu i teraz znów szli na jeden. To mnie jest przykro i za to mnie serce boli! prozopopeja wielka a rzeczy ani krzty.

— To masz prawdę! — zawołałem na to Jurowi. — Jać nie dawno żyję na tym świecie i więcéj może lat stoi przedemną niż za mną, ale przecież coś jeszcze dawniejszego świata zarwałem. Inny świat, inni ludzie. Z czynów pozostały wspomnienia, z mężów hałaśliwi żakowie, z czynnego ducha, jak to dobrze Waszmość powiadasz, czcza tylko prozopopeja! Tak to jest u was, tak u nas, tak podobno i w całym świecie.

— Mój Boże! — rzekł na to Jur smutno, opierając na łokciu głowę — gdzież to dawnemi czasy!... gdzież to dawnemi czasy, gdzie to słyszano, żeby dla lichego zajazdu takie robić hałasy, takie robić konspiracye, żeby o tém, nim się jeszcze rzecz zrobi, już po całym kraju słyszano? gdzie kto widział, żeby dla lichego zajazdu aż sejmik zrywano?... ale co mi tam na tém! ja już swoje wygrałem.

Odetchnął na chwilę Jur z Borowiczek, jak gdyby wyczekiwał odemnie odpowiedzi, ale ja już nic nie odpowiedziałem — mnie się już serce pławiło we łzach gorących: bo mnie w najsłabszą uderzył stronę.

W tém hałas i krzyki, wzmagające się coraz bardziéj w dziedzińcu, zamieniły się nagle w jeden okrzyk wrzaskliwy i przeciągły — na ten wrzask Jur z Borowiczek porwał się ze swego siedzenia i poprawiając pas skórzany, który nosił po kurcie, rzekł do mnie:

— Aha! już po biesiadzie! chodźmyż i my; czas już wsiadać na konie, a tu nim wyruszymy, trzeba jeszcze jakoś sprawić tych ludzi: bo lubo ja nie myślę, żeby tam przyszło do bitwy, jednak bez ładu trudno i marsz zrobić ladajaki.

— Jak to, Waszmość rozumiesz, że tam nie przyjdzie do bitwy? ja rozumiem przeciwnie, że bitwa będzie i to bitwa nie mała, chyba że Waszmość nie znasz Jmć Pana Piotrowicza *alias Murdeliona!*

— Ja go nie znam? — odparł Jur na to — a kto go zna lepiéj? ale właśnie dla tego, że go znam, supponuję, że do bitwy nie przyjdzie. Zebrał on tam trochę chołoty, ale to wszystko chołota nie tylko bez broni, ale nawet bez ubioru; — zamek nie opatrzony i o obronie z murów ani myśleć może; a do tego Piotrowicz to tchórz koronny, jak każdy łotr z obciążoném sumieniem. Na bezbronnych napadać, kobiety i dzieci straszyć po nocach, włóczęgów wieszać, o! do tego diabelska u niego odwaga; ale bronią na broń, piersią na pierś, nie widziałem go, aby kiedy uderzał.

— Otóż teraz Waszmości powiem, że go nieznasz zupełnie. Ja nie tylko znam jego życie, które pełne jest jawnych dowodów odwagi, ale nawet samego widziałem, kiedy bronią na broń i piersią o pierś uderzał, i to powiadam: że diabelska w nim jest odwaga. Diabelska mospanie! bo nie wstydzę się i tego powiedzieć, że nawet ja sam, który wiele o sobie trzymam, gdy pałasz mam w ręku, jednak nie przysięgałbym na to, że mu cięcie wytrzymam.

— To być może — odpowiedział Jur na to — boć nawet mówią, że sam diabeł w nim siedzi; ale ja bo i diabłu stanę głowa na głowę! A wiesz Waszmość dla czego?

— Nie, nie wiem,

— Bo mam czyste sumienie: — odpowiedział Jur z Borowiczek, i z tém wyszliśmy na dziedziniec.

A dziedziniec aż chodził w około od samego gwaru, pobrzęku i różnéj swawoli, którą drudzy, popiwszy się do szaleństwa, dokazywali: kiedyśmy weszli pomiędzy nich a ja się rozpatrzyłem bliżéj we wszystkiem co się działo, a już zmrok był zupełny i księżyc ani myślał wychodzić na niebo: bo działo się to w dzień, dwa dni po pełni, że i nie mógłem dojrzeć wszystkiego: źle, pomyślałem, szlachta pijana jak susły. A to do tego stopnia, że nie tylko się tak głośno całowali, jakby kto strzelał z batogów, ale drudzy się aż z koni ściągali z swawoli, inni nawet po ziemi się tarzali. Szklanka, dwie, trzy zresztą, dla fantazyi i dobrego humoru, to jest rzecz nie zła i owszem skuteczna, ale spić się jak bele w takiéj chwili, kiedy się komuś przyszło na pomoc i ma los jego rozstrzygać, to diabła warta taka robota! Jakoż zaraz podybawszy Gintowta, rzekłem do niego:

— Panie Cześniku dobrodzieju, czy nie nadtoście tym ludziom w szyję nalali?

— Jakto, na czczo? — rzekł Gintowt, patrząc mnie się prosto w oczy i pokręcając siwawych wąsów.

— Ja mówię, czy nie nadto?

— Nie nadto, w samo prawie; — odpowiedział pan Cześnik; ale odchodząc tak potężnie się kiwnął na stronę, iż ani chwili nie wątpiłem, że i on ma w samo prawie.

W tém przystąpił do mnie Jur znowu, który już tymczasm cały dziedziniec był obszedł i rzecze:

— No! panie bracie, teraz my się napijmy po kropli, bo już czas wielki.

— Dobrze — rzekłem — ale coś mi tu zanadto ponalewali.

— Nic nie szkodzi, przecie to półtoréj mili drogi.

Podał nam też zaraz pan Kościuszkiewicz dwie butelek dobrego wina, które wypiwszy sobie z Jurem w ręce, rzuciliśmy na ziemię; on zaś wstąpiwszy na stół kamienny i już nie smutnym, ale donośnym i czystym jak dzwon głosem zawołał:

— Panowie! czas wsiadać! Niech żyje pan Wit! a niech na wieki przepadnie wstyd i hańba oszmiańskiego powiatu!

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy jednym głosem, a lubo z tych i owych kątów dały się słyszeć głosy:

— Kto krzyczy?

— Diabeł wenecki.

— Jur z Borowiczek.

— Jaki mi do komendy!

— Panie Seneka czy wsiadać?

— Panie Gintowt! a jak tam? ty prowadź!

— Czekajno! jeszcze słowo!

— Héj! niech go diabli!

— Ani kosteczki zeń nie zostanie! — i Bóg nie wie co jeszcze, to jednak ani jedno *Ave* nie przeminęło, kiedy już wszyscy siedzieli na koniach a Jur na siwym ogromnym ogierze, szalał tędy owędy prosząc do porządku Waszmość panów braci i dobrodziejów.

Kiedyśmy wyjechali i zaraz za bramą sprawili się na drogę, zrazu tylko krzaczyskami i karłowatą brzeziną otoczoną, zaraz też księżyc pełny dobył się na niebo; ale taki był krwawy, tak czerwony, że zawiesiwszy się nad czarnemi borami, wyglądał jakby słońce wypalone i gasnące nad Litwą. Potém wyjechał on wyżéj i jeszcze wyżéj, a tak wyjaśniał i wybielał, że rozlane po sobie światło jego odbijając ziemia, zdawała się kobiercem zielonym w srebrne dzianym desenie. Nakoniec wyszedł na sam środek niebieskiego sklepienia, i lejąc coraz obfitsze białego światła powodzie, zdało się, że stanął tak i czekać będzie, póki nie powrócimy z wyprawy.

A my sprawiwszy się w takie szeregi, jakie się na niewiel-

kiéj drodze pomieścić mogły, ciągniemy sobie truchtem daléj i daléj. Na przodzie jedzie starszyzna; więc Gintowt, więc Żaba i innych kilku jeszcze siwowłosych, których nazwiska, iłe że litewskie więc dziwne a krótkie, dawno mi już wyleciały z pamięci.

Za nimi w pierwszych szeregach posuwa się szlachta co przedniejsza, a po skrzydłach młodzież, która ognista i radaby już prędko z bliska obaczyć, jako smakuje bitwa; daléj pospolita szlachta z zagonów, a nakoniec tałałajstwo na chudych szkapach, ladajako okulbaczonych, wszyscy pijani serdecznie, gwarząc głośno, odgrażający się srodze i z pachołkami a gawiedzią w czambuł zamieszani.

Ja, jako obcy pomiędzy nimi, żeby mnie kto nieposądził o chęć burmistrzowania na cudzéj ziemi, jechałem z Węgrzynkiem moim na samym końcu, ale dwóch stajan nie zrobiłem, kiedy do mnie przygalopował Jur z Borowiczek z drugim jeszcze jakimsiś młokosikiem, którzy to lubią się wieszać przy starszych, aby nic jeszcze nie uczyniwszy i żadnego dowodu ani ręki ani głowy nie dawszy, zaraz już coś więcéj znaczyć nad innych i obadwa stanęli przy mnie.

— Kto tu się wlecze na szarym koniu? — rzecze Jur dojeżdżając do mnie i opatrując mnie bliżéj.

— To ja panie bracie — odpowiedziałem — niechcę się naprzód wysuwać przed bitwą, żeby mnie Litwini nie posądzali o co: bo i tak już słyszy się nie jedno i puszcza pomimo ucha, a jak przyjdzie do bitwy, to już ja się znajdę naprzedzie.

— Masz Waszmość prawdę: w ogniu pierwszy, w odwrocie ostatni, oto żołnierz jak trzeba, a tymczasem i ja tu z Waszmością pojadę.

Proszę, proszę — rzekłem, — jeżeli Waszmość dla mojéj kompanii, to nie przyjmuję téj grzeczności; Waszmości tam potrzebniejszy na przedzie. — A on na to:

— Radbym mówić, że dla kompanii, ale tak nię jest: bo tu moje właściwe miejsce.

— A to na co?

— Na co? niebawem to Waszmość obaczysz. Ledwie co tych słów dopowiedział, kiedy dwóch Waszeciów z szarego końca, już od niejakiéj chwili pozostając po trochę, skręciło nagle na lewo i zniknęło między jelnikiem. Wtymże momencie spiął Jur konia i krzyknąwszy: Oho! już? — skoczył za nimi i zaraz im drogę zajechał. Myśmy posunęli się za nim.

— Panowie bracia! — wołał on do tych dwóch zatrzymanych przez siebie — fugas chrustas? fe! to nie ładnie.

— My nie... my tego... ja tylko tak... jąkali oni jeden za drugim, zmięszawszy się setnie.

— No, ja widzę, że to nic, że Waszmość tylko tak — odpowiedział Jur na to, — ale jednakże to nie ładnie; niech no

Waszmość nazad się wsuną w szeregi: bo my nim uderzymy na zamek, to pierwéj przecie staniemy i obliczymy się, a pan Gintowt ma wszystkich spisanych.

— Czy do diabła! popisał nas? — rzekł jeden.

— Da, popisał panie bracie! Chyba wracajmy, — odpowiedział drugi i zwróciwszy konie, wjechali obadwa do szeregu, mrucząc sobie coś z litewska pod nosem.

Będzie tu tego więcéj — rzekł do mne Jur, kiedyśmy już dawnym ładem postępowali daléj.

Jakoż zaraz się to potwierdziło: bo znowu niebawem dwóch wymknęło się w jelnik, a kiedyśmy ich zgonili, pokazało się, że obadwa byli szczerzy boćwinkowie z pod saméj Oszmiany. Jednakże nie mogę powiedzieć, żeby dużo było tego gubienia się po drodze, bo koniec końców tylko trzech nam znikło.

Zegarek mój kieszonkowy pokazywał jedenastą godzinę, kiedy Jur rzecze do mnie:

— Kiedy wyjedziemy za las, popatrz Waszmość na lewo, obaczysz Murdeliona. I w saméj rzeczy, ledwieśmy wyjechali za las, zaraz się tak przecudny a dziwny przed naszemi oczyma roztoczył widok, że go podobno do śmierci nie zapomnę. Widok ten oto poczynał się piękną równiną, która była tak lekką a białą mgłą nakryta, jak gdyby ją kto delikatnym nakrył muślinem. Mgła ta im daléj, tém się wydawała gęściejszą i bielszą i tém podnosiła się wyżej, a nakoniec tak wysoko, że aż sobą zakrywała ostatni kres nieba; a wciągając w delikatne swe fałdy srebrne światło księżyca, dozwalała zarazem przez siebie widzieć rój gwiazdek bladawych, niby w niéj utopionych i konających, Na takiem tle cudownem, po lewéj stronie nad wzgórzą rysował się zamek czarny, którego jednakże tylko wierzchnie mury i niewysokie zębate a krzewami zarośnięte już baszty, widne były naszemu oku; reszta zamku także była w mgle zatopiona. Na tych murach i basztach widać było wyraźnie jakichś ludzi kręcących się tam i sam, którzy tém dziwniéj nam wyglądali, że niektórzy z nich trzymali jakieś lonty zapalone albo latarnie w rękach i z niemi się snuli. Z resztą jeszcze tylko w kilku oknach zamkowych widać było światło jaskrawsze; niżéj mgła grubsza niczego już dojrzeć nie dozwalała.

Ujrzawszy to, zatrzymałem konia i przypatrywałem się temu dziwnemu widowisku, a im dłużéj się przypatrywałem, tém dziwniejsze mi się naciskały myśli i uczucia, bo to co widziałem, kazało mi się w tém miejscu domyślać, raczéj jakiegoś zaczarowanego dobrych duchów mieszkania, niżeli diabelskiego siedliska. Ale niebawem wyprowadzony zostałem z błędu: bo w téjże chwili krzyk głośny dał się słyszeć na murach, czerwone światełko mignęło jaśniéj na jednéj baszcie, trzy strzały działowe zatrzęsły ziemią i powietrzem, trzy kule zaświstały koło nas, a jedna znich

o kilka kroków tylko odemnie roztrzaskała wraz z koniem owego młokosika, który dobrowolnie adjutantował Jurowi.

Takie przywitanie, przez najbojaźliwszych nawet niespodziewane, zrobiło efekt należyty.

I warto było widzieć Jura z Borowiczek natenczas, jako z dobytą szablą rzucił się przed front pierwszych szeregów; warto było widzieć Gintowta starego, który odmłodniawszy o lat 20, stał na przodzie, jak rycerz prawdziwy; ba! warto bo i było widzieć on hufiec cały, który pozbywszy się trzech tchorzów ze swoich szeregów, na odgłos strzałów, zatrząsł się cały i dobywszy jednocześnie szabel, stanął nietylko gotowy, ale pojedyńczemi końmi nawet naprzód wysadzał i rwał się, jak gdyby każde mrugnienie oka było dla niego godziną.

Skoczył Jur na koniu przed front hufu i dobywszy szabli, wielkim głosem zawołał: — krew już płynie! po żołniersku ten diabeł nas wita, odpowiedzmyż mu po żołniersku: — Gintowt zaś z swojéj strony zawtórzył:

— Pomnijcie na to, że ja tam każdą dziurę znam w zamku; kiedy uderzycie, wprost za mną, z przyzwoitym impetem, ani włos z głowy żadnemu z nas nie upadnie!...

I coś tam jeszcze perorował pan Gintowt, a tymczasem Jur z Borowiczek i jeszcze kilku innych co przedniejszych, a żołnierki z lat dawnych świadomych, rzucili się to na lewe skrzydło, to na prawe, to na tył, aby w szyk bojowy posprawiać szeregi,

Ja z Węgrzynkiem i onym nieboszczykiem rozerwanym na dwoje stałem zrazu z tyłu za całym hufcem, ale gdym usłyszał głosy komendy, rzekłem do Węgrzynka:

— Janczi! pamiętajże sprawić się dobrze, bo zuch jesteś w gospodach i dobrze się sprawujesz z hołotą; ale to wszystko za nic, kiedy rzecz pokpisz ze szlachtą.

— Wielmożny panie! — rzecze on na to — mnie aż dusza się śmieje. Wszystko dobrze będzie.

— Pamiętajże — rzekłem jeszcze — trzymać się mnie nie daleko, a przy pierwszym szturmie nie wyrywaj się bardzo naprzód, bo pocztowym to nie przystoi. Potém już bij gdzie się podoba. No! w imie Boże!

— Zaszwargotał coś jeszcze mój Janczi z węgierska i wjechawszy w kupę, wwiercieliśmy się tak, że ja stanąłem w pierwszym on zaś tuż za mną zaraz w drugim szeregu.

Szeregi już były sprawione, tylko jeszcee ten i ów się poprawiał na siodle, tamten pistolety dobywał, drugi się modlił po cichu, a inny uawet szkaplerz poświęcony całował; więc Gintowt stary, obwiązawszy prwą rękę paskiem św. Franciszka od omdlenia i kurczów dla wiekowych ludzi skutecznym, podniósł w niéj szablę do góry i odrzuciwszy pierwéj Jurowi słów parę, chciał podobno w imie Boże! zawołać, ale w tymże momencie znowu takoż trzy strzały działowe zagrzmiały z murów — jednakże tą

razą nic nam nie zaszkodziły, tylko mowę Gintowtowi przerwały. Lecz gdy te strzały przebrzmiały, a Jur z Borowiczek stał już na prawém skrzydle nie opodal odemnie, Gintowt jeszcze parę kroków ku szeregom postępował i głośno zawołał:

— W Imię Ojca i Syna i Przenajświętszéj Matki Ostrobramskiéj, daléj, panowie bracia! — Po tych słowach on sam zwrócił konia i skoczył pierwszy, my zaś wszyscy z okrzykiem: Jezus', Marya, Józef! skoczyliśmy za nim i zaraz pędem z kopyta.

Zamek ów od nas nie był daléj, jak na trzy stajan; fosy w około niego były pozarastane, mury porozwalane i tylko gdzie niegdzie krokwiami albo belkami na prędce pozakładane; ale luki wszystkie były wielkiemi kupami ludzi poobsadzane, o czém my jednak nic a nic nie wiedzieli. I kiedyśmy z miejsca ruszyli, to lubo szeregi nasze były wyciągnięte prosto jak linie, w stu krokach wszystkie się rozerwały i zrobiło się tak, że Gimtowt po po staremu dżgał naprzód, za nim zaraz Jur z Borowiczek, za Jurem ja z drugim jakimś szlachcicem, a za nami dopiero reszta gnała co konie mogły wyskoczyć. Ale i tym porządkiem nie biegliśmy daléj, jak drugie sto kroków: bo w trzecich stu wszystkich nas naczelnych przesadził mój Janczi — i z takim impetem uderzył w to miejsce, gdzie snać dawniéj brama bywała, ale teraz kilka drzew tylko leżało i tłum ludzi zbrojnych stał z wystawionemi przeciwko nas spisami, że sam prawda wywrócił się z koniem przez drzewa, ale nam taki rum zrobił, że przez cały dziedziniec nabity hołotą, przejechaliśmy, jakby tylko przez łąkę, i znaleźliśmy się pod samemi drzwiami zamkowemi. Tam się znalazłszy, za przykładem Gintowta zaraz zeskoczyliśmy z koni, i walimy prosto po wschodach kamiennych na górę. Jak się to działo, Bóg raczy wiedzieć, bo prawdę mówiąc, ja przynajmniej w takich imprezach jeszcze nie bywałem; tém bardziéj téż tutaj, nie znając ani miejscowości, ani ukrytych Gintowta planów, o które nawet pytać nie było czasu, szedłem jak ślepy lub pijany. Jednakże znalazłszy się na wschodach i obaczywszy, że nas tylko pięciu tam było, reszta zaś wszystka pozostała na dole, a może i za murami, rzeknę prędko do Jura:

— Panie bracie! pięciu nas tylko; odcięto nas!

— Nie odcięto; znam ja swych ludzi! — odpowiedział Jur, i wtém wpadliśmy do sieni pierwszego piętra. Tam zaraz na Gintowta, który szedł pierwszy, uderzyła kupa zbrojnych. Gintowt się odciął i zaraz natarł; tuż za nim Jur rzucił się, jakby lew rozdrażniony, a potém nuż my kiedy ich weźmiemy na szable, to jakby orzech zgryzł; kilku położyło się zaraz, a reszta jak wymiótł. Murdeliona jednak pomiędzy nimi nie było.

— Gdzież ten diabeł wenecki! — zawołał Jur na to, gdyśmy w sieniach ostali sami.

— Do tych drzwi walmy! zawołał Gintowt, pokazując drzwi jedne na lewo.

Wtém huk straszny się rozległ po całym zamku; wszystkie mury zadrżały, aż podłoga pod nami zadygotała. Był to ostatni strzał działowy; wydany z baszty zamkowéj; ale już to był jęk śmiertelny tego diabelskiego zamczyska: — bo nie zważając nic na to, w tejże chwili rzuciliśmy się na drzwi pokazane nam przez Gintowta i uderzyliśmy w nie ramionami. Drzwi tylko trzasnęły kilka razy pod naszym naciskiem, ale téż i natychmiast pękły i rozdarłszy się w kilka części, wpadły do izby. W pierwszéj izbie nieznaleźliśmy nikogo, tylko światło uderzyło nas w oczy; ale równo z łoskotem, który za naszém wpadnięciem rozległ się po salach zamkowych, w drugiéj czy w trzeciéj izbie dał się słyszeć strzał z pistoletu i zaraz za nim krzyk gwałtowny, kobiecy, rozdzierający serce. Na to poskoczyliśmy jeszcze rączéj do drugiéj izby, ale i w téj nie było nikogo, tylko światła i świątła; przy drzwiach do trzeciéj dopiero, jakiś pachoł zbrojny zastąpił nam drogę — ten od Jura rozpłatan na miejscu. Po tym trupie przebiegliśmy daléj, do sali wielkiéj, wysokiéj, z wązkiemi gotyckiemi oknami, z mnóstwem różnych drzwi i krużganków, ale i tu nie było nikogo, a że drzwi było kilka, więc Gintowt znowu rzucił się naprzód i wpadłszy razem z nami w małe rogowe drzwiczki, wwiódł nas do niewielkiego pokoju, w którym już miało się oko na czém zatrzymać. Na ziemi bowiem wyciągnięta jak długa leżała zda się już nieżywa niewiasta; koło niéj z rozpierzchnionemi włosami, z krwią nabiegłemi oczyma, z twarzą prawie tak czarną jak węgiel, pomieszany, chwiejący się, we francuzkie czy włoskie, koloru czarnego, suknie ubrany, on sam Murdelio. U nóg jego na ziemi, niedaleko od téj kobiety, leżała szabla bez pochwy i pistolet pewno po strzale porzucony przez niego; on zaś sam trzymał drugi pistolet i z wzrokiem utkwionym w ową kobietę, zdawał się być w onym fatalnym momencie, w którym człowiek spełniwszy czyn rozpaczy i widząc, że i ten na nic się nie zdał, traci głowę i zmysły. Jednakże gdyśmy wpadli, porwał się i wymierzywszy do nas z pistoletu, wystrzelił, ale już spudłował. Na to Jur rzucił się na niego, a jako już rozbrojonego, puściwszy szablę swoją na temlak, ręką pochwycił za kark i podniosłszy go w powietrze, zawołał:

— Rozćwiartować tego djabła!

Ale ledwie tych słów domówił, Murdelio' się zwinął jak wąż, Jura ukąsił w rękę do saméj kości, i wyrwawszy mu się z garści, z sztyletem błyszczącym jak szkło, który nie wiem czy miał za rękawem, czy dobył z za pasa, rzucił się na nas. Nasza wina była, żeśmy nie byli przytomni, z czego on korzystając, najpierw mnie, który już z opuszczoną szablą stałem o parę kroków, pchnął tak silnie w pierś poniżéj prawego ramienia, że mi i pierś przebił aż do saméj łopatki i zaraz powalił o ziemię; potém Gintowta srodze drasnął po twarzy i także powalił, a przez powalonych skoczywszy, w drzwiach zniknął. A wszystko to

stało się tak nagle, że kiedy tamci dwaj szlachta za uciekającym z pistoletetów strzelili, to jeno drzwiczki kulami potrzaskali.

Co się daléj działo, tego już dokładnie opowiedzieć nie umiem: bo mnie za moment cała gęba napełniła się krwią i odszedłem od przytomności. To tylko dla zaokrąglenia rzeczy dopowiem, że ona niewiasta, którąśmy na ziemi leżącą znaleźli i zabitą być rozumieli, była to pani Stolnikowa; ale ani zabita, ani nawet draśnięta nie była, tylko tak od przestrachu przy pierwszym Murdeliona strzale omdlała. Zaś, czy ten strzał Murdelio puścił do niéj, czy przez prędkość do nas, jeszcze natenczas w pierwszéj izbie dopiero będących, nigdy się od niéj nie można było dowiedzieć.

Szlachta nasza, powstrzymana przez ową hołotę w dziedzińcu, biła się doskonale, ale hołota niepotem; jednakże naszych liczono czterech zabitych i kilkunastu ranionych, pomiędzy tymi i Węgrzynka mego, który tak był skłóty i potłuczony, że jego powrócenie do zdrowia i do dawnéj fantazyi, za cud Pana Boga trzeba było uważać — hołoty zaś nasieczono bez liku.

Murdeliona, po zniknieniu jego z onéj izby narożnéj, ludzkie oko już nie widziało: przechował li on się gdzie w jakiéj piwnicy, dostał-li się jakim podziemnym wychodem na czyste pole, a nawet czy kiedykolwiek potém jeszcze się na swym zamku pokazał? — pozostało zagadką na wieki, a zarazem i źródłem do wielu baśni i plotek, które do dziś dnia opowiadają sobie w tych okolicach.

My zaś wszyscy, a mianowicie pani Stolnikowa, wystraszona, milcząca i blada, jakby ją z trumny wyjęto; ja srodze ranny i osłabiony; Gintowt z rozpłataną gębą i wąsem odciętym, i reszta pokaleczonych, powsadzani na wozy i otoczeni mało co przetrzebionym hufcem naszym na koniach, jeszcze śród ciemnéj nocy wyruszyliśmy z zamkowego dziedzińca. Właśnie słońce poranne pierwszemi promieniami swemi złociło jasno zielone łąki i pola, tysiącami tęczowych blasków igrało w każdéj kropelce rosy, kiedyśmy stanęli przed obrazem Matki Najświętszéj Ostrobramskiéj, wiszącéj nad gankiem dziadkowego dworku, i tam witani byli łzami i mdłościami i okrzykami radości!

D.

Romanse

czyli

Powieści większe.

Pieniądze bez pracy.

Z „Nowych Wędrówek Oryginała“ przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno 1851.

Noc była ciemna. Chmury zalegały niebo i jakby naciskały ku ziemi atmosferę ciepłą i duszącą. Żaden wszakże huk w górnych strefach, ani odgłos dalekiego grzmotu nie zapowiadał zbliżającéj się burzy. Owszem, cisza jakaś posępna i usypiająca otaczała okolicę pustą, niezamieszkałą i ograniczoną z jednéj strony stromym i poszarpanym brzegiem jakiegoś parowu, a z drugiéj gęstym lasem, daleko rozłożonym, ale którego granic i formy w téj ciemności oko rozróżnić nie mogło. Kilka tylko sosen wysokich wyskoczyło naprzód lasu. Gałęzie ich szumiały ponuro, jakby wyzywając szum głuchy, który z gęstwiny dochodził. Ze wzgórzów parowu sterczały ku dołowi czy brzozy, czy inne drzewa, i piętrzyły się dzikie zarośla. Z nich kiedy niekiedy odzywał się z jękiem głos puszczyka, któremu z pod lasu odpowiadał świst sów i trzask suchych gałęzi.

Miejsce to puste, także nie było równém. Sterczyły na niém głazy, to leżące płasko na ziemi, to pochyło podnoszące się nad nią; jedne połamane, jakby rozdarte i wyszczerbione, inne zupełnie nieforomne. Oprócz tych kamieni, wystających nad powierzchnią, wzniosły się kupy ziemi, jakby mogiły, to nagie, to zarosłe chwastem i trawą. A wszędzie rósł piołun, paprocie zalegały puste miejsca między kamieniami, z pośrodka których wznosił się pochylony jakiś słup wysoki, jakby ułomek krzyża, którego poprzeczne ramiona, opadłe od czasu niepogody, wisiały widać na jednym tylko gwoździu.

Wśród téj powszechnéj ciemności, tak rzadkiéj w czasie nocy letnich, i pochłaniającéj wszystkie formy i granice przedmiotów, jednę tylko rzecz można było lepiéj odróżnić. Była to chatka z prawéj strony pod stromém urwiskiem stojąca. Nie miała ona żadnego ogrodzenia, niska, ze złamanym dachem, dogniwała widać do końca i czekała zupełnego upadku.

A jednak w okienku téj chatki było światło, które na kilka kroków oświecając ciemności, widniejszą ją czyniły, niż to wszystko, co ją otaczało. Światełko to migotało nierówno; raz mocniéj, znowu jak gdyby zagasnąć miało. Wszakże nigdy nie błysło tym czerwonym blaskiem, jaki się rozchodzi od płonącego łuczywa, lub od gorejącego dobrym ogniem komina; ale blade, niepewne, zdawało się wypływać z dogorywającego kaganka, który przed samém zagaśnieniem rzuca niekiedy żywszy połysk.

Wśród téj posępnéj i powszechnéj ciszy, dał się nagle słyszeć głośniejszy i bardziéj przenikający jęk puszczyka w zaroślach; las mocniéj zachuczał, zdawało się, że ogromne drzewa padają z trzaskiem, ustępując z drogi jakiemuś dziwnemu przechodniowi. Wiatr zawył silniéj, potężniéj; sosny pogięły się i zaskrzypiały, krzyż stary zatrząsł się, jakby miał upaść — i wówczas od strony lasu wysunęła się postać olbrzymia, mająca cokolwiek podobieństwa do postaci ludzkiéj, ale większa w wymiarach, a w formach niewyraźna i niewykończona. Postać ta zatrzymała się chwilę na środku płaszczyzny — nagięła się cokolwiek ku lewéj stronie, jakby chciała przejrzeć wązkie przejście między lasem i parowem, i potém wyprostowawszy się, poszła prosto ku chatce, nie zważając na mogiły i sterczące kamienie, które żadnéj nie kładły zawady.

Za zbliżeniem się jéj do chatki otworzyły się drzwi, w których znikła; potém drzwi się zamknęły, — i znowu miejsce to zaległa cisza głęboka. Wiatr ustał, las przestał szumieć; światełko tylko w chatce trochę żywiéj i prędzéj migało i puszczyk jęczał ciszéj, ale boleśniéj.

Po niejakim czasie, ścieszką pomiędzy parowem i lasem pokazał się podróżny. Szedł on zwolna, oglądał się na około i pomagając sobie laską, starał się unikać mogił, kamieni i chwastów, które na drodze jego leżały. Gdy postrzegł światełko w chatce, zdjął czapeczkę jakby się uradował, potrząsł nią ku tak pożądanéj gwiazdce, co mu okazywała port, gdzie się spodziewał spocząć i żywiéj ruszywszy, ostatnich widać sił dobywał, aby się do niéj dostać.

Ale gdy już był o kilka kroków, światło nagle zagasło: gruba zewsząd otoczyła go ciemność. Jęknął biedak smutno; nie tracąc jednak nadziei, przybliżył się do drzwi, macając, i pukać zaczął. Żaden mu głos nie odpowiedział i drzwi się nie otworzyły. Przyszedłszy więc do okienka, zaczął w nie pukać i wołać, aby mu otworzono. Ale i teraz milczenie mu tylko odpowiadało. Przestrach widać jakiś ogarnął go, gdy postrzegł, że usiłowania jego próżne, gdyż oglądając się trwożliwie na pustą chatę, cofnął się szybko ku środkowi płaszczyzny i usiadł pod mogiłą wyższą nad inne.

Tak siedział w milczeniu przez kwadrans, pozierając jeszcze kiedy niekiedy, czy nie zabłyśnie znowu światło w okienku; ale

ciemność coraz gęstsza otaczała go stopniami. Wówczas fatyga przemódz musiała strach i przykre wrażenie, jakie na nim to przykre miejsce sprawiło, gdyż zdjął znowu czapeczkę, położył ją na mogiłę, jakby poduszkę, podgarnął pod siebie paproć, która bujnie tam rosła, i wsparłszy na dłoni głowę, wyciągnął się i zasnął.

* * *

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, coś bardziéj skończonego jak była twarz i wszystkie formy młodzieńca, który spał teraz spokojnie pod okiem dwóch potwornych istot. Owszem zbliżenie ich dodawało mu wdzięku i podnosiło jego powaby. Przy téj obrzydliwéj starości, zohydzonéj jeszcze przez nędzę i podejrzane powołanie, przy téj znowu twarzy wyschłéj, na któréj uśmiech szyderski jakby zastygł, lice młode, foremne, rumiane owego młodzieńca, zdawało się twarzą anioła między dwoma szatańskiemi obliczami.

Był on w silę wzrostu i dochodził zapewne do dwudziestego pierwszego lub drugiego roku. Czoło jego szerokie i białe nie pomarszczyły widać żadne troski. Nos foremny, usta kształtnie wycięte i koralowe, policzki cokolwiek opalone, ale pełne czerstwości i zdrowia, okazywały, że zwyczajnym wyrazem téj twarzy był wyraz serdecznéj uprzejmości, dobrego humoru i pokoju serca, które rwało się życzliwie do wszystkich ludzi, do wszelkiéj cnoty, do wszystkiego co wielkie i wzniosłe. Ciemne rzęsy leżały na jego twarzy, i łatwo wyobrazić sobie, jak cudnie musiały ocieniać jego oczy zapewne błękitne. Jasne bląd włosy, w długich puklach spadające, dopełniały i powabów jego, i podobieństwa do śpiącego *Endymiona*. Ta tylko była różnica, że nie *Dyana* mu się przypatrywała, nie księżyc brylantowém światłem z czoła jéj świecący rzucał promień swój na piękne lice kochanka, ale obrzydliwa baba nachylała ku niemu pomarszczoną twarz swoją i oświecała go brudnym, łojowym kagankiem.

Odzienie młodzieńca nie bogate, ale jeszcze czyste, okazywało, że należał do klassy bardziéj wykształconéj. Nie miał on wcale miny wędrującego rzemieślnika. Surdut ciemny, pochodził widać od dobrego krawca; koszula dość cienka i biała wyglądała z pod materyalnéj kamizelki; bóciki, chociaż zakurzone, były obcisłe i zgrabnym krojem wydawały piękne formy niewielkiéj nogi. Na rękach nie miał rękawiczek, ale za to ręka sama była piękna i biała. Słowem, młodzieniec ów bardziéj wyglądał na paniczą, niż na prostego stanu chłopaka.

— Przypatrzyłaś się, — rzekł ów dziwny mężczyzna.

— Widziałam, widziałam dobrze, — odpowiedziała baba.

— Ruszaj teraz spać.

— Idę, idę, rzekła z drżeniem i wyrazem nieograniczonego

posłuszeństwa i poszła nazad ku chacie, w któréj okienku zabłysnęło światło na chwilę i wkrótce znikło.

Stał jeszcze przez niejaki czas nad śpiącym ów nieznajomy, potém nachyliwszy się, dotknął jego piersi i głowy. Za każdém tém dotknięciem wstrząsł się i jęknął młodzieniec, ale się nie obudził. Czy ośmielony tak twardém snem podróżnego, czy w innym jakim zamiarze nachylił się znowu nieznajomy i palce jego zanurzały się stopniami we wszystkie kieszenie śpiącego. Nic tam widać nie znalazł, i zdaje się, że nie miał chęci go obedrzeć. Owszem brał coś z lewéj swojéj ręki i prawą wścibiał w każdą kieszeń jego kamizelki, surduta i spodni. Nareszcie dotknąwszy jeszcze raz jego piersi, uśmiechnął się szyderczo i odszedł parę krokow.

Wtenczas, jakby dym jaki z ziemi wychodzący, otoczył go szarym i widnym słupem. Wiatr silny znowu powstał, sosny chwiać się zaczęły, stary krzyż giął się, skrzypiał — i nagle taka sama postać olbrzymia i niewyraźna, jak na początku téj sceny, posunęła się ku lasowi, z którego długo jeszcze dochodził szum głuchy i trzask jakby łamiących się konarów i drzew padających. Po niejakim czasie huk ten ustał i znowu pustą tę okolicę zelegla cichość głęboka.

Wszystko to działo się na pół drogi między Lwowem i Haliczem, roku 1823. w nocy z 23. na 24. Czerwca.

Ale młodzieniec przebudziwszy się i znalazłszy w kieszeni dukaty, rzucił na ziemię mamonę i odwróciwszy się od czarownicy, która go do zatrzymania tych pieniędzy zachęcała, poszedł szybko ku stronie, gdzie wieże kościoła halickiego rysowały się na czystém niebie! Tymczasem autor opowiada nam, skąd tu przybył ów młodzian i przenosząc nas myślą do *Lwowa*, tak mówi:

Na halickiém przedmieściu, w niewielkiéj i ubogiéj izdebce, siedział przy stoliku młodzieniec i kończył list długi, który widać całą jego uwagę zajmował. Stolik ten prosty, wielkim arkuszem bibuły pokryty i mający na sobie mnóstwo plam atramentu; kilka książek zrzuconych na łóżku, które już nie miało pościeli, papiery i seksterna, obok nich leżące; tłumoczek nie wielki, otwarty i czekający widać ostatniego zapakowania, obok niego stojące bóciki i szczotki jedna w drugą wbite; w nogach łóżka płaszczyk dość wytarty, wiszący na gwoździu i ochroniony od bielącéj zapewne ściany kilku arkuszami czystego papieru; przy nim błękitna manszestrowa czapeczka z kutasem, także z podkładką arkusza papieru; daléj parę stołków prostych, a na jednym z nich duża misa, niby miednica, i dzbanek z wodą, wszystko to okazywało, że to była stancya studenta — i studenta, który się wybierał w drogę.

Jakoż młody człowiek skończywszy list, powstał i wziął się do upakowania swego tłumoczka. Już tam leżała bielizna i cokolwiek rzeczy. Na nich zaczął układać porządnie książki, a na wierzchu umieścił papiery i seksterna sznurkami w spore paczki

pozawiązywane. Z boku, gdzie było jeszcze miejsce, włożył bóty, dalej zasunął szczotki i cały ten bagaż, dosyć lekki i chudy, zapiął na sprzączki, które się jeszcze trzymały, inne powiązał sznurkami i na łóżku położył. Potém umywszy ręce, stanął przed rozbitém zwierciadełkiem, które na ścianie wisiało między dwoma rysunkami, reprezentującymi: jeden cesarza Franciszka, a drugi Kościuszkę; uczesał piękne włosy blond, odgarnąwszy je na bok z jasnego i szerokiego czoła, zawiązał prędko chusteczkę błękitną na szyję, i zapiąwszy kamizelkę ciemną, którą miał na sobie, nadział na to surducik ciemny, czysty i dobrze przystający do jego kształtów, pełnych urody i siły.

Widzieliśmy go już w tém samém ubraniu i wiemy, że twarz jego jest dziwnie piękna, wzrost wysoki, budowa ciała doskonale złożona i w każdym ruchu zgrabność i łatwość bez najmniejszéj pretensyi i przymusu. Wtéj chwili twarz ta jaśniała widoczną radością i szczęściem; a chociaż oczy duże, błękitne, ocienione ciemnemi rzęsami, były cokolwiek wilgotne od rozrzewnienia, któremu widać oprzeć się nie mógł, gdy list swój pisał, na ustach jego jednak był uśmiech, wyrażający piękne nadzieje i zupełne zaspokojenie.

I jakże mogło być inaczéj? Młodzieniec ten skończywszy kurs filozofii w Lwowie, stał teraz na otwartym progu świata i widział przed sobą daleką perspektywę życia. Z pełną głową, z pełnemi piersiami, choć z małym tłumaczkiem i pustą kieszenią, opuszczał obce miasto, gdzie nie wiele kogo żałował, a wracał do domu, do nie wielkiego i miłego miasteczka, gdzie go dobrzy ludzie kochali i admirowali, gdzie miał matkę droższą mu nad życie, i wuja, tamtejszego proboszcza, który łożył na jego wychowanie i którego on czcił, jak świętego. Wkrótce więc miał obaczyć się za granicami murów miejskich, na wielkiéj drodze prowadzącéj do Halicza, wśród cudnéj natury, która swobodnemu, nie czującemu już na sobie kajdan studenckich, tém powabniejszą wydać się miała; wkrótce spodziewał się ujrzeć na dolinie szeroką wstęgę Dniestru, za nią wznoszącą się pięknie górę, a na téj górze rozłożone domy rodzinnego miasteczka, znajome po bokach folwareczki i załomki gór, znane pojedyńczo grusze i olbrzymie dęby, które na pochyłości ich zostały, jakby nie mogły doleźć na wierzch i połączyć się z usadowionemi na wierzchu grupami. Jakże nie miał być rad, szczęśliwy i spokojny, kiedy już widział przed sobą czysty, choć ubogi domek matki, piękne i wzorowe proboszwo wuja, kiedy już czuł, jak łza téj, co mu dała życie, toczy się po jego twarzy, jak ręka tego, co mu dał duszę i rozum, błogosławiąc leży na jego głowie.

W takim stanie był Gabryel Czarosz, kiedy list ów pisał, kiedy potém rzeczy swoje pakował i stał przed lusterkiem, ubierając i ciesząc się, że piękny i dorodny, nie przez próżność, ale

że to uraduje serce matki, która go dwa lata nie widziała i teraz tak znaczną znajdzie odmianę.

Ubrawszy się, przeszedł się parę razy po pokoiku, zacierając ręce, potém przystąpił do stolika, skrzesał ognia, zapalił siarniczek i świecę, i przyrządziwszy akuratnie dwie koperty, usiadł przed zapieczętowaniem do odczytania listów, które tylko co napisał. Było ich dwa, i pierwszy brzmiał jak następuje:

»Najdroższa, serdeczna Matko! Dwa lata przeszło mi bez Twoich pieszczot i uścisków; dwa lata nie widziałem Cię; przez całe dwa lata nie Ty przynosiłaś mi śniadanie i nie Twoja ręka budziła ośmnastoletniego śpiocha i leniwego drymblasa. O! moja serdeczna Matko! jakże długo trwały te dwa lata! a jakżem szczęśliwy, że już minęły, że wczora właśnie skończyły się moje egzamina, a dziś już wolny jak ptaszek, poletę pod strzechę, gdziem się wylągł i z pod któréj nic mnie już nie wypłoszy. Szkoda tylko, że nie mam tyle pieniędzy, żebym mógł, choć nie na skrzydłach, to przynajmniéj pocztą do Ciebie dolecieć. Ledwie kilkanaście złotych mi zostało od wszystkich nieodzownych wydatków, jakie tu miałem, a te nie wystarczą nawet na zapłacenie dyliżansu, a dopiero extrapoczty! Nająłem więc sobie parę koników i wózek na przedmieściu u jednego mieszczanina i tymi powlokę się i wlec się będę długo, nim obaczę nasz dąb podkasały i na jego wierzchu stojącego na jednéj nodze bociana. Cóż robić?! nie jak serce chce, ale jak możność pozwala. Dałem już tu dziesięć złotych zadatku furmanowi, a resztę zapłacisz Ty Matko, albo drogi wuj, do którego piszę i któremu o przyjeździe moim także donoszę. Ten list odbierzesz zapewne na trzy, lub cztery dni przed moim przyjazdem. Bo chociaż i on dziś wychodzi i ja dziś wyjeżdżam, ale ja będę miał tyle noclegów i popasów, a on pójdzie dzień i noc, aż się ujrzy na biórku u pana Hildenfelda, a potém w Twojém ręku, a może i na Twojém sercu, moja serdeczna Matko! O! jakże mu zazdroszczę! jakbym chciał spłaszczyć się tak, jak on i być tak lekkim, byle być tak szybkim i szczęśliwym! Ale gdzie mnie o tém myśleć, kiedym ja jeszcze wyrósł przez te dwa lata i zmężniał i utył. Pyski moje czerwone i oczy błyszczą zdrowiem, pokojem, a w téj chwili błyszczą łzą, która się rwie do Ciebie, serdeczna Matko! i na rękę Twoję upaśćby chciała. Nie myślże sobie nic złego o mnie, i staraj się po odebraniu tego listu skrócić sobie czekanie, jak będziesz mogła. Byleś nie wyobrażała sobie, żem albo chory, albo żem jakiego doznał przypadku. Żaden przypadek spotkać mię nie może. Droga doskonała, lato suche i ciepłe, koniki moje spokojne, a wózek taki niziutki, że choćbym się nawet wywrócił, tobym sobie tyle zaszkodził, jak gdybym spadł z téj darniowéj kanapki, którąm dla wuja pod moim klonem przyrządził. Co najgorszego spotkać mię może, to to, że mi zapewne ostatniego dnia podróży nie stanie pieniędzy na obiad. Ale czyż to wielka bieda dla mnie,

któregoś Ty urodziła a brat Twój wychował, któregoście oboje nauczyli mierności i przekonali, że szczęście jest w pełném sercu, a nie w pełnym żołądku — a serce moje będzie miało coraz to nowy pokarm, bo będzie coraz bliżéj Twojego. Bądź więc cierpliwą serdeczna Matko i wyglądaj mnie na ganeczku Twego domu, na tém samém miejscu, gdzieś mię karmiła, gdzieś mię potém uczyła pacierza, gdziem z Tobą dwa lata temu całą noc przesiedział i przysięgał Ci, że serce i ciało moje będą czyste i nieskażone. Dotrzymałem Ci przysięgi, i taki, jakiegoś mieć pragnęła, powracam na Twoje łono.«

Drugi list był następującéj treści:

»Najdroższy Wuju! Stosując się do życzenia Twego, skończyłem kursa filozoficzne w akademii tutejszéj i wracam teraz na łono wasze, abym zdał przed Tobą sprawę z mojéj pracy i z mojéj myśli. Czy mi się to na co przyda, czy mi co w dalszém życiu pomoże, tego nie wiem. Zależeć to będzie od natchnienia Bożego i dalszego kierunku, jaki mi opieka i wola Twoja naznaczy. Od dzieciństwa przywykłem uważać każde słowo Twoje za święte i wierzyć, że co Ty chcesz dla mnie, tego chce Bóg i szczęście moje w tém życiu. Jakże będę szczęśliwym, gdy już poczuję rękę Twoją na mojéj głowie i błogosławieństwo Twe w sercu. Mam nadzieję, że będziesz ze mnie kontent, bo chociaż przez te dwa lata wiele złego widziałem, mogę Cię upewnić, że nic nie przylgnęło do mego serca i żaden brudny obraz nie zamąca mojéj głowy. Jako środek do zachowania czystości myśli kazałeś mi zachować ciało moje czystém i nieskażoném. Dopełniłem święcie Twego rozkazu i przysiąg danych matce i unikałem troskliwie wszelkiéj pokusy, każdego miejsca, każdego zdarzenia, któreby mogło mię narazić na walkę trudną i niebezpieczną. Dzięki wam za wasze nauki, za te prawa, któremiście każdy krok mój opisali. Jestem zdrów, jak ryba, silny jak Samson, lekki i swobodny jak ptak, któremu, zwłaszcza teraz, skrzydeł tylko zazdroszczę. Matka powie Ci, drogi Wuju, dla czego te listy do was piszę, choć sam wyjeżdżam i dla czego je pierwéj odbierzecie, nim ja będę u nóg waszych i w waszem objęciu. Nim to nastąpi, pomyśl, drogi Wuju, co mam daléj przedsięwziąść. Do uczoności obszernéj i gruntownéj nie mam powołania. Widziałem tu teologów, którzy bez poświęcenia, bez pokory, bez wzniesienia ducha, klepią skrypta swoje poświstując i wchodzą do świętych tajemnic wiary takim umysłem, z jakim rzemieślnik do warsztatu, który mu dać ma kawałek chleba. Gdym pomyślał sobie, drogi Wuju, o czystości Twoich myśli, o świętości wszystkich Twoich uczuć, o téj wierze głębokiéj i szczeréj, z jaką wypełniasz święte obowiązki kapłana, przekonałem się, że żaden z tych kandydatów duchownego stanu, których tu poznałem, nie ma i nie będzie miał namaszczenia; przekonałem się, że trzeba być takim kapłanem, jak Ty, lub nie być nim wcale; przekonałem się, że i ja

do téj wysokości dojść nie potrafię, że także takim nie będę i dla tego, błagam Cię! nie miéj już téj myśli i niewołaj mię za sobą: bo droga Twoja wysoka, wzniosła, jak Twój duch, a jabym upadł na samym wstępie i z drobną duszą swą za Tobą pospieszyć nie zdołał. Widziałem tu także wielu prawników i starych wyjadaczów, i młodych wilczków, ostrzących już zęby na cudzą własność i szukających wykrętów prawnych nawet w studentskich figlach i swawolach. Wszystko to nie dla mnie, mój drogi Wuju! — jam prostak, którego oko mówi prawdę, którego usta brzydzą się fałszem i udaniem. Nie utrzymałbym maski na mojéj twarzy i język mój zdrętwiałby, gdybym musiał uprawniać gwałt, usprawiedliwiać oszusta i w obec Boga i ludzi bronić złoczyńcę. I dla czegóżbym to wszystko robił? dla pieniędzy? Dla mnie pieniądze są piaskiem błyszczącym, plewą nieużyteczną w tenczas, gdym nie głodny i odziany. Inszéj w nich, właściwszéj im wartości nie widzę, inszéj ceny do nich przywiązać nie mogę. A wieleż mi ich potrzeba, gdy głód mój zaspokaja się lada kawałkiem chleba, gdy suknie moje noszą się niewiedzieć jak długo i zawsze są czyste i całe; gdy nie pojmuję, dla czego bażant ma lepiéj nasycić niż kawał mięsa wołowego, dla czego złota szpilka ma lepiéj zapiąć od stalowéj, dla czego sen ma być smaczniejszy i lepszy pod atłasową kołdrą niż pod wełnianą. Wszakże nie dla tego ja mówię to, mój drogi Wuju, abym się wykręcał od pracy, abym nie wiedział jak piękną, jak użyteczną jest nauka prawa, jak wiele prawd w sobie zamyka, jak szeroko rozwija myśl i oświeca jéj drogę przez labirynt ludzkości. I owszem, jeżeli mi każesz odbyć kurs prawa, powrócę tu z ochotą i pracować będę; ale błagam Cię znowu, mój drogi Wuju, abyś mi nie naznaczał powołania jurysty. To nie mój zawód, nie moja droga. Gdybym nią iść musiał, wszędziebym się zadrasnął, kaleczył i zakrwawiony i zmęczony, stanąłbym przy początku. Daruj mój drogi Wuju, że to wszystko piszę. Prosiłem Cię, abyś dla mnie co obmyślił, a tymczasem i z tego się wyłamuję i drugiego nie chcę. Ale mojaż to wina, żeście mnie wypieścili, wykochali, żeście mnie wychowali w miłości prawdy, w przywiązaniu do strzechy ojczystéj, w szczeréj prostocie serca, w umiarkowaniu i pogardzie tego wszystkiego, co fałsz, co zbytek, co próżność? Jeżeli teraz takim jestem, jakiegoście mieć chcieli, czyż odpędzicie mnie od siebie, abym się powalał wrzodami ludzkiemi, abym ścierał z swéj duszy tę barwę dziewiczą, którąście ją okryli, z początku zapewne z bólem, ze wstydem, a potém — kto to wie, może ochotnie, jak inni robią. Nie daj Boże, aby tak się stać miało. Dla tego, mój drogi Wuju, wolałbym przedewszystkiém zostać w domu. Jakże gorliwie pomagałbym matce w gospodarstwie? jakbym był szczęśliwym, gdybym się ujrzał za pługiem, w prostéj płóciennéj kapocie i odkładając skibę bogatéj ziemi naszéj, nie myślał o metafizyce, któréj dobrze nie rozumiem, o sylo-

gizmach, którychbym nie potrzebował, ale śpiewając piosnkę do skowronka, deklamując Georgiki Wirgiljusza, wesoły, zdrów i silny, rzucałbym ziarno w ziemię, obcinał drzewka w ogródku, pielęgnował bydełko i konie, i do każdéj gałęzi gospodarstwa przyczepiając kwiat myśli i znaczenia, uszlachetniał, poetyzował to zajęcie rólnicze, najpoetyczniejsze ze wszystkich. Nie są to marzenia, mój drogi Wuju! Serce moje innéj ambicyi, nie ma, jak być z wami, innéj potrzeby nie zna, jak was kochać, innego szczęścia sobie nie wyobraża, jak doświadczać waszéj miłości, waszych pieszczot, słyszeć wasz głos i czuć na sobie błogosławieństwo wasze. Pomyśl o tém, drogi mój Wuju, nim ja przyjadę; nic jednak nie mów matce. Możeby ta myśl zanadto głęboko utkwiła w jej kochającéj duszy, a gdybyś potém co innego względem mnie postanowił, możeby z przykrością od niéj odstąpić musiała. Bo tak będzie, jak Ty każesz, bo moja głowa żyje Twojemi myślami, a moje serce chce Twoją wolą. Całuję rękę Twą, rękę dobroczynną, rękę czystą i zawsze godną żegnać i błogosławić. Twój posłuszny i wdzięczny *Gabryel.*«

Młodzieniec nasz, na którego teraz czytelnicy inném zapewne okiem patrzą, otarł łzę, która zawisła na długich jego rzęsach, i oba listy zakopertował. Na jednym położył adres: Wielmożnéj Apolonii Czaroszowéj w Haliczu — a na drugim: Wielmożnemu JMci. Księdzu Kanonikowi Pileckiemu, Proboszczowi w Haliczu. Potém uprzątnąwszy na stoliku, zdjął z gwoździa czapeczkę, oczyścił ją ręką i nałożywszy przed zwierciadełkiem na głowę, uśmiechnął się jeszcze, że mu tak do twarzy i poszedł oddać je na pocztę.

* * *

O trzeciéj po południu już Gabryel Czarosz był za miastem. Podróż szła z początku raźno. Koniki, chociaż małe i dosyć chude, ale jeszcze nie zmęczone, biegły żywo po drodze gładkiéj i ubitéj. Młodzieniec nasz był wesół i niezmiernie szczęśliwy. Przywykły do życia prawie wiejskiego, przyjaciel drzew i zieloności, rozpuszczał wzrok rozpromieniony po cudnym kraju, który go otaczał, po dojrzałych już, tu i owdzie skoszonych sianożęciach, po bogatych polach i różnobarwném zbożu, które tu już chwiało się falami, kłaniając się wysmukłemi kłosami, tam zieleniło się jak aksamit, owdzie w białawych, podłużnych smugach rozkwitało i wabiło pszczoły pracowite. Nie mógł oczu nasycić tym widokiem i dosyć naciągnąć w piersi świeżego powietrza, które go tak dawno nieowiewało i którego różnica od miejskich wyziewów z rozkoszą czuć mu się dawała. Gdy się gdzie zdarzył las, jeden z tych lasów galicyjskich, tak pięknych, tak rozmaitych, tak powabnie podnoszących się na pochyłościach lub wieńczących zielonym czubem wzgórza, przypatrywał mu się, jakby rzeczy nowéj, nurzał się myślą w jego cieniu, oddychał

wonią jego kwiatów i przyrównywając do gajów naddniestrzańskich, coraz bliższym czuł się domu, łona matki i uścisków wuja. Wśród tych myśli, takich wrażeń zapomniał zupełnie o mieście, o wszystkich mozołach szkólnych, o wszelkich zdarzeniach dwuletniego pobytu, które albo go napełniły upokorzeniem, lub narażały na walkę z sobą samym, lub dając doświadczenie życia, za chwilkę przelotnéj przyjemności odpłacały się gorzkiem wspomnieniem.

W drodze przyczepiło się do niego jakieś licho, na karym koniu Twardowski, i pod samym Haliczem zbiegały się koniki Gabryela. Czarosz wyskoczył z wózka; a woźnica jego z końmi gdzieś zniknął. I tu to przypada owa chwila, w któréj znużony bieganiem i nawoływaniem woźnicy zasnął; tu to kuszony był niezapracowanym groszem i tu szczęśliwie oparł się pokusie. Potém znalazłszy konie z woźnicą, szczęśliwie zajechał na miejsce urodzenia swego, do matki, któréj koleje życia autor tak opisuje:

.....Tym sposobem doszła Apolonia do dwudziestego szóstego roku życia. W tym czasie i właśnie w Wigilią N. Panny zielnéj, była na nieszporach, które brat odprawiał. W kościele przystrojonym już w kwiaty i najrozmaitsze zioła nie wiele było ludzi. Ksiądz Pilecki klęczał na stopniach ółtarza, a Apolonia w pierwszéj ławce klęczała także i modliła się. W tém usłyszała za sobą chód wolny i poważny. Sama niewiedziała, dla czego odgłos tych kroków, od kamiennéj posadzki kościoła odbijający się, zastanowił ją i modlitwę jéj przerwał. Chciała się obejrzeć, ale przezwyciężyła ten pierwszy popęd ciekawości i gdy idący widać się zatrzymał, znowu modlić się zaczęła. Po chwili znowu uderzenia obuwia po kamieniach kościoła, dały się słyszeć. Apolonia podniosła głowę i ujrzała przechodzącego mimo ławki podróżnego, który poważnie poszedł daléj, zbliżył się do galeryi oddzielającéj wielki ołtarz od reszty kościoła, ukląkł i położywszy laskę i słomiany kapelusz na ziemi, złożył ręce i modlić się zaczął. Był to człowiek poważnéj postaci, silnéj budowy, w sukmanie wieśniaczéj, białéj, z czarnemi wypustkami, różniącéj się cokolwiek krojem i kolorem od tamtejszego chłopskiego odzienia. Twarz jego była przystojna, ogorzała, ale czerstwa, rysy pełne powagi i łagodności, a włos siwiejący, zwłaszcza na skroniach, dawał do myślenia, że mógł mieć przeszło lat czterdzieści. Z tłumaka, który miał na plecach, z laski podróżnéj i okurzonych bótów, równie jak z kroju sukni wniosła Apolonia, która mu się ciekawie przypatrywała, że był nie tutejszy i z drogi prosto wracając, wszedł do kościoła.

Po skończonych nieszporach, podróżny powstał i szedł zwolna przez kościół. Gdy się zrównał z ławkami, podniósł głowę, spojrzał na Apolonią i pocierając ręką czoło, jakby sobie co przypominał, spojrzał raz drugi i poważnie wyszedł. To zainteresowanie się podróżnym; to jego spojrzenie, cokolwiek dziwném się jéj wydało; ale wróciwszy do domu, zajęła się czém inném, i wkrótce zapomniała. Czwartego dopiero dnia z wieczora, długo

zasnąć nie mogła; marzyła to otém, to o owém; przebiegała sobie historyą swego życia tak krótką, tak jednostajną, i w wydarzenia ubogą; zapuszczała się myślą w przyszłość, i nie widząc w niéj żadnéj z tych radości, które wstrząsają całą istotą ludzką, postrzegając tylko równy bieg dni jednakich, dni spokojnych i błogich póty, póki brat zdrów i przy życiu, wstrzęsła się mimowolnie, uderzywszy się myślą o przypadek jego śmierci, jakby o jaką szkarpę, za którą była ciemna przepaść, gdzie jéj oko zajrzeć nie śmiało. Że nigdy jeszcze ta myśl do głowy jéj nie przychodziła, tém bardziéj się przelękła i starała się tém prędzéj ją od siebie odsunąć. Nauczona doświadczeniem, że w takim razie najskuteczniejszym środkiem jest modlitwa, zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie ślafroczek i uklękłszy przy swojém posłaniu, gorąco modlić się poczęła. Wkrótce jéj oko zaszło łzami, na sercu robiło się lżéj, a ochłodzona świeżém powietrzem nocy, gdy się znowu układła i dobrze okryła, prędko i spokojnie zasnęła. Ale widać, że to była dla niéj chwila stanowcza. Zaledwie sen smaczny pokrzepił jéj członki, gdy zdało się jéj znowu, że szyła ślubną suknią. Była to sukienka prosta, jakby wieśniacza, ale ozdobna swoją prostotą i jak śnieg czysta i biała. Nawet w marzeniach snu, pewnego rodzaju czuwanie i rezonowanie nie opuszcza duszy. Przypominała sobie, że to sen nie pierwszy, że z tą sukienką połączone jest zjawienie, które ma jéj przyszłość objawić. Jakoż podniosła niby głowę, opuściwszy robotę swą na kolana i ujrzała przed sobą, tego samego anioła i na twarzy jego pięknéj i łagodnéj, jakby uśmiech pozdrowienia. »Kończ, kończ Apolonio! rzekł jéj posłaniec boży. Czas twój przyszedł, wiara twoja nagrodzona — patrz! oto jest ten, którego ci niebo za męża naznaczyło.« Anioł zniknął, a jéj znowu zdało się, że była na nieszporach, że widziała brata przed ołtarzem, a od galeryi oddzielającéj wielki ołtarz od reszty kościoła, szedł ten sam podróżny w wieśniaczém ubraniu, patrzał na nią uprzejmie, i na twarzy ogorzałéj, ale pięknéj, był uśmiech życzliwości i wyraz niewypowiedzianego szczęścia. Ocknęła się Apolonia, i już tej nocy sen nie zamknął jéj powiek. Cały ranek była poważna i milcząca; a gdy się zbliżyła chwila nabożeństwa, poszła do kościoła i upadłszy na kolana w najciemniejszym kącie świątyni, dziękowała Bogu za tę opiekę nad sobą, za to cudowne ostrzeżenie i z sercem pełném wiary, że się tak stanie, z pobożną rezygnacyą zaczęła wyglądać przyszłości.

Po skończoném nabożeństwie, wrócił Proboczcz do siebie. Furtka, jak zwykle była otwarta, ale tą razą nikt nie przyszedł. Gdy godzina druga wybiła na zegarze, rzekł ksiądz Pilecki do siostry:

— Apolonio! idź, zamknij furtkę; już dziś zapewne nikt nie przyjdzie. Chciałbym trochę odpocząć. —

Wzięła klucz z ręki brata milcząca i zamyślona, i chciała

wypełnić rozkaz jego. Ale ksiądz Pilecki przytrzymał jéj dłoń, i patrząc na nią, z przywiązaniem i troskliwością, rzekł:

Co ci jest siostruniu! Od rana uważam, żeś smutna i milcząca.

I owszém drogi bracie! — odpowiedziała z uśmiechem pełnym melancholicznego wyrazu, — jestem szczęśliwą, i wkrótce da Pan Bóg, jeszcze szczęśliwszą będę.

— Doprawdy? — odpowiedział brat wesoło, — czy nie sen jaki siostruniu?

— Nie śmiéj się bracie i wierz tak, jak ja wierzę. —

Ruszył ramionami ksiądz Pilecki, a Apolonia poszła z kluczem do muru oddzielającego probostwo od kościelnego dziedzińca. Szła z wolna przez ogród ze schyloną głową i gdy stanęła przy furtce, ujrzała w niéj tego samego wędrowca, którego twarz i postać tak jéj dobrze były znajome. Lekki krzyk wyszedł z jéj piersi i rumieniec oblał jéj lice. Zastanowiło to podróżnego; zdjął kapelsz słomiany, odgarnął z jasnego czoła siwiejące już włosy, i z uśmiechem uprzejmym i rozumnym rzekł:

— Przestraszyłem pannę — przepraszam za moję niezgrabność. Mam interes i prośbę do księdza Pileckiego. Czy mogę go teraz widzieć?

— I owszém: — odpowiedziała, rumieniąc się znowu — mój brat jest u siebie. Proszę z sobą, — dodała odwracając się prędko dla ukrycia swego pomięszania — powiem mu zaraz, że... że interes jest ważny.

— Bardzo ważny, dobra panienko! — dziękuję serdecznie.—

Szła prędko Apolonia naprzód, a za nią podróżny postępując wolniéj, przypatrywał się jéj ruchom i jéj postaci z dziwném jakiemsiś zajęciem.

Apolonia zostawiła podróżnego w pierwszym pokoju, a sama weszła do pokoju brata. Ksiądz Pilecki przyrządzał sobie książkę, z którą miał usiąść na krześle swojém, aby się trochę przedrzemać. Gdy posłyszał chód siostry, obejrzał się, i zadziwiony zawołał:

— Co to jest? Apolonio! twarz twoja jakoś dziwnie wygląda.

— Nic, nic, mój bracie; — odpowiedziała: wziąwszy jego rękę. — Czeka tam ciebie jakiś człowiek, który ma pilny interes. Bracie! dodała z żywością, całując jego rękę: o cokolwiek cię będzie prosił, nie odmawiaj mu; bo co dla niego zrobisz, to zrobisz dla mnie. —

To powiedziawszy, wyszła do swego pokoju i zostawiła księdza Pileckiego zadziwionego i nie pojmującego wcale, co może znaczyć tak żywe zajęcie się interesem obcego jéj człowieka. Podziwienie jego było tém większe, gdy wszedłszy gdzie go gość ów oczekiwał, obaczył człowieka już nie młodego, w wieśniaczéj sukmanie, przypatrującego się rysunkowi, który dla księdza Pileckiego miał wiele interesu. Rysunek ten nie bardzo kształtny i widać dawny, wyobrażał dwóch młodych ludzi, podających sobie ręce

pod słupem drogowym, gdzie się dwie drogi rozchodziły. Oba mieli na sobie podróżne tłumaczki, i chociaż jak się zdawało z odzienia, różnili się stanem, żegnali się serdecznie i jakby przyrzekali sobie: przyjaźń i braterstwo, przed drogą, która ich w różne strony prowadziła.

Ksiądz Pilecki stał cicho przez niejaki czas, niechcąc przerywać zajęcia gościowi swemu, a raczej z zadziwienia, że to, co nikogo nie zastanowiło, najpierwéj uderzyło oczy człowieka, któryby się na takich rzeczach znać nie powinien. Ale gdy postrzegł, że wieśniak przypatrując się coraz silniéj, otarł łzę, przystąpił proboszcz żywiéj i wziąwszy go za rękę, długo mu się przypatrywał. Tamten także przez niejaki czas milcząc, przypatrywał mu się z zajęciem; ale gdy trzymając jedną ręką rękę proboszcza, drugą ukazując na rysunek, powiedział: — Dziękuję ci, żeś to zachował: — Stanisławie! — krzyknął wówczas ksiądz Pilecki — i oba mężowie, jeden w odzieniu kapłana, drugi w prostéj wieśniaczéj sukmanie rzucili się sobie w objęcia i długo się ściskali, witając się po długoletniem niewidzeniu.

Oto jest historya téj znajomości i tego rysunku, który ją tak prędko odnowił.

Stanisław Czarosz, teraźniejszy gość księdza Stanisława Pileckiego, był synem zamożnego wieśniaka, który pod samym Haliczem miał domek, ogród i na wzgórzach po prawéj stronie Dniestru piękny kawał roli. Zajmował się on pilnie rólnictwem, miał dużo bydła, liczną pasiekę w gaiku, który był pól jego ozdobą, ale przytém był oraz kołodziejem i miał obszerny stelmachowski warsztat. Bliskość miasta, bo mieszkał prawie na przedmieściu i był przez pół mieszczaninem, ułatwiała zbyt produktów i jego przemysłu i roli, tak, że uważano go za bogatego, za mogącego sobie pozwolić więcéj wygód i będącego wstanie dać dzieciom nie chłopskie wychowanie i pokierować niemi inaczéj w świecie. To ostatnie zawróciło szczególnie głowę Bonawenturze Czaroszowi. Kazał więc córki swoje, których miał dwie, uczyć miejskiemu organiście a syna Stanisława posyłał do szkół. Gdy chłopak skończył normalne klassy, które były w Haliczu, wyprawiono go do Gimnazyum do Stanisławowa, które wówczas szczególniéj słynęło i bliższe było, niż inne. Tam właśnie znajdował się i Stanisław Pilecki. Dwaj młodzi ludzie, chociaż oba zdatni, oba równie pilni, oba zawsze pierwsi uczniowie w klasie, długo od siebie stronili; gdyż jeden był szlachcic, i to z dobrego domu, drugi był chłop, z czém się wprawdzie z początku taił, co się jednak wkrótce wydało. Gdy wszakże Stanisław Pilecki, którego dobra natura przemagała nad przesądami, postrzegł, że młody Czarosz cierpi rozmaite prześladowania i znosi przycinki od innych kolegów, także dobréj szlachty, usunął się od herbowéj bandy i nie tylko że zaprzestał sam wszelkich wexacyi, ale owszem, ile mógł, bronił zdolnego i pracowitego chłopaka. Po-

stępowanie to dało powód, że prześladowany przylgnął do swego obrońcy, szukał jego przyjaźni, wszelkiemi sposobami uległości i pomocy starał się ją pozyskać i nareszcie pozyskał: gdy raz wykroczenie, którego pozór padał na Pileckiego, przyjął na siebie, i gotów był nawet odebrać karę dość surową, która winnemu naznaczoną była. Nie przyjął w prawdzie Pilecki téj ofiary, wyznał swoją winę i tém zdradził szlachetny postępek Czarosza, sam zaś zasłużonéj karze się poddał. Widok takiéj szlachetności w jednym i w drugim uczniu zmiękczył zwierzchność szkólną; kara została darowaną, a dwaj młodzi ludzie wziąwszy się za ręce wracali w tryumfie do domu i w obec kolegów przysięgli sobie wieczną przyjaźń. Odtąd stali się nierozdzielni, a prześladowania wszystkie chłopka Czarosza ustały.

Gdy kończyli Gimnazyum, urządzono właśnie w Stanisławowie kursa filozoficzne, które w Austryi każdy młody człowiek, nim przejdzie na jakikolwiek bądź fakultet, odbyć musi. I ten kurs dwuletni odbyli razem; a skończywszy go, gdy się mieli rozłączyć, gdy Pilecki miał się udać do Lwowa na teologią, a Czarosz najprzód do domu, dla urządzenia interesów po śmierci ojca, a potém w świat, szukając czegoś, za czém dusza jego niespokojna gnała, czego jednak i sam w wyraźnych formach nie widział, zebrali się w gronie kolegów i sprawili sobie ostatnią studentską ucztę. Tam przy kielichu i pieśniach rozwijały się dalsze projekta, snuły dalsze nadzieje i krążyły zapewnienia wiecznéj przyjaźni i braterstwa. Ale dwaj Stanisławowie, a raczéj dwaj Stasie, jak ich nazywano, byli przedmiotem sympatyi i uwielbienia wszystkich. Oni to właściwie byli królami téj uczty, ich przyjaźń śpiewano, ich zbliżenie się wielbiono, im teraz rozdzielającym się na długo, a może na zawsze, życzono powodzenia i dawano rozmaite na drogę pamiątki. Czarosz dostał laskę, na téj wszystkie nazwiska kolegów były wyrznięte, a na czele nazwisko Stanisława Pileckiego; Pilecki otrzymał tabakierkę drewnianą, również kosztowne mającą napisy; słowem każdy z kolegów to tém, to owém starał się przypomnieć siebie dwom koryfeom tego grona. Wśród téj rozrzewniającéj i miłéj wspomnieniu każdego młodego człowieka chwili, jeden z kolegów bliżéj z bohaterami téj sceny połączony, przyniósł dwa rysunki. Na jednym było dwóch młodych ludzi przy rozstaniu i to był właśnie ten, któryśmy już widzieli; drugi wyobrażał poważnego starca w wieśniaczem odzieniu, z emblematami rólnika i kołodzieja, siedzącego pod wielkiem drzewem wśród grona drobnych dzieci, które drugi starzec w sukni kapłana błogosławił. Coś prorockiego było w obu tych robotach, zrobionych z talentem, niewykształconym wprawdzie, ale pełnym życia i mocy. Całe grono przyjęło ten podarunek z uniesieniem i postanowiło, aby los oznaczył, który któremu z przyjaciół ma się dostać. Wszyscy obecni podpisali się na obu, a obdarowani przyrzekli sobie i ko-

legom, że drogą tę pamiątkę zachowają do śmierci, że ona będzie hasłem poznania się kiedyś w dalszém życiu, jeżeli los ich do siebie zbliży. Otóż pierwszy z tych rysunków dostał się Pileckiemu; a gdy po pierwszém przywitaniu Czarosz z zanadrza swój wydobył i dawnemu przyjacielowi pokazał, rzucili się znowu w objęcia i łzy słodkiego wspomnienia poważne twarze ich zrosiły.

* * *

Osiadłszy potém w téjże wiosce, z energią i nakładem całego prawie kapitaliku, który przyniósł z sobą, wziął się Czarosz do dźwignienia ojcowskiego gospodarstwa i przemysłu. Dom także wymagał znacznych reperacyi — i te jednocześnie przedsięwzięte zostały. Wszystko rosło pod ręką przemyślną i pracowitą wykształconego chłopa, który umiał i zakierować robotą i sam się jéj nie wstydził. Ale to téż i piękne ożywiały go nadzieje. Z całą serdecznością i pokojem dojrzałego człowieka pokochał on Apolonią. Ona widziała to i w postępowaniu jéj widać było uległość przeznaczeniu, ale nie wymuszoną, nie zasępiającą jéj czoła, nie napełniającą jéj oka tajonemi łzami. Owszem, im bardziéj poznawała Czarosza, tym widoczniéj rozlewało się na jéj twarzy jakieś szczęście, które ją coraz piękniejszą czyniło. Obchodzenie się jéj z przyjacielem brata było pełne swobody, było nacechowane uczuciami szacunku dla jego powagi i rozumu, i wdzięczności za każdą oznakę przyjaźni, którą od niego odbierała. Był to szczególny romans, który się zaczął od pierwszego dnia, ale ani o jeden ton nie podniósł się w melancholicznych wejrzeniach, westchnieniach i t. d.; owszem przeszedł w najlepszy humor, w wesołe i poufałe rozmowy, wzajemność przyjacielską i pełną powabu. A chociaż ani z jednéj, ani z drugiéj strony żadnych nie było oświadczeń, żadnéj wzmianki o miłości, żadnego napomknienia o dalszém wspólném życiu, obie strony były prawie pewne, że już do siebie należą i że je śmierć tylko rozłączy.

Gdy po trzech miesiącach takiego życia, dom Czarosza był już prawie gotowy i zamykał wszystkie sprzęty, których wymagała, nie ozdoba, ale wygoda, poszedł ksiądz Pilecki z Apolonią obejrzeć go i udzielić aprobacyą, lub gdyby było potrzeba, jaką radę. Wszystko znaleziono stósownem do potrzeby zamożnego wieśniaka. Żaden sprzęt nie zdradzał żadnéj pretensyi szlacheckiéj, i nie okazywał, że Czarosz miał myśl wprowadzić do tego domu szlachciankę, przywykłą do innego życia. W pierwszéj izbie był duży lipowy stół i takież stołki z poręczami, o które można się było oprzeć. Była szafa z stołowém naczyniem i bielizną, biała, prosta, ale pełna. W drugiéj izbie, równie obszernéj i czystéj, było parę stołków mniejszych, parę szaf do rzeczy, skrzynia porządna i okuta, ławy szerokie i czyste stołki wygodne i niewy-

kwintne. Stoliki naktryte były kilimkami, nie drogimi, ale dobranymi z gustem i prostotą, a na ławach były materace okryte kwiecistém płócienkiem. Trzecia izba, przeznaczona widocznie na sypialnią, chociaż w niéj łóżka nie było, z równą prostotą i wygodą była przystrojona. Z téj izby było wyjście do komory z pełnemi pułkami wiktuałów i rzeczy do użytku dobréj gospodyni służących. Z komory można było wyjść innemi drzwiami do sieni ciągnącéj się przez całą szerokość domu i mającéj drzwi jedne na ogród, drugie na dziedziniec. Z drugiéj strony sieni była wielka izba czeladna, a daléj warsztat stelmacha i kołodzieja.

Przez czas pokazywania i obchodzenia całéj zagrody, Apolonia milczała, nic nie chwaląc, nic nie ganiąc. W izbach mieszkalnych, a zwłaszcza w trzeciéj, Czarosz pogląd na nią ukradkiem, ale oczy jéj były spuszczone i wyraz twarzy spokojny. Gdy, skończywszy, przegląd wrócili do średniego pokoju, ksiądz Pilecki, chcąc rzecz doprowadzić do szczęśliwego końca, odchrząknął i obracając się do siostry, zapytał:

— Apolonio! jakże ci się ten domek podoba?

— Bracie! odpowiedziała, nie to chciałeś powiedzieć, dla czego zaczynasz z daleka.

— Więc ja powiem, — odezwał się Czarosz przystępując do niéj i biorąc jéj ręce: — Apolonio! tu wszystko proste, chłopskie....

— Ale serce czyste i prawe pod sukmaną wieśniaka, — przerwała mu Apolonia, ściskając jego rękę. — Ja tu będę szczęśliwą Stanisławie! bo wiem od dawna, żem tobie przeznaczona. Uchwycił ją w objęcia Czarosz, przycisnął do serca, ona złożyła pocałowanie na jego czole i wyrwawszy się z rąk jego, padła przed bratem na kolana.

— Bracie i opiekunie! rzekła, oto mąż dla mnie naznaczony; błogosław jako kapłan i ojciec. —

Czarosz klęczał także przy niéj, a ksiądz Pilecki trzymając na ich głowach swe ręce, cichą, rzewną i słyszaną w niebie mówił modlitwę.

We dwa tygodnie potém, zebrany był przed kościołem tłum ciekawych, których tam ściągnął mający się odbyć ślub wieśniaka Czarosza z siostrą księdza kononika Pileckiego, piękną i edukowaną, która odmowiła ręki dziedzicowi Chorostkowa i posesorowi wojniłowskiego klucza, a poszła za chłopa i kołodzieja. Różni, różnie o tém mówili; ale umilkli, skoro ujrzeli szlachetną i pełną rozumnego wyrazu twarz Czarosza, na którym biała sukmana z czerwonemi wypustkami leżała ozdobniéj i dumniéj, niż frak na innym; gdy obaczyli Apolonią w stroju mieszczki halickiéj, tak kształtnym, tak malowniczym, a który cudnie na niéj leżał, i dziwnie piękną ją czynił. Przemowa księdza Pileckiego, krótka, ale z uczuciem, do reszty zamknęła usta najdowcipniejszym żar-

townisiom. Tak więc szczęśliwa para połączoną została węzłami małżeństwa, a w rok potém z chłopa i szlachcianki, w téj saméj izbie, gdzie wisiał obraz Matki Boskiéj, urodził się chłopczyk, któremu na chrzcie świętym dano imię Gabryel.

Po śmierci ojca, który już w szóstym roku odumarł, Gabryel wychowany przez matkę i wuja swego, pięknie wyrósł i wielkie w naukach zrobił postępy. Wuj przeto na dwa lata wysłał go na akademią do Lwowa.

Wszakże te dwa lata, przez które Gabryel był we Lwowie, zostawiły w domu ślady swego przechodu. Apolonia w życiu samotném, i w tęsknocie za jedynakiem, którą jak mogła, zwyciężała i taiła, znacznie się zestarzała. Włosy jéj posiwiały od ustawicznego myślenia i przenoszenia się w dalekie strony, czoło i twarz okryły się zmarszczkami i cała postać pochyliła się ku ziemi. Postrzegać się nawet dawało pewne opuszczenie w stroju, który dotąd przy swéj wieśniaczéj prostocie, był zawsze wzorowéj czystości i okazywał jakąś wrodzoną elegancyą. Druga odmiana, którą miał zastać Gabryel, była ta, że na miejscu jego łóżka, w sypialnéj izbie matki, gdzie zawsze sypiał, stało teraz łóżeczko dziewicze, białą kołderką okryte i ustrojone w obrazki i kwiatki, z dziwną troskliwością pielęgnowane i zawsze świeże i wonne. Było to łóżko szesnastoletniéj Agaty, która po wyjeździe Gabryela, zostawszy sierotą, miejsce jego zajęła i została w tym domu.

Agata była wnuczką ulubionéj siostry Czarosza. Czarosz bowiem powróciwszy z swéj wędrówki, zastał tylko dorosłą córkę swéj siostry, którą najtroskliwszą otoczył opieką i wkrótce za mąż wydał. Ale biedna kobieta nie miała szczęścia w tym związku. Młody rzemieślnik, którego została żoną, póty tylko był dobrym, pracowitym i pilnym, póki żył Czarosz i troskliwie nad nim czuwał. Ale po śmierci jego, odezwała się niesforna natura i złe wychowanie przypomniało mu dawne nałogi. Po kilku latach swobody i hulanki, pijak ten i rozrzutnik umarł; zostawiwszy wdowę i córeczkę Agatę, nie zupełnie w nędzy, gdyż żona wszystkiego zmarnować mu nie dała, ale w stanie dosyć blizkim tego położenia, tak okropnego, dla każdéj wdowy, gdy ma do wychowania nie tylko siebie, ale jeszcze i dzieci.

W tym przykrym stanie, Apolonia i ksiądz Pilecki dawali jéj zawsze skuteczną pomoc, tak, że przy gospodarności i oszczędzaniu mogła się jakkolwiek utrzymać i wychowywać pieścidełko, i jedyną pociechę swoją, żywą, figlarną i dziwnie piękną Agatę. Miała w ten czas Agata lat czternaście, gdy Gabryel dom matki opuszczał i do Lwowa się udawał, dla wyuczenia się filozofii. Roskoszna i rospieszczona dziewczyna żegnając się z nim, a zawsze nazywała go wujciem, Apolonią zaś babunią, śmiała się, swywoliła i gdy wszyscy obecni płakali, rzekła:

— Pamiętaj wujciu! żebyś mi wyrósł i jeszcze ładniejszy powrócił, niż teraz jesteś. Masz czas, całe dwa lata. Przez te dwa

lata ja także wyrosnę, jeszcze ładniejszą będę, niż jestem, i kochać cię będę. To mówiąc, gładziła go po twarzy i całowała, a chłopiec nie zważał na to bynajmniéj, oswojony z jéj swywolą, a ze łzami i żalem, nie miał czasu odpowiedzieć na jéj karesy, i słów jéj zapamiętać.

Co do pierwszego Agata dotrzymała słowa. Wyrosła, dojrzała i rzeczywiście stała się jeszcze ładniejszą, niż była. Rysów nie miała regularnych zupełnie, ani wzrostu słusznego, ale w twarzyczce jéj kształtnéj było tyle fizyonomii, tak wiele wyrazu żywości, życia, figlów; oczy jéj duże, piwne, osłonione gęstemi rzęsami tak wiele mówiły, usteczka koralowe tak ładnie i tak serdecznie się śmiały, okazując ząbki drobne i białe; figurka jéj nie wielka, ale giętka i zgrabna tak kształtnie była wcięta, tak rozkosznie umodelowana, tak elastycznie podnosząca się na nóżkach malenkich i lekkich, że Agata była pieścidełkiem wszystkich, którzy ją znali. Zdawało się, że śmierć matki, która nastąpiła w parę miesięcy po wyjeździe Gabryela do Lwowa, nie zrobiła na żywéj i swywolnéj dziewczynie wielkiego wrażenia. Płakała ona, modliła się serdecznie za pokój jéj duszy, ale wkrótce śmiech figlarny znalazł się w jéj oczach i śpiewka na ustach. To postrzeżenie odstręczyło od niéj trochę serce Apolonii; lecz gdy ją wzięła całkiem do siebie, gdy pod jéj okiem rosnąc i rozkwitując, mimo żywości, mimo swywoli, mimo naśmieszek to z tego, to z owego, okazywała swéj opiekunce najczulszą wdzięczność, gotowa była na każde jéj skinienie, zniechęcenie to znikło, i w sercu Apolonii znalazło się dla téj wesołéj sieroty macierzyńskie przywiązanie. Patrząc nieraz na jéj ruchy zgrabne i żywe, słuchając śpiewek pełnych harmonii, przypominając jéj dobre serce, które się przebijało wśród skłonności do żartów, czystość jéj myśli, niewinność jéj uczuć, przyjmowanie obojętne widocznego uwielbienia wszystkich bez najmniejszéj koketeryi, myślała sobie Apolonia, że może téż Gabryel ocen itak cudną dziewczynę i już w sercu macierzyńskiém, snuła złotą dla dzieci swych osnowę.

Otóż do takiego to domu i do takich serc wracał teraz Gabryel!

Jakież było przywitanie, ktoż to wypowie? jak silnie, jak prędko biły serca, któż to zmierzy i wyrachuje? Ale potrzebaż ludziom malować uczucia syna wracającego pod dach rodzinny, uczucia matki ściskającéj wróconego jedynaka, uczucia świętego człowieka, który wychował duszę młodzieńca, i teraz przypatruje się dojrzewającym jéj wdziękom?

Gdy Apolonia, którą rozrzewnienie i radość wzmogły, usiadła bez sił na krześle, gdy Gabryel klęcząc, ściskał jéj kolana, Agata, o któréj w téj chwili wszyscy zapomnieli, usunęła się na stronę i zapomniawszy figlów i swywoli, zasmuciła się biedna, usiadła w kąciku i przyłożywszy paluszek do ust, pomyślała: Mój Boże! mój Boże! jakiż on piękny! jacy oni szczęśliwi! —

a na mnie nikt nie spojrzał, zapomnieli o mnie! — I stan jéj sierocy, przyszedł jéj na myśl; z ócz potoczyła się łza; piękna postać Gabryela, boleśnie jakoś zaryła się w jéj duszy, a ciało mimowolnie owiał ten chłód, jaki w śnie przeszłéj nocy na dnie Dniestru uczuła.

Ale licho nie śpi. Twardowski, zwyczajnie jak diabeł, przemógł twardą cnotę i tyle sprawił, iż Gabryel, który co tylko miał pojąć za żonę cnotliwą Agatę, porzucił ją i puścił się w świat, za młodą wdową, bogatą panią, hrabiną Tumirską. Za sprawą Twardowskiego spanoszył się, nabrał narowów pańskich, zapomniał o przestrogach serdecznéj swéj matki, zapomniał o własnem pochodzeniu i już z pogardą tylko patrzył na ludzi sobie niegdyś równych! Po powrocie z zagranicy, jako niezmierny bogacz i hrabia Czarosz, pojął za żonę hrabiną Tumirską. Wszystkie pańskości Lwowskie swoją pańszczyzną przyćmił i wszystkich w pogardzie rzeczy ojczystych prześcignął! Aż przecież, gdy zapomnienie doszło do najwyższego stopnia „fajerwerk ów kosztem duszy założony, pękł i zaświeciwszy różnokolorowemi ogniami, zagasł! Zostały tylko osmalone z niego papierki, które wkrótce wiatr rozwiał bez śladu!“

Tymczasem Gabryel się nagle opamiętał. Zdaje się, że grzech ostatni, jakiego się dopuścił, ta niewdzięczność przeciwko opiekunowi i dobroczyńcy lat młodych, dopełniła już miary ciężkich prób, na jakie Opatrzność go wystawić pozwoliła. Zrobił się więc posępnym, milczącym i dla żony nawet przykrym. Póki był kto obcy, póty okazywał się tylko znudzonym; ale gdy był sam, w tedy spadał z pleców jego ten pański płaszczyk i występował człowiek z pamięcią swéj przeszłości, która na jego stan obecny, a zwłaszcza na jego przyszłość, okropne rzucała światło. Raz opuścił całą kompanią, chodził długo w takiém usposobieniu po innéj pustéj sali, potém poszedł do swego pokoju i na klucz się zamknął. Noc była cudna; księżyc pływał po niebie cicho i spokojnie, gwiazdy iskrzyły się; a z otwartego okna, szło do pokoju świeże i wonne powietrze. Stanął w nim Gabryel i patrzał na rozległy ogród, otaczający pałac: przypatrywał się grupom rozmaitych drzew, które lekki powiew kołysał; starał się oderwać od ludzi, i zapomnieć o tém bezdrożu, na które zboczył; starał się wydrzeć z tych szponów, w które i sam wciągnięty został, a wiążąc się z naturą, przez wspomnienia dawnéj swéj miłości, przysłuchiwał się téj mowie poetycznéj, jaką w czasie nocy pogodnéj i cichéj, ziemia rozmawia z niebem. Zajęty temi myślami, uczuł, że mu lżéj na piersiach; podniósł więc oczy w górę, i postrzegł tę samę konstellacyą, tak sobie dobrze znaną, która tkwiła nad Haliczem i nad domem rodzicielskim, któréj tyle razy przypatrywał się, gdy był we Lwowie, za pośrednictwém któréj, przesyłał pozdrowienie wujowi swemu i pocałowanie serdecznéj swéj matce. Widok ten wzruszył go do głębi serca. Wspomniawszy, z jaką niewdzięcznością odepchnął od siebie dobroczyńcę swojéj młodości, wyciągnął mimowolnie ręce ku téj stronie, gdzie go te migające gwiazdy zdawały się powoływać i z całéj mocy dawnéj swéj miłości zawołał: O matko moja! gdzie ty? W téj

saméj chwili postrzegł przed oknem światłą i przezroczystą postać; która prędko mignęła i jakby go skrzydłem swojem obwiała i orzeźwiła. Świętém przenikniony drżeniem, upadł na kolana, złożył ręce i po raz pierwszy od lat trzech gorąco modlić się zaczął.

Czy Twardowski nie chciał, czy niemógł temu odrodzeniu się Gabryela przeszkodzić i odstąpił, postrzegłszy zapewne silniejszy i święty zastęp, który nawróconego do rodziny, do modlitwy i nieba, tarczą swą osłonił, tego nie wiemy a zatém i opisywać nie będziem.

Już matka z tęsknoty i zmartwienia ledwo nie umarła, biedna Agata rozum utraciła, a Wuj, ksiądz Pilecki, w głębokiéj żałości dni smutne pędził: ponieważ go hr. Czarosz ani wpuścić do pałacu swego nie chciał. Wtedy matka z Agatą chcąc próbować szczęścia i dostać się do wielkiego pana, puściła się w drogę.

Wtedy na drodze, o parę set kroków z tam tąd, do blizkiego miasteczka prowadzącéj, postrzegła podróżnego, który stał oparty na kiju i zdawał się smutno zamkowi przypatrywać. Widok ten dziwnie ją dotknął. Przyspieszyła więc kroku ile mogła, i zbliżając się coraz, widziała, że to był człowiek młody, urodziwy, ale na twarzy jego znękanéj, były ślady, czy przewinień, czy bólu, które ją zrobiły bladą i poważną. Odzienie jego było proste, nogi bose, w ręku kij podróżny, a na głowie oprócz jasnych dużych włosów, nie miał żadnego nakrycia. Za każdym krokiem, serce gwałtownie biło w piersiach Apolonii. A gdy się jeszcze zbliżyła, serce to poznało tego, którego pierwsze ocknienie do życia i bytu dało mu niewymowną radość, którego pierwszy płacz został mu na zawsze, jako echo najwyższego szczęścia na ziemi.

— Gabryelu! — krzyknęła w ówczas Apolonia, wyciągając do niego ręce. Gabryel ocknął się z zamyślenia, poznał swoją serdeczną matkę; ale widok jéj przejął go takim bólem i wstydem, że stał jak w osłupieniu i nie śmiał rzucić się na jéj objęcia. Apolonia przystępując do niego, wzięła jego rękę i z głębi duszy zawołała;

— Gabryelu! to ja, synu mój! to głos matki twéj, któréj Bóg nie opuścił, któréj św. Aniół jego tylko co powiedział, że cię znajdę, że cię obaczę! — I święte słowa jego sprawdziły się. — Teraz wszystko już przeszło, teraz mam cię, i żadna już siła od piersi cię moich nie oderwie. — Wtedy wziąwszy znowu w obie dłonie jego głowę, przytuliła ją do łona i z uniesieniem całować zaczęła.

— Biedna matko! — rzekł w ówczas Gabryel, jakby przychodząc do siebie i przypatrując się jéj. — Com ja z ciebie zrobił! — Włos twój posiwiał od gryzących myśli, twarz poryły łzy za mną, a postać twoja pochyliła się i zmalała: tak ją przygniotła troska i boleść, żem cię zawiódł, żem złote twoje nadzieje w proch obrócił. Przebacz dobra matko — dodał, padając przed

nią — i niech winy moje zmyje ten płacz gorzki, którym nogi twe bose i pokaleczone oblewam.

— Powstań synu! — odpowiedziała Apolonia — taka była wola Tego, — który zlitował się nad nami i pozwolił nam chwili téj dożyć.

Powstał Gabryel, otarł łzy, i patrząc na Agatę, która niewiedziała, co się w koło niéj dzieje, odeszła kilka kroków i zrywając polne kwiatki, przypatrywała im się z uśmiechem, rzekł:

— Bóg pozwolił, abym wpadł w takie ręce, które mnie szybko i nieubłaganie ciągnęły do zguby. Tu, w tych murach, kórym teraz z bezpieczeństwem, choć ze smutném wspomnieniem przypatrywałem się, popełniłem pierwszy grzech: tu najprzód zapomniałem o tobie. Jak się to stało, na cóżci to dobra matko wiedzieć? przez jakie przechodziłem koleje, to w części wiesz i powtarzać ci tego nie trzeba. Widziałem wiele krajów i ludzi, użyłem wiele tak nazwanych uciech świata, rozrzuciłem miliony, zadziwiałem przepychem, z dumą i pogardą patrząc na takie strzechy jak ta, gdziem ujrzał niebo i słońce, zamieszkiwałem same pałace, otrzymałem nawet prawdziwe dobro, miłość téj, co: zapewne bez swéj woli pomagała do méj zguby i zatracenia; a przecież nie było radości na mojéj twarzy, ani szczęścia i pokoju w mojéj duszy, bo przy boku moim stał zły duch, którego był dziełem cały ten blask, jakim mnie otoczył, całe to przerodzenie mojéj natury prostéj, poczciwéj i z pod serca twego wziętéj, którém mię tak skrzywił i poniżył.

I wiesz matko, co mnie uratowało?

— Co mój synu jedyny? — zapytała, tuląc jego rękę i patrząc mu w oczy. Nie dawno, w jednéj ciężkiéj chwili — mówił Gabryel z melancholicznym wyrazem twarzy — patrzyłem z okna mojego pałacu na otaczający go ogród. Noc była jasna i cicha; księżyc błąkał się po niebie i poglądał na mnie zgóry; cała natura zdawała się do mnie przemawiać i przesyłać mi słowa przestrogi. Widok ten wzruszył mię niewymownie; podniósłem oczy do nieba, obaczyłem te gwiazdy, którem ci nie raz pokazywał, żem ci przez nie serdeczne ze szkół przesyłał pocałowanie; i obraz mojego dzieciństwa, wspomnienie twoich pieszczot i opieki, twoich rad i nauk, wszystkie echa domu i rodziny odezwały się we mnie tak żywo, tak potężnie mię czarem swoim ogarnęły, żem wyciągnął ręce do nieba, i zcałéj duszy zawołał cię na ratunek. I patrz, w téjże chwili zdało mi się, że jakaś postać promienna przemknęła się przed mojem okném i oświeciła moją duszę omgloną i upadłą. Pierwszy raz od lat kilku odważyłem się upaść na kolana i po długiéj, dawniejszéj modlitwie, takiéj, jakiéj ty mnie nauczyłaś, powstałem tem, czém byłem kiedyś przy twoim boku, pod okiem twojéj miłości, pod kierunkiem świętego czło-

wieka, co modlitwę dziecka umiał zamienić w czujące siebie wzniesienie dojrzałego ducha.

Umilkł Gabryel, a Apolonia złożywszy ręce, dziękowała Bogu, że jéj takiego syna oddał.

— Téj saméj nocy — mówił Gabryel daléj — opuściłem pałac, któregom już nie uważał za swój. Téj ukochanéj istocie, za któréj nawrócenie codzień się modlę, i modlić się będę zostawiłem piśmienne pożegnanie, wskazówkę dalszéj jéj drogi, i nadzieję, że się kiedyś znajdziemy i połączymy. O matko! jak mi było dobrze i lekko, gdym się ujrzał ubogim, obnażonym ze wszystkich dostatków, wolnym od grzesznych bogactw, które mnie, marnotrawnemu próżniakowi, dawała złoczynna i na zgubę moją nastawiona ręka. Dla przekonania się, czy mię ten zły duch odstąpił zupełnie i nademną moc swoję utracił, przyszedłem umyślnie tu, gdzie się niedola moja zaczęła, i gdzie dla postrachu gminu niby siedzibę swoją założył. Wśród tych ruin, przepędziłem dzień cały, a gdy przyszła noc, czekałem modląc się, czy się nie zjawi, czy kopyta jego konia na brukach zamkowych nie zatętnią. Ale w około mnie, było cicho; tylko puszczyk czasem się odezwał, lub złomek jaki spadający z murów, zaszeleścił. Wkrótce oparłem głowę na kamieniu i zasnąłem, i spałem tak smaczno, jak gdybyś ty serdeczna matko łóżeczko moje usłała, i sama mię ręką swoją utuliła. Obudziłem się spokojny, wesoły, i szczęśliwy, i w ówczas pomyślałem, co mi czynić wypadało. Bóg dał mi dobre natchnienie. Opuściłem te ruiny, najpierwszemu wędrownikowi, któregom spotkał, darowałem moje piękne i kosztowne stroje, wziąłem od niego tę biedną sukmanę, ten kij pielgrzymi, i poszedłem do pierwszego miejsca, uświęconego cudami, jakieby mi pobożni ludzie wskazali. Znalazłem je, przebyłem tam czas niejaki, i wtedy dopiero udałem się do Halicza. Ciebie już w ówczas nie było; ale widziałem dom ojcowski. Matko! — dodał z bólem — on się pochylił, on zmarniał, on wszędzie okazuje ślady mojego niedbalstwa, mojéj ciężkiéj winy i twojego bólu. Warsztat nasz ucichł, porozbiegała się czeladź, chwasty zaległy ogród, porozgradzały się płoty; szyby, przez któreś mię wyglądała, zastałem potłuczone; dach, pod którym mię wykarmiłaś, podziurawiony; a ten ganeczek, na którym uczyłaś mię pacierza, w rozsypce i upadku. Dąb tylko na dziedzińcu stał jak dawniéj i bocian na nim na jednéj nodze czekał; ale i ten patrzał na mnie smutno, jak gdyby mi ciężkie czynił wyrzuty. Zapłakałem gorzko i poszedłem obaczyć nasze pole. Zastałem je próżne i nie poorane. Upadłszy więc na twarz na téj ziemi, którą ręce ojca mego uprawiały, przepraszałem cień jego, błagając: aby mię natchnął, co mam czynić? abyś mi i ty przebaczyła i niebo me winy odpuściło. Już było ciemno gdym powstał spłakany i usiadłem pod tym dębem samotnym, co tam stoi od wieku, jak stróż naszéj własności, i spocone czoło robo-

tników cieniem swym ochładza. Tam i ojciec mój siadywał w południe, ja tam nieraz spałem po swywoli. O matko! tam mię widać twa modlitwa zaprowadziła, abym drogę swą wynalazł, nie błąkając się w życiu bez celu i myśli, i nie sterczał na drzewie społeczności, jak ten wilk nieużyteczny, z którego ani kwiatu, ni owocu. Zmęczony drogą i łzami, wkrótce zasnąłem; a gdym się obudził, patrz matko, co się znalazło na moich piersiach.

— Szkaplerz twego ojca! — zawołała Apolonia z podziwieniem, gdy go jéj Gabryel, odkrywając suknią swą, pokazał.

— Ten sam — odpowiedział — który wisiał zawsze nad twojem łóżkiem, na tejże wstążeczce, którą tak dobrze pamiętam. Jak się on znalazł na moich piersiach, tego niewiem. Ale gdym zaczął całować tę świętą pamiątkę i lepiéj się jéj przypatrzył, postrzegłem na téj stronie, co do piersi mojéj przyległa, słowo pełne wagi i znaczenia, którego tam dawniéj nie było: bo było w sercu, i przekonaniu tego, co go nosił. Patrz matko! tu stoi jeden tylko wyraz: *Praca*. I to jest droga, o którąm błagał; w tém jedném słowie zamyka się tajemnica mojéj przyszłości. Wypisane ono złotem, bo takie tylko złoto, jest uświęconym nabytkiem. Ja rozrzucałem miliony, które mi przyszły bez trudu, ale te pochodziły od zgubionéj siły i niedały ani szczęścia, ani błogosławieństwa. Widział to bez wątpienia mój ojciec z téj krainy, gdzie go cnoty jego umieściły, i nie kto inny, jak duch jego zawiesił na piersi mojéj, ten drogi upominek, z którym rozstanę się tylko z życiem.

To mówiąc: przycisnął do ust tajemniczy podarunek, i łza pobożna spadła na białą materyą, na któréj jaśniały dziwnym blaskiem litery, tak wielkiego w wieku naszym wyrazu.

— Niech cię Bóg błogosławi synu! — zawołała matka, któréj twarz rozpromieniła wysoka radość i pełne rozrzewnienia w jedynaku swym rozmiłowanie się.

— Jeszcze dzwonek naszego kościoła, nie wzywał na prymaryą; — mówił Gabryel — a jużem był na probostwie. Zastałem wuja na wystawie. Tam patrzył za Dniestr i odmawiał pacierze. Upadłem do nóg jego, zmyłem je gorącemi łzami. Poznał mię, podniósł i przebaczył. Opowiedziałem mu wszystko. On także pobłogosławił moim przedsięwzięciom, mojéj drodze, i puścił mię od siebie. Teraz jestem już bliskim mojego celu.

— Dokądże się chcesz udać synu! — zapytała Apolonia.

— Tu niedaleko! — rzekł Gabryel — widzisz matko! to piękne miasteczko, te wioski umajone, ten kraj żyzny i bogaty. Tam jest człowiek znakomity, który gromadkę swą po téj zbawiennéj drodze prowadzi, który pojął, zrozumiał swój czas. Teraz stanę przed nim z pokorą, ale bez wstydu, żem bosy i ubogi; prosić go będę, aby mi dał do rąk najcięższy młot w swoich kuźniach, włożył na moje ramiona największą belkę w swoich budowlach,

aby obfity pot zlewał moje czoło i zmył z niego haniebne piętno ostatnich lat mego życia. Pierwszy dukat, który tam zarobię, prześlę ci droga matko! powiesisz go jako *votum* na ołtarzu w naszym kościele, a wuj objaśni ludziom jego znaczenie i wagę. A teraz bądź zdrowa, droga matko! idź do domu sama, o mnie bądź spokojna; ze mną wasze błogosławieństwo i ojcowska przestroga.

Tak się z sobą rozstali. Gabryel uściskał kolana matki, która położyła dłonie swe na jego głowie i cichą modlitwą umacniała swe serce w nadziei i wytrwaniu; z bólem ucałował czoło Agaty, która patrząc nań obłąkanym wzrokiem i podając mu polny kwiatek rzekła: daj to odemnie Gabryelowi na pamiątkę. A niech wraca za trzy dni; ja zaczekam. Wziął Gabryel dany sobie kwiatek, ze łzami spojrzał jeszcze na matkę i na biedną dziewczynę i spiesznie odszedł. Apolonia wyciągnęła za nim ręce i długo tak stała, a Agata znowu rwała kwiatki na polu, i smutną śpiewała piosneczkę.

Tak więc z osób téj powieści, jedne otrzymały cel swych zabiegów i życzeń, owoc swéj pracy i prób ciężkich, na jakie wystawione zostały, inne jeszcze się wyrabiają. Wszystkie żyją i każda w swoim kierunku działa i spodziewa się. — Jedna tylko Agata umarła.

Kordecki.

Przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1852.

Na podniosłém wzgórzu skalistém, wśród okolicy zasianéj wioskami, pagórkami, na których sterczą zamków zwaliska, piaszczystemi przestrzeniami; wśród widnokręgu opasanego w dali sinych gór pasmem, wznosi się klasztór i kościół częstochowski, około którego siedziby ludzi, lasy, pola, grody, kaplice zdają się jak ciżba posłuszna, przed Panem pochylać czoło. Stary ten gmach warowny, zamczysko Maryi, budowany powolnie przez długie wieki, obwiedziony murem, jak rycerskim pasem, którego brama, zdaje się zdala klamrą ozdobną, ścianami kościoła wybiegł wysoko po nad inne budowy, a wyżéj jeszcze nad nie wieżyca z gankami spięła się pod obłoki, na ramionach krzyż piastując złocisły. Nieco niżéj, pod cieniem jego, na dachu kościelnym, w promienistém kole, obraz Najświętszéj Panny, wskazuje mnogim zdaleka pielgrzymom, że tu ich opiekunki stary a święty wizerunek złożono. Do koła gmachu kościelnego cisną się przybudowane kaplice, ule z których, jak brzęki pszczół, dolatują głosy modlących się zakonników, pszczółek téj Bożéj pasieki. Tuż blisko kilku facyatami bieleje klasztór obszerny i piękny, po którym znać, że go królewskie i książęce wnosiły dłonie, że go troskliwa wiernych zdobiła pobożność, że go roz-

szerzała gorliwość ludu o chwałę Bożą i chwałę Maryi. Wcześnie to święte miejsce, w rycerskim kraju, na pograniczu stojąc, kilkakroć napadane i rabowane, przywdziało zbroję murową. Po rogach kortyn strażnice krągłe i czworogranne, różnych lat i pochodzenia, z kolei przyszły pilnować Jasnéj-Góry, i zwrócone w różne strony poglądają, jakby czuwały od nieprzyjaciela.

U podnóża góry o kilkaset kroków od twierdzy Jasno-górskiéj, nie wielki kościołek św. Barbary, świeżéj jeszcze budowy, bo lat zaledwie kilkadziesiąt liczący, błyszczy się po nad nowicyatu klasztornego kamienicą. Z drugiéj strony kościołek św. Rocha, patrona od morowéj zarazy, łączy niejako twierdzę z miasteczkiem klasztorném, którego fara starożytna po nad czarne dachy mieszczańskich domostw dźwiga się poważnie. Dokoła murów, znać dawno niewidziały wojny i niesłużyły za ochronę, — poczepiały się swobodnie drewniane klatki, jak gniazda jaskółek, coraz rozprzestrzeniając się daléj a szerzéj. Są to kramiki przekupniów, którzy pod murami klasztoru stoją, czekając na pielgrzymów z pamiątkami Jasnéj-Góry, i znajdziesz u nich obrazki Bogarodzicy wielkie i małe, drogie i tanie, złociste i skromne, na blasze i na papierze; pobożne książeczki, pieśni na chwałę Bożej Matki, szkaplerze z Jéj imieniem, krzyżyki, paciórki, różańce i owe listy misternie sztychowane, w których środku błyszczy obraz cudowny i tysiące innych drobnostek, co je w każde święto i niedzielę święcą Paulini u ołtarza, ocierają o cyprysową deskę i rozdają nazad wędrowcom. Znaczna tu część uboższych mieszczan, pod płaszczem swéj opiekunki na życie zarabia, żywiąc się pobożnością tłumów, które falami płyną do cudownego obrazu. —

Wieść o napadzie Karóla Gustawa zdawała się w początku fałszém; tak dziwném sądzono, by się odważył posunąć na kraj, którego wszystek lud mógł powstać, jak jeden człowiek w obronie rodzinnego ogniska. Mówiono z początku: nie przejdzie Noteci i Warty! Ale Bóg chciał nas ukarać i za narzędzie swéj plagi użył — zdrajcy. Zuchwalstwo Karóla Gustawa całkiem się tłumaczy Radziejowskim.

Jeszcze się ze Szweda śmiano, a już podkanclerzy swemi praktyki w Wielkiéj Polsce uroczyste przyjęcie mu gotował; nagle krzyk i przestrach rozległy się szeroko, Karól Gustaw już przeszedł Noteć i Wartę, a Grudziński wojewoda kaliski, Opaliński Poznański, połączyli się z nim! Wielkopolanie wyprzysięgłszy się swojego króla, szeroko otwarli wrota najeźdzcy, podawszy mu dłoń zbrojną.

W Wielkiéj Polsce najwięcéj podobno było różnowierców, których serce lgnęło do przyszłego reformy protektora: Arciszewscy, Pileccy, Stankarowie i inni, cieszyli się z tego najazdu. Sprawa kraju nie tyle ich obchodziła, co chęć wzięcia góry nad katolikami i pozyskania swobód, których im co chwila zaprzeczano. Karól Gustaw wszystko, co chciano, obiecywał. Byli tam

i katolicy pomiędzy pierwszymi adherentami jego; ale tych lub tłum z sobą i zgorszenie pociągnęło, albo to byli ludzie, co wiarę mają za oddzielną od praw jéj i przepisów kierujących życiem.

Jeszcze Polska nie ochłonęła, zdumiona wnijściem Szweda, gdy ten już zagarnął Poznań, Kalisz, Kościan, Kruszwicę, Bydgoszcz i sunął się szybko ku stolicy Warszawie. Zdrada Wielkopolan była hasłem wszystkich nieszczęść późniejszych, bo była przykładem, bo wskazywała możność tego, o czém nikt wprzódy krom Radziejowskiego, nie pomyślał: wyrzeczenia się króla swego, złamania przysiąg, poddania się dobrowolnego najeźdzcy bez praw, bez żadnego związku i sympatyi z Polską, przychodzącego nią zawładnąć.

Jan Kazimierz zwątpiwszy o królestwie, którego synowie na pierwszym wstępie, kropli krwi nie przelawszy, przeszli w szeregi napastnika, z tęsknem sercem i uczuciem swéj bezsilności, ustąpił do Krakowa, ale i tu nie było się czém bronić. Męztwo Stefana Czarnieckiego i garści jego towarzyszów, nie mogło ocalić stolicy, a naraziło drogi ten klejnot na zniszczenie; więc z Krakowa, król wygnaniec, na Spiż odjechał; a Kraków, bronił się jeszcze sił ostatkiem i potężniejszą od sił swych nadzieją.

Trudno sobie wystawić, jak straszny był stan kraju w téj chwili przerażającéj i sobą i tém, co zwiastowała: nie było króla, brakło obrońców, zewsząd czernieli najezdzcy, ze wszystkich stron zjawiali się nieprzyjaciele, i rozerwana puścizna Jagiellonów, rozpadała się na części. W Wilnie rządził Chowański, Krakowa Wittenberg dobywał: w Warszawie gubernatorował Szwed ze zdrajcą, po województwach przysięgi Karólowi Gustawowi sypały się co dnia gęstsze i serdeczniejsze. Nie było otuchy, nie było ratunku, a ostatnia godzina długiego jasnego żywota, zdawała się wybijać i brzmieć dźwiękiem grobowym przelękłych dzieci, które się nie miały do kogo przytulić. Stan umysłów był taki, że ostatek uchylał nadziei; garnęli się niemal wszyscy do nieprzyjaciół, — ostatek wzdychał, wyglądał posiłku .... od Tatara. Chodziły z rąk do rąk podawane i przepisywane listy oznajmujące o tym sprzymierzeńcu, a tym czasem zamek po zamku, gród po grodzie, poddawały się przerażone.

Do Częstochowy zewsząd dochodziły wieści straszliwe o Szwedach: goniec za gońcem, poseł za posłem, nieśli nowiny coraz bardziéj przerażające. Spodziewano się już co chwila napaści, i na wierzchołku wieży siedzący strażnik, braciszek klasztorny, niespokojném okiem przebiegał dalekie obszary; każdy dymek w polu, każdą gromadkę jezdzców bierze za nieprzyjacielską wycieczkę. Znikli liczni pielgrzymi, co dawniéj tłumami nawiedzali święte miejsce, głucho tu było i pusto; wszędzie Szwed gościł, lub obawiano się kozaków, nikt z domu się nie ruszał, chyba do obronnych grodów z życiem i mieniem, lub w głębokie lasy i góry się chroniąc. Szlachta, tylko sąsiedzi, kiedy niekiedy zjechali się

do przeora, nie kwapiąc się jeszcze z rzuceniem domu, a już przewidując, że będą musieli szukać pod skrzydłem Matki Bożéj, bezpieczniejszego przytułku: nie jeden wiózł już z sobą skrzyneczkę głęboko w wózku ukrytą, w któréj złożył klejnoty swoje i żony, papiery lub trochę śreberka i rządzik jaki ozdobny, co go miał od pradziada.

Wcześnie oddawano je na skład Paulinom, a ojcowie przyjmowali te depozyta, sami jeszcze nie wiedząc, jak ich samych Bóg obroni. Słychać to było wprawdzie, że Karól Gustaw zapewniał kościołom i klasztorom bezpieczeństwo ich własności, opiekę dla wiary i jéj obrzędów; ale zarazem Częstochowa, jako miejsce obronne, panujące dokoła, na pograniczu Szląska, na drodze Szwedów do Krakowa, mogła im być potrzebném stanowiskiem. Pobożniejsi myśleli, że choć różnowierca, o tak sławne świętością nie pokusi się miejsce, by od siebie serc katolików tą napaścią nie odstręczył. Inni wnosili i nie bez przyczyny, że łupieżców przyciągnąć tu musi rozgłos o skarbach zgromadzonych na Jasnéj-Górze, zarówno z potrzebą umocnienia się na tym punkcie. Nic jednak dotąd nie zwiastowało, żeby Szwedzi pomyśleli już o Częstochowie, u któréj podnóża nikt się jeszcze z Gustawowskich żołnierzy nie pokazał. Ale ta cisza miała coś w sobie straszliwego; odgłos wrzawy dalekiéj wybitniéj coraz brzmiał w uszach zakonników, a nocny wicher jesienny, każdy huk oddalony, każda u wrót wrzawa, zdawała im się oczekiwanych nieprzyjaciół oznajmywać.

Szara a smętna roku pora, to powolne przejście od skwarów lata do mroźnéj zimy, dodawała jeszcze obrazowi ponuréj i złowrogiéj barwy. Lasy zrzuciły już były pożółkłe liście i suchemi sterczały gałęźmi, pola jedne świeciły majowemi szaty zasiewów, drugie przy nich smutniéj jeszcze czerniały i płowiały obnażonemi piaski, zdeptanemi ścierniami; niebo okrywały zasłony sine lub szare, a wiatr przynosił tylko chłodne deszcze, mroźne podmuchy i burze, dzikiemi głosy wśród gai wyjące. Mnisi przywykli do częstych odwiedzeń, do coraz nowych twarzy, napróżno teraz poglądali na wszystkie drogi; rzadki się tylko przywlekł żebrak o kiju, mieszczanin z klasztornego miasteczka, lub szlachcic z bliskiéj wioski. Płynęły jednostajne godziny na modlitwie, na tęsknéj rozmowie i modlitwach znowu, i na rozmyślaniach ponurych; dzwony tylko z wieżycy, w pewnych godzinach dnia i nocy zwołujące do choru na nabożeństwo, przerywały długą i posępną ciszę.

Rano dnia pierwszego Listopada 1655. roku, przeor ksiądz Augustyn Kordecki siedział w swéj celi i odmawiał pacierze, gdy do niéj zapukano w sposób naglący; dozwalając wnijść, złożył kapłan książkę z westchnieniem, jak gdyby bolał, że go z lepszego świata odrywano na ziemię, i spojrzał na obraz ukrzyżowanego, niby go prosząc o posiłek i radę.

Wtém wszedł ksiądz Piotr Lassota zakonnik z kilką listami, i ucałowawszy rękę przełożonego, jak to dawniéj było we zwyczaju, dla przypomnienia posłuszeństwa, oddał mu je milczący, ale z twarzą widocznie strapioną i zamgloną smutkiem. Ksiądz przeor spojrzał na pieczęcie i zapisy, nie spieszył z rozpieczętowaniem i usiadł. Był to średniego wieku człowiek, wzrostu miernego i twarzy wcale niebohaterskiéj; rysy jego znamionowały tylko silną duszę, charakter nieugięty i rozum jasny; dobroduszna łagodność łączyła się w nich z męztwem i wytrwałością. Siwe źrenice bystro spoglądały wprost na każdego, nie schylając się przed nikim, nie obawiając się śledczego badania, same wnikając w głąb duszy; nad niemi brew gęsto zarosła już siwieć poczynała. Czoło miał szerokie, zorane kilką poprzecznemi marszczkami, które raczéj wiek i praca niż troska zakreśliły; usta rumiane i szeroko roztwartę miały ten wyraz siły i dobroci razem, który oznajmuje wielkich mężów, zawsze gotowych do boju i pewnych dotrwania. Widać było, że często igrał na nich uśmiech łagodny; że rozkazując, umiały rozkaz ten uczynić miłym, a w potrzebie nieodwołanym i strasznym tą potęgą woli niezłomnéj, któréj nikt wytłómaczyć nie potrafi, a wszyscy słuchać muszą. Takim był ksiądz Kordecki; postać poważna z siwiejącym włosem i długą na piersi spływającą brodą, w chwilach codziennego żywota; — lecz ktoby go widział na modlitwie, nie poznałby może, tak go zmieniało podniesienie ducha ku Bogu, tak rozjaśniało się i świetniało oblicze jego. Inny to naówczas był człowiek, i grom dział nie byłby go zbudził, chociaż szmer cichy ust ludzkich, odzywających się dziś łagodnie, wnet od Boga ściągał myśl jego ku ziemi, gdy się tu czuł potrzebnym. W powszedniém obejściu nikt dziwniéj połączyć nie umiał surowości z łagodnością, dwóch na pozór sprzecznych sobie przymiotów; nikt dzielniéj nie przekonywał, nikt silniéj nie pociągał nad niego, nikt potężniéj nie gromił. Wymowa jego nie szukała w szacie powierzchownéj, w dobranych słowach i wyszukanych postaciach, środków trafienia do serca; natchniona, zawsze pełna była siebie i wyrażała się prostemi słowy, z duszy idącemi do duszy. Był to ów mąż ewangelicznych czasów, który częściéj prostą przypowieścią trafiał do przekonania niż wielkiemi wyrazy; on może jeden wśród deklamującéj Polski mówił najsilniéj ze wszystkich, choć od wszystkich prościéj. Wielkiéj, jak dusza jego, pokory, umiał ją połączyć z powagą zwierzchnika i oddzielić człowieka i grzesznika od przełożonego i pasterza swéj trzódki. Nikt w nim skazy dumy nie spostrzegł, a przecież na widok jego uchylały się głowy; jak przed niepojętym urokiem wyższości. Dość było, by przemówił, wnet ciągnął serca ku sobie, uginał twarde przekonania, miękczył zatwardziałych, rozbrajał gniewnych: nie jedno nawrócenie należało już do zasług jego. —

Wiek XVII. był jeszcze za prawdę u nas wiekiém szczeréj

i głębokiéj wiary, ale w nim mało było nawet ludzi Kordeckiemu podobnych. Nie celował on jako teolog uczony, i chętnie sam się nazywał nieukiem; ilekroć razy przecie najzawikłańszą kwestyą rozwiązać było potrzeba, szedł po słowo jéj do serca swego, a ta skarbnica chrześciańska zawsze mu je dostarczyła. Rozum jego, rzec można, słynął przez serce, przejęte bogobojaźnią, płonące jasno miłością Bożą. Nigdy żadna namiętność ziemska nie okopciła go nieczystym wyziewem, nie zeskwarzyła płomieniem; dziecię pracowitych a ubogich rodziców, wcześnie duchem wstąpiwszy do zakonu, powołany do niego, jak apostołowie, od skiby zlanéj potem dziadów, z chatki którą nawiedzał niedostatek, dobrowolnie wyrzekł się świata, nie żałując go wcale; wesół u portu, czując błogość całą swego stanu, szedł daléj z chrześciańską nadzieją szczęśliwego żywota po za wrotami krótkiego życia ziemskiego i śmiercią, któréj z uśmiechem wyglądał. Rodzice Kordeckiego byli to ubodzy wieśniacy z Iwanowic w Kaliskiem; wychował się wśród ludu, na roli, i wieśniaczą prostotę przyniósł na ofiarę Bogu. Z wiejską siłą i czystością od dzieciństwa Klemens na ręku pobożnéj matki wzdychał do ciszy klasztornéj, do zaparcia się siebie i poświęcenia Chrystusowi. Ale nie rychło ciężkie porzucił więzy i trzydziestoletni dopiero, zakonnikiem został. Wśród zgromadzenia, które między członkami swemi liczyło dzieci najznakomitszych rodzin szlacheckich, syn kmiecy rychło wygórował pobożnością i rozumem; bracia postawili go na czele. Przeorem w Oporowie i Pińczowie naprzód, następnie na Jasnéj-Górze przełożonym został, teraz już powtórnie; a na świeczniku stojąc, jaśniał coraz goretszym płomieniem cnót i zasługi.

Niezmordowany w pracy, nigdy się na nią nie poskarzył, nigdy na nią nie stęknął; biegł do niéj z radością, wracał szukając oczyma nowéj; sił mu Bóg dostarczał. Z młodszemi był starszym bratem, dla winnych pobłażającym ojcem, który przebacza żądając poprawy, z zatwardziałemi sędzią surowym, ale zawsze miłosiernym, byleby ujrzał promyk skruchy i łzę żalu; wszędzie i zawsze chrześciańskim kapłanem Boga, co światu miłość objawił.

Szlachta okoliczna zjeżdża się do klasztoru na radę; między innymi także: pan Bogdański, pan Jackowski i tak radzą:

— A gdybyśmy i przysięgli Szwedowi, to co? nie pierwsi my i nie ostatni.

Na te słowa płomieniem oburzenia oblała się twarz księdza przeora, oczy jego zajaśniały i mignęła w nich błyskawica, powstał z krzesła, ale zmieniony, groźny jak prorok, jak natchniony; wszyscy jak gdyby uczuli przewagę ducha w nim wprzód, niżeli usta otworzył, zamilkli, a silny głos księdza Kordeckiego zagrzmiał po obszernéj sali:

— Podda się cały kraj, zawołał; podda się mówicie! Nie,

nie! Bóg tego niedopuści i nie cały wyprze się swojego pana, bo Częstochowa zostanie i wytrwa przy Janie Kazimierzu.

— Jak to? zdumiony podchwycił pan Paweł, gdyby Szwedzi nadeszli. co bardzo być może, bo już słychać o Wejhardzie, że się w tę stronę z Sadowskim puścić zamyśla; będziecie się więc bronić?

— Będziemy! odparł przeor spokojnie; tak jest z pomocą Bożą będziemy się bronić i obronimy się.

— Całéj sile szwedzkiéj? dodał Jackowski; wojsku, artyleryi, żołnierzom i wodzom starym i wytrwałym?

— Najlepszy żołnierz pan Bóg, kochany panie Stefanie, odpowiedział przeor, nieco zniżając głos; w Nim ufając, z Nim idąc nie zlękniemy się potęgi Gustawa. Tak jest, jeśli mi Bóg życia dozwoli, ani świętego obrazu, ani uświęconéj Jego pobytem Jasnéj Góry, nie oddam w ręce heretyków; zagrzebiemy się raczéj w jéj gruzach....

Warszycki słuchał niewierząc uszom swoim, ze strachem jakimś, ze zdumieniem niepojętém, które się dobitnie wyryło na jego twarzy.

— Jakto? księże Przeorze, doprawdy? myślelibyście?

— Myślę tak i uczynię z pomocą Bożą, z opieką Maryi Panny, nie oddamy Szwedowi Częstochowy.

Trzeciego Listopada, przed chórem północnym, wszyscy zakonnicy zgromadzili się powołani przez Przeora, do wielkiéj sali zwanéj *Definitorium*; nikt z braci niewiedział powodu wezwania; wszyscy jednak z posłuszeństwem zakonném pospieszyli w milczeniu i zasiedli miejsca swoje. Kilka lichtarzy z żółtemi woskowemi świecami stały w pośrodku na stole przed krzesłem przygotowaném dla przełożonego; naprzeciw na ścianie wisiał ogromny poczerniały krucyfiks, u którego stóp bielała głowa trupia i dwie na krzyż złożone kości. Nie było to dzieło snycerza, ale ze cmentarza wzięta czaszka zżółkła i dwa nadbutwiałe piszczele. Pod krzyżem w złocistych ramach czerniała twarz łagodna Najświętszéj Opiekunki klasztoru. Na prawo i lewo w ciemnych drewnianych ramach zawieszone ogromne płótna, okazywały wśród cieniów mało oświeconéj sali postacie świętych zakonników i królów, jak gdyby wyskakujące z zachmurzonego tła obrazów. Zdawali się oni należeć do tego zgromadzenia ojców, siedzących poważnie w stallach dębowych tak nieruchomie, jak posągi lub obrazy. Gdzieniegdzie zabłąkany promyk światła padał ukośnie na blade lica Paulina i otoczoną nimbusem twarz błogosławionego, zarówno je ożywiając. Cichość głęboka panowała jeszcze w wielkiéj sali, niekiedy tylko westchnienie, spadająca z różańca kościana paciórka, szmer cichéj modlitwy lub słowo z ust wymykające się, przerywały milczenie. Ojcowie powoli schodzili się jeszcze, starsi szli o kiju, prowadzeni przez professów, co raz to się otwarły drzwi, i który z zakonników wsunął się z hasłem

zwyczajném po cichu wymówionem, zajmując miejce oczekujące na niego.

Przeora i kilku starszych nie było jeszcze, a chwila oczekiwania na nich zeszła na rozmyślaniu, którego ciężkie dumy widać było po zasępionych twarzach braci. Nareszcie drzwi się otworzyły i ksiądz Kordecki powolnym wszedł krokiem, zajął miejsce swoje, ukląkł przed krucyfiksem, rozpoczynając ze wszystkimi modlitwę do Ducha świętego.

Słychać było szmer upadających na ziemię kolan i cichy szept, jakby orzeźwiający deszcz wiosenny, zaszumiał po sali.

— Amen! powstali wszyscy; ksiądz Augustyn Kordecki jeszcze chwilę z rękami złożonemi, z oczyma dźwigniętemi w niebo, choć usta miał zamknięte modlił się gorąco, duszą całą. Ojcowie oczekiwali by zszedł ku nim, w powadze, rozrzewnieniu niektórzy, poglądając na niego.

W tém podniósł się żywo, opromieniony, z pogodném czołem, uśmiechem słodkim, otwierając usta powitaniem zwykłém w zakonie i tak mówić zaczął:

— »Kochani bracia! wezwałem was na radę: bo sam nie mogę brać na barki moje wielkiéj odpowiedzialności w okolicznościach teraźniejszych, kraju i świętego gniazda tego się tyczących. Niema już wątpliwości, że Szwed, który zalał całą Polskę, i na naszą twierdzę Jasno-Górską się zbiera; nie wiemy tylko dnia i godziny. Nie pytam was bracia mili, czy miejsca tego powierzonego naszéj straży od półtrzecia wieku bronić będziemy od napaści heretyków, bo to jest obowiązkiem naszym, i wątpliwości żadnéj nie ulega, ale radbym zdania waszego zasięgnął o tém, czyli przystoi święty Obraz zostawić tutaj, lub ukryć go należy w bezpieczniejszém, nieznaném schronieniu. Bronić się musimy i będziemy do ostatniéj kropli krwi, winni będąc przelać ją tutaj za Boga naszego i wiarę, za wierność królowi poprzysiężoną; ale któż wie? może Bóg niepobłogosławi usiłowaniom naszym, może niepodołamy obronie, może śmierć nas spotkać, a wróg opanować lub zniszczyć Jasnągórę; godziż się, by obraz wystawiony był, nie mówię, na jego razy, ale nawet urągliwy i szyderski wzrok? Mówcie więc bracia i radźmy w imie Boże. Naprzód wy ojcze Jgnacy (Milecki).«

Ojciec Ignacy krzepki starzec z siwą włosów koroną, olbrzymiéj prawie postawy, pogodnéj twarzy, ale surowego wejrzenia, skłonił się przełożonemu, spojrzał po braciach, jakby się wymawiał, że pierwszy głos zabiera i tak mówił:

— »Bronić się heretykowi konieczna i piękna, umrzeć bodaj w obronie tego świętego miejsca, jak straży przystało, którą wódz postawił na ważném stanowisku, chlubnaby nam była. Podołamy walce, bo nas Bóg-człowiek Odkupiciel nie opuści, i Matka Najświętsza płaszczem łaski swéj osłoni. Nie znajdzie się tu pewnie nikt, ktoby radził poddanie sromotne. Prawda, że

kraj cały pokłąkł, jako obłąkani Izraelici przed cielcem złotym, ale komuż, jeśli nie nam, dać przykład wytrwania i dochowania przysięgi? Co się tycze świętego obrazu, o ile umiem słabym umysłem radzić i wnioskować, skryćby go należało wprzód, niżeli wróg nadejdzie; skryć także srebra i drogocenne kościoła naczynia i ofiary, aby się niemi heretyk nie cieszył, jeśli Bóg na nas dopuści zniszczenie. Sami pozostaniemy świętego miejsca do ostatka żołnierzem wiernym i nie wzdrygniemy się boju.

Przeciwko księdzu Mileckiemu oświadczył się ojciec Jan, wnosząc, by w razie obrony obraz pozostał w miejscu, dla zagrzania ducha i opieki; dowodząc, że kapłani i lud zarówno odważniéj bić się będą, widząc Orędowniczkę przy sobie i stojąc w jéj obronie. Trzéj czy czteréj ojcowie z małą różnicą powtórzyli zdanie pierwszych i nie rozszerzali się wcale; koléj przyszła na księdza Piotra Lassotę, a ten z początku zaniemiał, lecz od Przeora przynaglony, jakby się obawiał powiedzieć, co myślał, nieśmiało głos podniósł:

— Nie spieszę — rzekł, z myślą moją, bo złą być może, a przecież winienem ją, choćby grzeszną i ułomną, wypowiedzieć, jaką jest we mnie. Przebaczcie mi więc ojcowie, jeśli waszego nie podzielam zdania, ani mi za złe bierzcie, że mam własne. Z wami razem, skoro taka wola będzie starszych, gotów jestem ochotnie walczyć i ginąć, z radością życie niosąc nikczemne na ofiarę Panu Bogu mojemu, ale sądzę, że nie mnicha jest rzeczą walczyć i krew przelewać. Nam w udziale dostała się modlitwa, rozmyślanie, rozmowa z Bogiem i pokuta; miecz nie powinien dotknąć rąk zakonnika, nieprzystoi mu zbroja, a morderca dwakroć grzeszy, gdy jest posłannikiem Boga, który mu nieprzyjaciołom przebaczać i drugi policzek nastawić rozkazał. I nie naszą to rzeczą, i nie naszych sił sprawa, obronić twierdzę Jasnogórską od silnéj wprawnego i mocnego nieprzyjaciela napaści; winni będziemy krwi przelanéj, a cóż gdy się ona na nic nie przyda i tylko wroga rozjątrzy? Weźmijmy więc skarb nasz jedyny, obraz święty na ramiona; ubodzy, pieszo, z krzyżem w ręku wynijdźmy ztąd, zostawując skarby ludziom, co do nich przywiązują cenę, a sami schronimy się do Głogowa lub innego jakiego klasztoru na Szląsku.

Gdy to mówił ksiądz Lassota, (a mowa jego zdawała się jednać sobie chętne przyjęcie u niektórych braci), ksiądz Przeor powstał:

— Prosiłem rady; jako szczerą a z serca pochodzącą, przyjmuję ją wdzięcznie, rzekł, ale się na to zdanie wasze zgodzić nie mogę. Zakonnik w potrzebie walczyć i bronić świętości powinien, a nie poddawać się nieprzyjacielowi wiary. Mamy tego dowody w ustanowionych przez świętych założycieli, zakonach rycerskich, które *ore, corde et ense* pracowały na zbawienie swoje i ludów; mamy tego przykłady w piśmie świętém i w dzie-

jach mężów, których orężowi błogosławiło niebo. Przysięgaliśmy wszyscy jako obywatele kraju naszego, na wierność królowi Janowi Kazimierzowi, nie godzi się nam łamać i lekceważyć przysięgi. Mamyż, gdy na nas oczy kraju całego są obrócone, gdy wszyscy wyglądają ztąd cudu, aby się nim pokrzepić, ustąpić ocalając życie, a zostawić miejsce święte, jako gniazdo próżne, na łożysko heretyckiéj gawiedzi, by je nie zastygłe jeszcze, bluźnierczą mową i sromotnemi czyny splamili? Święty to obraz, święty stół, bracia moi, ale uświęcona nim przez wieki Jasnogóra równie dla nas drogą być powinna. Tu walczyć, tu stać, i tu jeśli wola Boża, zginąć nam przystoi.

Ksiądz Piotr Lassota skłonił głową i nic nie odpowiedział, a dalsi ojcowie wotowali raczéj za przeorem, niż za nim. Kilku tylko jeszcze, z innych powodów, przypominając słabość miejsca, niedostateczne środki obrony, radzili wytargować sobie jak najkorzystniejsze warunki u Karola Gustawa, posłać wcześnie do Wirtemberga, do Horna, do przyjaznego dawniéj miejscu świętemu Wejharda i przewlekając poddanie, czekać dalszych wypadków.

Gdy głosy zebranemi zostały, okazało się, że znaczna większość była za ukryciem bezpiecznem a niezwłocznem obrazu świętego i za obroną do ostatka Jasnéjgóry.

Na czwartek ksiądz Kordecki uroczyste zapowiedział nabożeństwo przed ołtarzem Najśw. Orędowniczki, kościół i kaplica przedstawiały obraz dziwnéj piękności, godzien owych czasów. Myśl męczeństwa, jak jasna aureola, opromieniała głowy starców, dzieci, niewiast i żołnierzy pod sklepieniem kościelnem zgromadzonych. Gorące były modły wszystkich, jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa; na większéj części twarzy osiadał przestrach chwilami i łzy z powiek wyciskał; jedni krzyżem leżeli, drudzy klęczeli w pokorze, inni jakby ust otworzyć nie mogli, siedzieli na ziemi z głowami spuszczonemi w osłupieniu i otrętwieniu, które chwilami przerywała krótka natchniona modlitwa. — Wśród ciszy wznosił się z chóru głos zakonników, śpiew chwały, i jak wstęga rozwijał splotami jasnemi w powietrzu; dzwony biły radośnie, muzyka brzmiała, kadzidła silnemi kłęby leciały pod sklepienia... a szmer modlitwy z westchnieniem zmieszanéj w przestankach śpiewu, szumiał jak las stary o wschodzie słońca. — W tém ksiądz Kordecki wszedł na kazalnicę, pomodlił się i odezwał słowami pisma świętego, »*melius est nos mori in bello, quam videre mala gentis nostrae et Sanctorum, sicut autem voluntas fuerit in coelo, sic fiat.*« — Nie był to mówca owych czasów, napuszony i wyuczony, ale natchniony kapłan, którego wymowa płynęła z serca strumieniem wezbranym; to téż gdy zagrzawszy oziębłych, głos wznosił do Matki Najśw. z błagalną modlitwą, do krwawych ran Jéj Syna, wszechmocność Bożą, wielkość i potęgę Pana panów malując, schylone głowy dźwignęły się

wszystkie i zabiły serca... Żołnierze uczuli się mężnymi przeciwko tysięcom, starcy odmłodnieli odwagą, siła klasztorna wydała się w oczach wszystkich olbrzymią, bo ją zwiększyły zastępy aniołów, i nadzieja napełniła dusze zwątpiałych. — Po mszy nastąpiły suplikacye, te wołania strapionych tak wymowne a tak proste, których najwyszukańsza nie zastąpi modlitwa, rozległ się kościół powtarzaniem: święty Boże, święty mocny! święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami! — I ze wszystkiego nabożeństwa, to może najgoręcéj odśpiewane zostało; kapłan wziął z ołtarza wystawiony Najśw. Sakrament, rozstąpił się lud, panowie Zamojski i Czarniecki ujęli celebrującego pod ręce i procesya poszła ku drzwiom kościelnym, a za nią falą potoczyli się wszyscy.... Tak w powolnym pochodzie ze śpiewem, wśród bicia dzwonów i odgłosu uroczystéj tłumu modlitwy, do koła murów obniesiono monstrancyę, zakreślając nią jakby czarowny pas, który miał bronić Częstochowy. Ilekroć zbliżali się do dział, które zimne jeszcze paszcze zwracały na pustą okolicę, do kupy broni, kul i bomb, stawali wszyscy, kapłan występował i święcił te narzędzia śmierci, w Imię Boga zastępów. — Piękny to był obrzęd i widok wspaniały, któremu słońce jesienne, wychylając się z za chmur, towarzyszyło promieniem jasności, z góry także zdając się błogosławić wierze téj garści ludu, co w ciasnych murach miała się bronić stokroć potężniejszemu nieprzyjacielowi. — Była to uroczystość jedyna, i równie z przemową przeora podniosła ducha w oblężonych: bo on ją także obmyślił. Jeszcze się nie skończył obchód, gdy nagle wszystek lud zastanowił się poglądając w stronę Częstochówki. — Wojsko szwedzkie zajmowało w téj chwili wioskę i poczynało rozsiewać się po wzgórzach, zapełniając jakby mrowiskiem ruchomém przed chwilą puste jeszcze drogi i pola. Na ten widok krzyk się wyrwał z piersi wszystkich, wszyscy poklękli, a Kordecki rozpoczął śpiewać: Przed oczy Twoje Panie! — Te pokutne wyrazy znalazły odgłos w sercach wszystkich; każdy uczuł, że ma co złożyć przed Bogiem i śpiewał gorąco przejęty. Orszak wśród bicia wszystkich dzwonów i odgłosów muzyki towarzyszącéj pieśni, powoli wsunął się do kościoła nazad, gdzie się miało dokończyć nabożeństwo.

Obrona wojenna Częstochowy powierzoną została miecznikowi Stefanowi Zamojskiemu i panu Piotrowi Czarnieckiemu. Szwedzi pod komendą jenerała Milera, hr. Wejharda i Sadowskiego, ciągnąc pod Częstochowę wszystkich używali sposobów, by klasztor do poddania się skłonić. To napadem nocnym nastraszyć chcieli zakonników, to wśliznąć się do klasztoru, jako katolik obiecywał Wejhard, ofiarując się z swoim oddziałem na załogę dla świętego miejsca; to znowu nasyłali Polaków, mających wybić z głowy szaloną myśl obrony, ile że cały kraj już się poddał Karolowi Gustawowi a odstąpił Jana Kazimierza. Ale Kordecki ze swoimi wodzami, statecznie trwają w myśli bronienia miejsca świętego. Więc surową w klasztorze zaprowadzają karność, słabsze miejsca warowni wzmacniają, i układają się z wrogiem, a szalonemi wycieczkami go odurzają; jak np. p. Czarniecki w następującéj wycieczce nocnéj:

Mrok padał, ognie szwedzkie z daleka widne, znaczyły doskonale miejsca, w których się obóz rozłożył szwedzki: tak byli nieopatrzni, tak pewni siebie, że jakskoro działa wieczorem spoczęły, rozkładać się, nocłegować, pić i hulać, a potém usypiać poczęli, bez zwykłych w takich razach ubezpieczeń. Milerowi ani się śniło, by wystraszeni mnisi z garścią ludu napadać go mieli we własnym obozie! Tymczasem mała kupka odważnych, uzbrojona w żelazne pancerze, rusznice, hełmy, pałasze i kosy nawet, pod wodzą Czarnieckiego zbierała się już w podwórcu. Coraz to z głębi ciemności nocnéj wychodził orężny żołnierz i stawał, pomnażając liczbę ochotnika. Gromadka ta nie miała wcale pozoru żołnierzy dzisiejszych, dobranych i jednakowo ubranych: każdy odziany był i uzbrojony po swojemu, każdy przypasywał doświadczeńszy miecz pradziadowski, karabellę, co mu do ręki przypadała, którą był nawykł machać i płatać; wdziewał hełm wygodny, opasywał pierś pancerzem dobranym do niego. Na wielu z tych zbroi połyskiwały krzyże mosiężne, zwykła ozdoba XVII. wieku w Polsce i dziś jeszcze na wykopywanych widoczna: bo gdzie ten znak rdza wyjadła, cztery po nim otwory zostały.

Inni mieli na szyi blachy z wizerunkami Matki Boskiéj, inni różańce pozawieszali na szyi, brzęczące na zbroi, lub z przodu i z tyłu wiszące szkaplerze z imieniem Maryi. Garść ta śmiałków, oświecona kilką pochodniami, dziwnie się malowniczo przedstawiała ze swą rozmaitością stroju, twarzy i zbroi. Czarniecki każdego z osobna przeglądał: ciężko zbrojnym ulżył nieco, rozkazał nieobciążać ładunkami i zbytkiem zawadnego oręża, szable pobrano pod pachy aby nie brzęczały, pozakasywano kontusze do kolan i już wszyscy byli w pogotowiu, gdy Kordecki nadszedł z krzyżem w ręku.

— Wszystko, — odezwał się, — poczynajmy od Boga. Pomódlmy się naprzód bracia, ucałujcie ten krzyż, za który walczycie! To mówiąc podniósł ręce i z natchnieniem począł modlitwę, którą skończył przeżegnaniem. Wszyscy potem od Czarnieckiego do ostatniego ciury, ucałowali znak zbawienia, a gdy maleńka fórtka ukryta otwierała się i wypuszczała w milczeniu idących mężnych obrońców Częstochowy, Przeor nad nią na murach ukląkł na kamieniu i w zachwycie jakimś, pozostał obcy wszystkiemu, co się w koło niego działo. Wśród ciszy wszyscy szli fossą do miejsca, w którem przez kontreskarpy wydobyć się z niéj mieli; i nim pan Czarniecki klasnął w dłonie, już żebraczka Konstancya pokazała się na przodzie z kijem w ręku, wiodąc wycieczkę i szepcąc — Zdrowaś Marya.

Sam zresztą naczelnik nie spuszczając się na nią całkowicie, miarkował kierunek, aby obejść Szwedów.

Szli tak dobrze ćwierć godziny, gdy Konstancya rzuciła się na ziemię i zdawała chwytać coś pod nogami, wołając cicho

o pomoc, wszyscy podbiegli ku niéj z przestrachem. Jakiś człowiek (było to jeszcze niedaleko murów) leżał na ziemi szamocąc się, ale mu żebraczka tak silnie ręką zatkała gębę, że krzyczeć nie mógł; natychmiast schwycono go, zakneblowano i związawszy rzucono w fossę do powrotu, a wycieczka poszła daléj.

Przestrach chwilowy zmienił się w niecierpliwe pragnienie walki; Janusz Węgrzyn nadewszystko przodkował, jakby chciał mierzyć się ze śmiercią, jakby jéj szukał i pragnął.

Na lewo już pomijali Szwedów; chętka brała spróbować mając ich pod ręką, ale Czarniecki ciągnął daléj, i dopiero tył im wziąwszy, miał rozpocząć utarczkę. Ten czas powolnego i ostrożnego przejścia wśród ciemności wydał się wiekiem ludziom słabszego serca, co niepewności więcéj bali się niż nieprzyjaciela. Nie dawano znaku do boju; lecz coraz a coraz zwracano na lewo powolnie i widać było, że minąwszy część śpiących po namiotach i szałasach Szwedów, wkrótce uderzyć miano. W obozie było cicho i bezpiecznie, nigdzie czat, nigdzie posunionéj straży; żołnierz opiły wylęgał się na mokréj ziemi, na garści słomy, osłaniając od wilżącego deszczu. Nagle żebraczka im znikła z oczów, a Czarniecki wyjął szablę z pochew: błysła w powietrzu i z krzykiem:

— Jezus, Marya, Józef!

Z tém hasłem śmierci w ustach mężni żołnierze rzucili się na bliższych żołdaków, o których się prawie oparli...

Kilkadziesiąt strzałów razem zagrzmiało w powietrzu długiemi pasy płomienia, i nic nie potrafi odmalować obrazu, jaki przedstawiła część obozu szwedzkiego, schwycona tak niespodzianie. Ludzie porywali się ze snu, sami niewiedząc, co się stało, nieumiejąc rozpoznać dokąd uciekać mieli, i wprost na strzały Czarnieckiego się kierując.

Janusz z jedną szablą już krwawą i ociekłą, rznął się w obóz nieprzyjacielski jak szalony; straciwszy nakrycie głowy, opętany bojem, nie syty zabójstwa, gnał w prawo i w lewo rozpierzchłych Szwedów, tego po łbie, tego po krzyżach, innego po ręku płatając. Wpadał do namiotów i mordował uśpionych, deptał nogami, rozbijał piersią powstających.

Popłoch rozchodził się w całéj téj części obozu, którą objęli Jasnogórcy; przytykała ona do namiotu Milera i lud się coraz szerzéj rozbudzać zaczął do koła, tak, że wycieczka znalazła się wkrótce wśród przeważnéj zewsząd siły szwedzkiéj, jak w wieńcu męczeńskim. Ale z nią była przytomność i męztwo; tu niespodziana napaść siała postrach, a napad nie od strony klasztoru, ale ze środka samego obozu, zdawał jakąś obcą odsieczą... Gdzieniegdzie wśród krzyków, wśród wrzawy, ozwał się bęben krótko i rozbity ucichł, owdzie piszczałka i trąba zaczęły zwoływać i umilkły.

A za panem Piotrem jak rzeka leżeli trupem posłani Szwedzi;

on szybko, żywo, rznął się przez nich ku klasztorowi. W drodze napadli na dwa działa i natychmiast je zagwoździli. Tuż przy maleńkiéj bateryi był namiot pułkownika *de Fossis*, który z wieczora nadowodziwszy u Wejharda o nicości człowieka i przesądach ludzi obiecujących im inne życie, legł spać z uśmiechem zadowolnienia. Janusz wpadł do jego namiotu i miecz w piersi bezbożnéj utopił; oczy tylko otwarły się straszliwie, głowa podźwignęła się konwulsyjnie, ręce zadrgały jakby miecza szukały, i nieszczęśliwy upadł wiecznym snem do ziemi przykuty.

Janusz szedł daléj a daléj, rzucał się w strony i niepamiętny kierunku, ani trzymając się kupy, pojedyńczo na swoją rękę, rzeź sobie sprawił. Długo mu się to udawało, aż Szwed wpół nagi zaskoczył go i wzięli się za barki szamotać. Jak dwa wilki wściekłe żarli się z sobą, zębami, nogami, rękoma; w tém wystrzał z boku obu ich na ziemię powalił, poskoczyli Czarnieckiego ludzie chcąc ratować Węgrzyna, ale już ducha wyzionął i ręką tylko wskazał na klasztór.

Wycieczka biegła coraz żywiéj do foss i fórty, bo za nią rozbudzony obóz cały, ruszał się, kupił, opamiętywał i gonił. Miler ze snu się porwawszy, skoczył na konia z Hornem i ufny w swoją siłę, poznawszy że to robota klasztorna, pędził za wycieczką. Zatrzymał go namiot pułkownika de Fossis, którego chciał zbudzić by działa na śmiałków wymierzono — de Fossis leżał we krwi swéj się brocząc. Generał za głowę się pochwycił.

— Ognia, ognia! krzyczał; ale dwa działa, które szkodzić mogły uciekającym, zagwożdżone były śmiertelnie. Horn, który jak Miler niecierpliwił się i oburzał tém zuchwalstwem garści ludu, puścił się konno naprzód, pomimo ciemności i zawałów, i z podniesioną szablą mierząc na wodza, gdy któryś z ostatnich i już minionych polaków przyskoczył i ciął go silnie kosą w piersi. Horn zachwiał się, chwycił szablę oburącz, i upadł z koniem razem, postrzelonym jednocześnie.

Miler nadbiegł gdy już leżał na ziemi i zatrzymał się wściekły, niemogąc rzec słowa, drżący od gniewu, zdumienia i jakiegoś panicznego strachu, który uczuł, widząc ulubieńca silnie rannego. Krzyknął dając rozkaz ścigania, i rozporządziwszy ratunek dla Horna, sam spiesznie zawrócił się ku namiotowi. Już téż co żyło zerwało się ze snu i biegło chwytając muszkiety; bębny biły larum, trąby grały, ognie się zapalały, a nasi śmiałkowie ku twierdzy przerzynając się coraz żywszym spieszyli krokiem...

Czarniewczycy jako hasło powtarzali zbierając się — Jezus, Marya, Józef — i z tym okrzykiem zwycięzkim dobili się do murów twierdzy, spuścili w fossę i fórtka się otworzyła, i wszyscy prawie, co się byli puścili na tę niebezpieczną wycieczkę, wrócili nazad cali i zagrzani na duchu, jakby ognistą kąpielą nabrawszy sił nowych.

Kordecki klęczał i modlił się jeszcze; całując kraj jego szaty Czarniecki, który z wruszenia i zapału nic powiedzieć nie mógł, obudził przeora z tego pobożnego zachwycenia.

— Otóż macie nas nazad, rzekł pan Piotr, i szczęśliwie...

— A! Bogu niech będą dzięki... lecz ofiary?... kto zginął?

— Jednegośmy tylko podobno stracili — biedaka Węgrzyna.

— Biedaczysko! Bóg mu oznajmił zgon przeczuciem; módlmy się za jego duszę...

W tém nadbiegł Zamojski.

— A co! zapytał gorąco.

— Wszystko dobrze, jak z masłem poszło — Popatrzcie no na Szwedów, cośmy im za sztukę spłatali, kręcą się jak w ukropie.

W istocie widok obozu z murów przedstawił jakby mrowisko, w które padnie gałąź drzewa — migały wszędzie drobne ognie i wśród ciemności poruszały się żywo w różnych kierunkach ku podnożu góry; znać Szwedzi niewiedząc dobrze co to było z nimi, obawiając się jeszcze, ze stanowisk bliższych na dalsze i niższe się cofali: stawili czaty i rozpalali ogniska; lud biegał, ruszał się i szumiał.

Ale nie wszyscy tego byli ducha, co Kordecki i wodzowie jego Zamojski z Czarnieckim. W krytycznem położeniu warowni strach corazbardziéj ogarniać zaczął umysły słabsze.

— Za pozwoleniem Waszéj przewielebności, to więc widzę, że o zdaniu się niema mowy?

— Jakto, o zdaniu — spytał Przeor?

— Bo jest nas tu wielu, — kończył trochę ośmielony Płaza, — cośmy téj myśli, że inaczéj nie będzie, tylko potrzeba zdać się Szwedowi i łaski jego prosić. Co tu już darmo bronić, czego obronić niepodobna! Nieszczęście! król nas opuścił, uciekli wszyscy, Chan nawet rewokował traktaty; nie wojować nam z losem, lepiéj prosić o warunki dogodne i spełnić wolę Bożą...

Zapłomieniła się oburzeniem twarz Kordeckiego i powstał jak stary rzymski senator z kurulskiego krzesła, jak kapłan prorok, aż do koła rozstąpił się przed nim lud wszystek, gdyby popchnięty niewidzialną siłą; — wzniósł ręce do nieba, oczy ku niebu i zawołał przejęty:

— »I wy to synowie tych ojców co w boju zrodzili się, zrośli, pomarli, co nigdy nie wątpili o zwycięztwie, co nie ulękli się niczego, wy potomkowie niezwalczonych, których Tatarowie i Niemcy niepożyli: wy mówicie dziś o poddaniu i poniżeniu przed nieprzyjacielem, na chwilę zwycięzkim? — Takżeśmy to już upadli? — To zwątpienie, ten postrach nikczemny, który śmiecie wyrzec już głośno, gubił nas i gubi! I nie wstyd wam nie mieć odwagi na śmierć chrześciańską, a kochać nędzne życie, nad ziemię swą, króla, swoją cześć i sławę! I nie wstyd wam drzeć jawnie i mówić o strachu?

Widzę! widzę! — kończył uniesiony, — ten postrach dzisiejszy, jak zepsuta krwi kropla popłynie i w przyszłe pokolenia, zlękniemy się, gdy odwagi tylko będzie potrzeba; niezgody i kłótnie miotać nami będą; będziemy się chlubić naddziadami, nie mogąc sobą — i owszem pogardzeni w barłogu Łazarze. Małoż jeszcze mieliście cudów, że o cudach wątpicie? Nie obroniłaż was już Matka Boska, nie opieramy się stokroć większemu, silniejszemu wrogowi, my garść starców bezsilnych? Trzebaż by wam mnichy dawali przykład wytrwania i wiary?

Płaza cofnął się i pobladł, jak piorunem rażony, ale odzyskując fantazyą i siłę szepnął:

— To proszęż nas wypuścić...

Ale go wnet zahukano tak, że słowo jego nie doszło nawet uszu Kordeckiego, a pan Czarniecki zaraz mu na kark wsiadł:

Co to, Waćpan oszalał? zakrzyczał; kto Waćpanu dał prawo mówić, w czyjem to imieniu androny prawisz? I Waćpan nie spalisz się, to mówiąc?

— Ale bo — ale bo — bąkał Płaza, Szwed tak silny.

— Wypuścim Waści do Szweda po oblężeniu, jeśli się podoba, — kończył Czarniecki; — smakuje ci Szwed że silny, pokłoń że się i diablu, bo silniejszy jeszcze od niego!

Ciż sami co przed chwilą pana Płazę popychali i do odezwania się skłonili, teraz odstąpili go; obejrzał się, chciał by go kto poparł, nie było za nim nikogo; skonfudowany, wlazł w kątek. Przeor tak mówił daléj:

— Wiary, wiary! wołam i wołać nie przestanę — zgody i wiary daj nam Panie! To słowa wielkie, w nich oręż potężny. Módlmy się o nie, pracujmy na nie, uczmy dzieci w kolebce tych dwu słów tajemniczych: zgody i wiary, wiary i zgody! Nie opuści Bóg, jeno zwątpiałych i zwaśnionych! Bo rozpacz i swary są znakiem, że w nas Duch Boży nie mieszka. Dopóty Bóg z nami, póki wiary, póki zgody.

A pan Zamojski dodał:

— Wszyscyśmy tu przyszli nie po co, tylko by życie położyć w ofierze dla czci Maryi i dać dowód, że nie cały jeszcze kraj zwątpił i ręce po więzy szwedzkie wyciąga. Więc ofiary téj raz uczynionéj nie cofajmy z ołtarza. Życie nasze, jeśli się Bogu podoba, niech idzie na pomnożenie chwały Jego, a zażąda li kraj odemnie wyrostka tego, jedynego mojego dziecięcia, oddam mu go, — rzekł wskazując na syna, — i idącego na śmierć poczciwą, pobłogosławię. Pan Czarniecki rzucił się ku mieczníkowi.

— Kochany panie Stefanie, krzyknął, mówisz złotem, każże walić z dział i zaraz na mury, w imię Matki Boskiéj!

Nareszcie Szwedzi poznali się na wrzekomych układach jasnogórskich.

Miler się zadumał odebrawszy ostatnią odpowiedź.

— Ot przeczytajcie sami, — rzekł, co piszą... że im ich załoga wystarcza, a nowéj niepotrzebują, jakbym ja ich pytał, jak im lepiéj? krętacze! A dodatek miły, dołożył kwaśno się uśmiechając wódz, że naszego wyznania ludzi, a nawet katolików co służyli przeciwko Jasnéjgórze, wpuścić do niéj nie mogą. Wykręt papistów, zasłaniają się świętością, ale dość już tego błazeństwa, dość, jutro więc szturm do klasztoru....

To mówiąc powstał i wydano natychmiast rozkazy rozpoczęcia kroków zaczepnych na jutro, nie wysyłając już żadnéj do klasztoru na list odpowiedzi. Miller wargę podgryzł, wąsa zakąsił, siadł na koń, wołać kazał puszkarzy, rozdać ładunki i zebrawszy radę wojenną, o świecie uderzyć.

* * *

Działa grzmieć poczynały; Szwedzi nie dając poznać, że wielkie dwudziestocztérofuntowe kartauny i kolubryny nadeszły im z Krakowa, powolnie strzelali do klasztoru, ustawując je tak, aby z Jasnéj-Gory widać ich nie było, chcąc potém nagle paszczami tych strasznych pomocników gwałtowny ogień rozpocząć. Wszystkie teraz nadzieje Millera były na tych działach i Wejhard podtrzymywał je znowu, kręcąc się koło generała, potakując jego marzeniom, ręcząc że za pierwszym wystrzałem poddadzą się zakonnicy. Miller milczał wzgardliwie. Napróżno usiłował go sobie znowu pozyskać niezwykłą gorliwością Wrzeszczewic; kręcił się, zabiegał, pracował; generał to obojętnie przyjmował, przypisując mu zawsze swoje strapienia i zawody.

Nie rychło wielkie owe spiże ustawić potrafiono; wzięło to całe dwa dni czasu, choć dniem i nocą pracowano. Zasłaniając tymczasem robotę, z mniejszych puszczano kule ze sznurami i szmatami smolnemi dla zapalenia dachów, ale straż i woda stały na nich ciągle; ledwie się płomyk ukazał, wnet go zalano.

Przysposobiono co chyżéj baterje z koszów, a nawet z worków wełną nabitych, dla wielkich dział krakowskich. Cóż gdy i tu Millera wściekłość porywała: bo rachując na zasoby jego Wittemberg nie przysłał mu prochów, a działa wielkie tyle ich brały, że zapas generała nie na długo mógł wystarczyć. Cała nadzieja była w tém, że po jednym dniu szturmu, albo się oblężeni zdadzą, albo się wyłom zrobi. Wachler ukazywał, gdzie mury były najsłabsze.

Kordecki ze starszyzną Jasnogórską, wiedział już o nadciągających kartaunach, ale nie miał potrzeby głosić o nich załodze, by ją niemi więcéj ustraszać; naradziwszy się więc po cichu, rozkazawszy co słabsze miejsca przygotować na wypadek wyłomu, aby natychmiast mógł być zarzucony; czekał spokojnie woli Bożéj.

Ale przez dwa dni milczeli owi zastraszający przybysze; ustawiono je, sposobiono im łoża, sypano baterje, zwożono prochy i kule, urządzano dylowanie, a że umarzłéj ziemi nie łatwo było ruszyć, szła robota opornie.

Tymczasem smolne wieńce, kagańce, kule ogniste leciały na klasztór, aby zakryć przed zakonnikami gotującą się na nich niespodzianą napaść, stokroć od wszystkich poprzednich niebezpieczniejszą,

W klasztorze spokój i pilność.

Tak czwartek i piątek minęły. W sobotę rano wszyscy byli na jutrzni, gdy potężnym głosem ryknęły kolubry ustawione już przeciw murom kościelnym.

Kordecki był w chórze, zadrgnęło mu serce słysząc ten huk straszliwy, ale nie z bojaźni — trwożył się o męztwo swoich towarzyszów, pewien będąc, że sam łaską Bożą wsparty, wytrzyma.

Czarniecki pierwszy, za nim Zamojski wpadli na mur. A tu już załoga przerażona stała zlękła, jakby ostatnią godzinę wybiły jéj działa. Po trzy kartauny nieustannie zionęły ogień i kule od strony północy i południa. Pan Piotr, któremu odgłos ten dodawał serca, Zamojski co się mógł podwajać czynnością, rozdzielili się przewodnicząc ludowi do zagrożonych ścian. Widok dwóch mężnych wodzów, nie tracących odwagi, zawstydził, rozochocił; każdy chciał dowieść, że niebezpieczeństwem gardzi.

Kto żyw na mury! kto żyw na mury! — rozlegało się wszędzie.

I dzieci, kobiety, niedołęgi, biegli niosąc kamienie, ziemię, belki na zabijanie wyłomów w kortynie; wyrostki zbierali upadłe szwedzkie pociski, i dziwiąc się ich ogromowi, oddawali puszkarzom.

Zamojski posłał po syna.

Matka go żegnała, tuląc a błogosławiąc jedyne dziecko; ale stary wojak zażądał mieć u swego boku, i młodzian przyszedł ochotnie.

Nikt z nas od poświęcenia życia nie wolny, — rzekł mu ojciec, — dajemy przykład... stój Stefanie na murach i służ jak możesz.

Za dzieckiem i matka przybiegła, z podziwieniem ujrzeli wszyscy dostojną matronę, stojącą u boku męża i syna. Nie pierwszy to był przykład podobny, ale łzy z oczu wycisnął, gdy poważna matka, jęła w jedwabnéj swéj sukni razem z ludem nosić z podwórców kamienie i ziemię.

Obejrzał się Zamojski, łza zakręciła mu w oku, w sercu podwoił się zapał...

Dzwony biły, muzyka śpiewała.... widok bohaterskiéj garści był cudowny.

Ten lud pobożném uniesiony uczuciem i zagrzany odwagą

nieludzką, ci mężowie pomięszani z kmieciem w obronie wspólnéj świętości; a obok w kaplicy, w przestankach gromów, rozlegający się donośnie śpiew nieustraszonych mnichów i modły bezsilnych... Najbojaźliwsi nawet nabierali serca i palili się w tém ognisku, Czarniecki wołał:

— Czemuż i ja nie mam tu syna, czemuż nie mam z sobą żony, i oniby dali taki przykład jak Zamojscy! ten człowiek we wszystkiem mnie prześciga!

Kordecki jeszcze się modlił, zdał swą władzę na dwóch dowódzców, leżał krzyżem... to także był bój, ściągał pomoc z niebios.

Po mszy, po Loretańskiéj litanii, wystawiono Przenajświętszy Sakrament, i Święty Boże, rozległo się szeroko jękiem błagalnym.

Przeor zbliżył się do ółtarza, ujął w ręce złocistą Zygmuntowską monstrancyą, i szedł za kościół. Dokąd? — On z Panem Panów, z Bogiem do koła twierdzy przechodzi, wojując chórami aniołów, które mu towarzyszyły. Z za dymów ujrzeli Szwedzi krzyż złocisty i chorągwie, i księży białym pasem idących za murami.

Kordecki ze łzą w oku, z Bogiem na sercu, jak męczennik idący na stracenie za wiarę, powolnie postępował wśród dział grzmotu... Za nim nieliczni towarzysze, bo reszta była na murach i przy działach, szli równie podniesieni duchem jak on; niebezpieczeństwo ich upajało... Wszędzie po drodze processyi padali na twarz przed Bogiem obrońcy klasztoru... Kordecki błogosławił.

Kule wzlatywały nad jego opromienioną głową; a gdy się zbliżył ku ścianie południowéj, ogromne złomy murów, cegieł i gruzu, poczęły się sypać na procesyą. Nie zastanowił się Kordecki, czuł on, że idzie z Wszechmocnym i wśród rumowisk, wśród strzałów, przeciągnął spokojnie i cało...

Żadnego z ludzi ani padające do koła cegły, ani kule, ani murów obłamy nie zadrasnęły nawet.

Obszedłszy do koła, Przeor i jego towarzysze wrócili do kościoła, gdzie wystawiono Przenajświętszy Sakrament, aby Bóg nieustanną błagany modlitwą, zlitował się nad niemi.

Oprócz czuwających tu kilku starców, wszyscy zresztą wyszli do dział, do baszt, na kurtyny.

Sam Przeor chcąc rękoma służyć i być przykładem, począł znosić w połach habitu kamienie i ziemię nakopaną.

— Ojcze Przeorze, — zawołał ujrzawszy to Zamojski — do czego to czynicie? obejdziemy się bez was, lepsza nam modlitwa wasza...

— Modlitwa modlitwą, a praca pracą, — odpowiedział powolnie Kordecki, — niech i moje słabe ręce na coś się przydadzą, znają się one z robotą od dzieciństwa, bo nie próżnowały.

I z cicha westchnął, musiał młodość wspomnieć.

Starszyzna niespokojnie oglądała się na strony; mury pękały w wielu miejscach, kule coraz lepiéj kierowane, tu i owdzie więzły w ścianach, rozbijały długie okna, wyszczerbiały szczyty: każdy krzyk zwracał oczy, oznajmując jakąś stratę.

Między dwoma mocnemi basztami, kurtyna, na którą całą swą siłę wywarli Szwedzi, choć od wierzchu nadtłóczona, od spodu jednak wytrzymała; łatano ją worami ziemi, drzewem, gruzem i co się znalazło pod ręką.

Trzech tylko ludzi stracili oblężeni, kilka koni w stajniach zabiły kule, a między niemi wierzchowca Krzysztoporskiego; dwa koła armatnie zdruzgotano od północy.

Po tym pierwszym wybuchu, który trwał do południa, trąbka zwykła parlamentarzy, zagrała u bram, Kordecki wystąpił na galeryą.

— Chcecie się poddać? — zapytał trębacz szwedzki, — chcecie się poddać?

— Musiemy się namyślić do jutra, — odparł Przeor, — dajcie nam czasu do rana.

Trębacz odjechał z odpowiedzią. Miler zwiedziony raz jeszcze, bo poddania pragnął, myślał, że mu się już upokorzą.

— A cóż? spytał swego posła.

— Proszą o czas do jutra.

— Chcą swojéj zguby! — zakrzyczał, — więc ognia! ognia!

Po wszystkich bateryach znowu rozlegał się ten rozkaz zniszczenia i śmierci, stanęli u dział puszkarze, poczęły lecieć kule.

Przeor stał z Zamojskim w miejscu, gdzie się najbardziéj obawiano wyłomu, od północnéj strony; kierowali wytrwale działami twierdzy, odpowiadającemi powolnie na wysilony ogień Milera.

Z murów klasztornych widać było przybycie powtórne olkuskich górników i domyśleć się było łatwo rozpoczęcia miny: Kaliński też zapowiedział wysadzenie w powietrze, i cały znów klasztór nowy miał powód przestrachu. Szlachta jednak iść już sama do Przeora nie śmiała; lament jéj wszakże ciągle było słychać; lada huk wszystkim się zdało, że lecą w powietrze, niektórzy od północnéj strony powynosili się ku kościołowi i bramie, nocy nie dosypiali, a dnie spędzali, włócząc się jak obłąkani po najdalszych podwórzach.

Miler nasyłał jeszcze ciurów z polskiego obozu, żeby załodze w uszy krzyczeli podchodząc pod mury: Jeśli się nie poddacie do dwóch dni, klasztór z wami poleci w powietrze.

Była narada jak dodać odwagi i uspokoić biednych, ale Kordecki innego nie znalazł środka, nad swój zwyczajny — wiary i zgody!! Zamojski, któremu laury pana Czarnieckiego niedawały spoczynku, enigmatycznie się tylko odzywał.

— Poradzi się na to jutro!

— Jak? — pytał niespokojny pan Piotr.

— Pozwólcie niech to do jutra przy mnie zostanie, i spuśćcie się na mnie...

Przeor zezwolił, Czarniecki kwaśno przyjął tajemnicę, ale cóż było robić z upartym miecznikiem; pokręcił wąsa i westchnął.

Tymczasem od rana dnia następującego, Kordecki niemógł się pokazać w podwórzu, żeby go nie otaczali z błaganiem, prośbami, łzami. Łatwo mu było odepchnąć szlachtę dumnie przemawiającą do niego, ale co poradzić z płaczącemi? O brzasku wyszedłszy z *Janitorium*, zastał już zgromadzone umyślnie wszystkie kobiety, a na ich czele panią Jaroszewską z małym synkiem na ręku. Napad ten niewieści widocznie go zmięszał, a tu już kołem opasały go żony, córki i powinowate szlachty zgromadzonej w twierdzy.

— Ojcze Przeorze, nie gub nas i dzieci naszych! Szwed miny podsadza — zginiemy wszyscy!!

Płacz rozległ się po podwórzu.

Stanął Kordecki jakby czyjéj pomocy wzywał.

— Moje dzieci — rzekł do pani Jaroszewskiéj, czy słyszeliście kiedy, żeby nieprzyjaciel mocny, gdy ma co począć, wprzód tém straszył? Sami to pomiarkować możecie, że właśnie dla tego, iż nas Szwed minami straszy, widać podsadzić ich nie może. Stwardnieje mu opoka za łaską Orędowniczki naszéj, opadną ręce, odejdzie ze wstydem. Nie trwożcie się, nie płaczcie, nie obawiajcie! Więcéj męztwa matkom i córkom polskim mieć należy, więcéj odwagi pod płaszczem Częstochowskiéj N. Panny.

— Zginiemy! — zginiemy! — jęczały wszystkie.

— Myślicie, że poddać się bezpieczniéj? mówił Kordecki, — spytajcie tych, co Szwedom zawierzyli. Ani o siebie, ani o dziatki spokojne byście być nie mogły, ani o mienie wasze, ani o mężów; dziękujcie Bogu, że wam dał schronienie, módlcie się a do spraw naszych nie mięszajcie, proszę, zostawcie nam ten kłopot.

To mówiąc Przeor uszedł szybko i rzucił kobiety w lamentach i niepokojach, a szlachtę, co za murem stała i czekała odpowiedzi, w zamięszaniu. Wszyscy się powoli rozeszli narzekając.

W klasztorze widocznie coś tajemniczo się przygotowywało: pan Czarniecki bardzo niespokojny oglądał się, przewąchiwał, zrozumieć nie mógł: bo o niczém nie wiedział; a tu ludzie biegali, przyrządzali broń, czyścili zbroje, szeptali między sobą.

— Co to u licha? mówił do siebie, — czy już i mnie wyłączają nieufni? Coś się gotuje. — Zobaczymy przecie... a bezemnie! bezemnie!

Zamojski czegoś niesłychanie wesół, z twarzą jasną jak słońce biegał i zwijał się cały ranek, odziany, opięty pancerzem, w czepcu od hełmu, w drócianéj koszuli; schwycił go przecie na drodze oburącz pan Czarniecki, bo już dłużéj wytrzymać niemógł.

— Panie Miecznik — rzekł, dość już tego; wczoraj coś mi cedziłeś przez zęby o dniu dzisiejszym, dziś widzę jakieś aparaty do czegoś i nic niewiem. Pókiż to tego będzie? czy już i mnie nie wierzycie, a to się pogniewamy doprawdy, co u licha?

— Kochany panie Pietrze, — odpowiedział uśmiechając się Zamojski — wszystko byście chcieli zrobić sami; dozwólcież i mnie coś obmyślić i począć, mnie się także chce pokazać, że ja tu nie darmo jem chleb Częstochowski.

— O! a ja to będę stał z założonemi rękami, przecieżbym się na coś może zdał.

— Chcecie żebym wam powiedział, taić nie myślę — ale z góry powiadam, że wy musicie w twierdzy pozostać!

— O! a wy to się kędyś wynosicie! — patrzajcie!

— Ja robię wycieczkę.

— Jako? — o białym dniu?

— O dniu białym — tryumfując nieco rzekł Zamojski i podnosząc głowę wysoko, jakby mówił. — A co? widzisz Waszeć com zacz!

Czarniecki widocznie pochmurniał, głową potrząsł, wąsa pomiętosił.

— I ksiądz Przeor wie o tém?

— Dotąd nie, myślę że byłby przeciwny; — dobrałem sobie odważnych ludzi kupkę, i z południa myślę wyskoczyć.

— Tak! powtórzył kilka razy Czarniecki — i bezemnie!

— Przypomnijcie no sobie, czemuście mnie także z sobą nie wzięli; — mogę zginąć, na was cała obrona klasztoru, niepodobna żebyśmy szli oba. Bądźcież sprawiedliwi, wy swoje już zrobiliście, niechże i ja skosztuję szwedzkiego mięsa.

— Tak! tak! ani słowa, niechętnie mruczał pan Piotr. — Ślicznie obmyślano! są racye, ale ekskludować mnie od téj uczty, panie Miecznik, nie po kawalersku! nie!

Pomimo, że Czarniecki był chmurny, uściskali się jednak.

— Daruj panie Pietrze, nie gniewaj się — mówił Zamojski, wy to najlepiéj wiecie, co to za męka siedzieć tak, patrzeć na Szweda, a nie ruszać się; wy swoje zrobiliście.

— Ba! kiedyto to było — zawołał Czarniecki — a w dodatku robiłem wycieczkę po nocy; wykradliśmy się jak złodzieje! a ty po dniu! Aj! aj mieczniku! diabelskiego spłatałeś mi figla, a ja głupi żem się niedomyślił. Ale stało się.

Zamojski zacierał ręce i śmiał się ochoczo, a taki był rad, że drżał jak dziecię, któremu nową pan rodzic przywiezie zabawkę; za to pan Piotr chodził zasępiony i urażony, choć się z resentymentem ukrywał jak mógł.

Nadszedł Przeor i bystrym okiem zmierzył obu.

— Co to panie Pietrze tak koso poglądacie mi coś; a pan miecznik czegoś się śmieje.

— Wielka rzecz! — bankiet sobie wyprawia i nie lada! Cała moja nadzieja, że mu to ksiądz Przeor wybije z głowy.

— No! cóż to takiego?

— Popytajcie no, co zamyśla?

Zamojski już sam podstąpił do Kordeckiego.

— Ot figielkam spłatał panu Czarnieckiemu; jemuby się chciało wszystko samemu pomyślić i zrobić, a tu coś się uplotło bez niego, kwaśno tedy przyjął. Ale na rany Chrystusowe! nie trzeba być tak zazdrosnym!

— Ależ ja o niczém niewiem, spytał przeor niespokojny?

— Cała rzecz, dłużéj się z tém taić niema czego; dziś z południa robię wycieczkę; ludzie gotowi, obmyślano wszystko; wpadniemy jak piorun na zajętych około miny, dopadniemy może dział, żeby je zagwoździć, jak pan Czarniecki; co się nawinie nasieczem i powrócimy.

Kordecki stanął zdziwiony tą myślą tak śmiałą, a Czarniecki ciągle powtarzał z cicha:

— Licho go nie wzięło! po dniu, po dniu!

— Ale to niebezpieczeństwo wielkie, Waćpan zginąć możesz i ludzi potracić — zawołał przeor.

— Naprożnobyście mnie od tego odwodzili, rzecz gotowa, obrachowana i stanie się jak mówię.

Szwedzi niespodziewają się wcale — zobaczycie, że się uda; pójdzie jak z płatka.

— Ej, panie Miecznik, zastanówcie się.

— Zastanawiałem się, i zrobię.

— A w dodatku! odezwał się pan Piotr, i mnie z sobą brać niechcą!

— Nużbyśmy oba zginęli lub w niewolę byli wzięci, któżby został do pomocy ks. przeorowi?

— Obu nie puszczę! — przerwał stanowczo Kordecki — to daremna rzecz!... dość i jednego narazić! ale zlituj się Miecznik, miarkuj....

— Wymiarkowane...

— A nuż Szwedzi?

— Proszę mi serca nie odbierać — przerwał Zamojski — żebym téż i ja wycieczki nie zrobił! Dość siedziałem za piecem.

Przeor podniosł oczy, westchnął i z rozczuleniem uścisnął Zamojskiego.

— Niechże cię Bóg prowadzi, kiedy natchnął — odezwał się — czemuż Polska niema więcéj takich synów! Zdaliby się na te czasy zwątpienia i obojętności! Niestety! wyście tylko wyjątkami! Zamojski przerwał rozczulenie i wykrzyknik.

— Panie Pietrze, wy działa wykierujcie dobrze zawczasu, a jeśliby się za nami pogoń puściła, przyjmijcie ją gościnnie, nie żałujcie prochu.

— To się rozumie, — odpowiedział Czarniecki — ale wam taki darować nie mogę, że mnie z sobą wziąść nie chcecie.

— Panie Pietrze sam widzisz, że to niepodobna. Mówili jeszcze, a pan Zamojski w cichości lud swój zbierał, oglądał, rozkazy dawał, krzątał się. Nie wiedzący o niczém ślachta patrzali z podziwieniem, nie mogąc pojąć, na co się to przysposobia.

Około południa, fórtą od strony wschodniéj dobrze w fosie ukrytą i kamieniami zawaloną, wyprowadzono naprzód przeszło stu piechoty, różnego ochotnika do przekopu. Zamojski czekał, żeby Szwedzi obiadować siedli i nieco się od murów oddalili za baterje swoje. Gdy się to stało, bo nic nie domyślając się zwolniwszy ognia, który żywy dla niedostatku prochu i długo utrzymywany być nie mógł, rajtary i piechota cofnęli się do obozu. Nastąpiła zwykła chwila spoczynku.

Zamojski wziąwszy na siebie świętości, zstępował ku przekopowi, a tu na niego uzbrojony już czekał syn i pani Miecznikowa. Pożegnanie ich krótkie, rozczulające było mocą duszy obojga. W milczeniu pocałował w czoło Miecznik swoją Teklusię i z wesołą twarzą rzekł: — Bóg z nami, moja jejmość, nie traćcie serca, kogo chce, Wszechmocny ocali, a przedewszystkiém powinność!

— Niechże Bóg uchowa, żebym cię od niéj miała odwodzić, panie Stefanie, — odpowiedziała matrona z męzką dumą odwagi — żal mi tylko, że z wami niebezpieczeństwa podzielać nie mogę. A jednak, pamiętaj jegomość ze masz żonę i syna... nie zapędzaj się zbytecznie. I tu jesteś potrzebny i wszędzie.

Łzy puściły się z oczów żony i matki, żegnała męża i syna, dwie najdroższe na ziemi istoty: w ręku trzymając krzyżyk z partykułą drzewa żywota, żegnała nią i drzała błogosławiąc obu.

— Nie narażajcie się zbytecznie, nie narażajcie panie Stefanie, — mówiła nieco przerywanym głosem, łkając a starając się ukrywać łzy swoje. Jegomość pilnuj Stefanka, a on jeszcze młody i niedoświadczony. Niech was Bóg strzeże, błogosławi, prowadzi i przyprowadza, w Imię Jego święte!

To mówiąc Miecznikowa, upadła na kolana schylając głowę i modląc się, Zamojski w milczeniu przestąpił fórtę, a przeor błogosławił Imieniem Boga Abrahama i Jakóba....

O! trzeba było widzieć ten obrazek prostéj a wielkiéj piękności, te modlitwy i męztwo niewiasty, twarz jasną a rozrzewnioną przeora, poważne lice Miecznikowéj, zapałem wrące oczy Stefanka, czoło bohaterskiego wodza, i łzawe wejrzenie poczciwéj kobiety, co wszystko najdroższe ofiarowała Bogu, nie śmiejąc cofnąć swéj ofiary jedném głośniejszém westchnieniem — trzeba było widzieć obrazek ten ciasną ramą maleńkiéj fórty zamknięty. przed oknem widzów skryty, by pojąć jego uroczystą powagę.

Pan Czarniecki stał na uboczu i powtarzał wpół gniewnie, wpół radośnie — po dniu! po dniu! Podszedł mnie niegodziwie, ale oddam za swoje, zobaczymy!

Łatwo wyobrazić sobie można, z jakim niepokojém wszyscy od fórty wstąpili na mury.

Najmężniejszy z obrońców Częstochowéj, szedł się mierzyć z tysiąc razy silniejszym nieprzyjacielem, w jego paszczę się rzucając z bohaterską odwagą! Przeor, Miecznikowa, wszystka ślachta wyjściu przytomna, skoczyli na blanki patrzeć i modlić się na ich intencyją. W kościele *sub tuum praesidium* przed ołtarzem śpiewano. Czarniecki już działa ustawiał, puszkarzy napędzał, nabijał, celował i poglądał okiem pełném zazdrości i chciwego męztwa.

Pędem lecąca ukazała się garść polaków na drodze; droga była pusta, w cichości wystąpili niepostrzeżeni pod samą baterją nieprzyjacielską, która milczała; Zamojski szedł na przodzie, syn obok niego. Gdy już byli blisko dział, pani Miecznikowa niemogąc znieść tego widoku, prosiła by ją odprowadzono do kaplicy... Przeor nie schodził z murów.

Zamojski dobywszy się z przekopu, co sił w ludziach było poskoczywszy na baterję węgła wschodnio-północnego, przypadł do niéj nim Szwedzi leżący za szańcem zobaczyli go; wpadł im na kark jak piorun. Nagle krzyk dał się słyszeć aż u murów, bo już piechota jasnogórska rąbała i siekła, a część jéj zaraz pod wodzą Miecznika oddzieliła się na Olkuszan u miny robiących. Młody Zamojski został przy baterji którą na prędce zagwoździono, odrębując się Szwedom w niewielkiéj garści tu pozostałym. Ale już i w obozie dalszym postrzeżono zamięszanie, posłyszano strzały, ruszyli się zewsząd Szwedzi.

Tymczasem gdy syn działa gwoździ, miecznik do miny doskakuje, biedne ludziska na kolana padli zobaczywszy go.

— Myśmy zmuszeni, my katolicy! — zawołali.

— Szwedów tylko bić! — krzyczał do swoich Zamojski — ci są niewinni, to nasi! Do domu uciekajcie! — rzekł do górników — nie pomagajcie przeciwko swoim!

Kilku warty szwedzkiéj, co tu stała, zaraz przebito, a Miecznik rozpędziwszy Olkuszan, szybko zawrócił się do bateryi przy któréj syna zostawił: a tu już wrzask i krzyk i wrzawa w obozie ogromna, widać oddział konny od miasteczka Częstochowy siadający na koń, trąby grają wściekle; czas zawracać!

Nim się tam pogoń wybrała: bo koni posiodłanych nie było, Miecznik całym swoim oddziałem odepchnął Szwedów od ich szańca, i pogonił za nimi z odwagą zuchwałą, drogą ku obozowi, od miasteczka do wsi wiodącą. Był to zapęd niebezpieczny, ale się też w krótce opamiętał Zamojski: bo i jazda okazywała się wdali; zawołał do odwrotu swoich, i spojrzawszy na nich (jednego mu tylko brakło) poprowadził nazad.

Żywo potrzeba było spieszyć ku przekopom; jazda goniła czwałem; ale gdy się Szwedzi zbliżyli na strzał działowy, Czarniecki kazał dać ognia w ten kłębek, i musieli się przyzastanowić: bo szyk się zmięszał i kilku z koni spadło. Żołnierze zaczęli po swojemu wołać: — Czary! czary! a rajtary nie myśląc już gonić Zamojskiego, kręcili się jak opętani pod strzałami twierdzy.

Wycieczka była widocznie ocalona; Przeor Bogu dzięki składał; po chwili wszyscy żołnierze w przekopie się skryli.

* * *

Wejhard starając się przekonać, o swéj gorącéj dla klasztoru przyjaźni, dowodził że się mocno wstawiał za zakonnikami do generała, ale Miler tylekroć zawiedziony już ufać nie chce; donosił wreście iż wymógł odłożenie szturmu przez dzień jutrzejszy dla obchodu święta Bożego Narodzenia, ale pozajutro powinni się poddać bez zwłoki. Jeśliby zaś tego jeszcze nie uczynili, generał grozi im zniszczeniem i obróceniem w popiół klasztoru; zaklął się w ostatku gorliwy przyjaciel, na Boga i Matkę Jego, że nie groźbę rzuca, ale szczerą prawdę mówi, i dalszemu nieszczęściu zapobiedz nie potrafi.

Nietroszcząc się więcéj o to, co nastąpić może, Kordecki pospieszył urządzić wszystko do najuroczystszego nabożeństwa, które poczęte o północy, skończyć się miało o południu. Kościół jaśniał światłem, kwieciem ze szklarni dobytém, drogiem naczyniem ze skarbcu przyniesioném i co największą jego ozdobą, ludem pobożnym.

Gdy się to dzieje na Jasnéj-Górze, w obozie przygotowania potężne; luteranie i kalwini pomodlili się krótko a węzłowato po swojemu w skleconéj naprędce szopce, i poszli zaraz do bateryi, do min, do pracy, bo ich święto czasu wojny nie wiele widać obowiązywało. Sam generał znudzony, znużony i niecierpliwy dawał z siebie przykład; od świtu był na koniu, objeżdżał, zachęcał, krzepił, obiecywał łupy i obfitym rabunkiem chciał swój lud rozłakomić. Ale żołnierze słuchali tego z obojętnością zimną, niekiedy szyderską jakby tylko brakło odwagi powiedzieć dowódzcy: — Nie zdobędziemy twierdzy i nie dla nas te skarby.

Rozkazy się krzyżowały, przeciągano działa, ustawiano je, opasywano twierdzę dokoła ludem pieszym, zawiązywano drabiny, ciosano kozły i tarany, kuto haki i narzędzia do szturmu służyć mogące. — Z klasztoru tylko odzywały się dzwony, muzyka wesoła i śpiewy wiały falami aż do uszu Szweda; na murach zdawało się pusto.

Ilekroć dzwon, śpiew, odgłos jaki dał się słyszeć, żołnierz szwedzki spoglądał z ukosa na klasztor i posępnie kiwał głową;

wiara w nieprzełamaną siłę Częstochowskich czarów tak już była wielka, że jéj nic zachwiać nie mogło. Ludzie niepojmujący co może głębokie uczucie religijne, siłę jego zwali jak umieli: szło wszystko wedle rozkazów, ale one nie dadzą serca gdy go niema, brakło zapału, każdy się trzymał z daleka, nawet starszyzna z któréj wielu wyjechało na cmentarz do Krzepic już się niezbyt kwapiła naprzód.

Pomimo przyrzeczeń Wejharda, Miler odpowiedzi nie otrzymawszy z klasztoru, a znając się już na tém, że mnisi tylko zwlekać pragnęli, rozpaczliwie rozkazał o południu ze wszystkich dział i moździerzy dawać ognia; była to napaść tak gwałtowna, jakby ostatni wysiłek.

Leciały kule, bomby, kartassy; silono się klasztór zapalić, obalić kościół, posypać gruzami modlących się i zniszczeniem zmusić do wołania o litość. Kartauny ustawione na bateryach, mniejsze działa i co było spiżu, zaczęły gwałtownie, za danym znakiem, strzelać na twierdzę.

Miler stał na wzgórzu i patrzał oczekując zajadle, ze wściekłością w oku, z zapałem na twarzy... każdy pocisk trafny rozpromieniał mu lice, ale ich było mało; próżny huk, gniew w nim podsycał. Wejhard opodal się trzymał, nie chciał już nawijać się na oczy, rozjątrzonemu Szwedowi.

Kwarciani ze swojego obozowiska wyszli także patrzeć na czém się to skończy; i nie kryli się z oburzeniem, jakie czuli. Nie jeden zapatrzywszy się na twierdzę, chwytał szablę i już chciał na kark wpaść najezdnikowi; ale przypomniawszy sobie położenie swoje, opuszczał rękę, i z westchnieniem załamywał dłonie, jakby je chciał wstrzymać, by się daremnie nie rwały. Wysypani do jednego z szałasów i namiotów w milczeniu głębokiem, miotani sprzecznych uczuć mnogością, stali, poglądali, jęczeli, a jeden na drugiego rzucał wzrokiem dzikiem, niechcąc winy przypisywać sobie i szukając jéj w bracie.

Ile razy wiatr dymy bateryi i twierdzy rozerwał i uniósł, Miler chciwie spojrzał, czy się co nie pali i nie wali; ale opoka Jasnogórska stała niewzruszona, we mgłach tylko jakby w obłokach uniesiona w powietrze.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil od początku oblężenia dla zamkniętych w twierdzy, gdyż małą garść rozdzielić musiano na wszystkie boki, wszędzie się bronić i czuwać... Bezsilny lud tulił się w podwórzach i spędzany tu i owdzie padającemi kulami, latał z krzykiem niewiedząc, gdzie skryć się bezpieczniéj. Na dachach pękały pociski, trzaskały mury, waliły się ściany; kurzawa, dym, jęki, wołania, wrzaski napełniły najodleglejsze kąty. Wielu bojaźliwych w oczekiwaniu śmierci niechybnéj, leżeli na ziemi bez przytomności modląc się i klnąc na przemiany. Przeor z krzyżem w ręku wybiegł za pierwszym wy-

strzałem i pomimo kul, które pod nogi prawie mu padały, wstąpił na mur żegnając.

Zamojski latał z miejsca na miejsce wołając:

— Pilnujcie dachów, pilnujcie murów, baczność, nie traćcie serca! Jeśli Boga kochacie, dzieci, brońmy się po męzku!

Czarniecki stał u dział kierując niemi, niemówiąc ni słowa, cały oddany swemu; czasem mu się tylko wyrwał wykrzyknik, gdy się udało trafnie odstrzelić; czasem się zmarszczył, gdy pocisk po nad głową jego ze świstem na klasztór leciał. Naówczas oko za nim posyłał, szukał szkody jaką zrządził, ale rychło się uspokajał. Jakkolwiek strzały były gęste i obejmowały ze wszystkich stron twierdzę, a skierowane szczególniéj na budowle dla zniszczenia ich, drugie ku obwodowym murom dla zrobienia wyłomu od strony północnéj zwłaszcza, szkody nieokazywały się tak wielkie, jakby sądzić można. Wprawdzie na dachach, nieustannie migały smolnemi płachty, zagwiami i sznurami opatrzone kule niosące ogień, ale tu czeladź czuwała z wodą, a wielka liczba pocisków gasła sama w leżącym na nich śniegu. W podwórcach raz po raz trzaskały kule, ale ich obłamy mury tylko kaleczyły, raziły belki, wybijały okna; kilka szczepów padło na ludzi kupą biegających z miejsca na miejsce, lecz nikogo nie zabiły. Inne kule ryły się głęboko w ziemię i opadały bezsilne, jakby cudowna odbiła je ręka.

Niemniéj jednak przestrach był nie do opisania, i gdyby do bram dostać się było podobna, tchórze wybiliby się może przez nie, spiesząc naprzeciw Szweda. Ale wrót dobrze strzeżono, a w izdebce u fórty braciszek Paweł w nowéj sukni, którą sobie sam uszył ze trzech wynoszonych habitów, i był z niéj nieskończenie rad a szczęśliwy — siedział nad książeczką i modlił się spokojnie. Niekiedy pokiwał głową, gdy huczniéj zagrzmiało, i wracał do swego. Kordecki przez cały ciąg strzelania nie zszedł na chwilę z niebezpiecznego stanowiska, z którego odciągali go napróżno starszyzna i zakonnicy.

— Moje miejsce dziś tu, — mówił; wy działami ja krzyżem świętym wojuję; i żegnał. Pokażcie mi, które wam działo szkodzi najwięcéj, odzywał się, a na nie wymierzę modlitwę.... I powolnym krokiem przenosząc się z miejsca na miejsce, wszędzie rozdzielał błogosławieństwa.

Od północnéj strony największa szwedzka kolubryna rzucająca trzydziesto funtowe kule, łamała mur nieustannie, a choć go nie wiele ujadła, już przecie znaczne były szczerby. Zmierzchało powoli, gdy tu nadszełszy przeor z Zamojskim spojrzeli, zasmucili się:

— Czasu im dziś nie stanie na zrobienie wyłomu, noc nadchodzi, a jutro zamurujemy dziury, — odezwał się pan Miecznik.

Kordecki nie odpowiedział, ukląkł, krzyż przycisnął do piersi i modlił się, a była to modlitwa, co cud wywołuje, co przebija

niebiosa, co oko Boże ściąga na ziemię; natchniona, boleśna, łzawa, całą duszę podnosząca w swych dłoniach; nic nie widział, nie słyszał, nie czuł; — przeżegnał wreście i promieniejącą wejrzał źrenicą, jakby się budził z zachwytu.

Szwedzkie działo z ogromnym hukiem rozpękło się na kawałki; — puszkarze leżeli pobici, inni uciekali przepłoszeni, a zmierzch nagły, zimowy, ciemną szatą poczynał przykrywać okolicę.

Nagle ogień ustał na wszystkich punktach, jak uciął.

Cicho! tylko w klasztorze stoją zdumieni, osmoleni, drżący od pracy, schrzypli od krzyku starszyzna i żołnierze, jakby jeszcze czekali. Patrzą po sobie, milczą; rzekłbyś, że jeszcze niedowierzają temu nagłemu uspokojeniu, poglądają na obóz. Tam ruch jakiś, wrzawa, popłoch, potém coraz ciszéj, ciszéj, szmery tylko głuche, tylko wozów skrzypienie, i niekiedy przeciągłe wołania.

Czarniecki pokręcił wąsa —

— Ha! — rzekł, — dobrze nas grzeli, pójdźmy obejrzeć co też zrobili!

Przeor wstawał właśnie, zesłabły wytężeniem ducha, ale mocen wiarą i pogodny obliczem.

— Skończono! — rzekł ze łzami, — skończono! w imię Boże, witam was zwycięzców.

— Jakto? księże Przeorze, — przerwał Zamojski, — to dopiero początek.

— To już koniec, — odpowiedział Kordecki.

— Jakże to być może?

— Jestem tego pewny.

— Ale zkądże? — nieśmiało podchwycił pan Piotr.

— Zkąd? nie wiem! czuję że to i postrach i praca ostatnie... Chodźmy spocząć, lud uspokoić i pocieszyć.

My spojrzmy jeszcze na obóz szwedzki, abyśmy przyczynę tak nagłéj zmiany wyrozumieć mogli. Widzieliśmy Milera zajętego przed chwilą oblężeniem z nadzieją jeszcze, zajadłością, wytrwaniem; Wejhard stał w dali i czekał równie z nim pewien będąc, rychło białą chorągiew wywieszą.

Tak zbliżył się wieczór i generał ku bateryi północnéj podjechawszy, widząc opieszałość swoich puszkarzy, na których najwięcéj rachował, kazał przy sobie działa nabijać, celować i wystrzelać.

Ruszyli się trochę ludzie pod okiem wodza, lecz właśnie gdy tryumfował, bo kilka kul w murach uwięzło, za trzecim wystrzałem, z ogromnym trzaskiem rozpękło się działo.

W téjże chwili prawie, wśród popłochu, jaki zrządził ten wypadek, ujrzano na znużonym i zabłoconym koniu spieszącego posłańca, który dopytywał o Milera i ku niemu się kierował przez obóz do miejsca, gdzie widział zebraną starszyznę. Zmar-

szczył się generał nie wiedząc jeszcze co to znaczy, ale już źle wróżąc, że go wśrod dział i boju tak pilno szukano, posłał ku gońcowi.

Jeździec wręczył oficerowi gruby plik papierów. Wejhard domyślając się, że wieści przyszły z głównéj kwatery, spodziewając się w nich rozkazów nowych lub obietnicy posiłków od Wittemberga, poskoczył także dowiedzieć się, z czém goniec tak spiesznie przybył.

Ale już Miler rzuciwszy tylko okiem na listy, poznawszy pieczęcie kancelaryi Karola Gustawa, puścił się do swojego namiotu. Za nim rzucili się wszyscy, i w téj chwili ogień ustał, bo dalszych zabrakło rozkazów.

Zsiadłszy z konia Miler rozerwał pieczęcie, ale lepszy żołnierz niż czytelnik, podsunął karty pisarzowi swemu, aby mu je czytał. Ten naprzód rozpoczął od rozkazu królewskiego, który inne depesze poprzedzał.

Tak! był to rozkaz podpisany własnoręcznie przez króla szwedzkiego, choć zdawał się dziwnym: polecano Milerowi, aby niezwłocznie szkody żadnéj klasztorowi nie czyniąc, nie myśląc o zdobywaniu, od oblężenia odstąpił.

Wyrażono przyczyny: że klasztór na Jasnéjgórze w tak powszechnéj czci u Polaków zostaje, iż napaść nań, w całéj Polsce oburzyłaby umysły przeciwko Szwedom; zatém ani się więcéj kusić ma dowódzca, ale natychmiast rzucić przedsięwzięte kroki i ciągnąć do Piotrkowa. Osobno wydane były rozkazy, aby Wejhard szedł do Wielunia, Sadowski do Sieradza, książe Hesski do Krakowa, a kwarciani do Małopolski, gdzie im stacye wyznaczono.

Słysząc czytanie rozkazu Miler, porwał się, spojrzał na Wejharda z wymówką i groźbą i kazał precz odejść pisarzowi. Milczenie głuche, milczenie zdumienia osiadło na ustach przytomnych, praca tak długa i ciężka nietylko że nie została uznaną za pożyteczną, ale daremną i szkodliwą osądzona i cały wysiłek ten próżny, wszelkie straty w ludziach, prochach, orężu, czasie, poszły z dymem.

Czoło Milera i jego współpracowników gorliwych, czarną się chmurą powlekły: mnisi odwołujący się do Karola Gustawa zwyciężyli, — im upokorzenie i żal.

Nim się poczęli rozchodzić z namiotu, generał jakby myślą nową tknięty, przykazał najsurowiéj, by o rozkazie odebranym najgłębsze chowano milczenie.

— JKMość sam mnie tu wysłał, — odezwał się ponuro, — gdybyśmy zdobyli Częstochowę, cofaćby się z niéj nie kazał; mamy przed sobą dni kilka, możemy ją opanować jeszcze. Gdy weźmiemy, karać nas za to nie będą — dodał z dzikiem uśmiechem: dla żołnierza potrzeba żebyśmy nieodeszli napróżno, inaczéj straci wszelką ochotę i odwagę...

Mówił napróżno, milczeli doradzcy, nikt nie zgodził się na to, każdy rad był wycofać się z ciężkiego oblężenia, i po daremnéj pracy odpocząć. Książe Hesski odezwał się po chwili:

— Darujesz Generale, ale nam nie wchodząc w to co sobie poczniesz, potrzeba iść gdzie rozkazują. Ja pozajutro ustępuję do Krakowa.

— Ja do Sieradza, — dodał Sadowski, — mam naznaczony dzień w rozkazie.

Wejhard także się odezwał:

— Ja z panem generałem, póki rozkażesz...

— Bardzo dziękuję, ale mi to nie wielką będzie pomocą, — rzekł Miler niechętnie — z resztą zobaczymy co zrobim, a o rozkazach królewskich milczeć proszę.

W klasztorze jak świt Kordecki przybył z całym zakonników szeregiem do mieszkania pana Zamojskiego; niósł w ręku wielki obraz Matki Boskiéj malowanéj na blasze i piękny agatowy różaniec w złoto oprawny. Za nim szeregiem szli księża, a opodal część szlachty, muzyka, puszkarze, ludzie z załogi. Pan miecznik, jak skoro ich postrzegł tak uroczyście ku sobie idących, porwał się z objęcia żony, która mu ze łzami imienin winszowała, i biegnąc naprzeciw Przeora, zawołał z uniesieniem:

A! ojcze, nie jestem godzien!

— Jesteś godzien, kochany Mieczniku, — poważnie rzekł Kordecki, — obrońcy ołtarza Matki Boskiéj, słudzy Jéj przychodzą ci życzyć długich lat życia i pomyślności. Niech Bóg błogosławi ciebie, rodzinę twoją i wszystko co cię otacza; nie targowałeś się z nim o żywot swój i tych co ci byli najdroższi, gdyś je składał w ofierze; Bóg ci go przedłuży, pobłogosławi i opromieni. Przyjmcie nasze życzenia, kochany Stefanie starszy i następco Stefanie, a ten obraz jako pamiątkę Patronki od ubogich Paulinów, a tén różaniec ze skarbcu Matki naszéj, jako dar od Niéj...

Miecznik, żona jego, syn, płakali rozczuleni tą uroczystą przemową, zakonnicy koleją szli ściskać pana miecznika, a w tém działa wszystkie twierdzy huknęły wiwatem ogromnym, aż pani Zamojska krzyknęła: Jezus, Marya!

— Nic to kochana Pani, — rzekł jéj Przeor, — na honor to waszego małżonka i *vivat Stephanus* strzelać kazałem!

A tu i muzyka zagrała kolędę wesołą pod drzwiami.

Ale na Boga! — zawołał Zamojski niespokojny, — księże Przeorze Dobrodzieju, prochu i pruszynki szkoda, a tu go tak marnie psujecie.

Waszmość tu nie wódz, zwłaszcza dziś, nie wódz tylko solenizant, — odparł Kordecki, tak kochany Mieczniku, a prochu mamy dosyć; niech Szwed zna, że pod skrzydłami Matki Boskiéj i z takiemi ludźmi jak my, nie bojemy go się...

Szlachta poczynająca serca nabierać, pod oknami, w sieni, na progu, wołała już także:

— Wiwat Ensifer! wiwat Zamojski! wiwat Stephanus!

Pan Czarniecki ją prowadził, ubrany jak do ołtarza: na nim żupan lity, pas złocisty, kontusz karmazynowy, szamerowany złotemi sznurkami, szabla suto sadzona, czapka z czaplim piórem; — stanął i zamiast oracyę rozpocząć, rzucił się w objęcia Miecznika, oba się popłakali.

— A taki ci niedaruję, choć solenizantowi, — szepnął Czarniecki, — żeś mnie na tę wycieczkę nie wziął — to nie po kawalersku!

— Puhara! puhara! rzekł głośniéj zaraz, — niech zdrowie pana Stefana, Miecznikowéj i konsolacyi wychylim, choćby wodą, jeśli piwnice wysuszyło oblężenie,

— Nie! nie! — przerwał Przeor, nie żałujcie, jest jeszcze czém godnych ludzi wypić zdrowie, a ja pierwszy choć małym kieliszkiem: — Wiwat pan Miecznik!

Działa nieustannie się odzywały, muzyka kolędowała zapalczywie, a poczciwi ludzie weselili się, jakby o kilka kroków nie groziły im zniszczenie i śmierć.

Dopiero w półgodziny opamiętali się wszyscy, że i na mury już zajrzeć wypadało, ale jakoś od wczorajszego dnia, niewiedzieć czemu, nikt Szweda nie miał za boże stworzenie; czuli wszyscy, że to był ostatni jego wysiłek, a niebezpieczeństwo minęło.

Wyszedł Zamojski, wyszła i muzyka za nim kolędując od drzwi do drzwi, a działa jeszcze ognia dawały.

Ta radość Jasnéjgóry jeszcze Szwedem opasanéj, była trafem dziwnym, jakby naigrawaniem się z jego wstydu i bezsilnéj złości; tam cisza i posępny strach jakiś; po obozie włóczą się pastacie zziębłe, blade, schorzałe i poglądają wilczym wzrokiem na mury, huk dział choć nie nabitych przykro brzmi w uszach ich, na ziemi u nóg ich zamarzła krwi struga, to potrzaskane koła; to droga kulą wyorana; chude ogniska kopcą nie grzeją u zczerniałych od dymu namiotów, a rozmowa pogrzebowa; każdy liczy co wycierpiał, co utracił.

I noc czarna pokryła wreszcie z jednéj strony wielką radość, z drugiéj zimne, ponure zwątpienie.

O mroku wydano nagłe do pochodu rozkazy, ale w twierdzy nikt jeszcze o tém nie wiedział; wśród ciemności jak złodzieje poczęli ochotniéj nieco do odwrotu sposobić się Szwedzi, zdejmować działa z bateryi, wozy zataczać i namioty składać. —

* * *

Tak się skończyło to oblężenie, pamiętne i piętném cudu oznaczone; był to jedyny może obraz rzucenia się ludzi przeci-

wko sile niebios; wiary walczącéj z uczuciem swéj potęgi z stokroć silniejszym cieleśnie nieprzyjacielem, którego zmogła; obraz garści duchem wzniesionéj nad tłumy i duchem je zwyciężającéj. W téjże chwili, jakby zbudzony ze snu i otrętwienia kraj cały, ujrzał upokorzenie swoje, wziął oręż i potargał więzy, które sam sobie włożyć pomógł.

Dnia tego wszyscy Szwedzi ustąpili z pod Jasnéjgóry, strwożeni, choć nie wiedzieli co ich gnało; zawstydzeni a w głębi przekonani, że nie ludzką pokonano ich siłą. Siłę tę nazwali czarami: bo ślepi byli na wiarę.

Miler odjeżdżał gniewny; gotów mścić się na kraju za Częstochowę, która mu się tak zuchwale opierać śmiała. Nazajutrz, gdy mieszczanie z Częstochowy pod wodzą Jacka Brzuchańskiego i lud okoliczny zastukał do bram klasztoru, tłumami idąc powitać Matkę swoją, za którą przetęsknił tak długo, gdy szeroko otworzono im wrota, wielka radość napełniła serca. Wszyscy mieli łzy w oczach: znajomi i nieznajomi witali się i sciskali winszując sobie; a bojaźliwsi ze sromem, pocichu wynosić się poczęli do domów, obejrzawszy się na puste wprzód drogi.

Pan Zamojski bojąc się jeszcze by klasztoru nie napadnięto na niespodziane, pozostał, a Czarniecki także, bo się gorliwością nie dawał uprzedzić; kilku też z niemi przysiedli u ks. Przeora.

Kordecki zwycięzca, kapłan wrócił do zakonnéj pokory; choć go wytrzymane oblężenie wiekuistą okrywało sławą w oczach współczesnych i potomnych. Rozesłano zaraz, oznajmując o odejściu Szwedów na wszystkie strony z radośną nowiną oswobodzenia: do króla, do prowincyała, do opiekunów klasztoru, hr. Cellari, kasztelana Waszyckiego i innych życzliwych zakoników, a Przeor wśród uniesień i powinszowań bez liku przybywających gości, schylając głowę skromnie, odpowiadał:

— Nie my, nie my! lecz Bóg zwyciężył.

II.

PROZA

rozumująca i naukowa

czyli

dydaktyczna.

Stopień II.

Techniczność i Wykwintność.

II.

PROZA

TOWIAŃSKIEGO I BARANOWA

wydawnictwa

Stopień II

Techniczność i Ukwintność

A.

PODOBIEŃSTWA I CHARAKTERYSTYKI

rozumowe.

A.

PODOBIEŃSTWA I CHARAKTERYSTYKI

POZNAŃSKIE.

O kamienicy narożnéj w mieście Kukurowcach

przez

Błażeja bakalarza tamże.

Zobacz Krasickiego Tom VI. str. 73.

§. I. Jako, kiedy i od kogo kamienica narożna założona była.

Dawne to już bardzo czasy, jak postawiona była kamienica narożna w mieście Kukurowcach. Rozmaite przygody, ba i ognie to sprawiły, iż w aktach miejskich niczego się o tém dowiedzieć nie można. Co więc z powieści ludzkiéj mogło się powziąść, tu się kładzie.

Z razu, przy pierwszém założeniu, musiała to być lepianka, a ten pierwszy, który ją stawił i lepił, musiał być przechodzień? bo tameczni jeszcze i lepianki nie znali. Kto on był ten przechodzień, zkąd był? i kiedy przyszedł? różnie o tém powiadają, a nie wiedzieć komu dać wiarę: a zatém jak się prawdy dowiedzieć? To najpewniéj, iż tę lepiankę, budkę, a może szałasz, musiał ktoś postawić: bo się sama postawić nie mogła.

Naówczas tak tam, jako i w okolicach nie umiano, ani czytać, ani pisać; żyli więc mieszkańcy po prostu dla siebie tylko, nie dbali o to, co o nich potém ludzie mówić będą. W dalszych czasiech, mówili o tém różni różnie, każdy po swojemu, a jak się to zazwyczaj trafia, jedni uwłóczyli, bo sąsiedzi, a drudzy przechwalali, bo swoi. Skoro się więc ci nauczyli jakoż takoż pisać i czytać, chcąc uszlachcić pierwiastki swoje, podali pismem: jako pierwszy budownik (już kamienicy naówczas) był to człowiek zacny, możny, zabiegły. Według tejże ich powieści, (bo najcięższéj zacząć) nim przyszedł do Kukurowic, miał być przedtem wójtem, czyli burmistrzem gdzieindziéj; przyprowadził z sobą nie mało czeladzi, i gdy mu się dawni mieszkańcy nie dali rozpostrzeć, on tyle dokazał, czy to mocą, czy przemysłem, iż musieli mu nakoniec ustąpić najlepszego placu na rogu, i odtąd kamienica zaczęła się zwać narożną.

§. II. Jacy potém byli panowie i dziedzice kamienicy narożnéj.

Jak o pierwszym budowniku, tako następcach pewności nie masz, a bajek aż nadto. Ale po co bajki prawić, kiedy się ma powieść prawdziwa pisać? Jak tylko był dom, a więc miał stawiacza, musiał mieć dzierzycielów. Czyli to syny i dalsi potomkowie byli pierwszego, czyli od następców inni nabyli prawa, czyli (jak to się czasem dzieje) gwałtem od nich wzięto, nikt o tém ani wie, ani wiedzieć nie może: bo jak się już powiedziało, w ówczas nie umiano pisać, ani czytać.

Powszechna wieść taka jest, iż ów dom dostał się przypadkiem zagrodnikowi z przedmieścia, a jego potomstwo długo się trzymało w dzierzeniu. Jeden z nich plebanią jednę i drugą założył, i dobrze nadał: drugi rozszerzył dom znacznie i mówią, że tak go obszernym udziałał, iż wychodził na cztery ulice, i on znaki tam na pamiątkę onego rozszerzenia postawił. Powiadają i to, iż burmistz bliskiego miasta przyjechawszy jednego razu na kiermasz do Kukurowiec, zrobił go wójtem; ale co miał za prawo burmistrz zkądinąd robić wójta u sąsiadów, którzy, gdyby się im było podobało, mogliby sobie sami zrobić takiego wójta jak i on. Bajki to więc, które podobno owi sąsiedzi wymyślili i podali innym do wiadomości: bo pierwéj od Kukurowczanów umieli pisać i czytać.

Jakim sposobem odpadły i budynki i place od owego naówczas czworograniastego domu, byłoby o tém wiele mówić, a na niewieleby się to podobno przydało: bo kto co wziął, to jego, a do tego żeby odzyskać, pismo niewiele nada. Jednakże pisma stare, co to jeszcze za łaską bożą nie z wszystkiem zbutwiały, zaczynają napomykać, iż się dzieci po rodzicach zaczęły dzielić, a zatem swarzyć; a że się swarzyły między sobą, jedni potracili, co mieli, na swarach, drugim co mieli mniejsze kawałki, ci co mieli większe, wydarli; jak się to trafiało i trafia tak po miastach, jak i po wsiach; bo wszędzie ludzie są ludźmi, a zatem jest to i bywało; z tą może tylko różnicą, iż teraz nibyto grzeczniéj.

§. III. Jacy byli dalsi dzierżyciele, i jak się gruntowniéj kamienica murować zaczęła.

Następcy, o których była mowa, jedni byli rozrzutni, drudzy leniwi, albo niegospodarze, zgoła jakto panicze, rozumieli, iż co łatwo przyjdzie, samo się dzierży. Jeden z nich powadził się z Plebanem i do czegoś gorszego przyszło, tak że musiał uciekać: krótko mówiąc, niedołężnością dziedziców dom się zmniejszył i spustoszał. Szczęściem nadarzył się dziedzicznym spadkiem za dzierżyciela jużto ostatni potomek owego zagrodnika, o którym się wyżéj namieniło.

Rzadkito był człowiek ten dzierżyciel. Skoro rodzic pomarł,

a on dom objął, poznał on zaraz, że źle około domu, i niedość to było, że się poznał, i że chciał, aby go naprawić, ale jął się zaraz do roboty, a niezasadzając się na swoim rozumie (co rzecz u panów rzadka) sprowadził skąd inąd cieśli i mularzów, ażeby oni zobaczyli i zmiarkowali, czego domowi brakuje. Osądzili ci, po należytem przejrzeniu i rozpatrzeniu się, iż podwaliny dawnego domu drewnianego były zbótwiałe, ściany spaczone, krokwie nadgniłe, a w niektórych miejscach spróchniałe: zgoła, iż wszystko było złe. Radzili zatem owi, jako i swoi, każdy podług swojego sposobu myślenia i sądzenia: jedni więc chcieli, żeby dać podpory, drudzy żeby podwaliny jedne odmienić, drugie zmocnić; byli tacy, którzy mniemali, iżby dom zostawić jak był, a ściany i dach zewnątrz i wewnątrz pozalepiać. On to wszystko biorąc na uwagę, postanowił u siebie nakoniec zrzucić stare graty, a wystawić kamienicę murowaną. Jakoż zaraz, aby trwalsza była, głęboko fundamenta kopać zaczęto.

§. IV. Jak była skończona kamienica, i co się pod owe czasy działo.

Po śmierci nieboszczykowskiéj siostrzanek jego osiadł w kamienicy narożnéj, i wziął ją na siebie, ale niedługo w niéj siedział: że bowiem był skąd inąd, mieszkał też gdzie indziéj, a rządy i handlu i domu i gospodarstwa spuścił na czeladź. Tak, jakto zwyczajnie, czeladź źle gospodarowała, a udawając przed panem, iż była pilna i starowna, wymagała na nim co chciała. Co każdy z nich przedtem u siebie musiał mieszkać, a na robotę to współem, to kolejno chodzić: oni udawając, iż to im było bardzo ciężko, a pracy przeszkadzało, a zatem mniejszą panu przynosiło korzyść, wyrobili sobie, iż im dano mieszkanie w kamienicy, zrazu razem, daléj po kilku, a nakoniec każdy dla siebie osobną izbę zyskał. Szło to z początku za najem, albo było z zasług i najmu potrącono; daléj dawano mieszkanie darmo do woli pańskiéj, daléj do życia, potem zamiast jednéj, dwie, trzy izby; a gdy się to z czasem wdrożyło, co było z razu łaską, stało się potem obowiązkiem. A że szczodrobliwość panów w owych nadawaniach coraz się powiększała, do tego przyszło nakoniec, iż większa połowa domu poszła na czeladź.

Gdy się to działo, kamienica wznosiła się coraz, ale pomału. Zostawił był ów starowny, baczny dawniejszy pan wiele i dobrych materyałów, narzędzia dostatkiem: używała ich więc czeladź ku dokończeniu budowli, ale że pan nie dozierał; a panowie namiestnicy nie wiele dbali, znać było, iż sprawcy niebyło, a zatem nie tak szły rzeczy; jak pod nieboszczykiem panem, nawet chybiano miary, a mury nie tak były dostatnie, jak fundament oznaczał.

§. V. Jako czeladź pańska córkę wydała za mąż, i co się potém stało.

Skoro pan ów który gdzieindziéj siedział, umarł, czeladź domyśliła się córkę jego wybrać sobie za panią i sprowadziwszy do kamienicy wzięła ją w opiekę. Trwało to dopóki panna nie doszła lat dojrzałych; więc choć jéj się był skąd inąd czeladnik młody i raźny upodobał, musiała (bo tak oni chcieli), pójść za sąsiada, ani młodego, ani raźnego, który wpodle mieszkał; ale się miał dobrze. A że jego przodkowie wadzili się i o grunta i o budynki, które były wpodle, rozumieli, iż najlepszy sposób będzie rzeczy pogodzić, gdy się zjednoczą, jednego dzierżyciela zostawszy własnością. Dom, który miał ów sąsiad, był wprawdzie drewaiany i niewyniosły, ale stały i obszerny. Obchodziło to innych mieszkańców w sąsiedztwie, że jeden dzierżyciel zyskał dwa majątki, ale gdy się już stało, nie było co mówić.

Nowy pan miał też czeladź swoją i bardzo mu było trudno zgodzić ją z żoniną; a powiedziawszy też tak, jak się rzeczy miały, i on był temu poniekąd winien: bo bardziéj swoim dawnym sprzyjał, niż nowym, którzy mu się dostali po żonie. Zaczepili go byli przychodnie, co się pod pozorem odpustu, a więc nabożeństwa, tak dalece w gospodarstwo miejsc nabożnych wmieszali, iż się już trzeba było bać, żeby się było na co gorszego nie zaniosło. Powiodło mu się, że temu zaradził, a z czasem wyszło na dobre dla jego następców.

Byłto dobry pan, ale nadto powolny i lada bajkom i plotkom wierzył: stąd też rządził nim, kto chciał i był niepokój w domu, a czeladź jedna i druga coraz bardziéj górę brała. Miał jednak staranie o kamienicy i co brakło do zupełności murów i dachów, jak mógł dokonywał. To też uczynił i z szkołą parafiańską, dawniéj od pierwszego budownika kamienicy murowanéj zaczętą, do któréj bakałarzów zdatnych sprowadził, i płacę im zwiększył. Przez czas długi posiadał razem i dom i kamienicę, a następcy jego, równie jak on starowni, bieglejsi jednak w budowli, tak ją wewnątrz i zewnątrz ozdobili, iż stała się wielce okazałą. Ów dom drewniany, który był około niéj, w mur wznieśli, i uczynili kamienicy podobnym, tak iż było prawdziwie na co patrzyć.

§. VI. Jako ostatni sąsiada owego potomek i dom złączył i czeladź pogodził.

Już się to powiedziało, jako dwojaka czeladź pod jednym panem nie mogła się pomiędzy sobą zgodzić. Jedni powiadali: my dawniejsi; drudzy mówili na to: tacy my dobrzy, jak i wy, i każdy z nich rozumiał, że jemu pierwszość i władza, drugim następstwo i wykonanie tego, co nakaże, przystoi. Po wielu sprzeczkach i kłopotach, do tego przyszło, iż ostatni pan i dzie-

dzic dwóch owych kamienic, nie miał ani czasu, ani sposobności wstrzymywać je tak, jakby należało. Myśląc więc, jakimby sposobem gmach w całości utrzymać, a widząc, iż się już ściany gdzie niegdzie poczynały rysować, spostrzegł, iż rynna między dwóma dachami, na którą się wody z obudwu zlewały, niedostarczała takiemu spadkowi; postanowił przeto na obudwóch kamienicach dać jeden dach, ile że były sobie równe, a staraniem dawniejszych dzierżycielów facyata jednakowa.

Wiele trzeba było koło tego i starań, i prośb, i pogróżek, i obietnic, ba i datków, żeby przywieść czeladź do imania się takowéj roboty, a to dla tego, iż się już byli na dobrym bycie (jakto mówią) rozbrykali: każdy zdawna do mieszkania swojego przyzwyczajony i wprawny, połączenia takowego w jedno niechciał, osobliwie owi, co się to byli następnie złączyli. Musiał więc pan, żeby ich ująć, dać im więcéj jeszcze do mieszkania, niżliby byli pierwéj na jego przodkach wytargowali: wybrali sobie więc, co chcieli.

Przecięż przyszedł czas nakoniec, iż po wielu krzykach, hałasach i zwłokach, stanął na obudwu domach jeden dach. Daléj pomału i na to się dali przywieść i nakłonić, iż drzwi z jednéj kamienicy do drugiéj wybito, a czeladź już złączona w mieszkaniu, mając je takie, jak tylko chciała, zapomniawszy i o panu i o budowli, zaczęła używać dobrych czasów.

§. VII. Jako ostatni dziedzic umarł, i komu się dostała kamienica.

Umarł ostatni dziedzic, a czeladź choćby się już i sama rządzić mogła, bacząc, iż lepiéj pod jednym i składniéj rzeczy idą, wezwyczajona też do tego sposobu rządu, wezwała ku pierwszeństwu przychodnia: wiele obiecywał, nic nie uiścił; jak przyszedł, tak i uciekł i niebardzo go też ścigano. Oddała zatem czeladź siostrę nieboszczyka pana za wójta ze wsi. Dobryto był gospodarz ten wójt, ale się na nim nie znano: choć więc czeladź była krnąbrna, zgoła ladaco, jeżeli mamy prawdę rzec, opierał się jéj, i radzi i nieradzi szanowali go, a zwłaszcza iż był sobie dobrał szafarza, który swoje robił, a pogróżek się nie bardzo bał.

Jeden sąsiad zerwał był nieco kamienicy za dawnego nieładu, on to odzyskał i byłby może i owego sąsiada z własnego domu wypędził: jakoż, się już doprawdy na to zanosiło, ale go zbałamuciły mnichy. Żałowałci on potém tego, ale już było po czasie.

§. VIII. Jako po wójcie przychodzień z daleka dom objął.

Z zamorza on aż przywędrował ten nowy pan, krewny ostatniego dziedzica, i dano mu dom w dzierżenie. Nie był on ani rozrzutnym, ani skąpym: ani żołnierz, ani spokojny, ani go-

spodarz, ani handlerz, niby téżto rządził czeladzią, częściéj jednak czeladź nim, a nawet i bakałarze. Miał przedtem własny majątek, ale go stracił, a ledwo go jednego razu i z tego co mu było dano, czeladź nie wypędziła.

Po nim starszy z synów osiadł w domu: choć niedozorny, dość był szczęśliwym, kamienica jednak pomału starzała się i psuła.

Nastał po starszym bracie młodszy, i zaczął się krzątać, ale trudno już było złemu zabieżeć. I czeladzi rady dać nie mógł, i od napaści sąsiadów być wolnym: przyszło do tego, iż go wygnano z domu. Wrócił się wkrótce, ale i kamienicę i gospodarstwo w większym jeszcze, niż przedtém, nieporządku zastał. Właśnie jakoś w złą chwilę się urodził, nawet go zagrodnicy z przedmieścia wypędzili z domu. Zmierził sobie on kamienicę i poszedł w świat.

§. IX. Jako jeden z czeladzi został panem, a po nim zaś drugi.

Dotąd kamienica miała, albo panów dziedzicznych, albo wybranych dzierzycielów. Jak ostatni poszedł w świat, puściła czeladź dom na tandytę i wygrał ją jeden z nich.

Zdziwiła ta czeladzi igraszka sąsiady; osobliwie, iż ów czeladnik, co wygrał, niezdatny był do rządu: chcieli go więc jego niegdyś współtowarzysze wypędzić, ale się nie udało, bo się sami między sobą podług dawnego zwyczaju, swarzyli i gryźli, a tymczasem dość już zepsuta uszczupliła się jeszcze kamienica, i nawet kazali z niéj czynsz płacić.

Umarł wtem ów posiadacz niewczesny, i nikt go nieboraka nie żałował.

Po nim nastał czeladnik drugi, bardziéj przemysłem i ledwo nie mocą, niż przypadkiem i losem. Wszedł wkrótce w zatargę z owym sąsiadem, co był uszczuplił dom, i którego, jeszcze czeladnikiem będąc, dobrze już był nastraszył. Chciał więc z dobréj pory korzystać i odebrać dawniéj wzięty śpichlerz i drzwi żelazne z tyłu. Ale nie mógł odzyskać, co było raz wzięte.

Przez cały prawie czas rządu wadził się z czeladzią i zgryzł się nakoniec. Chciał był dzieciom dom po sobie zapewnić, ale się i tego nie doczekał. Były też niebardzo gospodarne i mniéj sposobne do rządu, a co ojciec nazbierał, poszło to wszystko po jego śmierci niewiedzieć gdzie i jak.

§. X. Jak po śmierci drugiego współtowarzysza czeladź wybrała pobocznego gospodarza, i co się potem stało.

Poboczny ów gospodarz był z inszéj parafii, ale ją porzucił, gdy szło o kamienicę. Miał dom swój z ciosowego kamienia, ale że wązki, kamienica z cegły choć nadpsuta, że obszerna, wy-

soka i kształtna, skusiła go. Skoro wszedł do niéj, jął się krzątać i tak dobrze mu się udało, że i spichlerza i drzwi owych żelaznych dostał; ale z drugim sąsiadem nie udało mu się. Zaczepiony, zaczepnikowi tak się oparł, iż go z kamienicy wypędził i osadził w niéj jednego z tamtejszéj czeladzi: ale ten musiał ustąpić, gdy dawny pan wzmógłszy się, do domu wrócił: siedział w nim więc spokojnie, i odtąd szynkiem tylko zatrudniony, mniéj dbał o to, co się daléj i z budynkami i samymże domem stać mogło.

Syn po nim nastał; miał sprzeczkę zrazu o dom z tymże czeladnikiem, który go już raz miał, ale się przecież utrzymał, a tamtemu na dobre wyszło. Dość długo w kamienicy siedział, aż téż umarł. Szczęściem za jego czasów nie było gwałtownych ani wiatrów, ani deszczów: powiększyły się więc nieznacznie rysy w murach, ale przecież stał jako tako.

§. XI. Jak znowu czeladnik dom zyskał, i co się stało.

Po śmierci owego sąsiadowego syna, wybrała czeladź na jego miejsce jednego z pośród siebie. Osiadł więc w kamienicy..... I gdy..... — Resztę wydarto.

Burza.

Wyjątek z „Podróży“, przez G. Ż.

Burza dzis będzie, rzekł spokojnie kapitan okrętu, wskazując stojącéj obok siebie kobiecie zachmurzony w oddali widnokrąg.

Kobieta z równą spokojnością odrzekła:

— Jeszczem nigdy nie widziała morskiéj nawałnicy.

— Dzisiejsza zdaje się obiecywać najpiękniejszy widok, mówił daléj kapitan: wicher, grzmoty, pioruny i te długie błyskawice, w których całe obłoki się palą, niczego jéj brakować nie będzie, może nawet rozbicia okrętu.

— Doprawdy, kapitanie? czy już zwątpiłeś o swojéj »Syrenie,« lekkiéj jak skrzydło jaskółki, szybkiéj jak lot orła?

— Moja »Syrena« zwycięzko wyszła z wielu zapasów, lecz to miejsce w czasie nawet spokojnym jest jedno z najtrudniejszych do przebycia....

Kobieta pochyliła głowę smutnie.

— Widzę, że odwaga niewieściego serca przed niebezpieczeństwem, jako śnieg wiosenny przed południowem słońcem, topnieje, dodał jeszcze kapitan.

— Czy żal życia jest słabą lękliwością? kapitanie.

Jeśli tak, to ja lękliwą jestem; żal mi tylu troskliwie uzbie-

ranych wyobrażeń, które żadnego przystósowania w rzeczywistości nie znalazły jeszcze; żal mi tego, co mam w sercu i w głowie, a co się z sercem i z głową o podwodne skały rozbije.

Nastąpiła chwila milczenia. Kobieta znowu z skronią pochyloną zatonęła w głębokich marzeniach, kapitan dał kilka rozkazów, a wiatr coraz silniejszy grał po linach, kłócił się z rozpuszczonemi żaglami.

— Bądź pani spokojna! rzekł kapitan wracając się do zamyślonéj: na co moc ludzka starczy, tego użyjemy w obronie.

Kobieta podniosła głowę, a rysy jéj twarzy były tak pogodne jak przed chwilą, kiedy mówiła: jeszczem niewidziała nigdy nawałnicy.

— Już ja jestem zupełnie spokojna, odpowiedziała pewnym głosem, ach! zupełnie, wierz mi kapitanie. Chwila minęła, już nic siebie nie żałuję. Zgłębiłam lepiéj tę wielką myśl śmierci. I cóż świat w ogóle straci na jedném indywidualném pojęciu, które zgaśnie przed czasem? Ludzie pójdą daléj, chociaż człowiek ubędzie: człowiek cudowna machina ręką Boską ulepiona, szlachetny najemnik do wydobywania z łona wieczności skarbów prawdy i wiedzy. Choć machina zepsuciu ulegnie, najemnika ręce zmartwieją, zostanie myśl mistrza, zostaną skarby w kopalni, światłość w naturze. Kto je da? mniejsza o to, byle były, a ja mogę umierać.

— Umierać, rzekł kapitan, a ja o życie nie dbam. My żeglarze szczęśliwsi od lądowych mieszkańców: nam prawie zawsze ostatnia godzina bije piorunem burzy, kulą nieprzyjaciela: nie ma nawet czasu spojrzeć za siebie lub przed siebie, żałować, bać się, lub oczekiwać. Tu wszystko prędkie, niespodziane, przypadkowe; ten zostanie, ten padnie; tu śmierć dokoła, a nikt o śmierci nie myśli. Daj mi tylko Boże taki piorun, co od razu czaszkę zgruchoce, taką kulę, co od razu serce rozbije, o nic więcéj nie stoję; a kiedy zdarza mi się przesłać list do matki, która święta i dobra kobieta gdzieś daleko w mojéj kochanéj Szkocyi za syna żeglarza się modli, to jéj zawsze proszę, żeby w swoich pacierzach dodała: »Nagłą i niespodzianą śmiercią obdarz go Panie!«

Uśmiechnęła się kobieta.

— Kapitanie, rzekła, więcéj niż lat w życiu masz wspomnień pięknych i śmiałych czynów, podwładni słuchają cię równie przez uwielbienie i miłość, jak przez karność wojskową: tobie samemu się zdaje, żeś odważny, że w twéj duszy prawdziwe męztwo spoczywa. O mój bitny żołnierzu! mój nieustraszony żeglarzu! zabij wzrokiem gniewu słabą kobietę, która temu przeczy zuchwale. Nie, nie, mój kapitanie, jesteś tylko lekkomyślnem, próżnem dziecięciem, które śmiało idzie przez kładkę nad wielką

przepaścią: bo mu się zdaje, że w nią nie wpadnie, bo patrzy gdzieindziéj, a nigdy na dół nie pojrzy. Widzowie przyklaskują u brzegu, lecz ja milczę; ja nie tak rozumiem odwagę i męztwo. Spuść wzrok na dół, pomnij co czynisz, a potém wznosząc głowę, powiedz mi, że zawrotu nie czujesz i przejdź śmiało: to klasnę w ręce i powiem, że odważnym jesteś.

Kapitan zmarszczył brwi na szerokiém czole, uśmiechnął się napół szyderczo, napół wesoło, zwyczajnie jak wojak na czcze słowa kobiety, i szepnął z cicha: »zobaczymy.«

Tymczasem burza się zbliżyła, niebo ogniem się zajęło, jak gdyby miało roztopionym spiżem do morza wpłynąć: bałwany biły w górę srodze zapienione; okręt raz ciskał się pod obłoki, drugi raz spadał w przepaść tak głęboką, że kto z będących na nim wierzył w piekło, to myślał, że się przed nim piekło roztworzyło. Kapitan skrzyżował ręce na piersiach i rozkazy jego spieszne, niemylne, brzmiały po wszystkich bokach okrętu, głośniejsze od wichru, prędsze od piorunu. Majtkowie wypełniali je w porządku, z milczeniem, tylko od czasu do czasu usta ich cicha poruszała modlitwa. Podróżni patrzyli na oczy dowódzcy, jak chory na relikwie. Kobiety głośne mówiły pacierze, płakały, a jedna silnie o pokładową galeryą się sparła i patrzyła to w niebo, to w morze: i chociaż stokrotnie o jéj piersi rozbił się szklannym pyłem niejeden wytrysk śródziemnéj wody, chociaż wicher stargał jéj włosów zawiązkę, ona stała nieporuszona, cicha, i myślała o śmierci.

Śmierć owo uroczyste pozdrowienie Boga, któż ją zna tu na ziemi? Ludzie, widząc cierpienia i męki zgonu, nazywają go śmiercią, śmierć boleścią; ludzie się mylą, gruba powłoka martwoty zaległa bujne życia przestworza; każde wydobycie się szlachetniejszych pierwiastków ze zmysłowego świata, jest walką i wysileniem. Śmierć jest najdoskonalszém połączeniem naszego ducha z Bogiem, naszéj cząstki wiedzy z doskonałą wszechwiedzą.

Leć, leć, aniele śmierci! dmuchniéj na obłudne i mamiące twory: niechaj runą, a przyszłości zostawią żywotną część swoję — naukę prawdy. Leć, leć, aniele śmierci! a kiedy śnieżne pióra twoje dotkną czoła mojego, nie cofnę kroku, nie przymknę olśnionéj źrenicy: bo ja wiem tajemnicę twoję, ja wiem że ty szczęściem, wiedzą prawdy, że ty życiem jesteś. Ach, szczęśliwy, kto może spokojnym umysłem patrzeć na zgon swój — umierać i myśleć o śmierci; szczęśliwy, kto może z głęboką rozwagą przyjmować tę chwilę objawienia, to spełnienie najwyższego cudu!

— Rafa, rafa! krzyknęło kilka głósów.

— Zginęliśmy, odpowiedzieli echem podróżni, a najśmielsi

majtkowie z trwogą opuścili ręce, i blade ich twarze zwróciły się ku dowódzcy.

Rozkaz nowy był prędki: lecący ku zgubie okręt zatrzymał się, jakby mocą czarnoksięzką. Przez chwil kilka drżał ogromny statek na wzburzonéj otchłani. Ustały płacze, nawet modlitwa ucichła: wszyscy milczeli, i gdyby nie ryk burzy, możnaby było zliczyć przyspieszone każdéj piersi odetchnienia. Lotem błyskawicy padło na dumającą kobietę spojrzenie dowódzcy, i ona też rzuciła na niego spokojnym wzrokiem braterskiego pożegnania: bo w téj stanowczéj chwili posiostrzyły się ich dusze, same jedne spokojne wśród zakłóconych żywiołów i przelękłych ludzi. On zaś z uśmiechem, jakby na ostatnie pogodzenie, rzekł tylko: — żadnego zawrotu nie czuję — i wzrok obojga pogrążył się w niezmiernéj przestrzeni. Wiatr zadął z innéj strony, wirowemi koły skręcił się okręt ku niemu i w nowym kierunku biedz zaczął szalonym, piekielnym biegiem. Nakoniec kapitan odezwał się głosem nadziei: — Minęło niebezpieczeństwo! — I te słowa odbiły się promieniem radości na wszystkich twarzach, tylko jedno kobiety oblicze, jak z przerażenia nie zbladło przed chwilą, tak i wtedy nie zajaśniało uśmiechem wesela.

Kapitan zbliżył się do niéj z uszanowaniem prawie, z tą szczerą i czystą przyjaźnią, lepszą od uszanowania, która z męzkiego serca ku niewieście idąc, jest najwznioślejszą pochwałą, najprawdziwszém jéj godności uznaniem:

— My tylko prawdziwie odważni jesteśmy, rzekł do niéj, nasze dłonie mogą się uścisnąć wzajemnie, bratersko. Ależ powiedz mi, niepojęta istoto, powiedz mi, kto wlał w ciebie to spokojne męztwo, kto cię nauczył śmierci i burzy pogodne stawiać czoło? Mnie ojciec dzieckiem maleńkiem woził w małéj łódce po spienionym jeziorze; mnie nadmorski wicher zahartował ciało, morskie powietrze członki umocniło; mnie do śmiałości wychował dzień każdy; lecz zkąd ty idziesz, co od razu stanęłaś przy kresie męzkiéj odwagi?

— Idę z dalekich krain, kapitanie! jestem słabą kobietą, dłoń moja nie mogłaby dźwignąć miecza twojego; a ten ciężar, z którym igrałeś wesoło, pochyliłby ku ziemi barki moje. Słabą, słabą, jestem kobietą, nie brał mnie ojciec na fale wzburzonego jeziora, ani mroźna zimy naszéj zawieja nie zaprawiła ciała do trudów i niewygód; pod skrzydłem rodzicielskiéj opieki wzrosłam cichą, nieśmiałą gołębicą, wychowałam się pieśnią matki i myślą o Bogu. Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy objawieniem poezyi, a myśl o Bogu rozwinęła się we wzniosłe pojęcia, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobieta w równi z najodważniejszym mężem. Tak, kapitanie, wszystko wyrównywa się i harmonizuje w świecie naszym: co wam daje siła i przywyknienie, nam daje myśl i wiara.

Charaktery rozumów ludzkich

przez

Michała Wiszniewskiego.

Kraków 1842.

Polacy.

»Ludzie są bardzo dowcipu ostrego (mówi Gwagnin tłum. Paszkowskiego na karcie 267 o Polakach XVI. w.) i rozlicznych narodów języki umieją, a osobliwie łacińskim językiem tak dobrze mówią, iżby drugi rzekł, że się z nim urodzili, a to jest pospolita bogatemu i ubogiemu.« Skłonni do uniesień, przekonanie rozumu słabiéj działa na ich wolą, jak zapał który prędko ostyga. Nie wytrwali w pracach rozumu, do długiego namysłu, do zimnéj rozumu rachuby, wstręt jakiś czują. Naród to poetyczny — w dymnéj chacie i złoconych komnatach jednakie w poezyi upodobanie. Żaden naród nie wydał tylu poetów, nawet w umarłym języku Rzymian szczęśliwie rymujących, ani tak znakomitych, jak Krzycki, Dantyszek, Janicki, Sarbiewski i tylu innych. Nawet za Sasów, mimo zagęszczonéj po kraju pijatyki, mimo upadku literatury, i powszechnego rozumów przyćmienia, po gęstych kielichach i polowaniu, nie było dla Polaków milszéj nad poezyę zabawy. W XVIII. wieku wiersze zastępowały miejsce pism politycznych, a nawet historycznych. Ks. Wścisłowski teologią wierszem napisał, a wypadki drugiéj połowy XVIII. wieku, nie znalazłszy w Polsce dziejopisa, w tysiącznych wierszach odbiły się. A kiedy uczeni tępili ostrze rozumu i dowcipu, ostudzali imaginacyą, rymując mową niepoetycznych Rzymian, kiedy akademicy krakowscy powstając w prozie na Hussa i Lutra Marcina, w rymach bogi pogańskie wzywali, tym czasem lud wiejski językiem macierzystym, wprost z duszy wyśpiewywał piosnki malujące ich uczucia, tęsknicę i niedolę. Prócz téj wspólnéj wszystkim do poezyi skłonności, wreszcie nie małe różnice i odcienia w skłonnościach umysłu, i zdólnościach rozumu postrzegać się dają. Litwini mają zimniejszą rozwagę, i duszę bardziéj w sobie zamkniętą. Ruś Czerwona, a mianowicie Lwów i Samborz obfitowały niegdyś w ludzi górujących dowcipem i rozumem. Marcin Radymiński, dziejopis akademii krakowskiéj, naliczył jednym tchem pięćdziesięciu Samborzanów, wielką pojętnością, dowcipem, i rozległą nauką w kraju i akademii krakowskiéj słynnych. Mazur a podobno i Wielkopolanin ma najmniéj do poezyi skłonności. Krakowiaków naturalne i zwięzłe porządkowanie myśli chwali panna Tańska. Lud wołyński bywa mniéj dowcipny od Ukraińców dumki śpiewających głosem rozciągłym, stepowym i podobnym do echa. »Chłop póki

młody (mówi o ukraińskich Michał Grabowski), pracuje rękami, czuje sercem, nie wie nawet, że nosi głowę na karku; ale jak włos mu pobieleje, nogi osłabną, patrz! w głowie mu się coś budzi, myśli z niéj jak roje pszczół zaczynają wychodzić, brzęczą koło niego, rozmawiają z nim w dzień próżny i noc niespaną.« »Prosty rozum tych ludzi, mówi o Poliszukach nasz genialny Kraszewski, wcale nie jest do pogardzenia; niekiedy pod pozornem głupstwem ukrywa się przebiegłość niepospolita. Małorossyanie słyną przebiegłością rozumu. Podhalanie (tak siebie nazywają nasi górale) mają wrodzony dowcip, otwarte głowy, i przetarty wędrówkami rozum.

Głupiec sprzeczający się.

W zakątach i tajnikach głupstwa swojego, ma gdzieś niewyczerpany zapas wątpliwości i zarzutów, z któremi na wszelką oczewistość się targa. Lubo nie zna tajemnic dyalektyki, wszelako jego rozmowa jest ciągłem dyalektycznym szermierstwem. Sądząc po téj jego skłonności, wnosićby można, iżby był skeptykiem, gdyby miał rozum; słabość téj władzy umysłu sprawuje, iż wszelkie z nim spory, dla światłych uciążliwe, nigdy go naprostować i oświecić nie mogą.

Głupiec zapytujący.

Nie z potrzeby, lecz z nałogu i roztargnienia ciągle się pyta, choć odpowiedzi nie słucha, albo nie rozumie. Pytań jego wreszcie albo ciężko zrozumieć, albo niewarto. Wśród najciekawszéj powieści, kiedy wszyscy tęskliwie rozwiązania oczekując, oddech prawie zatrzymują, wyłazi niespodzianie z zapytaniem, żadnego z opowiadaną rzeczą nie mającem związku, a mimo oburzenia się wszystkich, już w cichości drugie gotuje. Ztąd za jego pokazaniem się, na wszystkich twarzach niechęć występuje. Niecierpliwsi zaraz ziewać poczynają. Dla téj przykréj wady wszyscy grzecznie go pozbyćby się radzi, co jednak nie zawsze się uda: bo o głupstwo jego, jak o żelazną tarczę, wszelkie przycinki się odbijają, nie raniąc. Szczęśliwy w sobie, ale nieznośny dla drugich.

Młodość i przesilenie rozumu.

Dla duszy swieżéj, serca nietkniętego boleścią, rozumu jeszcze żadną niezrażonego ni znękanego wątpliwością, wszystko na świecie w złotéj okazuje się barwie. Młody rozum wszystko wiedzieć pragnie i spodziewa się; wierzy w cnoty, otwiera się z zaufaniem, wylewa na nadzieję. Nie masz tak wysokiéj doskonałości, któréjby dostąpić niepragnął i niespodziewał się. Przegląda

się chciwie w świecie, gdzie wszystko dla niego nowe, świeże i wesołe, jak jego serce. Zachwyca się wszystkiém, dziwuje i unosi, jak podróżny na górze Rygi, kiedy nagle z za skał alpejskich wyskakujące słońce pokryje różowym rąbkiem lody i siedm błyszczących jezior wśród rozkosznéj okolicy odsłoni. Młodość duszy, młodość rozumu! Szczęśliwy, kto w tym raju niewinności, po tych złocistych niwach długo bujać może. Z czasem naukami kształcony rozum, coraz prędzéj kroczyć poczyna, coraz więcéj wyobrażeń ogólnych nabywa, i coraz większego w siłach swoich nabiera zaufania. — Jeszcze i temu wzrostowi i zbliżaniu się ku dojrzałości złota młodego wieku towarzyszy nadzieja. Młodzian nie wie i nie domyśla się nawet, iż są pewne wiedzenia granice, gdzie dwie rozstajne zaczynają się drogi. Póki do téj nie dobiegnie mety, postępuje wesołem sercem i mimo wielkich trudności, nie ostyga w zapale. Prowadzony za rękę, idzie zawsze ubitą i wskazaną przez innych drogą; tylko utartéj dobrze trzyma się ścieszki, cudze tylko myśli rozumieć się uczy, i zawsze od wyrazów do wyobrażeń, a od tych dopiero idzie do rzeczy. Po gotowych już rozumowaniach, do pewnych prawd przychodzi. Zastanawia się nad tém, co mu wskazano, co bliżéj niego leżało. Lecz w pewnéj epoce umysłowego życia, poczuwszy w sobie pełnoletność umysłową, zaczyna o własnych siłach rozbierać i sprawdzać zdania, które dotychczas na wiarę od innych przyjął; z tego rodzi się w jego umyśle niespodziana wątpliwość, czyli *przesilenie się rozumu*, które cały umysł wstrząsa, silnie wpływa na przyszły jego charakter umysłowy, i stawia go na drodze rozstajnéj, z których jedna prowadzi do granic rozumu, druga do ciągłego powątpiewania.

Szczęśliwy, kto przebywszy tę ospę rozumu, pozna nieprzebytą możności wiedzenia granicę! O jednych rzeczach upewnia się dowodami, w drugie, ile żadném dowodzeniem obalić się i wyrozumować się niemogące, wierzy. Resztę kładzie w rzędzie prawdo-podobieństw i domysłów; a po wytrzymanéj nawałności, zawinąwszy szczęśliwie do portu, w rzeczach rozumowi niedostępnych ucieka się do religii. Spokojnym odtąd umysłem pogląda na granicę, któréj rozum przekroczyć nie może i żadnéj już sprzeczności między sumieniem swojém, a rozumem nie czuje.

Lecz nie wszyscy ludzie tak szczęśliwie te niebezpieczne przebywają porohy. Jedni przylegają ślepo do wszystkiego, cokolwiek trafem do nich przypłynęło; drudzy na widok tak rozmaitych, sprzecznych i wzajemnie znoszących się zdań ludzkich, rozpaczają o rozumie i względem rzeczy najbliżéj człowieka dotykających, w wiecznéj zostają wątpliwości. Jesto nader mądre rozrządzenie opatrzności, że ludzie głupi i ograniczeni, o tych wątpliwościach wcale nie wiedzą i na takie niebezpieczeństwo narazić się nie mogą.

Geniusz.

Wielka rozłożystość, moc i dzielność wszystkich władz umysłu, głęboki i silny rozum, nowe sobie torować i wyrąbywać lubiący drogi, i tworzyć nowe pomysły, który z powszednich, dawno znanych myśli, całe familie nowych prawd wyprowadzić umie, dusza ognista, bujna i rozłożysta imaginacya, i nieunoszona czułość serca, jest cechą, przyznaką, znamieniem geniuszu. Geniusz więc nie jest władzą umysłu, lecz najwyższą jego i najbujniejszą doskonałością, przymiotem osobistym, wrodzonym niebios darem.

Doskonała kultura umysłu i sprzyjające okoliczności, pomagają geniuszowi do rozwinięcia sił swoich, i poczucia się, lecz braku téj siły, tego zbioru wszystkich doskonałości umysłowych zastąpić nie może. Dobre wychowanie umysłowe kształci ludzi światłych, geniusze same się rodzą. Zewnętrzne okoliczności wpływają na prędsze lub późniejsze rozwinięcie geniuszu, lecz nie są jego źródłem: i tak np. niemasz piękniejszego kraju, jak Szwajcarya, a jednak widok tak rozmaitych i wzniosłych piękności natury, nie wzbudził w Szwajcarach poetyckiego geniuszu.

Geniusz wszystkie roboty umysłowe szybko odbywa, między najodleglejszemi rzeczami dostrzega podobieństwa, a wielkie podobieństwa łatwiéj, niż drobne różnice; w rozumowaniu przeskakuje ogniwa prawd wiążących się, i spiesznie leci do wypadku; żadne wszelako pokrewieństwo między myślami, żaden między prawdami związek, przed orlim wzrokiem jego ukryć się nie zdoła, lecz go w krokach długo nie zatrzymuje. W myśli powszedniéj, upatruje nowe prawdy, których w niéj nikt jeszcze nie dostrzegł, i całą jéj rozległość ogarnąwszy, wyprowadza z niéj liczne pokolenie prawd dotąd nieznanych. Tak Newton widząc upadające jabłko z drzewa, z tego małoważnego postrzeżenia wyprowadził prawo, któremu świat podsłoneczny ulega.

Człowiek z geniuszem ma mocniejsze od innych czucie, które za każdą myślą szybkością błyskawicy aż do głębi serca dochodzi; rozleglejsze od rozumnego objęcie, i właściwy sobie sposób pojmowania rzeczy. Wszystko co go otacza, mocniejsze na nim czyni wrażenie; każda większa myśl zapala go i unosi. Najmniejsze słówko pochwycone przeobraża się w nim szybko na myśl i uczucie, sięga aż do dna duszy, krąży z szybkością błyskawicy, wszystkie tajniki umysłu i serca przebiega, obudza roje myśli, i rozliczne uczucia, wprawia w ruch wszystkie siły umysłu, i jak wetknięty kij w wielkie mrowisko, długie i nieprzewidziane w całéj duszy jego sprawia wzburzenie.

Geniusz nie ulega wpływowi panujących uprzedzeń, po cudzych śladach chodzić nie lubi; woli przepaść, niż koléj; w ła-

maniu trudności wielkie ma upodobanie; pomysły jego przechodząc za granicę rozsądku rażą, i zawsze mają w sobie coś zuchwałego. Roztoczywszy wszystkie skrzydła, lubi bujać po nieskończonym przestworzu i nowe dla siebie krainy myśli odkrywa. Z wszystkiego, czego doswiadczył, co na około siebie lub w sobie poznał, pewne ogólne prawdy rzucające wielkie światło lub pewne prawidła wyprowadzać umie. W opisach jego podoba się i zastanawia dobitność wyrażeń, moc myśli i gwałtowne zwroty. Malując namiętności, zapuszcza się daléj w głąb serca ludzkiego. Opisując rzeczy świata otaczającego, okazuje rysy i kształty, które przed okiem naszém zawsze wymykały się: odsłania przymioty, okoliczności i stosunki, około których tysiąc razy krążyliśmy, a nigdy ich niedostrzegli. W zwierciedle jego duszy wszystko innych nabiera wymiarów, zdumiewa, zachwyca i porywa. Wszystko sam dla siebie tworzy: pomysły, myśli, obrazy, prawidła, język, sposoby wyrażania się i obroty mowy. Nad językiem panuje, wyobrażeń swoich i myśli łamać, ścieśniać i obcinać mu nie dając; wyrazy języka nie służą mu za narzędzie myślenia, lecz ich tylko do oznaczenia nowych pomysłów swoich używa; są to jakby nacięcia drzew, któremi Amerykanin drogi swoje znaczy, jak na stepach ukraińskich kurhany. Ztąd ludzie z geniuszem bywają twórcami i prawodawcami języka: tak Dante, Petrarka, Bokkaczio, dając pierwszeństwo florenckiemu dyalektowi, z miejscowéj mowy, zrobili go językiem Włoch całych.

We wszystkich geniuszu utworach widać wielkie bogactwo pamięci, ognistą imaginacyą, która obficie farb do malowania myśli dostarcza, i w ogólności, bujność umysłu, która przestrogami roztropności, jak małością jaką pogardza.

Miernemu nawet rozumowi zabłyśnie czasem myśl szczęśliwa, mignie tylko, i znika na wieki. Myśl ta ujęta, pielęgnowana długo, i wychowywana w umyśle, póki nie dojrzeje, mogła była stać się zawiązkiem nader wielkiéj prawdy, lub wielkiego wynalazku. Wszakże geniusz tylko umie natchnienia od pospolicie nawijających się myśli rozeznać, pochwycić i tę iskierkę w szeroko oświecający rozdmuchnąć płomień. W dzieciństwie albowiem swojém myśli są tak małe, znikome, iż nie zwracają uwagi ludzi, w biografii myśli ludzkich niebiegłych; a jednak dzieciństwo wielkich myśli, równie jak wielkich ludzi, godne jest naszéj ciekawości. Natchnienie jest to nagłe rozbłyśnienie światła prawdy, pewném chwilowém uczuciem wsparte, a którego na duszy wymusić nie można, które, jak błyskawica na niebie, samo z siebie nagle i niespodzianie się zjawia, i równie szybko znika. Jeśli to nagłe objawienie się prawdy, to mignienie się szczęśliwéj myśli, rozum pochwyci, wszystko z tego zawiązku, jakby z kłębka z największą rodzi się i wywija łatwością. Tego prędkiego przypływu trafnych, wiele ogarniających myśli, mamy

przykład w sławnym mowcy Mirabeau. Rozum jego obecnością przeciwników rozogniony, wydawał zrazu zwikłane myśli, które w przerywanych wymykały się słowach. Nagle zabłysło mu światło: wówczas chwila jedna odsłoniała mu więcéj, jak najdłuższe rozumu mozoły. Wówczas ogłaszał z mownicy owe prawdy, myśli niespodziane, około których każdy krążył, lecz zbliżyć się i opanować ich nie umiał, a które z duszy jego leciały bystro w treściwe słowa i malownicze wyrażenia. Rozjątrzony na nowo oporem, w okamgnieniu, jeszcze większem prawdę otaczał światłem, jeszcze mocniéj w przekonanie wszczepiał, tak iż wszystko lgnęło do woli jego, i do zdania z uniesieniem przychylało się.

Człowiek rozumny potrafi sobie wystawić grzmoty, pioruny, przeraźliwy świst wichrów, okropne pustynie, niebotyczne góry, czułe śpiewy pasterzy, rozhukane i spienione morze, gwałtowność namiętności, zapalczywy gniew, wielką radość, żal nieukojony, rozpacz ostatnią i t. p. lecz sam tylko geniusz czuje te obrazy, te utwory imaginacyi, aż w głębi serca swojego i z całéj duszy, raduje się niemi serdecznie, lub zasmuca, unosi i zachwyca. Takie pomysły i uczucia nie wciela w słowa ogólne, ale maluje w śmiałych rysach, pokazuje na oko w obrazach, którym świeży koloryt i życie nadaje. Obfitość myśli, rozogniona czułość tak go unosi i porywa, tak mocno nim włada, iż natchnieniom swojego geniuszu oprzeć się nie może. Nie jest panem swoich uczuć i myśli; ani ich miarkować, ani ich pohamować może, póki nie zaspokoi gwałtownéj potrzeby wcielenia w słowa, w marmur, lub przeniesienia na płótno myśli, która wre, burzy się; całą duszę jego wypełnia i aż do dna wzruszyła.

Uszczypliwy dowcip, który chciwie sposobności wyszydzenia szuka, sprawuje na nim wrażenie, jakiego doznają dzieci bujające na usłanéj kwiatami łące, gdy nagle wijącego się postrzegą węża. Przywykły żyć w rajskiéj krainie myśli, i karmić się roskoszą wielkich pomysłów, i wzniosłych poezyi obrazów, niechętnie zstępuje do powszednich rozumu zatrudnień. Nie lubi i unika wszystkiego, cokolwiek zapał jego ostudzić, myśli zwęzić, i w krainę drobnostek sprowadzić może.

Człowiek rozumny błędów geniuszu popełnić nie może. Przemysł jest zaletą rozumu, geniuszu przymiotem wynalezienie. Rozum oświeca, geniusz podnosi duszę i zdumiewa. Rozum nadaje utworom swoim postać, wymiar i farby; geniusz okazuje się w całości. Rozum może tylko skreślić obraz trafny, wierny i przyjemny; geniusz wszystkiemu wielkości własnéj udziela. Utwory geniuszu to mają do siebie, iż w nich zawsze coraz nowe piękności dostrzegać się dają; bo wynikają z głębi duszy, są objawieniem się wewnętrznego natchnienia, mocnego czucia i przekonania, Różnią się zaś od dzieł rozumu, jak kwiat naturalny od kunsztownego. Człowiek przemyślnego rozumu zbiera

zewsząd ozdoby i piękności do swojego dzieła, lecz mu duszy i życia nadać nie zdoła. Wieniec z najpiękniejszych uwity kwiatów, prędko zwiędnie; na łąkę usłaną rodzinnemi kwiatami, zawsze z nową patrzymy roskoszą: bo te są życiem z téj ziemi, w któréj tkwią i rosną.

Człowiek z geniuszem prędzéj od innych myśli, ma w pamięci niewyczerpane skarby wyobrażeń, pomysłów, dowodów i obrazów. Zatopiony zwykle we własnych myślach, które tłumami się cisną, w nich najmilsze znajdując zajęcie, cudzemi zajmować się nie lubi, a nawet częstokroć drugich nie rozumie, jak np. Kant dzieł Monteskiego, a w młodości nie wiele od drugich nauczyć się może. Najczęściéj pierwsza młodość geniuszu, ukrywa się skromnie w cieniu, jak barwinek i dopiero raptem, niespodzianie w całym blasku rozwija. Dla miernych zdolności, pochwały i oklaski bywają zachęceniem do wytrwania i pilności; prace geniuszu, jak działania natury, lubią odosobnienie, cichość borów pierwotnych i tajemnicę. Człowiek z geniuszem wyższy nad próżność, nie ubiega się za oklaskami, najsłodszą nagrodę w sobie znajduje; zwykle do jednego rzędu myśli, do jednéj jakiéj rzeczy, miewa wyłączny pociąg; rzadko się zdarzają tacy, jak Leonard de Vinci, albo Michał Anioł Bounarotti, który był wielkim snycerzem i wielkim malarzem, albo Leibnic, który był równie wielkim filozofem, jak matematykiem.

Geniusz jest wyższością, która dziwi, lecz nie wznieca miłości. Nierozciągając tu nici cierpień, którym ludzie z geniuszem podlegać zwykli, cierpień w Tassie Getego pięknie opisanych, wymienimy tylko niektóre. Człowiek z geniuszem, póki nie pójdzie drogą wskazaną mu od natury, jest posępny, niczém nie zadowolony, dziwaczny, niespokojny, często stan i miejsce odmienia. Siły duszy i umysłu pasujące się wewnątrz, nie dają duszy jego spoczynku. Zniewolony niekiedy do chwycenia się zatrudnień wprost naturze, i skłonnościom geniuszu swego przeciwnych, długo znosi ten ciężki dla duszy swéj przymus, w końcu atoli kruszy wszelkie zawady i jak wezbrane nurty Wisły, z podwójnym zapałem rzuca się w zawód sobie właściwy, i do geniuszu swego stósowny. Geniusz albowiem nie daje się, jak talent, do wszystkiego przygłaskać, nagiąć, lecz zaraz w pierwszéj jutrzence umysłowego życia, o swoich lubi kroczyć siłach i w tém tylko mocne upodobanie znajduje, do czego go wrodzona porywa skłonność.

Ludzie z geniuszem przebijając się przez rozliczne zawady do właściwego sobie w społeczeństwie miejsca, zwykle doznają nieszczęść, które tém mniéj znosić umieją, iż u nich wszelkie myśli i uczucia większych nabywają wymiarów; iż co dla innych jest przykrością tylko, dla nich jest nieszczęściem. W niedoli dumni, w pomyślności skromnymi okazują się. Oburza ich pycha, dziwi powodzenie mierności. Na wyższości swojéj jedynie

polegając, nieumiejąc uledz okolicznościom, łagodne obchodzenie się z ułomnościami ludzi poczytując za niegodne siebie pochlebstwo, z trudnością kierują się na świecie. Ztąd wielkie ich dla całéj ludzkości przysługi, chwałę którą narodowi przynieśli, późna dopiero potomność ocenia, i najczęściéj wieńcem na grobie złożonym nagradza.

Charakterystyka oświaty teraźniejszéj.

Z dzieła: „O Literaturze". 1845. Przez M. Mochnackiego.

Chcącemu teraz w dostatkach piśmiennych jakiegokolwiek narodu rozeznać jego myśl własną, toż charakter, postać moralną i kształt cywilizacyi, trudném staje się to przedsięwzięcie, jeżeli nie niepodobném ku wykonaniu. Za dawnych czasów, — nie mówię w zapadłéj starożytności, ale w Europie chrześciańskiéj, — umiejętność szła innym strychem, w ciaśniejszych mieściła się szrankach niżeli teraz: kładziono ją pod pewną linię i modłę, żeby nie chybiała ani na tę, ani na ową stronę. To prawda! Lecz wtenczas duch ludzki zawodził na głębią; w głębi przenikał do jasności i szukał gruntu. Dzisiaj we wszystkiém więcéj postawy, niż wątku. Być może, że teraz więcéj umiemy od poprzedników naszych, ale zapewne przechodzą oni nas treścią, i mocą swych pojęć. Umiejętność teraźniejsza niezna żadnego wędzidła; nieukrócona żadną przeszkodą, żadną wątpliwością, jako potok wezbrany z granic występuje. Płynie szeroko, rwistym pędem, na wszystkie rozlewając się strony; ale na swojém nie jest tak umocniona, i tak daleko, jak pierwéj, nie zachodzi. Dzisiaj, że tak powiem, wszerz i podług rozmiaru na długość moc pojęć naszych się roznosi; przedtém zaś umysł ludzki, albo bujał w przepaścistych otchłaniach, albo śmiałym lotem wzbijał się w przeciwległą stronę, do wysokości już dla nas niedościgłéj, i ledwo nie ku wyżynom zawrotu. Tam szukał prawdziwéj chwały!

A przecież z tego tylko wyrozumieć można człowieka, w tém jedynie przeniknąć do jego ducha, co on sam głęboko pojął, zrozumiał, uczuł. Któż bowiem zgadnie istotę nic niepojmującą? Toż samo z narodem się dzieje. Dzielność jego poznawań na jaśnią się wyrywa w wiedzy rozpostartéj, w umiejętności; a siła jego fantazyi w sztuce. Uczucie w pieśni się maluje.

Rzućmy okiem na dzisiejszą statystykę nauk. Co za ogromne drzewo wyrosło z pierwotnego szczepu! Jak wybujało, jak się rozgałęziło! jak szeroko teraz ziemię zalega cieniem swojém! I coraz to nowe puszcza odrośle. Ledwo nie codziennie, w porządku wiadomości naszych, mnoży się liczba działów, i mnożyć się nie przestaje. A za lat sto, za lat dwieście, któż wie, czy potomkowie nasi przez całe życie swoje do szkół, jako żaki, cho-

dzić nie będą musieli dla nauczenia się, przynajmniéj z rejestru abecadłowego, nazwisk tylu umiejętności, tylą rozmaitemi pochrzczonych tytułami? Każdą rzecz radzibyśmy obrócić w umiejętność; z lada fraszki stworzyć naukę. Cóż z tego, kiedy w tém wszystko się z szczeréj istoty wytrawia, wszystko na wierzch wychodzi!..... Jakże wyrozumieć naturę umysłu publicznego, gdzie nic niema ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia? Cóż wreszcie wyrozumieć z blichtrów w mowie i pisaniu?..... Przedtém któżby był pomyślił, że naprzykład o saméj sztuce kucia koni, albo o zaprawie mularskiéj, o cementach będziemy mieli liczne pisma, uczone wywody, i ledwo nie całą literaturę? — Inaczéj to kiedyś bywało. Ludzie nie tak wiele pisali o budowlach i cementach, a trwalsze, ozdobniejsze stawiali gmachy. Zkądże to pochodzi? Dla czego pamiątki stare taką okazałością jaśnieją? Czemu tak zdrożały w naszém własném mniemaniu? Rzecz naturalna. Bo zmaleliśmy w rozerwaniu naszém: bo pierwéj myśl ludzka nie była jako warsztat rękodzielniany, gdzie w miarę podziału pracy na coraz drobniejsze zatrudnienia, otrzymujemy coraz doskonalsze wyrobki.

Ten mechanizm tak pożyteczny w ręcznych robotach, wielkie szkody zrządził w nauce. Moc ducha na jedności zależy; w podziałach słabnie, rozprasza się. Umiętność szerząca się mechanicznemi środkami poniża rozum ludzki. W téj mierze mam na względzie nie tylko nas samych w Polszcze, ale całą Europę. Wszyscy teraz, jak widać, z jednego źródła czerpiemy: tak samo wszyscy czujemy, myślimy, piszemy. Czyż to nie jest widoczny skutek powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia? W téj jednostajnéj cywilizacyi, zacierającéj właściwość indiwidualną i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu w rodzinnéj jego osiadłości? Też same wszędy formy zewnętrzne i rzecz ta sama; te same widoki, wyobrażenia. Rodzicielstwa znamię na dziełach uczonych, w utworach sztuki, w poezyi, we wszelakiem misterstwie dowcipu, niegdyś tak wydatne, tak raźne, tak bijące w oczy, coraz wątpliwsze staje się. Przyjdzie ku temu, że go i znać nie będzie. Przenoszą się mniemania z jednego kraju do drugiego; jednego trzymają się porządku; w jednych klubach zawarte. Mają tę samę moc i niemoc, tę samę prawdę i nieprawdę. A jeżeli gdzie jaką różnicę postrzeżesz, to tylko w zewnętrznym kroju, na zwierzchniéj szacie myśli; w gruncie żadnéj prawie odmiany. Niżeli o kosztowne perły i dyamenty trudniéj teraz o nowość w myślach. Nie jestże to znakiem, żeśmy upadli na sile?

Ustała światłość pierwotnéj anielskiéj natury człowieka! Ustała owa dzielność poznawań. Zdrobniały pojęcia; osłabła usilność do wielkich rzeczy w zamęcie potocznych spraw społeczeńskiego życia, w nieprzebranem mnóstwie wiadomostek, a najbardziéj rozstrzeleniem się nauk i umiejętności na niezliczone

działy. Jakież mniemanie zaweźmie o nas daleka potomność? Powie-li, żeśmy wszyscy jeden naród bratni, jedną rodzinę, spólnym rządzącą się rozumem składali w Europie? Czy też przypisze niemocy, albo lenistwu, że tak różne plemiona, różne mową, postawą, językiem, obyczajem, w różnych zamieszkałe siedliskach, miały przecież jakby jedną głowę, jedną moc ducha, jednę imaginacyą i jedną siłę natchnienia? .... Zaiste, obróciwszy myśl ku upłynionym czasom, łatwiéj rozwikłalibyśmy charakter idealny któregokolwiek ludu, bądź w starożytności, bądź w wiekach pośrednich z ułamków, z spleśniałych resztek jego cywilizacyi, jak dzisiaj z ogromnego stosu ksiąg drukowanych i przechowujących się w całości.

B.

Dyssertacye

czyli

Rozprawy naukowe i obyczajowe.

B.

Dyssertacye

czyli

Rozprawy naukowe i obyczajowe.

O Języku Polskim.

Listy Brata i Siostry, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową.

Wyjątek z „Rozmaitości“ Tom X. Wrocław 1833.

List Pierwszy.

Zdzisław do Wandy.

Z Krzemieńca.

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie, kochana Wando, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tułając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u naszéj ciotki, która już za córkę Cię uważa. Zaczęła swoję opiekę od przedstawienia Ci twoich obecnych powinności, i ona pierwsza Cię nauczyła, że nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie Twój list, i słodką ku ciotce przejął wdzięcznością; w saméj rzeczy rodzeństwo osierocone, więcéj kochać się powinno, a wzajemném przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną stratę rodziców.... Ale dla czegoż, kochana siostro, te uczucia po francuzku wyrażasz? wszakeśmy oboje Polacy? wszak w krajach Polskich mieszkamy? po polsku więc pisuj do brata. Mowa ojczysta najmilsza i najprzyzwoitsza każdemu Polakowi, wyrazy przywiązania w niéj kreślone, jeszcze snadniéj do serca jego trafiają, bo sam dźwięk narodowego języka słodko to serce porusza... Pamiętam, żeś od dzieciństwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie twoję pilność chwalono, z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i te pochwały mylnemi nie były; w dwunastu leciech trudno tłomaczyć się gładziéj i jaśniéj, a jeszcze w obcéj mowie; wyglądam zatém z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie po polsku napisanego; wierzaj mi, podwoi się tym sposobem wdzięk listów naszych, bo gdzież szukać milszéj mowy nad mowę naddziadów? i w jakiéjżeby uczucia i myśli łatwiéj wydać można, jak w téj, którą najpierwéj usta nasze przemówiły?

List Drugi.

Wanda do Brata.

Z ***

Biorąc pióro, żeby do Ciebie pisać dzisiaj, mój kochany bracie, doświadczam daleko *bardziéj* większego kłopotu, jak kiedym do Ciebie *pisywała* po pierwszy raz. To jest wielka szkoda, że *niema tylko listy* pisane po polsku, które Ci są przyjemne, bo Ty mi odbierasz *tędy* całą *możność rozmawiać* z tobą w języku, *co* ja posiadam daleko lepiéj, *jak* mój; i *co umiałby* daleko lepiéj malować moje uczucia. Może *bydź*, *jest* to źle, *ale to jest*, *jak* mnie wychowano. Czuję sama, że *ja* Ci prawię tutaj głupstwa, ale chciałabym tak mocno Ci dowieść *całe* moje przywiązanie, i mieć z *twoich nowin*, że wolę lepiéj Ci posłać te śmieszne wyrażenia, jak *chować milczenie*, i bydź pozbawioną, z *twoich listów*... Ale *Ty* mi darujesz krótkość *tego;* trzeba żebym się ćwiczyła, nim będę mogła *Ci zrobić jeden bardziéj długi;* a potém, nie *umiałbyś* uwierzyć, jak to mi jest trudne związać co w tym natłoku słów i wyrażeń z jednego języka i z drugiego, które się przedstawiają mojéj myśli; zaledwie ja mogę znaleść wyrazy, żeby Tobie powiedzieć, że Ciebie kocham i Ciebie szacuję z całego mego serca... Jestem doprawdy tak zakłopotana, i ten list *wziął tyle czasu*, że *ja* Cię błagam, żebyś raczył mnie uwolnić od ciężkiego *obowiązku pisać* do Ciebie po polsku... Ale jeżeli ty masz się gniewać, wolę lepiéj być *odmówioną*. Będę się ćwiczyć *tyle i tyle*, że nakoniec rzecz się zrobi łatwa; czyż nie prawda? mój kochany bracie, Ty za to pokochasz *lepiéj* twoją małą i posłuszną siostrę? *Wandę* ***

List Trzeci.

Zdzisław do Siostry.

Z Krzemieńca.

Wiesz com zrobił z Twoim polskim listem? niedoczytawszy go rozdarłem. Wybacz, Wando, ale w pierwszym momencie nie mogłem się wstrzymać. Wiesz com jeszcze zrobił? oto na nieszczęście wpadł mi zaraz potém pierwszy Twój list w rękę, i ten podarłem: bom się szczerze na Ciebie rozgniewał. Tak dobrze na wiek swój obcym pisząc językiem, jak możesz w ojczystym takie brednie prawić? Wstyd mnie za Ciebie; a gdy sobie przypomnę, żeś gotowa do uznania tego błędu, szczerze Cię żałuję. Nazwałaś mnie sama swoim opiekunem i ojcem; mam niejako prawo do użyczania Ci rad dobrych, nie dziwuj się więc, jeśli do Ciebie po ojcowsku napiszę; pochlebiam sobie, że i ciotka gniewać się na mnie nie będzie; ona dobrocią swoją tę śmiałość mi nadała.

Na miłość, którą masz ku mnie, zaklinam Cię, siostro, wejdź

w siebie, zastanów się, i uznaj, jaką to jest niedorzecznością zatapiać się w obcéj mowie, w niéj jedynie mówić, czytać, pisać, mając własną, piękną i bogatą. W tém, niestety! że ten przesąd jest niemal powszechnym u płci Twojéj; że pomimo pozornéj jakowéjś odmiany, ciągle u nas obcy język nad ojczystym przewodzi: wiem, że gdybym w téj chwili mógł przejrzeć cudem jakim wszystkie dziewczynek twego wieku i stanu, Dzienniki, Listy, Zeszyty, Imienniki, Modlitwy nawet, znalazłbym wszędzie francuzki język w robocie, a zaledwie okazałoby się dziesięć na stu, które ojczystą zamiłowały mowę. Lecz ta ślepota im powszechniejsza, tém więcéj szkodliwa, i bardziéj boleśna. Język polski drogą jest po ojcach naszych spuścizną, za jego jedyną pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeby gardzić tym skarbem!... Przekonany jestem, Wando, że lubo nie umiesz ani mówić ani pisać po polsku, serce twoje polskie ma uczucia; wiem, że wszystko, co się tycze wielkości i sławy kraju, unosi twą duszę, a każda niedola jego ją rani; wiem o tém z pewnością, i gdyby było inaczéj, nie chciałbym Cię siostrą nazywać..... Wiem także, żeby szczęściem było dla Ciebie, przyczynić się do wzrostu chwały imienia polskiego, a wiesz, ten czyn w Twojéj, w rówiennic twoich jest mocy. Doprawdy, ja nie żartuję, czytaj tylko daléj.

Twój list rozgniewał mnie, ale gdym się nad nim zastanowił, boleść miejsce gniewu zajęła, i nie do Ciebie jednéj ale do wszystkich rówiennic Twoich głęboki żal powziąłem. Ach! pomyślałem sobie, gdybym miał z dziesięć lat więcéj, gdybym już pisał dobrze, uczyniłbym odezwę do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą; możeby moje słowa do ich serc trafiły? Ale tak, cóż uczynić mogę? Oto myśli, które mi się po głowie snują, jakkolwiek ułożę, i przeszlę je siostrze, niech choć ją poruszą. Posyłam Ci więc tę odezwę; napisz mi szczerze, jakie na Tobie wrażenie uczyni; ale jeśli mnie kochasz, proś kogo, żeby Ci Twoję polszczyznę poprawił, bo inaczéj znowu list podrę.

ODEZWA

do

wzrastających dziewcząt za mową ojczystą.

Serce miłością kraju przejęte, serce zagrzane chęcią rozszerzenia narodowéj sławy, odzywa się do was słabym i niewymownym głosem. Obym mógł wlać w dusze wasze szlachetny ku narodowości zapał, obym mógł napoić młodociany umysł wasz tém przekonaniem, że wy podnieść język polski możecie. Tak! — lubo teraz małe i nic prawie nie znaczące, — w was przecie spoczywa ta słodka nadzieja, wy za lat kilkanaście chlubą narodu zostać możecie. Już bowiem dla niewiast dojrzałych, które

od pieluch obcym mówią językiem, które nawykły w nim wszystkie myśli i uczucia wyrażać, już dla nich trudno nabyć pożądanéj w mowie ojczystéj biegłości. Polki w sercu, uznają błąd ten swojéj edukacyi, boleją nad nim, poprawićby się rade, ale już zapóźno. Lecz dla was, lube dziewczęta, które dopiero wstępujecie w zawód życia, któreście jeszcze czasu nie miały nawyknąć na zawsze do złego, dla was wszystko jest łatwém, wszystko jest podobném. Umysł wasz giętki, jak młode drzewko, na każdą stronę nachylić jeszcze można. Korzystajcie z tak pomyślnéj pory, ćwiczcie się w mowie ojczystéj, przełóżcie ją nad inne. Ten wasz postępek, wielkie skutki za sobą pociągnie. Wy za lat kilkanaście żonami, matkami będąc, wpoicie w córki własne uczucia i zdania, i zgubny przesąd przetnie się na was, zakończy się na dzisiejszém pokoleniu; od was się ustali prawdziwych Polek pasmo, od was powstanie epoka nowego mowy ojczystej odrodzenia. — Ach! dajcież téj drogiéj ziemi, na któréj każda z was się rodziła, która was żywi i nosi, dajcież jéj ten dowód przywiązania. Łatwo wam przyjdzie na całe życie zabezpieczyć sobie słodką pociechę i chlubę. Proście usilnie rodziców, opiekunów waszych, niech was każą uczyć gruntownie po polsku. Modlitwy, wypisy, treści, dzienniki, listy, piosnki, niechaj będą w ojczystéj mowie. Z ojcem, z braćmi, z przyjaciołkami waszemi, mówcie po polsku; strzeżcie się pilnie mieszania słów i wyrażeń francuzkich. Nie wierzcie tym, którzy utrzymują, że w języku naszym wydać nie można drobnych i trafnych postrzeżeń, uczuć delikatnych, że nikt z niego języka towarzystwa, języka serca uczynić nie potrafi. Teraz kiedy jeszcze dla młodości waszéj w żadnéj mowie wysłowić się dokładnie nie umiecie, wprawiajcie się w ojczystą, a za lat kilka i ustnie i na piśmie czysto i gładko tłómaczyć się w niéj będziecie. Bo miałożby niebo dać Polkom tkliwość i dowcip, a nie użyczyć im mowy, w którejby te dary wyrazić mogły? Nie! tak niesprawiedliwém nie było! Pięknym, bogatym, słodkim jest nasz język; lecz ktokolwiek nim w młodości wzgardzi, przed tym on na zawsze skarby swoje zamyka; gdyż według słów mędrca: »*W jaką drogę młodzieniec się puści, takiéj choćby się starał, opuścić nie zdoła.*«

List Czwarty.

Wanda do Brata.

O mój kochany bracie! jakiemże szczególnem uczuciem Twój list i Twoja odezwa mnie przejęły! Strapiona żem Tobie przykrość sprawiła, żem Cię rozgniewała, zawstydzona wymówkami Twemi przekonana uwagami, zaczęłam od tego, żem się rozpłakała. Przyszła na to ciocia z wujaszkiem, i oboje zupełną słuszność Twoim słowom przyznali; moje zaś łzy pochwalili, za-

chęcając do jak najprędszéj poprawy. »Tak — mówił wujaszek — bardzo słusznie Zdzisław pisze, zostawione to jest wzrastającym dziewczętom upiększyć język polski i więcéj go upowszechniać. Ty Wando — dodał obracając się ku mnie — czytaj ten list i tę odezwę brata wszystkim młodym przyjaciołkom twoim, a co więcéj usłuchaj go sama; zobaczysz, że twój przykład, wiele ich za sobą pociągnie; bo mylne jest zdanie tych dziewcząt, które mówią: Cóż z tego, że ja będę mówić, czytać i pisać po polsku; cóż ja jedna pomogę, kiedy prawie wszystkie panienki mego wieku inaczéj czynią? Powtarzam, jeden dobry przykład czasem wiele sprawi; a wreszcie dająca go już ma to przekonanie, że się w niczém nie przyczynia do rozszerzenia złego. Słuchaj więc brata!« powiedział jeszcze wujaszek. — Dobrze odpowiedziałam, ale proszę mnie nauczyć, jak się mam wziąść do spełnienia jego woli. Jaćbym bardzo chciała umieć dobrze po polsku, ale niewiem jak zrobić? — »Zapytaj się Zdzisława — ja mu niechcę odbierać chluby jemu należnéj; niech on tobą kieruje, jemu samemu bądź winna twoje nawrócenie; ja podejmuję się tylko poprawiać listy do niego; bo pocóż go martwić tą francuzką polszczyzną? i pocóż ty masz się wprawiać w tak nieznośny sposób pisania?« Tak uczynił dobry wujaszek; ja napisałam ten list do Ciebie moim sposobem. Wujaszek czytając go i śmiał się i gniewał. Jak go zaczął poprawiać, tak wszystko prawie przemazał, ledwie kilka słów moich zostało. Ale to mnie wcale nie zniechęca, chcę szczerze nauczyć się dobrze po polsku, chcę jak mówisz przyczynić się do chwały kraju mojego; ta myśl napełnia mnie nawet słodką i szlachetną dumą i podnosi mnie w własnych oczach! chcę także godną Ciebie okazać się siostrą... Ty, bracie, nie opuszczaj mnie, dokończ tego coś zaczął; napisz mi dokładnie, jak sobie mam teraz postępować. Już na chęci nie zbywa, ale jeszcze sposobności niema. Jakże szczęśliwą będę, gdy późniéj sama bez niczyjéj pomocy list do Ciebie prawdziwie po polsku napiszę: bo i ten dodatek wujaszek poprawiał.

List Piąty.

Zdzisław do Siostry.

Luba Wando! otóż teraz Cię kocham, otóż teraz się szczycę, żeś jest siostrą moją. Radbym Cię uściskał, za ten dowód przywiązania do narodowości i do brata, żałuję żem się mógł gniewać na Ciebie, żem był łez Twoich przyczyną.., Pocieszam się jedynie myślą, że ten gniew i te łzy na dobre Ci wyjdą. — I Ty i wujaszek chcecie oboje, bym dokonał zaczętego dzieła i wskazał Ci sposoby poprawienia się z szkodliwego nałogu. Pochlebia mi ta chęć wasza; ale podobnobym jéj sam zadosyć uczynić nie potrafił; młodym będąc, mało mam nauki, mniéj jeszcze doświad-

czenia. Ale właśnie jak gdyby na szczęście zrobiłem przed kilkoma miesiącami znajomość, która nam teraz wielce się przyda. Poznałem osobę dwudziestokilkoletnią, posiadającą język francuzki prawie tak dobrze, jak wszystkie lepiéj wychowane Polki, a przytém mówiącą i piszącą po polsku, jak nie wiele kobiet w naszym kraju. Ten jéj przymiot ponętą był dla mnie; starałem się widywać ją często, rozmawiać z nią, bywać w jéj domu, i doszło do tego, że mnie uważa jak brata. Gdym więc odebrał list Twój ostatni, przyszło mi na myśl zasięgnąć jej rady nim Ci odpiszę; i zapytać się jéj, jakim sposobem wśród powszechnéj prawie zarazy, potrafiła jéj uniknąć? Chcąc ufnością na jéj zaufanie zasłużyć, poniósłem jéj listy Twoje. Wysłuchała mnie z uwagą; gdym skończył: »Szczęśliwa siostra twoja — zawołała — że w tak młodym wieku do téj poprawy się bierze; nierównie jéj łatwiéj przyjdzie, aniżeli mnie; ja siedmnaście lat już miałam, a jeszcze mowa ojczysta była mi prawie obcą; uwiedziona niemal powszechnym przykładem, przyzwyczajona od dzieciństwa uczyć się wszystkiego w francuzkim języku, wzrosłam w tém przekonaniu, że niepodobną jest rzeczą dla kobiety napisać list, lub cokolwiek bądź innego po polsku. Do tych lat więc francuzka mowa była jakby rodowitą dla mnie, nie umiałam w ojczystéj kilku słów gładko skleić, a jednak dziś uleczona z tego przesądu, jeśli zupełnie dobrze nie mówię i nie piszę, nie mam przynajmniéj powodu do wstydzenia się za moję polszczyznę.« Gdym to usłyszał, błagałem jéj usilnie, żeby mi raczyła powiedzieć, jakim sposobem ta cudowna przemiana w niéj się stała? jak nabyła téj potrzebnéj znajomości? — Odpowiedź jéj dosłownie tu wypiszę. — »W »Pamiętniku Warszawskim«, niepamiętam dobrze z którego roku, (mówiła) była piękna za językiem polskim przemowa: tak do mojéj duszy trafiła, żem nagłe w sobie uczuła wzruszenie, a razem wstyd i żal niezmierny, iż dotąd tak mało dbałam o ojczystą mowę. Natychmiast umyśliłam się poprawić, nie zrażać się bynajmniéj trudnościami, i niezmęczoną pracą czas stracony odzyskać, błąd popełniony nagrodzić. Naprzód zastanawiałam się nad sposobami poprawy, i taki był owoc uwag moich. Mając głowę napełnioną francuzczyzną, uznałam, że wypadało koniecznie zaniechać zupełnie na czas jakiś czytania francuzkich ksiąg i zająć się jedynie polskiemi, ażeby zapomnieć cokolwiek trybu obcéj mowy, i przejąć się prawdziwym narodowéj tokiem. Czytałam więc pilnie klasycznych pisarzy naszych. Chcąc potém wziąść się do pióra (boć i pisać dobrze każdéj lepiéj wychowanéj kobiecie przystoi) wyrzekłam się wszelkich tłomaczeń, gdyż się przekonałam, że przekładać z francuzkiego na polskie tym jedynie wypada, którzy są w mowie ojczystéj ugruntowani; inaczéj przejmują nieznacznie składnią słów francuzką, a ta jest zupełnie naszéj przeciwna. Dla nabycia niejakiéj w pisaniu wprawy, tego użyłam sposobu. Wzięłam

Krasickiego tak śliczne i moralne dzieła prozą pisane; zaczęłam od powieści jego; wybrałam krótką; oto jak dziś pamiętam, tę, która *Powieści Arabskiéj* tytuł unosi; przeczytałam ją kilka razy z uwagą, a potém zamknąwszy książkę, napisałam całą z pamięci. Tak uczyniłam z innemi Krasickiego powieściami, z uwagami jego. i gdym prawie wszystkie przeszła, znacznéj biegłości w pisaniu polskiém nabyłam. Wtedy smakując codzień więcéj w rzeczach ojczystych, zapragnęłam nauczyć się dokładnie dziejów kraju mojego. Wyszły też właśnie wtenczas szacowne *Śpiewy historyczne;* ich czytanie podwoiło tę chęć we mnie; wzięłam Albertrandego, Bandtkiego, Naruszewicza, póki go starczyło; czytałam w każdym z tych opis jednego panowania, lub pewnéj epoki; a potém zebrawszy w jedno te rozrzucone tu i owdzie wiadomości, pisałam treść ich z pamięci. Było pracy i gryzmołów dosyć, ale to ćwiczenie wyuczyło mnie dobrze dziejów Polskich, i wprawiło w styl czystszy. — Wtedy wzięłam się do tłomaczeń, ale więcéj tłomaczyłam z niemieckiego, niżeli z francuzkiego języka. Wszystkie te zaś piśmidła poprawiała mi osoba znająca doskonale gramatykę Kopczyńskiego. Nie wyszło trzech lat, kiedym tyle nabyła biegłości w mowie ojczystéj, ile jéj mieć koniecznie każdéj prawdziwéj Polce należy. Odtąd język francuzki jest tylko u mnie posiłkowym językiem; czytam w nim piękniejsze dzieła, mówię i piszę kiedy do tego przymuszoną jestem, ale mowa ojczysta jest główną, zwyczajną i ulubioną mową moją; i to jéj zamiłowanie tyle mi przyjemności sprawia, tak nawet zaspakaja sumienie, że wszystkim znajomym tę poprawę zalecam, i prawdziwie szczęśliwą jestem, gdy mi się którą nawrócić uda. Do siostry twojéj — dodała uprzejmie — już wielką skłonność czuję, i zawczasu proszę, ażebyś mnie o jéj postępach uwiadomił.« — Jakież bym Ci mógł, droga Wando, lepsze rady przesłać nad te słowa przykładem stwierdzone? zapewne i wujaszkowi się spodobają. Słuchaj ich więc; weź się do czytania polskich książek; przez te kilka lat zwiększyła się znacznie ich liczba; weź się do pisania; zacznij także od *Powieści Arabskiéj* Krasickiego; jest w Tomie szóstym na karcie 88., wydania Dmochowskiego. Zgromadź polskich dziejopisów; będziesz mogła łatwo mieć zbiór nierównie znaczniejszy, gdyż w tych czasach co rok pomnażają się skarby nasze historyczne. A nadewszystko pracuj usilnie; nie myśl po francuzku chcąc po polsku pisać; proś kochanego wujaszka, żeby Ci poprawiał prace Twoje, a nie wątpię, że jeszcze i pomyślniejszy skutek Twoje usiłowania uwieńczy: bo wszyscy mówią, że im kto młodszy, tém mu łatwiejsze każde przeistoczenie. Pracuj więc luba siostro, naucz się dobrze pisać po polsku, a uradujesz Twojego

Brata.

List Ostatni.

Wanda do Brata.

Twój list ostatni kochany bracie, czytałam już trzy razy, a zawsze z nową radością; już teraz ani wątpię, że i ja kiedyś nauczę się dobrze po polsku. Kiedyć w siedmnastu leciech, można nabyć téj wiadomości, w dwunastu jeszcze łatwiéj do niéj się wprawić. Słuchać będę ślepo i z największą przyjemnością Twojéj i téj osoby rady. Tak mam głowę tą przemianą zajętą, że mi się aż dzisiaj coś o niéj śniło. Zaraz jutro wezmę się do żądanéj pracy, a przez cały dzień dzisiejszy same przygotowania robię. Już mam zeszyt na powieści Krasickiego, już tom szósty pism jego wyjęty z biblioteki, *Powieść Arabska* papierkiem naznaczona; już mam Niemcewicza, Faleńskiego, Miklaszewskiego, Wagę, z dodatkami Lelewela, całą librę papieru na gryzmoły i śliczną książkę ponsową od cioci do przepisywania treści na czysto. Może ja kiedy tę historyą do druku podam? bo to będzie moja własna robota, i zupełnie nowa. Wujaszek obiecał mi dostarczyć jeszcze więcéj historyków polskich; obiecał także święcie poprawiać, cokolwiek napiszę; a jak jego nie będzie w domu, to poproszę nauczyciela moich kuzynów. Nieuwierzysz, kochany bracie, jak jestem szczęśliwa, jak się cieszę z tych nauk. Szkoda, że Krzemieniec tak daleko, posyłałabym Ci kopie tego wszystkiego, co pisać będę. Ale nie, nie poślę żadnéj, prędzéj do nas przyjedziesz. A wtenczas z jakąż dumą stanę przed Tobą. Jaka to będzie radość popisywać się z tak potrzebną i chwalebną umiejętnością przed tym, któremu ją winna będę. Bywaj zdrów, kochany, jedyny, drogi bracie, kłaniaj się odemnie téj osobie, i podziękuj, że się mną interesować raczy. Może to będzie nie pięknie, ale mnie się zdaje, że ją prześcignę; i prędzéj jak we trzech leciech lepiéj od niéj pisać i mówić będę po polsku. Już w tym liście wujaszek cokolwiek mniéj błędów znalazł: bo téż w tym czasie przeczytałam kilka książek polskich. Bywaj zdrów, i pewny o przywiązaniu i wdzięczności Twojéj *Siostry.*

O Języku Polskim.

Przez Jana Śniadeckiego. Wilno 1818.

Język polski godziż się dziś uważać w swém niemowlęctwie, i w tym stanie nieokrzesania i dziczyzny, jakby w nim ani rzeczy oddawna znane, dobrze nazwane nie były, ani nazwiska i wyrazy wymawiane i pisane właściwie? Oto pierwsze zapytanie, którem sobie zrobił biorąc się do pisania w tym języku. Kiedy naród cały, rozciągający się niegdyś od Elby aż za Dniepr, od gór karpackich aż ku brzegom morza baltyckiego, mówił od swego początku tym językiem, kiedy przez kilka wie-

ków odbywał w nim swoje obrady publiczne, roztrząsał najzawilsze rządowe rzeczy i sprawy, ważył stosunki z krajami zagranicznemi, stanowił i pisał w nim prawa: kiedy w tym języku ma przełożoną biblią i najszacowniejsze dzieła starożytnych i dzisiejszych narodów europejskich; kiedy tyle posiada rozlicznych wiadomości i nauk w tym języku ogłoszonych, kiedy wydał tylu prawdziwych i wielkich poetów, a w prozie po Reju z Nagłowic, Stanisławie Orzechowskim, Łukaszu Górnickim, Piotrze Skardze, Kazimierzu Kojałowiczu, miał jeszcze znakomitych pisarzy w Ignacym Krasickim, Adamie Naruszewiczu, Franciszku Dmochowskim, Hugonie Kołłątaju, Grzegorzu Piramowiczu, Onufrym Kopczyńskim, nie wspominając tylu innych dotąd żyjących: język tylu pracami od trzech wieków zbogacony, tylu pięknościami i zaszczytami świetniejący, nie może się uważać w stanie dzieciństwa i niedojrzałości. Wszystko więc, co było dawno znane, musi mieć swoje nazwisko, które potrzeba tylko w tym języku wyszukiwać i wydobywać z zamieszania a na rzeczy dawno wiadome nowych słów i nazwisk stwarzać się nie godzi. Nie godzi się też słów i wyrazów znanych i powszechnie przyjętych wykrzywiać, przerabiać, i odmieniać. Bo jeżeli chlubimy się z tego, czego inne europejskie narody za sobą nie mają: że rozumiemy wszyscy język wieku Zygmuntów, starać się powinniśmy, aby ci ojcowie mowy naszéj, gdyby wyszli z swych grobów, w rzeczach sobie znanych, mogli nas wzajemnie rozumieć. I na tém zdaje mi się polega stałość, ocalenie i zachowanie narodowego języka. Język nie jest strojem kobiecym wystawionym na dziwactwa mody, i wymysły przymilenia, któreby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać, żeby go potém porzucić i zaniechać. Jest to owszém ustawa, wskazana przez towarzyską potrzebę, wyrabiana wiekami ze skłonności, obyczajów, i charakteru narodu, doskonalona postrzeżeniami i talentem znakomitych ludzi, a utwierdzona zgodném przyjęciem i powszechném całego ludu używaniem. Tak ustanowiony język jest znamieniem rozróżniającém od siebie narody i ich pokolenia tak, jak imiona, nazwiska, herby i przydomki rozróżniają osoby i familie w towarzystwie. Jeżeli więc każdy obraża się i oburza, kiedy kto jego nazwisko przekręca i kaleczy, albo co w jego znakach i herbie odmienia: z równą słusznością urażać się powinien naród, kiedy kto ośmiela się przerabiać i odmieniać jego język i wyrazy od dawna i powszechnie przyjęte. Dla tego taki krok nieuwagi, niewiem czy źle, czy dobrze, brałem zawsze za winę obrażonego narodu. Wszystkie oświecone Europy kraje tkliwe są na podobne wykroczenia, i przebaczać im nie zwykły. Wiemy na jak skrzętne szpiegowania, na jak uszczypliwe wyrzuty i szyderstwa wystawiona była akademia francuzka w Paryżu trudniąca się doskonaleniem języka, ilekolwiek razy chciała się odważyć na jaką w języku lub jego wyrazie odmianę. Naród, który

wydał tylu wielkich pisarzy, uważał swój język, jak ową Arkę świętą, której nie godziło się dotykać, tylko uprzywilejowanym, to jest nadzwyczajnym talentem udarowanym ludziom. Wszystkich fabrykantów nowych słów i odmian, okrywano obelgą i szyderstwem, i ogłaszano jako nieumiejących języka. I lubo w tym narodzie do przesady skłonnym, często zbyt daleko posuwano tę żarliwość, wszelako ostrość ta i surowość miała swoje pobudki w miłości własnéj, i w dumie narodowéj. Język jest skazówką stopnia, do którego przyszedł naród w cywilizacyi i oświeceniu. Jeżeli język jest ciemny, nieokrzesany, ubogi w wyrazy na znaczenie rzeczy, myśli, i namiętności w rozmaitych ich cieniach, przemianach i stopniach; jeżeli prawidła jego nazywania, wymawiania, i pisania, nie są ustanowione i dobrze oznaczone, naród nie wyszedł jeszcze z dziczyzny, ani do rzędu oświeconych i ucywilizowanych ludów nie ma prawa należeć. My Polacy na cóż się chlubimy wiekami Zygmuntów i Stanisława Augusta? na co stawiamy na naszę chwałę tyle dzieł wzorowych w różnym rodzaju nauk i wiadomości? na co w tych dziełach wychwalamy tyle zaszczytów dowcipu i umiejętności? na co uwielbiamy języka naszego jasność, bogactwo, i dzielność? jeżeli w XIX. wieku pozwalamy twierdzić i drukiem ogłaszać potrzebę przerabiania nazwisk, sposobu ich inaczéj wymawiania i pisania, w rzecach i myślach potocznych? Cóż nam po prawidłach gramatycznych przez *Kopczyńskiego* tak pracowicie wyszukanych, tak umiejętnie i gruntownie dowiedzionych, jeżeli ich nie mamy słuchać i zachowywać w pisaniu? Na co się zda ogrom tak potrzebnych, tak nieocenionych mozołów *Lindego* w jego słowniku na to sporządzonym, aby nas obeznać z rzetelném znaczeniem, i wdrożyć we właściwe użycie słów i wyrazów? Na co się, mówię, zda tak ważna robota, jeżeli się otworzyła nowa i bogata mina geniuszów, reformatorów, i fabrykantów słów, którzy depcząc wszystkę powagę wielkich pisarzy podają się i ogłaszają za doktorów narodu? Takiem sobie w boleśnem wzruszeniu porobił pytania, kiedy mi wpadły w ręce książki i pisma, w których jak gdyby w szpitalu chromych i kalek, wyrazy prawdziwie polskie i czyste, zmienione, powykręcane, i, jak na łożu tyrańskiem *Prokusta*, obcięte i podręczone; inne znowu bez żadnéj potrzeby niezgrabnie potworzone i polepione!

Miły Boże! rzekłem sobie w gorzkiém westchnieniu: trzebaż było jeszcze téj ostatniéj klęski na nieszczęśliwy i tylą dolegliwościami trapiony naród, żeby nawet mowę ojczystą, ten jedyny zabytek jego chwały, grzebać i niszczyć? Trzeba, żeby w stolicy przemawiano i pisano językiem, którego już szczery Polak zaczyna nie rozumieć? W innych krajach ludzie bardzo długo są uczniami wielkich pisarzy, pracowitego ćwiczenia, i głębokiego rozmyślania; u nas każdy zaraz chce bydź nauczycie-

lem, reformatorem i prawodawcą! Zginęliśmy anarchią polityczną: mamyż się jeszcze gubić na języku, smaku, i rozsądku anarchią literacką? Geniusz polski jestże to twór złożony z pierwiastków nieładu i dziwactwa? kiedy czego się tylko dotknie, wszystko miesza, burzy, i wywraca, własnéj nawet mowie nie przepuszczając?

O Języku Ojczystym.

Przez Karola Libelta.

Miłą jest obca mowa, lecz milszą sto razy,
W któréj, pierwszém na świecie wymówił wyrazy,
Drogą mi ona będzie, a gdy śmierć w mym progu
Zawita, — ojczystą mową polecę się Bogu!
Z rękopisu X. T. B.

Narodowość jest sercem, język jest krwią ojczyste ciało narodu opływającą. Jak w ustroju człowieczym w sercu odżywia się krew, i rozpływa na weny i arterye, tak w narodowości wśród narodu odżywia się język i okrąża olbrzymie cielsko narodowe, do ostatnich niedojrzanych sięgając i wciskając się kończyn, i wraca z nich znowu do narodowości. Język książkowy i uczony, jest jak krew arteryi barwistsza, jaśniejsza; język powszedni narodu, jest jak krew żył żywotnich, ciemniejsza. Język poezyi i język prozy, jest jak krew kobieca lżejsza, z mniejszym zasobem cząstek żelaznych, i jak krew męska cięższa; tamta urabia wdzięki, ta siłę i wolę. — Wytocz z człowieka krew, a ubiegnie z nią i życie jego: — wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki język jego żyje; bez języka narodowego nie ma narodu.

Do języka staczają się wszystkie duchowe potęgi narodu, wszystkie jego myśli i uczucia. Po języku, jak po odsadzonych warsztwach ziemi poznasz wiek i żywot narodu; poznasz jego charakter, jego stopień oświaty, odgadniesz nawet jego przeznaczenie i jego losy przyszłe. Zarody wielkości narodu już pierwotnie w jego języku złożone być muszą. Psychologia języków — nietknięte dotąd pole badań, — ciekawe nader przyniosłaby w téj mierze wypadki. Chcesz poznać stan zdrowia, lub choroby narodu, przyłóż palce tam, gdzie tętno języka bije, a poznasz stan gorączki, agonii, lub niebezpieczeństwa. Chcesz je odwrócić, działaj na tę krew narodową, napraw soki pożywne, z których się rozwija, wydal z niéj cudzoziemczyznę, wychowaniu daj kierunek narodowy, Tak sobie poczęła sławna w dziejach naszych komisya edukacyjna. Atoli środek zapóźno już był użyty. Niemoc zanadto już rozmogła się w narodzie, i życia jego politycznego już nie można było uratować. Ks. Onufry Kopczyński, Pijar — ten nieśmiertelny Kopczyński, czuł całą duszą swoją,

ile na zamiłowaniu i kształceniu języka narodowego zależy. »Kochany narodzie! powiada *), przedsiębierzesz razem ze mną poznanie ojczystego języka, i jako tłumacza myśli twoich, i jako wiecznéj imienia twego pamiątki. Losy bytu naszego bardzo go chylą ku zgubie, i język też za sobą ciągną. Jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegoż się nie lękać od spojenia? O żądzo narodowéj sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z geograficznéj karty dwa te najsławniejsze narody, a imię ich w porządku historyi politycznéj i moralnéj, błyszczy przed wszystkiemi. Cóż im tę sławę zjednało? Język. Język pełen umiejętności, pełen wdzięku, pełen mocy, malujący najbliżéj i najjaśniéj najskrytsze rozumu i serca ludzkiego tajniki. Języki są kluczem nauk, kluczem języków są gramatyki. Zaczém i dla korzyści doczesnéj, i dla nieśmiertelnéj imienia polskiego sławy, malujmy prawdziwy obraz naszego języka.« Póty ks. Kopczyński. Słowa jego rzewne idą od serca i do serca trafiają. Iluż to przecie takich, co je odczytało? Długo były to słowa wołającego na puszczy. Sam autor pierwszéj gramatyki polskiéj, tak był przesądami wieku swego zniechęcony, że dzieła swego nie odważył się puścić za życia swego na świat, i gdy mu 30. Listopada 1816. hr. Stanisław Potocki, minister oświecenia, oddawał medal złoty, imieniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, rzekł starzec w przeczuciu bliskiéj śmierci: »Kilka już lat spoczywa i dojrzewa to dzieło, ale literatów burza nie pozwala nowéj téj gramatyce ruszyć się z portu: może po mojém utonieniu w wieczności, na spokojniejsze puści się fale.«

Zaprawdę z rozbitéj nawy narodowéj, na jednéj łodzi języka naszego możemy się ratować. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki. Powinna ona nam być tak droga, jak drogą była pierwszym chrześcianom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikom do grobu z napisem: pro Christo. Podobna zasługa jest uprawiaczy i kształcicieli języka narodowego, i dzieła ich w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: pro patria. A ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewagieliczne; ci zaś, co pogardzają i poniewierają nim, a nawet zatracają go w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwéj wiary przelewali — a stokroć bardziéj zaślepieni niż tamci, bo na sobie i na własném potomstwie dokonywają tego prześladowania.

Idź do innych narodów, czy co podobnego usłyszysz, aby

*) Wstęp do Gramatyki polskiéj. Dzieło pozgonne w Warszawie 1817. r.

się krajowcy między sobą obcym językiem porozumiewali, z wyraźném lekceważeniem własnego? I owszém największą dumą narodową Francuza i Anglika i Niemca jest jego język, którym się poszczyca, jako najwyższym utworem narodowego ducha.

Bo zajrzyjmy głębiéj, co jest język? — Gdy dziecię się z jego wiadomością nie rodzi, musi być język utworem narodu, osobny szczep, lub pokolenie stanowiącego. Siła twórcza ducha człowieczego, najprzód się w tém objawia, że głos swój na wyrazy urabia, któremi myśl swoję wewnętrzną do zrozumienia oddaje. Wszystkie więc przyrodzone zdolności jednoplemieńców w tę siłę tworczą, i do tego pierwszego dzieła duchowego zlewają się, i język odblaskiem być musi ich wyobrażeń, ich myśli i uczuć, ich pojęć, ich całéj potęgi ducha. Wszystkie geniusze z tego plemienia dały dań językowi swemu; jasne błyskawice ich ducha jaśnieją ich ogniem w języku. Cokolwiek naród miał wielkiego, to w języku złożył. I ztąd to taka głęboka w nim mądrość, taka logiczność, taka filozofia, że człowiek zdumiewa się nad nią, i prawieby sądzić był skory, że sam Bóg języka człowieka nauczył.

Za prawdę, że nie kto inny, tylko Bóg był tu nauczycielem, ale Bóg duchem swoim w duchu narodu jednoszczepowego objawiający się. I tém to dziełem najszczytniejszém, tą mądrością czysto narodową, tą puścizną po talentach i geniuszach wszystkich wieków istnienia narodu twojego, — ty śmiesz pogardzać, albo nie mieć obowiązku uszanować ten skarb ducha? Już Kopczyński, zkąd inąd tak łagodny, zżymał się na ten rokosz krajowców, przeciw językowi narodowemu podniesiony: »Nad ten gruby przesąd — powiada — że urodzony Polak po polsku i bez gramatyki umieć musi, jest jeszcze szkodliwsze mniemanie: że mowa nasza nie zasługuje nawet na imię języka, ponieważ jest grubą, ubogą i nieprawidłową. Co za gramatyczne bluźnierstwo! co za dziecinna niewiadomość ojczystych rzeczy! Któż cię to uzuchwalił, taki wyrok zmyślić, i ogłosić? wyrok, który jest największą tamą doskonalenia u rodaków języka i utwierdzeniem cudzoziemskiego o nim przesądu? Jak się godzi nieznajomą sądzić sprawę? Jak przystoi tak okrutny na sławę narodu wydawać wyrok? dla którego znakomitsze w kraju osoby przez pogardę własnego, wolą mówić i pisać językiem cudzoziemskim?« — Nareszcie prawie z rozpaczą dodaje: — »Kto te szkodliwe przesądy, kto te ochydne mniemania przełamie i wykorzeni? Kto wysoką zacność mowy naszéj okaże?«

Ciesz się szanowny cieniu! przełamane, choć nie wykorzenione zostały te ochydne przesądy i mniemania.

Twoim przykładem, Kopczyński, choć późno zachęceni rodacy, poznanie gramatyczne i filozoficzne języka narodowego wezmą sobie na najświętszy narodowy obowiązek i wstyd ich będzie znać obce języki, a własnego umiejętnie nie poznać. Bo

prawdą jest, że ile kto języków posiada, tylekroć zmnożył w sobie człowieka, ale nierównie jest jawniejszą prawdą, że kto przytém własnego nie posiada, tylekroć upodlił w sobie rodaka.

O bracia! obrzmiani wciąż tonami mowy ojczystéj, nie czujecie słodyczy jéj brzmienia, co wnika i przenika w głąb duszy. Ale oddalcie się naczas w obce kraje, pożyjcie między cudzoziemcami, zachowując serce prawe i nieskażone, a zatęschni dusza wasza do tych głosów duszy waszéj pamiętnych, co się niegdyś o niemowlęce uszy wasze z pieszczotliwych ust matki odbijały, co potém same z piersi waszéj dziecięcéj płynęły, co późniéj ogień i zapał młodzieńczego ducha waszego nieciły. O! jest tyle wspomnień czułych i świętych w pamięci naszéj, które wszystkie głos rodzinny w głębiach wnętrza obrzmiewa, że gdy żal duszę ogarnie, te brzmienia odzywają się, jak dzwony pogrzebowe za minionemi laty, w których się żyło między swymi, a żyło się środkiem mowy ojczystéj. A komu Bóg da wrócić w swoje strony, jaka radość ogarnie ducha, gdy rodzinne powietrze, już w granicach ojczyzny, zabrzmi dźwiękiem dawno upragnionym narodowego języka. Nie posiądzie się z radości, nie wstrzyma się, by nie wymienił słów kilku z przechodniem, co mimo idąc, Pana Boga pochwalił; by przeciągłą rozmową, ożywioną najwyższym interesem w rzeczach najpotoczniejszych, nie gasił tego pragnienia stęschnionéj duszy.

O Czytaniu.

Przez Klem. z Tańskich Hoffmanową.

Nie czytaj tych ksiąg, z których gadać śmiele,
Ale te, z których czynić można wiele.

Karpiński.

Nic więcéj nie uczy, nie oświeca, jak czytanie; gust do niego dobrze prowadzony, czasem edukacyi miejsce zastąpić może; dobra książka żywiołem jest duszy, ozdabia serce i umysł, zatrudniając nas przyjemnie. Jak wydoskonalenie sztuki żeglarskiéj ułatwiło handel, i połączyło niejako wszystkie części ziemi, bogacąc jednę skarbami drugiéj: tak wynalezienie druku ułatwiło handel rozumu, spoiło wieki, udzielając współczesnym i potomnym myśli, zdań, i umiejętności pisarzy i mędrców, dawnych i teraźniejszych czasów. Ty, luba Amelio! umiéj cenić ten drogi wynalazek, korzystaj z tego najpewniejszego sposobu ozdobienia umysłu, ale nie nadużyj go nigdy. Bądź baczną i ostróżną w wyborze czytania. Kobieta chcąca dopełnić powołania swego, nie ma zbyt wiele czasu do poświęcenia go księgom, umysł jéj słabszy, serce czulsze od męzkiego, zdolniejszą ją czynią do przyjęcia fałszywych zdań, do uwierzenia zbyt wygórowanym uczuciom; powinna więc jedynie czytać takie książki, któreby podniosły jéj duszę, ukształcily serce, i rozumowi no-

wego i prawdziwego przydały światła. Nie wypada jéj także nigdy czytać bardzo wiele. Zbytek w téj mierze jest naganny, obarcza umysł, i szkodę zamiast korzyści przynosi. Wrzuć zanadto najlepszego nasienia w najżyzniejszą ziemię, a nędzną i nietrwałą wypuści trawkę; używaj zanadto najzdrowszych pokarmów, osłabią ciało, i trucizną mu się staną. Lepiéj daleko mało znać dzieł, a gruntownie, niż wiele a nawiasem. Woli każdy pszczółkę od motyla. Pszczółka długo spoczywa na jednéj róży, motyl przelata z kwiatka na kwiatek; motyla zabiegi jak były bez celu, tak są bez użytku, pszczółka z miodem do ula powraca. Czytaj więc mało, Amelio! i same dobrane książki. Zastanów się z uwagą nad każdém dziełem, wypisz z niego niektóre wyjątki, wyciągnij treść, a odkrywszy prawdziwy cel autora, przejąwszy się jego duchem, przeniosłszy się myślą do wieku i narodu, w którym pisał, daj zdanie swoje o jego pracy. Miło czytać z kim starszym, i ze zdaniem jego swoje porównywać; miło także w lat kilka odczytawszy toż samo dzieło, przyczyny sądu, teraźniejszego z dawnemi mniemaniami rozbierać; postęp rozumu, światła, inny sposób widzenia rzeczy, w późniejszym wieku przyjemnie zastanawia.

Wiek twój młodociany, jest właśnie wiekiem, w którym najwięcéj czytać i trzeba i można. Nigdy więcéj zdatności, pojęcia, ochoty i czasu mieć nie będziesz.

Każda młoda panienka, starownie wychowana, w piętnastym roku dostatecznie we wszystkich naukach kobiecych wyćwiczoną być powinna, i do jednych tylko talentów mieć jeszcze metrów. Do ośmnastu lat, nie bywając na licznych zgromadzeniach, wszystkie chwile wolne od ręcznych robót, domowych zatrudnień, i ćwiczenia się w talentach, czytaniu poświęcić może. Dusza jéj zupełnie czysta, serce wolne i niewinne, umysł niczem niezaprzątniony i nieskołatany, najzdolniejszą ją czynią do korzystania z dzieł wyborowych. Korzystaj więc z téj pory, Amelio! czytaniem dokończ sama swojéj edukacyi. Gdyby mi niebo dłuższych dni użyczyło, byłabym ci przewodniczką w téj umysłowéj podróży, bo nikt nad matkę nie zna lepiéj, czego dziecięciu potrzeba? jak ma światła nabierać, jakie mu przystoi, a jakie na późniejsze odsyłać lata? Lecz kiedy odmówiona mi ta pociecha, w krótkich słowach udzielę ci przynajmniéj ogólnych rad moich w téj mierze! Ich niedostateczność ojciec twój zastąpi.

Piękność duszy najrzetelniejszą, najdroższą jest pięknością; ćwiczenie się w Religii i cnocie, najpierwszą i najpotrzebniejszą nauką; książki pomagające do ziszczenia tego ważnego celu, najpierwéj ci zalecam. Jak wyżéj mówiłam, co dzień przynajmniéj pół godziny poświęć pism religijnych czytaniu. Wybieraj te, w których jaśnieje czysta i prawdziwa moralność świętéj ewanielii, przyozdobią one duszę twoję, ułatwią ci drogę cnoty, ulgę przyniosą w cierpieniu. Po tych dziełach najwięcéj łóż pra-

cy, na gruntowne poznanie literatury ojczystéj: zgłębiaj historyą narodową, zwyczaje, charakter współziomków. Jakież księgi więcéj Polkę zajmować mogą, nad te, które ją uczą, czém były jéj pradziady, czém była i być jeszcze może ta droga ziemia, na któréj i ona wzrosła, w któréj kiedyś spoczywać będzie? Powszechne słychać narzekania, iż mało jest dzieł polskich: może mniéj jeszcze młodych kobiet zna je wszystkie. Zajęte płodami obcéj literatury znają dokładnie miernych nawet francuzkich, niemieckich pisarzy, a są takie, które wyboru swoich nie czytały! Czytaj pilnie księgi historyczne, piękniejsze poemata, sławniejsze sztuki teatralne, niektóre opisy podróży, i te dzieła moralne, które przy zabawie, rzetelny niosą pożytek. Ale pókiś jeszcze tak młoda, i bez doświadczenia, chroń się tych autorów, którzy zdaje się, iż jedynie rozrywkę czytelników za cel pracy swojéj przyjęli. Wiem, iż niektórzy godni są uwielbienia, że wielu z nich pod skromnym tytułem powieści, romansów, wysokie prawdy, trafny obraz społeczeństwa udzielać umieli. Lecz zostaw ich poznanie na późniejsze lata, na ten wiek, kiedy człowiek zbogacony doświadczeniem, wzmocniony rozsądkiem, własnym oczom, własnemu tylko wierzy przekonaniu, i łatwo rozróżnić może bajki od prawdy, zmyślone urojenia, od zdań sprawiedliwych. Romanse, nieszczęściem! wielu młodych kobiet ulubioném są czytaniem, a nic bardziéj ich serca, rozumu, a nawet i szczęścia nie psuje. Zataić tego nie można, iż podobne książki każdego bawią, a opisując ludzi doskonałych, mężczyzn wiernych, czułych, na miłości zasadzając całe szczęście niewiasty, koniecznie młodéj osobie podobać się muszą. Ale jakże nieszczęśliwą jest ta, co w nie wierzy, która sobie wystawia świat i ludzi takiemi, jak one ich malują! Nie ma romansu zupełnie naturalnego i prawdziwego. Nikt nie zna nikogo równego w doskonałości ich bohaterom i bohaterkom. Kiedy późniéj poszedłszy za mąż, i nabywszy więcéj rozsądku i doświadczenia, czytać będziesz podobne książki, przekonasz się sama, Amelio, że w najnaturalniejszym romansie, są jeszcze rzeczy przesadzone, i przytaczane jedynie dla powiększenia ciekawości czytelnika; lub przedłużenia książki. Wtedy położysz je w rzędzie prawd, jakiemi są wszystkie powieści o wróżkach i jeniuszach, któremi bawią łatwowierny wiek dziecinny, i mieszkańców wschodu.

Ale ileż to kobiet wierzy ślepo w romanse? w jakże wielu rozwinęły wygórowaną czułość, obudziły chęć wzniecenia takich uczuć, doznania podobnychże wypadków? Ileż znam niewiast, które omamione temi baśniami nie są kontente ani z ludzi, ani z przeznaczenia swego; wzdychają do urojonego szczęścia, przejmują się fałszywemi zdaniami, nabywają wygórowanych sentymentów, a stając się obywatelkami zmyślonego świata, są dla naszego stracone.

Oprócz nigdy i niczém niepowetowanéj szkody, jaką kobie-

tom romanse co do szczęścia i moralności czynią: najrozsądniejszym, do oświaty są zawadą. Gdyby ich nie było, kobiety więcejby istotnie potrzebnych ksiąg i pisały i czytały. Jedna z największych korzyści, jakieby przyniosło u nas zarzucenie wszelkiéj obcéj mowy, byłaby i ta, żeby nie mogły niewiasty tyle czytać romansów.

Bądź pamiętna na spokojność swoję, Amelio! a umiejąc cenić drogo każdą chwilę czasu, znając ile jest dzieł pięknych i zabawnych prócz tych miłych, lecz niebezpiecznych bajek, przynajmniéj do dwudziestu lat, nie czytaj wcale romansów. — Późniéj możesz poznać piękniejsze, ale nigdy nie miéj w nich nadto upodobania, i niewierz im wcale. Bądź zawsze przekonana, że i piękność, i uczucia, i przypadki bohaterów romansowych, wszystko przesadzone i niepodobne do prawdy. — Nigdym wiele takowych książek nie czytała, i lubom w nie wierzyła, zbytnia moja czułość wiele uczuć wygórowanych jako naturalne sobie wystawiła; te kilkanaście, którem przebiegła, wiele się zapewne do mego nieszczęścia, do nadwerężenia zdrowia przyczyniły. Do śmierci powtarzać będę: że romanse nie wiele dobrego sprawić mogą, a dla umysłów ograniczonych, i serc zbyt czułych niezawodną są zgubą i trucizną. Ażeby się przeświadczyć jeszcze silniéj, córko moja, o niebezpieczeństwie wynikającém z ich czytania, przytoczę tu zdanie jednego z najznakomitszych pisarzy naszych. W krótkich słowach, więcéj prawd przekonywających umieścił, niż ja w poprzedniczych moich uwagach; — »Romanse, (mówi on) zamykając w sobie po większéj części fałszywe i idealne opisanie spraw ludzkich, powabném zmyśleniem zwodzą i bałamucą umysł, drażnią czułość, zapalają imaginacyą młodych osób; niczego pożytecznego nie uczą, bawią na chwilę, a na zawsze psują zdrowy rosądek, i trując niewinne uciechy wiosennego wieku, zostawują czczość w głowie, a obraz zmyślonych nieszczęść w sercu.«

Tą ostatnią macierzyńską przestrogą zakończę ten rozdział, i zaklinam cię córko moja! abyś jéj wiernie słuchała. Nie czytaj nigdy książek, religii, obyczajności, cnocie, skromności przeciwnych. — Pannom zabraniają ich rodzice i przełożeni, ale najmłodsze mężatki pozwalają sobie powszechnie czytać podobne dzieła. Nie naśladuj ich, Amelio! nigdy sobie zanadto nie ufaj. Cóż ztąd, że mieć będziesz męża, lat kilka więcéj, cokolwiek rozsądku i doświadczenia? przewrotne zdania z łudzącym wystawione wdziękiem, podkopać mogą najgruntowniejsze wiary, wstydu i cnoty zasady! i tysiączne mamy przykłady, że wiele niewiast w skutku podobnego czytania, utraciły szczęście tego a może i tamtego życia.

O Tłomaczeniach.

Z „Wieczorów Pielgrzyma.“ Przez S. Wittwickiego. Tom II. Str. 168.

Są ludzie albo tak nieszczęśliwi, albo tak o siebie niedbali, iż zaciągnąwszy się w nałóg ustawicznéj pożyczki i jałmużny, żyją ciągle o cudzém, i ani myślą wyjść z tego położenia mimo wszelkich do niego przywiązanych przykrości. Między takimi biedakami, a naszą literaturą było przez długi czas podobieństwo: dziś nawet niezupełnie zniknęło.

Od końca mianowicie przeszłego wieku pisarze polscy rozchorowali się powszechnie na tłomaczenia, a te na nieszczęście tak nam przypadły do gustu i weszły, że tak powiem, w krew naszych autorów, że nawet teraz, kiedy literatura krajowa coraz widoczniéj podnosi się i o swojéj własnéj sile chodzić zaczyna, jeszcze się od tłomaczeń, od téj mówię, pożyczki, i jałmużny cudzoziemca nie odrażamy.

Gdy się zastanawiam nad tą manią tłomaczeń, dwie jéj główne upatruję przyczyny: słabość, stary grzech niestety! dla wszystkiego, co z zagranicy, i chęć jak największego ułatwiania sobie wszelkiéj roboty, czyli mówiąc bez ogródki lenistwo. Łatwiéj jest książkę gotową przetłomaczyć niż książkę nową samemu napisać; więc też tłomaczymy wszystko, zacząwszy od dzieł filozoficznych i politycznych aż do lada powiastki, lada sztuki teatralnéj, lada bajki o motylu, o kurze, o zającu, wreszcie aż do sposobu kwaszenia ogórków, bo i o tém ogłosił ktoś broszurę niedawno.

Nie przypisywać sobie rozumu w tém, w czém go kto niema, ani zdolności, jakich komu Pan Bóg nie dał, a szukać chętnie światła u drugich jestto zapewnie bardzo chwalebnie; ależ dobrowolnie czynić z siebie niedołęgę, i gdzie można iść, nawet biegnąć samemu, wyciągać ręce, żeby koniecznie drudzy prowadzili, byłoby niegodnie i niebacznie. Nikt tego we mnie nie wmówi, żeby polski rozum nie wystarczył n. p. na ukwaszenie jakiéj jarzyny, na upieczenie dobrego chleba i t. d., a jednak polscy autorowie, o takich rzeczach piszący, zamiast pojść na naukę do naszych folwarczych bab, udają się raczéj do bibliotek cudzoziemskich i znoszą nam jakieś tłomaczenia. Od świata jarzyn i zboża przechodząc do świata myśli i uczuć, przecież także możem sobie bez pochlebstwa powiedzieć, że i tu bylibyśmy w stanie coś sami przez się, bez łaski Francuza, Niemca lub innego cudzoziemca napisać; boć (za pozwoleniem panów tłomaczy) Polak także, dzięki opatrzności, ma nietylko ręce i nogi, ale też głowę i serce.

Gdyby jeszcze tłomaczono same dzieła niepospolite, płody rzadkiego talentu, nadzwyczajnéj nauki! ale przeciwnie: z niemieckiéj naprzykład literatury, co stanowi sam jéj kwiat, samą

koronę, ledwo dotychczas tknięte od tłomaczy, a mnóstwo rzeczy najmierniejszych codzień przekładają. Weźmy do ręki jakikolwiek katalog dzieł polskich — można się założyć, że przynajmniéj w trzeciéj części będą to tłomaczenia.

I stąd wielkie ponosim szkoły.

Naród podobnie jak pojedyńczy człowiek, żeby mógł sprawić co większego, czyto w literaturze, czy w jakimkolwiek zawodzie, musi uczuć się na siłach, spróbować ich, i mieć w sobie samym pewną ufność. Kładąc we wszystkiém głowę pod książkę cudzoziemca, głuszymy w sobie koniecznie myśl własną, nie dopuszczamy jéj działać, rosnąć, rozwijać się. Cały u nas piśmienny umysłowy ruch stałby się niezawodnie żywszy, dzielniejszy, powszechniejszy, gdybyśmy przez ten ze wszech stron nacisk cudzoziemczyzny sami go ustawicznie nie hamowali, gdybyśmy z tego jarzma tłomaczeń raz się wyprzęgli.

Lecz tłomaczenia nie tylko że samą myśl w nas tłumią, w stanie ją ciągłéj niewoli trzymając; psują także najwalniejszy jéj instrument: Język. Nigdy w Polsce nie tłomaczono tyle, co w przeciągu ostatnich lat czterdziestu; nigdy też język polski tak nie znikczemniał; nigdy mówię, gdyż w epoce makaroniźmów umiano jeszcze po polsku, chociaż dla szalonéj mody pisano pół po polsku, pół po łacinie. Rzecz bardzo naturalna. Język nasz, jeden z najdziwniejszych i najpotężniejszych na świecie, nie jest wcale, jak prawie wszystkie europejskie. Skończony w sobie, raz na zawsze na miejscu stojący i że tak rzekę, zmartwiały. Nie zamknął się w bezwarunkowe, nieuchronne formy, i zdaje mi się, nigdy się zamknąć nie da; jest bowiem z natury ducha swobodnego, bujającego, nieujętego; jest ruchów szerokich, rozmaitych, ustawicznych, w mgnieniu oka w inne kształty wpadających. Inszy jakikolwiek n. p. francuzki, tak już został we wszystkiém zbadany, skreślony i w kluby wzięty, że możnaby mówić, że nie składa się z pojedyńczych wyrazów, ale z gotowych frazesów. Nasz w całym swoim składzie rusza się wszystek jak liście lasu ogromnego. Jest przytém tak pełen natchnienia, w najcieńszy promień myśli i czucia dostający, szybki, nieprzewidziany, że pisząc nim, można czasem przez dobranie jednego tylko słówka, jednego przymiotnika zdziwić i talentu dowieść, kiedy we francuzkiém przeciwnie każdy prawie rzeczownik ma koniecznego przymiotnika, przed którym stoi jakby przed urzędowym przystawem *) ledwie gdzie na moment schować się może. Ta osobliwa ruchawość i żywość naszéj mowy, nadając jéj wielki urok i stylowi domowych i talentem obdarzonych pisarzy przynosząc zawsze świeże piękności, sprawia właśnie, że wszelkie tłomaczenia, oprócz może z łacińskiego, muszą być dla niéj niebezpieczne. W istocie tłomacz, n. p. francuzki, mierny nawet,

*) Dawny wyraz, tyle co przybocznik umyślnie nadany.

skrępowany formami i nałogami swojego stylu, i mając zawsze pod ręką, gotowe całe frazesy, całe niemal peryody, łatwo prawda będzie niewierny, lecz łatwo też może być gładki i poprawny; tłomacz polski, nawet bieglejszy, da się wnet porwać textowi, który przekłada: a mogąc za nim, przez naturę swego języka iść krok w krok, i ten język ruchomy jak żywe śrebro mogąc zwracać i puszczać, jest prawie niepodobieństwem, żeby go gdziekolwiek nie zwichnął, na bok nie przegiął, i w toki cudzoziemstwa nie skręcił.

Prócz tego wszystkiego w Polsce znajomość języków jest powszechniejsze niż gdziekolwiek; we Francyi wcale ich, można powiedzieć, nie umieją, w Niemczech i drugich krajach umieją tylko uczeni: między polskimi czytelnikami rzadko, aby który nie umiał po francuzku lub po niemiecku. Tymczasem tak się właśnie dzieje, że z tych dwóch języków najwięcéj miewamy tłomaczeń. Pytam się, komuż te tłomaczenia mogą być potrzebne? Kto będzie czytał złe, a nawet niezłe tłomaczenie téjsaméj książki, którą może czytać w oryginalne?

Wszakże nie wypowiadam wojny wszystkim bez wyjątku tłomaczom. Wyłączam najprzód pracujących nad łaciną. Tych dla natury naszego języka, dla jego powinowactwa z łacińskim nic się prawie można nie lękać. Wyłączam powtóre wszystkich mających trafność w wyborze roboty, talent w jéj wykonaniu. Dobry przekład każdego dzieła wielkiego, czyli jak mówimy arcydzieła, dawnejszy nowéj literatury, jakiegokolwiek narodu będzie zawsze pięknym nabytkiem. Ale nałóg powszechnego, niebrakowego, ustawicznego tłomaczenia, to nieszlachetne puszczanie się na otwartą u najpospolitszych Francuzów i Niemców jałmużnę, jakobyśmy sami nie mogli wcale znaleść sposobu do życia, i żadnych ku temu zdolności, żadnych sił nie czuli, ta mówię powszechna choroba, z lenistwa i zamiłowania obczyzny pochodząca, a od lat już tak wielu piśmiennictwo nasze trapiąca, powinny nas zawstydzać i oburzać. Gdybyśmy dłużéj tak pozostali, pokazalibyśmy się osobliwszymi samych siebie nieprzyjaciołmi. Niemasz dla narodu straszliwszego samobójstwa jak ustawicznie tłumić w sobie myśl, oddać ją w niewolę obcemu i nie dawać jéj rodzić, ba nawet rozwijać się i ruszać się. Wiecznie tłomacząc drugich, możem wprawdzie mieć książki prozą i wierszem, ale literatury mieć nie możemy; — wiecznie tłomacząc drugich, sami nigdy tłomaczeni nie będziem, i całe piśmiennictwo nasze byłoby rzeczą martwą, nieżywotną, w gruncie nic nie znaczącą. Jest też i to niezawodna, że polski język nie podźwignie się, tylko w pisaniu rodzoném, domowém, pod myślą polską narodową.

O przyzwoitém zachowaniu się przy stole.

Przez Królikowskiego.

Nie powinno nas to obchodzić, gdzie siedzim; o to starać się należy, abyśmy tym, z którymi siedzimy, przykrymi nie byli.... Pokazać zaś, iż nas niskie miejsce nie obchodzi, jest to dać poznać towarzyszom rozsądek, gospodarzowi powolność i grzeczność. Krasicki.

Dobry gust gospodarza, uprzejmość jego i wyraz twarzy okazujący, iż mu jest przyjemnie widzieć nas u siebie, najwyborniejszą jest potraw przyprawą. Ale przy stole niejedna wydarzy się sposobność okazania, jakim kto jest w istocie. Jeżeli zatem w każdem innem posiedzeniu na mnóstwo rzeczy uważać należy, tym potrzebniejsza jest baczność, gdy siedzimy u stołu, tu albowiem wszystkich zebranych oczy na nas są obrócone.

Zaproszone na obiad osoby, powinny przybyć na czas i niezawodnie, a ktoby miał jaką przyczynę odmówienia, obyczajność wymaga, aby tłomaczenia swego na przyszłość nie odkładał, ale je owszem jak najwcześniéj uskutecznił, przepraszając osobę, która nas wzywa. Kiedy nas ktoś znakomity zaprosił na obiad, a odmówić mu dla ważnych przyczyn znagleni jesteśmy, będzie to znakiem dobrego wychowania, kiedy zaproszony pójdzie osobiście natychmiast z podziękowaniem i wytłumaczeniem się.

Sprzeciwia się dobremu wychowaniu, kiedy kto względem wskazanego sobie u stołu miejsca zbyt wiele czyni tak nazwanych ceremonii, i upornie szuka najniższego; ale z drugiéj strony zabierać miejsce najwyższe, w chęci różnienia się od niższych, oznacza próżność, dumę i nierozum. Spieszyć się z zasiadaniem do stołu najpierwéj, gdy inni jeszcze stoją, jest grubiaństwem i nieokrzesaném prostactwem. Osobom wysokiego znaczenia i damom pierwszeństwo dawać należy.

Serweta rozkłada się na kolanach, jakby od niechcenia, a przywiązywanie jéj w dziurce u sukni, albo zakładanie za chustkę na szyi, trąci staroświeczczyzną.

Jak przy zajmowaniu miejsca u stołu, równie i w przyjmowaniu potraw podawanych, wielkie ceremoniowanie się, jest niewczesne, a nawet nieznośne: kto raz przyjął obiad i usiadł do stołu, nie powinien wymagać nowych przy każdéj potrawie zaprosin.

Przed zaczęciem jedzenia, albo przed wzięciem potrawy, obcierać serwetą łyżkę, lub talerz, bardzo szpetnym jest zwyczajem, okazuje bowiem, iż o zachowanie czystości mamy jakieś powątpiewanie.

Przy nabieraniu potraw zachować należy baczność, aby stołowéj bielizny nie polać, palców sosem nie pomazać, i nie wpuszczać trzonkiem noża lub widelca. Wszystkie te uchybienia okazują, iż u stołu porządnego nie bywamy.

Kiedy jesteśmy u stołu, gdzie potraw nie obnoszą, ale na stole stawiają, nieobyczajnie jest szukać po półmisku, i wybierać dla siebie najlepsze kąski. Niektórzy mają tę wadę, iż wybrawszy sobie najlepszy kąsek, przechwalają się ze swojéj umiejętności jedzenia; to trąci egoizmem. Składać na powrót na półmisek niedojedzone potrawy, kiedy jesteśmy w gościnie, jest to rzeczą bardzo nieprzyzwoitą.

Gdy nowa nadchodzi potrawa, nie należy po pierwszéj obcierać serwetą łyżki lub noża itp. W domach gdzie znają ton przyzwoity, już wiedzą o tém służący do stołu, że do każdéj potrawy świeżą łyżkę podać należy, skoro ją siedzący u stołu na talerzu zostawił; co też czynić należy. Zdarza się w niektórych domach, iż przy każdém nakryciu znajduje się podstawka szklanna, lub porcelanowa, na któréj się nieczyste noże i widelce opierają, aby niemi nie brudzić bielizny stołowéj; ale zwyczaj ten uchodzi tylko po gospodarstwach, albo po domach gościnnych publicznych, gdzie dający obiad za pieniądze, najpierwszą na to zwraca uwagę, aby jak najwięcéj zebrał, a przytém w obsłużeniu jak największą zachował oszczędność. Ale tam gdzie kto gości na obiad zaprosił, jeżeli ich chce nakarmić i napoić, niechajże nie żałuje kilku groszy dla praczki, jeżeli nie chce zachować tonu zmieniania na świeżo nożów po każdéj potrawie. Siedząc przy stole i na to baczność mieć należy, aby ust tak zbytecznie nie zamazywać, iżby na koniec obiadu, serweta widoczne od ich obcierania zachowała plamy.

Gdzie przy solniczkach nie ma osobnéj łyżeczki, należy brać sól końcem czystego noża, ale nie łyżką, ani palcami.

Bywają na stole potrawy, które pierwszy raz w życiu widzimy: kto z niemi obejść się nie umie, niechaj uważa jak inni jedzą i niechaj ich naśladuje, aby się nie wydał ze swoją niezgrabnością.

Niektórzy mają ten zwyczaj, iż wziętą na talerz potrawę, całkowicie naprzód pokrają, a potém położywszy nóż, widelcem kawałek po kawałku zjadają: zwyczaj to niewygodny, bo tym sposobem pokrajane cząsteczki prędko stygną i dobroć swoję tracą. Zresztą pospiech w pokrajaniu potrawy nie jest potrzebny tam, gdzie nie ma obawy, aby komu z przytomnych noża nie zabrakło.

Jest jeszcze inny rodzaj jedzących u stołu: ci niekrają razem, ale za to po każdym ukrojonym kawałku kładą, nóż i widelec z lewéj do prawéj ręki przerzucają, a podawszy sobie do ust kawałek, znowu biorą widelec w lewą, a nóż w prawą rękę i to czynią dopóty, dopóki z talerza nie sprzątnęli; takowy zwyczaj jest nieprzyzwoity. Niechaj nóż będzie w prawéj, a widelec w lewéj ręce, którym każdy ukrojony kawałek wygodnie do ust sobie podać można.

Zdarzyć się może, iż dadzą na stół potrawę, która jest oso-

bliwością; przy tém uważać należy, aby się wszystkim z niéj dostało, nie nabierać zatém tyle aby się nią nasycić.

Żądając czego podczas stołu, np. chleba, wody, udawać się należy do usługujących, bez wstawania jednak z miejsca swego; i to czynić potrzeba po cichu, albo przez danie znaku.

Jeżeli z jednéj strony potrzeba być uprzedzającym, to z drugiéj grzeczność ta nie powinna zarywać na nieprzyzwoitość. Wstawać od stołu dla podania komu szklanki lub talerza, uchodzi tylko przy obiedzie pomiędzy domownikami.

Kiedy zamieniają talerze, niepotrzeba być tak grzecznym, aby podanego sobie nie przyjąć, dla tego, iż ten, na którymyśmy jedli, dość jeszcze jest czysty; ani też pokornie dziękować służącemu za to, że jest tak łaskaw, iż nam tę usługę uczynił. Jedno i drugie sprzeciwia się przystojności,

Gdyby się komu zdarzyło być w towarzystwie takiem, gdzie zbyt częste obchodzenie kielichów miarę przebiera, natenczas lepiéj jest wymawianiem się ściągnąć na siebie niechęć biesiadników, aniżeli stósować się do obyczaju, który się rozumowi i dobremu wychowaniu tak mocno sprzeciwia. A jeżeli powiemy z Krasickim:

Dobrego sąsiada
Nie źle czasem podpoić.

to z drugiéj strony kończmy z Krasickim:

Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało
Na to, aby użyciem swojem orzeźwiało:
Użycie darów bożych powinno być w mierze,
Zawstydza pijanicę nierozumne zwierzę:
Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszę,
Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą:
Nie biorą nad potrzebę.

Kto siedząc u stołu, poprawia sobie włosy na głowie, chustkę na szyi itp.. albo widelcem zęby wykłuwa, dowodzi niedostatku wychowania.

Uprzejmość umysłu towarzyszyć nam w czasie obiadu powinna; można być wesołym, żartobliwym i rozmownym, jednak nie trzpiotem, ani zbytecznie gadatliwym. Jeżeli każdemu z siedzących u stołu uwaga jest przyzwoitą, tedy najpotrzebniejszą jest gospodarzowi. Baczne oko jego wszędzie być powinno, on ma być duszą całego towarzystwa, a gdyby zachodzić miało jakie milczenie, albo uciszenie, on rozmowę wszczynać powinien. Gospodarz pilnować powinien, aby nikomu na niczém nie zbywało, a jeżeli który z usługujących popełni jakie uchybienie, gospodarz nie powinien wpadać w gniew, ani też ludzi głośno karcić. Gospodarz domu zwykle sobie obiera ostatnie miejsce u stołu; każdemu bowiem z gości należy pierwszeństwo, wyjąwszy, gdyby gospodarz był najwyższą w towarzystwie osobą.

Wstawać od stołu nie należy, dopóki się obiad nie zakończy, i dopóki najznaczniejsza osoba w towarzystwie, albo gospodyni domu nie oświadczy w téj mierze chęci swojéj.

O zachowaniu się w towarzystwie i prowadzeniu rozmowy.

Przez Królikowskiego.

Zawsze rozsądkiem tchnąca rozmowa,
Zawsze czynienia ślachetne.
Trembecki.

Używanie sztuki podobania się przez rozmowę jest panującym i niezmiennym obyczajem. Wielkich tajemnic téj sztuki szukaćby może wypadało w filozofii; ale kto nie ma siły zachować się zupełnie wedle jéj zasad, powinienby przynajmniéj starać się o to, aby się z niemi obeznał. Są one prawdziwą ozdobą rozmowy, równie jak pierwszymi przewodnikami rozumu. Stósowność jest matką wszystkiego, a co się nie na niéj zasadza, zawsze będzie sądem nietrafnym i nieprawym.

Najgruntowniejszą uprzejmość obcowaniu towarzyskiemu nadaje to wszystko, cokolwiek z prawości serca, z jego dobroci z oświeceniem i wykształceniem połączonéj wypływa.

Najświetniejszy dowcip bez innych zalet zasługuje na czcze tylko podziwienie, któremu częstokroć zazdrość i tajemna niechęć towarzyszyć zwykły; gdy tymczasem przymioty serca odnoszą w nagrodę przyjaźń i szacunek. Żart jakkolwiek bujną imaginacyą spłodzony, w powtórzeniu traci swój pierwotny dowcip; ale pewny rodzaj wzniesienia się, prawość i ślachetność są zawsze rzeczą nową i zajmującą. Z osobami dowcipem tylko obdarzonemi przyjemna jest znajomość na dni kilka lub kilkanaście; lecz kto ma serce po temu, zawiera najdroższe związki na całe życie.

Sposób, jakim się rzecz opowiada jest prawie tak ważny, jak rzecz sama. Za jednego, który umie ocenić istotną wartość myśli, znajdziesz dwudziestu innych, którzy więcéj uważają na tok mowy i ton, jakim się rzecz obwieszcza. Układ ciała, ruch, spojrzenie, dźwięk głosu nie mało przyczyniają się do przekonania, a przeto nie należy ich zaniedbywać. Nie każdy może mieć wdzięki, ale je częstokroć zastępuje powierzchowność dobrze zastósowana: ton słodki, pewny i spokojny. Z tym należy połączyć baczność naszę na wszystko, co drudzy mówią i czynią: ten rodzaj poważania innych głaszcząc ich miłość własną uprzedza ich na naszę stronę. Patrząc w oczy osobie, z którą się mówi, dajemy poznać, ile nas jéj mowa zajmuje.

Rozmowa równie jak działania nasze, powinny sobie towarzyszyć w sposobie wolnym, nieprzymuszonym, prostym i szczerym: potrzeba, aby każde poruszenie okazywało, iż z serca pochodzi, ale nie, że ciało rządzi duszą naszą. Starać zię należy połączyć z tém pewny powab i takt przystojności, czego tylko w obcowaniu z ludźmi wykształconymi, a szczególniéj w towarzystwie płci pięknéj nabyć można.

Jedną, z najpowszechniejszych przywar w obcowaniu towarzystkiem, jest chęć przodkowania. Dla uniknienia téj przywary powinienby każdy mieć w myśli owe słowa Bakona: »Kto odchodzi z twojego towarzystwa ukontentowany, niezawodnie jest kontent i z ciebie. Ludzie nie lubią dziwić się tobie, wolą raczéj, abyś się ty nad nimi zastanawiał.«

Wielka zatém liczba posiedzeń prywatnych, przyjemnéj zabawy szukających powinnaby obrać za godło ów niegdyś wyrok w Efezie wydany: Nie pozwalajmy, aby ktokolwiek z pomiędzy nas szukał wyższości nad bracią; a ktokolwiek dąży do tego, niech sobie idzie do innego miasta i niech żyje wedle jego obyczajów.

Nader trudną jest rzeczą zastósować rozmowy swoje do tonu różnych posiedzeń. Co w jedném uchodzi za pustotę, w drugiem nazwą może pedanteryą, co tu ożywia, tam nudzi; a lekkie dotknięcie rzeczy nieznanych, wyższych nad pospolite, kiedy obcujemy z ludźmi, którzy nas albo nie rozumieją, albo rzecz, o któréj mówimy ironicznie, za prawdę rzetelną poczytają, ujdzie tylko za coś ciemnego, za nierozum i nudy.

Wielką zdrożnością obrażającą towarzystwo jest, gdy się rzeczy nieprzyzwoite tym, z którémi przestawamy, obwieszczają. Wada takowa, mówi Krasicki, najczęściéj w ludziach uczonych postrzegać się daje, gdy rozumieją, że to będzie towarzystwu najmilszém, jeżeli przytaczając autorów greckich i łacińskich, potoczną rozmowę upstrzą technicznemi wyrazami, właśnie jak gdyby posiedzenie całe nauki ich słuchać było obowiązane. Sposób taki mówienia nudzi i gniewa; nudzi, bo dla nieświadomych rzeczy jest tylko czczym brzękiem; gniewa, bo okazuje wyższość w mówiącym. Należy się wystrzegać tonu stanowczego i przerzynającego; oburza albowiem dumę drugich; i wielkiéj niegrzeczności dopuszcza się ten, kto wyrazów ostatecznie wyrokujących używa, np. jestem pewny, że się mylisz, — to nie prawda — moje zdanie jest niezawodne i t. p. Taki ton mówienia okazuje zupełny brak lepszego wychowania. Podający zdania swoje, jak proste tylko domysły pewnym być może, iż jeżeli dobre, prędzéj w nich towarzysze smakować będą; jeżeli złe, łatwiéj przebaczą.

Każdy ma własny sposób widzenia; największy nieuk przekonany jest o nieomylności swojego i zwyczajnie taki dąży najwięcéj do samowładztwa, i pragnie podbijać mniemania obce, pod urojoną pewność swoich własnych. Uwaga ta liczném stwierdzona doświadczeniem wstrzymywaćby nas od sprzeczek powinna i sprawić, abyśmy byli cierpliwszymi; bo jakiemże prawém wymagać możemy szacunku dla zdań naszych, jeżeli go zdaniom innych odmawiamy.

Niektórzy mają ten bardzo szpetny narów, że opowiadając rzecz jaką, chwytają słuchacza za suknią, lub za rękę; albo zachodzą mu z przodu, zaglądają w oczy, trącają palcem i t. p.

czynią dziwactwa, a to dla tego, aby w nim wzbudzić uwagę; ale biada opowiadaczowi, którego treść mowy tak jest nędzna, że się lękać musi, aby mu słuchacz nie uciekł.

Jakkolwiek słusznemi wydawać nam się mogą mniemania nasze, nie brońmy ich nigdy z twardością oburzającą; a stwierdzanie każdéj rzeczy przysięgami i zaklinaniem się dowodzi, jak mało sami siebie cenimy, kiedy już naprzód wewnętrznie przekonani jesteśmy, że nam bez przysiąg i zaklęcia wiara dana nie będzie. Cokolwiek wstrzymałości w téj mierze zjednać nam potrafi szacunek, który uporem naszym koniecznie oddalić musimy.

Ustąpić błędnie mniemającemu, dowodem jest wyższości naszéj w rozumie; nie ustąpić słuszności okazuje słabość. To wszakże tyczy się rzeczy mniejszéj wagi: często uczciwość wymaga, abyśmy się sprzecznie stawili; a wtenczas podwoić należy baczność na słowa nasze, i przez delikatność, w tym razie koniecznie potrzebną, nadawać głosowi naszemu ton niższy i powolniejszy.

Mówić mało o sobie, zgadza się z roztropnością, ale ta sama roztropność nakazuje nam, nie ufać takiemu, co nigdy o sobie nie mówi. Jestto cechą człowieka, który się lęka być poznanym, albo który nas mało szacuje. Skrytość nie zawsze jest skutkiem roztropności. Prawość, niewinności i dobroć bywa otwarta względem spraw swoich i nadewszystko ma upodobanie w przyjaźni i ufności. Zbyteczna skrytość bywa częstokroć cechą największego tchórzostwa i oszustwa.

W zgromadzeniu liczniejszém rzadko mówić należy o rzeczach tyczących się religii. Jestto przedmiot tak ważny, tak wzniosły, że rozprawiać o nim dla zabawy towarzystwa byłoby niedogodnością, a poruszać go lekko i na prędce, nierozum oznacza. Również należy wystrzegać się wszelkich sprzeczek z osobami różnego od nas wyznania; bo to ściąga nienawiść; a dręczyć lub prześladować kogo tém, że zasady jego zbyt może przesadzone nie są godne naśladowania, częstokroć nada nam nazwisko niegodziwego niedowiarka. Z resztą zbijać szydersko zdanie czyje, które mu szczęśliwość wewnętrzną sprawuje, jest okrucieństwem.

O języku i kształceniu mowy.

Przez Królikowskiego.

Twarz piękna i powabna, miłe spojrzenie, kształtna kibić i zgrabne ułożenie całéj postawy, podoba się niezawodnie każdemu; a widząc taką osobę w posiedzeniu, obiecujemy sobie prawdziwą słodycz w jéj towarzystwie, ale jak zawodne bywa częstokroć oczekiwanie nasze, ileż to razy oszukujemy się, kiedy uwielbiana od nas osoba, któréj, wyobraźnia nasza słodki, dźwięczny głos i przyjemną przypisywała wymowę, na jeden raz

otworzy usta, z których tylko surowy brzęk, najpospolitsze słowa i płaska, nikczemna, nieznośną gadanina wychodzi.

Mowa jest niejako ubiorem myśli: więcéj nam się podoba przystojny człowiek, kiedy go w stósownym i przyzwoitym ubiorze widzimy, niż tenże sam w jakiéj podłéj, poszarpanéj łachmanie: toż samo dzieje się i z myślami naszemi: najpiękniejsza z nich koniecznie tracić musi na wartości, kiedy ją niestósownemi, źle dobranemi wyrazami nastrzępimy.

Nie każdemu dany jest dar żywego, wymownego opowiadania, nie każdy może uderzającym, ćmiącym dowcipem bawić posiedzenie, i byłoby niesłusznością chcieć, ahy każdy w opisywaniu żałosnych rzeczy miał tkliwość trenów Kochanowskiego, w żartobliwych wesołość i dowcip satyr Krasickiego, w poważnych jędrność i moc stylu Górnickiego, Naruszewicza, bo to potrzebuje wyższego wykształcenia, talentu: ale od każdego wymagać mamy prawo, aby język swój znał gruntownie, używał go stósownie i nie popełniał co chwila błędów mowy nie do przebaczenia.

Niektórzy mogąc mówić gładko i porządnie, mniemają, iż dobrze uczynią, jeżeli mowę swoję upstrzą wyszukanemi sposobami mówienia, tokiem niezwykłym i szumnobrzmiącemi wyrazy; ale gdyby zastanowić się chcieli, iż tym sposobem grzeszą przeciw dobremu smakowi i słuchaczów nudzą, zapewneby nie nadużywali daru mówienia naturalnie. Z tém wszystkiem znajdują się tacy, którzy lekceważąc wszystko, co proste i naturalne, rozumieją, że wyższość myśli od nastrzępionych, albo niezwykle dobranych wyrazów zależy. Często zdarza się słyszeć mówiących: Jak ten pan strasznie dobry, okrutnie przyjacielski i t. p. Ślicznać to dobroć, kiedy straszna, i przyjaźń, kiedy okrutna.

Prawdziwa wzniosłość i wspaniałość nie potrzebuje otaczać się ozdobami, które są na to przeznaczone, aby rzecz z saméj siebie nie dość doskonałą podnosiły; z drugiéj strony równie i to, co jest naturalne, żadnéj okrasy nie potrzebuje.

Inna znowu jest wada, kiedy kto mowę swoję chcąc uprzyjemnić, modniejszą uczynić i do tonu tak nazwanego wielkiego świata zastósować, napycha ją słowami z obcego języka wziętemi, bez których nasz własny obejść się nie może. Pożycz mi na miesiąc sto czerwonych złotych, możnaby mówić do przyjaciela; ale modniéj będzie: Byłbym anszantowany gdybyś chciał mi awansować tę małą bagatelkę. Narzekając na wielką ciżbę, mówią modnie: ach patrz jak wielka fula *(foule)*. Albo słyszysz ciociu! *comme vous êtes belle aujourd'hui*, gdybym była mężczyzną: *je deviendrais amoureux de vous* i t. p., jak gdyby tego samego jednym językiem powiedzieć nie można.

»Miłość mowy własnéj, mówi *Jean Paul*, od miłości ojczyzny nie więcéj jest oddalona, jak w człowieku język od serca, które nakoniec na nim całkowicie mieć można.« I w saméj rzeczy,

niegodnym staje się ziemi, którą zowie ojczyzną, ktokolwiek niedoskonale i fałszywie przemawia językiem narodowym.

Ucz się ojców twych języka,
On myśl każdą wydać zdolny,
Gnie się, dźwięczy, grzmi, przenika,
Jasny, śmiały; bo jest wolny.
Okaż wzgardę próżnéj dumie,
Co się obcym chełpić umie,
A własnego zwroty, cienie,
Miewać zwykła w małéj cenie.

Tak mówi J. N. Kamiński w przedmowie do tłomaczeń pieśni Szyllera i mówi wielką prawdę; bo gdybyśmy narzekających na język polski, na ścisłą wzięli próbę, pokazałoby się może, iż najwięcéj ci narzekają, którzy go najmniéj rozumieją, albo ktorzy nie byli zdolni zastanawiać się nad nim, albo nakoniec, którzy nie raczyli uznać téj prawdy, iż język ten zasługuje, aby się nad nim zastanowić!

Nie na tém zależy miłość języka własnego, aby obstawać przy tém, i upornie utrzymywać, że Adam z Ewą w raju po polsku rozmawiali z sobą*), albo dowodzić, że język słowiański pierwotnym na całéj ziemi jest językiem**). Takowe dziwactwa są tylko marzeniami, które niczego dowieść nie zdołają.

Ale nie dość jest kochać swój język, nie dość jest mówić wyrazami czysto polskiemi, można jeszcze i przy tém wszystkiém mówić źle, niestósownie i nieprzyjemnie. Niektórzy mniemają, że dla nadania mowie swojéj niejakiego uroku i odjęciu jéj jednostajności, potrzeba głos to wznosić to spuszczać. Wszystko to dobre kiedy stósownie, w miejscu, w miarę czucia, w miarę poruszenia serca użyte; ale kto nie czuje tego co mówi, każda zmiana głosu jego, ton, głos, pospiech, przewleczenie itp. będzie tylko śmiechu godném dziwactwem i znudzi towarzystwo.

Przykrą jet wadą i nieprzyjemną dla towarzystwa, kiedy kto z nałogu i bez żadnéj przyczyny raz wraz powtarza wyrazy które do opowiedzenia rzeczy nie są bynajmniéj potrzebne. Są, którzy trzech wierszy powiedzieć nie umieją, ażeby w nich pięć lub sześć wyrazów: *Mości dobrodzieju*, *mospanie* itp. nie powtórzyli. Jak odrażająca jest takowa mowa, każdy nieuprzedzony z łatwością osądzi.

Szpetniejszą jeszcze przywarą jest używanie gminnych i brudnych wyrazów. Wada takowa okazuje niskie i gminne wychowanie, obraża smak dobry, i nie zasługuje na dalszą rozprawę.

---

*) Adam i Ewa podług niektórych Jadam, Jewa; Jadam od jadać; Jewa numerus dualis od jeść: my jewa zamiast jemy.

**) Podług uwag Wojciecha Dębołęckiego pierwotnym na świecie językiem jest słowiański. I tak Azya nazywała się Ożyja, przeto, że w niéj stworzono było wszystko, co żyje.

Na zakończenie tego rozdziału moglibyśmy przytoczyć mnóstwo używanych uchybień gramatycznych, prowincyalizmów itp. jakiemi są: jachać, za jechać, ućknę, za ucieknę, jademy, za jedziemy itd.

Ale gdy nie jest zamiarem naszym uczyć języka samego i jego grammatyki i w tém miejscu mówić postanowiliśmy tylko o jego stósownem w posiedzeniach użyciu: przeto potrzebujących początkowéj nauki, do książek w tym celu pisanych odsełamy.

O Obmowie.

Przez Klem. z Tańskich Hofmanową.

Nie żyje z ludźmi, kto cię chce o wszystkiem badać,
Kto skrzętny i językiem nie umie swym władać.
Bo język najszkodliwsza sztuka u człowieka.
Szymanowicz.

O występkach mówić tu nie chcę i nie będę; dzięki Niebu! nie znała ich dusza moja! los szczęśliwy chronił mnie od towarzystwa ludzi występnych, a serce ledwie pojmuje, iż być mogą na świecie. Śmiem pochlebiać sobie, córko moja! że twoje przeznaczenie podobne będzie memu; pismem tém pragnę tylko ułatwić ci drogę cnoty, od wad i błędów się uchronić. Nie moje to pióro nawracaćby do cnoty mogło!.. wielkie to dzieło silniejszéj potrzebuje ręki! — Na nicby się rady moje nie przydały, głos mój nie doszedłby do serca twego, gdyby już był przytłumiony w tobie zaród cnoty, gdybyś nie była taką, jaką cię stwórcy ręka wydała! Powszechnie biorąc, kobiety (przynajmniéj ile ich widziałem) do występku i zbrodni mało mają skłonności, lecz wrodzona im słabość łatwemi je do wad i błędów czyni. Rzadko któréj dały Nieba tyle mocy, aby przez cały bieg życia swego, śmiałym i pewnym krokiem przebyła ścieszkę prawdy, aby blasku jéj przymiotów żadna nie ćmiła wada; ale rzadko też która zbacza zupełnie; chwieje się lecz postępuje, błądzi czasem, ale wraca, a choć nie jest bez ułomności, cnotami je nagradza! Lecz czemuż i tych niedoskonałości ustrzedzby się nie mogły niewiasty? Wiesz już Amelio! jak unikać błędów serca, teraz zaklinam cię, abyś ile możności chroniła się wad, powszechnie i dosyć słusznie zarzucanych kobietom.

Jeżeli mężczyźni żartują z nas często, a nawet pogardzają nami niekiedy, licznym to wadom płci naszéj przypisać należy. Oni daleko ich mniéj od nas liczą. Choć nie tak czuli, więcéj mają pobłażania, nie znają nikczemnéj zazdrości, płochéj próżności, nie mają tylu dziwactw, nie lubią się tak sprzeczać, nie są tak uważnymi na wszystko, tak wielkiemi w małych rzeczach; nierównie od nas łatwiejsi w pożyciu, unikają tysiąca nieznośnych drobnostek, które niewiasta tylko pojąć, uczuć i zrozumieć potrafi. Nic nie znaczące wypadki tak nas zajmują, jak największe zdarzenia. Nad lada strojem kobiety, gotowe radzić

trzy dni, sprzeczać się drugie tyle. Czasem mężczyznę ustalenie nowych praw w kraju, ważna zmiana polityczna, zjawienie literackie, niezajmuje tak żywo, jak kobietę nowego kroju suknia, lub modny stroik. Niewiem, czy przegrana bitwa zmartwić więcéj może biegłego wodza, jak nie jednę kobietę wdzięk lub wielbiciel stracony.

Córko moja! jeżeli chcesz zyskać szacunek powszechny, i zabezpieczyć sobie spokojność, staraj się wynieść w téj mierze nad płeć swoję, i zaniechaj tych wszystkich wad ćmiących w nas tyle zalet. One to największą są przyczyną wyższości mężczyzn nad nami. — Część tę całą wadom poświęcę, znaczniejsze ci tylko wskażę; na ich czele kładę obmowę.

Obmowa jest wyjawienie z dodatkiem przed przyjaciółmi, znajomemi, wad, które w drugich spostrzegamy. Rodzi się za zwyczaj ze zbytniego zaślepienia w sobie, a nazbyt bystrego oka na drugich. Nic łatwiejszego jak przyzwyczaić się do niéj; bawi i niewyczerpaném jest źródłem rozmowy; a tém niebezpieczniejsza: że chociaż z początku prawie niewinną się zdaje, z występkiem graniczy! osoba lubiąca obmawiać, kiedy już nie znajduje w znajomych swoich, wad i postępków do wyśmiania i naganienia, z swojéj głowy im różne zaocznie przypisuje błędy, a postępując coraz daléj, potwarcą zostać może!.... samo to nazwisko wskróś serce przenika.... i trudno wierzyć, iż są na świecie istoty czyniące sobie igraszkę ze szczęcia bliźniego. Mówią o rzeczach, których nie widziały, obwiniają o występki, których świadkami nie były, i zdaje się, iż chcą zagubić i zatrzeć cnoty będące na ziemi, zapewne dla tego, iż ich w sobie nie widzą. Mówić o nich nie będę, bo czyżbym mogła umrzeć spokojnie, gdybym sądziła, że moja Amelia do tego stopnia będzie występną! O obmowie wspomnę tu tylko, bo tak jest powszechną, że i ty jéj podpaśdź możesz. Nie łatwo zapewne zamilczeć zupełnie wad, które w drugich spostrzegamy; ludzie tak są niedoskonali, że nie wspominając nigdy o ich błędach, małoby słów można wyrzec; i nie wiem, czyby podobna ofiara w mocy, i z korzyścią była człowieka. Lecz na cóż chwytać skwapliwie najmniejszy cień błędu? dla czegoż najniewinniejszy bliźniego postępek na złą tłomaczyć stronę, i w obmowie największe mieć ukontentowanie? Mojem zdaniem, wolno widzieć cudze ułomności, bo nie można zamknąć oczu; wolno ubolewać nad niemi, mówić o nich z osobami ukochanemi, korzystać z wad obcych, aby samemu podobnych unikać; lecz nie wolno ich powiększać, gadać o nich bez potrzeby, i z takim zapałem, jakbyśmy sami doskonałemi byli; nie wolno naśmiewać się z kalectwa, ułomności, wieku: bo te są przyrodzenia, albo nieszczęśliwego trafu, a nie ludzi dziełem. Nie wolno dla tego, że nam Bóg dał więcéj niż drugim światła i dowcipu, nadużywać tych darów, a zapominając zupełnie delikatności, dać im czuć wyższość naszę i wytykać

ich słabości. — Słowem, córko moja! jeśli chcesz zawsze być szczęśliwą i spokojną, we wszystkich ludziach upatruj najmniéj rzeczy godnych nagany; i zawsze chętniéj o ich przymiotach, niżeli o błędach wspominaj. Złe mniemanie o wszystkich nie powinno być nigdy młodości, i płci naszéj udziałem. Słyszałam mężczyzn i starych, zowiących doświadczeniem ten sposób widzenia; doświadczenie skarbem rozsądku powszechnie mianują; dziwne i smutne byłoby to bogactwo, bo jeśli niszczy wszystkie serca młodego wieku marzenia, więcéj odbiera niż daje.

Twój dowcip wrodzony, twoja wesółość, mogły ci dać łatwo sposobność do chwytania prędkiego wad i śmieszności w drugich, do wyśmiewania ich zręcznie nawet w ich przytomności. Lecz nim wymknie ci się słowo dowcipne, komukolwiek przykrość sprawić mogące, niech pierwéj dobroć zamknie ci usta. Największe pochwały dowcipu twojego, śmiech całego towarzystwa, nie nagrodziłyby ci nigdy zarumienienia i pomieszania twojéj ofiary. Zapomniałabyś w krótce odgłosu pochwał, a obraz ten stałby długo przed twemi oczyma, i ciężał na sercu. — Przyzwyczaiwszy się do tych żartów, można o sobie najniewinniéj najgorsze wrazić mniemanie, i wielu zrobić nieprzyjaciół. Są osoby łatwiejsze do przebaczenia największéj urazy, jak słowa dowcipnego żartu, które im śmieszność jaką nadały. — Naocznym byłam świadkiem podobnego zdarzenia, przekonałam się z niego, ile szczególniéj dla młodéj osoby to przyzwyczajenie wyśmiewania się z każdego, niebezpiecznem być może.

Wiesz Amelio! iż we dwa lata po mojém zamężciu odwiedziłam Warszawę. Mój mąż chciał, żebym poznała i to miasto, i krewnych jego w niém zamieszkałych. — Wiele zabrałam znajomości; między innemi z panią C. Ta dama miała córkę Ludwikę, pannę już dwadzieścia lat mającą, i słynącą nawet w naszych stronach z wdzięków, wysokiéj i wytwornéj edukacyi, i dosyć znacznego posagu. Dziwno mi było, iż ta młoda osoba łącząca w sobie wszystko, co mężczyzn wabić może, żadnego nie miała zalotnika; a gdym się spytała, jakieby tego były przyczyny? odpowiedziano mi, że Ludwika z dzieciństwa przyzwyczaiła się wzorki z drugich wybierać, że bardzo dowcipna i zręczna, każdego wyśmiać, każdego udać umiała. Nierozsądni rodzice nie ganili jéj z młodu tego postępowania; owszém jéj żarty dowcipne słówka, zabawną ją czyniąc, ledwie że ich nieuszczęśliwiały. Biedna Ludwika wzrosła w tym niebezpiecznym nałogu, z wiekiem wzmagał się codziennie. Wprowadzona w najpierwsze towarzystwa, spoglądając na wszystko bystrém i przenikliwém okiem, spostrzegała wszystko, chwytała z niewymowną łatwością śmieszności każdego, a powróciwszy z najmniejszego zgromadzenia, na tydzień cały o czém rozmawiać, z czego się śmiać miała. Niebaczna! ani wiek, ani ułomność przyrodzona, nic zgoła nie uszło jéj języka; każdego dotknąć musiała, a jednak dobre

miała serce. Każdy człowiek rozsądnie myślący, zachwycony zrazu jéj pięknością, zachęcony posagiem, znaczeniem, talentami, usuwał się, skoro tylko odkrył wadę Ludwiki, sądził zaraz, że ta, co nikomu nie przebacza, każdego wyśmiewa, złe musi mieć serce, i bardzo wielkie rarozumienie o sobie. Nieśmiały i dobry młodzieniec, zwabiony także żywością Ludwiki, skoro tylko uczęszczać do domu Państwa C. zaczął, zaraz liczni ich córk nieprzyjaciele których dowcipowi swemu winną była, odradzali mu ten związek, wystawując szpetne wady téj, która go zachwycała. Usuwał się młodzieniec; i wkrótce powszechnie Ludwikę nienawidzić zaczęto. — Właśnie kiedy przyjechaliśmy do Warszawy, już wszędzie jak najgorzéj była widzianą. Dalekie pokrewieństwa łączyło nas z jéj rodzicami; bywaliśmy u nich niekiedy. Przyjechał z nami do Warszawy brat starszy mojego męża, bezżenny wtedy; podobała mu się Ludwika, i lubo słyszał o jéj wadach, sam się jednak przekonać o ich rzeczywistości pragnął. Był to człowiek już nie zupełnie młody, bardzo przyjemny, uczciwy, majętny; rzadką miał stałość w charakterze i cokolwiek oryginalności, Służąc lat kilkanaście w wojsku, wyszedł był z niego w stopniu półkownika, z chwałą słusznie zyskaną, i ze słuchem od kontuzyi nadwerężonym. Zdaje się, iż podobne kalectwo na polu sławy nabyte, w oczach Polki prędzéj zaszczytem było niż wadą; nie uszło jednak satyrycznego języka Ludwiki. Nic innego do wyśmiania w pułkowniku nie było; i chociaż z innych względów podobał jéj się bardzo, i serce nawet wzruszać zaczął, lubo wraz z rodzicami pragnęła aby się tak słuszny człowiek o rękę jéj oświadczył, jednak nałóg przewyższył miłość i chęć zamęścia, a szlachetna głuchota brata naszego, stała się celem żartów nierozsądnéj panny.

Mąż mój i ja przeciwni byliśmy temu związkowy, lecz widząc ile Ludwika podobała się półkownikowi, uznając, że jéj wady więcéj z przyzwyczajenia, niźli z serca pochodziły, przestaliśmy odradzać. Po kilko tygodniowéj znajomości, pułkownik coraz bardziéj rozkochany, nie doznawszy jeszcze osobiście przykrego dowcipu Ludwiki, już szedł z oświadczeniem. Wybrał godzinę ranną, aby nikogo prócz rodziców i panny nie zastać. Nieśmiałym postępuje krokiem: szklanne drzwi dzieliły go od pokoju, gdzie była Ludwika z matką. Śmiały się obie niesłychanie, i rozmawiały głośno; brat nasz nadstawia ucha: i po gestach jakie widzi, słowach, które usłyszeć może, domyśla się, że on sam jest przyczyną tego śmiechu; i że Ludwika z różnemi dodatkami matce wczorajszą z nim opowiada rozmowę, w któréj podług zwyczaju parę razy się przesłyszał. — Udaje na przemiany i siebie i jego, i tak głośno i dobitnie mówi, kiedy na nią koléj przychodzi, iż sam pułkownik ledwie by jéj w trzecim pokoju usłyszeć nie mógł: kończy rozmowę komiczném ubolewaniem nad smutnym swym losem, iż głuchego będzie musiała mieć

męża. Pułkownik obrażony do żywego, wchodzi do pokoju ale odmieniając nagle swój zamiar, oświadcza matce i córce, w jakim przyszedł celu, oraz dodaje: że niechcąc nieszczęścia Ludwiki, i nie życząc sobie być wyśmiewanym od żony, idzie szukać innéj bardziéj pobłażającéj. Trudno wyrazić wstydu i pomieszania Ludwiki: ciężko błąd swój przechorowała. Postąpek ten zraził resztę przyjaciół, wszystkich przeciw niéj rozjątrzył; wyjechać musiała z Warszawy, i dotąd z rodzicami siedzi na wsi. Znienawidziła ludzi, i najnieszczęśliwszą jest istotą. Brat nasz w kilka miesięcy po téj przygodzie, ożenił się bardzo dobrze; pojął za żonę słuszną i majętną panienkę, znasz ją, Amelio! i kochasz czule, bo lubo ich stałém mieszkaniem jest Warszawa, zwiedzają co lato, lube nasze Ustronie. — Pułkownik zupełnie jest szczęśliwy, i do téj chwili błogosławi jeszcze dzień, w którym zerwał miłość z Ludwiką.

Takie to są smutne skutki obmowy, płochych i często płytkich żartów, wyśmiewania i udawania. Zastanów się nad niemi, Amelio! a rozważywszy tysiączne przykrości z nich wypływające, mając wzgląd na miłość i szacunek powszechny, które nam jednają rozsądne pobłażanie i dobroć, nie miéj ukontentowania w zarcikach i obmowie, i chroń się ich pilnie. Niepowinniby nawet ludzie cenić rozumu téj osoby, która tylko kosztem drugich dowcipną być umie: bo podobny rodzaj ledwie nie od każdego nabytym być może, a zawsze hańbą jest dla serca.

Obmowa.

Przez J. Krasickiego.

W życiu świętego Jana Kantego, doktora Akademii Krakowskiéj, jest położono, iż na ścianie izby, w któréj przebywał, i sobie i przychodzącym do siebie, takowe wypisał napomnienie.

Conturbare cave, non est placare svave;
Diffamare cave, nam revocare grave.

Strzeż się obrazić, bo trudno ubłagać;
Strzeż się obmawiać, bo trudno odwołać.

Nie dla wyboru wiersza, ale dla wielkiéj prawdy, którą w sobie zawiera, powinienby się ten napis znajdować w każdym domu, tak w mieście, jako i na wsi: tam zaś najszczególniéj, gdzie czernić cudzą sławę, ustawiczną jest posiedzenia zabawą.

Gdyby się kto nad tém chciał zostanowić, skąd wszystkie, albo przynajmniéj skąd większa część przygód i trafunków zwala się na ludzki naród: znalazłby, iż to wszystko czynią ziadliwe powieści, któremi się wzajemnie czerniemy.

Rzadki jest taki człowiek, któremuby obmowy zarzucić nie można, a przecię wszyscy na obmówców powstają, i nie inaczéj, tylko jak o najgorszym i najniebezpieczniejszym złego rodzaju

mówią. Można więc w powszechności powiedzieć, iż ta zaraźliwa choroba pochodzi z nienawiści ku całemu rodzajowi ludzkiemu; z chęci, aby nas poważano: z ambicyi, żebyśmy za oświeceńszych nad innych uszli; z powodu przypodobania się słuchaczom; z zazdrości wiodącéj na poniżenie tych, których dosięgnąć nie możemy; z osobliwości nakoniec, która odkrycie rzeczy tajnych za sobą wiedzie.

Ten który rzeczy gorszące objawia; z powodów, które go do objawienia wiodą, mniéj, lub więcéj wykracza. Skoro szkodzi, nic go usprawiedliwić nie może.

Łaskawi jesteśmy, i względni dla siebie: nikt się choć winny, do błędu nie przyznaje, osobliwie w obmawianiu: żeby więc ustanowić pewne w téj mierze prawidła, któreby zabiegały fałszywym wyrokom, życzyłbym, iżby każdy, który się sędzią cudzéj sławy obiera, nad tém się zastanowić raczył:

1) Jeżeli go to nie bawi i nie cieszy, kiedy słyszy, iż źle o kim mówią.

2) Czy nie jest lekkowiernym, gdy go złe wieści o drugich dochodzą, i czy na ówczas nie ma skłonności, raczéj źle sądzić, niż dobrze.

3) Czyli sam nie jest porywczym do rozsiewania takowych wieści.

Wróćmyż się do pierwszego wyżéj położonego zastanowienia, a poznamy w ówczas, iż ten który rad źle mówiących o innych słucha, obwieszcza, iż mu się zgorszenie podoba, a więc daje znać, iż sam ma do tego skłonność. Jeżeli go słuchanie obmowy cieszy i bawi, równie będzie bawić, cieszyć, gdy to, co usłyszał, innym opowiadać będzie; uczyni to zaś, skoro postrzeże, iż się słuchającym podoba. Potrzeba więc, ile możności, uskramiać w sobie ciekawość wiedzenia czynności postronnych, i szperania w zakątach cudzych domów: to albowiem i innym szkodzić może, a nam choćby i pomogło niekiedy, złemi jednak sposobami nie godzi się korzyści szukać.

Na fundamencie powtórnego zastanowienia się, wnijść wewnątrz siebie ścisłą uwagą każdy powinien, i bez uprzedzenia roztrząsnąć, czy nie zbyt łatwo nadstawia ucha, gdy źle o innych w przytomności jego mówią; i jeżeli w ówczas, nie jest mu milsze słuchanie skargi, niż usprawiedliwienia. Lekkowierność takowa pochodzi z wewnętrznego przekonania, iż sami nie jesteśmy bez winy; a więc byłoby i nam, a może więcéj niż innym, do wymówienia. Powiedział Teofrast, iż kłamca tak jest dalekim od prawdy, jak ucho od oka, a w tym wyrazie dał poznać, jak nie trzeba łatwo wierzyć temu, czego kto nie widział.

Trzebaby się i nad tém zastanowić, czy nie mamy skłonności obwieszczać tego sami, cośmy z krzywdą cudzą słyszeli. Kiedy się umysłu i serca choroba takowym sposobem obwieszcza, nieuleczeniem grozi: jak największego więc przykładać trzeba sta-

rania, iżby złe wkorzenione, o zgubę nie przywiodło; ale téż im większe w zabieżeniu okaże się męztwo, tém większego przezwyciężający siebie, szacunku będzie godzien; a w skutkach pożądanego uleczenia, znajdzie nagrodę cnotliwéj usilności swojéj.

Występek obmowy wielce jest niebezpieczny, a łatwo weń wpaść można; co dowodzi przykład z ludzi, po którychby spodziewać się tego nie należało. Mówię o pobożnych albo raczéj pobożność udawających, bo prawdziwa pobożność, gdy się na miłości bliźniego zasadza, tego co się jéj sprzeciwia, nie zna. Odstręczeni, czy stanem, czy przekonaniem, czyli zwyczajem od innych przywar, jakby nagrodzić sobie chcieli tę ujmę, wylewają się częstokroć ludzie nieprawie pobożni, na obmowę. A w tenczas, żeby i siebie samych, i drugich zwiedli i omamili, też samę miłość bliźniego, któréj uwłóczą, czynią narzędziem ziadliwości swojéj. Chęć nibyto poprawienia innych ostrzy ich usta, jakbyto drażniąc przestępnego, poprawić go można. Mniemana, bo z granic przyzwoitych wychodząca, żarliwość, nie daje im znieść tego, co widzą lub słyszą: a częstokroć przywidują im się rzeczy takowe, których w istocie nie masz; a choć i są niekiedy zwiększa wzrok ich zjadliwy postać onych, i zamiast gojenia, jątrzy bliznę, którąby się roztropném staraniem i obchodzeniem zawarła.

Jeszcze i to na uwagę wziąć nie zawadzi, iż największa liczba obmówisk, o uszy się tajemnie opiera. Delikatność niby to roztropna obmawiacza, oszczędza na pozór spotwarzonego, niektórym tylko wieść krzywdzącą powierzając, i już prawie pewna sekretu, usprawiedliwia się sama w oczach swoich. Ale czyli usprawiedliwienie jest słuszne, niech każdy raczy bez uprzedzenia osądzić; po większéj części albowiem piętno tajemnicy wzbudza gadatliwość, i sprawia chęć objawienia. Wielom powierzony sekret, już nie jest tajemnicą, a osoby którym się powierza, osobliwie zaś płci niewieściéj, za powinność to prawie mają, iżby oddać co wzięły, i tak powtórzone szeptanie na okrzyk głośny wychodzi.

Wielebym jeszcze miał rzeczy do przytoczenia, ściągających się ku ohydzeniu najszkaradniejszéj, a przeto najszkodliwszéj towarzystwu ludzkiemu przywary; zamykam jednak treść wszystkiego w krótkich tych, które tu przełożyłem, wyrazach.

O Przyjaźni.

Przez Klem. z Tańskich Hofmanową

Kto ma tego, co kocha, wszystkiego nie stracił,
Tysiąc frasunków nie raz rzut oka zapłacił.
Niemcewicz.

Prawie od początku świata, przyjaźń za najdroższy dar niebios po cnocie i zdrowiu uważaną była; trwa to zdanie dotąd, bo ktokolwiek kochać umie, żąda jéj, i łatwo się przekona, że

przyjaźń jedną jest ze znaczniejszych podstaw budowli szczęścia człowieka. Nie mam zamiaru opiewać jéj powabów, słaby głos mój nie dodałby jéj ani wdzięku, ani ceny: znało ją jednak serce moje, nie wzgardziła niém przyjaźń. Jéj winnam tysiąc chwil przyjemnych, ona pełnemi rękami sypała kwiaty po drodze życia mojego, w szczęściu, szczęśliwszą mnie czyniła, w umartwieniu słodziła kielich goryczy! Teraz, kiedy już śmierć coraz bardziéj zabójczą kosę do głowy mojéj przesuwa, ona wraz z uczuciami córki, żony, matki, zasłania ją przedemną, a obiecując mi życie w swém sercu, mniéj okropnym zbliżający się zgon czyni.

Sądząc po dawnych przykładach, mniemać można, że mężczyzni tyko zdolni są do prawdziwéj przyjaźni; w licznych wzorach przyjaciół starożytności, kobiet nie widzimy, zdaje mi się przecież, iż i sercu niewiasty nie może być obcą, i w niém gogodną siebie znajduje świątynię. Prawda, że próżność często bywa kobietom zagrodą do przyjaźni; lecz i między nami są takie, które umieją być przyjaciołkami; liczba ich nie wielka, bo téż nic rzadszego, nic świętszego, jak czysta i prawdziwa przyjaźń.

Gdyby niebo było ci zachowało siostrę; nigdybym ci innéj nie dozwoliła mieć przyjaciołki: nigdybyś wierniejszéj i lepszéj znaleść nie mogła. Złączone podwójnemi węzłami serca i natury, przyjaźń wasza, śmierciąby tylko zerwaną być mogła. Lecz kiedy takie były najwyższego wyroki, uledz im trzeba z uszanowaniem, i u obcych szukać odebranego ci dobra. Szczęśliwe zdarzenie ułatwiło to staranie. Już od dziesięciu lat pani Ł. przyjaciółka moja najdroższa, i prawdziwy wzór kobiet, nie daleko nas mieszka; jéj córka Aniela, dwoma tylko laty od ciebie starsza. Z radością widzimy, że te same skłonności, te same uczucia i zdania, które matki złączyły na wieki, dzieci coraz bardziéj wiążą. Znam twoje serce, Amelio! wiem, że nic zerwać nie zdoła przyjaźni prawie od pieluch zaczętéj i ugruntowanéj na cnocie; nie zalecam ci więc, abyś zawsze i jednakowo kochała Anielę, uczynisz to bez moich napomnień; chcę tylko wskazać ci niektóre obowiązki przyjaźni, i skłonić cię, abyś już nieszukała więcéj przyjaciółek; aż nadto szczęśliwa, żeś jednę prawdziwą znalazła!

Gdyby ludzie byli doskonałemi, przyjaźn żadnychby nie miała obowiązków, wolna od ulegania i wymagania, kochaćby jéj tylko zostawało; to uczucie wszystkoby objęło, wszystkiemu zadosyć uczyniło; ale że człowiek każdy błądzi i upada, że słabość i niedoskonałość jego wielkich wymagają względów; w najszczerszéj przyjaźni są powinności do dopełnienia. Kładę w ich rzędzie, może być niesłusznie, starania wzajemne, pobłażanie i zupełną ufność.

Zazwyczaj człowiek, żeby był przekonanym o przywiązaniu, jakie wzbudził, potrzebuje dowodów. Szczęściem dla niego, pora czynienia wielkich ofiar, dawania w wielkich rzeczach ozna-

ków przyjaźni, ledwie raz w życiu się trafi, a codziennie mamy możność czynienia małych przysług, okazania w drobnych rzeczach naszéj życzliwości. Nie zaniedbuj téj sposobności, Amelio! nie opuszczaj żadnéj pory, w którejbyś mogła okazać Anieli, ile ją kochasz. Nie podobna abyście wyłączając się od wszystkich ludzi, żadnych nie miały słabości; nie tając ich przed sobą, wybaczajcie sobie wzajemnie, szukając wspólnych do poprawy środków. Z mniejszą boleścią spełniamy przykrą ofiarę, łatwiejszy do dopełnienia najtrudniejszy obowiązek się staje, kiedy wiemy, że serce nas kochające ocenić go potrafi. — Świadectwo własnego sumienia, przekonanie, że Bóg otwarte ma oczy na postępki nasze, powinnyby zadosyć czynić żądaniom człowieka; ale słabość i czułość póty mu zupełnie zaspokojonym być nie dozwolą, póki istota równie jak on czuła, nie podzieli tego uczucia. Znał ułomności człowieka Ten, co go stworzył; a we wszystkiem hojny i wspaniały, dał mu szlachetne sposoby uczynienia im zadosyć. Jednym z nich jest przyjaźń, w niéj bowiem człowiek znajduje zawsze ulgę w cierpieniach, zachętę w przeciwnościach; drugie sumienie, które lepiéj niż kto inny, cnoty nasze oceniać umie, i najdelikatniejszéj miłości własnéj pochlebiać potrafi, — Bez zupełnéj i wzajemnéj ufności nie ma przyjaźni; jednę duszę, jedno serce dwie powinny mieć przyjaciółki; i ten obowiązek nic z obu stron nie kosztuje, bo z osobami ukochanemi dusza jest w ustach, i trudniéj byłoby ukryć uczucie jakie, niźli je wyjawić. W szczególnych tylko zdarzeniach, jedynie z rozkazu ojca twojego, a późniéj męża lub rozsądku, możesz wstrzymać powierzanie się Anieli. Po mojéj śmierci wiele sobie korzyści z czułéj waszéj przyjaźni obiecuję. Aniela dwoma laty od ciebie starsza, ułożenia powolniejszego, a nadewszystko doskonałéj matki córka, więcéj ma daleko od ciebie rozsądku i doświadczenia, znasz to sama, Amelio! i przyjaźń twoja zwiększa się jeszcze szacunkiem; mam więc nadzieję, że pojdziesz zawsze za jéj przykładem, i radami.

Kochając tyle Anielę ile ją kochasz, znając jéj cnoty, jéj przywiązanie do ciebie, osądź sama, córko moja! czy masz jaką potrzebę szukania więcéj związków; wierz mi, przestań na tym jednym. Ile prawdziwa przyjaciółka dobrego, tyle zmyślona złego sprawić może. Kochając wiele, trudno dobrze kochać. — Mnie aż nadto wielką czułością obdarzyło niebo, a jednak w powzięciu przyjaźni, nigdy łatwą nie byłam, i prawdziwie jednę tylko panią Ł. kochałam i kocham.

Skoro tylko powoli potrafię przyzwyczaić męża mego do téj myśli, iż rozłączę się z nim wkrótce, przedstawię mu, ile do dokończenia twojéj edukacyi, do zapewnienia nawet szczęścia twojego nadal, ile mówię, jest potrzebném, abyś świat i ludzi więcéj poznała. Młoda osoba, która nigdy nie wyszła z rodzicielskiego domu, zawsze spokojne i jednostajne dni pędziła, je-

den tylko zna ułamek wielkiego obrazu życia ludzkiego, jest jeszcze bez doświadczenia, i tysiączne grożą jéj przygody. Brat nasz pułkownik ma jak wiesz, najsłuszniejszą kobietę za żonę, mieszka z nią w Warszawie, pragnę, ażeby mąż mój do niego pojechał, i ciebie pod pieczą Stryjenki, jak już będziesz miała lat ośmnaście, w świat wprowadził. — Przestrogi moje i zdania, jakim sposobem wtedy postępować powinnaś, zatrzymają mnie jeszcze na chwilę. Już codzień sił mi ubywa, spieszyć się trzeba!... Teraz mówiąc o przyjaźni, nie chce przepomnąć płochéj i zdradliwéj. — Powszechnie kobiety na większym świecie żyjące, chcąc przybrać na siebie pozór czułości, bez końca przyjaciółek liczą, a mając ich tyle, żadnéj nie moją prawdziwéj. Skoro i ty między ludzi wejdziesz, i w dalszym biegu życia twego, znajdziesz wiele niewiast mających ochotę łączenia się z tobą; odstręczać ich, i niegrzecznością przychylność odpłacać, byłoby niedelikatnie; ale można słuszną zachować miarę: przyjmować ich grzeczności, oddawać podobne na wzajem, ale nie przypuszczać ich nigdy do poufałości, ani nadto ufności w nich pokładać. Nie bądź niczyją powiernicą, i nikomu prócz ojcu, Anieli, i mężowi, jak go mieć będziesz, skrytości serca twego nie otwieraj. Wystawić sobie jeszcze nie możesz, jak smutne ciągną za sobą skutki te nagłe zabierania przyjaźni między młodemi osobami. Parę dopiero niedziel jak się znają, a już wzajemnie najskrytsze sobie tajemnice powierzyły; krewnym, znajomym nie przepuściły; słowem: nic przed sobą nie tają. Podobna przyjaźń jak skojarzona prędko. rozrywa się także z równym pospiechem; przyjaciółka nieprzyjaciółką się staje, znając najskrytsze myśli téj, którą dopiero kochała, a teraz prawie nienawidzi, nie ma sobie za złe, wyjawiać sekreta złożone w dobréj wierze na jéj łonie. Ileż to ztąd powstało nieporozumień, swarów między rodzinam, ileż to szczęśliwych małżeństw rozerwało? liczne intrygi, czernienia, nieufność, z jakiegoż innego jeźli nie z tego poszły źrzódła? — Choć nie wszystkie płoche związki tak smutny mają koniec, każdy jednak jest niebezpieczny. Łącząc się bez zastanowienia i z prędkością z osobami mało znanemi, jakże można w nich odkryć jednakowość zasad, podobieństwo zdań, skłonności, koniecznie w przyjaźni prawdziwéj potrzebne? Przyjaźń do wzrostu długiego potrzebuje czasu; ilem ja widziała, dwoma sposobami ludzi wiąże. Jeden jest ten; kiedy serca, które za swoje obrała siedlisko, od dzieciństwa połączy, a z równego wieku, jednakowego wychowania, składa ogniwa tkliwego łańcucha: takim jest związek twój z Anielą. Drugi zaś jest ten, kiedy okoliczności podadzą nam sposobność w wieku już dojrzałym poznać osobę z sercem naszemu podobném. Wtedy obie strony ku sobie czują ponętę wzajemną, długo siebie uważają: serce zawsze prędkie odda się wkrótce, ale rozsądek nie dozwala tak nagłego uczuć wyjawienia; doświadczenie i przekonanie czekać każe.

W miarę jak ich nabywamy, okazujemy przywiązanie, a w przeciągu roku, dwóch lat, czasem i dłuższego czasu, wzrośnie dopiero prawdziwa przyjaźń, równie trwała jak pierwsza. Takim jest węzeł nieprzerwany łączący mnie z panią Ł. Porównaj z niemi inne związki raptowne, a przekonasz się: iż dwie muszą być boginie przyjaźni, jedna córka czasu i cnoty, druga dziecię dziwactwa i płochości. Niech serce twoje a bardziéj głowa, nigdy téj drugiéj nie zna, nic prędzéj zgubić młodéj osoby nie może. Choćby jéj wreszcie nie zdradziła świeżo nabyta przyjaciółka, choćby i lat kilka wierną jéj była, gorsze jeszcze czasem stałości jak niewczesności skutki. Słyszałam mówiących wielu światłych i rozsądnych ludzi, że na wielkim świecie nierównie niebezpieczniejszemi są kobiety, niż mężczyzni dla kobiet. Mężczyzna nigdy tak wolnego przystępu, nigdy takiéj nie ma poufałości, i jeżeli chce zgubić młodą osobę, otwarciéj postępuje w téj mierze; każda mająca mało próżności, a wiele rozsądku, ujdzie łatwo sideł jego. Najświatlejsza, najcnotliwsza niewiasta, kiedy bez zastanowienia związki zawiera z osobami płci swojéj, nie uniknie spisku, i wkrótce albo rozstać się z przyjaciółką będzie musiała, albo téż przyjmie jéj wady i sposób myślenia.

Przez cały bieg życia twego, Amelio! bądź z uszanowaniem dla niewiast sędziwych, z szacunkiem dla zasługujących na powszechną wziętość i uwielbienie, z grzecznością dla wszystkich; ale przyjaźń, poufałość, ufność, dla jednéj tylko zachowaj Anieli, bo powtarzam, dosyć jest mieć jednę przyjaciółkę. Gdybyś jéj jeszcze nie miała, radziłabym ci czekać równie szczęśliwego związku jak ten, który mnie z panią Ł. skojarzył. A jeśliby cię takie szczęście nie spotkało, wolałabym, żebyś wcale przyjaciółki od serca nie miała, jak żebyś zły uczyniła wybór.

Podróże.

Przez Stef. Wittwickiego.

Z żadnego kraju nie spotyka się, (osobliwie w stolicach Europy), tylu ustawicznie wojażujących, co z Anglii i Polski. Ale całkiem jest co innego wojażowanie angielskie: a wojażowanie polskie. — Obaczmy tylko.

Anglik, u którego w domu panuje drożyzna, jedzie często przez samę oszczędność; pobytem za granicą nieraz sobie majątkowe interesa naprawia, i bywa to więcéj jeszcze kalkulator, czasem skąpiec, niż wojażer; Polak, mając swój kraj najtańszy w świecie, jedzie zawsze przez zbytek, i bawiąc u obcych, zazwyczaj fortunę nadwereża.

Anglik, jest to człowiek z narodu najbogatszego; Polak, z najuboższego.

Anglia ma już jak najmniéj u siebie potrzeb, wszystko so-

bie opatrzyła, sprawiła, zagospodarowała, uchodzi jéj przeto cokolwiek i pozbytkować; Polska, najkonieczniejszych nie ma zaspokojonych, wszystko u niéj w domu jest do zrobienia, do fundowania, sam dom jeszcze do wykupienia!.

Angielska familia, (nie mówiąc chyba o niezmiernie zamożnych), wojażuje jak najskromniéj, bez służącego, często bez swego pojazdu, bez kupna mnóstwa rzeczy, bez żadnego niepotrzebnego wydatku: polska, trąbiąc nasamprzód wszędy tytułem, ma liberyę, ma swój pojazd, albo i dwa, kupuje nowe, kupuje tysiące rzeczy, stroi się, częstuje, zbytkuje, szasta pieniędzmi, choćby pożyczanemi, gra rolę panów, słowem, dla tak zwanego rezonu polskiego, żyje jakby miała dziesięć, piętnaście, dwadzieścia razy większą fortunę niż ma.

U Anglików, któż to wybiera się w obce kraje? kto w obcych krajach życie chętnie pędzi?... oto zwykle nie mylord, nie człowiek większego znaczenia, lecz jakis dorobkowiec, jakiś John-Bull, jakiś nie bogaty mnóstwa dzieci właściciel, nic w ojczyznie nie znaczący i zupełnie nie znany. U Polaków, przeciwnie, jest to przedewszystkiem rzecz panów, najznaczniejszéj szlachty, takich właśnie, co z imienia, z majątku, z położenia są na czele narodu, dają w nim przykład: to też za niemi zaczęli wojażować wszyscy, i dzisiaj byle szlachcic, nie raz byle szlachetka, pnie się na wojaż.

Polak, mówię polski dziedzic, ile razy wyjedzie z kraju, uważać się prawie może, dla stosunków z ludem wiejskim, w położeniu urzędnika oddalającego się od urzędu, (każdy bowiem nasz dziedzic wiejski, jest to piastownik bardzo ważnego urzędu, i tak wsi swojéj, klucza swojego pilnować powinien, jak urzędnik swojego bióra); Anglika położenie jest zupełnie inne, i obowiązki, które tu ciężą na Polaku, jego bynajmniéj się nie dotyczą.

Gentleman angielski puszcza się w podróż z przekonaniem — (to przekonanie odbiera z narodowego wychowania i z całego trybu życia, które u niego jest przedewszystkiem szczero-angielskie) — z przekonaniem mówię, iż choć jest co na świcie, tu, owdzie, nie złego, nie brzydkiego, jego jednak Anglia, stara Anglia! wszystko ma daleko lepsze, daleko piękniejsze: jedzie z ciekawości tylko nie z miłości rzeczy obcych: wraca więc równie gorliwym, szczerym i zabitym Anglikiem jak wyjeżdżał, równie serdecznie jak wprzody we wszystkiem co angielskie, co jego rodzinne, rozkochany. Pan polski jedzie z domu przez miłość i wielbienie zagranicy, przez cudzoziemczyznę; przekonany, iż choć w Polsce jest może co niezgorsze, nieszpetne, za granicą wszystko bez porównania lepsze, piękniejsze, doskonalsze: spieszy do miejsc, o jakich od najmłodszych lat nie słyszał mówiących inaczéj jak z uniesieniem: wraca naturalnie zimniejszym jeszcze, bardziéj upokorzonym w duchu Polakiem, mniéj niż kiedykol-

wiek narodowcem, od wszystkiego co ojczyste, co krajowe, więcéj jeszcze niż pierwéj odrażony, zniechęcony, odcięty.

Z pierwszych familii angielskich podróżują szczególniéj tylko mężczyzni; z polskich mężczyzni i kobiety: kobiety ochoczéj prawie, i przez nie, bardziéj jeszcze jak przez mężczyzn wojaże stały się u nas rzeczą tak popularną i tak szkodliwą. Anglik w kilka godzin jest już we Francyi, w moment przeniesie się się może z Londynu do Paryża, do Brukseli, i t. d. jak najłatwiéj, jak najtaniéj, wojaż swój licząc nie raz jeżeli nie na godziny, to na dni: u nas, liczy się zazwyczaj nie tylko na miesiące, ale na lata całe, i już dla tego samego połączony z niesłychaném mnóstwem trudności, kosztów i szkód.

Przydajmy nakoniec, iż jeżeli wojaż, i jako zabawa, mogąca być tylko właściwa u narodów bogatych i szczęśliwych, jako ogromny wydatek, wycieńczający kraj z gotowizny, i jako oddalenie się od wielkich obowiązków miejscowych, jest dla nas rzeczą niestósowną i szkodliwą, tedy ta okoliczność, iż w zwyczajach życia wszystkiéj przedniejszéj szlachty polskiéj stał się, od kilkudziesięciu lat, niezbytą niemal koniecznością, tem bardzéj go jeszcze, jako złe szeroko rozpowszechnione, potępiać każe. Nie zasłaniajmy się przeto Anglikami, bo naprzód, jak z góry powiedziałem, wojażowanie angielskie jest co innego, a wojażowanie polskie téż co innego; nie na to przecie patrzyć trzeba, czy kto inny jaką rzecz robi, lub nie, tylko czy ta rzecz jest dobra, czy zła.

O Duchu Poetyckim w Narodzie.

Przez St. Wittwickiego.

Powiedział jeden ze sławnych naszego wieku ludzi**): iż najwięksi na téj ziemi poeci są właśnie ci o których ona niewie, i którzy nigdy tém nazwiskiem nie są mianowani. Jakkolwiek w takiém twierdzeniu jest więcéj może śmiałości niżeli precyzyi, niewątpliwa wszakże że *poezya*, nie jestto to samo co *wiersze*: że nie mierzy się średniówką, rymem, albo strofą; że można być poetą nie ułożywszy w całém życiu ani dwóch wierszy, jak znowu można nim nie być narobiwszy ich i nadrukowawszy bardzo wiele, a nawet dobrych. Nie jeden np. podróżny który patrząc na wschód słońca, albo inne podobne widowisko przyrodzenia, zapomniał się**), rozpłakał, i blaskiem zachwyconego czoła odstrzelił ku niebu; niejeden człowiek wielkich i gwałtownych uczuć, który mając pomścić się na swym okrutnym nieprzyjacielu, podawa mu rękę, i wzniosłszy się nad błędy

**) Byron.

*) W tém słowie niemasz tu precyzyi. i należałoby raczéj powiedzieć: przypomniał się.

ziemi, przyciska go do piersi jako brata: taki, lub jemu podobny, ma zapewne więcéj w sobie poezyi, niżeli dziesięciu jakichś uczonych, jakichs rymotwórców, którzy dzień i noc czytają i piszą wiersze. A jako w ludziach pojedyńczych rozróżniamy poetów od wierszopisów, tak również, mówiąc o narodach w ogólności, nie należy sądzić o ich poetyckim duchu z większéj lub mniejszéj liczby autorów rymujących, albo tomów rymowanych. Dowodzi tego samże naród polski. Może żaden inny nie napisał tak mało wierszy; a może żaden z nowoczesnych nie był całym ciągiem swojego życia narodem więcéj poetyckim. Trudno to o tém mówić bardzo oczywiście i wyraźnie. Aby poezyę widzieć, potrzeba smieć na nią patrzeć. Nie ujrzy tęczowych kolorów słońca, kto patrzy zwyczajnym wszystkich ludzi wzrokiem. Myśl ma także swój pryzmat. Dopieroto przez niego przechodząc widoki tego światła malują się na duszy w kolorach poezyi. Gdybyśmy przez taki pryzmat poety mogli pojrzeć na dawną Polskę, i objąć na raz całe koło jéj dziwnych dziejów, jakież to obrazy, kształty i malowidła wystąpiłyby przed naszém okiem z jéj podań i przygód, z jéj układu i życia, z jéj błędów i nieszczęść!

Ci zaraz aniołowie, nawiedzający progi ubogiéj chatki kołodzieja, łączą nas widomie ze światem innym, nad-ziemskim, przybijają od razu myśl naszę do nieba, i będą godłem naszéj wiary. Owa jeszcze dziewica-rycerka, poświęcająca własne szczęście dla dobra wszystkich, i ginąca w falach Wisły, czyliż nie dobrze wyobraża Polskę, zawsze pełną młodzieńczego uczucia, przenoszącą zgon nad wiarę? W dalszém rozwijaniu się życia narodowego, publicznego, jakieżto osobliwsze, jak poetyckie wejrzenie téj dziwnie w sobie zaplątanéj szlacheckiéj Rzeczypospolitéj, gdzie poważna szlachta zgromadza się w krzykliwych zjazdach szukać między sobą *króla*, jak niegdyś on sławny dziwak pierwotnéj Grecyi szukał między ludźmi *człowieka*. Czémże był ów znaleziony, ów, jak go zwano, *pierwszy między równymi?* Nie przypominałyż się tam nigdy igrzyska młodzi swobodnéj i żyjącéj w świecie urojonym, która nieraz w zabawach i marzeniach swoich mianuje między sobą rozmaite urzędy i dostojeństwa, jakie w istocie są tylko zmyśleniem, fikcyą, formą malowniczą? A przecież co za pomieszanie sprzeczności! Do ręki króla co największemu zuchwalcy ledwie pogrozić zdołała, sędziwi senatorowie przystępują z ucałowaniem; po zgonie jego, naród sierota okrywa głowę żałobnym kapturem, i wszelkie swe sprawy zawiesza na obchód klęski powszechnéj.

I kogoż nie uderzy ta żadną koleją wypadków nieukrócona żądza bojów i chwały; przeniesienie domostwa w obóz; i obok tego niepojęte, dobrowolne marnotrawienie najpomyślniejszych wydarzeń? — owa obojętność na wszelkiego rodzaju korzyści; odstąpienie domowych pożytków cudzoziemcom i przychodniom;

wstręt od zatrudnień cierpliwych, łatwych i pospolitych; gotowość na śmierć, tu dla obrony zagrożonego sąsiada, tam na głos naczelnika wiary? — To pełne namiętności, romansu, wypadków i zawikłania ogromne drama obrad sejmowych; nieporównana odwaga, jéj powodzenia i tryumfy, i zawsze prawie dziecinna nieumiejętność obrócenia czegokolwiek na własne dobro i bezpieczeństwo i ta rozpusta szalonéj wolności, gdy każdy był wyższy nad wszystkich razem i jedném swém słowem wszystkich zabijał; owe hałasy i bitwy gawiedzi sejmikujących po całym kraju od morza do morza, co zalegając nawet świątynie Pańskie przed żadną siłą ludzką nie chciały się uciszać, i dopiero na widok hostii czołem padały; ów znany chléb *dobrze zasłużonych;* ta bez granic gościnność; żadną przygodą nieskłócony humor dobréj myśli i wystawności, trawiący najogromniejsze fortuny; powszechne, jednomyślne zaufanie w jutrze; ślepe spuszczenie się na Opatrzność. Zaiste nie bardzo tu potrzeba pryzmatu, o którym się wspomniało, aby z tego zagmatwanego kłębka tylu osobliwości, aby z téj nabitéj mieszaniny rzeczy najsprzeczniejszych, Bóg wie jakich, i nigdzie indziéj niesłyszanych wysnowała się taśma jak najrozmaitszéj poezii. Cóż powiedzieć o życiu powszedniém, rodzinném téj staréj, rozkołatanéj Polski? O zajazdach i burdach szlachecczyzny, o dworach magnatów, o ich partijach zbrojnych, ich weselach, pogrzebach, ich przejazdach z dóbr jednych do drugich, gdzie ciągnąca karawana nieraz na przestrzeni mil kilkudziesięciu rozwlekała się po kraju hucznie i zbrojno jakby najście nieprzyjaciela, i kiedy jeszcze przed półwiekiem jeden z takich prywatnych królów używał do swych przenosin z rezydencyi jednéj do drugiéj, około czterystu koni i piętnastu wielbłądów? *) Prawda że nas to wszystko na końcu zgubiło; to jednak nie przeszkadza widzieć rzeczy jak były w istocie.

Ten duch poetycki polskiego narodu postrzegać się daje na każdéj niemal karcie jego dziejów dawnych i nowych. Onto n. p. przyprawiał niegdyś skrzydła do ramion husarzów, i rycerzy przedzierzgiwał w ptaki; on jeszcze za dninaszych stanął widomie na mogile *Kościuszki*, i nowa góra wyrosła na Wisły wybrzeżu. Naród który tak wojowników swoich ubiera do boju, który poległym takie nagrobki stawia, zaprawdę jest świetnym, wzniosłym poetą.

Co się tyczy saméj dawnéj Polski, jakażto się pokaże dziwna, jak poetycka i fantastyczna figura, gdy kiedyś pod ręką sztukmistrzów wystąpi na widnię w zupełnéj swéj postaci, we wszystkich swoich rysach, kształtach i cieniach! Ogólnie mówiąc, i mierząc rzeczy na wielką skalę, jeszcze ona nie znalazła sobie malarzy, muzyków, poetów piśmiennych. Ukończyła już i zam-

*) Książe Adam Czartoryski, jenerał ziem Podolskich.

knęła życie codzienne, rzeczywiste, dla historyi; jeszcze go nie wyraziła, nie odbyła życiem sztuki dla sztuki.

Nowa nasza literatura poczęła wyprowadzać ją nieco na światło. Jakaż to w niéj n. p. porywająca osoba ów Miecznik nieodżałowanego autora *Maryi!* Twórczy dowcip *Mickiewicza* zwrócił się takie w tę stronę w ostatniem swem dziele: wykonał je z zachwyjającą okrasą i blaskiem. Tylko że w *panu Tadeuszu* dawna Polska jest pokazana, że tak powiem, z szarego końca, i w tarataice folwarnéj, zaściankowéj; wreszcie już upstrzona i rozrobiana cudzoziemszczyzną, co pójść naturalnie musiało za osadzeniem treści poematu w czasach ostatnich.

Polska między rozmaitemi osobliwościami, co na nią niegdyś kładły piętno tak wyraźne i odrębne, miała także pewien wyłączny rodzaj poetów ustnych, tradycyjnych, dziwnie jéj przypadający do twary, który nigdzie indziéj nie był tak obyczajom narodowym właściwy, i nigdzie téż tak nie kwitnął. Tu jest miejsce o nim wspomnieć.

Życie narodowe dawnéj szlacheckiéj Rzeczypospolitéj kiedy bywało wywrzeje na placach bitew, wyszumi w hałasach sejmikowych i trybunalskich, nie znajdowało już dla siebie żadnego pola publicznego. Wiadomo że polska szlachta, jedyna w świecie do szabli i sejmowania, nie lubiła okropnie pracy cichéj i mozolnéj kunsztów, rzemiosł i handlu. Odstąpiwszy w tym względzie cudzoziemcom wszelkich zysków i chluby, niecierpliwa i porywsza potrzebowała koniecznie ciągłego ruchu i gwazru. Gospodarstwo rólne nie było dla niéj nauką, umiętnością, ale raczéj zabawą i prostem lubownictwem przyrodzenia. Widok łanów, puszcz, stawów, zajmował ją spokojniéj wprawdzie lecz nie mniéj żywo i łatwo jak w innéj chwili zgiełk bitwy, jak spory i kłótnie obradowe. Szlachcic wróciwszy z wojny lub sejmuku, nie miał w domu co robić, więc objeżdżał krewnych, powinowatych, przyjaciół, albo spraszał gości do siebie, ucztował, bawił się, i gadał Przy takiem życiu talent opowiadania musiał oczywiście niezmiernie popłacać; powszechnemi wyścigi musiał się rozwijać i kształcić. Goła prawda, zwyczajna rzeczywistość nie mogły dość silnie chwytać uwagi ucztujących słuchaczow; biegła w pomoc wyobraźnia; rosły dziwne powieści: a ich twórcy i układacze tak robili mimo wiedzy najprawdziwszą poezyę, jak owa znana osoba *Moliera* mimo swéj wiedzy gadała prozą. Nic bylito młodzi, sentymentalni minstrele, nucący tkliwe, a najczęściéj cudze piosnki przy dźwięku lutni czy gitary o jakimś oddalonym rycerzu lub tajemniczéj księżniczce, i obchodzący dla zarobku zamki baronów; ale bylito rubaszni, wąsaci, i podeszli w lata szlachcice, w towarzystwie równych sobie panów — braci i kandydatów do korony, błyszczący tokajem i serdeczną wesołością, opowiadający głośno i poważnie własne zmyślenia, ucinki i historye o rzeczach domowych, o wypadkach

miejscowych, o osobach znajomych i obecnych, zagłuszane wrzawą szlachty braci pijącéj i zanoszącéj się od śmiechu, przy zgiełku i uwijaniu się mnóstwa służby i dworskich, odgłosie nieskończonych tytułów i wielmożeństw, malowniczych postawach i zamaszystych ruchach biesiadników, poprawiających wyloty i lite pasy, iskrzących spinkami, wygoloszą czupryną, i bogatą materyą różnokolorowych kontuszów i żupanów, podczas gdy tuż za oknami i pod ich okiem dziarska i krzepka młodzież na obszernym dziedzińcu ujeżdżała dzianety, toczyła do pierścienia, i tratowała wyrobione z papieru albo drewna łby Turków i Tatarów Dla tych szczęśliwych ludzi, śród takiéj pełności życia powszedniego, tłumu kompanii, hałasu i uciech nieustannych, i dla których cały pobyt na ziemi był, można powiedzieć, jedną ucztą huczną: dla tych, mówię, ludzi dawnych, najkrótsze dumanie przemieniało się w nudy; świat książkowy, piśmienny, był martwy, ciasny, i ckliwy. W rzeczy saméj, nie lepiéjże być i czuć się szczęśliwym, jak o szczęściu myśleć i rozprawiać? Nie miléjże żyć poezyą jak powietrzem, niżeli układać wiersze? Spytajmy się ludzi, o których jeden z ich starszych powiada, iż mają zawsze wolne wejście do nieba, spytajmy się poetów, kiedy to zachwycenie daléj ich tam zanosi, kiedy są najbardziéj poetami: czy gdy np. w towarzystwie natury i zapominając wszelkich względów ludzkich, kąpią się, jak kwiaty w rosach poranku; nucą w duszy pieśń niewydaną, jak szelest liści ginący pod skrzydłem wiatru, i żyją życiem orła co z więzów wyrwany, powraca górą, samotny, w gniazdo swe odległe: czy też gdy uchyleni nad kawałkiem papieru, łapią rymy, i przemazują wraz inne wyrazy, które jak sługi nieczułe i bezduszne nigdy im dogodzić niemogą? Życie poetyckie naszych przodków było nadto bujne i obfite, aby się miało wyłożyć na papier. To też o ich duchu poetyckim nie można brać miary z tego co napisali. Tylko improwizacya była im właściwa; a ta znajdowała pole w opowiadaniach owych poetów ustnych, domowych, nieznanych samym sobie, o których wyżéj się wspomniało: gdzie też zamknęła się i została cała poezya przeszłych naszych wieków. Przechodziła ona z pokoleniami razem z ich życiem rzeczywistém, którego była nierozłączną towarzyszką. Imiona szczęśliwych opowiadaczy, znane i lubione w kołach rodzinnych i przyjacielskich, jeszcze czas pewny po ich zgonie przechowywały się na miejscu: zachodząc dopiero ze śmiercią ich niegdyś słuchaczów i spółbraci: powieści ich i tworzenia ledwo kiedy niekiedy odbijały się dalszą tradycyą w cienkich, słabych i coraz gasnących odbłyskach. Cóż tym ludziom znaczyło że o nich potomność nie miała wiedzieć, że przemijali jako blask dnia jednego, że o ich gościnie na téj ziemi ani się domyśleć, miały późniejsze jakieś zasępione pismaki?... *sobie śpiewali nie komu; swe nie cudze rzeczy.**) A

*) Zimorowicz.

w tém samém tak szczerém niedbaniu o najjaskrawsze cacko ziemskie, które przezwano nam *sławą*, w tém zupełném wylaniu się i zamknięciu w chwilę obecną. ileż było siły i świeżości ducha, ile poezyi! Tak bez żadnéj rachuby ptak buja po powietrzu: tak kwiat wydaje woń lotną, i upadnie nie zostawując jéj po sobie.

O wielkości w charakterze przodków naszych.

Przez Zygmunta Kaczkowskiego.

My nie umiemy ani sobie wyobrażenia zrobić, jak wielcy ludzie byli nasi przodkowie. I naturalnie, bo skądże mamy powziąść o nich wyobrażenie? Romanse francuzkie nic o nich nie mówią, gazety niemieckie także nic z goła, powieściopisarze nasi nie tykają historyi, bo do tego potrzeba gruntownéj i długoletniéj nauki, a jeżeli ją tykają, to wyciągają z niéj tylko brudy i zbrodnie, a ich postacie historyczne są tak do nieboszczyków podobne, jak oni sami do swoich pradziadów, jeżeli mieli kiedy pradziadów; zaś historycy nasi, nie tylko że mało trudnią się tém, ażeby dawać obrazy wielkich charakterów i wielkich ludzi, ale nawet wiadoma rzecz jest, iż umyślnie fałszują fakta, albo je przynajmniéj tak nakręcają, ażeby nie nauczały historycznéj prawdy, tylko ażeby służyły za dowody ich nowym politycznym albo socyalnym teoryom. Wyobrażenie tedy prawdziwe u nas o przodkach może mieć tylko ten, kto czyta kroniki i herbarze: tymczasem kronik nieczytają u nas nawet ci wszyscy, którzy mają się za uczonych, albo którzy są autorami, a herbarze toż-to rzecz tak potępiona przez opinię publiczną, że z tych, którzy je mają w swém posiadaniu, ledwie dziesiąty odważy się przyznać do ich własności. Dla tego my ani pojęcia nie mamy o tém, z jakiéj jesteśmy ukuci materyi, ani wyobrażenia o owych starożytnych cnotach, które nam są przekazane w spuściznie i owym kolosalnym rozumie, który wykształciwszy się na piśmie Świętem i starożytnéj mądrości, był prostym jak ich umysł i serca, ale przez to tak wielkim, utrzymywał na sobie państwo tak ogromne, tak możne i silne przez tyle wieków. A ta wielkość zbiorowa składała się przecież z wielkości pojedyńczych! Ale my, jak nie umiemy należycie ocenić naszego własnego stanowiska na świecie, tak téż nie mamy własnego wyobrażenia o stanowiskach jakie zajmowali nasi ojcowie. Różnica pomiędzy temi obudwoma stanowiskami jest wielka, ale też taka sama różnica jest między ludźmi, Ale i téj różnicy nikt u nas nie pojmuje i nie pojmie jéj żaden, bo do tego pojęcia przyjść można tylko przez studyowanie historyi pojedyńczych rodzin. Trzeba zacząć od czasów najdawniejszych i iść z ojca na syna przez całą historyę. Tak idąc i doszedłszy do czasów Sobieskiego, zrozumiemy dopiero jakie były tam cnoty i rozumy, stojąc na Sasach już tamci ludzie znacznie w naszych oczach wyrosną,

patrząc na nich z wieku Stanisława Augusta, wydadzą nam się jeszcze większymi, ale cały blask ich moralnéj potęgi przezstawi nam się dopiero wtenczas, kiedy staniemy na samych sobie. Wtenczas téż dopiero pokaże nam się cała nasza małość i karłowatość. A jak my mali jesteśmy sami w sobie, to przechodzi wszelkie pojęcie. Nawet nie mali, ale niczem zgoła jesteśmy; bo wszystko co mamy, co się jeszcze jakokolwiek świeci dziś na nas, nasz rozum plemienny, nasze szlachetniejsze oczucia, nasze jakiekolwiek cnoty domowe, naszéj poczciwości troszeczka, nasze imie i sława, nasze majątki, nasz chleb codzienny nawet, wszystko to jeszcze od nich. My swego własnego nic a nic na sobie nie mamy, my szlachta, bo nie mówię o dorobkiewiczach, cyganach i żydach, chodzilibyśmy z torbami, gdyby nie oni a nawet, jeżeli w upadku naszéj fortuny doświadczamy pomocy, to i ta pomoc pewnie jeszcze od nich pochodzi!....

Tak mówił pan Demboróg. Tadeusz go słuchał z uwagą i chociaż może po raz setny już słyszał to zdanie, jednak miał wielką ochotę staruszkowi zaprzeczyć. Tadeusz bowiem, lubo także był wielbicielem wielkości przodków, jednak wiedział dobrze o tém, iż u nas, jeżeli jedni téj wielkości całkiem nieznają, to drudzy znowu za nadto ją przesadzają. Prawda jest, że jasne i dokładne wyobrażenie o charakterach wielkich figur dziejowych może dać tylko studyowanie historyi pojedyńczych rodzin, ale trzeba zarazem wiedzieć, na czém się zasadzają te studya. Kroniki i Herbarze, lubo stanowią ich główną podstawę, jednak jeszcze nie stanowią wszystkiego, a dokładne studyum zrobi dopiero ten, kto wyczerpnie wszystkie źródła; a jużciż ważnemi do tego źródłami są djaryusze podróży i pochodów wojskowych, relacye wojenne, testamenta, kazania pogrzebowe i przedślubne, mowy weselne i okolicznościowe, działy majątkowe, dedykacye, akta sądowe, listy prywatne i tym podobne rzeczy. I prawda jest, że zebrawszy wszystko, co się do historyi jednéj rodziny odnosi, można o członkach téj rodziny zrobić sobie jak najdokładniejsze wyobrażenie, ale czy to wyobrażenie będzie prawdziwe, zachodzi wielka wątpliwość. Jeżeli bowiem zwracamy naszę uwagę na przeszłość jakiéj rodziny, to była to pewnie rodzina można i znakomita, a ile takie rodziny mogły w Polsce i jak dbały o swoje znaczenie i sławę, to rzecz wiadoma. Pomiędzy temi źródłami tedy niezawodnie nie znachodzi się nic, coby dawało świadectwo jéj stronom słabym: i jeżeli w testamencie nikt swych spadkobierców nie gani, jeżeli nowożeńcom niewytyka nikt błędów i u dedykacyi nie pisze wyrzutów, toż ksiądz, który miał pogrzebowe kazanie, był zapłacony przez familiję, djaryusze pisywał pański podwładny, a relacyi wojennych autorem nigdy nie bywał nieprzyjaciel, daléj zaś idąc, trzeba powiedzieć, iż podczas kiedy wszystkie takie broszury, które mogły rzucać plamę na pojedyńcze familije były zawsze wyniszczonemi

tak, że mało która nas doszła, toż i autorowie herbarzów oglądali się na możność rodziny i kronikarze nawet, albo omijają całkowicie, alboli z ostrożnością napomykają o tém, co odkrywało stronę ujemną rodzin możnych i znakomitych. Do nas tedy pochodziły tylko wiadomości o cnotach wielkich i zbrodniach wielkich, które nie mogły być ukrytémi, ale o słabościach ludzkich tamtych czasów, o ich grzechach małych, wiemy zaledwie w ogólności, a przy studyowaniu charakterów pojedyńczych ludzi, jeżeli nam jakiś akt sądowy, albo list prywatny, albo z resztą zestawienie wydarzeń, nie odkryje jakiéjś strony ujemnéj, nie możemy prawie dojrzeć niczego innego prócz samych cnót wielkich, waleczności nieporównanych i olbrzymich poświęceń, — co wszystko jeszcze się staje o tyle wątpliwszém i na znaczne zmniejszenie zasługującém, ile że wiadoma rzecz jest, jak wszyscy starzy pisarze nasi byli rozmiłowani w sławie narodu swego, jakim zaszczytem było tę sławę w jakikolwiek bądź sposób powiększać i rozszerzać, i jak duch panegiryczny zawsze przeważał w literaturze. I owoż prosta i prawdziwa przyczyna, dlaczego umysłowi bujnemu i ciekawemu, a nieuzbrojonemu krytycznym wzrokiem, tak bezwzględnie wielkiem się wszystko wydaje w przeszłości.

O Sprawie Rycerskiéj.

Przez Marcina Bielskiego. Krak. 1569.

Nauka Rycerska jest potrzebna każdemu królestwu i rzeczypospolitéj: sprawuje się trojem obyczajem, to jest: rozumem, nauką i ćwiczeniem, gdzie jedno przez drugiego nie może być, bo aczby było, ale doskonałości nie będzie. Gdy na placu postawisz pachołka niezwyczajnego, jakoby niewiastę postawił. Przeto młodym ludziom trzeba na to zwyczaju i ćwiczenia, od starych mężów świadomych sprawy rycerskiéj, bo ci zwyczajem swoim lepszą śmiałość i naukę młodym podawają. Kto chce tedy dobrym mężem być musi te rzeczy w sobie mieć: rozumem się sprawować; nauką nieprzyjaciela przechodzić; doświadczeniem radzić; bo się żadny z tymi dary z matki nie urodzi, ani też doświadczenia żadnego mieć będzie, bez prace osobnéj swojéj i chuci, trzeba aby się innego nauka podparła, gdzieby tego zaniedbał za słusznego czasu, próżnoby miał na szczęście albo na mdłe przyrodzenie narzekać, gdyż te rzeczy na woli są każdego; a kto tym źle szafuje, szczęście mu nic nie krzywo, iż go opuściło, bo też szczęście za rozumem pochodzi. Jako jest ludzkie przyrodzenie złożone od Boga z ciała a z ducha, także je też i my na dwoje obracamy, jedno na zmysł, drugie na pracę; z pracy miewamy dobre mienie, dobre życie i bogactwa, ale z tym człowiek pospołu umiera, jako się urodzą, tak się starzeją, jaki ich początek,

takie dokonanie. Ale zmysł jest sprawą ludzkiego przyrodzenia, jest też wieczny i nieśmiertelny, bo jego pamięć wiecznie zostawa na świecie. Z płaczem tedy możem żałować niektórych ludzi patrząc: jako swą młodością źle szafują, podawając ją w zbyteczne obyczaje, to jest w chciwości, lenistwie, opilstwie, zapijaniu i w inne naruszone obyczaje, któremi swój wiek młody i zdrowie marnie utracają, a rozum swój i nauki, nad które niema nic lepszego przyrodzenie ludzkie, mimo się puszczają; gdyż jest wiele nauk rozmaitych pożytecznych, któremi człowiek mógłby sobie narządzić wieczną pamięć, sławę i poczciwą żywność przez rozmaite postępki w dzielności jakiéjkolwiek potrzebnéj, bądź to przez nauki pisma, bądź przez rycerskie rzeczy, przez urzędy, rzemiosła i inne wszelkie, które się w pocziwéj sławie zamykają, tego sobie nizacz mają, żywiąc, jako dobytek co tylko brzuchowi hołduje. Stądże i z wiela innych przyczyn pochodzi skaza pospolitéj rzeczy, iż leży jako na poły umarła; tak w radach, sprawach, jako i w rycerskich rzeczach, tuszęcy sobie źle mniemając, aby to zasie nie było naprawiane przez mądre a opatrzne ludzi, których jeszcze najdzie dosyć. Jako się tego wiele na świecie przygadzało, zwłaszcza na on czas u Rzymian i Greków. U Rzymian, gdy Scypio upadłą rzecz rzymską zasie swą opatrznością naprawił. Temistokles w Grecyi takież Atenianom, o czem pisałem szerzéj w kronice. Ci obadwa te dary wyżéj mianowane w sobie mieli, rozum, naukę, i ćwiczenie, któremi rzecz-pospolitą upadłą naprawili; nie tylko to sami chcieli umieć, ale i drugie ku temu przywodzili, zwłaszcza Scipio, po niewoli przypędzał, aby się rzucili do zbroi, a ćwiczyli rzeczom rycerskim, potym nieprzyjacielom odparli, i przymusili pod swe posłuszeństwo. Mając tedy i my na tenczas będące przed oczyma zacne dzieje starych waleczników, którzy swoją opatrznością zachowali swe żywoty, statki, żony, dzieci i wszystkie majętności w całości, rozumiejąc, iż takowe rzeczy nie przychodzą z rozkoszy, ani z próżnowania, przeto sobie taką radę obierali, która je do tego zawzdy miała i przywodziła sprawą swą: aby ustawicznie w pracy będąc, żadnéj rozkoszy mieć nie mogli, by snadź przez to potem nie upadli (jako jest natura ludzka k temu skłonna), przeto byli strachem nieprzyjacielowi zawzdy. Za słuszną tedy przyczyną zdałoby mi się też tu na tém miejscu nieco napisać o naszych sprawach niniejszego czasu, stosując je ku starym, zwłaszcza w rycerskich rzeczach, (gdyż każdy przykład pobożny jest rzeczypospolitéj potrzebny), aby nam ci, którym ten powód należy, do tego pomogli, jak obyśmy też takie ćwiczenie tu u siebie mieli, zwłaszcza młodych ludzi. A gdzieby to miało słuszniéj być, jedno u braciszków zakonnych w klasztorzech, których wiele jest na to nadanych, jedna przez niedbałość starszych nie przychodzi to, ani Bogu, ani nam ku pożytku; bo ci braciszkowie nie pobożnie żyjąc w próżnowaniu ni-

kczemnieją, mając na to dwoje conpatibilia, nabożeństwo w sercu, a miecze w ręku, to jest, aby i śpiewał i nieprzyjaciele bił kościoła świętego; pobożniejsze by to były preces, niźli nalewać feces, widząc naszę Polskę często złego sąsiada grać, a oni leżą próżnując, tyjąc jak wieprze w klasztorach: lepiéj aby brali przykład z tych cnotliwych rycerzów bratów swoich, które zowiemy bożego grobu. Ci to niedawnego czasu wielką posługę uczynili, i uczynić nie przestają, potrzebną wszemu chrześcijaństwn na wyspie Mellicie, broniąc się przez długi czas wielkiéj mocy tureckiéj, jako o tym będzie spisek osobny odemnie wydany; tak żeby mieli i drudzy braciszkowie przykładni tę sprawę u siebie w klasztorzech zachować, pamiętając na niniejsze i na przyszłe czasy, jako wszystkie rzeczy zawichrzone są, iż z tego odmętu nie możem nigdy wypłynąć, jeśli do wiosła mocy nie przyłożymy wszyscy. Ale iż te rzeczy, trudne się nam zdadzą być, dla starego obyczaju; przeto jeszcze za to będziem w tym odmęcie pływać, aż się Pan Bóg nad nami zlituje.

Już na tenczas tym rzeczom tu koniec pokładam, acz się było jeszcze więcéj mogło co ktemu przypisać, ale przypatrując się ludziom niniejszego czasu jako są rozmaitych rozsądków, affektów i zawiści, jeden ku drugiemu, jako je téż myśli wysokie sprawują widzimy; iż z swoich opinii a nie z pisma, ani z nauki *judicja* swoje różne dawają; tak w świętym jak w świeckim, tak *privatim* jako *publice* niewiem, jako to będą przyjmować zwłaszcza ludzie młodzi, którym się zda wszystko umieć, nie mając jeszcze doświadczenia żadnego, ani nauki. Przyszłym czasom nierozumieją, bo ich jeszcze nic niedolega takiego, skądby się obaczyć mieli, jako mędrzec powiedział: Błogosławione królestwo, które czasu pokoju stanowi sobie obronę na przyszłe czasy etc. etc. Także i nam tego potrzeba, abyśmy o sobie czuli, a zabiegali w czas swemu złemu, lepiéj niż po czasie, bo temu każdy może rozumieć, iż my w tych krainach będąc prawie w pośrodku wielkich monarchów świata, w pokoju być długo nie możem: bo ci mocarze na tém zawzdy są, aby przyczyniali swoich dzierzaw, a nigdy nie umniejszali; uchodziszli jednego, rozgniewasz drugiego, uchodziszli wszystkich, znajdzie lada przyczynę złamania przymierza. Patrzcież jeśli się tu wyśpimy, ono jadą od granic jeden za drugim z nowinami rzadko z dobremi. Jeśliby kto tak mówił: siedzieli naszy przodkowie w pokoju i my będziemy. Odpowiedź na to, iż nigdy albo rzadko w pokoju bywali. Walczyli najpierwéj z niemcy, o ty miejsca czyniąc, gdzie dziś siedzimy, o saską ziemię, o myszeńską, Czynili też długo z prusy pogany. Czynili z rusią, z czechy, z litwą, z prusy krzyżowniki, dziś z tatary, z moskwą, z wałachy, wie Bóg kiedy koniec temu będzie, bo się z czasy wszystko mieni. Cóż tedy innego mamy czynić, wybierając ze złego jedno lepsze? Opuściwszy wczesności domowe i gospodarstwa zbytnie, i swary o wiarę

niepotrzebne, obronę taką stanowić, którąby była pożyteczna rzeczypospolitéj; pamiętając na to, iż lepiéj jest poczciwie umrzeć broniący gardła swego, żon, dzieci, i wszystkiéj majętności, niżliby miał doma czekać haniebnéj a mizernéj śmierci, z boleścią wrzodu, albo przez niedbałość swoję, kto się czuje, obawy to lepiéj, ten bicz Boży rozciąga się po wszystkich narodziech, dla ludzkich występków, a końca mu niebędzie aż do skończenia świata, a to nagorzéj iż nie wiemy czasu ani godziny, kiedy ta plaga Boska przychodzi na ludzi. Trzeba tedy nam wszystkim uciekać się z prośbami ku Panu Bogu pokornie, a wzywać go sobie na pomoc we dnie i w nocy, a on będzie raczył być szczytem naszym i wieżą mocną, przeciw każdemu nieprzyjacielowi naszemu każdéj godziny. Amen.

Życie umysłowe.

Z „Studyi literackich“ przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1842.

Spytajcie tych tłumów ludzi, które mimo was idą, dokąd i do czego dążą? Większa część odpowiedzieć niepotrafi. Ten sobie życie wytłumaczył nieustanném trawieniem i smakowaniem pokarmów, inny niepojmuje życia bez najgrubszéj z jego roskoszy, najbardziéj upodlającéj; inny jeszcze bez wyrozumowania, bez celu widomego, poświęcił się zbieraniu grosza i zamykaniu go; drugi szuka ludzi i nieumie żyć inaczéj tylko w tłumie i wrzawie. Większość najfałszywiéj pojmuje życie. Mówię pojmuje, chociaż raczéj rzec by wypadało, że większość nie zastanawia się nad życiem i praktycznie tylko, wedle panującéj swéj namiętności, jedną czasem najlichszą życia stronę, bierze za wyraz ostateczny całego żywota. Tak było, tak jest i kto wié, na nieszczęście, czy tak i zawsze nie będzie.

Jednakże przyszliśmy przecie do tego przynajmniéj postępu, że dozwalamy mówić i tolerujem rozprawy o uduchownieniu żywota.

W prawdzie nic mniéj nad to, w praktyczném życiu, skutku nie robi. Wszyscy dozwalają mówić, potakują poważnie, dodają nawet słówko dowcipne na poparcie prawdy: że ten tylko żyje prawdziwie, kto żyje więcéj umysłem niż ciałem i ciało podbił sobie; ale nagadawszy się dowoli postępowaniem swém dowodzą przeciw słowom swoim.

A jednak trzeba niebyć chyba w umysłowym świecie, trzeba go nieznać, trzeba niepojmować roskoszy duszných, aby się ich zapierać, aby wzgardzać niemi. — Człowiek nie jest i nie może być swobodnym i szczęśliwym, póki nie podniesie się duszą w świat drugi. Stan czysto-zwierzęcy jest nieznośny już dzisiaj, gdyśmy skosztowali innego i pojęli inny. Wprawdzie musimy coś dozwolić ciału i tolerować je, niemogąc się go pozbyć zu-

pełnie; ale im mniéj kto żyje ciałem, a więcéj duszą, tém szczęśliwszy. Exystencya człowieka cielesna mijam to, że daje mu tyle, ile zwierzęciu; ale jakimże go niewolnikiem czyni! Ciało podlega tysiącom wypadków większych i mniejszych, najczęściéj w sposób dla niego przykry, nań działających. Człowiek, który nic duszą żyć nieumie, jest niewolnikiem wszystkich ciała udręczeń. On je czuje w dwójnasób gdy tymczasem umiejący panować nad sobą duchownie, potrafi łatwo nie czuć tego zupełnie. Wysokie uduchownienie człowieka, przeniesienie ogniska żywota w duszę, czyni ludzi (jak tego mamy przykłady na tylu świętych i męczennikach) prawie obcemi żywotowi cielesnemu.

Ale czyż do życia umysłowego zachęcać mamy, tylko doczesne jego korzyści wystawując, tylko je ceniąc, jako tarczę od cierpień? Nie, życie umysłowe jest prawdziwym celem człowieka i gdyby je miał okupywać ofiarami największemi, winienby się nie wahać nad niemi, wiedząc, że się niém podnosi, uszlachetnia i usposabia, do innego zupełnie, do życia przyszłości. W istocie, człowiek im tu jest duchowniejszy, im doskonalszy, im mniéj cielesny, tém więcéj się usposobia do życia przyszłego, które jak wiemy z objawienia wiary naszéj, stopniowaném będzie, wedle zasługi i wedle sił duchownych człowieka.

Ale gdzież są ludzie, pracujący nad sobą, aby się ludźmi stali i o tyle o ile mogą ze zwierzęcia wyzuli? Mało kto chce pojąć, że stan zwany stanem natury, jest stanem zwierzęcości i błędu; że Rousseau w pewien sposób miał słuszność gdy człowieka nazwał zwierzęciem zepsutém (*animal depravé*). — Tak jest, im bardziéj człowiek, jako zwierzę, będzie zepsutym, tém doskonalszym będzie, jako człowiek. Tym czasem spójrzmy, na społeczność naszą; na jaki ona użytek duszę obraca? Duszę, czyni niewolnicą ciała, posługaczem namiętności, mięsza ją do brudnych roskoszy, do nasyceń nierozumnych, topi ją w błotnistéj kałuży. Mała garstka wybranych, pojąwszy przeznaczenie duszy, doskonałość jéj natury, wyższość nieskończoną roskoszy dusznych, święci jéj ciało swoje.

Pierwszym zapewne warunkiem życia umysłowego, jest moralność życia, czystość obyczajów, bez tego, najwyższe wzniesienie się na skrzydłach wyobraźni, najsmielszy polot w naukowych pomysłach, najgłębsza spekulacya filozoficzna; nie czynią człowieka zupełnie duchownym. Obyczaje powinny być zastosowaniem ścisłém teoryi i pojęć do życia, inaczéj albo się teorya krzywić musi, albo w ciągłéj walce, z praktyką, ulegnie zupełnie w końcu pod siłą nałogu i zbestwi jeniusz nawet. Niewierzmy więc w ludzi, którzy dając się za poetów, filozofów, moralistów, głęboko uczonych, postępują w życiu jak najostatniejsi głupcy. Napróżno mówić nam będą na wytłumaczenie swoje, że niemają czasu spójrzeć w życie własne, tak są czémś wyższém zajęci; napróżno; ci ludzie są to szalbierze, którzy handlują duchowno-

ścią dla oczu ludzkich, a w istocie są tylko zwierzęty małpującemi bez czucia, ruchy i myśli lepszych od siebie.

Urządzenie życia własnego, maluje człowieka zdolności, daje jego miarę niezawodną. Ci poeci, którzy sobie dali przywiléj nierządu, na mocy gwałtowności swych uczuć nie są poetami, w całém znaczeniu tego wyrazu. Ci filozofowie i spekulatorowie, którzy prawiąc o życiu duchownem, o monadach, o władzach duszy i t. p. wszystkie władze jakie mają, używają na pojęcie smaku trufli i myszki starego wina; nie są to filozofowie. — Żadna na świecie talentu wyższość, nie daje wolności brojenia; nie rozwiązuje z obowiązków powszechnych — człowiek szczycący się mianem uczonego, duchownego, poety, filozofa, winien być naprzód lepszym praktycznie od innych, winien być o tyle bez plamy, o ile człowiek być może.

Po tym pierwszym warunku, drugi warunek życia umysłowego — praca. Ludzie wielkich zdolności, jeśli je mają prawdziwie, pracują; próżniacy, którym zawsze coś przeszkadza do tworzenia, do zajęcia się bodaj cudzemi twory i przetrawiania ich, którzy budują tylko projekta i osnowują plany, nigdy ich nie urzeczywiszczając, ci ludzie w istocie mają talenta niekompletne, — brak im nerwu, coby dał znaczenie zdolnościom, brak woli. Gdy więc ujrzycie ludzi, których palcem wskazują, powiadając. — Co za szkoda! tyle zdolności, a nie chce pracować! Pomyślcie wówczas, że ten talent tak wielki pozornie, jest ułomny. Gdy piękna i zręczna kobieta nie idzie do tańca z rowieśnicami, mówią także, szkoda że nie tańcuje! A ta nietańcująca kobieta jest albo chwilowie, albo zupełnie ułomną, Tak się dzieje i z témi ludźmi, którzy nie pracują, mogąc niby pracować i mając zdolności. Talent ich jest tylko obrazem talentu, pozorem jego, nie talentem. Gdy mu tylko brak woli, nadającéj ruch, już jest ułomny.

Życie więc umysłowe i usposobienie do niego, zależy na zaparciu się ciała w pewnym stopniu, na rozwinieniu w sobie duszy, usamowolnieniu jéj, wykształceniu, na zastosowaniu swych obyczajów do teoryi duchownéj życia, na pracy. Praca umysłowa jest najsłodszém na ziemi zajęciem. Ona wyrywa człowieka z objęć wszystkich żelaznych udręczeń świata, które tak silnie uciskają, żyjących tylko ciałem, tylko najmizerniejszą częścią samych siebie. Praca umysłowa dając najżywszą roskosz (po roskoszy pełnienia cnoty) jest tą jeszcze nieocenioną własnością, że człowieka wynosi nad stan ludzki, że go oswobadza od ciała, że mu daje zapomnieć, wszystko coby go dręczyć mogło. Praca także udoskonala go, uszlachetnia, usposobia do żywota lepszego.

Praca umysłowa, nie zależy jedynie, jakby to sądzić można, na tworzeniu. Bynajmniéj; przyswajanie sobie uczuciem i pojęciem obcych tworów; rozważanie świata zmysłowego, stanowią

życie umysłowe i pracę. Nie ten tylko nazwać się może pracownikiem kto pisze, kto tworzy, ale każdy kto czyta, kto rozważa, zastanawiać się i myśleć lubi, kto jest artystą, lub lubownikiem sztuk, tych pośredniczek między dwóma światy, w których dusza niebieska a ziemska powłoka. Ten zaś nadewszystko, kto przykładem, kto namową, nauką ustną, ulepsza drugich i zwraca na prawą drogę, na drogę żywota duchownego.

Życia umysłowego jednym z warunków, więc jest praca. Jednym z rodzajów pracy umysłowéj najłatwiejszych, najprzystępniejszych, a najkorzystniejszych, jest czytanie.

Czytajmy więc wszyscy, czytajmy wiele, zamiłujmy czytanie, myślenie, rozważanie. Ono nas oderwie od życia nieraz gorzkiego (bo takiém najczęściéj życie cielesne), ono nam da zapomnienia smutnéj nieraz przeszłości, ono nas wyniesie wyżéj, gdzie nie dójdą udręczenia cisnące ludzi przykutych łańcuchem namiętności do ziemi.

O sztuce dziejopisarskiéj.

Przez Michała Wiszniewskiego.

... Aby zdarzenia historyczne powiązać w jeden ciągły łańcuch przyczyn i skutków, aby dociec jak naród, w danym czasie, sam siebie pojmował, i utworzyć sobie obraz jego prawdziwy i z płynącym przekształcający się czasem — potrzeba na to bystrego pojęcia, szerokiéj imaginacyi, i rozumu do głębszéj rozwagi skłonnego. Żeby obraz przeszłości przenieść i wcielić w słowa, skreślić powieść, podobną do zwierciadła, które wiernie oddawa, co w siebie przyjęło, jeszcze większéj (pracą tylko nabyć się mogącéj) nauki potrzeba. Zdolności poety, obok zimnéj rozwagi, wymowa, obok ścisłości w rozumowaniu, doskonała znajomość i biegłość w języku, są zalety dobrego dziejopisa. I ztąd to pochodzi, iż każdy naród mało liczy dziejopisów, choć książek historycznych niezmierna jest liczba. W Grecyi tak żyznéj w dowcipy, tylko Herodot, Tukidydes i Xenofont się zjawili; u Rzymian Cezar, Sallustyusz i Tacyt; u Włochow Makiayelli, Gwiczardyni i Paruta; u Anglików Hium, Robertson i Gibbon, do liczby prawdziwie wielkich historyków należą. Niemcy mieli Jana Müllera i Raumera. U nas ani świetne Bolesława W. czasy, ani szczęśliwe Zugmuntów, wielkiego dziejopisa nie miały. Jeden Orzechowski mógł na coś lepszego zakroić, lecz zmienne tego człeka chęci i namiętności w inną go stronę uniosły.

Dwa są rodzaje historyków, jedni opisują co na własne widzieli oczy, do czego sami wpływali, lub co im wielu naocznych świadków opowiadało; drudzy zgromadziwszy przed sobą współczesne pomniki historyczne, kroniki, dzienniki, dyplomata, dawane posłom nauki, zdawane przez nich sprawy, dzienniki

obrad sejmowych lub komory królewskiéj, i t. p. znosząc z sobą i porównywając te różnorodne świadectwa, wczytawszy się w nie długo i pilnie, oblicze i podobieństwo czasu z nich usiłują wydobyć; pisząc więc historyą czasów odległych, z których już żadnego żyjącego nie widzieli świadka, przy świetle swojego czasu na dawne poglądając dzieje, najczęściéj blade i nikłe jego obrazki i wizerunki malują; w ich historyi znamiona czasu albo bardzo niewyraźnie przebijają się, albo już całkiem zatarły się; i dla tego nie czytając współczesnych dziejopisów, nigdy z nich historyi nauczyć się nie można. Bezstronniejsi w sądach: bo obojętni; w rozdzielaniu fałszów, przesądów, pozorów i złudzeń szczęśliwsi, większém światłem krytyki otoczeni: bo się na rzeczy spełnione już zapatrują, wszelako tylko dobremi przewodnikami do czytania współczesnych dziejopisów być mogą, lecz ich całkiem nigdy niezastąpią. Przeciwnie współcześni nudni są częstokroć, nie tak wygładzeni, lecz oddychają życiem owego czasu; uderza w nich i duch czasu i namiętności które sercem ludzkiém w ówczas najmocniéj poruszały; oni w samym opisie wydarzeń, panujące wówczas przesądy i panujący sposób myślenia wykazują. Nawet ich milczenie jest dla nas nauką. Dzieła niewspółczesnych dziejopisów, choć mają więcéj wymierności, choć potoczystsze w nich opowiadanie, choć więcéj zaostrzają, karmią i lepiéj zaspakajają ciekawość, wszelako cienie tylko czasu swego, nie jego oblicze nam pokazują. Dla tego choćby najlepsze, współczesnych dziejopisów zastąpić nie mogą. Ani z Długosza, ani z Naruszewicza czasów piastowych nauczyć się nie można. Chcąc tę pięciowiekową epokę dziejów naszych poznać, trzeba koniecznie wczytać się w Nestora, Gallusa, Mateusza herbu cholewa, Kadłubka, Boguchwała i Baszkona, Janka archydyakona gnieźnieńskiego i tych z Długoszem porównać. Naruszewicz do ich zrozumienia uściele drogę. A rozprawy ks. Prażmowskiego, Czackiego, Ossolińskiego, Gołębiowskiego, a szczególniéj Lelewela uwagi nad Mateuszem herbu cholewa nauczą, jak je czytać i z krytyką cenić. Treściwe wykłady historyi polskiéj, na których częstokroć światli nawet ludzie przestawać zwykli, które już w XVI. wieku w literaturze naszéj zjawiać się poczęły, pożyteczne są do uczenia młodzieży, lecz wszystkich potrzeb dojrzalszego rozumu zaspokoić nie mogą, a powzięte w nich historyczne wiadomości prędko nader zacierają się w pamięci, i jak nikłe sny nocne szczezają na zawsze. Nawet najlepsze krótkie zbiory, jakiemi są np. Kromera i J. S. Bandtkiego, tylko jako wyborne do czytania współczesnych dziejopisów przewodniki używać się mogą. Lecz chcąc głębiéj jeszcze przeszłość naszę zbadać, chcąc przy pochodni dzisiejszego światła owym wiekom przypatrzyć się, jeszcze na kronikach i dziejopisach współczesnych poprzestać nie można. Dla uczonego i głębokiego badacza dziejów, nieocenionym skarbem są wszystkie owych czasów po-

mniki, w które mu pilnie wpatrywać się należy. Każdy głos współczesny, każdy z onych czasów zabytek, jest dla niego świadkiem, którego na ostre wypytanie brać musi. Najmniejszy pomnik piśmienny, może czasem nader ważnych dostarczyć wiadomostek, wiele opacznych wyobrażeń sprostować, zmyśleń i dodatków późniejszego czasu odkryć i wątpliwości rozwiązać. W naszéj historyi koniecznie do tych źródeł historycznych cofnąć się należy; bo wszystkie kroniki przed Długoszowe często bywały przekształcane, przerabiane lub przerzucone ręką niewiadomych pismaków (jak np. kronika Boguchwała) a autografy wszystkich zaginęły. I dla tychto przyczyn, dyplomata i inne piśmienne historyi pomniki, każdy z tém większą rozczytuje chciwością im się bardziéj ze współczesnemi dziejopisami oswoił, a im więcéj mu wątpliwości historycznych się narodziło. Nieczerpając z tych pierwotnych, niezmąconych źródeł, nie można zostać dziejopisem. U nas takowe dokumenta, mimo Szwedzkich grabieży, jeszcze w wielkiéj znajdują się ilości; lecz rozrzucone, są własnością osób prywatnych. I dla téj to właśnie przyczyny u nas kunszt historyczny niepodniósł się, bo do pierwotnych historyi źródeł nie każdy miał przystęp. Zaczynając od końca, podzielono się epokami, a o upowszechnienie drukiem źródeł historycznych, po śmierci Czackiego, nikt się niepostarał. Ztąd poszło iż (z małym wyjątkiem) wszystko na obietnicy i pięknych nadziejach skończyło się, a za rylec historyczny nie zawsze biegła chwytała ręka. Po Naruszewiczu, Czacki miał skreślić dzieje pozostałych świetnych wieków. Po zgonie jego przedwczesnym, kilkunastu do téj roboty oburącz się jęło, i nic nie zrobiło. Rzekłbyś, że jakieś karłowate plemie po tych dwóch olbrzymach historyi się narodziło. Ze skrzętnością mrówki zbierane materyały strzeżone zazdrośnie, jak nauki kapłanów egipskich, które też nieledwie temu samemu losowi uległy. Kryjąc dla siebie tylko rękopisma, nie wiedziano znać, że rękopisma, historyczne źródła, są tak dla rozumu niewyczerpane, jak natura nas otaczająca: są jak ta tęcza, na którą tyle wieków patrzano, a którą Newton dopiero wytłumaczyć umiał. Już od lat tylu nad historyą rzymską pracowano, wszyscy czytali Liwiusza, a przecież za dni naszych Niebuhr, początkowe dzieje Rzymu na nowo przebudował i inszą nadał im postać.

Kunszt historyczny tak wielkiém uległ odmianom, iż dziś w najoświeceńszych narodach zakurzone dyplomata na nowo wydobywać z zapomnienia i rozwijać poczęto. Wszystkie narody około przerobienia dziejów swoich teraz krzątają się. We Francyi po Vellym, Anketylu, Mablim i Turecie, wystąpił Sismondy, Guizot, Thierry, a teraz Capefique i Michelet. Historya Angielska po Hiumie pod piórem Palgrawego i Lingarda, do niepoznania zmieniła się. Dziś zapleśniałe wieków średnich postacie, przy żywszém świetle, daleko inaczéj na tle historyi rysują się.

Teraz dziejopis nie zawsze w złoconych trzyma nas komnatach; lecz oprowadza po ulicach, stawia wśród zgiełku, przemawia grubym językiem gminu, prowadzi do izby sejmowéj, lub na posiedzenia synodów, ztamtąd na sądy, lub tajemne spiskowych schadzki. Otwiera przed nami i sale gotyckie z malowanemi oknami, i poziome chaty, przybytek nędzy i ciemnoty. Potępionym od wieków późną oddaje sprawiedliwość, i nieraz długowieczne uwielbienia w naganę zamienia. Nie zatrzymują go mury, baszty i mosty zwodzone stolicy, lecz do wszystkich zakątów królestwa czytelnika przenosi. Słowém, ludzie w dawnych pomnikach historyi, teraz coś więcéj szukają i znajdują, coś więcéj wyczytywać umieją; a w malowanych teraz obrazach nie profil, ale całe oblicze czasu, całe życie narodu na jaw występuje. Lecz do takiego pojęcia minionych czasów, późniejsi historycy nie wystarczają. Trzeba czytać współczesnych, a mianowicie kroniki i dyplomata; co już samo dowodnie okazuje: iż historya jest łatwą dla tych tylko, którzy jéj nieumieją. Kroniki bywają niezgrabne i niepozorne, jak brakteaty; prostoduszne i szczere, jak malowidła Czymabuego i Perudzyna; mają właściwy sobie urok, lecz znudzą tylko i niczego nienauczą tego, kto do nich z próżną przystępuje głową. Prócz niezbędnie potrzebnéj znajomości łaciny wieków średnich, daleko od cycerońskiéj trudniejszej, znajomości prawa i ekonomii politycznéj, którą sławny Müller, okiem historyi naznał, znajomość duszy i serca ludzkiego koniecznie jest dziejopisowi potrzebną; bo historya narodów tylko równoodległe z historyą duszy i namiętności ludzkich poznać, objaśnić i wytłumaczyć się daje.

Użycie kronik ma właściwe sobie trudności; kroniki albowiem nieoświecają rozumu mgłą niewiadomości otoczonego; lecz są podobne do owych ciekawych malowideł w egipskich grobach, do których już z zapaloną pochodnią zapuszczać się trzeba. Kto nie poznał natury społeczeństw ludzkich, nie wie na jakie elementa dojrzałe społeczeństwa koniecznie się rozkładają, jakie z tego podziału nowe potrzeby, życzenia i nadzieje się rodzą, kto się nigdy niezastanawiał nad chorobami społeczeństw, może się dziwić że dla niego kroniki są nieme jak hieroglify? Aby lubić kroniki, pierwéj zmysł historyczny z uśpienia obudzić, pierwéj poświęcić się i wyostrzyć sobie rozum do historyi należy, przetrzeć oczy czytaniem dziejopisów, albo nauczających jak Heezen i Raumer, albo podnoszących duszę do wysokości historyi, jak Gibbon, Fergusson, Tukidydes, Sallustyusz i t. p. Na takich to tylko dziełach rozum do kronik zaprawić się może, a kogo mimowolna ciekawość do kronik ciągnie, może być pewnym, że już daleko w historyi zaszedł. Dyplomata jeszcze są pewniejszém źródłem historyi niż kroniki. Historya wieków średnich nieoparta na dyplomatach, jest romansem z samych prawdo podobieństw uwitym, który żadnego niewznieca przekonania i niezasługuje na

wiarę. Już w XVI. wieku Lorenco Galindez de Caravajal i Ambrosio Morales w Hiszpanii, Kanclerz Huitfelds w Danii, a u nas Długosz w XV., historyą na dyplomatach opierać zaczęli. Lecz jeśli niełatwo jest czytać i rozumieć kroniki, przystęp do dyplomatów większemi jeszcze założony jest cierniami. Jak dyplomata wyczytywać, wyczytane rozumieć, poznać czyli są prawdziwe, niepodrobione, odgadnąć ich dawność i jakie z nich dla nauk ciągnąć koczyści, uczy dyplomatyka. Wszelkie oryginalne przywileje cesarzów, papieżów, królów, książąt, biskupów, opatów i t. d. wszelkie dokumenta, pisma urzędowe zowią się w ogólności dyplomatami, od słowa *diploo* składam, bo dyplomata zwykle na pargaminie pisane dla wygodniejszego przechowywania w kilkoro składano. Z czasem dyplomatów u wszystkich narodów nadzwyczaj wiele się namnożyło. Polskie dyplomata z pierwszéj połowy XI. wieku, zaginęły w czasie wielkiego rokoszu pogańskiéj czerni po śmierci Mieczysława II. i podczas małoletności Kazimierza Ł.

Od podziału Polski między synów Krzywoustego i zakwikłania się stosunków wewnątrz Polski, najwięcéj dyplomatów się namnożyło. Wszystkie prawie dyplomata książąt w swoich dzielnicach panujących, poczęły nosić przydatki, *de consensu et consilio* albo *consentientibus militibus baronibus nostris*. Wszystkie dyplomata Piastów pisane są językiem łacińskim; nawet Kazimierz W. mimo sąsiednich przykładów Karola IV. czeskiego, przyjaciela słowiańskiéj narodowości, nie opiekował się językiem polskim i przywilejów w języku ojczystym nie pisał. Dopiero w r. 1543 postanowiono uchwałą sejmową pisać wyroki sądowe po polsku i po łacinie, a za Zygmunta Augusta wszystkie prawa i ustawy pisano po polsku. W Litwie przed Jagiełłem, dyplomata pisane były po niemiecku, w umowach z Krzyżakami zawieranych; po łacinie z Polską i Anglią, a po rusku z książętami ruskimi i wołoskim wojewodą, tudzież w jednym traktacie z Kazimierzem W. r. 1366. U nas dyplomata już w XV. wieku, w sprawie Krzyżakami, jako świadectwa sądowi składano. W Niemczech dopiero w połowie XVI. wieku, zaczęto z niemi popisywać się w procesach dyplomatycznych, których pierwszy przykład dał elektor trewirski roku 1633. Lecz z rozkładanych przed sądem i ogłaszanych drukiem dyplomatów, niektóre w podejrzenie popadły, inne podrobionemi okazały się*); starano się

*) U nas od 1645 do 1652, Janikowski obywatel pomorski, dobrawszy sobie wspólników Krzysztofa, Ungera, Kupnika, Korneliusza Wright miecznika i obywatela gdańskiego, robił w tém mieście nadania i przywileje jakoby klasztorom i osobom prywatnym służące. Jankowski wszystkiem kierował, Wright wyrzynał pieczęci, dla nadania postaci starożytnéj, pargaminom, papierowi, pieczęciom, sznurkom, użyto do nacierania jakiejsiś mieszaniny, wędzono je w dymie. Unger udawał starożytne głosek postaci. Inni rozgłaszali jakoby Janikowski znalazł w zwaliskach zamku Mitterschein skrzy-

więc wynaleść pewne prawidła rozróżniania prawdziwych dyplomatów od podrobionych, i takim sposobem ze zwikłanych stosunków feudalizmu, powstał powoli nowy rodzaj krytyki, która od swego przedmiotu, dyplomatyki wzięła nazwisko.....

Lecz nie na tym misterne dziejopisa roboty się kończą; największy jego przemysł ukrzywa się przed okiem nieznawcy. Niedość wywoływać cienie umarłych, niedość malować żywy obraz minionych czasów; potrzeba aby to malowidła spoczywało na tle przez rozum przygotowanym, żeby w nim tkwiła myśl duszą jego będąca, aby różne ogniwa w jeden spojone wątek, jedna myśl panująca, jak iskra elektryczna od końca do końca przebiegała i zapaliła wielką pochodnię prawdy historycznéj, bez któréj historya byłaby tylko powieścią, nie zawsze zajmującą. Gdy więc dziejopis musi i odsłonić przeszłość i odmalować ją, i z mętnych baśni, przeistoczeń pozorów, fałszów mimowolnych i umyślnych, czystą wydobywać prawdę, którąby w życiu naszém przyświecać nam mogła, możnaż się dziwić iż wśród tak wielkiej ksiąg historycznych liczby, tak mało dobrych dziejopisów widzimy? ze trudny ten kunszt wielkich zdolności i rozległéj wymaga nauki? Kto ma zmysł wrodzony do pochwycenia prawdy historycznéj w plątaninie fałszów ukrytéj, kto już ma w sobie żyjący i odrysowany na dnie wzór, ideał skreślić się mającego obrazu, kto się w cudzą osobę łatwo przemienić, w różnorodne umie wchodzić uczucia, pojąć np. dzikiego Tatarzyna, którym zwierzęce miotają chuci, dumnego Turka zaufałość i ślepotę, obłudę dwuznacznych Krzyżaków, owych Kortezów i Pizarrów XIII. wieku; kto pozłocone pozory od rzeczywitości rozróżnić umie; kto uzbrojony cierpliwą wytrwałością, łączące żelazną pracowitość z nabytą już nauką, łatwowiernością, nadętością stylu, ciemną i dziką kronikarzy łaciną, mikroskopicznym ich rozumem, nie razi się; ten tylko grzebiąc w ciemności wieków minionych, szczerą prawdę wyniesie z głębi, i nawiedzione ręką niewiadomości lub pochlebstwa farby z oblicza historyi zetrzeć potrafi.

O Romansie Nowoczesnym.

Przez Aug. Cieszkowskiego.

Poezya była od wieków i na wieki będzie mistrzynią ludów. Jest ona wyrazem ich własnych postępów, ale wyrazem czynnym, wywięzującym z siebie coraz wyższe wyrazy, i wywołującym coraz dalsze postępy.

---

nię z samemi dyplomotami, którą książęta Pomorscy dawniéj do Szczecina unieść mieli, a którą późniéj kilku szlachty do tego zamku sprowadziło. Janikowski robił i drogo sprzedawał zamowione u siebie dyplomata, które u nieświadomych dyplomatyki sędziów znajdowały wiarę. Roczniki Towarz. Warszaw. P. N. t. IX. str. 118.

W miarę tych postępów, w miarę dmian czasu, odmieniały się też postaci poezyi, odmieniały się tryby jéj działania; odmieniały się też właściwe organa, któremi przemawiała.

Był czas, w którym wyobraźnia młodocianych ludów karmiła się niemal wyłącznie liryczną poezyą. Był także czas, w którym *epopeja* stanowiła skarbnicę czucia i wiedzy dla nieco już wyrosłych społeczeństw. Nadejdzie znowu czas, w którym poezya dramatyczna rozwinie całą potęgę jakiéj ledwo zadatki nam udzieliła; i t. d. Atoli w obecnéj chwili, ani liryczna, ani epiczna, ani dramatyczna poezya nie panują w świecie. One formy już zaszły, inne jeszcze nie zesły. Byłżeby wiek nasz z poezyi obrany? — Trudno przypuścić, trudniéjby jeszcze wytłomaczyć.

W epokach *stanowczych*, duch zwykł się odzywać w formach czystych i równie stanowczych. W epokach zaś *przechodnich*, kiedy mieszają się wyobrażenia i krzyżują z sobą żywioły społeczne, duch ulega także różnorodnym wpływom czasu, i wyradza mieszańce.

Jest przecież pewien rodzaj tworów literackich, który w obecnéj chwili wzbił się nad wszelkie inne, rodzaj z natury *mieszany*, a więc dziwnie odpowiedni charakterowi naszego czasu. Rodzaj ten stał się dzisiaj właściwym organem myśli niemal ludów wszystkich, on dziś największy wpływ na massy wywiera, — on dziś rej wodzi w literaturze. — Jest to Romans.

Bezwątpienia na takowe twierdzenie zżymać się będzie naukowy pedantyzm, i zapyta czyliż być może, aby tak świeży przybysz, którego nieledwie prawo obywatelstwa w dziedzinach literatury jeszcze wątpliwém się zdaje, wzbił się tak nagle do najwyższéj godności i berło literackie w téj chwili piastować miał? A przecież tak jest.

Już dzisiaj nie rodzą się ani pieśni gminne, ani żadne mity, podania, legendy, ale za to rodzą się romanse. Inny czas, inny jego objaw. I to minie, jak wiele minęło, a inna forma sztuki zajmie opuszczoną dziedzinę, ale dziś po wielu kolejach przyszła koléj na Romans, — i Romans stał się chlebem powszednim naszego społeczeństwa.

Któż dziś nie czyta romansów? Chyba tylko wyrobnik, który czytać nie umie, albo też minister, który czasu na to nie ma.

Ztąd jawny wniosek co do ważności powołania powieściopisarzy. Niech przeto sami siebie lekce nie ważą, ani nie frymarczą własnym talentem, ani rozpuście pióra nie hołdują, bo im większy jest ich wpływ, tém większa odpowiedzialność.

Jeżeli się nie mylę, to dla tego płody ich są częstokroć, mimo znakomitych zdolności, nikczemne lub potworne, że nie zdają sobie dokładnéj sprawy z posłannictwa swego, — a tém samém rzadko się przejmują owém zamiłowaniem i szacunkiem dla własnego dzieła, bez którego to uczucia, nic wielkiego ani trwałego sprawić nie podobna.

We Francyi np. większa część powieściopisarzy pisze na wyścigi a nawet na zabój, a to bynajmniéj nie dla tego, że pierś ich miotana jest natchnieniem wyrywającém się na zewnątrz i łaknącém udziału, ale dlatego tylko, że zobowiązali się za dobrą zapłatą dostawiać do owych rękodzielni zwanych dziennikami, po jednym feuilletonie na dzień, przeznaczonym na śniadanie codzienne kilkukroć stu tysięcy prenumeratorów. I czemże ich częstują? — Oto podają im dużo wody, — dużo pieprzu, — zwykle mało soli, zwłaszcza attyckiéj, — a zawsze trochę spirytusu zaprawionego jakim bądź narkotykiem. Wszak smaczne?

A jednak, taka jest potrzeba konsumcyi, taka sztuka przyprawiaczy, że nawet *podobne* płody ogromny odbyt znajdują.

Czegoż to dowodzi? — Oto znowu potęgi Romansu i potrzeby jego.

Ale może ta potrzeba jest fałszywa? — może ta potęga jest tylko urojona? — może to właśnie zepsucie smaku publiczności podobnemi przyprawami, sprawiło w końcu ową chorobliwą chętkę, któréj teraz coraz trudniéj dogadzać?

Pytań tych inaczéj rozwiązać niepodobna, jedno zapatrując się na samą istotę Romansu.

Romans nie jest bynajmniéj chorobliwym płodem literatury, nie jest potworną formą poezyi. Jest on wprawdzie rodzajem przechodnim i mieszanym, ale pomimo tego normalnym i samożywotnym. Pytasz się zkąd on pochodzi? odpowiemy, z rodu Epopei, on jest rozplemienioném jéj potomstwem; co więcéj, on jest nią samą, ale *zamienioną na drobne.*

Właściwéj epopei dziś nie ma. Wszelako nic na tém nie traci poezya, epopeję zastępuje zdawkowa jéj moneta Romans. Czego dziś epopeja zbiorowo dokonać nie zdoła, tego rozbiorowo dokonywa romans. Równie jak ona niegdyś, jest on dzisiaj zwierciadłem żywiołów swojego czasu, równie jak ona niegdyś, jest dzisiaj encyklopedyą wszystkich uczuć i skłonności, wszystkich wyobrażeń i zdań, wszystkich doświadczeń i domysłów, wszystkich namiętności i cnót, wszystkich postępków i występków społeczności. Jest on powiernikiem biernym i czynnym wszelkich tajemnic wieku. Biegłe oko i ucho jego ku przyjmowaniu wrażeń biegłe usta jego ku udzielaniu takowych. Romans zstępuje i wstępuje na wszystkie szczeble życia społecznego, romans wytrapia wszelkie manowce towarzyskiego błędnika. Do wszystkich okien zagląda dla zebrania swych plonów: do wszystkich drzwi puka dla złożenia zebranych.

Powiernik ten zaiste nie zawsze jest wiernym; ale przez to samo tém bardziéj przypada do swojego wieku. Wszak i temuż nie obcą jest ułuda, — a czasem i obłuda. Skoro świat czasami majaczy, jakżeby romans nie miał iść za jego przykładem? — I w samej rzeczy, gdy na świat patrzy, nieraz mu się w oczach dwoi, — gdy podsłuchuje, nieraz mu w uszach dzwoni, —

kiedy zaś z fałszywem odezwie się świadectwem, gdyby mu za każdym razem przyszło oczyszczać usta rozżarzonym węglem, zaiste już dawno byłby je sobie do szczętu wypalił. A jednak szkodaby owych ust wymownych! Obok kłamstw, ile one też prawd po świecie rozsiały, ileż wyobrażeń za ich pośrednictwem przedarło się do zakątków społeczeństwa? Ileż strón serca ludzkiego nastroiły? A mianowicie jakże one są dzielne i biegłe w przemawianiu do téj połowy rodu ludzkiego, która wedle świadectwa Warmińskiego wieszcza, nie rządzi w prawdzie światem ale rządzi *nami*.

Nie pogardzajmy więc romansem, bo on jest wielkim mistrzem, ani go lekceważmy, albowiem dziś jest potęgą.

Gdyby dziś żył Szyller i ujrzał wzrost romansu, jakżeby go wysoko położył pomiędzy środkami estetycznego wychowania ludzkości?

Romans przeczytać, a z nim massę różnorodnych wyobrażeń przejąć, niemal każdy jest w stanie; pod jednym atoli warunkiem, jeżeli ów romans *nudnym* nie będzie.

Od talentu więc, i nie waham się dodać, od poczciwości autora zależy, ogromny wpływ na współczesnych. Bo przy talencie wszystko udać można oprócz jednéj poczciwości, bez niéj zaś wstrząsać można oprócz jednéj poczciwości, bez niéj zaś wstrząsać można, ale porywać — nigdy. Ona jedna do owych niepozornych tajników serca zaglądać umie, które też ona jedna poruszać jest zdolną. Talentu więc i poczciwości potrzeba do pisania Romansów. Nielada to warunki, ale też i skutek nielada.

Religija innych nauk podstawą być winna.

Przez Klem. z Tańskich Hofmanową.

Cóż może być godniejszego i więcéj zgadzającego się z wolą Stwórcy i z wielkością człowieka, jak rozszerzać coraz daléj granice pojęcia umysłu i coraz więcéj światła zgromadzać? Im kto lepiéj widzi, tém pewniejszym krokiem w drodze prawdy postępować winien; i oświecenie, ten szczyt doskonałości rozumu ludzkiego, stałoby się niezawodnie źrzódłem szczęścia; gdyby go na gruntownych wiadomościach zakładano, gdyby pierwszy promień jego, pochodnią religii zapałał. Wtedy dopiero prawdziwie byłoby zbawiennem, prawdziwie użytecznem. Wszystkie nauki służyłyby ku rozkrzewianiu chwały Boga, bo wszystkie zaszczyt czyniąc człowiekowi, wykonywają wielkości Stwórcy i dzieł jego. Same nawet rękodzieła ten by cel miały; gdyż w nich człowiek naśladuje rzeczy stworzone, lub zgadując ich użytek, hołd cudom natury i sprawcy jéj oddaje. — Lecz nie wszyscy ludzie okiem prawdy na nauki i rękodzieła patrzą. — Często astronom

zmierzywszy niebo, nie pomyślał o jego stwórcy! żeglarz objechał morza; a nie uznał ręki, która je w oznaczonych granicach wstrzymuje! filozof prawa ludziom kreślił, nie dostrzegłszy prawdziwego prawodawcy, i widoków jego! Rękodzielnik naśladował cuda natury, a w niewdzięczności swojéj zaprzeczył prawicę, która te jego wzory złożyła! Mędrzec świecki wszystkie przeczytał księgi, wybladł nad niemi, a nad księgą żywota się niezastanowił. Przecież, wszystkie nauki prócz nauki wiary i moralności, (które we dwie, Religiję składają) choćby do najdoskonalszego posunięte stopnia, błache są i nietrwałe. Najuczeńszy człowiek złożony z ziemi, wróci do ziemi, zarówno z nieoświeconym kmiotkiem; z ciała obudwóch garstka prochu zostanie! a jeżeli wieśniak w niewiadomości swojéj Boga mocniéj kochał, powinności swoje lepiéj pełnił, mędrszą dusza jego stanie w oczach Pana! i »zaiste gdy dzień sądu nadejdzie, nie o to się nas pytać będą, cośmy czytali, lecz cośmy czynili.«

Widok usiłowań ludzkich do nabycia przemijającego światła staćby się powinien dla każdego bodźcem do zbogacenia się w niesmiertelne. Wszyscy wiemy, że to życie z pędem wiatru ulata; że człowiek na ziemi wątłym jest kwiatem. Poranek widzi go świeżym, a nim noc zapadnie, już zwiędłym leży. W drugiém dopiero życiu, żyć będziemy na wieki. Kiedy więc dla uprzyjemnienia tych kilku chwil, dla pozyskania imienia, które tchnienie czasu zmuchnie i pył wieków zatrze, tyle trudów i starań łożemy, nie żałujmyż zachodów na pozyskanie wiecznego szczęścia. Pielgrzym ledwie spojrzy na izbę, w któréj noc jednę ma spądzić: ale stanąwszy w lubéj Ojczyznie, u tego końca podróży swojéj; objąwszy dom gdzie już dni wszystkie przepędzać zamierza, pilnie go ogląda i opatruje. i zna doskonale każdy zakątek jego. Jeśli więc ludzie wyższego wychowania winni oddawać się świeckim naukom; tém większy ztąd obowiązek poznania Religij powstaje. Ludzkiém światłém wsparty człowiek poznaje lepiéj Boga i cuda jego, obejmuje łatwiéj naukę wiary, rozumie lepiéj moralność. Wreszcie w wieku w którym rozum ludzki prawie ubóstwiony, w którym tak niesłychane uczynił postępy, małoby stronników miała Religija gdyby oświecenia broniła. Sprzyja mu téż owszém; sama będąc światłem, światła się nie boi; stworzona dla udoskonalenia człowieka niszczyć nie może, jednego z najpiękniejszych jego przymiotów. Chwała jéj nawet nie byłaba zupełną, gdyby ję sami prości i nieoświeceni ludzie wyznawali. Piękności jéj ciemną i grubą powłoką okryte, nie takby jaśniały, nie tyleby cenione i pojęte były. Nakoniec, któżby zarzutom niedowiarków odpowiadał, gdyby oni sami wszystkie świeckie zagarnęli umiejętności? Mędrcom świata poważniejszą światłym chrześianom milszą staje się religija którą Paweł nauczał, Augustyn wykładał, Hieronim tłomaczył, nasz zaś Hozyusz bronił, Skarga opowiadał.

O istności Boga.

Przez Zygmunta Kaczkowskiego.

— Boże! kto Ciebie nie widzi w pierwszych słowach księgi rodzaju, kiedy uniesiony w powietrzu nad zakłóconych żywiołów bezładem, wyrzekasz Twoje wszechmocne »Stań się« i rozstępują się przed Tobą i ogień i woda, i powietrze i ziemia; — kto Cię nie widzi w krzu gorejącym na górze Sinai, kiedy upadającemu przed Tobą w proch Mojżeszowi ognistym palcem na kamiennych tablicach piszesz Twoich dziesięcioro przykazań; — kto Cię nie widzi na czarnemi chmurami otoczonéj Golgowie, w synie Twoim, który cierniową umęczony koroną, na drzewie krzyżowém rozpięty, z przebaczeniem na ustach dla prześladowców swoich i katów a oczyma i duchem obrócony do Nieba, z niewinnością baranka kona, biorąc na siebie brzemie grzechów całego świata: — kto Cię nie widzi w owych lampach odwiecznych, któremi dniem i nocą wszechświatom przyświecasz, w drzeniach ziemi ponocnych, w błyskawicach olśniewających źrenicę, w strasznych gromach bijących w rozgorzałą spiekami ziemię, w prześlicznych tęczach siedmioma igrających barwami, w zorzach rannych, wieczornych, które bladawemi promieniami do pół niebios sięgają; kto Cię nie czuje na błękitnych niwach, na wielkich stepach, gdzie tak tęskno duszy, gdzie tak niemo, i pusto, i głucho, i słychać tylko w górze szum niezrozumianéj pomiędzy wichrami rozmowy, kto Cię nie czuje w wielkich i wspaniałych świątyniach w chwili uderzenia organów, na wielkich cmętarzach, gdzie groby ustępują grobom, trumny trumnom, kości kościom; na ruinach miast wielkich, które dziś witają przechodnia tylko kilkoma chwiejącemi się kolumnami i garścią mchem zarośniętych kamieni; których wielkość dawna żyje już tylko w pieśniach uciekających w góry i lasy przed powodzią nowego świata i w niedokończonych powieściach tulących się do starych zamków i grodów; — Kto Ciebie Boże! nie widzi w milionach stworzeń, od słonia aż do drobnego robaczka, rozsypanych po ziemi, rozpuszczonych po powietrzu, zanurzonych w wodzie; kto Cię nie widzi w jasnéj zieleni wiosny, w jaskrawych barwach lata, w urodzajach jesieni, w trupiéj martwocie zimy — kto Cię nieczuje w uderzeniach krwi własnéj, w tęsknocie duszy, w uczuciach i natchnieniach młodości: — ten jeszcze Cię znajdzie w własnych poczciwych uczynkach. I może Ty nigdzie się większym i nigdy jaśniéj nie objawiasz człowiekowi, jak w owém zadowoleniu i owéj niemej, nieopowiedzianéj radości, która obejmuje serce jego po każdym tryumfie cnoty, po każdém uczciwości zwycięztwie!



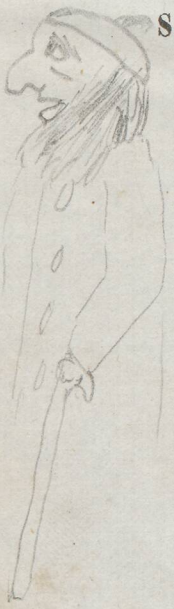
III.

PROZA
pobudzająca i zniewalająca

czyli

oratorska.

Stopień II.
Sztuka i Wytworność.





A.

Mowy

akademiczne i obrzędowe.

A.

Mowy

akademickie i obrzędowe

Mowa miana przy otwarciu Liceum Warszawskiego

na dniu 2. Stycznia 1805. roku.

Przez Stanisława hr. Potockiego, ministra oświecenia.

Różne są stopnie wielkości i sławy, różne do nich prowadzą drogi; któremuż pierwsze miejsce wyznaczyć należy? zaiste temu, który największe korzyści społeczności przynosi. Wszelka więc sława ustąpić powinna téj, która się dobrem narodów nabywa, wszelka wielkość uniżyć się przed tą, któréj tak użyteczna dobroczynność jest zasadą. Nieodbite to mniemanie w oczach rozumu, bo wsparte na powszechném szczęściu, zaćmioném atoli bywa blaskiem fałszywéj wielkości i sławy, która się na klęskach rodzaju ludzkiego gruntuje. I nie dziw, kiedy przesądy wychowania naszego złączone z przesądami historyi, z ruin (że tak powiem) świata wznoszą podstawę wielkości, a niezmiernym jéj cieniem okrywają tych rzadkich rodzaju naszego dobroczyńców, których ciche cnoty pocieszyły ludzkość, strapioną świetnemi tamtych klęskami.

Otwórzmy dzieje narodów: cisną się w nich ubóstwiane imiona burzycielów miast i krajów; rzadkie i głuche tych wspomnienie, którzy je z gruzów podnieśli. Walą się gmachy, naukom, sztukom, rękodziełom, dobroczynności poświęcone, rozchodzi się z poklaskiem po kartach historyi ten łoskot okropny. Ucząc się w niéj ludzie nieszczęść rodu swojego, mogliby poznać sprawców: lecz nikną one w ich oczach przy świetności tych, których ręka nad nimi tak okrutnie ciężała. Smutne i wstydliwe omamienie, które przenosi cześć i uszanowanie nasze od prawdziwych dobroczyńców ludzkości, do szkodliwych uszczerbców należnéj im chwały.

Jakże więc pięknym powinno być dla nas widokiem, patrzyć na młodego króla bohatyrskiego rodu: widzieć go na czele bitnego wojska, co się tylą okryło laurami, otoczonego niezmierną potęgą, a starającego się otoczyć szczęściem poddanych, i tłumiącego w tym względzie te miłości własnéj i rycerskiego rodu

ku sławie zapędy, którym się oprzeć rzadko który z wielkich nawet mężów zdołał. Nie ubiega się on za wieńcami, co mu sława (iż tak powiem) podaje; bo je widzi krwią i łzami poddanych skropione: Rzetelniejszego i trudniejszego do nabycia szukając zaszczytu, chce wielkość swoję ugruntować na pomyślności ludów, któremi rządzi. Ogrom potęgi jego czuwa nad ich bytem spokojnym: kruszą się o nię otaczające burze, na ktore wolno im poglądać bez trwogi. Wśród spokojności, którą winni tak rzadkiemu umiarkowaniu jego, stara się wylać na nich celne błogosławieństwa pokoju, i ich szafunkiem, piękne dni swoje oznacza. Szlachetném i niezaprzeczoném tego świadectwém jest dzień, w którym otwierając tę wyższą szkołę przez takiego monarchę utworzoną, mam sobie za zaszczyt ogłosić téj stolicy i całemu krajowi drogi ten zadatek dobroczynnych jego ku nim chęci.

Z rozmaitych dobrodziejstw, które rząd światły wylewa na poddanych swoich, za najpierwsze liczyć należy staranność jego, o dobre wychowanie młodzieży; gdyż na niem właściwie gruntuje się kraju pomyślność. Dobre bowiem wychowanie rozwija i kształci te zawiązki cnót, przymiotów i talentów, co z czasem stają się pożytkiem, podporą i ozdobą domowego i publicznego obywatelów życia, z których się składa dobro ogólne narodu. Więcéj powiem: jest ono mocne sprostować ukryte zdrożności natury, owe moralne w ludziach niedołęstwa, nie mniéj rzetelne i częste, jak te, co w fizycznych jéj tworach dostrzegamy naocznie. Jako więc rolnik przez użyteczne prace, najpłonniejszą ziemię w żyzną mieni rolą; tak dobre wychowanie krzewi tam palmy cnoty i nauki, gdzie rosnąć miały osty niewiadomości i ciernie występków.

Będęż się odwoływał na zatwierdzenie téj jasnéj prawdy do przykładów najsławniejszych prawodawców starożytności, uświęconych pomyślnością ludów, którym za najpierwsze i najpożyteczniejsze prawo, a raczéj za warownią praw i rządu, dobre wychowanie nadali? Nie! Pocóż szukać w oddalonych wiekach przykładu, który mamy pod oczyma? Patrzmy, do jakiego stopnia pomyślności i sławy wzniosła rząd, pod którym dziś żyjemy, odżywiona przez niego starożytnych prawodawców mądrość; ta mówię staranność o dobre wychowanie młodzieży, któréj rozszerzenie światła, nauk i nieuprzedzonego niczém w ludziach rozsądku, są ślachetnemi i chwalebnemi skutkami, wzrost wzięła wśród najokazalszych zwycięstw państwa pruskiego. Czuł dobrze Frederyk, ten wielki wojownik, ten wielki ludzi znawca, że w tém jego pieczołowitość nie będzie jedną z ozdób mniéj pięknych, i mniéj użytecznych panowania jego. Wzniósł się geniusz króla tego nad trwożliwe względy, któremi przesąd słabość otacza: śmiał panować nad ludźmi, a wnet światło i nieuprzedzenie, stały się prawie pospolitym udziałem poddanych jego. Widział on pomyślne skutki tak ślachetnych starań, zbie-

rał wielorakie ich korzyści, kiedy oświecenie i pomyślność poddanych przydały nową podporę sławie i potędze jego. Ile razy ręka przesądów ciężyć zacznie nad światłem i nieuprzedzeniem, bodajby ręka prawdy wskazywała wielki ten i użyteczny przykład, dany nietylko od najświetlejszego, ale i od najdzielniejszego monarchy wieku swego.

Lecz nie same tylko rządy winny czuwać nad dobrem wychowaniem młodzieży: winni wszyscy obywatele przykładać się do tak powszechnego sobie z rządem dobra, którego starania w tym względzie stałyby się po większéj części próżnemi, gdyby ich publiczna nie wspierała gorliwość. Może rząd dobre wprowadzić nauki, lecz nie może utworzyć ku nim zapału, przez który wzrost biorą, jeśli im powszechne nie sprzyja mniemanie. Może rząd ustanowić ogniska świateł, z którychby się rozchodziły po kraju: lecz nie może rozkrzewić rozsądku i dobrych obyczajów, jeźli domowe przykłady szczepić ich w ludziach od lat niemowlęcych nie będą. Te są jednakże dobrego wychowania zasady: bez nich niemasz rzetelnego światła, bez nich nauka jest nieużyteczną, a niebezpieczną stać się może. Nikt więc nie jest wyłączonym od tego tak istotnego ku społeczności obowiązku: każdy winien tę konieczną ojczyznie przysługę, iżby się przykładał do wychowania obywatelów, coby ją składać godni byli.

Ty zaś co jesteś celem tylu połączonych starań, celem troskliwości i nadziei ojczyzny, zdolna do wszystkiego młodzieży! chciéj się przekonać, iż nie korzystając z dobrodziejstw starownego wychowania, stajesz się nietylko niewdzięczną, lecz sobie samej szkodliwą, i tu się prawdziwie znajduje nieoddzielną od występku kara. Kiedy ci bowiem dobre wychowanie otwiera drogę do wszystkiego, co tylko ludzie cenią, ty nie korzystając z niego, sama ją sobie zamykasz. Albo cię los postawił w rzędzie tych, na których wylewa swe dary, albo cię w nich upośledził: w pierwszém zdarzeniu zważ, jak jest wstydliwém dla człowieka, stać się niegodnym imienia i losu swego! w drugiém, jak jest nierozsądném dla niego upodleniem, nie starać się nabyć cnotą i nauką, i uczynić sobie własném dobro, którego mu los odmówił.

Nauka, jeśli rzetelna, nie jest tylko życia ozdobą; jest ona wierną jego w każdéj doli towarzyszką. Ona go wyższym czyni nad wszelkie losu igrzyska, i wyłącza z pod jarzma które najokrutniéj cięży nad ludźmi. Ona życie jego spokojném i użytecznem sprawuje, ona ostatnią osładza godzinę, ona imie jego nieśmiertelności podaje. Kiedy zapomniane nazwiska wielu Mocarzy, przed któremi klękały narody, przywalił ogrom czasu; żyją nieśmiertelnych geniuszów wieczne twory, rośnie i szerzy się ich sława, wraz z światłem, które rzucili na ludzi.

Wiem, iż ten zaszczyt większy, niż potęgi, trwalszy niż zwycięstwa, jest rzadkim geniuszu udziałem; dowodzi on atoli, jak w liczbie dróg które do sławy prowadzą, droga umiejętności wznosi się i góruje nad inne, tak dalece, iż w niższych nawet stopniach, do których mniéj wygórowana zdolność każdego prawie doprowadzić może, nie jest ona bez użytku i ozdoby; bo się zawsze do własnego i społeczności wydoskonalenia przykłada.

Takie są zaszczyty, takie nagrody nauki. Jednoczą one w sobie dwie najmocniejsze ludzkich usiłowań pobudki: miłości własnéj, złączonéj z miłością sławy najślachetniéjszym węzłem. Żywe ich uczucie, miéj, o młodzieży! za chwalebne natchnienie, które ludzi niepospolitymi czyni, a brak za pewną nikczemności cechę.

Zagajenie sessyi publicznéj Uniwersytetu Wileńskiego

d. 15. Września roku 1810. v. s.

w rocznicę koronacyi Najjaśniejszego Imperatora Aleksandra I. przy rozpoczęciu roku szkólnego nauk.

Przez Jana Śniadeckiego.

Wśród tylu milionów ludzi błogosławiących dziś panowanie Aleksandra I., i wznoszących swe modły o długą i ciągłą pomyślność jego berła, radby uniwersytet tutejszy z dwudziestą tysiącami uczącéj się pod jego dozorem młodzi wydać w całéj okazałości tę cześć, uwielbienie i wdzięczność, która się należy monarsze, wskrzesicielowi nauk, i najtroskliwszemu dobrego wychowania opiekunowi. Dobrodziejstwo szerzonego w kraju oświecenia urządzone z rozwagą, a kierowane z trafnością, kształcąc i doskonaląc człowieka, czyniąc go zamożniejszym w siły i sposoby, łagodząc i kierując jego czucia, jest prawie siłą twórczą, i razem żywiołem porządnéj społeczności krajowéj, a zatém źródłem szczęśliwości domowéj i publicznéj. Uważać więc to oświecenie należy, jako będące dopełnieniem dzieła stworzenia, a przez wydobyte siły i talenta uzacnieniem natury ludzkiéj. Wszakże cywilizacya ludzi nic innego nie jest, tylko rozwinienie i wydoskonalenie wszystkich władz przyrodzonych człowieka: do czego nauki, jeżeli nie jedyną, to zapewne są najdzielniejszą pomocą. Człowiek okryty niewiadomością siebie i rzeczy, jestto istota błąkająca się w ciemnościach, którą dopiero światło nauk prowadzi na drogę porządnego i przyjemnego życia. Mówiono dotąd wiele o pożytkach nauk wyciągając je z przysług poczynionych rolnictwu, handlowi, rękodziełom, zgoła dostatkom i bogactwu narodów: ale te wszystkie materyalne korzyści ulepszające byt człowieka fizyczny, nie są to zupełną chwałą i zaletą nauk. Prawdziwa godność nauki wyciągać się, i cenić powinna z wpływu,

jaki wywiera na wydoskonalenie władz ludzkich, na wyrobienie prawdziwéj dostojności człowieka, na polepszenie nie tylko fizycznego, ale i moralnego bytu ludzi i narodów. Któż wie czy przywary i występki przypisywane towarzyskiemu życiu, nie są wypadkiem nieporządnego i nie dobrze skierowanego w postępku cywilizacyi biegu? To zapytanie warte jest zastanowić surową i głęboką prawodawcy uwagę. Doskonalić w massie społeczności jednę władzę człowieka z zaniedbaniem innych, dać nadto wybujać pierwszéj z przytłumieniem ostatnich, jestto zostawić zarodek przyszłego barbarzyństwa. Gdyby mi czas pozwolił rozwodzić się nad tém zdaniem; dzieje narodów dawnych i teraźniejszych dostarczyłyby mi licznych na to dowodów: że jeden rodzaj nauk i wiadomości uprawiany i doskonalony z zaniedbaniem innych, podnosząc i zalecając kraj i ludzi z jednéj, zostawił w nich z drugiéj strony okropne i rażące skutki dzikości.

Przesąd uczonych wynoszących jednę naukę z pogardą drugiéj, jest to samolubstwo chcące się przecenić lekceważeniem rzeczy sobie nie znanych; jest to uczone barbarzyństwo wynikające z krótkiego i fałszywego rzeczy widzenia. Bieg i doskonałość cywilizacyi idzie za biegiem i za wzrostem dobrze urządzonym oświecenia. Ale że człowiek nic prawie nie odkrył, czegoby na złe nie użył: mają i nauki swoje zarazy, jako skutki i blizny chorób umysłowych, od których młode głowy bronić i zabezpieczać należy. To zachowawszy, cokolwiek jest prawdą, cokolwiek rozwija i doskonali siły człowieka, daje im kierunek prosty i porządny, jest w instrukcyi krajowéj pożyteczném i szanownem. Dla tego nie można ganić i potępiać przyjętego w wydziale Wileńskim planu instrukcyi szkolnéj: że on zawiera tak liczne i wielorakie rodzaje nauk. Są to zatrudnienia rozmaitych władz wzrastającego człowieka. Nauka języków ćwiczy jego pamięć. Nauki matematyczne przyzwyczajają go do rozwagi, do porządnego wywodzenia myśli, uprawują i wzmacniają rozum, i prowadzą refleksyą do rozleglejszego rzeczy widzenia. Nauki fizyczne obeznawając człowieka z dziełami przyrodzenia, zaostrzają i rozprzestrzeniają w nim pojęcie. Nauki moralne i historya podnoszą i prostują jego czucia, a oswajając go z porządkiem moralnym świata, skazują drogę prawdziwéj zacności. Wymowa, poezya, historya kunsztów, rozszerzają, doskonalą, i prostują imaginacyą: okazują mu potęgę i czarujące wdzięki mowy ludzkiéj podnieconéj talentem. Zgoła rozmaite te wiadomości wydobywają, kierują, i zasilają rozmaite władze umysłu i czucia; wszystkie zaś te pierwiastkowe, ale czyste i porządne każdéj nauki obrazy i wrażenia, składają magazyn myśli, prawd i postrzeżeń potrzebny do trafnego o rzeczach sądzenia. Natura obdarzywszy tak rozmaitemi siłami człowieka, skazuje sama potrzebę rozmaitych pomocy każdéj sile właściwych. I dla tego zarzuty i wrzaski tak niewiadomego jak uczonego pospólstwa, jakoby ta wielość przed-

miotów była zbytniém młodego obciążeniem, nie zgadzają się ani z doświadczeniem, ani z rozumem. Człowiek porządnie uczony, powinien wprzód wiele wiedzieć, ażeby mógł potém jeden przynajmniéj objekt gruntownie objąć i umieć. Trzeba, żeby każda jego siła miała swoje zapasy, aby mogła skutecznie i dzielnie posiłkować drugą. Ten skryty łańcuch, który łączy władze ludzkiego umysłu, zachodzi między naukami, które są jego twory: i dzieła zadziwiające pojęcia i talentu, są najczęściéj owocem tego związku, i wzajemnego władz i nauk na siebie wpływu.

Instrukcya początkowych szkół zaczyna sposobienie i uprawę człowieka, doskonali ją uniwersytet, a kończy świat, t. j.: powołanie, trudy i przypadki towarzyskiego życia. Opatrzonemu w rozliczne i porządne zapasy wiadomości młodzieńcowi, otwiera uniwersytet przybytek rozleglejszych i głębszych świateł w naukach, umiejętnościach i kunsztach. Otwiera mu jeszcze szkołę szczególnego jakiego w życiu powołania, potrzebującego pewnego rodzaju nauk, wyrobienia talentu i zdatności, przez długie, rozważne i pracowite onych zgłębienie. A że ten rodzaj instrukcyi wyższéj, dzielniéj mówić powinien do zmysłów i przekonania: stawiać przed oczy przedmioty nauki, jéj stósunki i odmiany, środki, których rozum ludzki użył w jéj dociekaniach; trudności które spotkał, pokonał, lub niezwyciężone zostawił; zgoła doprowadzić uczących się do stopnia, którego dosięgła każda nauka; podobne jéj z pożytkiem opowiadanie wyciąga rozlicznych zbiorów, kosztownych sprzętów i zakładów, które w dzisiejszym stanie nauk, sama tylko szczodrobliwość rządu i panujących o wzrost oświecenia troskliwych, może przez ogromne koszta i wydatki dostarczyć i opatrzyć.

Zgromadzona młodzi szkolna! oglądając i przebiegając w ciągu uczenia się tyle gmachów i zakładów szkolnych, tyle znacznym kosztem i staraniem zgromadzonych zbiorów, narzędzi i sprzętów, powinnaś zawsze pomnieć i rozważać, że to są dobroczynne upominki ojcowskiéj troskliwości panującego monarchy: które jego hojna opieka albo utrzymała, albo zgromadziła dla waszego dobra i pożytku. Rozmyślajcie sobie codzień, ile to wyciąga starań, wydatków i zabiegów ta wspaniała panującego piecza; aby was usposobić na ludzi pożytecznych sobie i krajowi, aby wam otworzyć źródła przyszłych dla was zarobków, wziętości i sławy. Korzystając z téj opatrzności Aleksandra, zaciągacie dla niego na całe życie dług i obowiązki wdzięczności, z których wam się wypłacać należy przywiązaniem, wiernością, podległością prawu, i przysługami dla kraju. Droga pewna, która was jedynie do tego wielkiego celu może doprowadzić, jest droga pracy, głębokiéj rozwagi i czystéj moralności. Gnuśnością nikczemnieją ludzie, upadają i giną narody: pracą wszystkie się utrzymują, kwitną i bogacą. Człowiek jestto jestestwo opatrzone siłami potrzebują-

cemi ciągłego ćwiczenia: jego więc pierwsza powinność być pracowitym. Nie wdrożony w młodości w pracę i refleksyą, nieopatrzony w światła nauk, potępia się dobrowolnie na nudy dalszego życia, które są jego udręczeniem. Przeciwko tym się zapomogłszy, błogosławić będziecie w całém życiu pożytki dobrze przepędzonéj młodości: jéj zarobki będą jeszcze starości waszéj słodkiém zasileniem i pociechą. Zebranych w szkole wiadomości, nie zostawiajcie w saméj pamięci: ale starajcie się je ciągłą rozwagą zgłębiać, trawić, i obracać na wasz osobisty pożytek: to jest, żebyście z nich wyciągali albo prawidła rozsądku, albo przepisy chwalebnego życia. Rodziliście się niektórzy wtenczas, kiedy rozgorzałych głów przesadzone i zapałem popełnięte zdania zaraziwszy całą massę łagodnego narodu, otworzyły gwałtowny wulkan wywracający wszystko, i miotający okropne klęski, nieszczęścia i pożogi, z których dotąd odetchnąć nie może Europa. Jestto straszna ale wielka dla wszystkich nauka, jak daleko namiętnością eksagerowane myśli obłąkać mogą człowieka i społeczność. Każda więc prawda nabyta przez naukę, albo wyciągniona z uwagi, być powinna pod ścisłą strażą mądrości, żeby nie przeszła swych granic, za któremi stanie się błędem, a częstokroć źródłem domowego i publicznego nieszczęścia.

Ubiegając się za nauką, okażcie ją szanowną w waszych obyczajach: wyrządzajcie jéj cześć religijną w waszych sprawach i postępkach kierowanych prawidłami sprawiedliwości, cnoty i honoru. Nauka bez obyczajów jest hańbą człowieka, a klęską dla społeczności: bo wywraca porządek moralny towarzystwa, który powinna ocalać i utwierdzać. Kto się odważa na czyny uczciwości przeciwne, kto tłumi w sobie poruszenia delikatne i szlachetne, wyzuwa się z szacunku dla samego siebie, i jest potwarcą natury ludzkiéj. Unikajcie od takich ludzi: a spotkawszy ich nie gorszcie się: bo gorszenie się jest skutkiem słabości, a kto się rządzi przekonaniem i początkami prawemi życia, nie jest naśladowcą cudzych zdrożności. Szanujcie religią i jéj zbawienne obowiązki, jako najbezpieczniejszą warownią towarzyskiego porządku, pociechę nieszczęśliwych, i skład głębokiego hołdu dla twórcy tylu rozlicznych i zadziwiających dzieł świata, które się staracie w naukach pojąć i zrozumieć.

Jesteście kwiatem nadziei waszych rodziców, krewnych, nauczycielów, kraju, rządu i społeczności: niechże ten kwiat upłodniony korzyściami nauki wywiedzie dójrzały owoc zaszczytu i chwały dla tutejszéj szkoły. Rozweselajcie wszystkich tym chlubnym i pocieszającym widokiem: że jesteście młodzieńcy, w których opatrzony nauką rozum jest stróżem honoru, uczciwości i cnoty.

Zagajenie sessyi publicznéj uniwersytetu

w dzień 15. Września r. 1814. v. s.

Przez Jana Śniadeckiego.

Otwieramy dziś bieg roczny nauk i prac szkolnych w dzień pamiętny koronacyą Aleksandra I., który być powinien wielkiem świętem całéj Europy. Podawać go będą do uwielbienia potomności nie pochwały mówców i poetów, ale wrócona po dwudziestopięcioletniéj walce Europy spokojność, oswobodzono od ucisku kraje, wyprowadzone z grobu narody, zatamowane przewinieniu polityczne, przywołana z długiego po wywróconym traktacie westfalskim wygnania sprawiedliwość i porządek do społeczności europejskiéj. Zgoła dzień dzisiejszy jako wschód panowania dobroczynnego dla całéj Europy, nie przestanie być dla wielkiego naszego monarchy świętem powszechnéj wszystkich ludów wdzięczności: i razem świętem stworzenia i szczęśliwego odnowienia porządku w towarzystwach, rządach i narodach. Po tylu dziełach waleczności, zwycięztw i tryumfów, rozpoczynają się dzieła rady i mądrości*), które mają uwieńczyć nieśmiertelną chwałą jego trudy, dobroczynne zamiary, i zbawienne przedsiewzięcia. Ile świetniał Aleksander I. w sławie i pomyślności oręża wspaniałomyślnością; tyle słynąć będzie mądrością i sprawiedliwością w zagruntowanym Europy pokoju. Nigdy moc i potęga nie miała tak cnotliwych i szlachetnych pobudek, ani nie sprowadziła pożądańszych wypadków. Przed tą wielkością dzieł i chwały drobnieją i nikną wszystkie uwielbienia, słabieje moc myśli i wyrazów, i cały umysł słupieje w podziwieniu. Same tylko serca nie powściągnione w swéj wdzięczności okrywają monarchę błogosławieństwy i życzeniem. Oby płynęły długo i pomyślnie te dni drogiego życia i panowania, które zamienił na dni ratunku, swobody i szczęśliwości powszechnéj!

Ale młodzi szkolna! nie na tém przemijającém wezbraniu czucia kończyć się powinny wasze obowiązki dla monarchy: trzeba je zrobić trwałemi i niewygasłemi w waszych sercach i umysłach. Panowanie Aleksandra I. nie tylko zostać powinno w dziejach narodu sławną epochą starannego młodzi wychowania; ale jeszcze ta epocha świetnieć i uwieńczać się powinna w pożytkach, w usługach krajowych, w sprawach i obyczajach tak waszych jako i tych, co po was nastąpią.

Dwa są walne zamiary instrukcyi szkolnéj: opatrzyć wasz umysł w potrzebne prawdy i wiadomości; i nadadź taki kierunek waszym żądzom, skłonnościom i siłom, jaki w stósowaniu i użyciu tych wiadomości jest potrzebny do wiernego, umiejęt-

*) Kongres wszystkich rządów europejskich w Wiedniu do ułożenia porządku w Europie.

nego i pożytecznego pełnienia tych obowiązków, które was czekają względem rządu, ojczyzny, towarzystwa, familii i domowników w każdém waszém położeniu, i w każdéj przygodzie życia. Tu zachodzą ważne przestrogi i prawidła i dla tych, którzy chodzą około waszego oświecenia, i dla was samych. Przyrodzenie udarowało człowieka siłami ciała, i siłami umysłu, które mają pory swoje wschodu, wzrostu, dojrzałości, a wreszcie upadku i niknienia. Znajdujecie się w porze pracy i uprawy otoczonéj licznemi niebezpieczeństwy; jeżeli w wydobywaniu, ćwiczeniu i w doskonaleniu waszych sił nie zachowa się pewny porządek, pewna miara i proporcya, i rozsądna harmonia czyli zgoda sztuki z przyrodzeniem. Bo jeżeli damy wygórować siłom ciała z zaniedbaniem i przytłumieniem władz umysłowych, usposobimy ludzi do twardych prac ciała w życiu społeczném, klassę niezmiermie ważną i potrzebną: ale tę sztukę rozciągnąwszy na całe towarzystwo, prowadzimy naród do zdziczałości. Jeżeli znowu zawcześnie i nadto damy bujać władzom umysłu z zaniedbaniem sił ciała; tworzyć będziemy mądre dzieci, a niedołężnych ludzi z niedolą indywidualną i krajową. W doskonaleniu jeszcze rozlicznych władz duszy pielęgnować jednę, a zostawić odłogiem drugie; jest to mnożyć półmędrków, pedantów, albo zagorzalców i uczonych szaleńców.

Rozsądne więc kierowanie młodością, porządne nauk rozłożenie i poddawanie, jest pierwszym warunkiem gruntownego oświecenia i dobrego wychowania. Zkąd łatwo wyprowadzić i niebezpieczeństwa instrukcyi prywatnéj, i pożytki szkół publicznych, i potrzebę, aby w bieg i porządek nauk pilnie wglądała krajowa zwierzchność. W ciele czerstwem i zdrowém umysł obeznany z własnościami rzeczy, umiejętnie i trafnie o nich sądzący, głębokie czucie sprawiedliwości skłonne do uniesień uczciwych i szlachetnych, miłość prawdy i porządku, nawyknienia przyjemne, obyczajne, i cnotliwe; oto są owoce dobrze usposobionego przez instrukcyą człowieka. Żebyście wyszli na takich ludzi, potrzeba ze strony waszéj pracy i usilności. Próżniactwo jest nie tylko szkodliwą przywarą młodości, ale obrócone w nałóg, jest jeszcze na całe życie gniazdem wielu nieszczęść, zdrożności, i zbrodni w towarzystwie: czego dowodzą i obyczaje żyjących, i dzieje wszystkich narodów. Przez nie człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje, staje się niewdzięcznym Twórcy i przyrodzeniu zakopując dary ciała i umysłu: wyrasta na nieużytecznego a częstokroć na szkodliwego członka społeczności: przywyka do opuszczania i do lekceważenia obowiązków, od których nikt w życiu wolnym być nie może, gotuje sobie *nudę* niedostępną, całego życia męczarnią i towarzyszkę: od któréj uciekając, rzuca się w nałogi i roztargnienia rujnujące jego zdrowie, fortunę, a czasem dobrą sławę i uczciwość. Nie trzeba się więc dziwować, że pierwszy a surowy ateńczyków prawodawca *Drako*,

położył próżniactwo w liczbie najszkaradniejszych zbrodni: i na nie jak na ojcobójstwo równie kary rozciągnął.

Praca i usilność doprowadzi was do pomyślności w robotach, a pomyślność do polubienia nauki. Jest zaś pomyślnością w nauce każda pokonana trudność, każda nowa myśl i postrzeżenie odkryte zagłębioną uwagą, każde czyste i szczęśliwe rzeczy poznanych wystawienie: co wszystko ćwiczy pojęcie i talent, napełnia nas rozkoszą i pociechą, zapala chęcią do nowych usiłowań: tak, że praca pomyślna rodzi z siebie i miłą nagrodę, i dzielne nadal zachęcenie. Do osiągnienia téj pomyślności trzeba czuć szacunek czasu, i wprawiać się w gospodarne jego użycie. Bez tego prawidła można się dużo krzątać i trudnić, a nic pożytecznego nie zrobić: co prowadzi do trwonienia sił, zdrowia i życia. Człowiek z przepisu natury jest stworzeniem czynnem: jego siły i władze raz odsklepione i wydobyte potrzebują ruchu, i użycia. Zmordowanie jednéj, a niezaspokojenie drugiéj, sprawuje nieprzyjemność. Przez niebaczność na to prawidło w urządzeniu czasu do pracy i spoczynku, do zatrudnień i zabaw, zaprawiamy spoczynek tęsknotą. zabawę nudą, pracę udręczeniem, a rozrywkę niesmakiem. Życie więc przyjemne, swobodne i użyteczne, ile to od nas tylko zależy, ledwo nie zupełne jest wypadkiem dobrze urządzonego czasu. Przez zachowanie tego przepisu byłoby w sprawach domowych więcéj porządku, w obowiązkach więcéj dokładności, więcéj korzyści w pracy i zabiegach, w naukach więcej zgruntowanych rzeczy, w zabawach i rozrywkach więcéj przyjemności. W wieku waszym, który jest porą uprawy i zarobku, starajcie się nie tracić go marnie. Trwoni się czas zaprzątaniem głowy urojeniami obcemi nauce; opuszczeniem chwili, w któréj myśl jest swobodna i do pracy ochocza; odkładaniem robót na ostatni moment, a potém nagłém ich bez dostatecznéj uwagi wykonaniem: trwoni się czas nieporządném pracy rozłożeniem, przelatywaniem częstém i nagłém od jednego rodzaju robót do drugiego. Taki nieład pracy nie prowadząc żadnéj pomyślności i zarobku, nie może do niczego przywiązać. Niemasz zaś biedniejszego stworzenia jak człowiek młody, do niczego nie przywiązany. Wszystko mu się wydaje obojętne i nudne: dorywcze zabawki są tylko dla niego przemijającém roztargnieniem na zgubę czasu. Dla niego świat cały trzeba, żeby jak Proteusz ustawicznie się odnawiał i przemieniał; żeby łatające jego żądze mógł rozerwać i zatrzymać. Do uniknienia téj zgubnéj przywary trzeba szanować czas i być rządnym w jego użyciu. Nie przestawajcie na tém, co usłyszycie od nauczycielów, albo co przeczytacie w książce; ale starajcie się to pilnie sami rozważyć i opisać; bo dobrze powiedział *Bakon:* że czytanie czyni człowieka zamożnym, obcowanie rozmownym, a pisanie dobitnym i gruntownym. Tą drogą nie tylko odniesiecie rzetelną z nauki korzyść, ale jeszcze nawykniecie z młodu do pracowi-

tości, która jest zbawiennym na resztę życia, i najpiękniejszym przymiotem dobrze wychowanego człowieka. Powinienem was jednak ostrzedz: że złość, przewrotność, szkodliwa a wygórowana namiętność są także pracowite. Wytężona duma i chuć panowania, niepowściągniona żądza znaczenia, chciwość nieumiarkowana dostatków, pieniactwo z całą czeredą szalbierstwa i wykrętarstwa, wyuzdana zazdrość i zawziętość, w jakież nie rzucają się trudy, mozoły i niebezpieczeństwa, żeby mnożyć cudze nieszczęścia, uciski i niepokoje? Młode wasze i niewinne serca wzdrygnąwszy się na te okropne zdarzenia świata, tém mocniéj zapalać się powinny do dobrego. Przyrodzenie wśród nadobnych stworzeń wydaje także potwory i straszydła: a towarzystwo ludzkie cierpieć musi klęski zaniedbanego wychowania, i złego prawodawstwa. A jeżeli są ludzie będący biczem i obelgą społeczności; są także drudzy będący jéj przykładem i ozdobą: tamtych ściga w śród samych powodzeń przeklęctwo i pogarda, tych otacza cześć, błogosławieństwo i szacunek. Dobroczynne nauk światło, prawe i nieskażone wasze skłonności nie dadzą wam zapewne zboczyć z drogi honoru i cnoty: a spotykane w towarzystwie występki ostrzegają was, że kiedy źli pracują na hańbę i pogardę, wy pracować macie na dobrą sławę i szacunek: a zatém, że podnietą pracy być powinna żądza szlachetna i uczciwa, wam samym i społeczności pożyteczna. Pracujce na to, żebyście wspierali, zdobili, i uzacniali swój naród gruntownemi wiadomościami, dojrzałym rozsądkiem, okazałością talentów, i niepokalaną wiernością prawom honoru, sprawiedliwości i cnoty. A jeżeli byli i są ludzie których imie i wspomnienie jest zawstydzeniem Polaka; niech imionia wasze staną się jego chlubą i zaszczytem. Obmyślił wam do tego w instrukcyi publicznéj sposoby wspaniałomyślny monarcha: budujcież mu na waszych korzyściach z nauk, na waszych sprawach, cnotach i talentach pamiętnik nieśmiertelny wdzięczności; żeby dzieje krajowe opisując wzrost nauk i oświecenia, cnoty publiczne i domowe, świetność i szczęśliwość czasów waszych, powiedzieć o nich mogły z rozrzewnieniem, pociechą i chlubą: oto są owoce i stworzenia praw i starań Aleksandra I.!

Przemowa kościelna

na otworzenie roku szkolnego 1851. w gimnazyum poznańskiém.

Przez Ks. Regensa Wojciechowskiego,

Synu mój, bądź pełen mądrości mojéj
a ku roztropności mojéj nakłoń ucha twego.
Przyp. V. 1.

Temi słowy, kochana młodzieży, rozpoczął niegdyś ś. Efraim nauki ze swoim uczniem. Kiedy i my dzisiaj, nowy rok szkolny zaczynając, do tego samego zabieramy się dzieła, myślę, że naj-

mocniejszy położymy fundament, gdy, naśladując męża świętego, słowy Proroka zawołamy: »Synu mój, bądź pełen mądrości mojéj, a ku roztropności mojéj nakłoń ucha twego.« Wiele bowiem nauk i w ciągu tego roku pobierać będziecie. W iloraki sposób niebem i ziemią nieogarniony Stwórca swą doskonałość w stworzeniu objawił; ile wytknął w tym świecie dróg i ścieszek, na których doskonałość jego poznać i sami doskonalszymi i szczęśliwszymi stawać się możemy: na tyle gałęzi nauk rozchodzi się drzewo wychowania, które w was ma być wypielęgnowane. Drzewo to, aby było zdrowe, silne, aby obfite owoce wydawać mogło, musi mieć korzeń w żyznéj roli zapuszczony. Inaczéj będzie mdłe i do wydania owoców niezdolne, a nawet zniszczeje a na jego miejscu wyrosną chwasty i ciernia, które truć będą i kaleczyć przechodniów. Wszystkie nauki, jakkolwiek najrozmaitsze w swych rodzajach, mając jednę całość ukształcić w człowieku, i do jednego najwyższego wznieść go celu, muszą z jednego wypływać ducha, który, jeżeli nie będzie tém dla nich, czem jest żyzna rola dla drzewa, albo zatruje wszystkie umiejętności i przerodzi je w robaczywy owoc, albo téż żadnego nie dozwoli im wzrostu. Wszakże, kochani młodzieńcy, siedząc w upłynionym roku na jednych ławach, jednych i tych samych słuchaliście nauk. Czemuż to jednak jedni uzyskaniem promocyi rozweselili siebie, ucieszyli rodziców, sprawili radość wszystkim, których dobro ich obchodzi; drudzy zaś na wstyd i hańbę swoję, a na smutek rodziców i dobrodziejów te same ławki Bóg wie jak długo jeszcze zajmować będą? Brak zdolności rzadko jest tego przyczyną. Duch raczéj mdły, duch zepsuty, skierowany ku wszystkiemu, tylko nie ku temu, co jest dobre, niweczy najpiękniejsze zdolności, najzdrowsze nauki i największe nakłady. I jakżeż zapobiedz temu złemu? Jakiegoż trzeba ducha, aby z nauk dobre zebrać owoce? Bóg jest istotą najdoskonalszą. Duch więc téż religijny, który nas łączy z Bogiem, jest najlepszy. Czém przeto jest ziemia żyzna i sprawna, tém jest duch religijny dla nauk. A że religią tylko Chrystusa namaszczone nauki mogą przynieść człowiekowi prawdziwe szczęście, o tém zastanowimy się w obecnéj chwili. Przebrzmią jednak słowa moje, jak tysiące innych, bez śladu i korzyści, jeżeli ty o Panie Niebieski nie użyznisz ich rosą łaski swojéj. Spuść nam przeto pomoc z nieba: mnie, bym prawdę wyjaśnić zdołał, słuchającym, aby ją do serca przyjęli.

Po odpadnięciu od Boga człowiek, opuściwszy religią objawioną, rozumu własnego jako przewodnika w wychowaniu, życiu i urządzaniu stosunków społeczesnych się chwycił. Dalekoż zaszedł na téj drodze, mimo to, iż Najwyższa Opatrzność nigdy go bez Objawienia nie zostawiła? Oprócz siebie widział człowiek podobne sobie istoty w bliźnich, a wrodzone uczucie skłaniało go do uznania nadprzyrodzonéj istoty, tj. bóstwa. We wszyst-

kich tych trzech kierunkach, tj. w poznaniu siebie, otaczającego świata i bóstwa, jakież zdołał rozum dać mu wyjaśnienie? Wszystko z dziejów pogańskich przytaczać na wykazanie, jak źle pojmował człowiek bez Objawienia siebie, bliźnich i Boga, byłoby za wiele. Ważniejsze rzeczy alboście już poznali, albo przy dalszym postępie w naukach poznacie. Tu dosyć będzie przytoczyć, iż niewiedziano, czy człowiek z ziemi wyrosł, jak grzyby, czy się w swéj naturze różni od »oskubanego koguta«, czy w zmysłowych rozpustach nie powinien przesadzać bezrozumnych stworzeń. Były prawda także światełka, wyświecające w podobnych przypuszczeniach oczywistą niedorzeczność; prawdy jednak czystéj rozum wykazać nie zdołał. Nie pojmując człowiek bez objawienia siebie, nie pojmował też i obowiązków względem bliźniego. Świadczy o tém niewola. Jak okropne było to jarzmo, sam poganin Seneka (de ira 3) ze zgrozą wspomina, iż los zwierzęcia lżejszy był, niż los niewolnika. A iluż to temu losowi ulegało? Otwórzmy księgi Tacyta, a tam wyczytamy, iż w Atenach pomiędzy 60,000 mieszkańcami znajdowało się 40,000 niewolników; w Rzymie zaś podług świadectwa Cicerona przy końcu Rzeczypospolitéj pomiędzy 1,200,000 mieszkańcami posiadało własność 20000. a reszta w jarzmie niewoli jęczeć musiała. Takie przez się rozum ludzki, odrzuciwszy objawienie, potrafił zrodzić szczęście w społeczeństwie. Tak się i dziś dzieje, gdzie chrześciaństwo uchylone jest z życia. A o pojęciach jakie miano o bóstwach, cóż mówić? Zgroza przeraziłaby nawet piekło, gdybym powtórzył słowa Pindara, któremi opisuje cześć Babilończyków okazywaną bogini Mylicie i innym; jakże je tu w świątyni przytaczać? Bogowie, jakich sobie człowiek, odrzuciwszy objawienie, wymyślił, były to tak okropnemi występkami skażone potwory, iż co oni broili, o tém zwyczajny człowiek według św. Augustyna (de Civit. Dei Lib. II. c. 7.) wyrzec musiał: »Ego homuncio non facerem.« Ztąd też Plato wyraźnie zakazywał dawać historyi bogów w ręce młodzieży, aby ta do najokropniejszych nie była poduszczaną występków. Źle też ostatecznie tak się rozlało w świecie, iż prawdziwy Bóg i Swórca żali się z nieba przez Proroka: »Nie ma, ktoby dobrze czynił, aż do jednego.« A ziemia iście przestała być wstępem do nieba, a zamieniła się na przedsionek do piekła.

W takiém rozprzężeniu i zwątpieniu świata, kiedy mędrzec pogański wyznaje: »Sam Bóg musi nas w prawdzie oświecić,« a Prorok znów woła: »Spuście rosę niebiosa z góry, otwórz się ziemio i zródź nam Zbawiciela«; przychodzi Zbawiciel, Jezus Chrystus, i tę wesołą zwiastuje nowinę: »Jam jest droga, żywot i prawda.« Według bowiem nauki Jego w Bogu w Trójcy św. jedynym człowiek ma swój początek, swe życie i swój cel wieczny. Któż więc może nie wiedzieć: zkąd się wziął? czego się w życiu ma trzymać? i dokąd dążyć? A jeżeli każdy z bliźnich

ten sam ma początek, i to samo przeznaczenie, któż w nim równego sobie nie uzna obrazu i podobieństwa Boga? Prawdy te przekazane są rodzajowi ludzkiemu nie jako płód tego rozumu, który dziś potępia, co wczoraj ubóstwiał, dziś ubóstwia, co jutro potępi, ale jako mądrość tego, który najprzód cudami dowiódł, nim powiedział: »Ja i Ojciec jedno jesteśmy,« który panując nad światy i nad wieki, sam tylko mógł wyrzec: »Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą. A kościół, przez który Chrystus Pan te prawdy nam podaje, czyż mniéj jest pewny i stały? Kościół, o którym sam jego Założyciel mówi: »Bramy piekielne nie przemogą go.

Te silne prawdy, jeżeli zapewniają człowiekowi w przyszłości szczęście tak wielkie, iż podobnego »ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w sercu człowieka nie postało,« jeżeli zarazem podają środki złożone w kościele do osiągnienia szczęścia tegoż; czyż nie zdołają człowieka napełniać słodką nadzieją, bez któréj życie nasze raczéj śmiercią nie życiem nazywaćby się musiało? Poganin tylko mógł bez nadziei odezwać się:

»Aliudque cupido,
Mens aliud suadet: video meliora, proboque,
Deteriora sequor«: (Ovid. Metam. L. 7. 26.

Chrześcianin, mając w Sakramentach ŚŚ. pomoc samego Boga, nie zwątpi nigdy o osiągnieniu swego najwyższego celu, ale i wśród największych przeszkód zawoła z apostołem: »Wszystko uczynić mogę przez Tego, który mię mocnym czyni.

A nauka Chrystusa jest prawdą, która na tém polega, by poznanie było zgodne z rzeczywistością. Któryż chrześcianin nie doznał tego okazać? Miłość wypływająca z wiary i nadziei, wynosząc go nad powszednie zjawiska tego świata, łączy go z Bogiem, którego wiarą poznał, a do którego przez nadzieję wzdychał. Jeszcze na ziemi, już przez religią Chrystusa duszą przebywa w niebie; jeszcze padoł płaczu napełnia go łzami, już szczęście niebieskie radość mu zwiastuje; jeszcze proch i grzesznik, już religia Chrystusa przez wiarę, nadzieję i miłość wznosi go tam, gdzie jest Alfa i Omega jego istnienia, gdzie chwała i szczęście, »jakiego oko ludzkie nie widziało, ucho nie słyszało, i jakie w sercu człowieka nie postało.«

Gdy więc chodzi, kochana młodzieży, o upłodnienie twego serca do przyjmowania nauk, cóż im może więcéj życia, więcéj woni nadać, co i w piękniejszy połączyć bukiet, jak religia Chrystusa? Nie dosyć, iż w niéj tylko wszczepione nauki prawdziwą mają wartość, jako do prawdziwego prowadzące celu, ale nadto w religii tylko Chrystusa najsilniejszy znajdziesz bodziec do nauk. Bóg, którego jesteś obrazem i podobieństwem, powiada ci religia, jest najmędrszą i najdoskonalszą istotą. Możesz więc jako obraz tego Boga nie postępować w mądrości? Z każdéj chwili życia twego, powiada ci religia, rzchunek Bogu zdawać będziesz.

Możesz więc jako chrześcianin czas przeznaczony do nauki na czém inném, jak na nauce, przepędzać? — Ale religia Chrystusa udzielając nietylko oświatę, ale zarazem i siłę, wymaga, aby i z téj siły w życiu korzystać. Nie dosyć zatém oświecać się religijnemi prawdami, ale trzeba zarazem i żyć religijnie. Wiara dopiero w połączeniu z życiem religijném jest ową rolą płodną, na któréj nauki obfite i pożyteczne wydają owoce.

Spojrzyjcie pomiędzy siebie — prawdziwy religijny czyż będzie leniwy? Prawda, że i mniéj religijni pilnością odznaczać się mogą — ale kiedy pomiędzy niereligijnymi w wyjątkach tylko pilnych spodziewać się można, religijni z reguły pilnymi będą. Kiedy niereligijnym nauki posłużą za to, czém są drapieżnym zwierzętom kły i pazury, aby, nie mając nic świętego, z wszystkiego się natrząsać, i na podobieństwo niereligijnego czarta, wszystko święte niszczyć, religijnemu posłużą nauki do tego, by się w doskonałości zbliżać do Boga, i z podobnéj miłości, jaką Chrystus Pan gorzał, poświęcać się chwale Boga i szczęściu bliźnich, choćby i na krzyżu. Ztąd też pobożny Tomasz Morus do nauczyciela swych dzieci mówi: »Pomiędzy wiadomościami tę najwyżéj stawiać należy, która uczy, jak być pobożnym przed Bogiem.« A św. Chryzostom do wszystkich rodziców odzywa się: »Przyzwyczajcie dzieci wasze od młodości wznosić wzrok do Ojca niebieskiego; wpajajcie głęboko wszechobecność Boga.« Gdyby wszyscy rodzice dziś i opiekunowie śli za radą tego uczonego i świętego męża; i nauczycielom oszczędziliby zgryzot, i sobie smutku a nawet i łez. Wychowanie domowe mał być podsawą tego, co szkoła wpaja, i stróżem, aby dziecku, gdy wyjdzie ze szkoły, złodziéj nie skradł tego, co słyszało, ale by z tego korzyść w życiu odniosło. Bo i Augustyn św. porównywając wychowanie domowe z kościołem, powiada: »Rodzicy są niejako biskupami, gdyż z taką powagą i troskliwością czuwać powinni nad swém rodzeństwem, z jaką biskupi w ich dyecezyach.« Dopełniaż przecie domowe wychowanie zawsze tego obowiązku? Z goryczą serca przychodzi mi z tego miejsca prawdy wyznać, iż nie czyją, jak rodziców i wychowańców domowych najczęściéj jest winą, jeżeli Ojciec w niebie i ojciec na ziemi skarzyć się musi: »Wyżywiłem dzieci i wychowałem, a one odwróciły się odemnie!«

Przeto ojcowie i matki, opiekunowie, dobrodzieje i wszyscy, którzy tę młodź otaczacie! Chrystus Pan woła: »Kto zgorszy jedno z tych małych, lepiejby mu było, by młyński kamień sobie u szyi uwiązał i w przepaści morskie skoczył!« A choćbyście téż nie zgorszyli, skoro tylko złemu zapobiegać a dobrego wpajać nie będziecie, oto wiedzcie, iż już w starym testamencie Bóg ukarał śmiercią Helego zato, iż zgorszeniu swych synów nie zapobiegł, a Paweł św. (Tym. V. 8.) woła: »Jeśli któ o swych, a najwięcéj o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary, i jest gorszym,

niźli nie wierny.« Albowiem mówi mędrzec (Agezylausz): »Gdzie rodzice dobrze wychownją, i nauczyciele rozumnie kształcą, tam jest szczęście teraźniejszości i przyszłości zapewnione.«

Szczęście to przecież nie mniéj zależy także od ciebie, K. M! Ten Bóg, który wam dał rozum i wszystkie władze do ukształcenia się w mądrości i cnocie, patrzy na was z nieba, jak téż dobrodziejstw tych użyjecie.

Ten kościół, który was odrodził na synów Bożych, patrzy na was, czy téż prawdziwie na synów Bożych się kształcicie! Ta ojczyzna, która ciało wasze karmi piersiami swemi, patrzy na was ze łzami, czy jéj téż pociechą się staniecie! Ci rodzice, którzy ostatni może kawałek chleba krwawo zapracowanego odjęli sobie od ust, by was utrzymać w szkole, patrzą na was, azali im się téż odwdzięczacie. Kochane dzieci, zdradzicież oczekiwanie to Ojca waszego w niebie, ojca na ziemi i matki, matki kościoła i matki ojczyzny? Jestli tu taki zdrajca, taki syn marnotrawny? O wychódź, wychódź czemprędzéj z tego grona, nie trwoń czasu, nie trwoń majątku: bo tam bracia i siostry twoje, bo tam ojciec i matka obumierają może z głodu, a ty niszczysz tu krwawą ich pracę, natoby potém zatruć im starość, by ciężarem, by zgorzeniem i klęską być dla ludzi, a obrazą dla Boga! — Tak okropnego serca trudno się spodziewać pomiędzy wami, nadziejo przyszłości! Ożywmy się więc wszyscy tym duchem Chrystusowym, z którego wszelka wypływa nadzieja: pociecha! Postanówmy w obliczu Boga rok ten przepędzić w takiéj pracy, któryby nas i bliźnich radosnemi ucieszyć mogła żniwami, a ponieważ wszystko dobre od Boga pochodzi, prośmy gorąco dziś, prośmy go codziennie, tą bezkrwawą ofiarą, która nas oczekuje. Amen.

Mowa

przy złożeniu w grobie Wilanowskim przewiezionych z Wiednia zwłok Ignacego hr. Potockiego M. W. X. L. w roku 1810.

Przez Staniaława hr. Potockiego.

Kiedym cię oczekiwał bracie kochany w tém królów naszych siedlisku, powracającego z chwalebnéj podróży, którą ci nowa dla ojczyzny przysługa przedsięwziąść kazała, mógłżem się spodziewać, że cię nie w ich świetném mieszkaniu, lecz u drzwi grobowych przyjmować będę, i otwierać ci nie domu mego, lecz śmierci podwoje? Witać się z tobą spodziewałem, żegnać mi się z tobą na wieki przychodzi! Lecz nie bracie kochany! jeśli litość Boga dozwoli, jeśli zdołam iść w ślady twoje, ujrzę cię jeszcze w tém chwały i szczęścia siedlisku, gdzie zamieszkujesz w nagrodę cnót twoich! Otóż jedyna, która mi pozostaje nadzieja, otóż w dzisiejszéj żałobie mojéj jedyna d a mnie pociecha.

O smutny grobowcu, o ostatni pobożności, przywiązania i wdzięczności braterskiéj podarze! przyjm te drogie zwłoki, obok których wnet i moją spoczywać mają: bądź ich wiernym stróżem, broń je od zniszczrnia czasu, a nadewszystko od ludzkiéj wściekłości. Wy zaś przytomni temu obchodowi chrześcianie, ubolewając nad tak niewczesną stratą Ignacego Potockiego, pomnijcie, że nic więcéj z dóbr świata tego śmierć najznakomitszym ludziom nie zostawia, jak tę trochę ziemi, co ich popioły okrywa, i że szczupła trumna, co ich zwłoki w sobie zamyka, staje się prawdziwą miarą przyszłéj ich wielkości.

Wszyscy, bracia moi! dla śmierci rodzimy się, życie nasze jest tylko przejściem, które nas od kolebki do grobu prowadzi. Umieramy co chwila, bo nam każda coś z życia unosi: tak idąc tak co krok niszczejąc, stajemy nakoniec u drzwi grobowych, gdzie nas śmierć czeka i obnaża z tego wszystkiego, co światowém, co nie naszém było! cnoty nam tylko zostają; bo te z nieba użyczone, z nami do źródła swego wracają. Tak, wszystko pod kosą śmierci upada, prócz cnoty: więc jest ono oczywiście najwyższém dobrém i zaszczytém człowieka, najświetniejszym jego tryumfem, bo pogromicielką wszystko niszczącéj śmierci.

Mając mówić o człowieku, co ją w wysokim posiadał stopniu, i chcąc wam rys jego zakreślić, użyję słów Salomona: »Wzniosła go mądrość i chwałą okryła«; nie tą chwałą znikomą, co chwilę zajaśniawszy wiecznie gaśnie; lecz tą co do lepszego wiedzie nas życia, i w niém wiecznie trwa z nami. Jest to ta mądrość, która podług Salamona z góry na nas spływa, i co ludzi prowadzi w drogach sprawiedliwości, w drogach jedynie zdolnych okryć nas wieczną chwałą, i wieczne zjednać nam życie. Jakoż duch boski uczy nas w piśmie, że mąż roztropny wyższym jest nad odważnego, że mądrość przechodzi waleczność, że przed nią milknie szczęk broni, że umiarkowanie i cierpliwość zasługują nieraz na większy szacunek, niż zdobycia miast i szczęśliwe boje!

O szalone człowieka przesądy! co krwawą waleczność kładziecie w pierwszym rzędzie ludzkich zaszczytów, i na najwyższym stopniu mieścicie sławy! Z téj przecież ona wysokości, z tego szczytu ludzkiéj wielkości, wali na świat klęski, i okropności wojny. Jest to potok, co wszystko obala, jest to burza co wszystko niszczy, jest to wicher, co wszystko porywa, jest to pożar, co wszystko trawi, jest to przepaść, co wszystko pochłania. Rzućcie tylko okiem około siebie, a wnet się o téj przekonacie prawdzie, któréj nędze i zwaliska, wszędy smutne oddają świadectwo. Przeciwnie, dobroczynna mądrości i umiarkowania ręka, goi głębokie ludzkości blizny, które jéj wojna zadaje. Przyjemnemi są ku temu jéj środki, jest to ojcowska opieka, jest to słodka spokojność, jest to zniewalająca cisza, jest to chwila roku pogodna. Płynie ona zwolna i okazale, jak dobroczynna

rzeka, co skrapia, zażyznia, zbogaca, i obfitością okrywa brzegi swoje, kiedy niszczący potok wojny wszystko porywa, kiedy jéj piorun wszystko obala!

Lecz więcéj uderzają burzliwy umysł człowieka, świata gwałtowne wstrząśnienia, klęski jego, a nawet własne, niż rzadka i szczęśliwa chwila, co mu po nich oddychać pozwala. Ztąd większym jest w jego oczach ten, co łzy wyciska, aniżeli ten, co je ociera, ten co obala, aniżeli ten co dźwiga, ten, co niszczy, aniżeli ten co odradza! Otóż w co przesądy nasze obracają rozum człowieka, ten dar którym on się chełpi na inne. Nie czyniąż go podobnym cielców tych srogich bałwanów, które pogańska zabobonność krwią ludzką karmiła?

Mówię to o dumnych zdobywcach narodów, tak znakomitych w dziejach, tak wielkich w oczach naszych, nie zaś o tych cnotliwych rycerzach, którzy krew swoję poświęcają dla obrony kraju. Równym oni siebie okrywają zaszczytém, jak ci niemniéj od nich mężni obywatele, co w dopełnieniu cnót domowych, co o usłudze publicznéj nie znają żadnych względów, gardzą wszystkiemi niebezpieczeństwami.

Takim był Ignacy Potocki, taką miłość jego do kraju: w tak on wysokiém miejscu położył całe serce swoje, że nieprzystępném nawet obawie śmierci było. Dowiedzie tego krótki rys życia jego, w którym nie waham się w miłości kraju najdostojniejszą jego widzieć zaletę, i głosić ją w tém nawet miejscu świętém, bo słyszeć w niem zdaje mi się głos Zbawiciela, mówiącego do ukochanego ucznia: »Umieram za naród«. Sam tedy chciał nas Zbawiciel nauczyć własnym przykładem, jak wielką jest cnotą miłość narodu, któréj wszystkie inne towarzyszyć zwykły.

Stargały bracie kochany! poniesione przez ciebie dla ojczyzny trudy, długie i podwojone więzy zdrowie twoje! Żyłeś boleśnie, lecz zwyciężała stałość duszy ciała cierpienia, a nic nam obawiać się nie kazało tak prędkiéj utraty twojéj! Kiedyś się z nami żegnał w tém właśnie miejscu, przedsiębiorąc podróż, do któréj obywatelstwo dodawało ci sił, odmówionych od natury, mówiłeś: »Bóg mnie wesprze i w tym razie, on co niedozwolił znieść tyle cierpień, i wśród nich ocalił.« Jakoż nie omyliło się zaufanie twoje, a choć do dłuższéj przymuszony drogi, wśród szczęku broni i srogiéj wojny, dopiąłeś zamierzonego celu podróży twojéj. Lecz niestety! zaledwieś dokonał w Wiedniu poleceń, zaledwieś dał czas poznania i szanowania siebie, umiejącemu znać i cenić ludzi dworowi, uderza cię grot śmierci panującą w tém mieście zarazą. Osłabione od dawna zdrowie twoje, oprzeć mu się nie zdoływa, i wnet jak żyłeś z słodyczą i z zaufaniem w Bogu, spokojnie na łonie przyjaźni umierasz, jakbyś tylko ciężar życia złożył, a uwolniony z ziemnych ciała więzów duch czysty do niebieskiéj wracał ojczyzny. Taka jest śmierć sprawiedliwego, a w niéj tryumf prawości: taką twoja była!

Powiedzcie przyjaciele! powiedzcie nawet słudzy! jaką była ku wam jego uprzejmość, jaką słodycz, jak zawsze gotowa chęć przysługi! Powiedzcie wy wszyscy, coście z nim żyli, jak pewném, jak przyjemném, jak wesołém było obcowanie jego, często wśród ciężarów spraw publicznych, tęsknych polityki zabiegów, wśród prac człowieka stanu, wśród tysiącznych przykrości, a nawet wśród nieszczęść jego! Bracia moi, nikt lepiéj nie dowiódł, jakim są skarbem niewinność sumienia, czystość widoków i czynów prawego człowieka, co sobie nic do wymówienia nie ma, któremu czyn każdy jego, chwalebne oddaje świadectwo. Jeśli nad nim ciąży niesłuszność fortuny i ludzi, spoczywa w przyszłości z zaufaniem na zapewnionéj Boga opiece, a przemijające życia tego niedole, ma tylko za przykrą podróż, co go do lepszego prowadzi bytu, do tego szczęśliwego siedliska, gdzie Bóg wynagradza nietylko cnoty, ale za nie na tym świecie cierpienia. I tak dusza prawych raduje się, kiedy ciało jest strapione.

Mamże mówić bracie, o twojem ku żonie, ku córce, ku rodzinie przywiązaniu? Gdybym temu słowa wyrównywające znaleść zdołał, jeszczeby na to samo wspomnienie głos mój żal przytłumił. O ojcze, o mężu, o bracie jedyny! O ty! co z sobą do grobu unosisz ciężką żałość tych wszystkich co cię znali, kiedyś za życia utracił najdroższe sercu twojemu przedmioty, kiedy cię los ukochanéj żony i córki pozbawił, kiedy z licznéj rodziny, dwóch ci tylko pozostało braci, zlałeś na nich wszystkię kochający duszy twojéj uczucia, i tym, którym w młodości służyłeś za ojca, w ostatnich latach twoich, ojcowskie ze wszystkiém oddałeś serce. Przenieśliśmy wśród nas szczątki twoje z oddalonéj krainy, by duch twój opiekuńczy czuwał nad nami: pozazdrościliśmy ich obcéj ziemi, bo ojczysta, co się szczyci cnotami twémi, jedynie godną była je posiadać. Składamy je w skromnym grobowcu: wyrównywać wszakże on będzie królewskiéj okazałości, którą jaśnieje to miejsce; bo cóż jest wspanialszym, cóż może być okazalszym w oczach Polaka, jak grabowiec jednego z najlepszych obywateli, obok tylu pomników jednego z najwaleczniejszych rycerzów naszych? Szczęśliwém jest to zbliżenie, i równie dla obu zaszczytném.

Dźwigamy aż do grobu ciężar pychy i próżności naszéj. Przywalając marmurami i miedzią popioły nasze; mniemamyż módz ukryć pod niemi tajnik nicości naszéj? Nie, im to pomniki są okazalszemi, tym jawniéj dowodzą nędzą naszą. Te dumne napisy, co głoszą wielkość ludzi, nie opiewają głośniéj jeszcze ich nikczemność, i nie mówią: »Ten co się tak wielkim mniemał, jest dzisiaj niczem.« Ale groby znakomitych ludzi wzbudzają w nas tkliwe poszanowanie; nie trzeba ku ich ozdobie marmuru ni miedzi; ozdobą ich jest wspomnienie tego, co w nich spoczywa. Więcéj one sprawują wrażenia, proste niż okazałe, skromne niż bogate, więcéj nieszczęściem niż pomyślnością, więc-

céj oznakami cnoty niż potęgi pamiętne, mianowicie w wiejskiéj, jak ta ustroni, ich wrażenia mocnéj się czuć daje. Częściéj łzy wyciska prosty kamień grobowy, przy którym podróżny spoczywa, niż wspaniałe po kościołach pomniki: tu przepych tylko uderza, tam żałość nabiera z przyrodzenia szczytności! Otóż wrażenie, którego sprawiać nie przestanie skromny pomnik Ignacego Potockiego. Wznosząc go bracie, mało na pozór, lecz dość w rzeczy ku uczczenia ciebie wdzięczność uczyniła twéj rodziny, któréj ulubionym byłeś zaszczytem.

Lecz czas koniec uczynić tak sprawiedliwym pochwałom, i tak słusznéj żałości, pomnąc na to, iż śmierć sprawiedliwego jest wyższym nad wszystkie tryumfem cnoty, a przygodą dla tych tylko, których osierociałych po sobie zostawia! Chrześcianie! rzucając okiem na tak piękne życie, pamiętną w niém dla siebie czerpajmy naukę. Sprzyja od młodości los Potockiemu, wszystko dla niego jest pomyślném: urodzenie, rozum, fortuna, zaszczyty, postać przyjemna, wszystko w nim zadosyć czyni życzeniom, nawet próżności, któréj nie znał. Lecz brak mu swobody i ta gorycz wszystko truje: nie umie on być szczęśliwym wśród jéj niedoli! Ale i w tém późniéj choć na chwilę, los go pociesza: czuje się szczęśliwym, że ją własnemi rękami dźwigać może, i ta jest chwila najwyższego stopnia szczęścia jego. Tu nagła następuje zmiana, a los jego okropną odtąd bierze postać. Stracił żonę, traci ojczyznę, traci córkę, traci majątek długie i powtórzone więzy jego odejmują mu resztę skołatanego tylu przygodami zdrowia! Nakoniec stałość duszy jego, przewyższa te wszystkie nieszczęścia; pociesza go znowu nadzieja wskrzeszenia kraju, a Bóg mu umrzeć w jego usłudze pozwala. Bracia moi! takie losu zmiany, nie sąż doświadczeniem, które Bóg w tém życiu na sprawiedliwych zsyła, by się jeszcze godniejszymi stali przyszłego? i żeby ich przykładem nas nauczył, z jakim poszanowaniem ulegać winniśmy Jego najwyższym wyrokom i w Nim całą naszą pokładać nadzieję, widząc rzeczy ludzkich tak wielką znikomość. Patrzcie na nią, zstępując do grobu cóż z sobą unosi ten mąż, któremu niebo użyczyło za życia tyle darów swoich? Na cóż mu się przydały? Oto ku niedoli i prześladowaniu jego. Przecież ta niedola, to prześladowanie jest jedynie pozostałém dobrém jego, co mu od Boga policzoném będzie, który światowe utrapienia ludzi prawych, jakby dobrodziejstwo od siebie wieczném nagradza szczęściem.

Złóżmy więc ze smutkiem, lecz z winném w litości i sprawiedliwości Boga zaufaniem, zwłoki Jego w tym grobie, na widok którego niech każdy Polak w najpóźniejszych pomni wiekach: że w nim spoczywa obywatel, co żył i umarł dla kraju.

B.

Mowy sądowe.

Mowa Stań. Czarnkowskiego.

Przez Ł. Górnickiego.

W sprawie księżny Ostrogskiéj Biety z książęciem Dymitrem Sieńguszkiem, i Wasilem książęciem Ostrogskim o najechanie Ostroga i wzięcie księżny Ostrogskiéj, miana w sądach zadwornych JKMości w Knyszynie naówczas odprawujących się.

Nie tuszę, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, iżbyś WKMość Pan sprawiedliwości przychylny, dziwować się temu miał, iż ja nie będąc biegłym w prawie, a nietylko nie fołdrując nigdy na nikogo, ale ani u sądu słowa należnego ku prawu mówiąc, w tym żalu, który potkał księżnę JMość Ostrogską, przy niéj stoję, i na księcia Dymitra Sienguszka skargę kładę. Wszakoż jeśliby tu kto był, komuby to w podziw było, ten gdy obaczy, co się księżnie JMości od księcia Dymitra, abo nie księżnie JMości tylko, ale wszystkiéj w obec Koronie, prawu pospolitemu, zwierzchności WKMości stało, nietylko dziwować się przestanie, ale zemną pospołu stanie ku obżałowaniu tak szkaradnego Sieńguszkowego uczynku. A zwłaszcza, iż krzywda księżny JMości nie potrzebuje mądrych wywodów, wymownych ludzi, subtelnych ku okazaniu prawdy słów: (rzeczy są jasne, rozgłoszone, niewątpliwe) ale potrzebuje, iżby ludzie w cudzém nieszczęściu, na swe nieszczęście pomnieli, a radniéj się poczuli w bliźniego swego przygodzie, niżby się swojéj doczekać mieli. Ja wolałbym zaprawdę, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, pierwszy początek mowy méj u prawa, od obrony człowieka, jakiego niewinnego począć: bo to nie jest przyrodzenie moje, pragnąć czyjego obelżenia, szkody, abo kłopotu, ale iż mię ciśnie do tego powinność człowieka poczciwego, sumnienie, Bóg, abym przy sprawiedliwości stał, a onéj i najnędzniejszemu człowiekowi pomagał, wziąciem na się musiał ten ciężar, przeciwko księciu Dymitrowi mówić, i księżnie JMości wszem ludziom zacnością domu, i uczciwém życiem zaleconéj pani, sprawiedliwości dopomagać. A w tém przedsięwzięciu mojém, to

mi dobrą myśl czyni, iż ta, która się zda być skarga, rychléj obroną, niż skargą zwana być może: abowiem mówiąc ja za księżną JMością, bronię prawa pospolitego, bronię pokoju, bronię cnoty, bronię poczciwości, i wstydu białychgłów poczciwych. A kto mi kolwiek tego pomagać zechce, ten pospołu zemną na jednego skargę kłaść, a wszystkich bronić będzie, co bez wielkiéj odpłaty od Boga, chwały od ludzi poczciwych być nie może.

I nie jest dziw żaden, Miłościwy Królu, iż książe Dymitr tu przed WKMością do prawa nie stanął; abowiem: a jakoby on mógł podnieść bezpiecznie oczy swe na majestat WKMości, który tak lekko poważył? Jakoby mógł tu u tego prawa stanąć, przeciwko któremu tak zuchwale i szkaradnie wystąpił? To u mnie dziw będzie, jeśli się kto w tym orszaku uczciwych ludzi najdzie, któryby go bronić chciał. Co jeśli za złością ludzką przyjdzie, tedy takowy człowiek nie to pokaże ludziom po sobie, iż Dymitra miłuje, ale to pokaże, iż jest nieprzyjacielem cnocie, uczciwości, wolności, prawu, swobodzie, Bogu i ludziom. Wtenczas, gdy się kto taki obierze, kto za Dymitrem mówić, i jego nieprzystojnego uczynku bronić będzie, ja doznam, iż to prawda jest, co zdawna o Polsce powiedają, jako niemasz tak szkaradnego na świecie grzechu, na któryby w niéj obrońcy nie dostał.

Ale ja nie tuszę, Najj. a Miłościwy Królu, iżbyś WKMość obostrzony, nie gniewem, ale nieprawością księcia Dymitra, miał dać miejsce wywodom jakim wykrętnym, któreby Dymitra czyniły prawym, a niewinnym. Więcéj u WKMości będzie ważyła prawda, niż chytre słowa; więcéj prawo, sprawiedliwość, niż miłosierdzie. Które, by téż WKM. najbardziéj ruszyło, a jako go WKMość nad tym użyć masz, który okrucieństwa użył nad tymi, którzy miłosierdzia byli godni? Jako WKM. baczenie masz mieć na tego, który baczenia nie miał na sprawiedliwość, na prawo pospolite, na zwierzchność WKMości, na uczciwość powinną żeńskiéj płci, na Boga i srogi sąd jego? Pewni są tego ludzie, iż WKMości Dymitra skarzesz: lecz tego nie wiedzą, najdzieli się każń taka nań, jaką uczynek jego niezwykły, szkaradny, a nieprzystojny zadziałał? Najdzie się podobno człowiek jaki, gdyż złości wszędy pełno) który WKMości miękczyć będzie: którego człowieka nie będziesz WKMość słuchał, ani skłonisz ucha swego na słowa jego, pomniąc na sąd sprawiedliwy boży, na którym WKMość z temi, które teraz sądzisz, stanąć masz: a przed którym nie wymówisz się WKMość, że książe Dymitr był godny żołnierz, wiódł za sobą silny tłum ludzi, godzien był łaski. Nie kazał Póg braku mieć w téj mierze, ani go téż WKMość, pewienem tego, patrzyć będziesz: ale to, co się powiedziało, rzekło się dla tego, aby nikt WKMości za złe nie miał, gdy, WKMość ostréj sprawiedliwości, pomniąc na sąd boży, przeciwko księciu Dymitrowi użyjesz. O którym, jeśli ja

nie wszystkiego WKMości wypowiedzieć będę mógł, proszę, iżbyś WKMość za złe mieć nie raczył — abowiem są drugie rzeczy o księciu Dymitrze, które uczciwie powiedziane być nie mogą, a mnie nie tylko świętym uszom WKMości, ale poczciwym ustom moim folgować przystoi. Niechajże to książe Dymitr ma odemnie za jeden wielki dar, iż niewstydliwych jego uczynków nie wspomnę, nie tknę; ani tego, co ludzie o sprosnych a nad przyrodzenie chciwościach cielesnych jego twierdzą, chociażby się to pokazać mogło jaśnie: to tylko powiem, co mnie zlecono i mojéj wierze.

Książe *Ilia*, Najj. a Miłościwy Królu, miał za to, iż i nań, i na potomstwo jego, nie tylko WKMość, któremu on całą wiarą i sercem służył, ale i wszyscy poddani WKMości, dla których on wiele krwie swéj rozlał, mieli mieć baczenie. Rozumiał to, iż jeśli nie dla innych dawnych przodków jego pożytecznych usług téj rzeczypospolitéj, tedy dla samego ojca onego sławnego Konstantego, który 30 bitew wygrał, przodkom WKMości miał to wżdy odzierżeć u narodu swego, iżby i majętność jego cała od nieprzyjaciół, i potomstwo jego, przy swobodzie, przy wolności, przy bezpieczeństwie po nim zostało. Dla któréj nadziei swéj utwierdzenia, z dworu ś. p. ojca WKM. pannę, księżnę JMość zacnego Kościeleckiego córkę, wziął sobie za żonę: z którego małżeństwa za łaską i miłosierdziem bożym jedyną tylko tę pociechę córkę odniósł, i podobno gdzieby to był wiedział, iż ona w tak okrutne ręce, z hańbą i z lekkością dostać się miała, wolałby jéj był nigdy nie mieć. Książe Ilia mając jedyną córkę, ozdobioną temi przymioty, które chwalą ludzie, miłując onę znać bardziéj niż zdrowie swoje, dał jéj takie wychowanie, jakie książęcego wysokiego stanu pannie dać przystało: nie litując w tym ani kosztu, ani starania największego swego, iżby ona podobną matce swojéj, zostawszy, tę pociechę o ojcu przyniosła, którąby największa z jedynéj córki a ostatniéj nadziei urość mogła. Dla któréj saméj przyczyny, chociaż wiele zacnych książąt, siła wysokiego stanu ludzi możnych, wziętych, bogatych, starało się o księżnę JMość w małżeństwo sobie: jeszcze przedtém, niż zupełnych lat dorosła. Przecie książe JMość leniwie w tém a nie skorze, postąpić chciał: przypatrując się wszystkiemu, aby między wielą rzeczy dobrych, to samo dobre obrał, nad któreby już nic nie było lepszego, jako on rozumiał za najlepszy i najkosztowniejszy skarb, jedyne dziecię swoje. Hej niestetyż! książe Ilia nie dobrześ umiał uznać, co tobie, i co twojéj córce było lepszego! *Ale przeszłych rzeczy żałować możem, poprawić nie możem.* Miłość wielka ojcowska, ta nie dopuściła, iżby był za żywota książę JMość obrał towarzysza córce swojéj. W czém, iż (jako teraz padło) nie dobrze się baczył, naprawić to chciał opiekunem takim, który się wszystkiemi sierotami opiekać powinien, to

jest WKMością naszym MPanem: któremu w moc i władzą córkę swoję ze wszystką majętnością poruczył. I to były ostatnie słowa jego umierając.: miła córko, miasto mnie własnego ojca, danego od Boga, ojca króla JMości będziesz miała, to rzekłszy i zapłakawszy umarł.

Po śmierci książęcia Ilii, miała księżna JMość od wiela zacnych książąt niejedno z państw WKMości ale też i postronnych narodów, listy poselstwa, obietnice hojne: pokazywały się księżnie JMości takie kondycye; najdowały się takie stanowienia, iż księżna JMość i sobie, i córce swéj lepiéj już żądać i pragnąć nie mogła: ale pomniąc na to, iżeś WKMość pierwszym, abo rzekę lepiéj, samym jednym opiekunem jest córki jéj, o któréj rozumiała, iż nikt lepiéj nad WKMość radzić nie mógł, puszczała wszystko księżna JMość mimo się, a na WKMość ze wszystkiém się odzywała. Co gdy przez czas nie mały trwało, gdy ci, którzy w téj rzeczy do księżny JMości słali, ludzie wielcy, możni, zacni, bogaci; przyjąwszy za wdzięczne prawdziwą i przystojną umowę księżny JMości przedsięwzięcia swego zaniechali: nalazł się poddany WKMości daleko tamtym, którzy prosili, nierówny, który zwyczaju pospolitego nie zachowawszy, prawo pospolite podeptawszy, Boga zapomniawszy, zwierzchność WKMości z siebie zrzuciwszy, córkę księżny JMości poddaną WKMości sierotę w opiekę WKMości podaną wziął gwałtem, i takie nad nią uczynił okrucieństwo, jakiego nie uczyniłby poganin, gdyby ją wziął w niewolę. Co jako się stało, proszę, iżbyś WKMość słuchać raczył.

Przed rokiem pisał książe Dymitr do księżny JMości szerokiemi słowy, prosząc o córkę, dom swój wywyższając, pokazując się jéj dobrze godnym: powoleństwo swoje obiecując, a jedwabnemi słowy chęć księżnéj JMości (jako w téj mierze bywa) do siebie garnąc. Księżna JMość krótkiemi słowy podziękowawszy, i tę chwałę, którą on sam sobie przywłaszczał, jemu przyznawszy (jako natenczas inaczéj się nie godziło) tę odpowiedź naostatku dała, którą innym dawać była zwykła: to jest, iż ona córką swoją nie władnie, ale WKMość pan jéj, opiekun i ociec. Jako potém księżnie JMości dano sprawę: niewdzięcznie przyjął odpowiedzi téj książe Dymitr. Rychło potém do księżny Jéj Mości wskazał, jako u niéj chciał być gościem, i dzień pewny naznaczył. Księżna Jéj Mość mając za to, iż to, co inni cnotliwi ludzie uczynili, książe Dymitr też uczynić miał: puściwszy mimo się za taką odpowiedzią ono o pannę staranie, wskazała, iż księciu Dymitrowi w domu swym chciała być rada. Kiedy z ochotą wielką księżna Jéj Mość w dzień naznaczony czekała gościa: obaczono z zamku, ano wielki orszak ludzi, nakształt wojska, pędem idzie: i wnet tak blisko podbieżał, iż osobę księcia JMości Wasila Ostrogskiego poznano: księżna Jéj Mość po postępkach

takich, i po gościu tym wtórym, nad nadzieję swoję, obaczywszy co innego niż przyjaźń, kazała wnet zamykać zamek: ale niż się temu rozkazaniu dosyć stało (jako pospolicie u wdów słudzy, ani posłuszni, ani pośpieszni) wpadli ludzie księcia Dymitra w zamek, z ludźmi księcia Wasila, i z trzaskiem kilka osób w bramie ubiwszy, wszystkiemu wojsku wolne i przestronne wejście sprawili: które to wojsko weszło w zamek, nie jako w ten, który jest pod zwierzchnością WKMości, nie jako w ten, który jest uprzywilejowany, mimo inne sposoby, i wolności szlacheckie: nie jako w ten, który z tegoż się prawa weselił, które nas bezpieczne czyni w domach naszych, ale jako w największego nieprzyjaciela Korony téj, a morderza krwie polskiéj wjechali hurmem, z krzykiem, z strzelbą, nie żywiąc nikogo tego, kogo potkali, abo zgonić mogli: prosto jako gdy szturmem trzecim, abo czwartym zamek kto weźmie, gdzie się więc każdy brata towarzysza, przyjaciela swego krwie, sierdzistém sercem pomścić, a zmarłéj duszy tę posługę ostatnią uczynić chce: takie tam było wejście w zamek; taki początek księcia Dymitra do przyjaźni księżny JMości. A gdy już na krwi niewinnych ludzi stępili kozacy szable swoje; gdy nienasyceni okrucieństwem, ale zmordowani pracą, daléj rąbać, ani strzelać nie mogli: rozkazał książe Wasil z księciem Dymitrem, aby im klucze oddane od bram, i od innych wszystkich gmachów były. Co kiedy się stało, tenże obyczaj kozacy zachowali w plondrowaniu, który i w morderstwie. A nie dziw; abowiem jaka wstrzymałość, jaka miara w tych ludziech być mogła, którzy dla rozchełznanéj woli swojéj, dla chciwości, dla rozpusty w kozactwo się udali, a u których łup lepszy, niż cnota, a rozpusta smaczniejsza, niż wstyd, i przystojność jest zawżdy? wypowiedzieć ja nie umiem, Najj. a Miłościwy Królu, jakie tam pastwienie nad ludźmi, jakie łupiestwo, jaka rozpusta była. On godny wiecznéj pamięci człowiek książe Konstantyn, gdy nieprzyjacielskich zamków dostawał, nigdy takiego okrucieństwa, jakie to było na zamku jego Ostrogu, żołnierzom swoim nie dozwalał. Przyszli potém ci oba panowie do księżnéj JMości żalem tak ciężkim zdjętéj, iż kilkakroć oblewać ją musiano. Tam naprzód książe Wasil rzeczą długą, przypominając opiekę przyrodzoną swoję, chęć w obmyślaniu wszego dobrego domowi ostrogskiemu; opowiedział wolą swą, a jakoby ta z woli bożéj iść miała, iż księżnę JMość młodszą obiecał, i słowy dał księciu Dymitrowi za małżonkę własną, dla wykonania czego, przyjechał z nim pospołu, aby to już inaczéj być nie mogło. Po nim książe Dymitr, począł rzecz od domu swego starożytnego, wnet zatém wspomniał posługi swoje, które czynił rzeczypospolitéj. Nie zaniechał bogactwa, możności, przyjaciół, urody, męstwa, lat, czém wszystkiém u księżny JMości miałby być drogim. A naostatek zamknął tę prośbę

swoję tak; iż przyzwolisz WMość abo nie przyzwolisz, to inaczéj być nie może. Księżna JMość wyrzekłszy to: aza tak do przyjaciół, abo po przyjaźń jeżdżą? omdlała. Gdy się jéj nierychło dotarto, dolano, przyszedłszy ksobie, powiedziała to, co przystało, iż bez WKMości opiekuna jedynego uczynić żadnéj rzeczy nie może. Powiedzieli panowie zatém. A my ciebie (prawi) prosić o to więcéj nie będziemy. I przystąpiwszy bliżéj do księżny, książe Wasil porwał księżnę młodszą za rękę, a księżna JMość matka uboga za drugą, tamże księżnę pchniono, iż o ziemię padła i omdlała. A książe Wasil targnąwszy za rękę księżnę młodszą, dał ją księciu Dymitrowi mówiąc; ato ja onę tobie daję; bo to jest w mojéj mocy, jako stryja.

Co ja tu pierwszy obżałować, Miłościwy Królu mam? abo co za słowa na to należć? gwałt-li ten, moc, razy, ból księżny JMości starszéj: czy gwałt, który się dział księżnie młodszéj, czyli zuchwalstwo, okrucieństwo tych obu panów? Księżna młodsza stoi płacząc sama na się, że jéj kiedy Bóg, abo majętność, abo urodę dał. Księżna za się starsza, już nie tak siebie, lekkości swéj i targania, bicia, płaczu: jako tego, iż córkę w niewolę biorą: a jeszcze ci, którzy od gwałtu onéj bronićby, a z niewoli wyrwać, wylaniem siła krwie swojéj mieli. To jest zysk, a ostatnia zapłata poczciwych posług książęcia Iliego, iż małżonka jego poczciwa, i jedyna córka, białegłowy, którym i okrutny tyran, dobywszy miasta, zwykł przepuszczać, wysiedzieć się w pokoju, w zawarciu swym, przy poczciwéj zabawie, nie na tańcach, nie na biesiadach, pod obroną praw i swobód pospolitych, pod zwierzchnością WKMości nie mogły. Nie chcę wspominać, jaki tam płacz sług, którzy nie pobici zostali; jaki krzyk białychgłów, jaki lament wszystkiego domu księżny był, gdy widzieli, co się z pany ich działo. Naostatek służebnicy ich samych baczniejsi niektórzy poruszeni żalem, wspomniawszy, iż toż téż kiedy na nie, abo na potomstwo ich przyjśćby mogło: napominali pany swe, hamowali, miękczyli, i od okrucieństwa onego, wspominaniem praw i zwierzchności WKMości odwodzili.

Nic to nie pomogło: kazano przyjść kapłanowi, i wiązać stułą. Co i bez wyznania jasnego jednéj, i drugiéj strony nie bywa: gdy kapłan pytał, podług zwyczaju, a panna nie być to wolą swą, iść za księcia Dymitra, odpowiedziała. Kapłan strwożony, wiedząc, iż ten sakrament, ta świątość poniewolna być nie może, prosił, aby ta rzecz do rana dnia wtórego odłożona była, a tymczasem, prawi, znać serce księżny starszéj uspokoić się od żalu, a księżny młodszéj skłonniejsze ku małżeństwu naleść się może, gdy czas siła twardych rzeczy zmiękczyć umie. Odpowiedziano kapłanowi. Nie do rady cię tu, prawi, księże wezwano, ale iżbyś czynił, coć każą, a nie będziesz chciał, tedy, prawi, oto ta buława przypędzić wolą.

Kapłan nieborak widząc, niejedno na księżnę, ale i na się gwałt. Jął mówić znowu słowa do małżeństwa należne, a miasto panny, stryj książe Wasil, prosto jak przy chrzcie bywa, odpowiadał. Po skończeniu słów gwałtem pannie rękę wzięto i stułą związano, przez który wszystek czas księżna młodsza, Bogu i ludziom się oświadczając, wołała, że się jéj bezprawie, a wielki gwałt dzieje. Nic to nie pomogło, matka, którą odepchnąwszy od córki, zawarto, ratować nie mogła, słudzy, których trochę zostało, z zapłakanemi oczyma chodząc, i słowa przemówić nie śmieli: ale kogo Bóg, poczciwość, wstyd, nie hamuje: a czuje się mieć władzę, mieć moc, mieć siłę, trudno tam hamować.

Każdy z WM. wiem pewnie, córki swéj, synowice, siestrzenice, i najdalszéj powinnéj, nie radby po śmierci swéj w takiém niebezpieczeństwie zostawił, żeby jéj majętność łupem, jéj łzy pociechą, jéj poczciwość pośmiewiskiem: marnotrawcom wszetecznym być miała. Ani my to, da Pan Bóg, od sądu WKMości odniesiemy, żeby miało być wolno pod płaszczem powinowactwa, ku końcu rzkomo małżeńskiéj świętości, zuchwalcom niewstydliwym najeżdżać szlacheckie domy: szturmem jako w nieprzyjacielskiéj ziemi brać zamki, plondrować gmachy, mordować ludzi, i wszystkie prawa i swobody nasze podeptać, a w niwecz obrócić. Jako się stało na ostrogskim zamku, który to zamek książe Wasil synowicę w niewolą oddawszy, księżnę starszą wygnawszy, wziął w moc swoję, wziął go za zapłatę szkaradnego a nieprzystojnego uczynku swego, o którą wszystkę krzywdę inny czas będzie księżnie JMości mówienia z księciem Wasilem u prawa.

Ubogi książe Ilia, jeśli w niebieskiéj roskoszy pamięć ziemskich rzeczy mieć, a na małżonkę i dziecię twe okiem umysłu wejrzeć możesz, prawda, iż tak sobie mówisz: lepiéj mnie było nigdy téj córki nie mieć, abo lepiéj było, wnet po urodzeniu, pogrzeb jéj sprawić, niż wychowawszy ją z wielką pracą, z wielkiém staraniem, siła kroć w chorobach, lekarstwy, pilnością, niespaniem, prośbą a płaczem ku Bogu, od śmierci ją wróciwszy, stracić ją tak marnie z zamkiem, i ze wszystką majętnością, ktemu z obelżeniem i z wiekuistą hańbą ostrogskiego domu.

I dla tego Dymitr służebne brał pieniądze, dla tego rzkomo obrońcą był pogranicznych ludzi od Tatarów, aby sam większe niż poganin, nad temi, których był bronić powinien, okrucieństwo czynił? I takoweż będą pochoci Dymitrowe, tak zapalone będzie miał chciwości, iż im miasta, zamki, Wołyń, Korona Polska nakoniec wszystka; dosyć nie uczyni? I także to ma być, co usłyszy Dymitr, co ujrzy, czego zechce, na co pomyśli, jeśli to na rozkazanie jego wnet nie będzie, jeśli lubości jego nie dosyć się stanie, zbierze wojsko, dobędzie zamku, lu-

dzi pomorduje, majętność pobieże, popsuje, rozrzuci i wszystko z ziemią porówna? By tu był, spytałbym go, pomniał-li to natenczas, gdy tak wielkie bezprawie w uczciwym domu ludziom czynił, iż w Polsce król jeśt? Pytałbym i o to, pomniał-li, iż w Polsce są prawa? Podobno miał nadzieję w tém, iż mu dla męztwa jego, dla dzielności, dla sprawy, jako tych czasów o hetmany trudno, odpuścić miano. Rozumiał, iż jego posługi, które czynił czasów niebezpiecznych rzeczypospolitéj, poratować go w uczynku tym, a od kaźni wyprosić miały. Jakoż jest się na co obejrzeć, nigdy Polska mniéj godnych ludzi w rycerskiém rzemieśle nie miała!

Ale by téż i godność rycerska osobliwa w księciu Dymitrze była: więcby to już powinna rzecz miała być, poddanym WKMości poczciwym ludziom cierpieć od rycerskich ludzi hańbę, lekkość, szkodę, zniszczenie, iż kiedy który rzeczypolitéj dobrze posłużył! Prze Pana Boga! Miłościwy Królu, mali tak być, niechaj żaden nigdy mężnym nie będzie.

Piszą historykowie, iż syn *Manlii* Rzymianina, wielką kiedyś uczynił rzeczypospolity swojéj posługę, ale iż uczynił przeciw ojca swego rozkazaniu, hetmana naonczas, ważył się przestąpić kres, który mu był ojciec zamierzył, chociaż był synem, ku któremu miłość ojcowska pomierna być nie może, przecię Manlius ocicc gardło mu wziąść rozkazał. Wolał mądry hetman uczynić gwałt przyrodzeniu swemu, wolał płacz zostawić w domu swoim, niż nierząd (który z nieposłuszeństwa rośćie) w wojsku państwa rzymskiego, który uczynek Manliuszów dłużéj wspominan, i wyżéj od każdego mądrego wyniesion zawżdy będzie, niż wszystkie tryumfy. Abowiem zwycięztwo to jest największe, kto siebie sam zwyciężyć umie.

Aby tedy takowy jad nie zarażał poddanych WKMości, aby do takiego bezeceństwa nie otwierała się ludziom droga: aby ten ogień, który Dymitr wzniecił, zatłumić się co najrychléj mógł, prosi WKMość księżna JMość z nami przyjacioły swemi, prze tego Boga, który WKMość na tak wysokiéj stolicy dla tego posadził i olejem swym pomazać kazał, iżbyś dobre umiłował a złe karał. Prosi tak dla siebie, ukrzywdzoną niezmiernie będąc, jako téż dla wszystkiéj Korony: gdyż uczynek księcia Dymitra haniebny a niesłychany, pełny jest zuchwalstwa, zdrady, wszeteczeństwa, łakomstwa, okrucieństwa, gdyż niezwykła to jest zbrodnia w Polsce, aby téż on niezwykłą, srogą, haniebną a godną za taki grzech zapłatą skarany był. Niechaj to znają ludzie, iż się WKMość złością ludzką brzydzisz: niechaj widzą poddani, iż krzywda ich, z boleścią dotknęła serce WKMości. Wszystko to Miłościwy Królu dolega, co książę Dymitr zbroił: księżna JMość już cierpi, a drudzy są w bojaźni, żeby kiedy tymże sposobem nie cierpieli: żaden z nas niewie, jako mu długo na świecie Pan Bóg żyć

dopuści, a krewnych naszych, powinowatych, nie daj Boże, odumrzeć w téj swywoli. W sprawiedliwości tedy WKMość nasza nadzieja wszystka; dlatego wszyscy Pana Boga za WKM. prosimy, iżbyśmy i z tymi, którzy nas krwią dotknęli, bezpieczniéj od gwałtów, od mordów, w pokoju, w swobodzie, pod prawem a obroną WKMości siedzieli. Abowiem, a kto bronić ma, jeśli nie WKMość krwie naszéj? Czy ja córkę swą poruczę w opiekę stryjowi? Pięknie bronił stryj księżny JMości córki, która podobnoby była nie zginęła, by była stryja nie miała. Czy ja sąsiadowi siostry méj zlecę w opiekę? A ten nieborak i własnéj córki swéj czyby mógł obronić, wątpię.

Teraz ludzi Miłościwy Królu, tak źli, jako i dobrzy, pilnie patrząc, czekają, na co Dymitrowi ta jego zbrodnia wynidzie. Wynidzie li mu na dobre (czemu ja wierzyć nie mogę) tysiąc tysięcy Dymitrów nastanie, a ludzie cnotliwi serce stracą, powieszą głowę, rozumiejąc już gotowy upadek, bliską skazę, i śmierć téj Korony: abowiem coby nam już było po prawiech, co po sądzie, co po sędziach, co po zwierzchności WKM. Pana naszego? Jużby lepiéj w puszczy między zwierzęty mieszkać.

Nie będziesz tedy WKM. czekał, iżby książe Ilia zmartwychstawszy, upominał się u WKM. szafunku téj opieki, którą umierając WKM. zlecił, nadgrody za poczciwe służby swoje obrony królewskiéj, która nie tarczą, ale murem nam wszyskim poddanym WKM. być ma: sam WKM. jako Pan sprawiedliwy poczuć się, i w swéj, i w księżny JMości krzywdzie będziesz raczył, aby ludzie znali WKM. prawym od Boga danym pasterzem, a który chcesz dać dostateczną liczbę Panu Bogu z tych owiec, które wierze WKM. są zwierzone. Lepiéj jest Miłościwy Królu, iż WKM. tysiąc złych a niepobożnych ludzi surową sprawiedliwością poruszysz, a obostrzywszy przeciwko sobie, iżby jeden uciśniony o nieuczynienie sprawiedliwości skarzyć się miał. Sprawiedliwością Miłościwy Królu, sprawiedliwością stolica się Królewska utwierdza, a przez niesprawiedliwość, królestwa giną. Dosyć już książe Dymitr nacieszył się zuchwalstwem, a księżny obiedwie łez wylały. Czasby już Miłościwy Królu, iżby książe Dymitr przestał wesela, a księżna JM. płaczu. Niechaj też wżdy kiedy zna książe Dymitr, iż na świecie nie wszystko jednym strychem idzie, ani fortuna na jednym miejscu przebywa. Co wtenczas książe Dymitr uczuje, gdy WKM. dekretem sprawiedliwym swym przystojnym, jego złym uczynkom każń należć będziesz raczył: jakoż nie wątpi księżna JM., iż WKM. Pana Boga przed oczyma mając, który dobre uczynki i dziesiątemu pokoleniu dobrze zwykł nadgradzać, tak to osądzisz, iż teraźniejszy i przyszły wiek o sądzie WKM. źle sądzić nie będzie umiał.

Mowa Ludwika Osińskiego.

Miana na obronę Pułkownika *Siemianowskiego*, który nieszczęśliwym przypadkiem, dnia 3. Grudnia 1809 roku dowodząc z konia pułkowi swemu, w czasie parady na Krakowskiém przedmieściu w Warszawie, śmiertelnie ugodził szpadą żołnierza, Pawła Orczykowskiego.

Sędziowie!

Tak są liczne i prawie codzienne w życiu człowieka nieprzewidziane zdaszenia, ślepym kierowane losem; iż mnie samemu, żadnym obowiązkiem do urzędowych sądowniczych rozpraw nie powołanemu, w krótkim czasu przeciągu, powtórnie już stawać przychodzi w obronie takiego czynu, do którego wola i rozmyślność działającego ani wpływała, ani wpływać mogła.

Chlubne jest dla mnie zaufanie przytomnego tu pułkownika Siemianowskiego, oddającego mi swojéj niewinności obronę, bo śmiem sobie pochlebiać, że ani on chciałby rzeczy niesłusznych żądać odemnie; ani ja, bez wewnętrznego przeświadczenia, odważyłbym się stanąć przed wami.

Nie zastrasza bynajmniéj ani obrońcy, ani bronionego, ta księga praw, w ręku waszych, dostojni sędziowie, złożona. Karze ona zbrodnie, lecz nie przypadkowe nieszczęścia, i kiedy los dziwaczny rzuca na nieszczęśliwego smutne pozory winy, kiedy częstokroć spokojne sumienie cierpieć musi od przesladującéj opinii, ta jeszcze pozostaje ucieczka, ta nieprzełomna tarcza, aby w téj świątyni sprawiedliwości, nie tylko obawę kary oddalić, ale całą pociechę nieskażonego honoru, w głośném usprawiedliwieniu odzyskać.

Słyszeliście dopiero, najszanowniejsi sędziowie, czytane przez W. kapitana raportera wszystkie wywody słowne, wszystkie śledzenia ze strony rządu i prawa, całą relacyą sprawy, cały stan rzeczy. Jest to jedyny akt oskarzenia w imieniu sprawiedliwości, przeciw W. pułkownikowi Siemianowskiemu. Obrońca jego żądać będzie cierpliwości wysokiego sądu, gdy z obowiązku swego, cały ten nieszczęśliwy przypadek, we wszystkich szczegółach opowiedzieć musi. Szczególną to jest cechą niewinności właściwą, że broniący się, ani potrzebuje, ani chce w opowiedzeniu czynu, różnić się od tego, co przed nim rzecz sama, akta, prawo i prawda powiadały.

Dnia 3. Grudnia roku zeszłego 1809, pułk drugi piechoty francuzko-galicyjskiéj, pod dowództwem swego pułkownika W. Euzebiego Siemianowskiego, wykomenderowany został dla uczczenia miłéj sercu Polaka uroczystości, koronacyi cesarza Francuzów. Wtenże sam dzień, około południa (czas bowiem i miejsce nie jest w żadnym z wywodów słownych z należytą

dokładnością oznaczone) na Krakowskiém przedmieściu, gdy dla przedłużenia linii z trzech szeregów dwa formowano; żołnierz z tegoż pułku, z batalionu drugiego kompanii pierwszéj fizylierow nazwiskiem Paweł Orczykowski, nie znający dobrze mustry, zamiast z trzeciego szeregu wstąpić w drugi, wyszedł przed front, i od nadjeżdżającego na niespokojnym koniu pułkownika, przypadkiem szpadą ugodzony został. — Po zadanym razie rychła śmierć nastąpiła.

Oto jest wszystko co żadnym nie podpada sporom, na co się wszystkie zeznania świadków zgadzają; co W. półkownik Siemianowski, pierwszy samego siebie oskarzyciel, nazajutrz w raporcie swoim doniósł JW. jenerałowi brygady Krasińskiemu.

Szczupłe to pismo świadectwem jest takiego postąpienia, jakie z sercem człowieka uczciwego jest zgodne. Sam się oskarza Siemianowski; jest to krok honoru: wspomina przypadkowe zdarzenie; jest to głos prawdy, gdy następne badania nic innego okazać nie mogły. Mówi, iż *śmiertelnie szpadą ugodził;* jest to wyraz tkliwości ulegającéj najprzykrzejszemu losowi, chętnie siebie obwiniającéj, i ówczesny skutek, ówczesnéj przyczynie przypisującéj. Zobaczymy jednak, idąc krok w krok za światłem prawdy, czy to wyzwanie pułkownika popartém będzie potrzebnemi dowodami, czy skutek przez tę a nie inną przyczynę zdziałany został.

Przytoczywszy mówca z księgi praw przepisy wskazujące kolej postępowania sądowego, daléj tak mówi:

Sędziowie! na tych ja niewzruszonych prawach opierać będę obronę moję, do tych się najuroczyściéj odwołuję; bo na tych zasadach gruntować się powinno przekonanie sądzących i sądzonego: a gdy ze wszystkich śladów mądrości waszéj poddanych okażę, iż śmierć Orczykowskiego była skutkiem samego przypadku; okażę jeszcze, jak wiele uszkodzić mogły niewinność pułkownika Siemianowskiego, opuszczone istotne praw dopiero rzeczonych przepisy.

Rzecz się stała wśród dnia, nie w ciemnościach; na miéjscu publiczném, nie w ustroniu: w czasie parady, nie między dwoma; w stolicy, nie na jakiém ubocznem stanowisku; patrzeć mógł na to zdarzenie cały pułk, cała Warszawa: godzina nie upłynęła, a już o tém po tylu domach wiedziano! — przecież, rzecz dziwna! w trzydzieści prawie godzin dopiero pierwsze śledztwo rozpoczętém zostało.

Idąc tą samą drogą, jaką postępowano w téj sprawie, zacznijmy od świadectw. Wezwani do nich zostali officerowie, podoficerowie i żołnierze najbliżsi zdarzenia. Nic przeciw nim nie zarzuca obwiniający się pułkownik: śmiało oddaje się prawdzie, która w czynie tak jawnym, nie może celu swego uchybić.

Chęć popełnienia rozmyślnie tak publicznego zabójstwa

poprzedziéby musiała ważna jaka przyczyna, obraza ze strony zabitego, gwałtowne uniesienie, nadzwyczajna zapalczywość ze strony zabójcy. Znani zapewne są W. pułkownikowi Siemianowskiemu, jako dobremu dowódzcy, wszyscy jego pułku żołnierze; lecz zmarły Orczykowski, niedawno z lazaretu wyszły, zeledwie mógł bydź od niego przed tém nieszczęśliwém zdarzeniem widziany. Jeżeliby można (pomijając wszelkie podobieństwo do prawdy), jeżeliby można przypuścić jaki rodzaj zemsty pułkownika przeciw żołnierzowi; do spełnienia jéj, nie ten był zapewne czas, nie to miejsce, nie śmierć nareszcie.... Lecz nie masz i bydź nie może żadnego poprzedniczego powodu, w stosunkach dwóch osób na które w owym dniu padł los tak nieszczęsny.

Jedna omyłka żołnierza miałażby do takiego kroku przywieść dowódzcę!..... Przeglądam ściśle wszystkie zeznania świadków: gdyby téż jedno słowo w gniewie wyrzeczone, gdyby najmniejszy ślad zapału, a dopieroż tak wyuzdanéj srogości! „*Gdzie ty idziesz?*“ mówił do Orczykowskiego tonem zwyczajnym komendantowi przywykłemu kierować obrotami swego regimentu, ale nie tonem mającym poprzedzić morderstwo.

Gdyby omyłka żołnierza mogła w czyjejkolwiek myśli bydź dostatecznym powodem do przebicia szpadą, czemuż to nie nastąpiło natychmiast? Zeznali przecież świadkowie, że pułkownik naprzód powszechnym zwyczajem dotknął kaszkietu żółnierza, wskazywał mu miejsce, w które miał wstąpić; Orczykowski w zmieszaniu, może w przestrachu, a nie wątpliwie w osłabieniu sił fizycznych, wpadł ustami na tę samę szpadę bynajmniéj na zabicie jego nie wymierzoną. A tu, komu nie staną na uwadze tysiączne przypadki, które ludzkość tak często opłakuje, któremi napełnione są dzieje ledwie nie każdéj familii, których poniewolni sprawcy, naznaczeni jakiémsiś piętném nieszczęścia, tém godniejszemi się stają naszéj litości i pociechy; naszéj, co na podobne zdarzenia codziennie wystawieni jesteśmy!

Jaśnie Wielmożni Panowie! Żaden z najbliższych widzów nie zeznał, iżby raz przez W. pułkownika Siemianowskiego zadany, był skutkiem woli jego; żaden z świadczących nie zeznał, iżby Półkownik w owém trafem uderzeniu, bądź w przód, bądź w saméj akcyi, bądź po niéj, twarzą, słowem, ręką, przyskoczeniem, wyciągnieniem się, popchnięciem, okazał jakikolwiek cień przynajmniéj rozmyślnego ciosu; wszyscy owszem, ci nawet, których świadectwa na pierwszy rzut oka mogłyby się zdawać szkodliwemi, wszyscy mówię, bez wyjątku, na to się jednomyślnie zgadzają, iż cała ta smutna przygoda, trafem jedynie zrządzona została, trafem, równie dla żołnierza, jak dla pułkownika fatalnym.

Następują zeznania świadków, które okazawszy mówca fałszywe, szuka prawdy w zeznaniu obwinionego.

Szukajmy z najsurowszą bacznością śladów prawdy w samychże słowach W. Siemianowskiego: *gdzie ty idziesz!* oto wszystko co wyrzekł przed fatalném zdarzeniem; *ha źle! niech leży! podłożcie mu kaszkiet pod głowę; nie trzeba go ruszać!* oto wszystko, co pułkownikowi po zdarzeniu, tkliwość, wspólność nieszczęścia, przerażenie podyktowało.... co mu niepewność jeszcze tak okropnego skutku podyktować mogła. Gdzież owe słowa z powietrza chwytane, iż do któregoś z officerów wymówił: *i tobie tak będzie?* gdzie mordercze przechwalanie się z popełnionego zabojstwa? Nie znali Siemianowskiego ci, którzy urojone powieści roznosić mogli; co mówię? nie znali Siemianowskiego!.... nie znali narodowego żołnierza, nie znali charakteru Polaka.

Nie sądowi, którego mądrość wszytkie te okoliczności zważyła przedemną, lecz publicznemu rzeczy wyjaśnieniu, nieskażonemu honorowi pułkownika, winien byłem to wyłuszczenie najdrobniejszych szczegółów, które okazują dowodnie, iż śmierć Pawła Orczykowskiego była dziełem przypadku. Przybywają tu na poparcie prawdy wszystkie inne względy, na które tylko zwrócić mogę uwagę moję. Jednomyślne są zeźnania: *iż koń pułkownika już w poprzedzającym plutonie unosił go, że był niespokojny, rzucał się i wspinał w czasie samego zdarzenia.* Koń ten nie był jego własnym, a sam właściciel konia W. major Skalski, zaświadcza jego naturalną, doświadczoną niespokojność i narowność.

Pułkownik Siemianowski jechał wzdłuż frontu, *od lewego ku prawemu skrzydłu.* W tym kierunku, szpada jego prawą ręką trzymana musiała bydź naturalnie bliską żołnierzy; a zatém wszelkie nadzyczajne wysunięcie się któregokolwiek z szeregu, mogło bydź powodem smutnego przypadku. Pułkownik musiał mieć dobytą szpadę w ręku, tą musiał swoich podkomendnych kierować, tą wskazywać obroty wojskowe. Któż w takim razie, zajęty chwalebną gorliwością, oddany zupełnie najdokładniejszemu skutkowi parady, w obrocie nagłym, kto mówię miałby o tém raczéj pamiętać, że jego szpada skaleczy kogo? kto mógł przewidywać, że jeden z żołnierzy, *z trzeciego szeregu*, straciwszy zupełnie porządek, *zamiast wstąpienia w drugi szereg*, wysunie się na front i samochcąc prawie rzuci się na ostrze żelaza? W czyjéj mocy jest przewidzieć zdarzenie, lub ustrzedz się nieprzewidzianego? Jeżeli nieprzytomność przyłożyć się mogła jakożkolwiek do tego trafu; ta nieprzytomność jest na stronie zmarłego. Pułkownik wykonywał swoję powinność. Gdyby chciał był przebić Orczykowskiego, szukałby miejsca w piersiach jego, nie w ustach. Ręka wprawiona uderzać nieprzyjaciół ojczyzny, wie gdzie sięgać po życie człowieka.

Ale takie właśnie konieczne było zrządzenie. Szpada osoby

siedzącéj na koniu horyzontalnie trzymana, przypada zwyczajnie w prost twarzy człowieka stojącego na ziemi. Orczykowski w zmieszaniu, zwracając się tu i owdzie, wpadł właśnie ustami na raż który był śmierci jego i téj całéj sprawy przyczyną. Przydajmy do tego nagłość obrotu, przydajmy niespokojność rzucającego się konia; a zdarzenie to przestanie nawet bydź dziwném, policzone będzie między tysiączne i nieuchronne przypadki towarzyszące dość zwykle obrotom wojennym. Gdzie szpady, bagnety, strzelby, w ustawiczném a koniecznem są działaniu, tam częstokroć równie przypadkowi przypisać należy złe które się stanie, jak to że się nie stało.

Gdy zaś to nieszczęśliwe zdarzenie żadnemu już, co do mimowolności zaprzeczeniu nie podpada; dozwolcie najszanowniejsi sędziowie! zapytać się, jakie doświadczenie, jaka nauka, nacznaczyć mogą granice, dopóki, do jakiego stopnia los jest losem, przypadek przypadkiem? O smutna ciemności! która przed najbystrzejszém okiem badacza tak troskliwie ukrywasz dziwne trafu zrządzenia! Jakże wątpliwym jest jeden połysk słabego światła, gdy idzie o dociecznie prawdy, która ma bydź tak jasną jak słońce!

Następują dowody wyciągnione z obdukcyi, a gdy i te mówca okazał niedostatecznemi, w dalszéj mowie tak broni oskarzanego.

Najwyższy sądzie! kiedy nic przeciw obwinionemu nie jest bez tak ważnych zarzutów, kiedy całe przekonanie jest za nim; w tenczas dzieło przypadku ma prawo domagać się głośnego oczyszczenia, aby na mężu cnotliwym, na żołnierzu godnym zawsze swego chlubnego powołania, żaden cień nie pozostał.

Wszelkie śledzenia nic tu więcéj dowieść nie mogły, jak to, co W. pułkownik Siemianowski pierwszy oznajmił władzy swojéj zwierzchniczéj. Jest już w tém pewny rodzaj dla niego pociechy i chluby, gdy słowa jego przeciwnemi dowodami nie zostały zniszczone.

Rozkaz dzienny JW. jenerała Dywizyi Dąbrowskiego, oddając szalę sprawiedliwości w ręce wysokiego sądu, nie odmówił publicznego świadectwa nieskażonéj sławie i znanym w całém wojsku zasługom Siemianowskiego, a czyniąc co był powinien dla prawa, oddał razem sprawiedliwość obwiniającemu się, tkliwém wspomnieniem mimowolnego przypadku.

Głos świadków w ostatecznem ich sprawdzeniu, nie był wcale różnym od tegoż przekonania.

Głos całego pułku uczcił w nieszczęściu swego dowódzcę, składając u najwyższéj władzy pełne czułości prośby, o jak najspieszniejsze przywrócenie wodza żołnierzom, ojca dzieciom. Podania te wszystkich kompanii całéj publiczności wiadome, złożone są zapewne przed sprawiedliwym sądem; świadczą one, czy W. pułkownik tyranem był swoich żołnierzy, czy ojcem?

Głos publiczności!.... gdy o tém mówić zaczynam, stawa

mi żywéj pamięci najdotkliwsza czułość bronionego przezemnie żołnierza, obywatela, Polaka. Ileż razy mówił on do mnie z tą mocą z gruntu cnotliwéj duszy pochodzącą: „Obrona moja jest w sumieniu, Bogu i sądzie. Niewinny w oczach własnych nie lękałbym się śmierci; żołnierz jest z nią oswojony; ale cięższéj nad śmierć lękam się utraty któraby honorowi mojemu uwłaczać mogła.... Głosy ludzi! zdania niewiadomych! opinia publiczna!“ — Łzy nie uniżające charakteru żołnierza przerywały słowa jego.

Opinia publiczna! jeżeli głos pewnéj liczby tak nazwać można. Te same akta zeznań ludzi prostych i otwartych, noszą na sobie prawdziwe oznaczenie téj opinii publicznéj. Gdy jeden z świadków w drugiem zeznaniu odwołał to co w przód mylnie powiedział, przytoczył najważniejszą i z natury ludzkiéj wynikającą swego odwołania przyczynę. „*Opowiadałem*, mówi, *com słyszał, nie com widział; słyszałem zaś to co ludzie różni różnie mówili, wszyscy przejęci smutnym losem bliźniego.*“ Tak jest zapewne, prędszą odbiera litość ten co wspólnym przypadku ulega niż ten, co pozostaje. Śmierć zwraca na siebie całą uwagę, i w tém uczuciu często wstręt staje się udziałem niewinnego, na którego łatwo rzucić można pozory; lecz po momentalném uniesieniu, przychodzi koléj na sprawiedliwość, a ta błędne mniemania umie zwracać na tór słuszności i prawdy.

Zdania publiczne tego jedynie dnia oczekiwały, któryby rzecz całą wyjaśniając, utwierdził niewinność, zniósł mniemane przestępstwo, ustalił opinią. Do was to należy wielowładni sędziowie! Jak straszném jest to urzędowanie w karaniu zbrodni, tak słodkiem w podźwignieniu niewinności.

Były głosy.... pozwól przeświętny sądzie! abym w mowie mojéj objął i to co przed twój szanowny trybunał przychodzićby nie powinno; lecz gdzież śmieléj do publiczności odezwać się mogę, jak w tém miejscu prawdy, pod zasłoną twojéj powagi? Były głosy: „już to niepierwsze zabojstwo, już to wielu z téjże ręki podobną padło ofiarą“ ależ to były głosy tylko; czynów nie było.

Twierdzenie to ostatnie udowodnia mówca historyą życia oskarzonego, i tak kończy obronę.

Sądzie przeświętny! głośnego oczyszczenia żądamy. Nie dla czego innego oskarżał się pułkownik Siemianowski, jak tylko dla tego, aby wszelki pozór winy oddalił od siebie.

Ten sam sąd najwyższy, dał już dowód, jak nie umie zważać na stopnie i rangi. Z ręki żołnierza prostego zginął oficer; gdy rozmyślność nie mogła się okazać, gdy owszem wszystko przekonywało o przypadkowém zdarzeniu; żołnierz został wolnym. Siemianowski chętnieby tu oddał życie swoje, jeżeli przykładów potrzeba, lecz oddałby je wtenczas, gdyby honor jego mógł bydź ocalonym.

Cóż mi pozostaje? czy szukać jeszcze sprężyn słabéj wymowy? tu prawda mówi, a ta jest zawsze wymowną; czy zwracać uwagę na stan nieszczęśliwego? któż go nieczuje? Cóż dobitniéj mówić zdoła, jak ten sam wiek w stanie wojskowym zestarzały, te chwalebne blizny, te znaki honoru, świadki że Siemianowski honoru tylko szedł drogą, honoru żąda;.... i otrzyma go wyrokiem waszym, otrzyma pod zasłoną tych praw których mądrości los swój oddaje. A ja? uczyniłżem zadosyć świętéj powinności mojéj? wydołałemże oddać całą moc przekonania które głęboko w duszy mojéj jest utwierdzone?..... Panowie! sądźcie! krótka już tylko chwila pozostaje, do usprawiedliwienia Siemianowskiego.

C.

Mowy kościelne.

Nowy Kościelne.

Mowa żałobna

na pogrzebie Józefa Czarneckiego

przez Ks. A. Prusinowskiego.

„Krótkie są dni człowiecze, liczba miesiąców jego u ciebie jest; zmierzyłeś granice jego, które nie będą mogły być przestąpione.“ JOB 14, 5.

Prawdą zostanie to słowo sprawiedliwego Joba, choćby życie człowieka i najdłuższego doszło kresu, jaki Bóg nam zakreśla, choćby dochodziło i tych lat, które podanie objawienia patryarchalnym czasom Mathuzalema naznacza, zawsze krótkiemi są dni człowieka, bo wszystko co się kończy, krótkiém jest w obec nieśmiertelności i w obec nieskończonych wieków przed Bogiem. Ale kiedy w kwiecie młodzieńczego wieku spodoba się Panu, że pośle śmierć do tego, który się dopiero do życia zabierał, a on z Ezechiaszem woła w zgonie do nas: „*wiek mój przeminął, i zwinion jest odemnie jak namiotek pasterski: przerzniony jest jak od tkacza, żywot mój: gdym jeszcze zaczynał przerznął mnie,*“ *) wtedy tém groźniéj do nas ta krótkość żywota naszego przemawia, a dla tych, co uszy mają ku słuchaniu, większy jest przestrach i nauka dzielniejsza. Mówi dla tego stary zakon: „*krótki a tęskliwy jest czas żywota naszego i niemasz ochłody na końcu człowieczym.*“ **) To wam głosi donośnie nauka boża, to wam opowiada całe doświadczenie nasze, tego naucza obrzęd dzisiejszy, to do was mówią te zwłoki pomiędzy nami stojące, zwłoki młodzieńca kwitnącego wśród szczęścia rodziny, wśród dostatków i poważania, młodzieńca występującego na świat z nadziejami złotemi, a oto we drzwiach domu jego zastępuje mu śmierć posłana od Pana i mówi: pójdź do sądu Twego Boga! — O! krótkie są dni człowiecze, liczba miesiąców jego jest u Boga, a Pan zamierzył granice jego, które nie będą mogły być przestąpione.

Groźną jest śmierć i w najlichszéj chacie, ale zaprawdę większe użalenie nad nędzą ludzką wzbudza, jaśniéj niestatek

*) Jezaj. 38, 12. 13. — **) Mądr. 2, 1.

szczęścia doczesnego wskazuje, trwożliwszą bojaźń potęgi bożéj obudza, gdy do znacznych przystąpi i możnych, bo tam była większa w doczesności ufność, a straszliwszy jest do sądu Bożego przystęp.

Te są nauki mojéj pobudki przy dzisiejszym żałobnym obrzędzie, chrześcijanie, *umarł młody*, *umarł możny*, to nam życie zmarłego Józefa głosi, to wam opowiada śmierć jego, to pozostanie mojéj przemowy treścią.

Kiedy śmiercią legnie mąż dojrzały zasługami dla kraju i ziomków, licznéj rodziny ojciec, dziad otoczony dzieci i wnuków wieńcem, przewyższywszy dokonanemi dziełami w starości nadzieje w młodych latach o nim roszczone, zebrawszy obfity plon życia, stawiając się w sędziwym wieku przed sądem ludzi i Boga z dostatnim zasobem swéj pracy, boleją wszyscy, widząc rozstanie się pozostających dzieci z odchodzącym ojcem i dobrodziejem, bo któż może wrodzonego politowania zapomnieć, któż się nad umarłym nie zasmuci, kto nad pozostającymi żałości nie pokaże?

Ale jakoż inny widok przedstawia nam dzisiejszy pogrzebowy orszak! Młodzieniec leży na marach, kwiat wieku podcięty jako od kosarza na łące, a za trumną postępuje ojciec żalem schylony i matka we łzach się pytająca: czemuś nas odstąpił synu, czemuś ty raczéj nam nie usypał mogiły i za nasze dusze nie modlił się Bogu? Patrzcie, jaki straszny zawód ludzkich nadziei! Na toś go matko strapiona od pierwszego dnia tuliła do łona Twojego, na toś pilnowała jako w oku źrenicy, na toś ojcze zasmucony prowadził pierwsze jego w życiu kroki, na toś baczył na jego umysłowe wykształcenie, na toś wreszcie, gdy już do dojrzałości doszedł, otoczył dostatkami majątków, by go dzisiaj już przysposobionego na obywatela, rodzinie na zaszczyt, na pociechę wszystkim, złożyć do grobu, gdy powołany od Boga niespodzianym wyrokiem odstąpił wszystkiego dostatku, odstąpił wszystkich w żałobie zawiedzionych nadziei? O zaprawdę, któtkie są dni człowiecze, a zmierzone granice jego!

Umarł młody, ach: widok taki kraje serce boleścią! Dojrzali wiekiem, zasług szeregiem bogaci staną przynajmniéj przed sądem Boga z połami pełnemi zarobku zebranego w życiu długiém, a z czém się pokaże młodzieniec przed Bogiem, kiedy próżne jeszcze ręce jego, i nie ma nic, coby przyniósł Sędziemu na okup za talenta sobie powierzone? Tak go odstąpiła ziemia i stoi nędzny i samotny przed Bogiem! Dla tego: słusznie zawodzić nam żale, słusznie boleć nad grobem młodzieńca, że ani sobą nie ucieszył świata, ani sam się światem nie nacieszył i w połowie dni swoich odszedł liczbę składać Bogu z dni swoich. jakoby na groźną przestrogę dla innych, by młodości nie ufali, nie pokładali nadziei w życiu jeszcze długiém, ja-

koby dla tego, aby młodzieńcom martwém licem powiedzieć: młodość życiem mojém, a śmierć mego życia owocem! *Umarł młody.* A wy młodzieńcy, co około jego grobu stoicie, zapytajcie nad zwłokami waszego brata, krewnego, przyjaciela: „gdyby miasto jego, jam był dziś powołany przed trybunał wielkiego obrachunku, cóżbym przyniósł Panu z owocu darów mi powierzonych, gdy powie sędzia: czyń liczbę z dni twoich, płać i płać do szeląga?!“

Umarł młodzieniec; tęskno za nim spoglądają rodzice, tęskno rodzina, żali się kraj ubogi w młodzież do pracy obywatelskiéj przysposobioną. Opróżnione po nim miejsce szczerba w bojowym zastępie woła, by pozostającéj młodzieży garstka podzieliła się tą pracą, którą ś. p. Józef niedokonaną zostawił.

Tak żałobni słuchacze, powtarzać często i przypominać sobie nieustannie obowiązek pracy i powołania w społeczeństwie mamy świętą powinność, a jakżebyśmy nie mieli tego uczynić w chwili, kiedy pracowników liczba znów zmniejszona o czerstwe siły zmarłego młodzieńca. Nikomu nie wolno z założonemi rękoma przypatrywać się potokowi dziejów toczącemu się niepowstrzymanym biegiem, bo gnuśne lenistwo, niedołężny spoczynek, sprowadza ruinę na rodziny, a narodom upadek gotuje. Teby wam uwagi nastręczał pogrzeb każdego młodzieńca, a cóż dopiero powiedzieć przy zgonie młodego członka tak zamożnej, położeniem swém w kraju znakomitéj rodziny? Ś. p. Józef *umarł młody*, ale *umarł i możny*, grono nie małe około zwłok jego młodzieży, czyż nie pora wam przypomnieć, że jak życie możnego ma większe w kraju znaczenie od cichego prostaczka, tak też i śmierć jego daleko rozleglejsze zakreśla skutków koło, daleko silniéj do obecnych przemawiać powinna.

Życie cichego rólnika bez wzruszenia i rozruchu upływa, ledwie kto wiedział, że się narodził, ledwie sąsiadom znajomy za życia, a gdy umiera, to jako liść z dębu upadnie bez znaku odmiany, rozruchu i wrażenia. Gdy umiera możny, wzruszają się wszystkie stosunki, w których żył, działał i władał za życia, a im wyżéj sięgał w społeczeństwie, tém dalsze zakresy wzruszą się i mięszają upadkiem jego do grobu.

Bóg jemu dał więcéj talentów w bogactwach, w wykształceniu i działania rozległejszego sposobności, przeszłość jego rodziny żąda od niego, by szlachetność dodawszy do szlachectwa nowemi zasługi zapisał kartę dziejów rodzinnych. Dla tego mówi mędrzeć: „*Nadstawcie uszu wy, którzy władniecie ludem i podobacie się sobie z wielkości: gdyż dana wam jest władza od Pana i moc od Najwyższego, który się pytać będzie o uczynkach waszych i myśli badać się będzie. Że będąc sługami królestwa jego — — nie chodziliście według woli Bożéj. Strasznie a prędko ukaże się wam; bo najsroższy sąd będzie tym, którzy przełożeni. Bo mały*

otrzyma miłosierdzie, ale nad mocniejszym mocniejsza męka wisi.“ *) Wszakże to nie moje są słowa, wszak stary i nowy zakon równie przeraźliwie wielkie możnych przodowników obowiązki skreśla i głosi.

O młodzi, gdybym zdołał prośbą mą wskrzesić zwłoki zmarłego, gdyby mógł przemówić ten złożony śmiercią brat wasz, krewny i przyjaciel, któregoście i kochali i szanowali zarazem, zapewne już jaśniéj widząc naszą nędzę ziemską, już jaśniéj obowiązki nasze poznając, razemby zemną zawezwał was do godnego rozpoznania waszych praw, ale i powinności waszych dla waszych rodzin i domów, dla waszych poddanych i dóbr, dla narodu waszego. O złota młodzieży! na was patrzą przodki wasze jako na dziedziców swego szlachetnego imienia i swéj narodowéj sławy, na was patrzy kraj jako na zasiew obfitego plonu, nie zawódźcie nadziei w was pokładanych, nie pozwólcie, aby pomiędzy niedołęztwem a obojętnością coraz głębiéj upadać miała sprawa waszego szczęścia, bo nietylko ziemi, która was żywi i przyodziewa zamożnym dostatkiem, winniście odpowiedzialność, ale będzie jéj żądał sam Bóg.

Kto przecież pragnie sprostać temu zadaniu, niechaj swoim siłom nie ufa, albowiem Bóg jest, co daje moc. Kto pracą rzetelną chce zachować dziedzictwo sławy imienia i mienia z przodkami, niechaj nie zrywa najsilniejszego węzła, co nas wiąże z przeszłością, niechaj nie zrywa węzła religii, co ojców naszych na wielki wychowała naród. Zmarły ś. p. Józef, chociaż wojskowemu poświęcił się zawodowi i wojennem rzemiosłem krajowi służyć pragnął, nie zapomniał nigdy o tém, że katolickiego narodu syn wiernym być winien religii swego narodu, a dowodząc życiem całém pobożnego dncha, w długotrwałéj chorobie w ostatnich zgonu chwilach, pełen poddania się wyrokom opatrzności, łagodnie cierpliwy, pokorny w pokucie jako chrześcijanin, spowiedzią, kommunią świętą przysposobił się na złożenie wielkiego rachunku Bogu i w pobożnéj modlitwie widząc zbliżający się koniec, z wdzięcznością dla troskliwéj rodziny, z całą śmierci znajomością, dokonał krótkiego swego zawodu w wierze i pokorze umierającego chrześcijanina.

Nie pomogła nic troskliwość wasza, dostojni rodzice, o zdrowie i życie kochanego syna, zmiana ziemi nie zmieniła wyroków boskich. Dał wam Pan krzyż do dźwigania w śmierci dziecka waszego: dźwigajcie go z takiém poddaniem, z jakiém przyjmował go syn wasz z ręki Boga, kiedy odebrał rozkaz opuszczenia drogiego rodzinnego grona; przyjmijcie usty mojemi czułą podziękę za czułą pieczołowitość waszą! Dziękuje wam Józef was za wychowanie chrześcijańskie, oddaje wam

*) Mędr. 6, 2—9.

w ręce co od was odebrał, a dziękuje mianowicie za rodzicielskie staranie w ostatniéj chorobie, za podjęte trudy podwójnéj w kraje odległe podróży. Dziękuje i wam bracia i siostry za miłość i przywiązanię, dziękuje szczególnie tobie, Stanisławie, towarzyszu podróży, opiekunie w chorobie, ale prosi zarazem, byście mu tę miłość braterską, tę rodzinną pamięć i po za grób przechowali i często o nim pamiętając, nadstawiali mu modlitwy za duszy zbawienie, aby, jeżeli się dotąd nie wypłacił sprawiedliwości Bożéj, modlitwa zmazała winę przez krewkość zaciągniętą, a uskarbiła łaskę do oglądania jasności oblicza Bożego potrzebną. W tym duchu modlitwy za duszę zmarłego zgromadził nas kościół na pogrzebowy obrządek, w tym duchu wszyscy polecajmy duszę jego Panu sprawiedliwości i miłosierdzia, mówiąc:

Wieczny odpoczynek racz duszy Józefa dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.

Mowa podczas nabożeństwa żałobnego

za duszę ś. p. Ks. Karola Antoniewicza, członka zgrom. Jez.

Przez Ks. Jana Chryzostoma Janiszewskiego.

O ciężko, bardzo (nam) ciężko na duszy, ale nie targujmy się z Bogiem. KS. ANTONIEWICZ.

To są słowa tego świątobliwego kapłana, pełnego wiary i ducha Bożego, za którego duszę przyszliśmy się modlić, którego błogiéj i zbawiennéj dla nas pamiątce szczerą, serdeczną cześć oddajemy — to są słowa ś. p. *Ks. Karóla Antoniewicza;* jednego z tych kapłanów, których Pan Bóg w nieskończonéj dobroci swojéj w chwili potrzeby wskrzesza, niedoścignionemi drogami mądrości swojéj prowadzi, ogniem miłości swojéj zapala i jako dowód szczególniejszéj łaski swojéj do ludu wiernego posyła, aby idąc w imie jego ogłaszali słowo Boże i prowadzili go *przez krzyż do nieba.* To są słowa Ks. Karóla Antoniewicza, którego obraz świeżo na sercach waszych wyryty, który tu z tego świętego miejsca ogłaszał wam słowo Boże, który niém serca wasze podnosił ku pożądaniu rzeczy niebieskich, który je przenikał aż do głębi, miękczył i kruszył. On temi słowy strapione serca wasze pocieszał, temi słowy wiarę w was budził, temi słowy do miłości krzyża zagrzewał, temi słowy nadzieję waszę krzepił; pozwólcież tedy, bracia kochani, że i my wśród tylu klęsk świeżo poniesionych, stojąc dziś jak gdyby nad grobem jego, głęboką boleścią dotknięte serca nasze jego własnemi słowy pocieszać będziemy wołając; *O ciężko, bardzo (nam) ciężko (o Panie), na duszy*, żeś odjął od nas kapłana, którego nauka i życie przyświecały ludowi Twojemu na

drodze zbawienia, ale *nie chcemy targować się z Tobą*, nie chcemy wglądać w niedościgłe sądy Twoje i przy grobie jego grzeszyć. — *Pan dał, Pan odjął, niech będzie imie Pańskie błogosławione.*

* * *

Przypatrzmy się dokładniéj téj wzniosłéj postaci kapłana Chrystusowego. Ks. Karól Antoniewicz urodził się r. p. 1807. w Skwarzewie w Galicyi. Ledwo co ukończył nauki swoje, alić niósł co miał i co umiał i samego siebie na usługi kraju. gdy go do broni w roku 1830 powołał. Po powrocie z kampanii pojął w 24. roku życia za małżonkę również jak on pobożną i świątobliwą osobę. Zofią Nikorowicz. Obdarzony od Boga znacznym majątkiem, dobrą jak aniół małżonką i pięciorgiem dzieci, od ludu; któremu był ojcem, kochany, od współobywateli, którym był radą i pomocą, miłowany i szanowany, rzekłbyś, że w zupełne szczęście obfituje na ziemi. Ale inne szczęście, szczęście, którego kwiat nigdy nie więdnie ani nie usycha, zamierzał mu Pan Bóg zgotować. W tém sercu przywiązaném do żony, dzieci, krewnych i przyjaciół Pan Bóg sobie chciał przybytek zgotować i zamienić je na źródło religijnéj pociechy, z którego tysiące tysięcy czerpać i swoję słabość zasilać miały. Dla tego te węzły miłości familijnéj lubo z natury swojéj godziwe i szlachetne, za ciasne były dla jego wielkiego serca, dla tego boleśnie poprzecinał je Pan Bóg, aby je z nich wyswobodzić i wynieść nad zwyczajny poziom świata ku niebu. Zsyła więc Pan Bóg na to serce czułe grom po gromie i cios po ciosie i w przeciągu jednego roku zabiera mu wszystkie dzieci, przepuszcza to serce przez ogień czyscowy doświadczenia, jak gdyby je chciał wystawić na próbę i zahartować do tego powołania, które mu w nieograniczonéj mądrości swojéj przeznaczył. Ojcowie! matki! wy, co wiecie, jak to boli takie rozdarcie serca, wy, coście już stali nad grobem dziatek waszych, powiedzcie sami, co się wtenczas w was działo i spojrzyjcie okiem macierzyńskiego serca waszego w głębie serca ś. p. Ks. Karóla — pojmiecie, jaki krzyż dźwigało? A cóż to rodzice ściśnieni taką serca boleścią zwykli czynić? Oto żal, żal i jeszcze żal często z pogańską i grzeszną rozpaczą zmieszany, ale rzadko co więcéj. Patrzcie, co czyni nieboszczyk. Oto żal i boleść i krzyż swój składa u stóp Zbawiciela i kołace wraz z małżonką swoją do bram niebieskich i ślubują oboje wstąpić do zakonu. Cierpienia zwątliły jéj zdrowie, choroba opóźniła wykonanie ślubu, ale złożyła go na łożu śmiertelném i zakończyła swój żywot świątobliwy jako siostra zgromadzenia św. Wincentego a Paulo. Po stracie dzieci, po stracie żony jeden tylko jeszcze majątek lekko go wiązał do znikomości świata. Ale ten słaby wątek zerwała jego silna dusza —

krótkie zrobił rozporządzenie swoim majątkiem, posag żony oddał jéj familii, jednę część swego majątku przeznaczył stryjecznemu bratu, drugą na utrzymanie swéj matki, która w krótce także wstąpiła do zakonu, trzecią dla ubogich i tak oswobodzony z wszelkich więzów, jakie go dotąd krępowały, poszedł za głosem łaski Boskiéj, zakołatał do fórty klasztornéj i wstąpił do zgromadzenia Księży Jezuitów w 33. r. życia we Lwowie.

* * *

Oto patrzcie, bracia najmilsi, jak niedościgłe są drogi Pańskie i nieodgadnione sądy Boskie! Patrzcie, jak niepojęte są zrządzenia opatrzności Jego, któremi nas do wiecznego, prawdziwego szczęścia naszego prowadzi! Patrzcie na tę drogę cierniem usłaną, którą Pan Bóg tego męża boleści wiedzie aż do przybytku kapłaństwa swego, aż do przybytku doskonałości zakonnéj, w któréj się Bogu i bliźnim miał ofiarować; patrzcie na ten krzyż, pod którym ugięty przechodzi pustynię życia i dźwiga go wiernie bez jęku, bez krzyku aż do ostatniego tchu życia swojego. Pojmiecież teraz, dla czego był takim miłośnikiem, takim gorliwym nauczycielem krzyża? Pojmiecież teraz, dla czego was z taką usilnością, z takim serdecznym i rzewnym zapałem zachęcał do dźwigania krzyża, dla czego was prosił i zaklinał, abyście nie upadali pod jego ciężarem, nie szemrali przeciw nieodgadnionym zrządzeniom opatrzności Boskiéj? Czytajcie dziś w sercu jego, a znajdziecie wszystko, czytajcie w tém sercu, które boleść ukrzyżowała i wycisnęła z niego. że tak powiem, ostatnią kroplę krwi ziemskiéj, aby było czystem naczeniem łaski i miłości Boskiéj. Ona wam powie, jak Pan Bóg jest mądry, jak dobry, jak sowicie nagradza wierne dźwiganie krzyża. On oddał Bogu wszystko, co miał na ziemi, a Bóg mu oddał wszystko na wieki w niebie. Nie dość, tu już na ziemi wyniósł go Pan Bóg, wyniósł jego głęboką pokorę i postawił na wysokim świeczniku na przykład wiernemu ludowi, nam kapłanom i wam, co się do tego wielkiego powołania gotujecie. I cóż to jest, co tak mimowolnie wyciska i wymusza na nas tę cześć i ten szacunek? Oto majestat cnoty, wysokiéj cnoty, który *zakon* jako godło swoje na czele nosi.

Cóż to jest zakon, co to jest zakonnik? Słyszeliście o owym młodzieńcu w ewangelii świętéj, który przyszedł do Jezusa i pytał Go, co ma czynić, aby być doskonałym? A gdy mu Pan Jezus odpowiedział: *Jeśli chcesz być doskonałym, idź, przedaj co masz, a daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, odszedł smutny, albowiem miał majętności wiele.* A gdyby nam wszystkim tak jak tu zgromadzeni jesteśmy, przyszło oddać wszystko, co mamy, mało czy wiele, czyżby się w pośród nas nie znalazło wielu takich, którzyby smutni odeszli?

A widzieliście kiedy na wypogodzonéj i wesołéj twarzy nieboszczyka Ks. Karóla ten smutek, tę posępność? Czyż oblicze jego wśród ubóstwa i niedostatku, wśród tułactwa, od miasta do miasta, wśród pracy i znoju, wśród prześladowań i nienawiści nie było weselsze i swobodniejsze, jak największych bogaczów dostatki opływających? Oto zakonnik dźwigający krzyż swój swobodnie i wesoło! Patrzcie wierni! Patrzmy kapłani! A jeśli to dobrowolne ubóstwo już jest tak trudną rzeczą, iż sobie wielki gwałt trzeba zadać, aby się wznieść do niego, jakiegoż wytężenia ducha ludzkiego, jakiegoż wysilenia woli będzie potrzeba, aby się wyrzec wszystkich przyjemności i słodyczy pożycia familijnego i te szlachetne a zarazem miłe i błogie uczucia przynieść Bogu i bliźnim na ofiarę i wypełnić słowa Chrystusa Pana: *kto miłuje ojca, abo matkę więcéj jak mię, nie jest mnie godzien?* Jakaż to musi być walka! Patrzcie na nieboszczyka Ks. Karóla, jakie wniéj odniósł zwycięztwo! Być panem swéj woli, mieć sługi na swoje rozkazy, a zrzec jéj się dla Boga i dla bliźnich, poświęcić nie tylko ciało ale i ducha swojego Bogu i pełnić posłuszeństwo bez granic i zniżyć się w pokorze do prostoty dziecka, jestże to małą ofiarą? Oto, bracia, to jest ta wielkość, ten majestat cnoty w zakonniku, który nas mimowolnie zniewala do oddania jéj pokłonu. Wyrwany ze wszystkich doczesnych stósunków świata, które świecki kapłan mimo woli i chęci i każdy inny człowiek musi być wplątany, wyswobodzony ze wszelkich więzów ciała i krwi, ze wszlekich względów ludzkich, stoi jak gdyby na skale niedostępnéj i podnosi głos swój jak gdyby z innego świata. Nie ma nic na ziemi i nic od niéj nie chce, nie ma żadnych widoków, nadziei, któreby język jego krępowały, jest wolny jak orzeł w polocie. I ta niezawisłość zupełna, ta swoboda w dziedzinie ducha, z jaką na świat poziomy spogląda, na marne jego krzątania się i zabiegi, jest siłą i mocą niezrównaną. A gdy przyjdą czasy powszechnego obałamucenia sumień ludzkich, kiedy złość i przewrotność ludzka wszelkie prawdy święte i odwieczne w najgłębszych wstrząśnie posadach, kiedy fałszywi prorocy i zwodziciele dusz ludzkich głos swój podniesą i krzykną: a oto tu Christus, a oto tam Christus, a oto tu prawda, a oto tam zbawienie, a oto to nie grzech, a oto to postęp; kiedy nawet biskupi i kapłani, którzy strzedz mają arki przymierza pańskiego, albo się burzy ulękną i zamilkną, albo na straży swojéj zasną, powiedźcież, bracia, któż ma wtenczas głos swój podnieść i wołać na wielkich i małych, przełożonych i poddanych, i wyrzucać im złości i nieprawości ich i wołać, aby się nawrócili do Pana i Boga swojego? Któż się poważy wziąść tablice prawa Bożego i stanąć przed tymi, którzy go truć, prześladować i skruszyć mogą za to, że ich ocucił ze snu nieprawości, lenistwa i objętności? Oto, bracia, w tych chwilach

okropnych i straszliwych, których kościół wiele już przeżył i przeżyć jeszcze może, powstają zakony, powstają ci ludzie, których pył ziemski nie dosięga, i podnoszą głos swój piorunujący i wstrząsają pustynią życia i czyszczą zgniłe świata powietrze, doły i góry równają i prostują drogi pańskie. A głos ich potężny i jak miecz obosieczny wnętrzności przenika, bo bez bojaźni, bez trwogi, bez obawy straty, bez nadziei zysku łamie i gruchoce cedry nieprawości i grzechów wielkich i małych. Oto wielkie i wzniosłe posłannictwo zakonów w kościele naszym! Chociażby tedy ś. p. Ks. Karól Antoniewicz nic więcéj nie był uczynił, jak tylko że ten stopień doskonałości osiągnął i wytrwał w nim aż do końca, czyżbyśmy już wtenczas patrząc na ten wzniosły obraz cnoty chrześciańskiéj nie ubolewali nad stratą jego i nie zawołali? *O Panie, ciężko, bardzo (nam) ciężko na duszy*, żeś go wziął z pośród nas.

* * *

Ale toć jest dopiero początkiem początku. Pomijam tu całklem jego pobyt w murach zakonnych, pomijam tę zadziwiającą pokorę, z jaką Pan wielu włości poddaje się pod karność zakonną, siada mąż dojrzałego wieku z uczniami na ławie i usługuje drugim, pomijam te kwiaty cnót chrześciańskich, lubo piękne i wzniosłe, bo zbyt obfity żywot jego, abym mógł wszystkie wyliczyć, pomijam pierwiastki jego pracy apostolskiéj, bo już nie zdołam pozbierać dojrzałych jéj owoców. — Rzućmy tylko okiem na tę część kraju naszego, w któréj się urodził i wychował, rzućmy tylko okiem na Galicyą i zapytajmy się mieszkańców Sącza i okolicy jego, a oni nam powiedzą i z radością wyznają, czém dla nich był ten zakonnik w osobie Ks. Karóla.

Pamiętacie wy, bracia kochani, ten rok 1846., ten rok strapienia, łez, krwi i boleści, ten rok, w którym gorżkością ściśnione serce nasze wołało: *Panie, wejrzyj, a obacz zelżywość naszę, a nie było, ktoby cieszył.* Pamiętacie wy ten rok straszliwy, gdzie ludzie schnęli ze strachu, a oczy ustawały od płaczu? I wtenczas w téj nawałnicy okropnéj, która ostatnią iskrę nadziei i ratunku zalewać się zdawała, kiedy nikt nie wiedział, co począć i gdzie się obrócić, kiedy jednego cisnął strach z góry, a drugiego z dołu i nikt głosu sprawiedliwości na obronę krwi niewinnie przelanéj podnieść nie śmiał, wtenczas, wtenczas ten zakonnik ubogi w osobie Ks. Karóla Antoniewicza piersiami swojemi wstrzymuje ten potok rozbestwienia. W karczmie, wśród zniewag osobie jego wyrządzonych rozpoczyna dzieło nawrócenia i mimo zatwardziałości i zakamieniałości serc słuchaczy nie ustaje i woła, póki ich nie zmiękczył, póki nie skruszył, póki nie powalił obłąkanych grzeszników o ziemię i nie położył płazem u stóp Zbawiciela. A teraz

zmiękczonych i upokorzonych prowadzi do kościoła przed sąd Baga żywego, tu im odkrywa ciężkie rany zadane, tu im pokazuje matki, żony, sieroty pomordowanych, tu im pokazuje potoki łez i krwi, któréj są winni, wytrąca im nóż zbrodniczy z ręki i wyciska strumienie łez nie już zbrodni i występku, ale łez skruchy, żalu i pokuty. I to przemienienie rozbójników na pokutników, rozjuszonych tygrysów na cichych i pokornych baranków, jest dziełem jednego człowieka, dziełem jednego kapłana, dziełem jednego ubogiego zakonnika z Zgromadzenia Jezusowego. Patrz, ludu, jak wielki i potężny jest Bóg w wiernych sługach swoich! Patrzmy kapłani, co może kapłan natchniony duchem Bożym! Powiedzcie, matki, żony i dzieci, co wart ten mąż, ten kapłan, ten zakonnik, który zdołał powściągnąć rękę zabójczą od waszych rodziców, mężów i dzieci? Co wart ten zakonnik, co piersi swoje nadstawił, aby wasze uratować? Co wart ten zakonnik, co od Kwietnia aż do późnéj jesieni wśród pracy i najcięższych trudów apostołował i zdrowie i siły swoje stargał aby zbrodni tamę położyć? Ach, bracia, ciężko daléj mówić, bo żal serce ściska i nie możemy, jak słowy jego zawołać: *(Panie) ciężko, bardzo (nam) ciężko na duszy*, żeś Twego sługę wiernego wziął od nas.

* * *

Na poratowanie taką pracą skołatanego zdrowia wysyłają go przełożeni w góry, aby sobie po tych znojach odpoczął. Ale serce tak gorąco miłujące jak jego, nie znało odpoczynku. I tu znalazł Huculów, znalazł ludzi, co potrzebowali światła nauki i pociechy religijnéj — chodził za nimi, szukał ich, zgromadzał około siebie, nauczał i prowadził *przez krzyż do nieba*. Rok 1848 wyrwał go z tego zacisza, sprowadził napowrót do Lwowa, aby go na długo, prawie na zawsze spokojności klasztornéj pozbawić. Zgromadzenie bowiem Księży Jezuitów we Lwowie zostało zniesione, a członkowie jego rozproszeni. Ks. Karól udał się na kuracyą do Grefenberga. Tu garstkę Polaków, ciężkiemi klęskami strapionych i skołatanych, których zastał, zgromadził około siebie, nauczał, pocieszał, utwierdzał. Skoro mu tylko pozwoliło zdrowie, udał się do Krakowa i tu znowu swoje prace apostolskie na wielki rozmiar rozpoczął, nauczał po kościołach, po domach, po ulicach nawet, gdzie tylko znalazł sposobność pozyskania choćby jednéj duszy dla Boga. — Słyszeliśmy wszyscy głos jego rzewny i pocieszający, który podniósł na gruzach i popiołach Krakowa. Tam ztąd znalazł schronienie i przytułek w Górnym Szląsku. I tu się zaczyna nowe pasmo prac jego apostolskich aż do ostatniego tchu życia. Głośne były te missye, wielkie były ich skutki i owoce! Ale czyż podobną jest rzeczą, abym was po wszystkich miejscach oprowadzał, na których grzmiał głos jego potężny przez

przeciąg czasu dwuletni, dopóki do nas nie zawitał? Jestże podobną rzeczą, abym zdołał wyrazić, co serce jego czuło, co słowa jego na sercach słuchaczy wyryły? Chyba, żeby z grobu powstał i sam powiedział. Wspomnijcie sobie tę klęskę ostatnią, jaką nas Pan Bóg nawiedził, czas cholery, i patrzcie, co robi ów kap an świątobliwy. Gdzie tylko nieszczęście, on jest ku ratunkowi; we dnie i w nocy na nogach. Chociaż osłabiony na siłach, przybywa jednak do was, aby wam po tylu stratach rozlicznych słowo pociechy przynieść i wyście byli prawie ostatni, coście je z ust jego słyszeli, — gdyż w dzień ś. Stanisława Kostki zabrał go już Pan Bóg do siebie. Nie opowiadam wam śmierci jego, bo niechcę rozczulać, rozrzewniać, dość już płynie tych łez, wiecie, jakie było świątobliwe życie, taka i śmierć. A teraz pozwólcie, bracia kochani, zmierzyć raz jeszcze okiem ten cały żywot tego męża od kolebki, od chwili, w któréj stał w szeregach ojczystych, od małżeństwa, od wstąpienia do zakonu aż do owego dnia ś. Stanisława Kostki, jakież to bogactwo cnoty, jaka obfitość czynów, jaka praca, jakie poświęcenie, jaka żelazna wytrwałość aż do grobu! Patrząc na taką stratę, jakże nie boleć, jakże nie zawołać: Panie! *ciężko*, *bardzo* nam *ciężko na duszy*, żeś nam go wziął, ale nie chcemy *targować się* z Tobą, nie chcemy wglądać w niedościgłe drogi Twoje i grzeszyć.

* * *

Boże, Tyś nam go dać raczył, Tyś nam go odebrał. Tyś go doświadczał jako złoto w ogniu, jako Joba sprawiedliwego. *Potykał się potykaniem dobrém*, *zawodu dokonał*, *wiarę zachował*, raczże mu *odłożyć wieniec sprawiedliwości* i wprowadzić go z tego tułactwa i rozproszenia, z tego prześladowania i nienawiści na odpoczynek wieczny do przybytków Twoich tam, gdzie Ty sam *otrzesz wszelką łzę jego*, *gdzie śmierci daléj nie będzie ani smutku*, *ani krzyku ani boleści*. Amen.

BIBLIOT. UNIWERSYT. W POZNANIU

Poznań, czcionkami W. Dąbkem i ciężki.



Tojeśtwór nie żwarz ale
wieka
z długim nozdrzu to jest
twarz ostrowska z nie
z Krótkim



